

JOAN D. VINGE

AUTORKA OPWIEŚCI O SAMOTNEJ PLANECIE TIAMAT
I O MOON, DZIEWICZYNE Z WYSPY,
URODZONEJ, BY PANOWAĆ JAKO KRÓLOWA ŁATA

KRÓLOWA ŁATA

CZĘŚĆ I
ZMIANA

KONTYNUACJA „KRÓLEWEJ ZIMY”
POWIEŚCI UHONOROWANEJ NAGRODĄ HUGO
W 1981 ROKU

PHANTOM PRESS



Joan D. Vinge

Królowa Lata
Zmiana

(Przełożył Janusz Pultyn)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[TIAMAT: Wyspy Nawietrzne](#)

[ONDINEE: Razuma](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[ONDINEE: Port Razumy](#)

[NUMER CZWARTY: Brama Czwórki](#)

[TIAMAT: Południowe Wybrzeże](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[ONDINEE: Tuo Ne'el](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[NUMER CZWARTY: Brama Czwórki](#)

[ONDINEE: Razuma](#)

[TIAMAT: Plantacja Ngeneta](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[NUMER CZWARTY: Koniec Świata](#)

[NUMER CZWARTY: Koniec Świata](#)

[NUMER CZWARTY: Koniec Świata](#)

[NUMER CZWARTY: Koniec Świata](#)

[NUMER CZWARTY: Koniec Świata](#)

[NUMER CZWARTY: Ogniste Jezioro](#)

[NUMER CZWARTY: Koniec Świata](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[ONDINEE: Tuo Ne'el](#)

[KHAREMOUGH: Posiadłość Pernatte](#)

[KHAREMOUGH: Posiadłość Aspundth](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[TIAMAT: Dworzyszcze Goodventure](#)

[KHAREMOUGH: Osiedle Orbitalne nr 1](#)

[KHAREMOUGH: Posiadłość Gundhalinu](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[TIAMAT: Plantacja Ngeneta](#)

[KHAREMOUGH: Posiadłość Aspundth](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[TIAMAT: Plantacja Clearwater](#)

[KHAREMOUGH: Posiadłość Gundhalinu](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

[TIAMAT: Okręć gwiazdny Ilmarinen, orbita planety](#)

[TIAMAT: Krwawnik](#)

"Czy nie wiesz nic? Czy nie widzisz nic?

Czy nic

Nie pamiętasz"

Pamiętam

Gdzie były oczy perła łśni.

"Czy jesteś żywy, czy nie? Czy nie masz nic w głowie?"

T.S. Eliot

Jest ktoś w mej głowie, ale to nie ja.

Pink Floyd

Młyny boże mielą powoli, co zwykle rodzi ból.

Georgio de Santillana i Hertha von Dechend

ZMIANA

Czy się ośmielę

Wszechświat niepokoić?

Oto jest czas w minucie

Decyzji i poprawek, które minuta odwróci

T.S. Eliot

TIAMAT: Wyspy Nawietrzne

Dłoń wypuściła jaskrawą szarfę, wstęga powoli opadła. Setka rozradowanych głosów krzyknęła chórem i stadko młodych dziewcząt rozsypało się po lśniącym piasku plaży.

Clavally Bluestone Letniaczka siedziała, wpatrując się w wysokie urwisko, czując, jak morska bryza bije jej w twarz, rozwiewa długie czarne włosy. Uśmiechnęła się, zamykając oczy i wyobrażając sobie, że sama wraz z innymi biegnie w dole pod wiatr. W młodości ścigała się tak na wielu wyspach Morza Letniego, marząc, że zwycięży, że na trzy dni trwania święta klanu zostanie Wybranką Matki Morza, że otrzyma girlandy z klekoczących, gładkich muszelek, najlepsze, najśodsze potrawy, nowe stroje, że będzie czczona przez starszych, adorowana przez wszystkich młodych mężczyzn...

Z tęsknym uśmiechem dotknęła błyszczącego w słońcu wisiora w kształcie koniczynki, spoczywającego na koronkach luźnej koszuli z samodziału. Minęło wiele czasu, odkąd biegła w takich wyścigach. Już niemal pół życia jest sybillą. Jak to możliwe...? Otworzyła oczy, wchłaniała nimi bezmiary lazuru morza i nieba, bezustannie zmiennych, a jednak zawsze takich samych; patrzyła na cętkowane chmury, migotliwe tęcze dalekich szkwałów. Bliźnięta przyjęły życzliwie dzisiejsze zgromadzenie, ogrzewały szczerze jej ramiona. W powietrzu czuło się wiosnę, aż Clavally z żalem wspomniała czasy rozkwitu swego ciała.

Obejrzała się przez ramię na odgłos kroków. Uśmiechnęła się jeszcze promiennie, widząc męża nadchodzącego ścieżką z koszem pełnym chleba i rybich ciastek, trzymającego w drugiej ręce dzban piwa. Patrzyła na jego przyprószone siwizną brązowe włosy i błyszczącą w słońcu koniczynkę.

Przestała się uśmiechać, gdy rozpoczął wspinaczkę po stromym stoku. Z roku na rok coraz bardziej sztywniały mu stawy – wynik zbyt wielu lat spędzonych w pełnych przeciągów kamiennych izbach lub na zimnych, wilgotnych, trwających tygodnie rejsach między wyspami. Danaquil Lu był Zimakiem, brakowało mu wrodzonej twardości Letniaków i jego ciało buntowało się przeciw ich życiu. Rzadko jednak pozwalał sobie na słowo skargi czy żalu, wiedział bowiem, że to jego miejsce, że jako sybilla może tu żyć swobodnie... i że oddał jej swe serce.

Było coraz cieplej, Letnia Gwiazda jarzyła się na niebie, nadeszło Lato. Może upały złagodzą jego bóle. Clavally uśmiechnęła się ponownie na widok jego oczu, jasnych, niebieskozielonych niby morze, witających ją z radością.

Usiadł z koszem żywności, starając się nie krzywić. Chwyciła go za ramiona, łagodnie masując i wskazując na plażę.

– Patrz, już prawie po wszystkim!

Obserwatorzy na plaży krzyknęli znowu, gdy biegaczki dotarły do wyrysowanej na mokrym piasku linii mety. Clavally i Danaquil zobaczyli, jak pierwsza przekraczają dziewczyna z powiewającymi żółtymi włosami, jak inni ściskają ją, ozdabiają wieńcami i odprowadzają.

– To był dobry bieg – powiedziała, słysząc w swym głosie wspomnienia przeszłości.

Danaquil Lu westchnął i kiwnął głową, ale coś w tym ruchu wywołało wrażenie, że nią raczej pokręcił.

– Tak krótko trwała nasza młodość – mruknął – a starość ciągnie się tak długo.

Clavally obróciła się ku niemu.

– Daj spokój – powiedziała zbyt beztrosko, bo czuła to samo. – Jak możesz to mówić w takim dniu jak dzisiaj? – I pocałowała go, by nie mógł odpowiedzieć.

Zaskoczony Danaquil wybuchnął śmiechem. Zjedli razem, ciesząc się pogodą i swoim towarzystwem, radzi z godziny samotności, skradzionej ludziom świętującym w wiosce.

W końcu zeszedli ze wzgórza. Zgromadzenia klanu były zawsze radosne, bo spotykali się wtedy krewni i przyjaciele zamieszkujący porozrzucane wyspy Lata, wspólnie wspominali Matkę Morza, składali Pani należny jej hołd. Teraz odbywało się doroczne zebranie klanu Goodventure, jednego z największych na wyspach. Przed ostatnią Zmianą członkowie klanu byli religijnymi przywódcami Letniaków – to z nich wywodziły się poprzednie Królowe Lata – i ciągle dysponowali potężnymi wpływami.

Pod kamiennym murem nabrzeża zwyciężczyni biegu, śmiejąca się piegowata dziewczyna w wieku najwyżej czternastu lat, na rozfalowaną, zieloną wodę wrzucała obrzędowe ofiary dziękczynne i błagalne. Z zatoki przyglądało się temu kilka merów ze stada zamieszkującego brzegi tej wyspy, niezawodny znak błogosławieństwa Morza. Clavally popatrzyła na twarz dziewczyny, na słońce błyszczące w jej włosach i poczuła nagłą, niespodziewaną tęsknotę.

Zostając sybilla, dokonała wyboru. Zdecydowała się na ciężkie, twarde życie, ciągłe podróże z wyspy na wyspę, przekazywanie mądrości Pani wszystkim, którzy jej potrzebowali, wyszukiwanie i uczenie tych, którzy chcieliby pójść w jej ślady, służyć następnym pokoleniom Letniaków. Powiada się: "śmierć za zabicie sybilli, śmierć za pokochanie sybilli, śmierć za bycie sybilla"... Bardzo trudno było znaleźć mężczyznę, który odważyłby się poślubić sybillę, nie będąc nią sam.

Ale nawet po spotkaniu Danaquila Lu nie przestała brać dziecioguba, bo prowadziła zbyt ciężkie życie, by mieć potomstwo, zwłaszcza że nie miała żadnych bliskich krewnych, którzy pomogliby w jego wychowywaniu. A Danaquilowi Lu, z jego przygarbionymi plecami i bolącymi stawami, coraz bardziej potrzebna była jej opieka. Mocno chwyciła go za rękę i nakazała odpoczynek swemu niespokojnemu ciału. Wkrótce będzie już za stara na dzieci, pytania w jej sercu uzyskają odpowiedź raz na zawsze.

– Pytanie, sybillo...? – Chłopiec podszedł do nich niepewnie, jego brązowe warkoczyki podskakiwały na lnianej tunice bez rękawów. Patrzył prosząco na Danaquila Lu; prawdopodobnie chciał zapytać o dziewczyny.

– Pytaj, a ci odpowiem. – Danaquil Lu wygłosił zwyczajową odpowiedź, uśmiechając się łagodnie.

Clavally puściła jego dłoń z pożegnalnym spojrzeniem, nie chciała krępować zarumienionego chłopca. Wmieszała się w tłum. ledwo słysząc za sobą, jak Danaquil Lu wymruczał: Wejście... i wpadł w Przekaz, słuchając mamroczonego pytanie chłopca.

– Sybilla? – Obok wstała jedna z klanu Goodventure, siwiejąca kobieta w średnim wieku. Clavally przystanęła, spodziewając się następnego pytania, nim jednak zdążyła odpowiedzieć, kobieta dodała: – Czy popłyniesz do Krwawnika?

Clavally spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Do Krwawnika? Dlaczego?

– Nie słyszałaś? – Kobieta patrzyła z drażniącą wyniosłością. – Nowa Królowa Lata poprosiła wszystkie sybille Lata, by wyruszyły z pielgrzymką do Miasta na Północy. Twierdzi, że taka jest wola Pani.

Clavally pokręciła głową, wyrażając zarówno swą wątpliwość, jak i niewiedzę. Krwawnik był jedynym prawdziwym miastem na całej planecie, leżał daleko na północy, otoczony posiadłościami Zimaków. Jego nazwa oznaczała jednocześnie "klejnot" i "ropień". Znajdując się blisko portu gwiazdowego pozaziemców, przez trwające sto pięćdziesiąt lat rządy dalekiej Hegemonii nad Tiamat kipiał od cudów i zepsucia obcych. Podczas panowania Królowej Śniegu Zimacy rościli sobie prawa do miasta i otaczających go ziem, zabraniając sybillom wstępu do Krwawnika. Pozaziemcy gardzili takimi jak Clavally, a Zimacy darzyli nienawiścią i strachem. Danaquil Lu urodził się w mieście, lecz

go wygnano, gdy tylko został sybillą.

Teraz jednak doszło do Zmiany. Zamknęły się Czarne Wrota, którymi pozaziemcy przybywali na Tiamat; obcy odlecieli, zabierając z sobą technikę. Morza już się ogrzewały. Stopniowo będą się stawały za ciepłe dla hodowanych przez Letniaków klee i wielu innych łowionych w oceanie ryb. Mery, będące jak i oni dziećmi Matki Morza, przesuwają się na północ. Letniacy przygotowują się do pójścia w ich ślady. Ich zwyczaje staną się znowu zwyczajami świata, a Zimacy poznają na nowo dawne zasady przetrwania i harmonii z Morzem, korzystając z tego, że Królowe Lata ukazują im ludzką twarz mądrości Pani.

– Ale dlaczego Królowa Lata – albo Pani – chce, by sybille przebywały w mieście – spytała Clavally – nie zaś wśród ludzi, pomagając im w rozpoczynaniu nowego życia?

– Powiedziała, że chce objawić wszystkim sybillom ich ważniejsze zadanie, prawdziwe zadanie, zdradzone jej przez Matkę Morza. – Goodventure wzruszyła ramionami i otarła spoconą twarz. – Niektórzy jednak pytają, jakież to może być zadanie ważniejsze od tego, które spełniają teraz?

– Tak – mruknęła Clavally niepewnie. – To dziwna prośba. – Jaka? – Danaquil Lu stanął obok, unosząc brwi.

– Królowa Lata poprosiła wszystkie sybille o przybycie do Krwawnika, by tam do nich przemówić – wyjaśniła. Ujrzała, jak blednie twarz jej męża. Blizny na jego policzku – okrutny dowód wygnania z miasta – nagle stały się wyraźne, jakby dopiero co się zagoiły. Szukając oparcia, wziął ją pod ramię.

– Och – tylko tyle odpowiedział i odetchnął głęboko, wypełniając płuca świeżym morskim powietrzem.

– Nie musimy wyruszać – powiedziała łagodnie przyglądająca mu się Clavally. – I bez nas będzie tłok.

– Mądra decyzja. Ale dlaczego ta wieść nie sprawia ci radości, Clavally Bluestone? – Dołączyła do nich mocno zbudowana, ogorzała kobieta. Clavally rozpoznała w niej przywódczynię klanu, Capellę Goodventure.

Sybillą nie odpowiedziała, patrząc na Danaquila Lu, który zatopił wzrok w morzu, jakby nagle znalazł się na plaży sam.

– Ani też pochlebia – dodała Capella, wścibiając swój głos niby palce. – Z jakiego on jest klanu? – Clavally poznała po tonie, że pytająca zna odpowiedź, choć Danaquil Lu nie ma haftu na koszuli ani innej oznaki przynależności rodowej.

– Wayawayów – odparł Danaquil Lu bezbarwnym głosem, patrząc na Capellę. Jego mina zdradzała, że także rozpoznał ów ton w jej głosie.

– Wayawayów? Czy to nie klan Zimaków? – Zapytała Capella ze zgryźliwą aluzją. Zdziwienie w jej słowach zabrzmiało równie fałszywie, co pęknięty dzwon. – Wydaje się, że powinieneś być rad z powrotu do domu.

– To nie jest mój dom – rzucił. – Jestem sybillą.

– No oczywiście. – Spojrzała na jego koniczynkę. – Zimak czczący Panią. Jakie to niezwykle. – Potarła rękę, patrząc na morze.

Danaquil Lu z wyraźną irytacją znowu odwrócił wzrok. Nie wierzył w Panią, nie wierzył w nic poza swym powołaniem. Ale Pani wierzyła w niego. Skrzywiona Clavally spojrzała na Capellę. Nigdy nie lubiła starszej klanu Goodventure, a z każdym nowym uderzeniem serca jej niechęć się pogłębiała. Otworzyła usta, by zapytać, czy przywódczyni szuka jakiejś odpowiedzi, czy nie.

– Będąc sybillą, nie zbliżyłabym się nawet do Miasta – powiedziała Capella. – Byłam tam

podczas ostatniego Świąta. Do moich obowiązków należało doglądanie koronacji Królowej Lata... i utopienia Królowej Śniegu. – Uśmiechnęła się lekko; Clavally zacisnęła zęby i milczała. – I po tym, co zobaczyłam, zaczęłam się zastanawiać, czy Pani nie porzuciła Krwawnika na zawsze.

– Co masz na myśli? – zapytała Clavally, ciekawość przemogła w niej postanowienie milczenia.

– Nowa królowa podaje się za sybillę.

Clavally rozszerzyła oczy i dotknęła wiszącej na piersi koniczynki.

– Czy to nie jest dobra...

– Ale – ciągnęła bezlitośnie Capella Goodventure – jest biała jak śnieg; wygląda zupełnie tak samo jak stara królowa, Arienrhod. – Jej głos ociekał kwasem. – Zaniechała właściwych obrzędów Zmiany; wygłosiła bluźnierstwa o woli Pani. Postanowiła zamieszkać w pałacu Królowej Śniegu – posunęła się nawet do tego, że mnie odesłała, gdy usiłowałam jej wytłumaczyć, jak bardzo nam zaszkodzi swoją samowolą.

Aha – pomyślała Clavally.

– Zimacy szepczą, że jest nielegalnym klonem starej Królowej, nienaturalną kopią samej siebie, wytworzoną przez pozaziemców na naszą zgubę – mówiła dalej Capella Goodventure. – Nie może być Letniaczką, choć utrzymuje, że pochodzi z klanu Dawntreaderów.

– Dawntreaderów? – zapytała zaskoczona Clavally. – Pięć lat temu poznałam sybillę z tego klanu. Miała na imię Moon...

Tym razem zaskoczona została przywódczyni rodu.

– Czy to ona jest nową Królową? – zapytała z niedowierzaniem Clavally. Odczytała odpowiedź w oczach swej rozmówczyni.

– Znasz ją? – domagała się odpowiedzi Capella Goodventure. – Jak wygląda?

– Powinna być młoda i bardzo jasna – włosy miała niemal białe, a oczy dziwnej, zmiennej barwy, niby dymne agaty... – Z wyrazu twarzy starszej klanu odczytała ponownie, że opisała nową Królową.

– Jest sybillą – dodał nagle Danaquil Lu. – Sami ją wyszkoliliśmy. I jest Letniaczką. Wiedziałbym, gdyby było inaczej.

Capella Goodventure spojrzała na niego spod zmrużonych powiek; odwzajemnił to spojrzenie, aż to ona w końcu odwróciła wzrok.

– Nie jest właściwa – powiedziała wreszcie, patrząc znowu na Clavally. – Powiem wam to, co mówię wszystkim innym sybillom – ja muszę wrócić do miasta, ale nie wy. Nie jedźcie do Krwawnika. – Odwróciła się i odeszła, rozszczepiając gniewem tłum, niby okręt fale.

Clavally spojrzała na Danaquila Lu, natrafiając na jego wzrok.

– Być może jedyną niewłaściwą rzeczą w nowej Królowej jest brak przynależności do klanu Goodventure – mruknęła.

Danaquil Lu skrzywił usta w przelotnym ironicznym uśmiechu.

– Co naprawdę myślisz? – zapytał.

Odegnęła wątpliwość niby brzęczącą przy uchu muchę i poczuła, jak znowu krzywi twarz.

– Pamiętam dziewczynę imieniem Moon Dawntreader. Była inna... było w niej coś... ale zawsze wyczuwałam w tym dobro. Myślę, Dana, że chcę osobiście poznać prawdę.

Przytaknął ze ściągniętą twarzą.

– Chcesz wyruszyć do Krwawnika.

Powoli kiwnęła głową.

– A co ty myślisz? Co czujesz?... Co chcesz zrobić?

Znowu spojrzał w morze, mrużąc oczy osłepione blaskiem fal, zwrócił oczy na północ. Ujrzała

go przełykającego, jakby coś u – tknęło mu w gardle. W końcu powiedział:
– Chcę pojechać do domu.

ONDINEE: Razuma

– Stój. Kim jesteś?

Na widok broni w dłoniach otaczających go mężczyzn o zimnych oczach wypytywany zatrzymał się w mrocznym korytarzu.

– Kowalem. – Przychodząc w takich sprawach, przedstawiał się jedynie tym imieniem. Ukazywał wówczas otwarcie noszony zwykle pod koszulą wisiorzek ze srebrzystego metalu. Dzięki tajemniczemu wizerunkowi gwiazdy i kompasu, oznaczającemu różne rzeczy dla różnych ludzi, mógł bez zatrzymywania przekraczać śmiertelne dla innych przeszkody. Gwiazdą w tym szczególnym wisiorze była solia, rzadki i tajemniczy, cenniejszy od diamentu klejnot, rodzący się w sercach umierających gwiazd, który według niektórych mistyków krył w sobie moce oświecenia. W takiej oprawie oznaczał to i znacznie więcej. – Wezwał mnie Najwyższy Kapłan.

Otaczający Kowala ludzie nosili mundury Policji Kościelnej z krwistoczerwonymi naszywkami gwardii przybocznej Najwyższego Kapłana. Z powątpiewaniem przyglądali się jego twarzy i młodości; bacznie wpatrywali się w oznakę. Lekko opuścili broń. Zamiast używanych przez większość policji ogłuszaczy posługiwali się karabinami plazmowymi, znacznie tańszymi i o wiele bardziej humanitarnymi. Czerwone naszywki Najwyższego Kapłana oznaczały Grozę, a nazwa ta nie była jedynie pustym dźwiękiem.

– Chodź z nami – powiedział wreszcie jeden z gwardzistów i kiwnął głową. – Czeka na ciebie.

Kowal ruszył za nimi ciemnym, pełnym ech korytarzem, zszedł po wyciętych w skale schodach. Stopnie były aż wklęsłe od bezlitosnych kroków stóp w ciężkich butach idących w górę i dół oraz od zmierzających jedynie w dół nóg niezliczonych ofiar Inkwizycji. Po dotarciu na dół usłyszeli dobiegające skądś czyjeś krzyki. Prowadzony zmylił krok, ściągając na siebie badawcze spojrzenia gwardzistów. Niewierny, szeptały ich oczy. Przestępca. Pozaziemski śmieć.

Stał nieugięty, pozwalając im zagłębiać się wzrokiem w jego oczy, sprawdzać, co tam na nich czeka.

– Idziemy – szepnął. Gwardziści odwrócili spojrzenia i ruszyli w głąb wnętrza inkwizycji.

Mijali liczne zamknięte drzwi, słyszeli nowe krzyki, jęki i modlitwy w niejednym języku. Prażący upał ulic przeszedł w chorobliwą gorączkę. Prowadzony poczuł, że się poci, nie tylko od cuchnącego żaru. Jeden ze strażników otworzył drzwi i Kowal nie mógł już zignorować głosów, których do tej pory starał się nie słyszeć. Gwardziści poprowadzili go przez izbę.

Nie patrzył na boki, wbijając wzrok w plecy idącego przed nim mężczyzny, ale kącikiem oka dostrzegł wiszące na łańcuchach nagie, krwawiące ciało, rozgniewanego za przerwanie tortur inkwizytora, szeroki zakres narzędzi męczarni, od prymitywnych po najbardziej wyrafinowane. W tym interesie nic nigdy nie staje się przestarzałe. Smród był wszechobecny, podobnie gorąco i dźwięki... W głowie czuł zamęt, kręciło mu się przed oczyma; zaklął pod nosem i biorąc się w garść, zmusił się do medytacji. Dotarł do końca izby.

Za następnymi drzwiami ciągnął się nowy korytarz zakończony kolejną izbą: tym razem było to laboratorium. Powietrze stało się nagle zaskakująco chłodne. Zrozumiał, że to tu muszą się mieścić rządowe urządzenia badawcze, o których dobiegały go słuchy. Nic dziwnego, że tajemnica ich położenia jest tak dobrze strzeżona. Wciągnął głęboko powietrze, wypuścił je na widok nadchodzącego z powitaniem Irduza, Najwyższego Kapłana Zachodniego Kontynentu. Irduz zjawił się osobiście, sprawa jest więc poważniejsza, niż się spodziewał.

– Chwała Shibahowi, żeś przybył tak szybko...

Kowal zniósł dotknięcie dłoni Irduza. Najwyższy Kapłan musiał złożyć w ofiarnej misie własne

wnętrznosci, skoro wita niewiernego jak przyjaciela.

– O co chodzi? – zapytał szorstko przybyły. Irduz cofnął się o krok.

– O to – powiedział, wskazując ręką. Za nim stało kilku mężczyzn w strojach laboratoryjnych, nie wszyscy byli Ondyńczykami. – Nasi badacze próbowali procesu replikowania. Coś im nie wyszło.

Uczeni rozstąpili się przed idącym Kowalem, dopuszczając go za swoje plecy. Zatrzymał się i przypatrzył. Za elektromagnetyczną zaporą tarczy bezpieczeństwa zobaczył pojemnik z kipiącą masą błyszczącego, mglistego materiału. Kowal spojrzął na odczyt na ścianie akurat w chwili, gdy kolejny podukład osiągnął stan krytyczny, a nowy wskaźnik zabłysnął czerwienią w rozszerzającej się epidemii kryzysu.

– Co u diabła...? – mruknął. Odwrócił się do grupy badaczy. – Co to jest?

Naukowcy popatrzyli po sobie, rzucając ukradkowe spojrzenia Najwyższemu Kapłanowi.

– Usiłowaliśmy otrzymać proces replikacji, który przebudowałby węgiel w diament, potrzebny jako surowiec... – Kowal wybuchnął sardonicznym śmiechem. – Na Odpłatę! – Spojrzął na Irduza, spostrzegł, że ledwo powstrzymywany niepokój Najwyższego Kapłana pod wpływem tego bluźnierstwa, kpiny przeszedł w ledwo powstrzymywany gniew. – Może Shibah i Uświęcony Calavre nie zgadzają się na wasze nienaturalne metody.

– Nasze plany nowej świątyni wymagają znacznych ilości materiału, który byłby jednocześnie przezroczysty i wyjątkowo silny. Diamentowa okładzina nie wystarczy. Święte Świętych wie, że wszystko, co tu czynimy, służy większemu wywyższeniu Imienia – warknął Irduz. Jego ciężkie szaty zazgrzytały niby stalowe blachy.

Kowal zerknął na drzwi, którymi tu wszedł, wspomniał, co leży za nimi. Uśmiechnął się gorzko.

– Czemu po prostu się stąd nie wyniesiecie i nie rzucicie jądrówki na to miejsce? To rozwiązałyby wasz problem.

– Takie rozwiązanie jest nie do przyjęcia – powiedział skrzywiony Irduz.

– Nie uważacie go za oczywiste? – Kowal pokręcił głową i powrócił wzrokiem do wskaźników. Próbowali tu zbudować prymitywny replikator, w porównaniu ze sprytmaterią Starego Imperium mający równie ograniczone możliwości, co ameba wobec człowieka. Potrzebują czegoś, co bezmyślnie przebudowałoby budowę molekularną węgla, zmieniając go w diament. Usiłowali stworzyć imitację życia i niezbyt się to im udało.

Zamiast armii mechanicznych niewolników wielkości komórek, mających bez końca replikować molekularny wzorzec diamentu, otrzymali armię bezrozumnych automatów potrafiących jedynie odtwarzać siebie. Aby się ich pozbyć, trzeba czegoś znacznie bardziej wyrafinowanego i groźnego aniżeli dawka środka odkażającego. Zgodnie z projektem replikatory włączały diament i inne materiały w swą analogiczną do bakterii budowę, stając się przez to silniejsze, znacznie czynniejsze i o wiele bardziej odporne na atak niż każdy organizm naturalny.

W milczeniu przypatrywał się wskaźnikom, znalezienie najważniejszej z błędnych sekwencji programu wywołało w nim wzrost zdumienia i wstrętu. Zerknął ponownie na monitory ukazujące stan układu, jedno spojrzenie potwierdziło jego najgorsze oczekiwania.

– To przegryza się przez tarczę. – Odwrócił się plecami. – Karmi się produkowaną przez siebie energią. Za jakieś pół godziny załamie się cały system. Moje gratulacje, panowie. Uzyskaliście uniwersalny rozpuszczalnik.

Wyraz twarzy badaczy przeszedł w równie krytyczny, co wyświetlane w tyle dane. Kowal zrozumiał, że cały czas to podejrzewali, ale nie ośmielali się nawet wymienić tego słowa, liczyli wbrew wszelkiej nadziei, że zdarzy się tu cud i wszyscy się omylą...

– Uniwersalny rozpuszczalnik? – Irduz cofnął się o krok, przyciskając hebanową dłoń do skrzącego się klejnotami ryngrafu. – To niemożliwe. – Bał się wyrwania na wolność najgroźniejszego demona Starego Imperium. – Wchłania wszystko, z czym się styka. Wszystko. Nic go nie utrzyma. Nic nie powstrzyma. To koniec świata... – Indygowe oczy wypełnione śmiercią spojrzwały na skamieniałych ze zgrozy naukowców. – Na Święte...

Niecierpliwym gestem Kowal przerwał jego słowa.

– Powiedźcie – zwrócił się obojętnie do grona badaczy – dlaczego tego nie zatrzymaliście?

– Nie mogliśmy... – ktoś zaprotestował.

– Jak to? – zapytał gniewnie Kowal. – Znacie się na ty m. Każdy specjalista od bakteriologii i analogów mógł to zabić. Macie tu urządzenia do przetwarzania i przypuszczalnie co najmniej tyle odczynników chemicznych, co przeciętny handlarz narkotyków. Tak czy nie?

– Tak, ale...

– Ale co, na miłość bogów? – Chwycił badacza i szarpnął nim do przodu. – Na co, do cholery, czekaliście?

– Ale – ale – nie mogliśmy się tam dostać. – Naukowiec wskazał na masę rojącą się za przezroczystą ścianą.

– Co takiego? – szepnął Kowal.

– Nie mogliśmy się do tego dostać. – Badacz otarł spoconą twarz. – Przy ustawionej tarczy bezpieczeństwa nie ma żadnego dostępu do tego, co jest wewnątrz, a po usunięciu osłony rozpuszczalnik wydostałby się na...

Kowal roześmiał się z niedowierzaniem.

– Chyba nie mówi pan tego poważnie. – Spojrzał na twarze naukowców, a potem znowu na wskaźniki tarczy. – W imię wszystkich bogów, jak mogliście zbudować system pozbawiony awaryjnego dojścia? – Och, wy żalosni głupcy. – Zacisnął dłonie.

– Czy nic nie można zrobić? – zapytał ktoś głosem patetycznie wysokim. – Musi być jakieś wyjście. Jest pan specjalistą!

– Naprawdę nie wiem. Tak dobrze to zrobiliście – odpowiedział miękko, grzebiąc nożem w ranie, niemal rozkoszując się widokiem otaczających go twarzy.

– A jeśli się panu nie uda? – wtrącił się szybko Irduz. – Co się stanie z naszym światem?

Kowal zerknął na dane pokazywane na ekranach za jego plecami. – Może być jeszcze gorzej. – Wzruszył ramionami.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– O czym pan mówi? – zapytał gwałtownie Irduz.

– Nazwa "uniwersalny rozpuszczalnik" jest tak naprawdę niewłaściwa. Tym mianem można określić wiele różnych związków biotechnicznych. Ich właściwości różnią się zależnie od składu. Gdyby to wymknęło się z pojemnika, mało co przetrwałoby...

– Co na przykład? – zapytał Irduz. – Co?

Kowal spojrzął na swe stopy i potarł twarz, usuwając wraz z potem wszelkie ślady sardonicznego uśmiechu. W końcu znowu podniósł oczy. – Druty tytanowe w niektórych waszych pomnikach.

– Co jeszcze?

Ponownie wzruszył ramionami. – Potrafię sobie wyobrazić wiele rzeczy, które by zachowały swą postać... ale żadna z nich pana nie zainteresuje, jeśli nie liczyć diamentów. Całkowicie uszczelnione statki o tytanowych kadłubach zdołają może oderwać się od portu gwiazdowego... Na pierwszy ogień pójdą jednak formy życia opartego na węglu; replikanty na pewno potrzebują tego

pierwiastka do tworzenia diamentów. Wszyscy staniemy się tymi klejnotami, a właściwie włókienkami diamentowego szronu na powierzchni stawu; ludzkie ciało składa się głównie z wody, niepotrzebnej temu. – Spojrzał na lśniącą mgiełkę przeznaczenia. – To rozejdzie się jak zaraza... Rozpuszczalnik nie wszystko zniszczy tak szybko jak tkanki ciała człowieka; na pokonanie niektórych rzeczy potrzebować będzie tygodni. Miną pewnie miesiące, nim przekształci całą planetę...

– Przerwij to! – Powiedział Irduz i Kowal dopiero po chwili zrozumiał, że chodzi mu o rozpuszczalnik. – Niech pan to przerwie, a dostanie pan wszystko, czego zapragnie...

Kowal skrzywił usta.

– To nie takie proste. Być może udaje się panu przekupywać swych bogów i kapłanów, ale ze mną to nie przejdzie. – Wskazał na rozpadające się pola, pozwolił opaść ręce. – Pewnie zdołam to powstrzymać... – mruknął w końcu, z niechęcią patrząc na przerażone twarze. – Osobiście wolałbym wcześniej zobaczyć was wszystkich w piekle, a siebie w najbliższym odlatującym stąd statku, jednakże nasi wspólni przyjaciele pragną, by pana tyłek, Irduz, zasiadał jeszcze trochę na Najwyższym Miejscu. – Dotknął wisiora na koszuli. – Przy następnych modlitwach będziecie wiedzieć, komu macie dziękować. Jeśli jednak ocalę wasz świat, to zechcę ujrzeć, jak ci niedouczeni bałwani trafiają do własnych urzędów. – Wskazał głową na drzwi do piekła.

– To nie była nasza wina! – powiedział stojący obok badacz. – Fakt był w Przekazie! Cały czas kontaktowaliśmy się z siecią sybilli, dokładnie przestrzegaliśmy wszystkich etapów procesu! W naszym programie nie było błędów, przysięgam!

Kowal obrócił się gwałtownie.

– Uzyskaliście te dane poprzez Przekaz sybilli? Nie wierzę. To niemożliwe.

Wystąpił inny człowiek, noszący koniczynkę sybilli.

– Przez cały proces byłem w Przekazie – powiedział. – Z naszej strony nie było błędu. Wszystko czyniliśmy dokładnie. Pomyliła się sieć sybilli. To źle. To źle... – Mówiący ucichł powoli. Kowal dojrzał strach w jego oczach – nie przed karą Kościoła ani nawet, w tej chwili, przed końcem świata – lecz lęk człowieka, który doznał głębokiego wstrząsu swej wiary w coś pewniejszego, aniżeli wszelcy bogowie.

– To niemożliwe – stwierdził Irduz.

– Nie – mruknął Kowal. – To może być prawdą. – Może dlatego tu jestem. – Pokręcił głową, oszałamiające obrazy rzeczywistego koszmaru nagle wypełniły mu głowę, przesyciły go niepojętą trwogą. Gorączkowo wciągnął powietrze. Dlaczego?

– Myśli pan, że coś się stało z całą siecią sybilli? – zapytał stanowczo Irduz. – Jak mogło dojść do czegoś takiego?

– Zamilcz – nakazał Kowal – dajcie mi pracować, chyba że chcecie jako pierwsi przekonać się, co się czuje, gdy ciało pęka i się kurczy, a cała woda wycieka z krystalizującego organizmu...

– Ośmieliłeś się odezwać do mnie jak do...

Spojrzał na niego. Irduz zacisnął wąskie wargi i Kowal odwrócił od niego wzrok.

Zaczął wydawać polecenia systemowi sterowania, cofając się do błędnych danych sybilli. Analizy dokonywał częściowo w maszynie, częściowo w głowie. Czystość rozważań uspokoiła go, wypełniła, pozwalając zapomnieć o ludzkich lękach. Replikatory były w zasadzie analogami bakterii, zbudowanymi na zasadzie mocy. Można je było powstrzymać podaniem odpowiedniego analogu trucizny. Gdy tylko dostatecznie pozna ich budowę, będzie wiedział, czym można je zniszczyć. Ale potrzebuje także ciepła – mnóstwa ciepła dla rozerwania w diamentach wiązań węgiel – węgiel, czyniących replikatory odpornymi na każdy niemal atak. A potem musi jakoś znaleźć sposób zadania ciosu...

Przeszedł do drugiego zestawu procesorów, klnąc pod nosem na niewiarygodnie błędny projekt laboratorium. Przekształcił wyniki i wprowadził dalsze dane, jego mrużane polecenia rozbrzmiewały głośno w nagłym, całkowitym milczeniu, wypełniającym zamknięte pomieszczenie.

– Potrzebuję dostępu do spisu waszych składników trucizn. – Pokazał na wskaźniki.

Wystąpił jeden z badaczy i szybko przesunawszy rękoma po płytce dotykowej, cofnął się na poprzednie miejsce.

– Wolne dojście.

Po uzyskaniu dostępu Kowal wrócił do pracy, szukając najszybszego sposobu odlania srebrnej kuli przy wykorzystaniu osiągalnego, prostego zestawu analogów trucizn. Rozwiązanie tego problemu było boleśnie oczywiste, ale musiało być dokonane szybko, dokładnie i za pierwszym razem... Wyłączył się teraz na wszystko, poza zachwytem nad własnymi działaniami – to ekstatyczne uniesienie bliższe było modlitwie, bardziej aniżeli mógł się domyślać ktokolwiek z tego pokoju.

Po zaprojektowaniu prototypowej trucizny ustawił proces, który wytworzy duże jej ilości w postaci aerozolu i podgrzeje do trzech lub czterech tysięcy stopni. Oceniał, że połowa tego ciepła, w połączeniu z trucizną, wystarczy do przetworzenia kipiącej masy szlamu replikanta w nieszkodliwy, całkowicie bezużyteczny żużel. Spowoduje także zniszczenie wszystkich urządzeń. Ich likwidacja nie była całkowicie konieczna, ale mając do czynienia z końcem świata, lepiej jest przedobrzyć w zabezpieczeniach, niż czegoś pożałować. A ponadto pragnął to uczynić.

– W porządku... – powiedział do milczących świadków. – Wyłączcie tarcze bezpieczeństwa.

– Co...? – zdumiał się któryś.

– Wyłączcie! – warknął. – Muszę dostarczyć tam mieszankę, jeśli mam zatrzymać to wszystko, a nie ma innego sposobu.

– Jeśli jednak rozpuszczalnik ucieknie...

– Odcięcie pól go zwolni, bo karmi się ich energią – wyjaśnił z taką cierpliwością, jakby mówił do kogoś z uszkodzonym mózgiem. – To powinno dać mojemu środkowi dość czasu na działanie. To wasza jedyna szansa... Cholerni głupcy, zostało wam tylko pięć minut, nim masa replikanta i tak przełamie zapory. A wtedy nic jej nie zatrzyma. Wyłączcie to cholerne pole! – Wrócił na swoje miejsce przed wskaźnikami systemu, nie odrywając oczu od patrzących na Irduza badaczy. Najwyższy Kapłan powoli kiwnął głową i ktoś wydał konieczne polecenie.

Kowal wpatrywał się w dane na ekranach. Ledwo oddychając, wyliczał czas własnych działań, porę umieszczenia przegrzanego gazu dokładnie w tej chwili, kiedy opadną tarcze.

Jakieś wydarzenie przed ochronnym oknem – ścianą sali obserwacyjnej uderzyło go w oczy oślepiającym bólem; zamknął je, gdy pozornie niezniszczalny materiał szyby, pokoju i całego budynku wydał dźwięki niespodziewane dla wszystkich obecnych. Kowal poczuł, że niby pocałunek słońca dochodzi go nawet tutaj niemożliwy żar. Stał bez ruchu, aż wraz z wygaszeniem reakcji minęło to odczucie. Otworzył oczy. Przezroczyście poprzednio okno przesłaniał teraz opar metalicznego, srebrzystoszarego blasku. Niczego za nim nie dostrzegął.

Spojrzał na wskaźniki, z ulgą dostrzegł na nich nowy, całkowicie odmienny układ ostrzeżeń przed katastrofą, dostarczający odpowiedzi, których potrzebował. Dane pochodzące z czarnej skrzynki znajdującej się w środku niewidocznej teraz komory powiedziały mu, że dopiął swego celu. Masa replikanta została powstrzymana. Wyczerpany, odwrócił się znowu do badaczy.

Po ich oczach poznał, że wszyscy – nawet Irduz – wiedzą o jego sukcesie. Są bezpieczni, mówiły ich ospałe twarze. Jakby ktokolwiek kiedykolwiek mógł czuć się bezpiecznie.

– Nie bał się pan – mruknął jeden z mężczyzn, jakby to było najbardziej niepojęte. – Jak mógł się pan nie bać?

Kowal spojrział na Irduza.

– Nie boję się rzeczy, które rozumiem – odpowiedział cierpko. – Wyłącznie takich, których nie pojmuję.

Irduz również spojrział na niego, niczego nie rozumiejąc.

– A więc już po wszystkim? Wszystko w porządku? Rozpuszczalnik został całkowicie zniszczony?

Kowal kiwnął głową.

– Jest pan całkowicie pewien?

– Całkowicie – Kowal pozwolił sobie na skrzywienie ust. – Choć na pana miejscu – dodał łagodnie – zachowałbym pod ręką parę butelek mego piwka, tak na wszelki wypadek.

– Uważa więc pan, że to zadziała? – zapytał któryś z pozostałych na w pół z oporem, na w pół z zachwytem.

– Szansę na powodzenie wynoszą dziewięćdziesiąt osiem procent – jeśli ktoś się nie wpierniczy – powiedział Kowal z nie oszczędzającym nikogo uśmiechem. – Życzę miłego dnia... I na miłość bogów, rozbudowując to miejsce, wynajmijcie Kharemoughi, a wszystko zrobią porządnie. – Podszedł do Najwyższego Kapłana. – Wychodzę – powiedział. – Tylnymi drzwiami; nie zamierzam iść tamtędy. Za panem... – skinął ręką, wiedząc, że do tej ukrytej budowli muszą prowadzić inne drogi, i zmuszając Irduza, by je zdradził.

Krzywiąc się, lecz nie ważąc się sprzeciwić, Irduz kiwnął głową. Poprowadził do wyjścia.

Kowal opuścił kościelne więzienie główną bramą, żegnany czczymi błogosławieństwami Najwyższego Kapłana i wieloma nie skrywającymi zdumienia oczami. Schodząc szerokimi stopniami, schował pod ubranie wisiołek z solią. Ruszył przez rozległy plac, po raz pierwszy od wielu godzin oddychał głęboko, mijając ruchliwe grupy handlujących tłumów. Suche, czyste, pachnące korzeniami powietrze odświeżyło mu płuca, lecz nawet wypalający wszystko żar słońca nie był w stanie przegnać migających obrazów katastrofy, znacznie bardziej rozległej i głębszej niż ta, którą właśnie odwrócił. Sieć sybilli popełniła błąd. Coś się z nią stało. Ta przerażająca świadomość prześladowała jego niespokojny umysł, jakby była w tym jego wina, jego odpowiedzialność...

– Panie, przepowiedzieć ci los? Zdradzić przeznaczenie za ledwo jeden sisk? – Podczas przechodzenia przez kolejną sklepioną galerię jakaś dłoń złapała go za ramię.

Stał, czując przesuwającą się ciemną dłoń, spojrział w głębokie, granatowofiołkowe oczy wpatrującej się w niego kobiety.

– Co? – zapytał.

– Twa przyszłość, obcy panie, tylko za sisk. Czuję, że z pana szczęściarz...

Jak i ona, obejrzał się za siebie. Wyszedł cało zza bramy więzienia śledczego, krocąc na własnych nogach. Szczęściarz. Miał już odmówić, z cynizmem dorównującym jej cynizmowi, gdy zauważył na kolanach kobiety okrągłą tabliczkę tan. Większość wróżbiarzy używała pałeczek albo po prostu czytała z dłoni. Cierpliwie wyryte na wypolerowanej powierzchni tabliczki zawile, geometryczne wzory symbolizowały wiele rzeczy, podobnie jak jego ukryty wisiołek: ruchy w grze starszej pewnie niż czas; tajemne ruchy Wielkiej Gry, w której skrycie uczestniczył. Nigdy nie widział, by tabliczki tan używano do wróżenia.

– Jasne – mruknął z gorzkim uśmiechem. – Powiedz mi moją przyszłość.

Usiadł naprzeciwko kobiety na skrytych w cieniu poduszkach, bodła go nieoczekiwana ciekawość. Pochylony do przodu przyglądał się bacznie rzucanym na tabliczkę tan gładkim pionkom. Toczyły się, zderzały, odbijały od brzegu w przypadkowych, losowych ruchach, aż wreszcie nieruchomiały w wyglądających na równie przypadkowe układach.

Przyjrzała się im i wciągnęła z sykiem powietrze. Jej czarne ni – by noc dłonie przykryły tabliczkę rozstawionymi palcami, jakby zasłaniając ją przed wzrokiem Kowala. Znowu na niego spojrzała, tym razem z niezrozumieniem i lękiem.

– Śmierć... – mruknęła, wpatrując się tak mocno w jego oczy, jakby ujrzała tam sam czas.

Niemal się roześmiał. Wszyscy umrą...

– Śmierć od wody.

Zamarł, czując, jak z twarzy odpływa mu krew. Niepewnie wstał i zachwiał się przez chwilę, oszołomiony niewiarą. Sięgnął do kieszeni i wrzucił monetę na tabliczkę kobiety, nie patrząc nawet, co jej daje, ani o to nie dbając. Odwrócił się bez słowa i zniknął w tłumie.

TIAMAT: Krwawnik

Bogowie, co tu robię? Jerusha PalaThion pochylila głowę, przyciskając palce do oczu. Znowu opanowało ją wrażenie, że jest uwięziona w śnie kogoś innego, zaś widziana przez nią scena nagle stała się nierzeczywista. Gdy minęło oszołomienie, uniosła głowę i otworzyła oczy. Tak, naprawdę tu jest, stoi w Sali Wiatrów, czeka na Królową Lata, spogląda na tłumy oczekujące wraz z nią.

Ciągle jednak wydawało się jej, że słyszy spływającą z bardzo wysoka pieśń bogini, czuje mrozący krew w żyłach żywy oddech Matki Morza. Ponadczasowa izba była Jej tchnieniem; łkający zaśpiew wiatru przynosił Jej głos do Jerushy i małej grupki wiernych z czcią i grozą czekających u skraju Otchłani na przyjęcie przez Królową.

Na dnie Otchłani, trzysta metrów niżej, czekało samo Morze. Przyprawiającą o zawroty głowy przepaść przecinało jedno kruche przeszło mostu, prowadząc po drugiej stronie do pałacu. Wysoko nad nim nigdy nie spoczywający wiatr wydymał i wypełniał pajęczę zasłony tworzące zdradzieckie prądy powietrzne, które z przerażającą łatwością mogą każdego zdmuchnąć z mostu. Pani daje, powiadają, i Pani zabiera.

– Pani.

– Pani...

Przyciszone głosy mruczały imię Królowej Lata, która nagle pojawiła się na odległym, drugim końcu przepaści. Jerusha odetchnęła głęboko i przechyliła głowę na bok, skupiając wzrok na Królowej, Wcielonej Bogini, ostrożnie wchodzącej na most. Patrzyła, jak zbliża się powoli, władczo, otoczona niby lśniąca chmurą mlecznie białymi włosami, falującymi jak trawa czy morze szatami barwy letniej zieleni. Królowa nosiła koronę z kwiatów i ptasich skrzydeł, skrzącą się od światła rzucanych przez klejnoty, a także koniczynkę sybilli. Pani.

Do licha! Jerusha pokręciła głową: otrząsnęła się z myśli, zaprzeczyła im. Znowu spojrzała na Królową, tym razem widząc wyraźnie nie wcieloną boginię, lecz osiemnastoletnią dziewczynę imieniem Moon. Na jej twarzy wyryte było napięcie i znużenie, ciało poruszało się powoli i niezgrabnie, przytłoczone niespodziewaną ciążą, dobiegającą już do końca, trudną do ukrycia nawet pod powiewającymi szatami. Dla niej nie była tajemnicą, nie bardziej niż to, że w sali nie ma żadnego bóstwa.

Oczy Jerushy przypominały jej uparcie, że Królowa nosi twarz innej kobiety; pamięć mówiła, że Moon Dawntreader dzierży w myślach i sercu obce ambicje. Nie potrafiła oderwać od niej wzroku, nie zastanawiać nad dziwnymi ruchami losu, którego tan złapał je obie...

Słuchała następujących po sobie wysokich, piskliwych nut, które wypełniły izbę, gdy Królowa dotknęła trzymanego w dłoni puzdra tonów; dźwięki sterowały ruchami wiszących bardzo wysoko przegród wiatru, tworzyły w ten sposób sferę spokojnego powietrza, którą mogła się przesuwać wraz z trzema innymi towarzyszącymi jej osobami. Puzdro tonów było wytworem Starego Imperium, podobnie jak Sala, Otchłani, wznoszący się nad nią pałac i starożytne węzowate miasto, którego był zwieńczeniem. Jedynym naprawdę obecnym tu bogiem była technika, Królowa wiedziała o tym równie dobrze jak i Jerusha. Przybyła tu dzisiaj, by do tej prawdy przekonać najważniejszych przedstawicieli jej ludu, jeśli to tylko możliwe.

Jerusha poczuła nagle współczucie dla kruchej postaci zbliżającej się ku niej mostem. Moon Dawntreader sprzeciwiła się pozaziemskiej władzy, której przedstawicielką była PalaThion, została nową Królową. Jerusha uwierzyła w słuszność jej prawdy, uwierzyła w nią i zamiast deportować dziewczynę, pozwoliła jej objąć tron. Na koniec zrezygnowała nawet ze swego stanowiska Komendanta Policji, przestała służyć Hegemonii, która jej i temu światu przyniosła jedynie smutek.

Podczas Ostatecznego Odejścia wybrała pozostanie na Tiamat i pracę dla nowej Królowej.

Jednakże odlatujący stąd podczas Zmiany pozaziemcy czynili to na zawsze, przynajmniej było tak dla Jerushy PalaThion. Nie dożyje ich powrotu; sama skazała się na wygnanie i choćby nawet się rozmyśliła, to już tego nie zmieni. A czy się rozmyśliła? – skrzywiła twarz. Potarła ramiona, czując na skórze drapiący, szorstki samodział ubrania. Bogowie, ostatnio cały czas jest taka zmęczona... Zastanowiła się, czy zachorowała, czy po prostu przeżywa depresję. Ubierała się jak Tiamatanka, choć nadal łatwo było o stroje pozaziemców; usiłowała w ten sposób dokonać niemożliwego, wtopić się w tłum, choć ciemne kręcone włosy, skośne oczy i skóra barwy cynamonu od razu zdradzały obce pochodzenie. Na tej planecie nigdy w czasie swej służby nie czuła się dobrze. Tego pradawnego, stęchłego, tajemniczego miasta nienawidziła z równą siłą, co poprzedniej Królowej. Ale w końcu... w końcu wymusiło na niej swą wolę. W końcu okazało się mniejszym złem.

Ktoś dotknął jej ramienia. Zaskoczona, wytrącona z rozmyślań, uniosła rękę w obronnym geście wpojonym w jej odruchy przez policyjne szkolenie. Powstrzymała się zasmucona, poznając, że dotknął jej mąż. – Miroe – szepnęła, czując mijające w niej napięcie.

Niemal się roześmiał. – A kogoś się spodziewała?

Przyglądała mu się dłuższą chwilę. Jego pozaziemska twarz była tu równie nie na miejscu, co i jej. A jednak był stąd, mieszka na Tiamat od urodzenia. Można się nauczyć kochać nowy świat... W odpowiedzi pokręciła tylko głową i wzięwszy go za rękę, spojrzała na Królową. – Jak się czuje? – zapytała, patrząc na wypukły brzuch władczyni. Miroe przeszedł pozaziemskie szkolenie medyczne i Moon wybrała go na swego lekarza, ufając mu bardziej niż wszystkim miejscowym doktorom czy uzdrowiaczom, tak samo jak zdecydowała, że to Jerusha będzie strzec jej pleców.

– Chyba wyczułem dzisiaj dwa bijące serca. Myślę, że urodzi bliźnięta.

– Bogowie – mruknęła Jerusha. Przeszła z nogi na nogę, zastanawiając się, czemu jej stopy i dłonie tak łatwo ostatnio zapadają w sen.

Przytaknął z ciężkim westchnieniem. – Nie powinna była do tego dopuścić. Mówiłem jej, że – że powinna zapobiec temu, pozwolić traktować się przez Letniaków jak bogini. Wszyscy się tego po niej spodziewają... lub pragną, by tak było.

Jerusha spojrzała na męża z niespodziewanym rozdrażnieniem.

– Nie chce być marionetką, Miroe. Chce być królową. Tylko dlatego, że to kobiety zachodzą w ciążę... – Nagła myśl wypełniła jej głowę niby dziwny aromat: Czy jestem w ciąży?

Spojrzał na nią z grymasem.

– Psiakrew, wiesz, że nie to miałem na myśli.

Opuściła wzrok. Czy jestem...? Czuła zalewające ją jak deszcz zdumienie.

– Po prostu prze zbyt mocno. Chce wszystko zmienić od razu. Powinna poczekać, aż urodzi. To wszystko. – Grymas nie opuszczał jego twarzy, choć wyrażał teraz troskę, a nie zdenerwowanie. – Ciąża bliźniacza jest dużo trudniejsza, sama wiesz.

Jerusha zmusiła się do skupienia na jego słowach, do niezdradzania się z tym, co teraz czuła, myślała, wyobrażała sobie. Nie jest pewna, nie ma powodu, by o tym mówić. Znowu spojrzała na Moon, na krągłą linię jej brzucha.

– Gdyby zaczęła tak długo, Letniacy zadusiliby ją swą "ciążą" – powiedziała z goryczą. Klan Goodventure, z którego podczas poprzedniego cyklu wywodziły się Królowe Lata, zasmakował w rządzeniu, tęsknił za nim poprzez sto pięćdziesiąt lat trwania na Tiamat niemal wiecznej Zimy. Jego członkowie nadal wierzyli w dawne, konserwatywne i zacofane zwyczaje Letniaków, nadal uważali, iż cieszą się łaską Bogini, większą niż ta przybyła znikąd heretyczka, usiłująca narzucić im nienaturalne, pozaziemskie, popierające technikę obyczaje. – Już teraz naciskając zbyt mocno na

Goodventure, uczyniła z nich wrogów. Ale gdyby tego nie uczyniła, oni by ją przycisnęli. Jest skazana, cokolwiek by nie uczyniła.

– Mażą sobą sieć sybilli...

– Kto wie, co naprawdę od niej słyszy? Miroe, nikt nie rozumie, jak działa, ani połowy z tego, co mówi. – Pokręciła głową. – Kto wie, czy naprawdę słyszy cokolwiek... poza szepeczącym jej do ucha duchem Królowej Śniegu.

Miroe milczał długo. – Słyszy – powiedział wreszcie.

Jerusha odwróciła się, poprawiając pasek wiszącej na ramieniu strzelby na strzałki, czując narastające między nimi oddalenie. Te słowa przypomniały jej, że znajduje się poza łączącą Miroe i Królową tego świata historią i wiarą.

Znowu skupiła się na Moon Dawntreader, bo właśnie rozpoczęła mowę. Mała grupka wyspiarzy, złożona niemal wyłącznie z sybilli, przesunęła się do przodu i schyliła głowy przed witającą ich Królową. Widać było wyraźnie, że lękają się noszonej przez nią koniczynki i całego otoczenia, choć miękki, niepewny głos władczyni z trudem przebijał się przez szum wiatru. Tuż obok Moon stał jej mąż, Sparks Dawntreader, rudowłosy i młody. Spoglądając na tłum, objął ją obronnie ręką.

Z tyłu stała kobieta w średnim wieku z ciemnymi, siwiejącymi włosami splecionymi nad ramieniem w gruby warkocz. Nosiła taką samą koniczynkę jak Królowa i kierowała na ludzi oczy przypominające rozbite szyby, podczas gdy czwarta osoba, prosta, krępa kobieta, szeptała jej coś do ucha – pewnie opisywała scenę.

– Dziękuję wam za przybycie – wymamrotała Moon, nerwowo zaciskając na szacie blade dłonie. Słowa były banalne, lecz wdzięczność płonęła w jej oczach jak hołd złożony stojącym przed nią ludziom. Ich spokój i szacunek zacierały ślady długiej i ciężkiej drogi, którą pokonali, by przybyć na to spotkanie.

– Po... – zawahała się, jakby przypominając sobie słowa, i Jerusha wyczuła w niej przelotne przerażenie. – Po... zostaniu Królową zaprosiłam do Miasta wszystkie sybille, bo... – opuściła wzrok, znowu podniosła i nagle w jej oczach odbiła się bolesna wiedza, zrozumiała jedynie dla obojga pozaziemców. – Bo Pani przemówiła do mnie i ukazała prawdę, którą muszę przekazać wam wszystkim. Morze błogosławi nasz lud Swą hojnością i Swą mądrością, a myśmy zawsze...: zawsze wierzyli, że wypowiada Swą wolę poprzez tych z nas, którzy noszą znak sybilli. – Nieświadomie dotknęła znowu koniczynki. – Teraz jednak nadeszła wreszcie chwila, którą Pani wybrała do zdradzenia nam większej prawdy. – Moon przygryzła wargę, odsunęła kosmyk włosów.

Och, bogowie, pomyślała Jerusha. Powiedziała to. Teraz nie ma już odwrotu.

– Nie jesteśmy jedynymi sybillami – powiedziała Królowa, jej głos zabrzmiał nagle siłą wiary. – Sybille są wszędzie – na wszystkich planetach Hegemonii. Byłam poza naszym światem, widziałam je.

Skupione milczenie słuchaczy załamało się jak fala; załalo ich zaskoczenie.

– Widziałam je! – Uniosła ręce i wszyscy znowu umilkli. – Byłam na innej planecie, zwanej Kharemough, noszą tam ten sam znak, wchodząc w Przekaz, wypowiadają te same słowa, posiadają tę samą wiedzę. Tam także mówią... – spojrzała na męża, obdarzając go krótkim, prywatnym uśmiechem, i przycisnęła dłonie do brzucha – "Śmierć za zabicie sybilli, śmierć za kochanie sybilli, śmierć za bycie sybillą"... Ale wykazali mi też, że nie musi to być prawdą. – Odwróciła się znowu, tym razem dotknęła ramienia niewidomej kobiety, pociągnęła ją do przodu. – Fate Ravenglass jest sybillą, tak samo jak wy i ja. Ale jest także Zimaczką.

– Jak to?... Niemożliwe... – Znowu rozległy się zdumione szepty, Królowa zaczęła, aż

przemianą, przyciskając ręce do wydegniętego brzucha.

– To prawda – powiedziała powoli Fate, gdy umilkły głosy. – "Zapytaj, a odpowiem" – wypowiedziała z uczuciem obrzędowe słowa. – Przez ponad połowę życia skrywałam swą tajemnicę przed pozaiemcami i własnymi ziomkami. Pozaiemcy kłamali nam o prawdziwej naturze tego, co robimy.

– Stanowimy część czegoś znacznie większego, niż możemy marzyć – powiedziała Moon, występując naprzód, pozbyła się już wszelkich wahań. – Część sieci stworzonej przez naszych przodków, zanim jeszcze przybyli oni na tę planetę.

Znajdujące się w tłumie sybille owinięły się mocniej tkanymi w domu ubraniami i kurtkami ze skór klee, każda z wpatrujących się w Królową twarzy wyrażała inne uczucie.

– Ale Pani... – ktoś zaczął i umilkł. – Ale jak Pani może... – Opuścił oczy i niezdolny do dalszego mówienia potrząsnął głową.

– Matka Morza jest nadal z wami, w was, wokół was – odpowiedziała Królowa, zmuszając się do przekonania, którego, jak wiedziała Jerusha, już nie podzielała. Podczas pobytu poza planetą poznała więcej niż jedną prawdę, to nauczyło ją, że żadna prawda nie jest prosta. – Błogosławiła wasze zwyczaje, ponieważ służyliście Jej bezinteresownie, tak jak sybille wszędzie...

– Dość tych błuznierstw!

Wszystkie głowy odwróciły się naraz, gdy tylko z sieni wejściowej dobiegł ów głos.

Jerusha zeszywniała na widok wchodzącej do Sali Wiatrów Capelli Goodventure.

– Jakim cudem się tu dostała? – mruknęła pod nosem. Po ostatniej twardej sprzeczce teologicznej Królowa zakazała wstępu do pałacu wszystkim członkom tego rodu, zwłaszcza starszyźnie. Jerusha poleciła gwardzistom, by tego dopilnowali, ale niektórzy z nich byli Letniakami i tylko bogowie – albo ich Bogini – wiedzą, komu tak naprawdę są lojalni. Ktoś ją przepuścił.

Jerusha wystąpiła krok ze stwardniałą twarzą i zdjęła z ramienia pas strzelby. Miroe złapał ją za rękę i zatrzymał.

– Zaczekaj. – Spojrzał na tłum, któremu ukazała się Capella Goodventure. Jerusha kiwnęła głową i opuściła broń. Szła teraz wolniej, przyglądając się tylko.

– Ta kobieta kłamie, utrzymując, że jest jedną z was! – Starsza klanu Goodventure potrząsnęła gniewnie głową. – Nie jest prawdziwą sybillą, a nawet prawdziwą Letniaczką! Nosi twarz Zimaczki, postępuje jak one. Próbowwała mnie powstrzymać przed powiedzeniem prawdy, ale ją powiem! – Zwróciła się do Królowej. – Nadal odmawiasz mi prawa do zwracania się do innych? A może rozkażesz swoim pozaiemcom, by wywlekli mnie z sali? Bo muszą to zrobić, by...

Jerusha stanęła i spojrzała na Królową.

Ta również popatrzyła na nią, potem na Capellę Goodventure.

– Nie – powiedziała cicho Moon. – Powiedz, co musisz.

Capella Goodventure straciła trochę rezon, szybka kapitulacja Królowej osłabiła jej zdecydowanie. Zaczepnęła głęboko powietrza.

– Wszyscy mnie znacie. Jestem przywódczynią klanu, który dał Latu ostatni ród królowych. Przybyłam, by powiedzieć, że ta kobieta, nazywająca siebie Moon Dawntreader Letniaczką, zgromadziła was, aby zatruć umysły zwątpieniem – w was samych, w miejsce Pani w waszym życiu. Pozbawi nas wiary i tradycji, dzięki którym jesteśmy Letniakami. Chce, byśmy się stali tacy sami jak Zimacy – żalonymi sługusami pozaiemców pogardzających naszymi obyczajami i mordujących święte mery. – Odwróciła się, patrząc bezpośrednio na Moon. – Nie przemawiasz w imieniu Matki Morza! – powiedziała z wściekłością. – Nie jesteś kobietą, którą wybrano Królową. Nie masz prawa nosić na gardle tego znaku.

– To nieprawda – odparła Moon, unosząc brodę, by wszyscy mogli wyraźnie dostrzec wytatuowaną koniczynkę, wiernie oddającą kształty wiszącego na jej piersi, splecionego z haczyków na ryby znaku sybill.

– Każdy może nosić tatuaż – rzuciła z pogardą Capella Goodventure. – Ale mało kto twarz Królowej Zimaków. To nie jest Moon Dawntreader Letniaczką. Jesteś Królową Śniegu, Arienrhod – okpiłaś śmierć i pozaziemców, choć nie wiem jak. Ukradłaś miejsce należne naszej władczyni, a teraz swym brudem odzierasze ze świętości Matkę Nas Wszystkich! – Znowu zwróciła się do tłumu z twarzą gorejącą gniewem, Jerusha nie miała wątpliwości, że prawdziwym.

Z tłumu rozległ się kobiecy głos:

– Znam Moon Dawntreader.

Wpatrująca się w zebranych Capella Goodventure skrzywiła szeroką, pooraną twarz. Królowa wraz z nią przyglądała się przebijającej przez ludzi kobiecie. Jerusha zobaczyła krępa, ciemnowłosa wyspiarke, mającą trzydzieści kilka lat, dostrzegła, jak twarz Moon rozjaśnia się na jej widok.

– Clavally Bluestone Letniak – przedstawiła się kobieta, a Capella Goodventure skrzywiła jeszcze bardziej. – Ja uczyniłam ją sybillą. Ma prawo nosić koniczynkę i oznajmiać wolę Pani.

– Niech to udowodni! – Zażądała starsza klanu z twarzą cętkowaną z wściekłości. – Jeśli ma prawo tak przemawiać, niech to udowodni.

Moon kiwnęła głową, wyglądała teraz na bardziej pewną siebie.

– Pytaj, a odpowiem – powtórzyła.

– Nie – odparła Capella Goodventure. – Przekaz sybilli można tak samo sfałszować jak tatuaż. Niech nam przedstawi prawdziwy dowód. Niech Morze ukaże nam znak Swej woli!

Królowa stała na miejscu, słuchając tłumu mruczącego wątpliwości, sama skrzywiła twarz, szukając sposobu ich rozwiania. Jerusha zastygła bez ruchu, cała napięta czekała tylko na znak władczyni, by móc usunąć starszą klanu Goodventure. Wiedziała jednak, że jeśli Moon zrobi to teraz, utraci wszelką wiarygodność.

Moon obejrzała się przez ramię na Otchłań czyhającą za nią niby namacalny symbol grożącego jej niebezpieczeństwa; znowu popatrzyła na Capellę Goodventure.

– Matka Morza jest wśród nas – powiedziała tak głośno, że usłyszeli ją wszyscy obecni. – Czy czujecie Jej obecność? Na dnie znajdującej się za mną Otchłani kłębi się morze. Wciągnijcie powietrze, posłuchajcie wzywającego głosu Pani. – Capella Goodventure cofnęła się z lekkim uśmiechem domysłu. Moon wtedy coś wyciągnęła. Jerushy zapało dech na widok trzymanego przez nią przedmiotu. – To nosi nazwę puzdra tonów. Steruje wiatrami w Sali Wiatrów; tylko dzięki temu można bezpiecznie przekroczyć Otchłań. – Wręczyła pudełko starszej klanu i odwróciła w stronę mostu.

Jerusha zakłęła cicho. – Nie...

– Moon!

Jerusha usłyszała, jak Sparks Dawntreader zawołał swą żonę i ruszył za nią.

Królowa obejrzała się przez ramię; coś w jej wzroku sprawiło, że Sparks stanął z przerażeniem na twarzy. Znowu się odwróciła, uniosła ręce, pochyliła głowę i wymruczała coś niedosłyszalnego, być może modlitwę. Jerusha dostrzegła, jak lekko drgnęła, jakby wchodziła w Przekaz. Jęk wiatrów zabrzmiał głośno w martwym milczeniu, zapadłym nagle, gdy tylko Moon weszła na kładkę.

Zachwiała się pod uderzeniem wichury, stanęła na chwilę, odzyskała równowagę i zrobiła następny krok. Jerusha zacisnęła dłonie; zrobiło się jej niedobrze na wspomnienie własnych przerażających, kręcących w głowie przejść ponad przepaścią. Walczyła z chęcią zamknięcia oczu.

Królowa zrobiła trzeci niepewny krok, wdzierając się w wiatr. Wtedy coś się stało. Jerusha

podobnie jak władczyni podniosła głowę i ze zdumienia głęboko wciągnęła powietrze. Umilkły dźwięczące odgłosy zapór wiatrowych, żagle obwisły w bezruchu, zniknęły prądy powietrzne... a wysoko w górze zaczęły się zamykać otwarte okna. Niebieskie i złote promienie słońca, przenikające nieruchome obłoki zasłon, rozbłysły aureolą wokół włosów Moon. – Na Bękartą Przewoźnika... – szepnęła Jerusha, czując, jak Miroe w bolesnej zgrozie zaciska dłoń na jej ręce.

– Na Panią – odpowiedział głębokim, dźwięcznym głosem, choć wiedziała, że nie mógł tak myśleć.

W tłumie rozeszły się ciche pomruki, patrzący jeden po drugim opadali na kolana w niezłomnym przekonaniu, że są świadkami cudu, obecności Bogini i Jej wybranki... wreszcie jedyną stojącą pozostała Capella Goodventure. Jerusha dostrzegła, że nawet ona kiwnęła głową w uznaniu faktu albo porażki. Królowa stała jeszcze chwilę z podniesioną wysoko głową, twarzą zastygłą w nieodgadniętej dla Jerushy masce. Powietrze nadal było spokojne; pradawna sala i wszyscy w niej obecni wydawali się zamrożeni w bezruchu. Aż wreszcie Moon Dawntreader zrobiła znowu krok, schodząc z mostu na stały grunt.

Obejrzała się na wiszące w powietrzu obwisłe zasłony, jakby na coś czekała, ale żagle się nie wypełniały, szklane ściany pozostały zamknięte. Moon odetchnęła głęboko, widać było, jak uniosły się i opadły jej ramiona, na twarzy miała jeszcze ślady zgrozy, która uciszyła tłum. Znowu spojrzała przed siebie, na blade, oszołomione oblicze męża. Wróciła do jego boku; Jerusha dostrzegła, że niemal cofnął się ze strachem, gdy wzięła go za rękę.

– Było wolą Pani – powiedziała Królowa, zwracając się wreszcie ku tłumowi – bym się tu znalazła i byś ty był ze mną. – Wskazała na przepaść za sobą, teraz, po umilknięciu wiatrów, możliwą dla każdego do przebycia. – Oto Jej znak, że doszło do prawdziwej zmiany, że zwyczaje Zimaków nie są już dla nas zakazane. – Zawahała się, wpatrując się w twarze obecnych, jej własna zmieniała się w rytm przeżywanych uczuć. – Jesteśmy, kim jesteśmy – powiedziała – a dawne zwyczaje stanowiły dla nas jedyny ratunek. Ale żadna droga nie jest jedyna czy najlepsza. Zmiana nie zawsze jest czymś gorszym, oto przeznaczenie wszelkich rzeczy. To nie z woli Pani mieliśmy zamknięty dostęp do wiedzy, która mogła polepszyć nasze życie, tak chcieli pozaziemcy. A teraz odeszli. Proszę was o wspólną pracę przy wypełnianiu woli Pani, pracę przy zmianie...

Capella Goodventure odrzuciła puzdro tonów i wyszła dumnie z sali. Z mroku dobiegało echo jej kroków. Reszta jednak pozostała, wbijając oczy w Królową, czekając, co teraz nastąpi; żądni byli jej słów, pracy przy spełnianiu przekazywanej przez nią woli Pani.

– Miroe, jak to zrobiła? – mruknęła Jerusha. – Jak?

Pokręcił tylko głową, popatrzył nic nie rozumiejącym wzrokiem.

– Nie wiem – powiedział. – Mam nadzieję, że choć ona wie... bo sama tego nie uczyniła.

Jerusha uniosła głowę, przeszukując w górze oczyma straszliwe cienie, wspominając przeszłość. Jednakże знаła to miejsce nawet nie dwadzieścia lat. Warstwy zamierzchłych epok, ukrytych tajemnic, widmowych lat Krwawnika sięgały tysiąclecia wstecz. Jerusha potarła ramiona, czując, jak miasto zaciska wokół niej mury niby zimne objęcie grobu, i nic już nie powiedziała.

TIAMAT: Krwawnik

Sparks Dawntreader zawahał się w drzwiach izby, która w czasach Królowej Śniegu była salą tronową. Nagle nie był w stanie zrobić ruchu, jakby wiązało go zaklęcie. Patrzył na tron, zauroczony jego wyrafinowanym pięknem. Wygięcia z dmuchanego i topionego szkła wyglądały na wyrzeźbione z lodu. Światło załamywało się w ich skrętach i kładło na lśniących powierzchniach, aż wydawały się jaśnieć od wewnątrz.

Tron wywarł na nim wrażenie niesamowicie dziwnego, gdy wszedł tu po raz pierwszy i zobaczył siedzącą na nim ją: Arienrhod, Królową Śniegu, w jakiś niemożliwy sposób mającą twarz Moon, dziewczyny, którą pokochał na zawsze. Ciągle, pomimo lat spędzonych w roli kochanka Arienrhod, nie mógł patrzeć na tron obojętnie... nawet teraz, gdy ujrzał, że zajmuje go Moon o twarzy Królowej Śniegu. W rozległej, białej przestrzeni, w środku nocy, siedziała cicho i nieruchomo niby zabłąkana lunaticzka.

Odetchnął głęboko, zwalniając pierś z ucisku, przełamując zaklęcie, które objęło go po wejściu do tej sali. Cicho jak duch pokonał przestwory białego dywanu – jak własny duch, pomyślał.

– Moon – powiedział miękko i ostrzegawczo.

Jej ciało zadrżało; obróciła się w tronie, by spojrzeć na niego. – Co tu robisz? – zapytał. Dostłyszal w tych słowach niezamierzone ostrze gniewu i dodał pośpiesznie: – Powinnaś odpoczywać, spać... Myślałem, że Miroe dał ci coś na sen. – Po przedwieczornym spotkaniu z sybillami – po zatrzymaniu wiatrów – gdy wychodziła z Sali schodami, miała twarz poszarzałą z wyczerpania. Pozwoliła mu się podpierać, czuł, jak drży ze zmęczenia. Ostatnio niemal do końca wyczerpała zapasy sił; wszystkie zabierało rosnące w niej dziecko – lub dzieci.

Pomógł jej dojść do sypialni, a Miroe Ngenet podał na uspokojenie ciepły napar z ziół i zakazał wszystkim, nawet jemu, przeszkadzać Królowej. Nie sprzeciwił się. Gdy potem wrócił do łóżka, Moon już spała.

Sparks obudził się jednak w środku nocy, zastał obok w łóżku puste miejsce i wyszedł na poszukiwania. Nie spodziewał się zastać jej tutaj.

– Moon... – powiedział jeszcze raz, z wahaniem, jakby jakaś jego część ciągle nie była pewna, kogo widzi na tronie, czy nie siedzi na nim Arienrhod. – Czy... czy dobrze się czujesz?

Jej twarz uspokoiła się po tych słowach, jakby coś w jego obliczu ją niepokoiło. Kiwnęła głową, rozsypując na ramiona splątane, mlecznobiałe włosy. Nagle znowu stała się dziewczyną, która mu zaprzysięgła siebie, o porcelanowej skórze przezroczyściej ze zmęczenia i dłoniach przyciskających wydęty od ciąży brzuch.

– Czuję się dobrze – powiedziała słabo. – Obudziłam się. Nie mogłam zasnąć... – Odsunęła włosy z twarzy. – Dzieci nie pozwalają mi odpocząć. – Uśmiechnęła się, a sama myśl o nich przywróciła barwy policzkom.

– Dwójka... – szepnął, podchodząc bliżej i wstępując na podwyższenie. – Bogo – Bogini... – w ostatniej chwili użył wezwania Letniaków, a nie pozaziemców – zostaliśmy więc podwójnie pobłogosławieni. – Ngenet powiedział mu o nowinie zaraz po naleganiu, by nikt nie przeszkadzał Moon w odpoczynku.

– Tak. – Uczyniła palcami potrójny znak Matki Morza i opuściła dłoń, niemal bezwiednie, choć nadal się uśmiechała, nadal jaśniała zdumieniem. Sparks spojrzal na tatuaż sybilli na jej gardle; położył swe dłonie na jej, spoczywających na wybrzuszeniu miękkiej, białej koszuli nocnej. Kiedyś uważał, że nigdy nie będą mogli mieć dzieci, tak samo ona. Letniacy powiadają tradycyjnie: "śmierć za kochanie sybilli..." To przysłowie i tkwiący za nim strach oddzieliło ich od siebie, przygnało go

do miasta... w ramiona Arienrhod.

Ale to nie była prawda, pod ręką miał żywy dowód. Poczłł ruch; usłyszał łagodny śmiech Moon po własnym okrzyku zaskoczenia. Wstała z tronu ruchem wdzięcznym pomimo niezdarności. Zawsze fascynowała go jej nieświadoma gracia, podobnie jak inne cechy, których sama ani trochę nie była świadoma. Przypomniał ją sobie biegającą bez końca plażami Neith, ich rodzinnej wyspy; oczyma duszy ujrzał ją wspinającą się po skałach w poszukiwaniu ptasich jaj lub wodorostów, nigdy nie mylącą ruchów, czy też skaczącą po wąskich, kamiennych murach oddzielających zagrody dla klee i nigdy nie tracącą równowagi. Przypomniał ją sobie tańczącą, trzymaną blisko w ramionach w rytm granych przez muzykantów starych pieśni... Nie była wysoka i taka szczupła, że Babcia mówiła zawsze, że ledwo rzuca cień, lecz mimo to równie silna fizycznie, co wszystkie inne kobiety. Siła i wdzięk tkwiły w niej pospołu; rzadko wątpiła w odruchy swego ciała i rzadko ją zdradzały.

Ngenet powiedział mu, że noszenie bliźniąt jest podwójnym wysiłkiem dla ciała kobiety, zwłaszcza w takich okolicznościach, kiedy to Moon stale, nieugięcie wyęcza wszystkie swe siły. Próbował skłonić ją do słuchania Miroe, ale nawet dla niego nie chciała przestać, odpocząć. Mógł tylko żywić nadzieję, że nie zawiedzie jej ciało, lecz podtrzyma ją, aż urodzi dzieci w nowym świecie, który tak uparcie tworzyła. Siła woli była równie nieodłączną, równie niezaprzeczalną jej cechą, co siła ciała. Niekiedy trudno było ją kochać, gdy przeciwstawiała swój upór jego gwałtownemu charakterowi. Ale zawsze godzili się tak miło... – Kocham cię – mruknął. Otoczył ją ramieniem, poczuł, jak bliskość Moon rozprasza cienie straconych lat. Z zamkniętymi oczyma pocałowała jego usta; jej powieki były drżącą lawendą.

– Co tu robisz? – Wskazał na tron po rozdzieleniu się ich warg; zawahał się przed tym pytaniem, ale je zadał.

Pokręciła głową, jakby i jej brakło pewności.

– Chciałam poznać... co musiała czuć tamta Królowa. – Arienrhod. – Dziś... dziś naprawdę byłam Panią, Sparkie. – Bezwiednie użyła dziecięcego zdrobnienia, lecz w jej głosie nie było nic z dziecka i nagle przeszedł go dreszcz.

Pani nie jest Królową. Bojąc się odpowiedzi, nie powiedział tego na głos. Zgodnie z tradycją Królowa Lata panowała jedynie symbolicznie, w oczach swego ludu była raczej przedstawicielką Matki Morza. Już jednak w czasie pierwszego obrzędu w roli Pani Moon zerwała ze zwyczajami i tradycją. Głosiła, iż postępuje zgodnie z wolą Bogini, iż ta Zmiana musi zapoczątkować rzeczywiste przemiany. Sparks wiedział, że jego żona przestała wierzyć w Boginię, kiedy tylko poznała prawdę, iż sybille nie są wybranymi głosicielkami mądrości Matki Morza, lecz żywymi końcówkami komputera. Sybille spotkać można było na wszystkich pozostałych światach byłego Cesarstwa. Wyrażały mądrość sztucznej inteligencji, nie zaś Pani. Ale Moon powiedziała też, że umysł sybilli mówi do niej, nie tylko poprzez nią; że nakazał jej zapoczątkować na Tiamat rozkwit techniczny, od tak dawna powstrzymywany przez Hegemonię. W to było mu równie ciężko uwierzyć, co w ideę Bogini... przynajmniej do dzisiejszych wydarzeń w Sali Wiatrów.

– Jak to zrobiłaś? – zapytał wreszcie. – To dzisiaj. Jak zatrzymałaś wiatr?

Spojrzała nań gorączkowymi, pustymi oczami. – Musiałam – powiedziała głosem ciekim jak nic. – Musiałam, więc zatrzymałam... – Nic pękła.

– Nie wiesz jak? – szepnął.

Pokręciła opuszczoną głową, lecz dłonie uniosła do znaku sybilli na gardle.

– Coś wiedziało o mnie. Zrobiło to, by mi uwierzyli...

W odpowiedzi puścił jej ręce. Spojrzała na niego spod drżących, białych brwi, oczy barwy agatu wypełniły się nagłym bólem. Znowu objął ją ramieniem, ale to już nie było to samo.

– Wracaj do łóżka – szepnął jej do ucha. – Powinnaś odpocząć.

– Nie mogę. Nie potrafię odpoczywać.

– Chodź, oprzyj się na mnie. Pomogę ci... – Sprowadził ją z podwyższenia. Moon trzymała się mocno jego dłoni, lecz oczyma błędziła po oświetlonej jak w dzień sali. Poszedł w jej ślady, spoglądając poza śnieżne pole dywanu; przypominając sobie otaczających go dworzan Arienrhod, przypominających klejnoty w swych błyszczących, tęczowych strojach. Ze sklepienia spływały pajęczne draperie ozdobione niezliczoną ilością dzwoneczków, niekiedy, pod wpływem przypadkowych zawirowań powietrza, rozbrzmiewających miłymi dźwiękami.

Opuścili salę tronową, wyszli do ciemniejszych górnych korytarzy, na których teraz nie było nawet dworzan. Sparks poczuł ulgę, że jest z nią sam, zawsze tęsknił do takich kradzionych chwil. Gdy połączyli się podczas Zmiany, uważał, że i dla nich wszystko się zmieni. I zmieniło się... ale nie tak, jak pragnął. Nie nastąpił powrót do tego, co przedtem. Moon nie była już ową jedyną, niewinną ukochaną. Również on sam nigdy już nie będzie naiwnym chłopcem z wysp, któremu zaprzysięgła swe życie; zadbała o to Arienrhod.

Próbował zaprowadzić Moon do ich pokoju, lecz pokręciła głową.

– Nie chcę wracać do łóżka. Pochodź ze mną. Pokaż mi pałac – zaprowadź do wszystkich jego zakątków.

– Co, teraz? – zapytał. – Czemu? – Po śmierci Arienrhod obiecała mu, że nigdy więcej nie wejdą do pałacu. Uwierzył jej, nie wątpił, że równie jak on nie zechce wzbudzać wspomnień wszystkiego, co się tu działo.

Ale Moon ciągnęło coś do pałacu, niby żelazo do magnesu, jakby stanowiło to cząstkę musu, kierującego nią od chwili Zmiany. Przebywanie tutaj nie sprawiało jej przyjemności, podobnie jak i jemu, wiedział, że onieśmielają ogrom pałacu, tłumy płaszcących się Zimackich sług, obcość pozaziemskich luksusów. Rzadko wychodziła poza obręb kilku komnat, jakby w obawie, że źle skręci w którymś z arkadowych korytarzy i zabłądzi na zawsze. Mieszkały tu i rządziły jedynie Królowe Śniegu, świeckie władczynie układające się z kierującymi losem Tiamat pozaziemcami, aż dotąd nie uczyniła tego żadna Królowa Lata. Ale Moon nie wyjeżdżała stąd, odmawiała zamieszkania wśród swego ludu, między troskliwymi, spokojnymi twarzami i znajomymi zwyczajami Letniaków z Niższego Miasta Krwawnika.

A teraz, w ciszy nocy, kroczyła korytarzami pałacu niby nie znający spoczynku duch, szukający pytań bez odpowiedzi i odpowiedzi, których lepiej nie słuchać... Zmuszała Sparksa do pokazywania drogi.

– Dlaczego? – zapytał ponownie.

Dotknęła brzucha, wypełnionego obietnicą nowego życia.

– Dlatego – odpowiedziała miękko, opuszczając głowę.

Przytaknął zrezygnowany, nie do końca ją pojmując. Ruszył korytarzami, komnatami, mijając je kolejno, poziom po poziomie. Prowadził Moon po znanych jej miejscach, pokazywał, jak pasują do nieznanych części pałacu – zwykłych, dostępnych dla wszystkich, pustych; nadzwyczajnych, tylko dla wybranych, perwersyjnych. Na jego polecenie światło przesuwano się falą z sali do sali, objawiając żłobkowane obłóci odrzwi, konchowate ozdoby skrajów sklepień, łukowate przestrzenie i kręte klatki schodowe, w których zawsze miał wrażenie, iż wchodzi lub schodzi do serca muszli.

Sprowadzane sprzęty techniczne, dzięki którym pałac wydawał się kiedyś krainą cudów dla jego zmysłów, leżały teraz wszędzie niby martwe owady, ślady przelotnej zarazy. Hegemonia przed opuszczeniem Tiamat uczyniła bezużytecznymi ich części. Sam jednak pałac, podobnie jak i cały Krwawnik, trwał wiecznie, polegając na samym sobie, na własnych źródłach energii, tak jak działo

się to od niepamiętnych czasów. Jego opalizująceściany pokrywały malowidła, wyroby rzemiosła, draperie, zwierciadła. Owe sztuczne ozdoby dodawały przez stulecia różne władczynie Zimaków, lecz sam pałac, z pradawnymi motywami morza, trwał bez zmian. Sparks nie potrafił zliczyć, ile razy zastanawiał się, kto i dlaczego mógł wznieść owe dziwne miejsce. Teraz, przesuając się stęchłymi od wieku korytarzami, z niemal przerażającą jasnością czuł nowość życia, własnego i Moon.

Pokazał Moon swe dawne komnaty, ciągle wypełnione stosem najbardziej rozwiniętych technicznie sprzętów, dawanych mu do zabawy przez Arienrhod. Całe życie rozpierała go ciekawość technoczarów pozaziemców, pobratymców jego ojca. Przybył do Krwawnika, szukając tego, czego brakowało mu w dotychczasowym życiu. Ale miasto nie wypełniło owej pustki; ani jego ulice, ani ludzie, ani niezliczone sprowadzane urządzenia, które zniszczył podczas prób zrozumienia... Dowiedział się jedynie, jak dobrze ziomkowie jego ojca skrywali swe sekrety przed ludem jego matki.

Pokazał Moon tajemne przejście prowadzące bezpośrednio z jego komnaty do Arienrhod. Moon rozglądała się po sypialni Królowej Śniegu, przypatrywała panoramicznemu oknu wychodzącemu na morze, meblom o równie bladej poświacie co ściany – krzesłom, stołom, miękkim fotelom wykonanym z czegoś przypominającego lśniące muszle. Nigdy się nie dowiedział, czy to jedynie sprytna imitacja, czy też na jakieś planecie – a może nawet w wszechobecnym na Tiamat morzu – żyły stworzenia wytwarzające tak wielkie skorupy.

Moon spojrzała na łożo o żłobkowanym zagłówek, wykonanym z takich samych, złożonych i nabitych klejnotami muszlowatych elementów. Widok budzącej się Arienrhod przywodził mu na myśl wznoszącą się ku niemu z fal Matkę Morza; nigdy jej tego nie powiedział, bojąc się wyśmiania.

Moon spojrzała na Sparksa z oczami pełnymi ciemnej ciekawości. Odwróciła się, nagle szukając wyjścia.

I stanęła zaskoczona, patrząc na ścianę przed sobą, na Arienrhod odzianą w tęczę. Portret – malowany, nie holograficzny, lecz mimo to wydający mu się bardziej rzeczywisty aniżeli wszystkie trójwymiarowe wizerunki Królowej Śniegu, niemal bardziej nawet niż ona sama. Sparks miał wrażenie, że artysta zaklął w obrazie jej duszę. Nawet teraz nie mógł się oprzeć poczuciu, że jego i Moon śledzą oczy portretu, wszechwiedzące, litościwe, zgubne.

Moon lekko przesunęła się do przodu z wyciągniętą ręką, aż z pewnym lękiem dotknęła dłoni kobiety na malowidle. Stała tak, nie zmieniając pozycji, jakby portret ją hipnotyzował. Sparks przeniósł wzrok z jej zarumienionej, przemienionej twarzy na oblicze Arienrhod, blade, zimne, z góry wszystko wiedzące, jakby dopiero co poznała jakiś dotyczący ich sekret, którego sami nigdy nie odkryją.

Podszedł i stanął obok Moon, objął ją, wpatrzoną w obraz, który niemal mógł być lustrem. Poczł, jak drży, ciepły krąg jego ramion nie potrafił zapewnić ochrony przed wspomnieniami Arienrhod – przed jej dziedzictwem.

W końcu Moon oderwała wzrok od malowidła, pozwoliła wyprowadzić się z pokoju. Gdy znowu znaleźli się w pustym korytarzu, szepnęła:

– Czy teraz zaśniesz? – tak cicho, że pytanie nie wzbudziło echa.

Ale pokręciła głową, podniosła ku niemu podbiegłe sinością oczy.

– Gdzie jest komnata, w której... – Opuściła wzrok na nabrzmiały brzuch. – Chcę ją zobaczyć.

– Moon, to... – Przerwał. – Dobrze – powiedział szorstko. – Pokażę ci, gdzie to jest. Ale jeśli kiedyś jeszcze zechcesz tam pójść, zrobisz to sama.

Kiwnęła głową, oczy wypełniły jej przeprosiny. Znowu poprowadził ją korytarzami, poruszając się wbrew swej woli, wbrew upływowi czasu, aż wreszcie dotarli do drzwi zamkniętego pokoju. Od

śmierci Arienrhod nikt ich nie dotykał, nie otwierał, nie wchodził do środka. Sparks nie wiedział nawet, na ile dłoni – oprócz jego – zareagują.

Drzwi rozsunęły się, niby w ucieczce, gdy tylko je musnął, oczy oślepiły mu rozbłysłe, jaskrawe światła, odbijające się od lustrzanych ścian. Mury i sklepienie komnaty pokrywały zwierciadła, ukazujące pod każdym kątem ich twarze i ciała, zwielokrotniające każdy ruch, aż Sparks stanął oszołomiony. Zapomniał, jakie zawroty myśli wywołuje wejście do tego pokoju.

Spojrzał na środek komnaty, na łoże, będące tu jedynym meblem. Pościel była ciągle zmięta, nikt jej nie tknął od chwili, gdy po raz ostatni w niej leżeli... od nocy po końcu Święta Zimy, kiedy to Moon przybyła do pałacu, ratując go przed śmiercią. Poszukał jedynego potłuczonego lustra, znalazł i ujrzał krew zaschłą na jego potrzaskanej powierzchni. Jego krew, przelaną, gdy uderzył we własne odbicie, we wszystko, czym się stał. Pamiętał, jak spływała, czerwona i ciepła, udowadniając, że ciągle jest żywy, silny, młody; że się nie zestarzał i nie umarł pod pozbawioną duszy maską twarzy.

Pamiętał, jak kochał się z Moon na tym łóżku, w tym pokoju; wzniecając znowu ich wspólne życie, zasiał w niej ziarna nowego...

Spojrzał na żonę i zdążył ujrzyć na jej twarzy skurcz bólu. Nie wiedział, czy jest to cierpienie fizyczne, czy duchowe, lecz Moon ruszyła się skwapliwie, gdy tylko podszedł do drzwi. Szepnęła, gdy tylko zapieczętował za nimi komnatę:

– Nie chcę więcej tego zobaczyć. Nie chcę, by ktokolwiek to ujrzał..

Kiwnął głową z nadzieją, że to już koniec bolesnych nocnych rozpominań. Ale Moon spojrzała na kręte schody wznoszące się ku tajemniczym mrokom.

– Dokąd prowadzą?

– Do prywatnego gabinetu Arienrhod – powiedział. – Nikogo tam nie wpuszczała... – Sparks ruszył ku stopniom, zdziwiony, że tym razem to jemu się pali do dalszej drogi. Moon podążała za nim powoli i ostrożnie wąskimi schodami, aż weszli na następne piętro.

Sparks powstrzymał dech, usłyszał za sobą krótkie, zdziwione sapnięcie żony. Pokój, w którym się znaleźli, zajmował sam wierzchołek pałacu – wierzchołek całego miasta. Jego przezroczyta kopuła wznosiła się ku zakończonej gwiazdą iglicy, a dalej ku otaczającej całość, jaśniejącej poświacie nieba, rozpalonego niezliczonymi oddzielnymi słońcami skupiska gwiazdowego, do którego przed eonami zawędrował zabłąkany system Tiamat. Nie było widać jedynego większego księżycy planety, lecz spośród tysięcy światel wybijało się jedno: Letnia Gwiazda. Jej blask oznaczał, że cały system zbliżał się do czarnej dziury, która pochwyliła wędrujących Bliźniaków i uczyniła z nich wiecznych więźniów.

Czarna dziura jest ciałem niebieskim o tak potężnej grawitacji, że nawet światło nie może z niego uciec. Pozaziemcy nazywali ją Czarnymi Wrotami, zaś wśród rzeczy, których nigdy nie chcieli użyć mieszkańcom Tiamat, były statki gwiazdne, zdolne do wykorzystywania takich okien na inną rzeczywistość do podróży z szybkością większą niż światło. Za Wrotami leżało siedem innych planet Hegemonii, niektóre były tak dalekie, że trudno było uzmysłwić sobie owe odległości. Mimo to miały z sobą kontakt, ponieważ Czarne Wrota posyłały statki gwiazdne w obszary przestrzeni skrzyżowanej jak struna i splątanej w takie węzły, że dalekie stawało się bliskim, a czas tworzył pętle.

Gdy jednak bliźniacze słońca Tiamat zbliżały się do aphelium swej orbity, niezwykle napięcia wywoływane ich podejściem do czarnej dziury tak naruszały równowagę Wrót, że przelot z planety na resztę światów Hegemonii nie był już prosty czy pewny. Dlatego to pozaziemcy porzucili Tiamat, jak czynili to zawsze w porze królowania Letniej Gwiazdy na jej niebie.

Zabrali ze sobą swą technikę, na całe stulecie spychając Tiamatańczyków w niewiedzę i ciężkie życie. W ten sposób zapewniali sobie możliwość wykorzystywania planety, jej tęsknotę za ich

powrotem, wyczekiwanie na ponowne zjawienie się Hegemonii. Związani byli z Tiamat łańcuchami konieczności, ponieważ w morzach planety żyły mery, a krew tych stworzeń zawierała tajemnicę nieśmiertelności. Nazywana przez nich wodą życia, była cenniejsza od złota, od mądrości, nawet od życia...

Sparks spojrzął w dół, na kryjące się w mrokach wypukłości miasta, na leżące za nim morze. Wpatrywał się w ciemne zwierciadło wody, szukając w nim oznak życia, wymownych ruchów mogących oznaczać pływające mery. Ale powierzchnia oceanu była spokojna i z tej oddali nie dostrzegał w niej żadnych zakłóceń.

Gdy wreszcie zdołał się oderwać od morza i nieba, ujrzał czekającą na jego wzrok komnatę. Zaścielał ją dywan zszyty ze skór pfall, hodowanych przez Zimackich koczowników przemierzających niegościnnie góry poza miastem. Moon niepewnie posuwała się wiekowym kobiercem, jej bose stopy tonęły w sierści jak w nawianym śniegu. Sparks również zaczął powoli krążyć po pokoju, przypatrując się tej stronie życia Arienrhod, której nigdy nie widział.

Obejrzał bukietik zeschniętych kwiatów schowanych pod szklanym kloszem. Były tak stare, że straciły całą barwę, nie potrafił rozpoznać, na jakiej roślinie zakwitły. Dotknął lalki w znoszonych szatach, ośleplej na jedno oko z dziecięcej miłości, teraz w zapomnieniu porastającej kurzem. Na tym samym małym, malowanym stoliku tłoczyły się i inne rzeczy – kruche pamiątki dzieciństwa spędzonego pod koniec poprzedniego Wielkiego Lata.

Arienrhod urodziła się w świecie bardzo podobnym do tego, jaki pamiętał z młodości swojej i Moon. Ale potem przybyli pozaziemcy; dziewczyna została Królową Śniegu i zaczęła brać wodę życia. Pozostała młoda przez sto pięćdziesiąt lat Zimy, niezmienna, choć niestała, aż wreszcie przekształciła się w kobietę, jaką znał. Arienrhod mówiła mu po wielokroć, że przypomina jej rzeczy, które zagubiła, wspomnienia niemal już utracone. Uważał te słowa za kłamstwa, takie same jak wiele innych słyszanych od niej. Teraz patrzył na opuszczone pamiątki na stoliku, głoszące milczące świadectwo prawdy wyznania; wreszcie odwrócił się od nich plecami.

Gdy spojrzął na Moon, trzymała właśnie w dłoni jakąś biżuterię: srebrny wisiołek na srebrnym łańcuszku, z klejnotem skupiającym w swym środku światło.

– To solia – powiedział ze zdziwieniem. Nigdy nie widział, by Arienrhod nosiła ten naszyjnik, choć musiał być bardzo kosztowny, może nie podobał się jej. Zaczął się zastanawiać, co robi w jej prywatnym gabinecie, a nie wśród pozostałej biżuterii. Moon spojrzała na Sparksa i odłożyła wisiołek na blat stołu.

Sparks podszedł powoli do lustra w ozdobnej ramie, stojącego samotnie na innym stole. Mógłby to być kącik próżności, w którym Arienrhod wpatrywała się w swe odbicie, upewniając się, że po stu pięćdziesięciu latach zażywania wody życia nie uległo najmniejszym zmianom, gdyby nie płytki dotykowa u podstawy zwierciadła – sterownik pozaziemskiego urządzenia elektronicznego, które całkowicie zmieniało przeznaczenie srebrzystej tafli. Sparks uzmysłowił sobie z wstrząsem, że ta odosobniona komnata stanowiła serce systemu szpiegowskiego, dzięki któremu Arienrhod wiedziała, co się dzieje w całym mieście, mogła wyprzedzać o krok mających nad nią przewagę pozaziemców... zabawiała się podglądaniem prywatnego życia jej wrogów, własnych dostojników, a nawet ludzi jej najbliższych i najbardziej przez to bezbronnych.. to stąd obserwowała, jak piętro niżej w lustrzanym pokoju kochał się z Moon...

Odwrócił się od swego nagle zasmuconego odbicia.

– Moon – powiedział z trudem – tu nigdy nie zdołamy zapomnieć, zacząć od początku. Musimy się oderwać od wszystkich tych – wspomnień. Nigdy nie dadzą nam spokoju. Wiem, że nie możemy wrócić na Neith, ale dlaczego musimy pozostawać tutaj? Znajdźmy coś innego... jeszcze przed

porodem.

Moon spojrzała na niego. Otworzyła usta, lecz nic nie powiedziała. Wyciągała coś przed siebie, a po jej oczach widać było, że nie słyszała męża.

Sparks wziął kostkę i ujrzał w niej hologram dziecka, małej dziewczynki otulonej zgrzebnymi swetrami i nieprzemakalną kurtką wyspiarzy, o białych jak mleko włosach... o znanej mu twarzy. Dziecko zostało uchwycone w chwili radosnego, ciągłego śmiechu, tkwiło tak uwięzione, niezmiennie na zawsze.

– To ja – powiedziała Moon łamiącym się głosem. – Skąd to miała? Jak się tu dostało?

Pokręcił głową, patrząc na wizerunek dziewczyny, którą kochał od dziecka.

Podniósł wzrok, słysząc nagły, ostry krzyk, brzmiący nie żalem, lecz bólem.

– Moon...? – Ujrzał ją trzymającą się za brzuch, zgiętą w pół, pobladłą po kolejnym ataku cierpienia. Podeszedł do niej, chwycił w ramiona, podtrzymał i poprowadził do kanapy stojącej przy stole z lustrem. Po nogach Moon coś ciekło, przemakając przez koszulę nocną na dywan.

– Moon, co się stało? – zawołał. – Jak się czujesz? Moon?

Przygryzając wargi, spojrzała na niego szklistym wzrokiem.

– Znajdź Miroe... Sparks – to już...

ONDINEE: Port Razumy

– Cholera, to Kedalion! – Ravien przechylił się przez bar, ciężką, granatowoczną ręką chwycił kołnierz Kedaliona i wciągnął go na miejsce. – Widzę, że już po objeździe?

Kedalion Niburu usiadł prosto na wysokim stołku i poprawił kołnierz.

– Dzięki, Ravien, jasne... – mruknął i oparł się o bar, jak dziecko zwieszając nogi z wysokości dorównującej niemal jego wzrostowi. Nie był on zbyt wielki, ledwo przekraczał metr, co w świecie ludzi prawie dwukrotnie przerastających Kedaliona miało swe wady. Jedną z wątpliwych zalet było to, że mało kto go zapominał, nawet po sześciu latach. – Masz pamięć jak serwo. I taki sam chwyt.

Ravien prychnął i napełnił mu szklaneczkę.

– Zobaczymy, czy i to zapamiętałem.

Kedalion spróbował zielonkawoczarnego napitku i skrzywił twarz.

– O bogowie, znowu – powiedział z zawodem. – Czyżbyś ciągle nie dorobił się niczego lepszego do picia?

Ravien potarł swe kilka podbródków.

– Wiesz, i tak dobrze, że w ogóle udaje mi się coś dostać, mając bez przerwy na karku śmierdzący oddech Policji Kościelnej. Na czarnym rynku można kupić wino mszalne, bo Kościół na tym zyskuje.. Ale za odpowiednią cenę znajdę ci może coś specjalnego.

– Wylej to. – Kedalion odsunął szklaneczkę. – Udało mi się wszystko sprzedać na Samathe. Chyba na coś zasłużyłem.

– Byczy chłop! – Ravien kiwnął radośnie głową, wytarł ręce o przód ściśle urzędowej i całkowicie niestosownej koszuli i ruszył w stronę pokoju z tyłu.

Kedalion pochylał się nad barem, obserwując salę, obojętnie drapiąc skryte we włosach wszczepy astrogacyjne. Najpierw się napiję, potem wezmę pokój i prysznic, wreszcie jakieś towarzystwo... Poczul przyjemną tęsknotę, wywołaną zakończeniem kolejnego udanego rejsu. Choć może tęsknota nie jest odpowiednim słowem. Lepszym pewnie będzie ulga. Miał uprawnienia kupca, lecz ludzie, z którymi i dla których prowadził interesy, zwykle nie. To ciekawe życie... choć bardzo często żałował, że nie wybrał sobie innej pracy. Nie po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy w ten sposób nie stara się komuś czegoś udowodnić. Ech, do diabła – jak zauważył, pcha to do działania wszystkich ludzi.

Wodził leniwie oczyma po podziemnej sali, ukazującej się w odbijającym obrazie suficie, skrywającym nagie kształty innej piwnicy. Na górze znajdował się Urząd Kontroli, gdzie pozaziemcy należący do tej pradawnej, konserwatywnej grupy społecznej rozprawiali o polityce, wymieniali zarozumiałe, potajemne uściski dłoni, w ogóle spędzali wieczory znacznie nudniej, niż zamierzał to uczynić Kedalion. Przed dotarciem do ukrytego wejścia do klubu, w jednej z sal natrafił na wystawę wprowadzonych z Kharemough najnowszych urządzeń technicznych. W samym Urzędzie wszystko było surowe i przestarzałe.

Z drugiej strony wystrój baru swą błyszczącą przesadą przyprawiał niemal o ból zębów. Kedalion skupił wzrok na tancerce, która wykonywała niewiarygodne wygibasy (tak swobodnie, jakby oddychała) w rytm uprzykrzonego akompaniamentu fletu i bębna oraz dzikich tryli śpiewaczki. W całej Razumie nie znał lepszego prywatnego klubu, co wcale nie oznaczało pochwały. Nie było tu prywatnych klubów. Rządząca na Ondinee teokracja zakazywała nawet myśli o większości z odbywających się – tu i w podobnych barach – rzeczy. Kedalion słyszał, że wszystkie one, a także gorsze, miały ciągle miejsce w Zakonach Męskich, do których należała większość uprzywilejowanych Ondyńczyków. Co innego lokale, w których mogli się bawić pozaziemcy, były

one równie rzadkie co klejnoty i podobnie trudne do odnalezienia, nawet w tak dużych portach jak Razuma.

Na ironię zakrawało, że choć Kościół z gorliwością graniczącą z perwersją prześladował występki wśród swego ludu, to hołubił – i pozwalał się przez nią zastraszać – największą w Hegemonii enklawę pozaziemskich karteli przestępczych. Spora grupa miejscowej ludności zarabiała na życie hodując rośliny, z których wyrabiano narkotyki, i wykonując dla karteli wszelkie inne prace. Pozaziemskie podziemie przyczyniało się w znacznym stopniu do gospodarczej i politycznej władzy Kościoła.

Ów związek, jak zresztą wszystkie dłużej trwające, nie obywat się jednak bez kłopotów. Kary stanowiły jego równie nieodłączną stronę, co nagrody. Rozprawiający zbyt głośno o reformach polityk czy dostojnik kościelny otrzymywał pojedyncze ostrzeżenie – jeśli miał szczęście – a potem śmiertelną próbkę pozaziemskich towarów. W sumie ten dziwny romans karteli z księżętami Kościoła funkcjonował bardzo dobrze. Kedalion wiedział o tym. Sam dla niego pracował.

Ravien wrócił z butelką pełną czegoś o przyzwoitej, bursztynowej barwie. Nalał to do ozdobnego srebrnego kubka i podał przez bar.

Kedalion pociągnął łyk, nie skrzywił się i kiwnął głową. Obojętnie, co to było, nadawało się do picia.

– Lepsze. Jak interesy?

Ravien wydał odgłos, jakby miał splunąć.

– Wspaniale – powiedział z goryczą. – Robiłbym dziesięć razy lepsze, gdybym nie był taki ostrożny. Zdziwiłbyś się, gdybyś usłyszał, jakie płacę łapówki, a mimo to ciągle mnie nachodzą! Gdybym jednak nie płacił, zamknęliby budę. Dobrze, że od kilku tygodni dali mi spokój... – Podniósł rękę i cofnął się, ciągle coś mrużąc.

Kedalion pokręcił głową, choć Ravien nie zobaczył już tego gestu, i wrócił do picia, szukając jednocześnie w tłumie znajomej twarzy. Zrobi sobie kilka dni wolnego, a potem zacznie rozglądać się za następną robotą. Zrobi to nie tyle z chęci zarobienia nowych pieniędzy, co z potrzeby wyniesienia się stąd. Ta planeta zbyt go przygnębiała, jeszcze ostrzej niż Kharemough przypominała, że ludzie z niezmiennym uporem uprzykrzają sobie życie.

Dźwięk dzwoneczków i ciężki zapach perfum sprawił, że odwrócił się w bok i zobaczył wślizgującą na sąsiednie miejsce jedną z tancerek.

– Ach – powiedziała, przesuwając szczupłą, hebanową dłoń po jego krótko obciętych brązowych włosach. – Cześć, Kedalion. Było ci mnie brak? Bo mi tak. – Miętko jak woda przesunęła palcami po jego policzku.

– Na pewno nasze uczucia były jednakowe – odparł z uśmiechem.

Roześmiała się. – Uwielbiam jasnoskórych za to, jak się rumienią – powiedziała. Miała na imię Shalfaz, co w miejscowym dialekcie oznaczało pustynny wiatr. I rzeczywiście, pomimo lat ciągle jak wichura porывała marzenia mężczyzn. Przy każdym, najmniejszym nawet jej ruchu słyhać było muzykę tradycyjnych brząkałów i srebrnych dzwoneczków, zwieszających się z naszyjników i bransolet ozdabiających ręce i nogi. Nie nosiła zwyczajowej zasłony, bo jej zawód, choć prastary, nie cieszył się szacunkiem. Szaty Shalfaz tworzyły liczne, błyszczące jak płatki kwiatów woale, cieńsze od pajęczyny.

– Mam pusty pokój... – powiedziała. Granatowymi oczyma spojrzała wymownie w jego jasnoniebieskie.

Ciągle się uśmiechając, potarł nie ogolony podbródek.

– Tak – przystał, kiwając głową, odpowiadając na niewypowiedziane pytanie. – Wpierw jednak

napij się ze mną; po raz pierwszy Ravien dał mi trunek, którego nie chciałbym zostawić. Pozwól mi poczekać jeszcze chwilę.

Również się uśmiechnęła i pochyliła głowę niemal w pokłonie.

– Robisz mi zaszczyt – mruknęła, zobaczywszy, co pije, i usiadła obok.

– Wprost przeciwnie – odparł skonfundowany tym, że mówiła szczerze.

Shalfaz pociągnęła bursztynowy trunek i westchnęła, zamykając oczy. Po chwili otworzyła je znowu, przyglądając się sali.

– Dziś była dziwna noc – powiedziała cicho, jakby myślała na głos. – Musiał przejść księżyc. Spójrz na tego chłopca... – Uniosła dłoń. – Przed chwilą był ze mną, ale ograniczył się tylko do gadania. Nawet nie zdjął ubrania. Poprosił, bym mu pokazała, jak robię niektóre z ruchów w tańcu, lecz to go nie pobudziło. Był bardzo uprzejmy. Tylko rozmawiał. – Pokręciła głową. – Zawsze. przychodzi samotnie, bez przyjaciół. Może jest zbrodźcą, choć sarn nie wie jakim.

– Może brakuje mu matki – powiedział Kedalion, patrząc gdzie ona. – To jeszcze dzieciak.

Z brzękiem wzruszyła ramionami.

– Mówił, że chce wyjechać z Ondinee. To dlatego tu przychodzi, powiedział, że szuka kogoś, kto wzięłby go do załogi. Od tygodnia spędza tu każdy wieczór.

– Och? – Kedalion przyglądał się chłopcu, nie wiedząc, czemu to robi. Był równie ciemny co Shalfaz, ubrany w luźną szatę i szarawary z ciemnego, grubego materiału. Długie i proste, czarne jak węgiel włosy chłopca spięte były w koński ogon, przed uszami zwisały cienkie pejsy. Nic w wyglądzie nie wyróżniało go od kilku innych miejscowych mężczyzn w sali – którzy, sądząc po swobodnym odnoszeniu się do pozaziemców, byli ludźmi jakiegoś szefa handlarzy narkotyków.

Niepokój. To czyniło chłopca odmiennym; wydawał się być zdenerwowany. Odnosiło się wrażenie, że coś wrzało pod jego skórą, niepewne, czy dostatecznie skrywa się przed światem. Takie rzeczy Kedalion poznawał instynktownie.

– Shalfaz – powiedział, nachylając się nad barem – możesz go do nas zaprosić?

Obróciła się ku niemu z uniesionymi brwiami.

– Chcesz go nająć?

– Na razie chcę z nim porozmawiać – Kedalion wzruszył ramionami, lekko zdziwiony własną decyzją. Z natury nie był impulsywny. – Może go wynajmę. Zobaczymy. – Gdy zaczynał działalność, miał wspólnika, lecz ich drogi rozdzieliły się już dawno. Przemysł jest zajęciem odbijającym się mocno na nerwach i po szybkim czasie zaczęło to za bardzo wpływać na ich stosunki. Odtąd pracował sam, ale ma to swoje niedogodności, szczególnie wtedy, gdy jest się karłem w świecie wielkich ludzi. Nagle zrozumiał, że jest zmęczony, a na dodatek nigdy nie miał charakteru samotnika.

Shalfaz opuściła go w miękkiej mgiełce srebrzystej muzyki. Patrzył, jak idzie do miejsca chłopca i z nim rozmawia, wskazując na Kedaliona. Młody uniósł głowę, niemal jednocześnie wstał i razem wracali do baru.

Byli już niemal przy nim, gdy od stolika zajmowanego przez miejscową młodzież wystrzeliła jakaś ręka i złapała szatę Shalfaz, szarpiąc ją mocno. Zaczepiona próbowała się wyswobodzić i Kedalion niemal słyszał, jak mrużąc protestuje i tłumaczy, że jej czas został już opłacony. Odpowiedź mężczyzny była niewyraźna i brutalna. Chłopiec zawahał się, spojrzał na Kedaliona i odwrócił się. Zaczął coś szybko mówić do innych Ondyńczyków przy stoliku, jednocześnie ciągnął dziewczynę za rękę. Jeden z mężczyzn odepchnął go. Kedalion zobaczył, jak chłopiec z zadziwiającą zręcznością odzyskuje równowagę i zaciska w gniewie pięści, lecz nie sięga do zawieszzonego na pasie noża. Z dłońmi drżącymi z niepewności patrzył, jak pijany młodzieniec przy stole wyciąga swą broń.

Kedalion ześlizgnął się ze stołka i podszedł do miejsca sporu.

– Moi goście chcą usiąść obok mnie przy barze – powiedział obojętnie. – Byłbym wdzięczny, gdyby panowie im na to pozwolili. – Założył dłonie za pas z bronią... i z nagłym, nieprzyjemnym wstrząsem przypomniał sobie, że jej nie ma, bo w mieście oręż nosić mogli tylko tutejsi obywatele. Zachował kamienną twarz i mobilizował całe swe kupieckie doświadczenie, by nie zwracać uwagi na lśniące ostrze noża, skierowane niemal dokładnie w jego oko.

– Shalfaz?... – powiedział z udawanym spokojem.

– Obrażasz mą męskość, karzełku. – Mierzący w twarz Kedaliona Ondyńczyk odezwał się w języku miejscowym, a nie Handlu. – Odejdź, a zachowasz swoją – albo zostań i pożegnaj się z nią.

Kedalion cofnął się o krok, gdy pod blatem stolika pokazały się dalsze noże, skryte przed wzrokiem innych, lecz nie przed jego. Na tyle znał miejscowych bandytów, by wiedzieć, że zostanie zabity, jeśli będzie naciskał; nawet wycofanie się teraz nie zapewniało załagodzenia sprawy. Zaciśnął dłonie na pustym pasie i w ich języku odpowiedział martwym głosem:

– Nie podoba mi się żadne z tych wyjść. – Zastanawiał się, jak na siedem piekieł tak szybko wpadł w równie głupie położenie. Wino musiało być mocniejsze, niż sądził.

– Kedalion, proszę cię, odejdź – powiedziała łagodnie Shalfaz. – Zostanę z nimi. – Podeszła do mężczyzny ciągle trzymającego ją za ramię, przycisnęła do niego ciało.

– Dziwka! – Spoliczkował ją. – Nie mów mężczyźnie, co ma robić. To ja wybieram, a nie ty! – Odepchnął ją. Shalfaz wpadła z brzękiem na opartego o bar, przyglądającego się im z pewnym rozbawieniem pozaziemca. Trzymana przez niego butelka upadła i rozbiła się, pryskając trunkiem i odłamkami szkła.

Kedalion cofnął się niezdarnie, gdy miejscowy chłopak spróbował go kopnąć. A potem coś zawirowało mu przed oczyma, to mężczyzna, z którym zderzyła się Shalfaz, nagle ją minął.

Nim Kedalion dostrzegł, co się stało, mężczyzna z nożem przestał nim być – był teraz mężczyzną jęczącym na podłodze, a noga pozaziemca przyciskała mu kark.

– Chcecie walki? – W dłoni obcego znalazło się zakrzywione ostrze o zdobnej klejnotami rękojeści, sam z uśmiechem patrzył na wściekłe twarze siedzących przy stoliku. Błysnął im nożem.

– Chodźcie, a będziecie ją mieli – powiedział.

Kedalion cofnął się jeszcze o krok.

– Musi być szalony – szepnęła Shalfaz. Kupiec, który dostrzegł blask w oczach pozaziemca, nic nie odpowiedział i zaczął powoli przesuwając się w bok, ciągnąc za sobą kobietę i chłopca.

– Gównu épuna – rzucił jeden z Ondyńczyków – nas jest sześciu, a ty jeden. Chcesz całować podeszwę mego buta, błagając o przebaczenie? A może czekasz, aż wypatroszę ci flaki własnym nożem?

Kedalion obrócił się z wahaniem i zobaczył, że uśmiech obcego stał się bardziej cienki i napięty.

– Jasne – powiedział pozaziemiec, tak kręcąc ostrzem, iż rzucało błyski. – Wypatrosz mnie. Dobry pomysł, podoba mi się. Albo centymetr po centymetrze obedrzej mnie ze skóry... Wpierw jednak musisz mi ten nóż zabrać. – Pochylił się nad stolikiem, machając bronią, z groźną beztróską zbliżając do miejscowych. – No...?

Oczy siedzących umknęły przed żądzą w oczach obcego. Spojrzeli po sobie, nieświadomie cofając przed nim ciała.

– Wróżbiarz powiedział nam, że nie godzi się zabijać szaleńca – mruknął któryś z miejscowych. Noże nie wróciły do pochew, lecz zaczęły wolno wysuwać spod stołu.

Pozaziemiec prychnął i cofnął o krok, patrząc na mężczyznę ciągle leżącego na podłodze.

– Ty pocałujesz mój but, gnoju. – Podeszwą przesunął po jego wargach w mało łagodnej pieszczocie. Za pas mężczyzny zatknął jego sztylet. – Na przyszłość zastanów się, nim zrobisz z siebie osła w tak zatłoczonej sali.

Ondyńczyk wygramolił się na proste nogi, splunął, otarł usta i podszedł do przyjaciół.

– Zginiesz za to! – Rzucił drżącym głosem. Pozostali przytrzymali go przezornie, bo byli już otoczeni przez ochronę klubu. Przy pozaziemcu stanął sam Ravien, ostrzegawczo położył mu dłoń na ramieniu, którą ten strząsnął, i mruknął: – Tak. Prędzej czy później... – Spojrzał na awanturników. – Prędzej czy później każdy otrzyma to, na co zasłużył.

Kedalion wraz z Shalfaz i chłopcem zajął stolik możliwie jak najbardziej oddalony od miejsca bójki, po drodze zabrał z baru swą butelkę. Zobaczył przy tym, że ochrona klubu odprowadza Ondyńczyków do drzwi. Z pewnym zdziwieniem zauważył też, że Ravien wiedzie pozaziemca do baru, zamiast wyrzucić go jak tamtych. Hmm, ten facet stracił butelkę. A może Ravien nie chce, by wejście do jego baru zaścielały trupy.

Mijając Kedaliona, pozaziemiec spojrzał nań z ciekawością. Kupiec dotknął czoła w krótkim, niepewnym pozdrowieniu, co spotkało się z zadziwiająco promiennym uśmiechem obcego. Kedalion odwrócił głowę i poszedł do stolika. Nalewając wino sobie i obojgu Ondyńczykom, zauważył, że chłopiec patrzy ze zdziwieniem, jak podaje szklaneczkę Shalfaz.

– Widziałaś go kiedyś? – zapytał Kedalion, wskazując na pozaziemca.

Shalfaz kiwnęła głową, ciągle wydawała się równie zdenerwowana jak on.

– Przychodzi tu często na występy. Nigdy nie odwiedza żadnego pokoju, męskiego czy żeńskiego. Zwykle zachowuje się bardzo spokojnie i siedzi samotnie.

Kedalion odetchnął głęboko, otrząsnął się i znowu spojrzał na chłopca.

– Aha – rzekł, trochę bez związku. – Shalfaz powiedziała mi, że szukasz sposobu wyrwania się z planety. – Chłopiec kiwnął głową, nieświadomie usuwając z twarzy wyraz nadziei. – Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego? – Kedalion zerknął na drzwi i znowu na swego gościa, krzywiąc sardonicznie usta. – No?

Chłopiec także spojrzał na miejsce przymusowego wyjścia miejscowych. Za całą odpowiedź skrzywił twarz.

Kedalion przyglądał mu się możliwie nienachalnie. Dzieciak był niższy i szczuplejszy od wyrzuconych mężczyzn, choć znacznie przewyższał kupca wzrostem. Może miał już dość tutejszego terroru.

– Jakiej pracy szukasz?

Chłopiec zawahał się i odpowiedział: – Każdej – patrząc Kedalionowi w oczy. Kupiec uśmiechnął się lekko, dzieciak przynajmniej nie poprosił o "uczciwą pracę". Pewnie wiedział, że trudno na taką liczyć w podobnym miejscu.

– Na czym się znasz?

Chłopiec zawahał się znowu i zmarszczył brwi.

– Jestem giętki – powiedział.

– Fizycznie czy umysłowo?

– I tak, i tak. – W zmiennych oczach chłopca zabłysła iskierka dumy.

Tym razem Kedalion roześmiał się głośno.

– To coś wyjątkowego – stwierdził. – I pewno cennego. – Zwyczajem wszystkich miejscowych mężczyzn chłopiec nosił długi zakrzywiony sztylet, który podobnie jak ubranie, był zwyczajny i wyglądał na tani. Mniej powszechnie spotykany był pistolet ogłuszający, kryjący się w fałdach jego kurtki. – Czy już kogoś zabiłeś? – zapytał Kedalion, zastanawiając się, czy może dlatego tak mu

spieszno do wyjazdu. Przypomniawszy sobie jednak, jak dzieciak zawahał się, stojąc przed zaczepiającym Shalfaz mężczyzną – nie był ani tchórzem, ani zapaleńcem.

Chłopiec cofnął się lekko, jakby urażony. Większość ze spotkanych przez Kedalion młodych Ondyńczyków równie często walczyła na noże, co razem paliła wodne ziele. Noży nie nosili tylko na pokaz; potrafiły rozplatać człowieka jak owoc kraśniaka. Gdyby nie dobrze stojąca medycyna, w ciągu kilku pokoleń Ondinee by się wyludniło.

– Nie chcę zabijać ludzi – powiedział chłopiec. – Ale zrobię to, jeśli będę musiał.

W granatowych oczach Kedalion nie dostrzegł spodziewanego blasku zuchowatości, ale nie wątpił, że chłopiec wie, co mówi.

– A pan kogoś zabił? – zapytał zuchwale chłopiec.

– Też nie chcę zabijać – wzruszył ramionami Kedalion. – Jestem posłańcem.

Chłopiec spojrzał na ukryte pod stolikiem nogi kupca.

– Nie takim posłańcem. Jak widzisz, brakuje mi warunków. – Po chwili na wargach chłopca ukazał się uśmiech. – Powiedzmy, że zajmuję się handlem. Przewożę towary z planety na planetę. Dużo podróżuję. Prowadzę uczciwy interes, ale nie mogę tego samego powiedzieć o większości moich klientów. Moja matka, oby jej dusza spoczywała w pokoju, powiedziałaaby, że wpadłem w złe towarzystwo. Jak się nazywasz?

– Ananke – powiedział chłopiec, opuszczając wzrok. Oznaczało to Konieczność. Spojrzał na Shalfaz, znowu na Kedalion. – Chciałbym u pana pracować.

– Czy choć trochę znasz się na technice? – zapytał z niedowierzaniem Kedalion. Chłopiec wyglądał na zbyt młodego, by mieć duże doświadczenie w pracy.

– Tak. – Ananke gorliwie kiwnął głową. – Studiowałem na uniwersytecie, gdy było mnie na to stać.

Przynajmniej jest ambitny. Kedalion zyskał na czasie, pijąc wino.

– Z czego się utrzymujesz?

– Występuję na ulicy – mruknął chłopiec. – Jako kuglarz i akrobata.

Kedalion sięgnął do płataniny kieszeni wewnątrz długiego, luźnego płaszcza i wyciągnął noszoną od dzieciństwa jako rodzaj talizmanu łuskowaną kulkę. Bez ostrzeżenia rzucił ją Ananke. Chłopiec bez trudu złapał zabawkę, cisnął nad ramię, sprawił, że chowała się i pojawiała w jego dłoniach. Kedalion uśmiechnął się i ledwo chwycił kulkę, gdy Ananke mu ją niespodziewanie odrzucił.

– Dobra – powiedział. – Popracujesz dla mnie w następnym rejsie, zobaczymy, jak ci pójdzie. Przynajmniej zarobisz na przelot. Po dotarciu na miejsce dostaniesz dziesięć procent zysku. Od tego zaczniesz.

Chłopiec także się uśmiechnął i kiwnął głową.

– Mam tu wszystkie swoje rzeczy. Wezmę je i...

– Powoli – wyciągnął rękę Kedalion. – Muszę wpięraw poszukać ładunku. A zresztą dopiero co przyleciałem; na razie nigdzie się nie wybieram. – Spojrzał na Shalfaz. Uśmiechnęła się tak ciepło jak słońce. – Bądź tutaj, gdy zdecyduję się na wyruszenie.

Ananke znowu kiwnął głową, patrząc na nich z miną wyrażającą naraz wiedzę i duży ból. Kedalion przypomniał sobie, co Shalfaz powiedziała o chłopcu, i zamyślił się. Ananke zaczął wstawać.

– Pozdrawiam – za plecami Kedalion rozległ się łagodny, trochę matowy głos. – I przepraszam.

Ananke obejrzał się i ze zdziwioną miną znowu usiadł. Shalfaz skuliła się, zadrżały jej ręce.

Kedalion odwrócił się w krzesło i ujrzał za sobą pozaziemca, który wystąpił przeciwko Ondyńczykom. Mężczyzna uśmiechał się rozbrajająco, przyjmując widok budzonych przez siebie mieszanych uczuć, jakby był do tego przyzwyczajony. "I pewnie tak jest" – pomyślał Kedalion. Zdziwił się, że obcy jest wysoki, lecz szczupły, w pamięci wydawał mu się jeszcze wyższy i znacznie potężniejszy. Ale oczy na pewno miał takie same – bardziej niebieskie od jego własnych, wpatrujące się z przenikliwością lasera. Pozaziemiec pierwszy odwrócił wzrok, jakby świadom, jakie wrażenie wywiera na obcych.

Postawił coś między siedzącą przy stole trójką – następną butelkę. Kedalion spojrzał na nią z niedowierzaniem. Naczynie miało niezwykle kształt stylizowanego kwiatu o srebrnych, zakończonych złotem płatkach. Czyste srebro, czyste złoto... Kedalion wyciągnął rękę i z niedowierzaniem dotknął butelki. W czymś takim mogło się znajdować tylko jedno: tak zwana woda życia. Był to najdroższy z trunków osiągalnych w całej Hegemonii, nazywany tak od – pochodzącego z Tiamat – znacznie rzadszego leku, za niesłychane koszty utrzymującego w młodości niewiarygodnie bogatych ludzi. Teraz, po zamknięciu Wrót Tiamat, przez następne stulecie oryginał będzie nieosiągalny bez względu na cenę. Kedalion równie mało liczył na skosztowanie namiastki, co prawdziwej wody życia.

– Przepraszam? – W końcu na tyle oprzytomniał, by zapytać; oderwał wzrok od połacanej srebrnej butelki i znowu spojrzał na obcego. – To ja powinienem panu postawić. – Wzruszył ramionami, uświadamiając sobie, z jak krzywym uśmiechem patrzy na tę twarz.

Obcy chrząknął.

– Ravien powiedział mi, że nie powinienem być wtrącać się w waszą sprzeczkę – mruknął. – Zrobiłem z siebie głupka. Nie jestem dziś w najlepszym nastroju. Ale chyba tak jest zawsze... – Znowu wrócił mu wisielczy humor, palcami bębnił po udzie. – Przepraszam.

– Ależ nie ma za co – powiedział Kedalion, myśląc, że gdyby nie wtrącenie się obcego, nie pomogłaby mu nawet prawdziwa woda życia. – Proszę mi wierzyć. – Spojrzał znowu na srebrną butelkę, ciągle niezbyt wierząc własnym oczom. Wziął ją, niemal bojąc się dotykać, i wyciągnął do obcego.

– Zatrzymajcie ją – powiedział pozaziemiec. – Nalegam.

Kedalion spojrzał mu w oczy i nic nie odpowiedział. Przyciągnął do siebie butelkę, znowu upewnił się dotykiem ojej rzeczywistości, a następnie kciukiem odłamał pieczęć. Nagły zapach uderzył go w nozdrza jak perfumy, wypełnił śliną usta, oczy łzami czystej przyjemności.

– O bogowie – mruknął. – Nie miałem pojęcia... – Przesunął butelkę po stole, pozwolił każdemu dotykać przestraszonymi rękoma, wdychać opary; wpatrywał się przy tym w ich twarze.

Kedalion oprzytomnił sobie, że obcy ciągle za nim stoi, z niemal fascynacją w oczach.

– Przyłączy się pan? – zapytał, nie bardzo tego pragnąc, ale czując, że w tych okolicznościach nie bardzo może zrobić coś innego. Skryte pod gładkim stolikiem barwy onyksu urządzenie usługujące, jakby tylko na to czekając, wyrzuciło następną szklaneczkę.

– Nie piję – mruknął obcy i pokręcił głową, zamiatając ramiona niesfornymi kosmykami brązowych włosów. Kedalion już zaczął oddychać z ulgą na widok odwracającego się pozaziemca, gdy ten nagle wzruszył ramionami i zawrócił. Przyciągnął sobie krzesło i usiadł. – Jestem Reede – powiedział.

Kedalion przedstawił wszystkich, starając się nie wyglądać na człowieka siedzącego obok bomby atomowej. Nalał wody życia sobie i obojgu Ondyńczykom, jakoś udało mu sienie uronić kropli, choć jego dłoniom daleko było do pewności.

Znowu zerknął ukradkiem na Reede'a, zastanawiając się, skąd może mieć taką butelkę i dlaczego z taką obojętnością daje ją w prezencie. Był to gest bogacza, ale obcy na takiego nie wyglądał.

Ubrany był w jakieś czarne spodnie, ciężkie buty dokera i kaftan bez rękawów, obwieszony biżuterią i błyskotkami. Strój często spotykany u młodych pracowników narkotykowego kartelu. Nagie ramiona obcego pokrywały tatuaże, dzięki którym każdy, kto się na nich znał, mógł odczytać jego karierę w podziemiu Hegemonii. W tym także nie było niczego niezwykłego; dziwić mogło tylko to, że nie miał wytatuowanych dłoni.

Pewnie jest którymś z szukających pracy przemytników, a butelka stanowi wyrazistą reklamę jego możliwości. Tego właśnie potrzebowali: współzawodnictwa. Ale Kedalion i tak radował się hojnością Reede'a. Choć kupiec się nie reklamował, to dzięki opinii o swej solidności miał tyle pracy, ile tylko chciał.

– Jest pan posłańcem? – spytał pozaziemca.

Reede wyglądał na zaskoczonego.

– Ja? Nie. – Nie powiedział, czym się zajmuje, a Kedalion o to nie zapytał. – Czemu? – rzucił trochę ostro pozaziemiec, a po chwili dodał: – Potrzebuje pan jakiegoś?

– Sam nim jestem – pokręcił głową Kedalion.

Reede przytaknął z większym spokojem.

– Znałem skądś pana nazwisko. Pański statek nazywa się Prajna. Czy to samathańskie słowo oznaczające "Boga"? – uniósł brwi.

– Jednego z nich – wyjaśnił Kedalion. – Obecnie oznacza "światło gwiazd". Ma przynosić szczęście. – Wzdrygnął się, niespokojny, że musi to tłumaczyć.

– Chyba ma je pan – Reede skrzywił usta. – Cieszy się dobrą opinią. Dziś także powodzenie pana nie opuściło. – Mówił w Handlu, drugim powszechnym języku, używanym przez większość ludzi zajmujących się międzyplanetarnymi interesami. Znali go wszyscy w porcie, nawet będący jeszcze chłopcem Ananke. Wzmagacz bardzo ułatwiał naukę języków, Kedalion mówił kilkoma. Znacznie trudniej przychodziło tworzenie w Handlu zgrabnych zdań. Po tym, co zaszło dzisiaj, Reede wydawał się ostatnią osobą zdolną do takiej sztuki. Kupiec znowu na niego spojrzał, zastanawiając się, skąd ktoś taki może pochodzić. Reede również na niego popatrzył, niemal z zadumą. – Czyżby przestrzegał pan w życiu zasady "honor między złodziejami"?

Kedalion uśmiechnął się z nadzieją, że to pytanie czysto retoryczne.

– Zastanawiałem się tylko, skąd to pan ma. – Uniósł w toaście kubek z wodą życia; jej zapach wypełnił powietrze, którym oddychał. Srebrny napój czekał w naczyniu jak płynny metal.

Reede wzruszył ramionami.

– Kupiłem w barze.

– Od Raviena? – zapytał ze zdumieniem Kedalion. – A to łotr. – Wskazał na swoją butelkę. – Twierdził, że nie ma niczego lepszego; od lat poił mnie pomyjami.

Reede uśmiechnął się dziko.

– Robi to z wszystkimi. Trzeba po prostu wiedzieć, jak poprosić... – Dotknął z wieszające go mu się aż na szyję drogiego kolczyka i zerwał go nagle, jakby zaczął parzyć, a potem ze wstrętem rzucił na stolik.

Kedalion rozejrzył się nerwowo. – Aha – mruknął. Zastanawiał się nad wiekiem Reede'a. Zaczął dochodzić do wniosku, że siedzący obok mężczyzna jest młodszy, niż sądził. Obcy miał uderzająco przystojną twarz, dziw, że nikt dotąd jej nie pokiereszował. Wyglądał na kogoś ledwo po dwudziestce, niewiele starszego od Ananke, o dobre dziesięć lat młodszego od Kedaliona. To przygnębiające spostrzeżenie. Ale może Reede tylko młodo wygląda, jego dziecięce rysy zupełnie nie pasowały do zachowania i przypuszczalnego zajęcia. Kedalion zdecydował, że niezależnie od prawdziwego wieku obcego przy tym trybie życia na pewno nie doczeka on starości.

Reede siedział z ponurą miną, obgryzając paznokcie kciuka. Zauważył spojrzenie Shalfaz spoczywające na zerwanym kolczyku i pchnął błyskotkę w jej kierunku. Złapała ją długimi, szczupłymi palcami, zawahała się chwilę, a potem zawiesiła. Spojrzała poważnie na pozaziemca, ten uśmiechnął się i kiwnął głową. Shalfaz powoli odwzajemniła się tym samym. Ananke przyglądał się im w milczeniu; wydawał się wcale nie oddychać.

Kedalion odetchnął głośno i znowu uniósł szklaneczkę.

– Za dobre interesy – powiedział w zdradzającym oczekiwania tonie. Oboje Ondyńczycy przyłączyli się do niego.

– Za powodzenie – dopowiedziała Shalfaz. Unosząc kubek, nie przestawała bawić się kolczykiem.

Gdy Kedalion przytknął swój do ust, nagły hałas sprawił, że rozejrzał się na boki. Podobnie uczyniła cała sala, setka głów okręciła się w jednym ruchu, spojrzała na wejście do klubu. Natychmiast krzesła posypały się na wzorzystą podłogę, tłum odzyskał głos i sala wypełniła się krzykami, przekleństwami, ruchem.

– Sukinsyn – mruknął ze złością Reede. – Najście. – Odchylił się w krzesło i z rezygnacją założył ramiona, niby człowiek przeczekujący niespodziewany deszcz.

Kedalion wymienił spojrzenia z obojgiem Ondyńczyków, nie przyjął wtargnięcia z równie zimną krwią. Nigdy nie był świadkiem najścia Policji Kościelnej na klub i nigdy za tym nie tęsknił. Dość się nasłyszał o jej brutalności wobec pozaziemców – że przewyższała nawet brutalność wobec własnego ludu. Nad obcymi obywatelami władzę miała tylko Hegemonia, lecz kościelne władze śledcze rzadko kiedy zwracały sobie głowę powiadamianiem czy współdziałaniem z nią.

Wejście blokowało kilku uzbrojonych mężczyzn w mundurach. Przyglądali się tłumowi, jakby wypatrując kogoś szczególnego. Kedalion poczuł jak zwykle ściskającą go za serce zimną dłoń paranoi. Wiedział, że byłoby niebotycznym egoizmem sądzić, iż wśród takiego tłumu szukają właśnie jego, lecz mimo to nie był w stanie powstrzymać nagłego strachu.

A potem pomiędzy umundurowaną policją pojawił się cywil – jeden z miejscowych, wyrzuconych przez Raviena z klubu. Wyciągnął rękę. Wskazał prosto na Kedaliona.

Kupiec zaklął i zsunął się z krzesła, podobnie jak Shalfaz i Ananke. Reede zauważył ich przestrach i spojrzał w stronę drzwi.

– Lepiej się stąd usuńcie... – Mówiąc to, stanął obok Shalfaz i wziął ją za rękę. – Znasz stąd inne wyjście?

Kiwnęła głową, już idąc w głąb klubu, na pięty następował jej Ananke. Kedalion ruszył za nimi, zawahał się i wrócił po srebrną butelkę. Niby nurek w oceanie zagłębił się w morze skłębionych osób; natychmiast w nim utonął, dał się porwać prądowi gnanych paniką ludzi. Klnąc przebijał się przez nich w stronę, gdzie według niego winna być Shalfaz, lecz szybko zniknęła mu z oczu.

Jakieś ręce złapały go w pasie i dźwignęły w górę. Próbując wyrwać się z chwytu, kopnął mocno trzymającego w pachwinę...

– Cholera!

Chwilę za późno spostrzegł, że ów człowiek nie nosi munduru.

Reede zaklął, gnąc się nad nim w pół. – Ty ośle! – Wyprostował się z trudem, niby niegrzeczne dziecko trzymając Kedaliona pod pachą.

Mruczący pod nosem kupiec pozwolił się sromotnie, lecz szybko nieść przez ścisk ciał, labirynt mrocznych tuneli, wreszcie przez śmierdzące, mroczne podwórko. Pozostali czekali tam na nich, niknąc w ciemnościach. Reede postawił go na nogi.

– Chodźcie, szybko – machnęła im Shalfaz. – Muszę wracać.

– Ale... – Kedalion wy dyszał resztkę powietrza. – Nic ci się nie stanie?

Z rezygnacją wzruszyła ramionami.

– Jestem tylko kobietą. Za nic nie odpowiadam. Ale jeśli pozwolę im...

– Nie! – sprzeciwił się Ananke. – Nie! Chodź z nami. – Niemal rozpaczliwie szarpnął ją za rękę.

– Kolczyk – powiedział Reede. – Kamienie są prawdziwe. Sprzedaj je. Znasz zwyczaję. –

Kiwnęła głową i obcy wypchnął Ananke na ulicę. – Ruszaj się. – Znowu chwycił Kedaliona.

– Do diabła, postaw mnie! – zaklął kupiec, gdy Reede zaczął biec. – Mogę...

– Nie możesz.

– Psiakrew, nie jestem...

– Jesteś. W wielkim kłopotcie. Potem będzie czas skarżyć się na zranioną godność – syknął Reede, odwracając do tyłu, skąd dobiegł jakiś krzyk. Z przodu uderzyły w nich światła, odbijając od ceglanych ścian budynków po obu stronach uliczki. Zderzyli się z zatrzymującym się Ananke.

– Jesteśmy w potrzasku! – krzyknął chłopiec głosem wysokim jak dziewczyna.

Reede spojrział w górę, na coś niewidocznego, i mruknął:

– Szukają nas z powietrza. – Skrecił w wąski tunel między dwoma budynkami, wychodzący na mały placyk. Kedalion widział jedynie cegły i cienie, słyszał tylko nakazujące się im zatrzymać gniewne głosy. Zamknął oczy. W każdej chwili Reede może paść powalony z jakiejś broni, a ta groteskowa hańba znajdzie nieunikniony kres...

Przebili się przez wysokie, podwójne drzwi wielkiego jak góra gmachu, wpadli do rozległej pieczary wnętrza, zalanego ciemnością ledwo rozjaśnioną blaskiem niezliczonych świateł. Wysoko na ścianie wzrok Kedaliona uderzył jasny, holograficzny obraz – tysiące malowanych światłem widoków rajów, wznoszących się ekstatycznie do szczytu, tworzących palec wskazujący niebios nad murem w kształcie piramidy.

– Jesteśmy w świątyni! – wydyszał. – Czy możemy poprosić o azyl?

– Przed Policją Kościelną? A dla kogo według ciebie pracuje? – mruknął Reede. Znowu postawił Kedaliona na nogi i zawahał się, rozglądając w migoczącej płomykami świateł ciemności. Przed wysokim ołtarzem i lśniącymi światłem obrazami ciągle stało kilkoro wiernych. – Nie bójcie się – powiedział. – Odciągnę ich... Hej! Policja! – krzyknął w ostrzeżeniu lub wezwaniu, Kedalion nie potrafił tego rozstrzygnąć.

– Reede... – zaczął kupiec, ale tamten już biegł, na tle pełgających świateł widać było tylko jego sylwetkę. – Bogowie! Idziemy. – Pociągnął Ananke przez las świeczników, mając nadzieję, że zginą wśród ludzi przerywających modły i śpieszących do wyjść. Ciągnął chłopca za ramię, wpychał go w tłum. Ananke szedł jak w zamroczeniu; Kedalion czuł, że ciało chłopca drży.

Kupiec rozejrzał się na krzyk rozbieranego tłumu i zobaczył, że Reede drapie się po złoceniach ołtarza, w akcie niewiarygodnego świętokradztwa wspina się po rokokowych wieżyczkach. Ananke jęknął z przerażenia, a Kedalion zaklął ze współczucia i gniewu na widok zaciskających się wokół pozajemca czarnych figurek policjantów.

A potem Reede skoczył – rzucił się z ołtarza w objęcia światła, w ścianę niebios.

Kedalion usłyszał huk i zamarł w bezruchu, wpatrując się z niedowierzaniem w rozpryskujące się kawałki. Obraz nie był hologramem, lecz ścianą z oświetlonego od tyłu szkła. Teraz widniała w niej czarna dziura, przez którą Reede wyskoczył w noc. Kedalion jęknął, nie znajdował słów na wyrażenie tego, co się w nim gotowało.

Wreszcie się rozejrzał, ale było już za późno. Na ramiona padły mu uzbrojone dłonie, wykręciły i wepchnęły w więzy; ulewa ciosów i kopnięć powaliła go na kolana.

Policja wywlekła go na zewnątrz, obdarzając tak obrazowymi przekleństwami, że większości nie potrafił nawet przetłumaczyć... a może były to obietnice. Obok chwiał się Ananke, zakrwawiony i oszołomiony. Pod kurtką coś uciskało zebra Kedaliona – srebrna i złota butelka z wodą życia. Słodki Edhu, pomyślał, już po mnie. Zabiją nas przez nią. I nigdy nawet jej nie spróbuję. Opanował go atak histerycznego śmiechu, uciszonego mocnym ciosem.

Poza świątynią, w lśniącej lawinie strzaskanego szkła, reszta policji otaczała rozciągnięte ciało Reede'a. Zataczający się Kedalion pomyślał, że już go zabili. Gdy jednak został przy wleczony bliżej, zobaczył, że podnoszony właśnie pozaziemiec ma zakrwawioną twarz, lecz oczy otwarte szeroko. Kolejny kopniak powalił go znowu w szkło.

Kedalion nie chciał na to patrzeć, ale nie mógł oderwać wzroku od tej sceny. Jakiś policjant wyglądający na oficera poderwał Reede'a i zaczął nim trząść.

– Wydaje ci się, że czujesz ból, ty wyblakły gnoju? Nie wiesz jeszcze co to ból, ale...

Reede spojrzał na niego szalonymi oczami i wybuchnął śmiechem, jakby groźba była całkowitą bzdurą. Kedalion skrzywił twarz.

– Zabierzcie go na przesłuchanie – warknął oficer, wskazując na stojący po drugiej stronie placu nadzieimny samochód policyjny. Reede nie protestował ani się nie opierał, gdy go brutalnie tam ciągnięto. – Zabrać wszystkich!

Reede obejrzał się, gdy doszły go słowa oficera. Zesztywniał nagle, nie pozwalając wepchnąć się do środka. Coś w rodzaju smutku wypełniło jego twarz na widok ciągniętych przez policję do pojazdu, rzuconych obok pozostałych zatrzymanych.

– Chwila... – zawołał Reede i uchylił się przed ciosem wymierzonym w jego głowę. – Elasark!

Drugi oficer, kierujący pojmaniem Kedaliona, obrócił się ku nim gwałtownie, odrywając wzrok od dziury zięjącej w szklanej ścianie świątyni. – Ty? – zapytał, ze zdumieniem zauważając obecność pozaziemca. Zaklął i przerwał rozpoczęte zdanie. Podszedł do pojazdu, przez ciągnącą się Kedalionowi w nieskończoność chwilę przyglądał się Reede'owi, wreszcie odwrócił się z wściekłością w oczach. – Puść go.

Drugi oficer, który przedtem bił pozaziemca, wybuchnął potokiem gniewnych sprzeciwów, ledwo zrozumiałych dla Kedaliona. Elasark odpowiedział mu po ondyńsku tak szybko i gniewnie, że kupiec wyłowił jedynie wyróżniające się imiona "Reede" i "Humbaba". Zakończył perorę wymownym przeciągnięciem palca po gardle. – Puść go – powtórzył.

Drugi oficer stał nieruchomo. Reszta policjantów przyglądała się ponuro jemu, więźniom i Elasarkowi, który uwalniał Reede'a z więzów. Nikt się nie ruszył, by go powstrzymać.

Pozaziemiec wygramolił się z pojazdu, obrócił, spojrzał na Kedaliona i Ananke, znowu na Elasarka.

– Ci dwaj pracują dla mnie – powiedział. Oficer zesztywniał i zrodzona nagle w Kedalionie nadzieja zaczęła się kurczyć. – Okno zostanie naprawione w ciągu trzech dni – mówił dalej Reede. – Otrzymacie dużą, anonimową wpłatę na Kościelny Fundusz Bezpieczeństwa. – Elasark podszedł powoli do pozostałych więźniów i zwolnił ich okowy. Gestami niepewnymi od ledwo opanowanej wściekłości nakazał im wysiąść z pojazdu. Wykrzyknął jakiś rozkaz i wsiedli tam policjanci. Drzwi trzasnęły i czarna suka wyjechała z placu, rycząc jak zawiedziona bestia.

Ananke patrzył za nią w milczeniu, aż zniknęła mu z oczu. Wtedy gałki przekreśliły mu się w górę i zemdłał, osuwając się wśród falujących szat. Kedalion przyklęknął obok, rad, że unoszenie głowy chłopca dało mu pretekst do przybrania pozycji siedzącej.

– Jak z nim? – zapytał Reede, patrząc bardziej ze zdziwieniem niż troską.

– Źle – odpowiedział Kedalion z większą irytacją, niż zamierzał. – Ale nic mu nie będzie. A z

tobą?

Reede obojętnie otarł pokaleczoną twarz, nawet się nie skrzywił. Kedalion zmarszczył brwi. Pozaziemiec z pewnym wstrętem spojrział na swe czerwone palce, jakby była to farba, a nie krew. Wytarł dłoń o spodnie. – Dobrze. – Prychnął drwiącym śmiechem, przez pusty plac patrząc w stronę, gdzie zniknął pojazd. – Cholerni głupcy – powiedział.

– Ocaliłeś nam życie – mruknął Kedalion, świadom, że Policja Kościelna na pewno nie była głupia. Równie dobrze wiedział, że na całej planecie znalazłoby się najwyżej kilka osób, które zrobiłyby z nią to samo, co Reede przed chwilą. – Nie powinieneś podchodzić do tego z tak cholerną obojętnością! – Głos mu drżał. Sięgnął do jednej z niezliczonych kieszeni płaszcza i sprawdził, że srebrna butelka ciągle w niej tkwi.

Reede spojrział na niego i wzruszył ramionami.

– Przepraszam – mruknął. Ale w jego głosie nie było zrozumienia.

– Cholera – mruknął ponownie Kedalion i ciągle patrząc na Reede'a, wyciągnął butelkę. Odkorkował ją i niedbale pociągnął duży łyk srebrnego trunku. Znieruchomiał, czując, jak w pieszczocie spływa mu gardłem, przywraca do życia zeszywniałe ciało. – Bogowie – szepnął niemal w modlitwie – to jest jak seks.

– Lubię ludzi wiedzących, co naprawdę się liczy – powiedział z przekąsem Reede.

– Jesteś szalony, jeśli myślisz, że po tym wszystkim, co się dziś stało, zrezygnowałbym z szansy wypicia tego – odciął się Kedalion, obojętny już, czy Reede naprawdę nie oszalał. – Kim, u diabła, jesteś? – Również tym razem nie liczył właściwie na otrzymanie odpowiedzi.

– Pracuję dla Sab Emo Humbaby – odparł Reede, szczerząc zęby. – To dlatego żyję z policją w rodzaju symbiozy.

– Wielu ludzi pracuje dla Humbaby – stwierdził Kedalion. – Sam byłem wśród nich. Ale Policja Kościelna nie podwinęłaby ogona, gdybym to powiedział.

Pozaziemiec westchnął jakby z bólu.

– Moje pełne imię brzmi Reede Kulleva Kullervo. Jestem mózgiem Humbaby. Kieruję jego wydziałem badań i wdrożeń. Gdyby coś mi się stało... – Obojętnie wzruszył ramionami. – Wiesz, kim są tu prawdziwi bogowie.

Nazwisko brzmiało znajomo, lecz Kedalion nie potrafił stwierdzić skąd. Przyglądał się Reede'owi, próbując wyobrazić sobie, jak stojący przed nim wytatuowany szaleniec pracuje w jakimś sterylnym laboratorium, spokojnie przegląda zastrzeżone informacje, wewnątrz holopola modeluje zakazane środki chemiczne.

– Nie... – powiedział, kręcąc głową. – Bzdura. Kim naprawdę jesteś?

Reede uniósł brwi. – Czy to naprawdę ważne? – zapytał miękko.

Dopóki masz władzę. Kedalion spojrział na Ananke, ciągle leżącego bezwładnie na chodniku, i znowu pociągnął ze srebrnej butelki.

Ananke otworzył oczy i wydał długi jęk przestachu. Powtórzył go, lecz z ulgą, gdy poznał gdzie jest, zauważył ich twarze. Kedalion przyklęknął i napił chłopca ze srebrnej butelki, patrzył, jak jego oszołomienie przeszło w błogość, uśmiechnął się doń. Ananke podniósł się i usiadł samodzielnie.

– Chcesz powiedzieć – tknięty nagłą myślą, Kedalion obrócił się do Reede'go – że już w klubie mogłeś zrobić to, co teraz? Nie musieliśmy uciekać – to wszystko było niepotrzebne, cała ta pogoń, zbezczeszczenie świątyni, śmiertelne przestraszenie chłopca? – I mnie, ale tego już nie powiedział.

Reede wzruszył ramionami.

– Może. Ale kto wie, co stałoby się w zamieszaniu? "Doszło do wypadku", jak tu mówią. – Znowu wrócił mu krwawy uśmiech. – Zresztą tak było zabawniej.

– Mów za siebie – mruknął Kedalion. Odwracając wzrok od szklistych oczu Reede'a, wstał sztywno.

– No, idziemy – powiedział Reede, patrząc, jak kupiec pomaga chłopcu wstać.

Kedalion zawahał się, nagle stracił pewność.

– Dzięki, ale mamy inne...

– Inne plany? Teraz pracujecie dla mnie. – Reede założył ręce i uśmiechnął jeszcze szerzej.

Kedalion spojrzał na niego i roześmiał się, przypomniawszy sobie, co Reede powiedział policji. Żart. – Rezygnuję – oznajmił z uśmiechem.

Pozaziemiec pokręcił głową.

– Za późno. Wypiłeś mój poczęstunek. Ocaliłem ci życie. Jesteś moim człowiekiem, Kedalionie Niburu.

Kupiec przyglądał się jemu, próbując odczytać wyraz twarzy; nagle wrócił mu zimny ucisk w żołądku, zrozumiał, że Reede mówi poważnie.

– Potrzebujesz posłańca? – zapytał, po raz drugi tego wieczoru zawiódł go głos. – Nie. Przynajmniej dopóki nie dowiem się, co naprawdę robisz – stwierdził z odwagą większą, niż odczuwał.

– Powiedziałem ci, co naprawdę robię. – Reede uniósł rękę. – Popytaj wokoło. Choćby zaraz. – Wzruszył ramionami w oczekiwaniu.

Kedalion poczuł w sobie dziwne napięcie, wiedział nagle, że nie musi niczego sprawdzać. Każde słowo Reede'a było czystą prawdą.

– Nie lubię narkotyków... – powiedział, z trudem patrząc Kullervo w oczy.

Reede spojrzał na srebrną butelkę, którą kupiec ciągle ścisnął, i wykrzywił usta.

– Wszystko jest względne, prawda? – Kedalion się zarumienił. – Ale nieważne, co produkuję i gdzie to trafi. Szukam przewoźnika. Potrzebuję swojej załogi.

– Czemu my? – zapytał Kedalion. – Nie znasz mnie... sam nie znam jego. – Wskazał na Ananke.

– Jesteś moim ziomkiem – jak i ja pochodzisz z Samathe. Może jestem sentymentalny. Znam też twoją opinię. Już wcześniej cię wybrałem. Jesteś godny zaufania, masz zdrowy rozsądek i go wyrażasz.

– Co się stało z twoim poprzednim przewoźnikiem?

– Zrezygnował. – Reede uśmiechnął się lekko. – Nie wytrzymał nudy.

Kedalion roześmiał się wbrew sobie.

– A to dzisiaj? Próba przed wynajęciem?

Reede uśmiechnął się i nie odpowiedział.

– Potrzebuję kogoś naprawdę zaufanego... Podobają mi się twój styl. Ile bierzesz za rejs?

– To zależy... – Kedalion wymienił sumę, która go samego oszołomiła.

– Podwoję to, jeśli wykonasz zadanie.

Kedalion odetchnął głęboko w niedowierzaniu. Zawahał się i pokręcił głową.

– Pochlebiasz mi – powiedział szczerze – ale chyba bezpodstawnie. – Spojrzał na Ananke, obserwował zmienne uczucia chłopca wpatrującego się w Kullervo. – Idziemy, mały. – Odszedł. Ananke podążał za nim niby lunatyk, ciągle oglądając się na Reede'a.

– Niburu – zawołał Kullervo. – Przekonasz się, że teraz, po odrzuceniu mej oferty, możesz mieć wyjątkowe trudności ze znalezieniem takiej pracy, jakiej pragniesz.

Kedalion stanął, obejrzał się i zacisnął usta na widok wyrazu twarzy Reede'a. – Przekonamy się – powiedział z mniejszym przekonaniem, niż chciał wyrazić. Odwrócił się i znowu ruszył.

– Tak – rzucił Reede w jego oddalające się plecy. – Liczę na to.

NUMER CZWARTY: Brama Czwórki

Inspektor Policji Hegemonii BZ Gundhalinu wszedł do swego gabinetu, tak jak czynił to codziennie od niemal pięciu lat, naśladowując dokładnie przebieg dnia wczorajszego; jak robot, mógłby uznać, jeśliby tylko dopuszczał do siebie podobne myśli, czego jednak nigdy nie robił. Pucharek mocnego naparu z challo – najsilniejszej używki zbliżonej do narkotyku, na jaką sobie pozwalał – postawił na rogu biurko – komputera, zakrywając zmatowiały od ciepła poprzednich naczyń kawałek ciemnego, błyszczącego blatu z cerralitu. Usiadł w fotelu i patrząc na panoramę Bramy Czwórki, zażądał od komputera porannego raportu. Zawsze odbierał go tylko słuchem, w ciągu całego dnia były to dlań jedyne chwile zbliżone do odpoczynku. Denerwująca komputerowa kopia jego głosu zaczęła przedstawiać skrót zawartości zbioru. Inspektor, gapiąc się przez okno na zasnutą zimną mgłą miasto, pomrukami zaznaczał fragmenty, które pragnął poznać bardziej szczegółowo. Szyba choć raz była zupełnie sucha, ale na oczach Gundhalinu znowu zaczęło padać, przypadkowe palce deszczu pukały niezmordowanie w tafłę, krople spływały po niej jak bezładne łyż. "Do licha z ulewą" – pomyślał, trąc oczy. Za bardzo przypomina śnieg.

– ...Główny Inspektor prosi pana o możliwie jak najszybsze przybycie do swego gabinetu...

Gundhalinu zeszywniał. – Dość – polecił biurku i odwrócił się w stronę wiadomości widniejącej na ekranie. Główny Inspektor. Patrzył na znieruchomiałe kształty liter... do swego gabinetu. Dłonie BZ zacisnęły się na wymodelowanych poręczach fotela, zakotwiczyły ciało w terażniejszości, podczas gdy cały pokój migotał, jakby miał zaraz zniknąć, pozostawiając go w biały m pustkowiu...

Inspektor wstał powoli, bał się, iż zdradzi go własne ciało; iż nogi nie zechcą go nieść albo po osiągnięciu drzwi i wyjściu na korytarz pomkną w ucieczce. Jest tylko jeden powód, dla którego Główny Inspektor może pragnąć spotkać się z nim osobiście. Gundhalinu opuścił wzrok, obejrzał niebieskoszary mundur, szukając na nim pyłku kurzu lub zmarszczki. Upewniwszy się, iż wygląda regulaminowo, wyszedł z gabinetu i ruszył przez gmach Policji do czekającego Głównego Inspektora Savanne.

Stanąwszy przed biurkiem Głównego Inspektora na dywanie w odcieniu zmatowiałego rózu, Gundhalinu nie pamiętał, jak tu trafił. Jego ciało dokonało z nawyku nienaganego salutu, choć sam był przekonany, iż twarz zdradza go wypisaną na niej winą, większą niż wina każdego zbrodniarza.

Savanne odwzajemnił powitanie, ale uczynił to na siedząco. Zapadając się w miękkich objęciach fotela, bez słowa przyglądał się Gundhalinu. BZ wysiłkiem woli nie umykał oczyma przed tym spojrzeniem. Wzrok Głównego Inspektora był nawet na ekranie trudny do zniesienia. Niepewność w jego szarych oczach Gundhalinu gorzej znosił od spodziewanego wyrazu zimnej pogardy.

– Panie... – zaczął Gundhalinu i powstrzymał wypełniający mu usta zalew wymówek. Jak pod przymusem opuścił wzrok na błękit munduru i lśniące buty, wszystko było w nieskazitelnym porządku, lecz mimo to oczyma duszy dostrzegał prawdziwą, rzeczywistą, skrytą skazę – dostrzegał hipokrytę, zdrajcę przebranego w strój uczciwego człowieka. Nie wątpił, że Główny Inspektor widzi to również. Tiamat. Niespodziewanie wszystkie jego myśli wypełnił ten wyraz, ten świat. Tiamat, Tiamat, Tiamat...

– Inspektorze – odpowiedział Savanne, kiwając głową. Gundhalinu poczuł, jak jego usta zaciskają się jeszcze mocniej, jak w oczekiwaniu ataku sztywnieją wszystkie mięśnie jego twarzy i ciała, lecz usłyszał tylko: – Sądzę, że obaj zdajemy sobie sprawę, iż w ostatnich miesiącach pańska praca nie była w pełni zadowalająca. – Jak zwykle przeszedł prosto do rzeczy.

Gundhalinu wyprostował się jeszcze bardziej, zmusił się ponownie do spojrzenia w oczy Savanne.

– Tak jest.

Główny Inspektor błdził czubkami palców po tabliczce dotykowej komputera, wysyłał na jego ekran przypadkowe dane, czynił tak niekiedy, gdy był zdenerwowany. A może dane nie są przypadkowe. Gundhalinu nie dostrzegał ich ze swego miejsca.

– Na Tiamat musiał pan służyć bardzo dobrze, skoro tak szybko otrzymał stopień inspektora. To jednak mnie nie dziwi, skoro był pan technikiem drugiej klasy... – Savanne pochodził z Kharemough, podobnie jak Gundhalinu i większość wyższych oficerów znał zasady panujące w tamtejszym sztywnym, technokratycznym, podzielonym na klasy społeczeństwie, wiedział, co z nich wynika.

Był, Gundhalinu przełknął to słowo jak grudkę suchego chleba. Poruszył założonymi na plecach rękoma, dotknął palcami szram na przegubach. Trzymając się z dala od Kharemough, może chronić rodzinę przed hańbą, nigdy jednak nie zdoła zapomnieć o swej porażce, bo nigdy nie zapomną o niej jego rodacy, a zastanie ich wszędzie, dokąd by się nie wybrał.

Savanne uniósł wzrok, skrzywił się lekko, zauważywszy ukradkowy ruch.

– Gundhalinu, wiem, że ze swej służby na Tiamat wyniósł pan nieprzyjemne wspomnienia... że nadal nosi pan blizny. – Znowu opuścił oczy, jakby peszyła go sama wzmianka na ten temat. – Nie wiem, dlaczego nie kazał ich pan usunąć, ale nie chcę też, by pan sądził, iż dbam o to, co sam pan sobie uczynił...

Albo czego sobie nie uczyniłem. Gundhalinu poczuł rumieniec na twarzy, wiedział, że blade zazwyczaj piegi płoną teraz czerwienią na tle śniadej skóry. Już samo to, że Savanne wspomniał o szramach, zdradziło mu zbyt wiele. Nic nie odpowiedział.

– Tu, na Numerze Czwartym, służy pan od prawie pięciu lat standardowych i przez większość tego czasu zatrzymuje dla siebie to, co pana gnębi. Może za bardzo dla siebie...

Gundhalinu opuścił wzrok. Wiedział, że inni oficerowie mają go za trzymającego się na uboczu i nietowarzyskiego, że mają rację. Nic go to jednak nie obchodziło, bo od chwili opuszczenia Tiamat nic nie miało dlań większego znaczenia. Stojąc w oczekiwaniu, czuł, jak w kości wkrada mu się ziąb dawno minionej zimy. Usiłował przypomnieć sobie twarz... dziewczynę o włosach barwy śniegu i oczach jak agaty... usiłował nie pamiętać.

– Aż do niedawna okazywał pan godne podziwu opanowanie – ciągnął Savanne. – Ale po sprawie Bractwa Wendroe... Została załatwiona bardzo źle, na pewno nie muszę tego panu mówić. Gubernator Generalny osobiście wyraził mi swoje pretensje.

Gundhalinu powściągnął bezwiedny grymas, dosłyszał nagle znaczenie kryjące się za tymi słowami. Policja musi wyrażać dobrą wolę Hegemonii. Powieki zadrżały mu w chęci przesłonięcia oczu, ale zmusił się do wytrzymywania wzroku Savanne.

– Rozumiem, panie Inspektorze. Cała wina leży po mojej stronie. Wysunięcie oskarżeń wobec szambelana Bractwa było rzeczą niewybaczalną. – Choć są one prawdziwe. Prawda była zawsze pierwszą ofiarą składaną na ołtarzu stosunków z rządami poszczególnych planet.

Kharemough utrzymywał Hegemonię dzięki kruchej sieci sankcji ekonomicznych i manipulacji, brak napędu gwiazdowego uniemożliwiał wszelkie bardziej scentralizowane uzależnienie. Ósemki planet należących do Hegemonii nic niemal nie łączyło oprócz wzajemnego dostępu do Czarnych Wrót. Były niezależne pod względem techniki, a Kharemough z hipokryzją i udawaną troską pilnował, by zachowywały swe zacofanie w tej dziedzinie. Gundhalinu wiedział o tym równie dobrze, jak wszyscy; tego także nauczyła go służba na Tiamat.

– Powiniennem był natychmiast zgłosić swą rezygnację – powiedział. – Przez ostatnie miesiące

miałem... kłopoty rodzinne. Moi bracia zgubili – posiadłości rodowe, majątek ojca, świętą pamięć tysięcy przodków, wszystko przez swą głupotę i chciwość – zgubili się w Końcu Świata. – Poczuli, jak krew znowu bije mu na twarz, i dokończył pośpiesznie. – Nie tłumaczę się w ten sposób, jedynie wyjaśniam okoliczności.

Główny Inspektor spojrzał nań, jakby to nie wyjaśniało niczego. Gundhalinu nawet w myślach nie roztrząsał snów, które nie pozwalały mu spać, odkąd jego bracia przejechali przez Bramę Czwórki w drodze na poszukiwania złudnego skarbu, jaki spodziewali się znaleźć w groźnym pustkowiu zwanym Końcem Świata. Każdej nocy jego sny prześladowały duchy wydziedziczonych przodków; twarz zmarłego ojca zmieniająca się w oblicze dziewczyny blade jak śnieg; bezkresne połacie śniegu... Budził się w dreszczach, jakby przemarzył.

– Panie Inspektorze, składam moją rezygnację – powiedział i jakoś udało mu się uchronić głos przed załamaniem.

Savanne pokręcił głową.

– To nie jest konieczne. Pod warunkiem, że zgodzi się pan w zamian na tymczasowe obniżenie stopnia i przymusowy urlop, który potrwa tak długo, dopóki Gubernator Generalny nie zapomni o całym incydencie. I dopóki nie osiągnie pan pewnego stopnia równowagi uczuciowej.

Gdybym tylko zdołał równie łatwo zapomnieć o przeszłości, jak Gubernator Generalny zapomni o mnie. Gundhalinu przełknął twardą grudkę i odpowiedział słabym głosem:

– Dziękuję, panie Inspektorze. Okazuje mi pan większe względy, niż na to zasługuję.

– Był pan dobrym oficerem – odparł Savanne trochę mechanicznie. – Zasługuje pan na czas na rozwiązanie swych problemów.. jeśli to okaże się możliwe. Proszę odpoczywać i korzystać z oderwania od obowiązków. Niech pan spróbuje poczuć się na tej planecie jak u siebie w domu. – Zerknął na Gundhalinu, z przykrością spojrzał na różowe pręgi blizn na jego przegubach. – A może.. przyda się panu bliższe zajęcie się zniknięciem braci w Końcu Świata.

Gundhalinu pociemniało przed oczyma, poczuł nagły zawrót głowy, jakby miał zaraz upaść. Gwałtownie nią potrząsnął; spostrzegł przelotny grymas na twarzy Głównego Inspektora.

– Niech pan wraca do służby, Gundhalinu – mruknął Savanne. – Ale tylko bez blizn.

Gundhalinu popatrzył na niego, w końcu zasalutował, nim jego ciało dokonało szybkiego zwrotu w tył i wyniosło go z gabinetu.

Bez blizn. Korytarz rozciągał się przed nim lśniący i nieuniknienie. Bez przeszłości. Zastanawiał się, jaki sens ma polecenie usunięcia szram. Główny Inspektor będzie widział je nadal. Podobnie jak i on sam. Będzie to jedynie następny przypadek hipokryzji. Gundhalinu ruszył przed siebie. Życie swym kapryśnym nurtem pozostawia nam blizny, myślał. Tylko śmierć jest doskonała.

TIAMAT: Południowe Wybrzeże

– Miroe...? – zawołała Jerusha, wychodząc z kabiny statku na łagodnie kołyszący się pokład. Ujrzała go stojącego przy relingu; ciągle, od wielu godzin, obserwował mery. Morski wiatr był zimny i rześki, gwizdał w takielunku, mocno napierał na PalaThion, gdy tylko wyszła z ukrycia, ale za to niebo było choć raz czyste, a ciepło słońca docierało głębiej niż tylko do naskórka.

Nie mogła tego powiedzieć o temperaturze wyrazu twarzy męża i spojrzeniu, którym ją obdarzył. Zamknął trzymane przez siebie urządzenie zapisujące domowego wyrobu i ściągnął z uszu słuchawki.

– Cholera – mruknął bardziej do siebie niż do Jerushy – nic nie wychodzi...

Westchnęła, powściągając niepokój na widok zdenerwowania męża. Stała obok niego przy relingu katamaranu, spoglądała na ruchomą powierzchnię wody. W tej chwili nigdzie nie było widać merów.

– Gdyś zaproponował, byśmy wyjechali na kilka dni, tylko we dwoje, pożeglowali wzdłuż wybrzeża, miałam nadzieję, że będzie... spokojniej. – Romantycznie – j. Ponownie odwróciła wzrok, jak zawsze niezdolna do wypowiedzenia swych uczuć.

– Czy nie jest spokojnie? – zapytał ze zdziwieniem. Po jej trzecim poronieniu upierał się, że oboje pracują zbyt ciężko. Minęło już dostatecznie dużo czasu, by mogli bezpiecznie postarać się o dziecko, i Jerusha miała nadzieję, że ta podróż będzie po to... tylko po to.

– Czuję się... samotnie. – Zmusiła się do powiedzenia tego, do spojrzenia na niego.

– Tak bardzo brak ci Krwawnika? – zapytał.

– Brak mi ciebie.

Odwrócił swe brązowe, lekko skośne oczy, objął żonę ramieniem, przyciągnął. Przyciskał ją, niby słońcem ogrzewając swą bliskością, ale jednocześnie drugą ręką majstrował przy urządzeniu zapisującym, unikając w ten sposób odpowiedzi. Zawsze był człowiekiem małowównym; jego uczucia były tak silne i głębokie, iż niemal niedostępne. Wiedziała o tym, gdy za niego wychodziła. Tym właśnie ją zdobył, swą siłą i głębią. A także swą twarzą o złocistej cerze i surowej urodzie w chwili, gdy się do niej uśmiechał... prostymi, czarnymi jak noc włosami, nedorzecznym uporem wąsów i sposobem, w jaki je podkręcał, gdy coś go zdumiało – jak wówczas, gdy oznajmiła mu, iż zostaje na Tiamat, i zadała pytanie, którego nie potrafił sam wypowiedzieć...

Zawsze rozumiała jego małowówność, powściągliwość, bo sama była pod tym względem tak bardzo do niego podobna. Ale zrozumienie nie wystarczało, by milczenie przestało wznosić między nimi niewidzialną ścianę. Niekiedy miała wrażenie, że zostali oboje złapani w pułapkę pola stazji, że pozbawiono ich możliwości porozumiewania się, ruchu i uczuć. Przejmowało ją to takim strachem, jakiego nie doznała przez wszystkie swe lata służby w Policji Hegemonii. Ten lęk jest gorszy, ponieważ nie ma pojęcia, co począć...

– To już długo nie potrwa – mruknął w końcu. – Obiecuję. Prawie skończył mi się materiał do zapisywania. – Obdarzył ją jednym ze swych krzywych, rzadkich świadomych uśmiechów i poczuła, jak mija jej napięcie.

Zaskoczył ją przebijający w pobliżu powierzchnię wody pysk mera. Pojawił się nowy i jeszcze jeden. Wysuwały coraz dalej długie, kręte szyje i kiwały ciekawie głowami. Ich mokre, cętkowane futro błyszczało w słońcu, poruszały się z wdziękiem ptaków w locie. Mery wpatrywały się w Jeruszę oczyma niby północ. Zagładanie w nie przypominało medytację; nawet chwila przesycala ją takim spokojem, jaki osiągała po całych godzinach samotności i pustki w myślach.

Zastanowiła się ponownie nad tymi, którzy stworzyli je w dawno minionych czasach Starego

Imperium. Mery nie przypominały wyglądem człowieka, lecz dla ludzkiego oka wydawały się łagodne, a nawet piękne. Zdawały się także darzyć ludzi instynktownym zaufaniem; nie okazywały najmniejszych obaw, choć ludzie od wieków urządzali im rzezie. Zapominały... albo wybaczwały. Nie wiedziała, co jest słuszniejsze, bo nie miała pojęcia, co się naprawdę dzieje wewnątrz ich umysłów. Struktura genetyczna ludzi i merów była pozornie podobna; szerokie pyski i płaskie nosy morskich stworzeń zawsze przypominały Jerushy twarzyczki dzieci – ciekawe i ufnie. A przecież wpatrujące się w nią teraz były bogowie tylko wiedzą jak stare. W głębszym sensie były równie obce i nieprzeniknione, jak na pozór podobne do wszystkiego, co w nich rozpoznawała.

Patrzyła i słuchała, podczas gdy Miroe odtwarzał zapisane wcześniej urywki ich mowy i rejestrował odpowiedzi. Powietrze wypełniały śpiewne trele, szczebiotliwe skrzeki i melodie o niskim brzmieniu. Mery są gatunkiem obdarzonym rozumem; ich mózgi pod względem wielkości i złożoności przypominają ludzkie. Prawda o ich rozumności tkwiła zapisana w bankach pamięci sieci sybilli i była dostępna w czasie Przekazu. Nie zachowały się jednak żadne dane na temat przyczyn, dla których ich bawiący się w bogów stwórcy obdarzyli je inteligencją, podobnie jak na temat powodów dania im względnej nieśmiertelności. Mery stanowiły kolejną tajemnicę niby mgła otulającą ów przeklęty świat, sprawiającą, iż jasny wgląd w jego przeszłość był równie niemożliwy, co w przyszłość.

Inteligencja merów przejawiała się jednak w swoisty sposób. Poza ludźmi nie miały one naturalnych wrogów, pozbawione były kultury materialnej i chęci jej stworzenia. Istniały w wiecznym teraz, w stałym morzu; czas był dla nich jak ocean, choć dla innych żyjących wokół nich istot stanowił rzekę. W porównaniu z beczasowym trwaniem merów wszystkie pozostałe życia były mgieniem; dziś są, jutro ich nie ma...

Większość ludzi nie była w stanie pojąć owej różnicy, albo z powodu nieprzekraczalnej dla nich bariery obcego sposobu myślenia, albo dobrowolnego na nią zaślepienia. Znacznie łatwiej było im przyjąć, że mery zmieniały morza tej planety w źródło młodości. Najbogatsi i najpotężniejsi ludzie w Hegemonii gotowi byli zapłacić każdą cenę za możliwość czerpania z niej, choćby miało to oznaczać picie krwi. Srebrzysty wyciąg z krwi mordowanych merów nazywano eufemistycznie "wodą życia". Zażywany codziennie pozwalał ludziom zachować niezmienny stan ciała. Nikomu jak dotąd nie udało się odtworzyć sztucznie wyciągu, tajemnica dobro – czynnego technowirusa, podobnie jak mery stworzonego w Starym Imperium, zaginęła w mroku wieków. Bez względu na troskę, jaką otaczano technowirus, ginął on szybko po opuszczeniu ciał swych pierwotnych nosicieli; podobnie umierały mery oddzielone od pobratymców i wywiezione poza planetę. Ciągły popyt na wodę życia domagał się stałych jej dostaw. Zapewniała je Arienrhod, podobnie jak wszystkie poprzedzające ją Królowe Śniegu, pozwalając polować na mery; Zimacy czerpali z tego korzyści, tuczając się na handlu, zaś niezliczone mery płaciły życiem.

Teraz jednak nareszcie powróciło Lato. Pozaziemcy odlecieli, wraz ze swą nienasyconą chciwością. Mery zyskały czas spokoju, podczas którego boleśnie powoli zwiększą swą liczebność, wyrównując niewypowiedziane zło, wyrządzone im przez stwórców.

Jeden z merów zanurzył się ponownie pod powierzchnię wody, gwałtownie przerywając rozmowę, którą próbował prowadzić z nimi Miroe. Oba pozostałe spojrzały na siebie i na człowieka, a potem zniknęły mu z oczu, gwizdząc trele mogące być pożegnaniem albo zwykłym odgłosem bez znaczenia.

Miroe przechylił się przez reling, wpatrując w nagle opustoszałe morze. Zaklął z zawodu. – Co u diabła? Czemu tak mnie zostawiły?

Jerusha wzruszyła ramionami.

– Może rozgniewałeś je czymś?

– Nie – warknął ze zjadliwą złością. – Nie rozgniewałem. Po tak długim czasie tyle przynajmniej się dowiedziałem o ich mowie, zresztą wszystko jest zapisane... – Mery fascynowały Miroe, nim jeszcze poznał Jerushę, nim upewnili się, iż stanowią gatunek obdarzony rozumem. Spotkała go po raz pierwszy, gdy kontaktował się z przemysłowcami techniki, kupując od nich zakazany sprzęt, mający mu pomóc w zakłócaniu prowadzonych przez Królową Śniegu polowań. Wierzył w inteligencję merów jeszcze przed oznajmieniem mu prawdy przez Moon Dawntreader, która weszła w przekaz sybilli. Od lat usiłował rozszyfrować oparty prawdopodobnie na tonach ich język. Mery nie były w stanie mówić jak ludzie.

– Może rozmowa je znudziła – podsunęła Jerusha.

Miroe zwrócił się ku niej, ale mina zdenerwowania już mu mijała. Znowu popatrzył na wodę.

– Skłonny jestem uznać, że masz rację – mruknął. – Cholera! Choć minęło tyle czasu, rozumiem je równie mało, co dwadzieścia lat temu. – Zamknął gwałtownie zapisywacz. – Nie chcą rozmawiać, jedynym, czego pragną, jest śpiew. Są w nim struktury harmoniczne, tworzące logiczne wzory, ale brak mu sensu. To tylko hałas.

Miroe wyodrębnił sekwencje oznaczające dla merów poszczególne rzeczy i czynności, ale było ich niewiele i rzadko występowały w dokonanych przez niego zapisach. Tak zwane przez Tiamatańczyków pieśni merów wyróżniały się abstrakcyjnym pięknem, niewiarygodną złożonością i delikatnością powiązanych z sobą tonów i dźwięków. Mery zdawały się spędzać większość czasu na powtarzaniu urywków pieśni, przypominało to recytowanie przekazywanej ustnie historii, nauczanie jej młodzieży, zachowywanie dla potomków. Spójne wzorce dźwiękowe pozbawione były jednak treści symbolicznej, którą Miroe byłby w stanie wykryć. Mery nie okazywały żadnego zainteresowania rozmową, daniem i braniem, ograniczały się do wyrażania najbardziej podstawowych stron swego życia... – Ale jaki jest cel języka, jeśli nie rozmowa, porozumiewanie się? – zapytał opustoszałą wodę. – Czy może mieć inny cel? Po co im tak złożony, rozbudowany system, jeśli nie używają go do rozszerzania swej wiedzy i zmiany trybu życia?

– Mery są inne – przypomniała mu łagodnie. – Ktokolwiek je stworzył, uczynił z nich coś nowego. Być może znaczenie tego wszystkiego zginęło wraz z ich stwórcami, podobnie jak znaczenie Krwawnika.

Pokręcił głową, spoglądając na mery odpoczywające na odległym brzegu.

– Gdybyśmy tylko zdołali je przekonać do chętnego prowadzenia rozmów, uzyskalibyśmy dowód na ich inteligencję, którego nikt nie mógłby zlekceważyć, który zmusiłby Hegemonię do pozostawienia ich w spokoju. Gdybyśmy przynajmniej znaleźli sposób na nauczenie ich ostrzeżeń, by mogły uciec przed łowami... – prześladowające go wspomnienie sprawiło, iż zacisnął dłonie w pięści.

– Miroe... – wzięła go pod ramię, próbowała odprowadzić.

– Moon powinna bardziej się starać rozwiązać ten problem. – Niemal bezwiednie wyzwolił się z uchwytu Jerushy; ta odstąpiła, cofnęła się przed nim. – Po zostaniu królową powiedziała mi, że poświęci życie ocaleniu merów...

– Wierzy, iż stworzenie gospodarki Tiamat do czasu powrotu Hegemonii pomoże zarówno nam, jak i merom – odparła Jerusha dość ostro. – Wiesz o tym. Pomagasz w urzeczywistnieniu tego. Sparks prowadzi dla niej badania materiału zgromadzonego przez nas na temat merów; powinieneś chyba z nim porozmawiać, dojść do jakiegoś porozumienia. Może mieć świeże spojrzenie...

– Nie z nim – stwierdził Miroe bezbarwnym głosem.

Spojrzała na niego.

– Wiesz dlaczego. – Skrzywił twarz, patrząc na brzeg. – Najlepiej ze wszystkich ludzi.

Widziałaś, co zrobił. Wiesz, że to przez niego musieliśmy przypląć aż tutaj, że nie możemy już obserwować kolonii merów na plantacji... – Bo Sparks Dawntreader zabił je wszystkie.

Popatrzyła na niebo, przypominając sobie inne – a także własne przekonanie, iż w każdej chwili pęknie i spadnie na nich, przywołując ów dzień sprzed niemal ośmiu lat, gdy pod sam koniec Zimy stali oboje na plaży przesiąkniętej krwią, patrząc na zemstę Arienrhod. Bezwiednie przeszkodzili w realizacji jej planów dotyczących Zmiany... dlatego wysłała łowców, by wybili kolonię merów, osiadłą na brzegach plantacji Miroe; kolonię, którą zawsze uważał za bezpieczną pod jego opieką.

Pomimo to łowcy zabili wszystkie mery, a dowodził nimi człowiek o obrzędowym imieniu, noszący obrzędową maskę, odziany w czerń chroniącą jego prawdziwą tożsamość: Starbuck, tak się nazywał jej giermek, jej kochanek... Pod koniec Zimy obrzędową maskę nosił Sparks Dawntreader.

Jerusha przed owym dniem nigdy nie widziała mera. Wtedy ujrzała ich setkę, leżących na plaży z podciętymi gardłami, pozbawionych cennej krwi – a na koniec, przez ostatni, gorzki cios losu, obłupionych ze skóry przez przechodzącą tamtędy hordę zimackich koczowników. Ujrzała setkę ciał, okaleczonych, zmasakrowanych; pozbawione duszy wżórki mięsa pozostawione na plaży, by tam zgniły i zostały objedzone do kości przez ścierwojady. Ale tak naprawdę to owego dnia nie zobaczyła merów ani nie pojęła prawdziwego wymiaru tragedii, głębi rozpaczającej stojącego obok niej mężczyznę. Stało się to dopiero, gdy ujrzała żywe mery, poruszające się w morzu; usłyszała syrenie wezwania ich pieśni, odkryła bezmiary spokoju w ich oczach... Wtedy ostatecznie zrozumiała skrytą prawdę Łowów, obrzydliwość wody życia.

A potem pojęła, dlaczego Miroe nie przebacza, nie może przebaczyć Sparksowi Dawntreaderowi – Letniakowi, dziecku Morza – zostania marionetką Arienrhod... jej Starbuckiem. Odwróciła wzrok od merów na plaży, ujrzała pustkę w oczach męża. Rozluźniła dłonie nieświadomie, kurczowo zaciskające się na relingu; przycisnęła je do brzucha, równie jałowego i pustego co spojrzenie, którym obdarzał ją Miroe. Odwróciła się, ruszyła do osłoniętego łona kabiny; poczuła nagle, jakby przekleństwo Arienrhod nadal ciążyło na nich wszystkich, nawet tutaj, nawet po tak długim czasie. Zawahała się w drzwiach, po raz ostatni patrząc na męża stojącego nieruchomo przy relingu, patrzącego na wodę. Weszła w mrok kabiny, nasłuchując, czy rozlegnie się w tyle odgłos jego kroków; doznała jedynie ulgi, gdy nic nie usłyszała.

TIAMAT: Krwawnik

– No, kuzynie, zapowiada się piękny dzień!

Zaskoczony Danaquil Lu Wayaway obejrzał się, poczuwszy dłonie opadłe mu przyjaźnie na ramiona. Nacisk wywołał ból w zreumatyzowanych plecach, zmuszając do zaciśnięcia zębów. Kirard Set, krewny zagadniętego i starszy rodu Wayawayów, uśmiechał się nieznacznie, świadom cierpień Danaquila Lu, który skrzywił się i zapytał: – Mówisz o pogodzie?

– O pogodzie – roześmiał się Kirard Set. – Jesteś nieoceniony, Dana. – Popatrzył na kuzyna. – Nie wiem, czy ze mnie kpisz, czy naprawdę tak długo przebywałeś wśród tych rybojadów, że mówisz poważnie. W każdym razie jesteś czarujący.

Danaquil Lu, nie mający takiego zamiaru, zachował milczenie.

– Mówiłem oczywiście o zbliżającej się decyzji w sprawie nowej odlewni.

– W takim razie nie powinieneś zwracać się z tym do mnie – odparł Danaquil Lu bezbarwnym głosem. Wielu spośród szlachty zimackiej gotowych było oskarżyć go o stronnictwo, ponieważ był jednym z dwojga zaledwie Zimaków w Kolegium Sybilli, a ponadto Wayawayem; nie powstrzyma ich nawet to, że ostateczna decyzja należy do Królowej. Nachylił się ciężko nad stołem, usiłując znaleźć pozycję, w której poczułby się lepiej. Nie potrafił już wyprostować się do końca ani stojąc, ani siedząc.

– Nie tylko wyglądasz staro, kuzynie – prychnął Kirard Set – ale i zachowujesz się jak starzec. Nie powinieneś być opuszczać miasta. – Przerwał w połowie zajmowanie miejsca obok Danaquila Lu i okrążył wielki, dyplomatyczny okrągły stół, szukając bardziej odpowiadającego mu sąsiada.

– Czy miałem wybór? – mruknął Danaquil Lu do siebie. Uniósł dłoń, dotykając lekko krawędzi blizn przecinających mu policzek i szczękę. W oczach płonęły mu wspomnienia wyrzucenia z Krwawnika, tak wyraźne, jakby działo się to wczoraj. Trudno mu było zrozumieć, iż zdarzyło się pół jego życia temu, spotkało oniemiałego chłopca, który mógłby być kimś całkowicie obcym dla człowieka, jakim stał się w Lecie, podobnie jak trudno mu uwierzyć, że już od niemal ośmiu lat przebywa ponownie w Krwawniku. Otrząsnął się z oszołomienia ruchem, który przyprawił go o jeszcze większy ból.

Lekarz Królowej, Ngenet Miroe, współpracował z Clavally, radząc się sieci sybilli, próbując odtworzyć lek lub technikę chirurgiczną, która mogłaby pomóc Danaquilowi Lu. Dopóki mu się nie uda, Wayawayowi pozostawało jedynie życie w chorobie. Poruszał się jak stary człowiek, czuł się jak on; niekiedy trudno mu było uwierzyć, że nim nie jest, sprawiał to zwłaszcza widok Kirarda Seta. Starszy rodu ma tyle lat, iż mógłby być jego prapradziadkiem, lecz wygląda raczej jak syn. Kirard Set był faworytem Królowej Zimy i miał poprzez nią dostęp do wody życia.

Nie ma już jednak Arienrhod i w kącikach oczu Kirarda Seta zaczęły się pojawiać nieznaczne zmarszczki wieku. Danaquil Lu pomyślał o tym i poczuł się mniej staro. Dzięki miastu łatwiej mu było przynajmniej znosić fizyczne trudy życia. Gdyby nie przybyli do Krwawnika, Clavally także nigdy nie pozwoliłaby sobie na ciężę, nie cieszyłaby się piękną córką, odciągającą jego myśli – i Clavally – od obsesji śmierci. Lato wkroczyło wreszcie do miasta, a także do ich życia. Dobrze jest wrócić do domu.

Podniósł powtórnie wzrok, zauważając z pewnym zdziwieniem, że Kirard Set zajął puste miejsce obok Sparksa Dawntreadera, małżonka Królowej – miejsce, które miała zająć Moon. Sparks nie zaprotestował jednak i Kirard Set uśmiechnął się z zadowoleniem, splatając ręce na stole.

– Diabelstwo!

Danaquil Lu spojrział znowu, gdy ktoś opadł na fotel sąsiadujący z jego. Borah Clearwater

dyszał jak klee spoza gęstej, białej szczotki wąsów, mrucał złowieszczo. Wayaway zacisnął usta, opanowując uśmiech, podczas gdy starszy pan powoli dochodził do siebie.

Borah Clearwater jest dla niego rodzajem wujka ze strony matki, jeśli dobrze pamięta; swarliwy stary grzyb posiadający plantację daleko na południe od miasta, przybywający do Krwawnika jedynie przyciśnięty przymusem. Tym razem wiązało się to z rodem

Wayawayów; Kirard Set domagał się prawa drogi przez ziemie Clearwatera, najkrótszego dostępu do morza, czyniąc to częścią nacisków na Królową, mających doprowadzić go do uzyskania przywileju zbudowania nowej odlewni na otoczonym przez inne posiadłości skrawku własnej. Obecność Clearwatera świadczyła, że bał się powodzenia starań starszego rodu.

Danaquil Lu rozejrzył się po stole. Pozostało przy nim kilka wolnych miejsc. Fakt, iż Clearwater zajął sąsiednie, a wszyscy pozostali woleli dalej położone, świadczył w pewnym stopniu o jego pozycji – pozycji jako sybilli lub odszczepieńca z własnego rodu. Jak przypuszczał, było to jednym i tym samym.

Dotknął koniczynki zwisającej mu na koszuli, patrząc jednocześnie w lewo, zauważając, że miejsce z tej strony jest nadal wolne. Siedząca za przerwą przywódczyni rodu Greenside spojrzała ostrożnie na Danaquila Lu. Królowa Lata sprawiła, iż Zimacy przyjęli to, co po stuleciach okłamywania przez Hegemonię zdawało się im niemożliwe; prawdę, iż sybille są ludzkimi końcówkami komputera powiązanymi z międzygwiazdną siecią informacyjną. Wykazała ludziom w mieście, że sybille mogą dać im technikę, jakiej pożąдали; że nie są chorymi szaleńcami, co zawsze głosili pozaziemcy, mogący dzięki temu podczas swej nieobecności utrzymywać Tiamat w niewiedzy i zacofaniu. Nie można jednak w ciągu jednej nocy pozbyć się żywionych przez całe życie podejrzeń... ani nawet w ciągu ośmiu lat...

– No, Danaquilu Lu Wayawayu, przynajmniej w odróżnieniu od większości z mego rodu nie pachniesz jak osłodzona kąpiel – stwierdził nagle Borah Clearwater, jakby czytał w myślach sąsiada. – I nie wyglądasz jak kochający mamusię pozaziemiec w plastikowych ciuchach. Niech utonę, jeśli nie wolalbym siedzieć z pomyleńcami i Letniakami niż z tymi wydelikacjonymi w mieście szczyrmurkami z ich zrodzonymi w rozmokłych mózgownicach myślami o wskrzeszeniu trupa. – Szarymi, bystrymi jak u drapieżnika i równie miłymi oczyma spojrzał na Danaquila Lu, jakby szukał u niego potwierdzenia.

Wayaway poczuł, jak jego usta wykrzywają się w następnym uśmiechu.

– Ja też – powiedział szczerze.

Clearwater chrząknął, wystarczyłoby mu nawet skromniejsze poparcie.

– Pozaziemcy odeszli, z nimi technika; co przepadło, to przepadło. Całe życie przyzwyczajałem się do tego. Niech sobie idą, szczęśliwej drogi. – Danaquil Lu nic tym razem nie powiedział, myśląc w duchu, że gdyby wszyscy pozostali przy stole byli równie starzy co Clearwater, z podobną łatwością pożegnaliby przyszłość i pogodzili się z nieuniknionym. Nie byli jednak jak on gotowi na śmierć, w tym cała różnica... Choć zdarzały się dni, gdy próbując rano wstać, rozumiał niemal punkt widzenia Boraha Clearwatera.

– Piekielny kłopot – ta cholerna baba, Królowa Lata; Kirard Set ciągnący mnie tu przez połowę wybrzeża...

Danaquil Lu bez namysłu uniósł rękę, uciszając go gwałtownie.

– Królowa – mruknął. Clearwater odwrócił się w ślad za wzrokiem sąsiada, spojrzał na salę.

– Psia... – westchnął bardziej jakby w zdziwieniu niż złości. Danaquil Lu zastanawiał się, co naprawdę czuł, wpatrując się jednocześnie w Królową wchodzącą do sali, przecinającą ją pod oczekującym spojrzeniem setki oczu. Przekonał się, że jak zawsze trudno mu oderwać od niej wzrok.

Nie potrafił stwierdzić, co w niej tak go pociąga. Jasne włosy władczyni odcinały się zdumiewająco od stonowanych zieleni tradycyjnej, wzdymającej się za nią jak morze szaty. Danaquil Lu wiedział, że ma oczy barwy agatów wyrzucanych na brzegi Tiamat; w ich zmiennych głębiach kryła się ziemia, morze, niebo. Królowa nie była wysoka ani nadzwyczaj piękna, choć nadal równie smukła co dziewczyna, której wraz z Clavally pomógł przyjąć powołanie na sybille. Miała jednak coś w sobie, natężenie uczuć czy drżący wdzięk napiętego łuku, co przesycalo nawet kroki przemierzające salę; to właśnie zmuszało go do śledzenia każdego jej ruchu, wsłuchiwania się w każde słowo. Wiedział, że nie tylko on tak to odczuwa.

W czasie lat, jakie upłynęły od chwili jego powrotu wraz z Clavally do miasta, widywał ją niemal codziennie. Oboje jako jedni z pierwszych przystąpili do Kolegium Sybilli założonego przez Moon, by wspomogło ją w dążeniach do stworzenia od zera przemysłu. Widział, jak nabierała pewności siebie i doświadczenia, z niezdarnej dziewczyny z wysp przekształcała się w zdecydowaną kobietę, coraz częściej zwyciężającą dzięki swym umiejętnościom, coraz mniej zawdzięczającą zachowanie władzy dawanemu przez Panią szczęściu. Jeśli wierzyć plotkom, a uważał je za oparte na prawdzie, ma wrodzone talenty przywódcze. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia, skąd, dorastając wśród tradycyjnie myślących, nienawidzących techniki Letniaków z wysp, nabrała wizji, która pcha ją do wykuwania całkowicie nowej przyszłości całej planety. Stanowiło to częśćkę jej sekretu... będącego pewnie częśćką jej mocy.

Danaquil Lu skupił się znowu na sali, na chwili obecnej, gdy tylko Moon Dawntreader wybrała dla siebie wolne miejsce obok niego. Stojąc z rękoma spoczywającymi na rzeźbionym w totemowe zwierzęta oparciu fotela, uciszyła zgromadzonych. Danaquil Lu zerknął na swój notatnik, zobaczył narysowane tam przez siebie w roztargnieniu symbole koniczynki. Zebranie jeszcze się nie rozpoczęło, a plecy już go zabijały bólem. Dni spotkań Kolegium z Radą były zawsze długie. Westchnął, zazdroszcząc Królowej stanowczości i zdecydowania; żałując, że rodzicielski dyżur w domu przypadł dziś Clavally, a nie jemu. Zakrył symbole dłonią, gdy tylko Królowa zaczęła mówić, a siedzący z drugiej strony Borah Clearwater komentować jej słowa mrużeniem.

Obecnych było dzisiaj kilku członków Kolegium Sybilli, między nimi stojąca na jego czele niewidoma Fate Ravenglass. Była jedyną, obok Danaquila Lu, Zimaczką wśród sybilli. Przybyła także Jerusha PalaThion ze swym mężem, Miroe Ngenetem, oraz paru Zimaków, którzy dzięki kontaktom z pozaziemcami liznęli trochę wiedzy technicznej. Wszyscy oni pragnęli zostać badaczami, budowniczymi przyszłości Tiamat; zadawali pytania i współpracowali z sybillami, by wykorzystać dane sieci do zrobienia dostrzegalnego postępu.

Większość miejsc zajmowali przywódcy poszczególnych klanów Zimaków i Letniaków lub ich przedstawiciele, tworząc nastrój wzajemnego oczekiwania. Oni to stali się pierwszymi członkami Rady założonej przez Królową jednocześnie z Kolegium Sybilli. Już przedtem stali na czele rozrośniętych rodów; dzięki Radzie uzyskali forum, na którym mogli wyrażać interesy swych klanów i w głosowaniach bronić ich posiadłości.

Już przedtem, podczas panowania Królowej Śniegu, istniała Rada wzorowana na dysponującym władzą sądowniczą rządzie pozaziemców, ale należeli do niej wyłącznie Zimacy, głównie samozwańcza szlachta złożona z faworytów Arienrhod. Nigdy nie było Rady obejmującej Letniaków, a obie grupy mieszały się zwykle jak oliwa i woda. Danaquil Lu spostrzegł z ulgą, że nie ma dzisiaj Capelli Goodventure; nie znał kobiety, którą przysłała w zastępstwie. Zdziwiło go, że nie przybyła osobiście, rzadko przepuszczała okazję do wystąpienia przeciwko każdemu nowemu projektowi zaproponowanemu przez Kolegium Sybilli lub Królową.

Królowa, wykorzystując sieć sybilli i jej ogromne zasoby, zaczęła wszędzie rozsiewać ziarna

postępu – puszczały już kielki, niby wiosenna trawa przebijająca się przez śnieg. Nowe surowce, nowe sposoby produkcji, nowe narzędzia i wygody wynagradzały ciężką pracę ludu Tiamat. Wszystko było dopiero początkiem, lecz kryjąca się za nim obietnica tego, co może przynieść następne stulecie, stanowiła dla większości ludzi silniejszą pobudkę aniżeli nieustanne napomnienia Królowej, iż mogą – muszą – stać się niezależni pod względem przemysłu, tak iż powracających w przeszłości na Tiamat pozaziemców przywitają jako równych sobie.

Zimacy większość z jej propozycji przyjmowali z entuzjazmem wzmagającym opory Letniaków. Często gotowi byli na wszystko, na wyścigi ubiegając się o prawo wydobywania minerałów na swych plantacjach czy zbudowania na nich nowych laboratoriów i prototypowych fabryk. Dziś naciskać będą na Królową, by na północ od miasta zdecydowała się wznieść tamę i elektrownię.

– ..znacznie szybciej robilibyśmy postępy, gdybyśmy uzyskali odpowiednie zasilanie dla nowych fabryk... – Gaddon Overhill mówił ze zwykłą sobie swadą i pośpiechem. – I nie zanieczyści to powietrza ani nie zatruje morza...

– Ale tama spowoduje zalanie ziem – głównie należących do Letniaków – wykorzystywanych na pola i pastwiska – sprzeciwił się Dal Windward.

Overhill pogardliwie machnął ręką. – Niezbyt nadają się na plony czy paszę. Mała strata.

– Może dla ciebie, Zimaku! – powiedziała przedstawicielka rodu Goodventure. – Ktoś musi dostarczać żywność głupcom, którzy zaniedbują własne plantacje, aby bawić się nowymi wynalazkami.

– Zostawcie to morzu, które wy, Letniacy, tak bardzo kochacie – odparła Sewa Stormprince. – "Morze wykarmi", jak lubicie powtarzać. A nie zostanie ono zanieczyszczone.

– Kolegium Sybilli poradziło się w tej sprawie sieci. – Królowa uniosła rękę, uciszając zebranych, czyniła to często. Letniacy lekceważyli przepisy porządkowe, a Zimacy nie pozwalali się im w tym przewyższać. – Danaquil Lu Wayaway przekaze nam jej ustalenia.

– Bzdury i wariactwa – mruknął Borah Clearwater, mając na myśli całą salę.

Danaquil Lu zaczerpnął głęboki oddech i po raz ostatni zerknął na przygotowane notatki, nim spojrział na wyczekujące twarze członków Rady.

– Dane uzyskane w Przekazie od sieci sybilli wskazują, że projekt ten, z wielu powodów, jest niewykonalny... – ciągnął dalej, nie zważając na wezbrała nagle falę protestów. – Po pierwsze, zalecono nam odrzucenie projektu tamy, ponieważ, jak podnoszą to Letniacy, pochłonęłoby to znaczne obszary ziemi. Ważniejsze jednak, że nasze umiejętności zapewnienia całkowitego bezpieczeństwa tamy, nawet wsparte uzyskanymi z sieci planami konstrukcyjnymi i charakterystykami materiałowymi, są na obecnym poziomie rozwoju zbyt niskie. Przegroda istnieć będzie nie tylko podczas stosunkowo łagodnej pogody Pełni Lata, kiedy to nie brak swobodnie płynącej wody, ale także w okresie długich, ogromnych mrozów Pełni Zimy, gdy wszystko zamarźnie. W przeciwieństwie do wielu innych światów mamy wąski margines błędu...

– Pani i wszyscy bogowie – wtrącił się Overhill. – Jak mamy przekroczyć "obecny poziom", jeśli nie będziemy ryzykować!

– Prowadzi nas umysł sybilli. – Królowa przerwała mu niemal ostro; jeszcze dwa czy trzy lata wcześniej nie uczyniłaby tego z braku pewności siebie. Przywykając coraz bardziej do roli Królowej, nabierała wiary w swą władzę; jednocześnie wszyscy uświadomili sobie, że sieć sybilli, na której polegała równie niezłomnie, jakby naprawdę stanowiła głos Matki Morza, z wszechwiedzą równą wszelkim boginiom rozstrzyga nieomylnie co jest mądre, a co głupie dla ludu Tiamat. – Wykazał, iż nasz świat, zgodnie z normami większości planet zamieszkanymi przez ludzi, ledwo nadaje się do zasiedlenia. Musimy dokonać postępu technicznego, jeśli chcemy życie tutaj uczynić

łatwiejsze, bezpieczniejsze. Od powrotu Hegemonii dzieli nas jednak niemal całe stulecie, a umysł sybilli wskazuje nam najprostszą i najszybszą drogę do przyszłości. Bez jego wskazań nie osiągnęlibyśmy nawet dziesiątej części tego, co już mamy. Musimy mu ufać, bo inaczej zniszczymy nasz świat. Dlatego właśnie w tej sprawie popieram zdanie Letniaków.

– Gdzie więc znajdziemy nowe źródło energii dla naszych fabryk? – zapytał Overhill.

– Gdybyście pozwolili Danaquilowi Lu Wayawayowi dokończyć sprawozdanie – powiedziała Królowa z lekkim zniecierpliwieniem – przekonalibyście się, że istnieje rozwiązanie alternatywne. – Overhill opadł na fotel, zamilkł, gdy spojrzała na Danaquila Lu.

– Zaproponowano nam inny sposób pozyskiwania energii – podjął Danaquil Lu na skinienie Królowej. – Opiera się on na wykorzystaniu turbin napędzanych wiatrem, jakie można wznosić na polach i zboczach wzgórz bez zabierania możliwości prowadzenia na nich hodowli czy uprawy. Wiatr dostarczy nam dość energii mniej więcej na następne dziesięciolecie, a w tym czasie zdołamy być może zbudować turbiny napędzane pływami i zacząć czerpać zasilanie bezpośrednio z morza. Krwawnik zyskuje energię w ten właśnie sposób i od stuleci wszystko działa doskonale...

– Mówisz o wiatrakach? – zapytał Abbo Win Graymount. – Raz czy dwa widziałem urządzenia napędzające pompy, ale nigdy nie zdołają one dać dość energii, by zasilać fabryki – chyba że mielibyśmy ich pół miliona!

– Nigdy nie widziałeś innego typu – wtrącił się Miroe Ngenet. – Od lat używam go na mojej plantacji. Jest znacznie wydajniejszy od wszystkich, z jakimi się zetknąłeś.

Nie przekonany Graymount wzruszył ramionami.

– Tworzenie szczegółowych planów napędu wiatrowego, omawianie lokalizacji i materiałów zaczniemy na następnym zebraniu. Być może uda się nam wykorzystać towary zostawione przez pozaziemców w magazynach miasta – oznajmiła Królowa, patrząc z ulgą, jak wrzawa dyskusji opadła wśród Zimaków do mrużanych rozważań i do głuchej ciszy wśród Letniaków.

Borah Clearwater mamrotał pod nosem, gdy Danaquil Lu opadł w wygodniejszą pozycję, rad, iż ma za sobą nakazane przedstawienie. Dalsze punkty dyskusji i obrad z ulgą pozostawił innym doradcom Królowej. Siedział, na poły słuchając, na poły zajmując się bólem ciała, podczas gdy wokół ciągnęła się w nieskończoność litania sporów starego z nowym.

Kirard Set, czekający cały czas spokojnie, w przeciwieństwie do kipiącego Boraha Clearwatera, zabrał w końcu głos, zapytując z ledwo okazywaną pewnością siebie, czy Królowa rozważyła jego wnioski w sprawie najnowszych procesów rafinowania metali i prawa drogi przez ziemię Clearwatera.

– Tak, starszy Wayawayów – Królowa skinęła głową i przerzuciła plik ręcznie zapisanych notatek. – Wasza lokalizacja wydaje się idealna dla nowej odlewni, zwłaszcza iż sąsiaduje tak blisko z miejscem występowania rudy żelaza. Wasza propozycja pokrycia kosztów pierwszego etapu budowy jest bardzo szczodra. Nie widzę znaczących przeszkód, dla których nie mielibyśmy się zgodzić na wasz wniosek. Czy starszy Clearwaterów sprzeciwia się przyznaniu koniecznego prawa drogi? – rozejrzała się po stole. Danaquil Lu nie wiedział, czy obecny jest jakiś reprezentant tego rodu.

– Ja się sprzeciwiam, niech to licho! – zagrzmiął nagle obok głos patrzącego na Kirarda Seta Boraha Clearwatera. – To moja plantacja i na wszystkich bogów, nie pozwolę, by jakikolwiek Wayaway zabrał z niej choćby pyłek kurzu! – W czasie mówienia odwrócił się w stronę Królowej, rycząc tak, jakby znajdowała się na drugiej półkuli, a nie tuż obok. Danaquil Lu zakrył uszy.

Królowa spojrzała na Clearwatera ze zdumieniem i zaskoczeniem.

– Ależ we wniosku chodzi tylko o ułatwienie...

– Dzisiaj! A jutro przekupi cię, byś... Zabierzcie ode mnie łapy! – Ostatnie słowa skierowane były do dwóch strażników miejskich, którzy na wezwanie Jerushy PalaThion opuścili swe stanowisko za drzwiami. Wzięli Clearwatera pod ramię i ciągle głośno protestującego wyprowadzili siłą z sali.

Danaquil Lu opuścił dłonie na kolana i wśród rozlegającego się na sali śmiechu ulgi pokręcił głową, napotykając zdumione spojrzenie Królowej. Po chwili popatrzyła na Kirarda Seta.

– Wasz wniosek został przyjęty, starszy Wayawayów – powiedziała z widocznym spokojem i śladem jakby zadowolenia.

Kirard Set uśmiechnął się, kiwając głową w rodzaju potwierdzenia wyrażającego wdzięczność, ale Danaquil Lu zauważył w jego skierowanych na Królową oczach błysk rozbawienia, skrytego przyznania się do uprzednich uzgodnień. Królowa nie odwzajemniła tego swą miną, zdawała się nawet nie zauważyć. Danaquil Lu odwrócił wzrok, spojrzał na puste wejście. Miał wrażenie, iż nadal słyszy rozbrzmiewający w korytarzach Kolegium Sybilli głos Boraha Clearwatera.

Powoli i niezgrabnie dźwignął się na nogi. Mruknąwszy przeprosiny dla Królowej, opuścił salę Rady tymi samymi drzwiami.

TIAMAT: Krwawnik

– Bluźnierczyni bez Matki! – ktoś zawołał za nią z ocienionych drzwi. W ślad za głosem poleciała głowa ryby, uderzając w ramię.

Moon Dawntreader zatrzymała się i odwróciła z płonącymi oczami.

– Wyjdź! – Jej głos wzbudził echa w niemal opustoszałej ulicy. – Jeśli masz mi coś do zarzucenia, powiedz prosto w twarz! – Ten, który rzucił obelgę i rybią głowę, pozostał jednak w ukryciu.

– Pani? – Jerusha PalaThion zadała pytanie w trakcie zdejmowania z ramienia strzelby. Spojrzała na milczące budynki wpatrujące się w nich pustymi oczyma.

Moon pokręciła głową, kładąc dłoń na broni.

– Moon, co się stało? – Fate Ravenglass zwróciła głowę w stronę głosów, jej puste oczy poruszały się bezustannie i na ślepo.

– Nic, Fate – mruknęła Moon.

– To tylko jakiś śmierdzący, wariujący Letniak z rybą zamiast mózgu – powiedziała gorzko Tor Starhiker, czwarta kobieta w grupie, i wzięła niewidomą pod ramię, kierując krokami, gdy wszystkie ruszyły dalej.

Moon uniosła głowę, tłumiąc uśmiech, który niespodzianie zaczął się kłuć w kącikach jej ust.

– Tor, Letniacy mają pełne prawo mnie krytykować. – Poczula, że uśmiech zniknął. – To mój lud. Nie obrażaj ich za to... przynajmniej nie przy mnie. – Opuściła wzrok, dotknęła wisiorka z koniczynką, niby gwiazda odcinającego się od stłumionych zieleni szat. – Choćby nawet na to zasługiwali.

Wypełniającego nozdrza smrodu gnijącej ryby było jej równie trudno się pozbyć, co wątpliwości czy prawdy. Zerknęła na otaczające ją kobiety. Nie dostrzegła wśród nich Letniaczki. Nie jest Królową, jakiej spodziewali się jej ziomkowie podczas wyboru w chwili Zmiany. Nie jest Panią, której pragnęli – symbolicznym wcieleniem Matki Morza, przewodniczącym ich uświęconym obrzędem i strzegącym pielęgnowanych tradycji. Nie myśleli o Królowej pożądaną pełni władzy i ją dzierżącej, wierzącej, iż zwyczaje pozaziemców są lepsze od zwyczajów kierujących od wieków ich życiem... o Pani nie wierzącej w Boginię.

Szły w milczeniu, aż dotarły do wylotu Alei Oliwinowej, jednej z niezliczonych krętych odnóg odchodzących od wznoszącej się spirali Ulicy, wypełniających pradawny, podobny do muszli Krwawnik. Moon spojrzała na swe stopy obute w miękką skórę, przesuwające się po gładkim chodniku wykonanym z materiału na pozór niezniszczalnego, nie okazującego żadnych śladów zużycia pomimo wszystkich nóg, kół, obciążeń, jakie znosiła jego jednolita powierzchnia.

Po skręceniu w Ulicę obejrzała się na aleję, rzucając ostatnie spojrzenie na Kolegium Sybilli, gdzie codziennie uczyły się i trudziły nad rozwikłaniem tajemnic techniki. Widziała nadal koniec uliczki, gdzie przejrzyste osłony przeciwsztormowe wpuszczały promienie słońca, ostatnie światła kolejnego dnia. Zebranie Rady sprawiło, że ciągnął się on bardziej niż zwykle.

Upłynął kolejny dzień, podczas którego nie spełniła wszystkich swych oczekiwań, ale jednak posunęła się odrobinę na drodze ku prawdziwej wiedzy, ku przyszłości jej świata. Ruszyła znowu, idąc w górę Ulicy, poczuła narastające zmęczenie.

– Tu się rozstaniemy, moje drogie.

Głos Tor Starhiker wyrwał Królową z zadumy, kiwnęła głową.

– Spij dobrze, Fate – mruknęła. – Jutro czeka nas długa droga do przebycia. Dobranoc, Tor. – Ich odpowiedzi były równie ciche, jakby wszystkie przejęły jej nastrój. Moon szła dalej z Jerushą

przy swym boku, w jej głowie nadal huczały argumenty Zimaków i Letniaków, a także wątpliwości.

Tor, z ręką opartą na ramieniu Fate, stała, patrząc na Królową Lata wspinającą się ku pałacowi na Końcu Ulicy. – Musiało jej być ciężko – powiedziała zarówno do siebie, jak i do stojącej obok kobiety.

– Jak zwykle – odpowiedziała Fate z westchnieniem. – Dni zebrań Rady są zawsze trudnym doświadczeniem. Gorliwości byłej szlachty w chęci budowy nowego świata dorównuje jedynie ich pragnienie bycia w nim pierwszymi i najbogatszymi... Bez przerwy spierają się z Letniakami, jakby chodziło o dworskie przepychanki, kto będzie w tym tygodniu faworytem Królowej Śniegu. Zdawają się nie rozumieć, że Moon nie jest dawną władczynią...

– Wygląda jak ona – stwierdziła Tor śmiało.

Fate westchnęła ponownie, gdy ruszyły uliczką w stronę jej pustego sklepu.

– Tak, pamiętam... – Tor spojrzała na nią. W czasie panowania Królowej Śniegu Fate, dzięki sprowadzanym czujnikom, dysponowała rodzajem wzroku; była wówczas artystką, zawodową twórczynią masek, to ją właśnie podczas ostatniego Świąta wyznaczono do wykonania maski Królowej Lata... ona umieściła ją na głowie Moon Dawntreader. Wzrok Fate opuścił ją jednak wraz z pozaziemcami, podobnie jak tyle innych rzeczy, które ułatwiały życie ich obu. Dobrze choć, że mogła teraz zacząć nowe życie w Kolegium Sybilli.

Tor zaś, znająca Fate od wielu lat, stała się teraz czymś w rodzaju jej asystentki. Transy sybilli, nie kończące się pytania na tematy nic dla niej nie znaczące, głupie kłótnie głupich arystokretynów sprawiały jednak, że nie mogła się pozbyć poczucia tkwienia na poboczu. Na szczęście ciągle zadowalało ją dzielenie życia potężnych, ważnych ludzi, w których losy został podczas Zmiany wplątany jej. Rzeczy, w które wierzyli i które starali się czynić, budziły w niej lęk, a ponadto nie byli nudni.

Za to jej życie było nudne. Teraźniejszość ciągle zbyt przypominała jej oczekiwania, pełne niewygód, braku możliwości, smrodu ryb. Całe swe życie przed Zmianą pracowała dla pozaziemców; tęskniła za przeszłością, mimo całej jej występności i grozy. O mało co uniknęłaby obecnego losu; o mało co nie poślubiła pozaziemca i nie wyjechała wraz z nim. Na przeszkodzie stanęło jednak przeznaczenie – przeznaczenie innych ludzi – posyłając do więzienia jej kochanka Oyarzabala i jego szefów, ją zaś samą wyrzucając na brzeg niby pustą łódź pozostawioną przez odpływ Hegemonii.

– Czemu Moon nie pozbędzie się tych cholernych arystokretynów? – zapytała z rozdrażnieniem wywołanym wspomnieniami. – Jest mnóstwo innych Zimaków, którzy chętnie zajmą ich miejsce, a nie mają złych nawyków wpojonych przez Arienrhod swym faworytom.

Fate uśmiechnęła się, przeszukując przed sobą ulicę laseczką, dzięki temu gestowi miała poczucie, że panuje nad swymi krokami, a może i życiem.

– Tylko że nie posiadają większości ziemi. – Szlachta Zimaków była określana tym terminem z braku lepszego, ale większość zawdzięczała swą pozycję na dworze Arienrhod przywództwu nad rodami kontrolującymi większość zasobów planety. – I nie wszyscy są pustymi głupcami; niektórzy są sprytni, twórczy i kierują się silną motywacją. Oni właśnie zostaną prawdziwymi przywódcami... mam tylko nadzieję, że będę żyć dość długo, aby tego doczekać. – Jej usta wykrzywiła lekka ironia.

– Racja. – Tor pokręciła głową, myśląc w duchu, że prędzej doczekałyby się powrotu pozaziemców, aniżeli spełnienia wszystkich marzeń Moon Dawntreader. Patrząc ku końcowi uliczki, widziała już Gwiazdę Lata, wyznaczającą Zmianę zarówno dla jej ludu, jak i pozaziemców. Ci ostatni tuż przed wyjazdem, w pożegnalnym geście, wysłali na planetę wiązkę promieniowania o

wysokiej częstotliwości, które spowodowało spalenie się delikatnych części każdego urządzenia, jakie pozostawili, łącznie z czujnikami wzrokowymi Fate. Ponieważ w ten sposób zablokowali wszelki rozwój techniki miejscowej, nic już nie można było naprawić.

Potem odlecieli, będąc całkowicie przekonani, iż bojący się techniki Letniacy ruszą na północ, na ziemie Zimaków, jak to czynili od początku swego pobytu na planecie. Królowa Lata – dobrowolnie lub nie – cofnie ludność Tiamat do tradycyjnych zwyczajów, jakie zapewniały jej przetrwanie w ciągu wieków poprzedzających przybycie pozaziemców; zatrzyma wszystko w bezruchu, zabezpieczając do czasu powrotu Hegemonii.

Moon Dawntreader zamierza zmienić to wszystko. Podziwowi Tor dla celów Królowej dorównywała jedynie niewiara w ich osiągalność.

Tor skierowała Fate w bok, by obejść Letniaka z ładunkiem skór klee na plecach, który szedł, nie zważając na nic. Stos śmierdzącego towaru potracił ją przy mijaniu, pchając na Fate. Starhiker odzyskała równowagę i złapała towarzyszkę, w ostatniej chwili ratując je obie przed wpadnięciem do rynsztoka.

– Uważaj jak leziesz, półgłówku! Chcesz przewrócić niewidomą?

Letniak określił się, nie przerywając marszu.

– Sama uważaj, ty bez Matki! Mam coś lepszego do roboty niż uczenie was, jak chodzić.

– Na przykład nabycie dobrych manier? – prychnęła Tor.

– Pasożyt. – Odwrócił się do nich plecami i poczłapał uliczką.

Tor skierowała w oddalające się plecy nieprzyzwoity gest. Fate wysunęła dłoń, szukając jej ramienia; chwyciła towarzyszkę. Starhiker zmusiła się do spokoju, ciągle mrużąc coś pod nosem. W końcu odwróciła się i obie ruszyły w stronę drzwi domu Fate.

– Tych rybojadów powinno się utopić. Wtedy nic by nas nie trapiło.

– Tak sądzisz? – spytała Fate z łagodną drwiną. – Kogo byś wtedy nienawidziła?

Tor odetchnęła głęboko.

– Dobra, nie nienawidzę ich. Są naszymi kuzynami. Potrzebujemy się nawzajem dla przetrwania.

Wszystkie nasze grzechy trafiły do morza wraz z Królową Śniegu, teraz jesteśmy jednym ludem ... – Powtarzała litanię propagandy Królowej Lata, domniemaną wolę domniemanej Matki Morza. – Ale na wszystkich bogów, nie wiem, dlaczego mówią, że jedzenie ryb dobrze robi na rozum.

Fate roześmiała się i znowu umilkła, zatapiając się w myślach. Tor prowadziła ją alejką. Zimacy znosili powtarzające się najazdy Letniaków, wiedząc, że nie mają innego wyjścia. Obie grupy zawsze potrzebowały się nawzajem dla przetrwania, zaś odprawiane razem pradawne obrzędy stwarzały wspólną płaszczyznę, by to umożliwić. Ziomkowie Fate oczekiwali Pełni Lata z cierpliwością wygnańców, pocieszając się świadomością, iż w pierwszej dogodnej chwili powrócą pozaziemcy, jeśli nie im, to potomkom przywracając wszystkie wyszukane wygody, do których zdążyli przywyknąć.

Choć jednak więzi rodowe i tradycyjna religia dostarczała im podstaw pokojowego współistnienia, to obejmująca wszystko fala Zmiany zostawiała miejsce na nieprzyjemne, drobne utarczki. Zimacy, którzy w ciągu stu pięćdziesięciu lat panowania pozaziemców utracili wszelkie poczucie swego dziedzictwa kulturowego, oraz przybywający Letniacy, świadomi faktu, że są niepożądanymi gośćmi na ziemiach swych dalekich krewnych, pomimo upływu ośmiu lat nadal przeklinali się nawzajem i wszczynali bójkę w opustoszałych uliczkach Krwawnika.

Problemy nasilały się jeszcze, nim osłabną, jeśli w ogóle to nastąpi, ponieważ wprowadzane przez Królową niesłychane zmiany wzmagały wszelkie stare napięcia. Letniacy przybywali stopniowo, przypuszczalnie tylko dzięki temu planety nie opanowała całkowita anarchia. Za dziesięć

lat miasto się znowu zaroi – choć zupełnie inaczej niż w czasach, gdy jego ulice wypełniali pozaziemcy, ale jednak zaroi, podobnie jak gwałtownie tające tereny poza jego murami...

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Tor wahając się, gdy Fate wchodziła na pojedynczy schodek i otwierała zamek drzwi. – Czy mogę cię teraz opuścić? – Zwykle zostawała, razem jadły kolację, choć wiedziała, że Fate doskonale radzi sobie sama w mieszkaniu i przylegającym do niego byłym sklepie. Niekiedy po posiłku Fate grała na sithrze, a Tor śpiewała, zarówno stare pieśni o morzu, jak i nowe o gwiazdach; piosenki wzbudzające stare wspomnienia, przenoszące je obie do dawnych czasów. Żadna nie lubiła spędzać samotnie ciągnących się w nieskończoność wieczorów, choć żadna też nigdy tego nie mówiła. Dziś jednak Starhiker czuła równy niepokój, co wielki, szary kot ocierający się o kostki Fate i mruczący niecierpliwie.

– Czuję, że muszę się pozbyć swędzenia.

– Tak, dam sobie radę. – Fate kiwnęła głową i schyliła się do kota, pogłaskała go, podrapała pod brodą. – Dziś i tak wraz z Malkinem marzymy tylko o śnie. To był długi... – urwała, nie mówiąc, co takiego było długie.

– Kupić ci coś?

– Nie, dziękuję. Dziękuję za wszystko. – Fate uśmiechnęła się, z niesamowitą precyzją kierując niewidzące oczy w stronę Tor. – Powiesz mi potem, czy był wart zarwanej nocy.

Tor roześmiała się, wciskając dłonie w postrzępione kieszenie starego, pozaziemskiego kombinezonu.

– To bez znaczenia, bo i tak zamierzam rano o nim zapomnieć. – Zeszła na ulicę i odwróciła się, kierując się w stronę ulubionej knajpki.

Moon westchnęła, zmęczona wspinaczką stromą Ulicą, stromą, spiralną drogą życia. W końcu dotarły do Końca Ulicy; ujrzała przed sobą rozległy wir alabastrowego bruku, a za nim pracowicie wyrzeźbione podwójne wrota pałacu. W drzwiach, zgodnie z rozkazem Jerushy, stała jak zawsze para strażników. Moon mruganiem uwolniła oczy ze snu na jawie, który mroczył jej myśli podczas wspinaczki, bezkształtnego jak mgła, nieodstępного jak cień; wspomnień o ciemnookim obcym, który kiedyś przyprowadził ją do tych drzwi... był jej dobrym duchem i przewodnikiem, gdy pochwycona przez burzę przeznaczenia błądziła w tym obcym mieście. O mężczyźnie, który na jedną noc został jej kochankiem, nim przez własne przeznaczenie został na zawsze wyrwany z jej życia...

Moon zerknęła na idącą obok kobietę, poczuła ukłucie winy; przestraszyła się, że bystre, bacznie patrzące oczy Jerushy PalaThion przejrzą otwarte okna jej duszy, dostrzegą zbyt wiele. Ta jednak wpatrywała się przed siebie, zagłębiona we własnej zadumie. Jerusha pozostała tutaj, gdy pozaziemcy opuszczali Tiamat, uczyniła tak zarówno przez rodzaj zdrady z ich strony, jak i z miłości do nowej ojczyzny. Moon nigdy nie była w stanie w pełni zrozumieć jej pobudek; PalaThion nie należy do kobiet skłonnych do opowiadania o swych myślach. Jest za to doskonałą słuchaczką, Moon ceniła sobie jej przyjaźń jako wyjątkowy dar. Została jedną z jej czołowych doradczyń w sprawach porzuconych przez Hegemonię wyrobów techniki, a także najbardziej z wszystkich lojalną obrończynią. Jerusha pilnuje spokojnego przebiegu zmian w niespokojnym mieście, posługuje się przy tym starannie dobraną służbą porządkową, składającą się zarówno z Zimaków pracujących dla dawnej Królowej, jak i Letniaków wiernych nowej.

Drzwi pałacu otworzyły się przed nimi; Moon przyspieszyła kroku, zmuszając Jerushę, by wydłużyła swój. Rodzący się na jej ustach uśmiech wypełnił się nagle zapałem, gdy ruszyły do niej biegiem dwie małe, jasne postacie. Przyklękła na twardej posadzce, złapała bliźnięta, przycisnęła mocno; jak co dzień zdumiała się siłą uczuć, jakie ją opanowały... pomimo upływu tylu lat ciągle

dziwiła się, że jest matką dwójki dzieci. Pocałowała ich buzie, przyłgnęła silnie do ruchliwego ciepła ciała, chłoneła słodki zapach włosów, podniecone okrzyki.

– Mamo, mamo, babunia jest tutaj!

– ... babunia jest tutaj!

Głosy obojga nakładały się na siebie echem, każde pragnęło jako pierwsze oznajmić nowinę. – ..naprawdę!

– Chwilę, chwilę – mruknęła. – Chcecie powiedzieć, że jest tu moja matka? – Przez wszystkie lata, jakie minęły od chwili, gdy opuściła wyspy Nawietrzne, wyruszając do Krwawnika, ani razu nie spotkała się z rodziną. Teraz, trzymając w ramionach swe dzieci, poczuła nagle i gorące jak słońce pragnienie ujżenia własnej matki.

– Nie, Babunia... – powiedziała z naciskiem Ariele, pokręcenie głową zasłoniło jej twarz chmurą jasnych włosów. Niecierpliwie odgarnęła je na bok.

– Babunia... – zawtórował jej Tammis, ciągnąc matkę za rękaw.

– Twoja babcia, Moon – powiedział ktoś.

Moon obejrzała się, zobaczyła pod wysokim łukiem podwójnych drzwi niską, krępą postać Clavally Bluestone, znak sybilli lśnił na jej koszuli, do boku przyciskała się córka, Merovy, patrząca na bliźnięta witające matkę. Clavally i Danaquil Lu po urodzeniu się im dziecka spędzali mniej czasu w Kolegium Sybilli, ale podjęli się opieki także nad Tammisem i Ariele.

– Nie matka? – powtórzyła Moon, jej głos nagle stał się cichy z rozczarowania. Zastanawiała się dlaczego – jak – jej babcia przybyła samotnie do Krwawnika.

– Pokażemy ci! – zawołała Ariele, podbiegając niecierpliwie w stronę wejścia do pałacu. – Chodź, mamo!

Tammis został u boku matki, zawsze był spokojniejszy, patrząc poważnie brązowymi oczami, chwycił ją za rękę.

– Tammis, jestem zbyt zmęczona... – mruknęła Moon, próbując w zamian wziąć go za rękę. Urwała, gdy Jerusha podniosła Tammisa i przycisnęła. – Ja go poniosę – powiedziała PalaThion, łaskocząc chłopca, aż zapomniał o proteście, jaki miał wykrzyknąć.

Moon powstrzymała sprzeciw, cisnący się już jej na usta, cofnęła instynktownie wyciągnięte do syna rękę. Patrzyła z rezygnacją, jak Jerusha idzie z Tammisem zawieszonym na jej biodrze, uśmiechając się do niego łagodnie.

Clavally minęła ich, prowadząc Merovy za rękę, kiwnęła Moon głową w formalnym geście szacunku i pożegnania. Królowa ujrzała w jej spojrzeniu nie wypowiedzianą troskę, zastanowiła się, co wie i czego nie zdecydowała się powiedzieć.

– Danaquil Lu przysłał mi wiadomość, że jego kuzyn Kirard Set wydaje dziś przyjęcie. – Okrągła twarz Clavally skrzywiła się lekko. – Poprosił, byśmy tam poszły, pomogły mu je znieść. Gdybyś jednak wołała, zostałabym...

Moon uśmiechnęła się trochę niepewnie. Po dzisiejszych rokowaniach ze szlachtą łatwo jej było zgadnąć, co Kirard Set chce uczcić.

– Idź mu potowarzyszyć. Wśród krewnych wygląda jak człowiek otoczony rojem krwiożerczych much. Będzie cię potrzebował.

Clavally uśmiechnęła się krzywo i kiwnęła głową.

– Baw się – powiedziała Moon. – Sprawa jest dobra. – Spojrzała na Merovy, dostrzegła nieśmiałość, szeroko otwarte oczy dziewczynki wpatrzone w Tammisa. – Ty także – dodała łagodnie.

Merovy poważnie kiwnęła głową, gdy matka poprowadziła ją do wyjścia. Idąc oglądała się przez ramię, ciągle patrząc na chłopca.

– Cześć, Tammisie – zawołała.

Pomachał jej dłonią z miną równie poważną, nadal siedział na biodrze Jerushy.

Moon weszła do pałacu, przemierzając rozbrzmiewające echemi korytarze prowadzące do jego wnętrza, przyglądała się pokrytym freskami ścianom. Gdy wkraczała tu po raz pierwszy, widniały na nich surowe sceny zimowe. Dawno już temu kazała je zamalować obrazami zalanych jasnym słońcem zielonych pól, błękitnego morza i nieba. Wizerunki Zimy mimo to ciągle wkradały się w jej wspomnienia, tkwiły niewymazywalne przed wzrokiem duszy, sprawiały, że pamiętała o wszystkim, co się tu zdarzyło pod koniec Zimy... przywoływały Arienhod, czającą się tu wszędzie, patrzącą na nią z każdego lustra. Zmusiła się do opuszczenia wzroku, skupienia go na dzieciach i drodze.

– Mamo! – zawołała niecierpliwie Ariele.

Moon ujrzała córkę podskakującą na krawędzi Otchłani, zatkało jej dech.

– Ariele! – krzyknęła ostro, przyspieszając kroku, zgodnie z przewidywaniami dziewczynki.

– Pośpiesz się – zawołała Ariele i wbiegła na pozbawioną barierek wstęgę przerzuconego ponad szybem mostu. Dziewczynka śmiała się bez śladu lęku, na ich przerażenie reagując wstrząsaniem splełanych mlecznobiałych włosów.

Moon weszła na kładkę, poruszając się bezszelestnie w miękkich, miejskich butach i chwyciła córkę na rękę. – Ile razy... – zaczęła z gniewem.

– Jesteś za wolna! Chcę zobaczyć Babunię! – nalegała Ariele. Długie, smukłe nogi oplótła wokół pasa matki, zabębniła stopami. – Pachniesz jak ryba – fuj... Chodź, mamo.

Moon westchnęła i poniosła córkę przez most, pozwalając Jerushy iść z Tammisem wolniej. Kładka była dostatecznie szeroka, by ludzie, nawet przy braku barierek, mogli po zatrzymaniu wiatrów przez Moon pokonywać ją co najwyżej z przyspieszonym biciem serca. Królowa skierowała wzrok w górę, świadomie unikając patrzenia w dół, poszukała oczyma jasnych przesłon wiszących jak mgła we wznoszącej się nad jej głową sklepionej przestrzeni. W wysokich, mocno odcinających się oknach przez blednące światło dnia zaczęła się przebijać błyszcząca masa gwiazd.

Moon zeszła z drugiego końca mostu i postawiła wierzącą się córkę, by mogła pobiec naprzód. Sama została tam, odwróciła się, czekając na Jerushę; tkwiła długo, wpatrując się w Otchłani, pozwalając ostremu zapachowi morza wywiać z jej nozdrzy smród ryby. Prądy przeszłości i terażniejszości zderzały się w niej jak przybój, porywały cofającymi się falami. Zachwiała się na chwilę, zamknąwszy oczy, nim odwróciła się znowu i ruszyła do wnętrza pałacu. Jej szaty cuchnęły nadal.

Przekraczając ten most i zamieszkując w pałacu, przeciwstawiła się i Letniakom, i Zimakom. Przeszłość przestała już być wyborem, tak dla niej, jak i dla wszystkich innych. Stała się nieosiągalna w czasie, jak morze na dnie Otchłani. Sama może tylko iść nadal w Lato, zmieniać się wraz ze światem.

Przybyła też Babunia. Próbowwała odzyskać szczęście i podniecenie wywołane usłyszeniem nowiny.

Tammis wysunął się z ramion Jerushy, gdy tylko doszli do Moon, złapał matkę za rękę. Spojrzała na dłoń syna, tak małą w jej własnej, złocistobrązowa skóra odcinała się ostro od bledości jej. Łagodnie ścisnęła jego rękę, uśmiechnęła się.

– Gdzie tata? – zapytał. Robił to codziennie.

– Nie może jeszcze wrócić do domu – stwierdziła Moon. Każdego dnia dawała mu niemal taką samą odpowiedź.

– Dlaczego?

– Bo ma jeszcze dużo do zrobienia – mruknęła jak zawsze.

– Czemu nie może robić tego tutaj?

– Tammisie...

– Nie kocha nas? Nie chce tu być?

– Oczywiście, że chce. – Odwróciła wzrok, przyglądając się ścianom pałacu, znanego Sparksowi znacznie dłużej niż jej i tak przezeń znieawidzonemu, że spędzał tu możliwie jak najmniej czasu. Zmusiła się do ponownego spojrzenia na Tammisa i uśmiechu. – Bardzo cię kocha. Kocha nas wszystkich. Przyjdzie tu, by na dobranoc zagrać ci i zaśpiewać piosenkę... Kiedyś zrozumiesz, dlaczego tak ważne jest dla nas dokończenie pracy. – Nigdy się nie zakończy, nie za naszego życia. – Mam nadzieję, że któregoś dnia pomożesz nam ją zakończyć.

– Ariele też?

– Tak, Ariele też.

– Chcę pomóc. – Podskoczył lekko, zawieszając się na jej ręce.

– Wiem. – Kiwnęła głową, patrząc w dół.

– Mamo, jesteś szczęśliwa?

Spojrzała na synka, pojmując z nagłym bólem, że owo pytanie przestało niemal mieć dla niej znaczenie. Ale nie dla niego, uśmiechnęła się więc, rozjaśniła prawdziwym uśmiechem, pełnym miłości równie niezłomnej, jak widniejąca w oczach Tammisa.

– Tak, jestem. Gdy przebywam z tobą i z Ariele.

– I z tatą?

– Tak, i z tatą. – Przycisnęła go do siebie, znowu spojrzała w bok. Przemierzając kolejne wielkie, bezużyteczne komnaty, dostrzegała kącikami oczu trzymającą się dyskretnie na uboczu zimacką obsługę opiekującą się pałacem i jego mieszkańcami, czekającą na oznakę zainteresowania z jej strony lub jakieś polecenie. Pomimo upływu tylu lat nie mogła się ciągle przyzwycząić do jej obecności. Urodziła się w świecie, gdzie każdy sam dbał o własne potrzeby, gdzie mało kto miał inne rzeczy niż najpotrzebniejsze czy miejsca na ich trzymanie.

Pałac Arienrhod – nigdy nie będzie jej – zająłby bez trudu którąś z małych Wysp Nawietrznych, każdą jego komnatę wypełniały dziwne i obce błyskotki ściągnięte z całej Hegemonii: meble, dywany, draperie, egzotyczne zabawki i ozdoby, wszystko lśniło wokół jak niesamowite przedmioty wyrzucone przez sztorm z wielkiej głębin.

Nic niemal nie zmieniła z zastanych tu rzeczy, wmawiała sobie, że chce je wszystkie przebadać, podobnie jak inne wyroby pozaziemców przetrwał po ich odejściu. W głębi duszy wiedziała jednak, że nie dotyka ich, ponieważ budzą w niej strach, bo boi się pogwałcenia wspomnień o Arienrhod...

Przez lata przywykła do widoku przedmiotów należących do Arienrhod, podobnie jak przestała się przejmować niepewną, zbyt gorliwą uwagą obsługi pałacu; mimo to za każdym razem, gdy przekonywała się o zbytnim do nich przyzwyczajeniu, miała wrażenie, że budzi się niespodziewanie ze złego snu.

Podszedł do niej, okazując szacunek, mężczyzna w mundurze strażnika miejskiego.

– Pani – mruknął, pochylając głowę. – Komendancie... – zwrócił się do Jerushy, obdarzając ją dawnym tytułem, z braku lepszego używanym i obecnie. – Sierżant pełniący służbę w dzień poprosił mnie o zameldowanie, że aresztowano kogoś z ukrytym nożem, próbującego wejść do pałacu bez...

– Nie tutaj, do cholery! – szepnęła ostro Jerusha, gdy Moon znieruchomiała obok. Gestem kazała sierżantowi odejść, uczynił to z szorstkim, przepaszającym skinieniem głowy.

– Mamo, co się stało? – zapytał Tammis, jego twarz zasnęła się troską na widok zmartwionej miny matki. – Ktoś chce zrobić nam krzywdę?

– Nie, skarbie – mruknęła, gładząc go po głowie, przyciskając do siebie. – Oczywiście, że

nie... – Poprowadziła go korytarzem w stronę szerokich, krętych schodów, na których czekała Ariele, by ponaglić ich w drodze do Babuni.

Jerusha z falą nagłego uczucia, ostrego niemal jak ból fizyczny, patrzyła na Królową i jej dzieci. Gdy zwróciła się do sierżanta, jej twarz wyrażała gniew.

– Na wszystkich bogów, Shellwater – nie macie dość rozumu, by trzymać gębę na kłódkę w obecności dziecka, jeśli już brak go wam na tyle, by nie czynić tego przy Królowej?

Skrzywił się i opuścił wzrok.

– Przepraszam, pani komendant, nie...

– Zapomnijcie o tym. – Pokręciła głową, biorąc się w garść. – Pamiętajcie jednak na przyszłość.

– Tak jest, pani komendant. – Z ulgą uniósł głowę, sama poczuła dziwne odprężenie na widok jego obojętnego wzroku. Był Tiamatańczykiem, co oznaczało, że nie przeszkadza mu służenie kobiecie; był także Zimakiem, a więc nie miał nic przeciwko wypełnianiu rozkazów pozaziemca. Przynajmniej przy wykonywaniu obowiązków czuła się mniej obco niż w dawnym życiu.

– Powiedzieliście, że schwytaliście mężczyznę – a może jest to kobieta?

– Tak, pani komendant. Kobieta... Letniaczka. Twierdzi, że usłyszała głos Matki Morza, który kazał jej usunąć oszustkę udającą Królową. – Skrzywił się z niesmakiem, coś w jego głosie mówiło, że po Letniaczce nie można się było spodziewać niczego innego. – Trzymamy ją w areszcie.

– W porządku. Dobra. Jutro złożycie mi pełny raport. I na miłość bogów, spróbujcie zapobiec plotkom.

Kiwnął głową i wykonał gest uchodzący wśród miejscowych za salut.

Patrzyła, jak wychodzi z sali. Podobnie przyglądała mu się garstka służby pałacowej. Jerusha wiedziała, że już zaczynają szeptać. Tak ona, jak i Królowa, zdawały sobie sprawę z ironicznego faktu, że Zimacy Krwawnika są bardziej lojalni Moon Dawntreader aniżeli klany Letniaków. Jerusha starała się ukryć przed władczynią i jej rodziną, ilu wśród wyspiarzy było upartymi, ograniczonymi fanatykami religijnymi; w głębi serca wiedziała jednak, że trzodzi się na próżno. Moon wiedziała o tym równie dobrze jak ona. Usłyszała głosy mówiące jej, iż Matka Morza chce, by zabiła Królową.. Jerusha pokręciła głową. U licha, co też niektórym się roi? Potem jednak przypomniała sobie, co Moon Dawntreader oznajmiała o głosach każących jej porzucić tradycję i zmienić świat...

Jerusha westchnęła i spojrzała na schody. Moon i jej dwójka dzieci zniknęły w cieniach górnych poziomów. Na myśl, że bliźniętom może się stać coś złego, znowu opanowały ją zmienne uczucia. Nagły, rwący wnętrzości lęk przed stratą ugodził ją niby nóż mordercy. Kochała te dzieci, jakby były jej własne; a jeśli nie donosi najnowszej ciąży, tak jak wszystkich poprzednich, nigdy nie będzie miała bliższych... Nie, przecież nie może tak myśleć. Tym razem wszystko skończy się dobrze...

Gdyby podczas Zmiany opuściła Tiamat, mogliby jej pomóc, ale wtedy nie miałyby Miroe, nie miałyby powodu, by chcieć urodzić dziecko. Nic nawet nie pchałoby jej do walki z systemem, od którego nigdy nie zaznała niczego oprócz pogardy, gdy tylko próbowała prowadzić pełne życie, do którego miał prawo każdy mężczyzna. Na Newhaven spodziewano by się po niej kobiecego zachowania – wyjścia za mąż i wychowywania dzieci, lecz także wiecznego podporządkowania małżonkowi. Po zostaniu tu, na Tiamat, zdawało się jej, że wreszcie ma szansę życia jak człowiek. Ale gdy było już za późno na zmianę zdania, przeznaczenie zakpiło z niej po raz ostatni. Tym razem nawet nie powiedziała nikomu, że jest w ciąży – bała się, że w ten sposób będzie bardziej podatna na zranienie.

Ruszyła ku drzwiom, starając się po drodze otrząsnąć z wkradającej się w myśli melancholii.

Wiedziała jednak, że podąży za nią do domu, do pustego mieszkania czekającego w Labiryncie Krwawnika. Mogła zadzwonić do Miroe, jego głos choć na chwilę wypełnił milczenie i odegnał lęk. Większość czasu spędzał poza miastem, nadzorując plantację, prowadząc eksperymenty z nowymi technologiami, odtwarzanymi codziennie przez sybille i Zimaków... unikał Krwawnika. Ale nie jej. Powtórzyła to sobie jeszcze raz, coraz bardziej wątpiła we wszystko, podobnie jak nie sądziła już, że pozostanie na Tiamat było czymkolwiek więcej niż aktem rozpacz.

Moon weszła do pokoju i w pierwszej chwili widziała jedynie niespodziewany blask wieczornego nieba, wpadający przez wypełniające większość tylnej ściany owalne okno. Zmrużywszy oczy, dostrzegła stojącą sylwetkę; zmrużywszy ponownie, ujrzała, jak wypełnia się rysami podchodzącej babci.

– Babuniu... – mruknęła i umilkła. Jak mogłaś się tak postarzeć?

Pamięć dawnych lat nie przygotowała jej na widok tej przygarbionej, pomarszczonej kobiety, tej staruszki o włosach białych jak śnieg i skórze tak przezroczystej, że widać było każdą żyłkę. Pamiętana przez nią miała szare włosy i twarz pobrużdżoną przez czas i pogodę, ale była też silna i pełna życia, gdy opiekowała się dwojgiem dorastających dzieci – tamtą Moon i Sparksem, jej osieroconym kuzynem – podczas gdy jej córka, a matka obecnej Królowej, wypływała z flotą rybacką... Minęło zaledwie osiem lat.

Skądże. Osiem lat upłynęło dla niej, bo była w kosmosie i w wyniku spowodowanych przejściem efektów wydłużania czasu na pięć lat zniknęła z życia bliskich. Dla Babuni minęło ich czternaście, odkąd pożegnała Moon, w ślad Sparksa wyruszającą w nieznane.

Babcia rozjaśniła twarz radością z ponownego ujrzania wnuczki, przygarbiona i ucałowała dowodzące dzieci.

– Moon... – Wyciągnęła rękę, wstając ciężko z miękkiej ławki. Ale gdy to już zrobiła, nagle spoważniała i skłoniła głowę. – To znaczy Pani...

– Babuniu – powtórzyła Moon, tym razem pewniej, i szybko podeszła, by objąć staruszkę, podeprzeć jej drżące ciało. – Och, babuniu... – Trzymała ją mocno, wyczuwając kruchość cienkich jak u ptaka kości, nic w nich nie przypominało dawnej siły, potwierdziło to tylko ujrzany obraz babci. – To ja. Nie musisz mi się kłaniać. – Nagle wydało się jej, że ma znowu siedemnaście lat, że zaledwie wczoraj opuściła dom... że ma lat dwanaście, pięć...

Ramiona babuni ujęły rękę wnuczki i odsunęły je od siebie z całą siłą pozostałą starej kobiecie.

– Jesteś wybranką Pani, mówi przez ciebie – powiedziała, wpatrując się w Królową oczyma, które nic nie straciły z zapamiętanej przez Moon jasności i mocy. – A ja cię wychowywałam, dziecino. Dumna jestem z tego zaszczytu. Na pewno uhonorujesz mnie zezwoleniem na okazanie należnego ci szacunku.

Moon bez słowa skinęła głową, ciągle oszałamiała ją dzieląca je od tak dawna przepaść czasu i odległości.

– Tak się cieszę, że cię widzę – szepnęła, dostrzegając znowu pokój, słysząc krzyki i paplaninę dzieci. Mimowolnie, bezskutecznie próbowała je uciszyć.

Babunia znowu przygarbiona, radosne prawnuki.

– Cóż za wspaniałą niespodziankę sprawiłaś mi ze Sparksem. Rozjaśnia moją starość, ułatwia przeżycie Zmiany.

– Babuniu, nie mów o starości – powiedziała Moon, wyczuwając fałsz w swym głosie. Żałując, że w ogóle się odezwała, poprowadziła babcię do kanapy. – Może jesteś głodna? Jak długo tu czekasz? Czy się tobą zajęto? – Mówiła spieszenie, by zagadać niezręczny moment bolesnego

uśmiechu starszej kobiety.

– Tak, tak – powiedziała Babunia. – Dobra Letniaczka, sybilla...

– Clavally...

– Tak, była bardzo uprzejma, przyprowadziła tu dzieci. A ci – jak ich nazywasz, załoga...?

– Służba – wyjaśniła Moon z opuszczonym wzrokiem.

Babunia wygięła brwi w górę. – No tak, byli bardzo mili jak na Zimaków. Czy wszyscy tu to Zimacy? Czemu tu mieszkasz, otaczasz się nimi, a nie swoimi?

– Babuniu, Zimacy są dla mnie tym samym co Letniacy – odpowiedziała z lekką niecierpliwością. – Są ludźmi, jak i my. Jak u wyspiarzy jest w nich słodycz i gorycz. Zdarzają się nawet wśród nich sybille...

– Clavally też mi to mówiła – Babunia pokręciła głową. – Powiedziała, że nawet jej ślubny jest Zimakiem! Uwierzę, gdy sama go zobaczę. – Złożyła na kolanach powykęcane dłonie, obciągnęła gruby sweter.

– Tak, Babuniu. – Moon poddała się, uśmiechnęła na widok wdrapujących się na kolana prababci chichoczących, pokazujących coś, szukających miejsca dzieci. Ujrzała na ich miejscu siebie i Sparksa... poczuła, jak wspomnienia wywołują w niej ból. – Babuniu... co z mamą? Gdzie jest? Dlaczego nie przybyła z tobą? – Wyduszała z siebie te pytania, bojąc się odpowiedzi, tak jak się ich lękała przez ostatnie osiem lat. Nabrała nawet nadziei, iż rodzina uwierzy w jej śmierć, tak samo Sparksa; że nigdy nie poznają prawdziwej ceny ich nowego życia, zdobytej przez nią zaszczytnej pozycji. Ale w najciemniejszych nocach nabierała pewności, że matka jakoś się o wszystkim dowie.

– Moon – wymamrotała babunia, odwracając wzrok od Ignących do niej radosnych twarzączek. – Nie wiem, jak ci to powiedzieć, to straszne...

– Wie, prawda? – Moon nie potrafiła już powstrzymać słów. – Wie wszystko, dlatego tu nie przypląnęła, nie chciała nawet zobaczyć moich dzieci... – Maluchy spojrzały na matkę zdziwione nagłą zmianą jej głosu.

– Moon – przerwała jej Babunia. Wypełnione nagłym bólem oczy wyglądały teraz równie staro, co reszta twarzy. – Twoja matka nie żyje.

– Co? – zawołała Moon. Poczowała, jak nogi się pod nią uginają. – Co? Nie. Jak to? Kiedy... – gdy szukała podparcia, jej kolana trafiły na kanapę w stylu cesarskim i opadła na nią.

– Wypadek, przewróciła się... trzy lata temu. Poślizgnęła się na nabrzeżu podczas rozładunku statku, uderzyła głową o kamień. Myśleliśmy, że nic się jej nie stało, ale potem przy kolacji poczuła się śpiąca... Ludzie wiedzieli, że to zły znak, i próbowali ją obudzić. Nie udało im się jednak zapobiec zaśnięciu. Nigdy się nie obudziła. – Oczy Babuni zwilgotniały z żalu, mocniej przycisnęła do siebie dzieci. Wpatrywały się w nią szeroko rozwartymi, na wpół rozumiejącymi oczyma. – Tak to Matka Morza zabrała do siebie dwoje mych dzieci...

– Wstrząs mózgu? – Twardość głosu Moon zaskoczyła nawet ją samą. Trzy pary oczu spojrzały na nią ze zdumieniem. – Miała tylko wstrząs mózgu. Można ją było uratować...

– Taka była wola Pani. – Babunia pokręciła głową.

– Nie była! – Moon podniosła głos. Rozpacz i zawód podsyciły jej gniew. – Gdybyśmy mieli dla siebie technikę pozaziemców, nie straciłabyś żadnego ze swych dzieci. Matka Sparksa nie musiałaby umrzeć przy porodzie...

– Przestań, Moon! – Babunia skrzywiła twarz, pogłębiając jeszcze zmarszczki. – Co mówisz? – Głos jej drżał. Pokręciła głową. – A więc to prawda... – Wypełnił ją inny rodzaj żalu. – Już nie wypełniasz Jej woli. Ale przecież jesteś Królową Lata, wybranką Bogini. Nie jest za późno, byś znowu posłuchała Jej głosu...

– Nic nie rozumiesz. – Moon pokręciła głową, zacisnęła w pięści spoczywające na podołku szaty dłonie. – Kto ci to powiedział, Babuniu? Kto cię tu przysłał? Jak się tu dostałaś z Neith, skoro moja matka nie...

– Ja przywiozłam ją do pałacu – oznajmił spokojny głos zza pleców Moon.

Królowa odwróciła się, zerwała na nogi na widok Capelli Goodventure tkwiącej niby portret w muszlowatej framudze drzwi. Siwiejące warkocze piętrzyły się na jej głowie niby korona, twarz wykrzywiał wiedźmowaty wyraz nienawiści i zadowolenia.

– Rozesłałam swych ludzi po wyspach, by znaleźli kogoś z twego klanu, kto zdoła do ciebie dotrzeć, przypomnieć o prawdziwych obowiązkach Królowej Lata.

– Byli dla mnie bardzo dobrzy – łagodnie, lecz z siłą powiedziała Babunia. – Przywieźli mnie tutaj, taką drogę, bym mogła cię zobaczyć. Powinnaś się zastanowić nad jej słowami.

Moon zacisnęła wargi.

– Musieliście w to włożyć ogromny wysiłek – powiedziała Capelli Goodventure. – Jestem pewna, że Pani wynagrodzi to wam odpowiednio. – Wzrok miała zimny jak morze.

Starsza klanu skrzywiła się jeszcze bardziej.

– Może już wynagrodziła cię za herezje popełniane w imię Pani.

Moon zeszywniała.

– O czym mówisz?

Capella Goodventure pochyliła głowę. – O wypadku twojej matki. Może był to wyrok.

Moon poczuła, że cała krew odpłynęła jej z twarzy.

– Nie zawiniłam śmierci mej matki! – Nawet babcia zerwała się na nogi, zostawiając na kanapie patrzące rozszerzonymi Oczyma dzieci.

– Tego nie powiedziałam. – Starsza klanu uniosła rękę w proteście lub ostrzeżeniu. – Chciałam tylko podsunąć...

– To nie była moja wina! Kim jesteś, że się wpychasz w moje życie, choć nikt cię o to nie prosi? Wynoś się! Zostaw mnie samą! – Dłoń Moon natrafiła na gładką rzeźbę stojącą na stoliku z tyłu, zacisnęła się na niej i rzuciła w stronę drzwi. Figurka rozbiła się, rozpryskując kryształowe okruchy. Dzieci krzyknęły ze zdumienia i strachu. Moon obróciła się ku nim, sprawdziła, że nie ucierpiały, i dopiero wtedy spojrzała na drzwi.

Capella Goodventure zniknęła. Stojący przy szczycie schodów zimacki służący gapił się z głupawym uśmiechem na odchodzącą szybko Letniaczkę.

– Odejdź stąd! – zawołała Moon łamiącym się głosem. Służący odwrócił się, przestał się uśmiechać. – Tak, wasza wysokość. – Usunął się przed oczu Królowej.

Patrzyła, jak odchodzi. Wasza wysokość... Nie widział jej, lecz obraz ducha, którego twarz nosiła, wyczuł jego gniew. Złożona z Zimaków służba ciągle tak się czasami do niej odzywała, kuliła ze strachu, gdy na nią prychnęła, jakby była Królową nie Lata, lecz Śniegu, jakby jej gniew był groźny jak lawina.

Ale Arienrhod nie żyje... jak Lelark Dawntreader, jasnowłosa, pachnąca morzem kobieta, która tyle lat temu, siedząc przy ogniu, kołysała w ramionach śpiące dziecko. Obie nie żyją. A ona jest Królową Lata.

Pokręciła głową, przycisnęła do ust zdrętwiałe palce, poczuła nagle tulące się do niej dzieci, twarze Ariele i Tammisa zagrzebane w szatach z samodziału, ich głosy niby skrzeczenie mew przypominały, że wszystko dobrze. Pocieszały ją, choć same tego potrzebowały. Opuściła dłonie na ich drobne ramiona, łagodnie pogładziła po plecach, aż napięcie zaczęło opuszczać małe ciała i jej własne.

– Wszystko dobrze, skarby – mruknęła, słysząc, jak zawodzi ją głos. – Czemu nie zabieracie Babuni na kolację. Przyjechała z tak daleka...

– Ty też chodź! Nie chcę iść bez ciebie... – dzieci złapały ją za ręce mocniej niż przedtem, patrzyły się z prośbą, aż kiwnęła głową. – Tak, dobrze... pójdziemy wszyscy. – Obejrzała się na swą babcie, natrafiła na jej wpatrujące się oczy, wyciągniętą rękę. Współczucie, żal, przeprosiny, troska starej kobiety sprawiły, że poczuła w oczach łzy. Jeśli chwyci tę rękę, znowu stanie się dzieckiem; nie może sobie na to pozwolić. Odwróciła się, opuściła oczy, patrzyła na nogi wyprowadzające ją w porę z pokoju, idące korytarzem i schodzące po rozbrzmiewających echem schodach.

Sparks Dawntreader Letniak – kuzyn, mąż, kochanek Królowej Lata – wyszedł cicho na oświetloną w nocy, znajomą mu Aleję Oli – winową. Za panowania Zimy nazywali ją "Siną" aleją, bo w jej starych gmachach mieściła wtedy się siedziba umundurowanej na niebiesko pozaziemskiej policji. Wówczas omijał to miejsce, teraz stało się niemal jego domem. Rozpoczął nocną wędrówkę ku wylotowi alejki, gdzie łączyła się z długą, wznoszącą się spiralą Ulicy, która niechybnie doprowadzi go do pałacu, choćby nie wiadomo jak bardzo zwalniał kroku.

Po ośmiu latach ciągle nienawidził pałacu, starał się jak najwięcej czasu spędzać poza nim. Zawsze jednak wracał na noc do czekającej Moon, boją kocha, kochał zawsze i nigdy kochać nie przestanie. Była równie nieodłączną częścią jego samego, co muzyka, co dusza – rzeczy skradzione mu przez Arienrhod i zwrócone przez Moon. Życie trwało dalej, czy zasługuje na to, czy nie. Wśród pamiątek i wspomnień pałacu czekały także dzieci, żywy dowód ich miłości.

– Witaj, Sparksie!

Zatrzymał się, spojrzął na jasno oświetlone drzwi i tkwiącą w ich blasku postać.

– Świętujemy właśnie! Wejdz, zapraszam. Chcę ci podziękować za poparcie w czasie Kolegium...

Rozpoznał ten głos; oczy dostrzegły stare – młode rysy Kirarda Seta Wayawaya, stojącego w wejściu do tawerny o nazwie "Stare Dni", poprzednio będącej jedną z najwspanialszych i najdroższych jaskiń gry na Ulicy. Teraz jej sprzęty leżały zimne i milczące, wśród ich duchów siedzieli pozostali przy życiu dawni moiżni z czasów panowania Królowej Śniegu, pili za jej pamięć i rzucali kości – niemal jedyne z pozostałych im przyjemności, jeśli nie liczyć seksu i skrywanych luksusów.

– Co świętujecie? – zapytał z ciekawością, lecz i czujnością, podchodząc jednocześnie do światła. Starzy faworyci Królowej znali go aż za dobrze, od zlej i dobrej strony. Doszedł go zapach smażonych kotlecików, dobiegły wzywające jego imię głosy. Rozmowy i śmiechy słyszeć było aż na ulicy. Ktoś z ogromną wprawą grał na mindlu, inni bębniłi, gwizdali, śpiewali.

Dotknął sakiewki przy pasie. Zawsze nosił przy sobie piszczałkę; nigdy nie wiadomo, kiedy znajdzie czas na ćwiczenie lub zagranie... Przeważnie jednak traktował ją jak talizman, podobnie jak sybille swe koniczynki, miała symbolizować wyższy ład, który po raz pierwszy poznał dzięki muzyce, wyższą prawdę, której tony nigdy nie skłamią. Praca w Kolegium Sybilli ukazała mu piękno matematyki i fizyki; ich obecność w tajemnym sednie wszystkiego, nawet muzyki. Codziennie ujawniało się przed nim nowe oblicze powszechnego ład. Zaczął każdą wolną chwilę przeznaczając na studiowanie matematyki, znajdował w tym przyjemność tak czystą, jakiej dotąd nie dawało mu nic poza graniem...

Muzyka ogarnęła go, pozbawiła oporów. Wszedł do jasno oświetlonego wnętrza tawerny, Kirard Set wcisnął mu w dłoń kryształowy puchar z winem.

– Świątujemy wybór ziemi Wayawayów jako miejsca nowej odlewni – powiedział starszy klanu i z uśmiechem pokręcił głową. – Jest naprawdę niewiarygodna, no wiesz, Królowa... – Otoczył Sparksa ramieniem. Ten powstrzymał chęć strząśnięcia jego ręki. – Ale oczywiście wiesz o tym najlepiej... Jak ona to robi? Jak? Ale nieważne, masz oczywiście usta zapieczętowane pocałunkiem. – Kirard Set wyduł wargi i poklepał Sparksa po ramieniu.

Dawntreader pociągnął długi łyk wina, pochodzącego z pozostawionych przez pozaziemców zapasów. Moźni gromadzili je tak samo jak sprzęty techniczne, a przynajmniej Hegemonia nie była w stanie zepsuć wina, jak to zrobiła z porzuconymi urządzeniami. Sparks usiadł przy stole, bez słowa ulegając wskazówkom Kirarda Seta. Miejsce zajmowane poprzednio przez holograficzną grę pokrywały teraz drewniane belki i kobierce, które ongiś zdobiły okno wykwintnego mieszkania jakiegoś ważnego pozaziemca.

Sparks wpatrywał się w uśmiechniętą twarz Kirarda Seta, zastanawiając się, co tamten myśli. Pewnie niewiele. Zachowanie się faworyta było dlań zawsze nieprzyjemne lub niezrozumiałe. Ale w jedno nie wątpił: podobnie jak wielu innych byłych możnych Kirard Set wierzył, że Królowa Lata jest z krwi i kości tą samą kobietą, która kiedyś władała Zimą, że Arienrhod zdołała jakoś przechytrzyć Letniaków, Hegemonię i samą śmierć, że nadal panuje nad planetą, dążąc do celu, który zaprzysięgła osiągnąć: niezależności od pozaziemców.

Sparks z westchnieniem spojrział w bok. W głębi sali dostrzegł Danaquila Lu Wayawaya w towarzystwie żony i dziecka. Trzymali się z boku i wyglądali na niezadowolonych. Merovy spała w ramionach ojca. Sparks poczuł winę, przypomniał sobie o czekającej w pałacu własnej rodzinie. Zbyt długo zasiedział się w Kolegium, zatopiony w badaniach został w nim dłużej niż zwykle. Pokręcił głową i odstawił pełen wina puchar.

– Nie mogę zostać. – Zaczął wstawać.

– Sparks! – Jakaś kobieta zawołała jego imię, ręką chwyciła ramię. – Kochany, nie możesz nas teraz opuścić. Nigdy nie możemy się tobą nacieszyć. – Shelachie Fairisle szarpała rzemyki jego koszuli, niemal ją rozpięła. Sparks ujął jej ozdobioną klejnotami dłoń i strzepnął z piersi jak robaka. Wyrwała rękę z jego uchwytu.

– Staliśmy się nietykalni – powiedziała, patrząc na grymas Sparksa. Zauważył, że rysy jej twarzy się zaostrzyły.

– Wiesz, że się zmieniłem – rzekł, próbując mówić obojętnie, przypominając sobie, że Shelachie Fairisle kontroluje w Nowej Tiamat złoża rudy, która wkrótce będzie mu potrzebna dla przyszłej odlewni. Nie mógł sobie pozwolić na łatwe jej obrażanie.

– Tak, kochasiu, ale ciągle nie tracę nadziei. Wszyscy mieliśmy przy niej tyle radości... Nie rozumiem, tego jednego nie rozumiem. Dlaczego przestała się tobą z nami dzielić? – Spojrzała na Kirarda Seta, rozłożyła ręce. – Może się domyślasz, Kiri? – Pokręciła głową, wyduła usta w tłumionym śmiechu. – Po Zmianie to już nie jest ta sama kobieta. – Zachichotała z własnych, podsyconych winem rojeń, niewiedza prawdy podbechtywała ją do bełtania lśniących wód fantazji. – Prawda, kochany?

– Sama powiedziałaś – warknął tracący cierpliwość Sparks. Nie jest tą samą kobietą. Jest moją przyrzeczoną – moją żoną. Właśnie wracam do niej i do moich dzieci. – Odwrócił się od niej, ruszył do drzwi.

– Czyich dzieci, mój drogi? – Te słowa dźgnęły go od tyłu. Okręcił się w miejscu, ujrzał obracających się, wpatrzonych weń Clavally i Danaquila Lu; Kirarda Seta wstającego zza stołu, chwytającego Shelachie i mrużącego: – Nie teraz, na miłość bogów...

– No, czyje są? – zawołała, machając rękoma, rozdymając absurdalne tu szaty z innego świata i

czasu. – Skąd je wzięła? Nie są do ciebie podobne! I czemu nie nadała im specjalnych, obrzędowych imion, skoro poczęła je w Nocy Masek? Nawet Letniacy mówią...

Nie zczekał, by wysłuchać, co nawet jego lud mówi. Jego lud... Idąc niemal pustą Ulicą, sięgnął pod koszulę, poczuł pod palcami noszony tam medal Hegemonii, dar ofiarowany jego matce przez obcego, który podczas nocy Święta wybrał ją na towarzyszkę łoża... Jego ojciec był pozaziemcem, nigdy nie czuł się swobodnie wśród zabobonnych, nienawidzących techniki Letniaków. Uciekł do Krwawnika, gdy Moon złamała złożoną mu przysięgę i została sybillą. Wierzył, że między Zimakami i pozaziemcami odnajdzie świat, do którego naprawdę należy. Znalazł Arienrhod...

Ale Moon jest znowu jego, pomimo wszystko, dzięki wszystkiemu; dzieci są tego dowodem... Dlaczego nadała im takie imiona? Powinny mieć inne, świąteczne... Matki jego i Moon przyplęły na poprzednie Święto, kiedy to statki Rady Hegemonii przybyły z jedną z okresowych wizyt, jakie składały na tej planecie. Krwawnik stawał się wtedy miejscem, gdzie łamano wszelkie bariery i wszyscy przeżywali noc swoich marzeń. Poczęte w nocy Święta dzieci uważane były za szczęśliwe, błogosławione; dawano im specjalne, znaczące imiona, będące oznaką wyjątkowej pozycji. On i Moon nosili takie imiona, zdradzały one, że są dziećmi radości; podobnie Fate Ravenglass.

Jako dorosły niekiedy odczuwał ochotę zrzucenia z siebie jarzma obrzędowego imienia, niekiedy wypowiadał je z nieśmiałością. Mimo to nigdy go nie zmienił. Wiedział, że nie uczyni tego, ponieważ stanowiło to symbol wszystkiego, czym był, jego dziedzictwa.

To Moon, jak każda matka, nazwała swe dzieci. Mimo iż bliźnięta zostały poczęte w noc Święta, nie nadała im obrzędowych imion; wybrała takie, których chyba nigdy nie nosił żaden Tiamatańczyk. Nigdy jej nie zapytał, czemu tak postąpiła – ze strachu, przyznał gniewnie przed samym sobą, bo wiedział, że w czasie Święta była z innym mężczyzną – pozaziemcem, Kharemoughi, inspektorem policji, który pomógł Moon znaleźć jego ślad.

Ariele przypominała swą matkę; była tak do niej podobna, że niekiedy widok małej wywoływał w nim bolesne wspomnienia z dzieciństwa, ściganie się z Moon po złotych plażach, płoszenie ptaków, śmiechy. Ale Tammis... Chłopiec także był do niej podobny, ale skórę miał ciemniejszą, niż wypadało tiamatariskiemu dziecku... śniadą jak u Kharemoughi. Sparks znowu dotknął medalu. Jego ojciec był półkrwi Kharemoughi – sam miał cerę ciemniejszą niż przeciętny mieszkaniec Tiamat. Nie wiedział, jak wygląda tamten mężczyzna, nie zdążył się z nim spotkać, nim wraz z innymi pozaziemcami opuścił planetę. Ale w rysach syna nie dostrzegał niczego z siebie, bez względu na to, jak bardzo Moon wskazywała na podobieństwo. Próbował o tym nie myśleć, nigdy nie dopuścić do okazania wątpliwości... Kochał swe dzieci. Kochał żonę. Wiedział, że kochają jego. Wraz z Moon buduje nowe życie, wykuwają razem przyszłość dla siebie i dla całej planety.

Dlaczego więc z każdym dniem coraz ciężiej przychodzi mu wspinaczka tym zboczem?

Moon stała samotnie w komnacie na szczycie pałacu, szczycie miasta – bliżej gwiazd, niż za jej życia uda się dotrzeć komukolwiek na tym świecie. Była późna noc; straciła poczucie czasu, myśli jej się rwały, marzyła o śnie, lecz nie miała siły, by zakończyć dzień i pójść do łóżka.

Patrzyła za kopułę, na morze. Jego powierzchnia była dziś spokojna, stanowiła ciemne zwierciadło dla rozgwieżdżonego nieba. Ocean odbijał jej spojrzenie, odrzucał wszelkie próby przeniknięcia w głąb, nie zdradzał skrytych tam tajemnic. Tylko ona знаła prawdę, wiedziała, że tam, w morzu, leży schowane serce sieci sybilli, rozciągającej macki swego tajemnego umysłu do niezliczonych światów rozrzuconych w całej galaktyce. Tylko ona. I nie może nikomu o tym powiedzieć...

Nagły ruch zaburzył równowagę morza i nieba: zobaczyła mery, całe ich stado, cieszące się

piękną nocą, jakby przywołane jej myślami. To ich bezpieczeństwo stanowiło zadanie wyznaczone jej przez sieć sybilli; w sposób, którego w pełni nie rozumiała, wiązało się z pomyślnością jej ludu i samego umysłu sybilli. Patrzyła, jak radośnie harują między dwoma żywiołami, skaczą w sieci gwiazd. Jak zawsze zdumiewała się ich wdziękiem i pięknem, na chwilę zapomniała o rozpaczach.

Tiamatańska tradycja nazywała mery Dziećmi Morza, uważała ich życie za święte; mieszkańcy planety od stuleci, nim jeszcze trafiła na nią Hegemonia, żyli z nimi w pokoju i zgodzie. Krążyły niezliczone opowieści o merach ratujących wypadłych za burtę żeglarzy albo przeprowadzających statki przez zdradzieckie rafy wokół wysp; kiedyś ocaliły i jej życie.

Ale przybyli tu pozaziemcy, pojawiają się od tysiąclecia lub dłużej, poszukując wody życia. A umysł sybilli cierpiał od śmierci merów, aż po wiekach strat sięgnął do niej jednej spośród wszystkich sybilli, wybrał ją do przerwania rzezi, uratowania merów i siebie, zmiany przyszłości Tiamatańczyków i może niezliczonych innych ludów. Zmusił ją do posłuszeństwa... skłonił do zostania Królową. A potem porzucił, by walczyła samotnie, kierowana nie pozwalającym na chwilę spoczynku przymusem. Miał nadzieję, że spełni jego dążenia.

Spojrzała w dół, skupiła wzrok na pokoju, obraz nocy nagle stracił dla niej cały swój urok. Wszędzie wokół dostrzegała szczątki swego życia, zamysły odkładane w nieskończoność, albo na zawsze porzucone, zostawiane na porę, kiedy będzie miała czas dla siebie, wolna od miłości i obowiązków. Były tu stosy książek z biblioteki Arienrhod, przeważnie w nie znanych Moon językach, lecz pełne trójwymiarowych obrazów życia innych światów, nad którymi pragnęła ślęczeć; były tu kawałki drewnianych zabawek, obrobionych przez nią, ale nie złożonych; zaniechany, do połowy zrobiony na drutach sweter; nie wykończone dziecinne ubranka, z których dzieci zdążyły wyrosnąć... Leżały tu także fragmenty przeszłości Arienrhod, tak bardzo podobne do niej, z którymi nie wiązały się żadne jej wspomnienia. Niekiedy miała wrażenie, że owe starzejące się, powoli niknące rzeczy należały ongiś do niej; albo że są jej dziedzictwem...

Zamknęła oczy. Mrok pokrył natychmiast obrazy dnia, przypominał, że o wiele za długo przebywała sam na sam ze swą rozpaczą. Nawet nie zeszła na dół, by pocałować dzieci na dobranoc. Nie była w stanie znieść dłużej wzroku babci, jednego więcej słowa, spojrzenia czy pomruku wątpliwości. I właśnie dziś, wśród wszystkich nocy, nie zjawił się Sparks, nie wrócił do rozczarowanego synka i córeczki; do niej, która tak rozpaczliwie potrzebuje z nim pomówić.

Dłońmi pomasowała brzuch, myśl o dzieciach przypominała jej o tym, co czuła, mając w nim życie; o radości, zdumieniu, wątpliwości. Niespodziewane macierzyństwo pozwoliło jej spojrzeć na przyszłość z nowej perspektywy, dało siły do upartego trwania przy własnym zdaniu, opierania się wścieklej wytrwałości klanu Goodventure przy twierdzeniu, że łamie wolę Pani... sprzeciwiania się własnym wątpliwościom, lękowi siedemnastoletniej dziewczyny próbującej wyobrazić sobie, jak przebuduje świat czy choćby wzajemne stosunki.

Rozpaczliwie potrzebowała wiary, że wszystko to warto czynić. Czucie życia w sobie sprawiało, iż przestała wątpić w przyszłość, o którą walczyła. Tak bardzo pragnęła, by i Sparks w to uwierzył... a jednak cały czas zastanawiała się potajemnie, czy ojcem noszonego przez nią dziecka nie jest inny mężczyzna.

Wstała niespokojnie, potarła twarz, widmo ciemnookiego mężczyzny szeptało coś jej myślom... w żołądku poczuła dziwne sensacje, przypominające o porannych mdłościach. Miała wrażenie, że się w niej coś rwie, wywraca myśli, ciągnie w inną rzeczywistość – Przekaz, pomyślała; nagle rozpoznała to uczucie. Ale nikt nie zadał jej pytania. Złapała za koniczynkę sybilli, poczuła kłujące w palce ostre krawędzie; dłoń zamarła w połowie ruchu, ciało zastygło. Została wezwana. Przekaz otulił ją jak czarny wichur, porwał z sobą.

Zamrugła oczyma, znowu ujrzała światło, patrzyła czyimiś oczyma – innej sybilli z innej planety, która teraz patrzyła jej żrenicami, wpatrując się w niebo pokryte obcymi gwiazdami... Nowe oczy skupiła na oczekującym na odpowiedź; poczuła, jak jej pożyczone ciało drgnęło w nagłym zdumieniu na widok twarzy, którą po raz ostatni, nie licząc snów, ujrzała przed ośmiu laty.

BZ Gundhalinu stał przed nią niby obraz przeszłości, twarz miał znużoną i zrozpaczoną, oczy udręczone – jak wtedy, gdy dawno temu zobaczyła go po raz pierwszy na białej pustyni Zimy... Potrzeby tego człowieka ją ocaliły; został jej kotwicą, przewodnikiem... niespodziewanym kochankiem przez jedną, znajdującą się poza czasem noc. W czasie Ostatecznego Odejścia odleciał wraz z resztą pozaziemców, nie zdradził jej tajemnic. Pozostawił ją z przyszłością, którą pomógł osiągnąć, pozostawił dla człowieka, którego pomógł odzyskać; porzucił...

– Moon? – mruknął, wyciągając rękę. – To naprawdę ty? – Palcami pogładził policzek Królowej, ciemnymi oczyma zajrzał ciekawie w jej, jakby patrzył na cud.

– Tak... – szepnęła, poczuła, jak jej porwane ciało napina się z chęci dotknięcia go, sprawdzenia realności. – BZ! – Ujrzała, jak uśmiechnął się zaskoczony, słysząc swe imię. Jak mnie tu sprowadziłeś? Gdzie jesteś? Co się...? – Czego... ode mnie chcesz? – Wyduśła te słowa spomiędzy zdrętwiałych, opornych warg; jedyne, jakie Przekaz pozwolił jej wypowiedzieć do nie widzianego od tak dawna człowieka. – Proszę... dasz mi trochę informacji?

Oblizwał popękane, zakrwawione usta i wymamrotał coś niezrozumiałego.

– Jestem... jestem tutaj. Na Numerze Czwartym. W miejscu zwanym Ognistym Jeziorem. – Przesunął palcami po brudnych, zlepionych włosach. – Potrzebuję pomocy. Coś cały czas tkwi w mojej głowie i... – Urwał i wytarł dłonią wargi, gwałtownie potrząsnął głową, jakby mógł w ten sposób wyzwolić się od tkwiącej za powiekami rzeczy. – Moon, jestem sybillą! Ktoś mnie zaraził, kobieta, przez którą teraz mnie widzisz. Nie chciała być sybillą... Oszalała. – Przełknął coś. – Ja... ja chyba też. Tkwę w pułapce, nie mogę wezwać na pomoc nikogo innego. Powiedz mi, jak panujesz nad Przekazem! Za każdym razem, gdy słyszę pytanie... – załamał mu się głos, w jego oczach dostrzegła nagą rozpacz.

– Sybillą... – Zdumienie przeszło jej we współczucie, wspomniła własne wtajemniczenie, kiedy to sztucznie stworzony wirus rozszedł się po jej organizmie jak pożar, o ile większe byłoby jej oszołomienie i przerażenie, gdyby nie miała przy sobie nikogo do pomocy i kierowania. – Nie bój się – wyszeptała z trudem. – Znam cię... Wiem, że nigdy... – pożyczone dłonie drżały bezsilnie wzdłuż boków, nie chciały jej słuchać. Moon przypomniała sobie słowa, które już kiedyś mówiła, patrząc w te same oczy: – Nie znałam uczciwszego, łagodniejszego, miłszego człowieka... że musiałeś być do tego stworzony. Zostałeś w jakiś sposób wybrany...

Ja też zostałam jakoś wybrana. Odetchnęła głęboko, próbując usunąć sprzed oczu wspomnienie jego twarzy sprzed ośmiu lat; widok tego, co wypełniało jego oczy, gdy wtedy słuchał tych słów.

Starła się nie pamiętać, jak wsunął ją pod siebie, jak całował ją z rozpaczliwym, niewiarygodnym głodem... jak często chwile owej nieosiągalnej przeszłości wtrącają się w jej nieuniknioną teraźniejszość. Rozgorączkowana i zdenerwowana mówiła nieprzerwanie, bezlitośnie odpowiadała tylko na jego pytania, dusiła palącą potrzebę zadawania własnych. – ...Istnieją formułki słowne, które ukierunkowują bodźce, zdania, które z czasem staną się częścią procesu twego myślenia... – Potok słów uległ przerwaniu, Moon poczuła, jak umysł sybilli szuka w tym czasie odpowiedniej analogii – ...jak uprawiana na Kharemough sztuka adhani.

– Naprawdę? Ćwiczyłem ją... – W jego oczach pokazała się nadzieja, Moon zaczęła wreszcie wierzyć w narzucaną jej przez maszynę sybilli mądrość, w spokojną, spójną racjonalność własnych odpowiedzi.

– No to jej użyj – mruknął jej własny obcy – znajomy głos. Szukała w pamięci rzeczy wyuczonych przez Clavally i Danaquila Lu.

– ..Istnieje rodzaj obrzędu prowadzącego do Przekazu sybilli, zaczyna się od słowa Wejście. Wystarczy poznać tylko to. Przypadkowe pytania naucz się blokować, skupiając się na słowie Stop.

– Stop? – powtórzył głosem drżącym z wątpliwości. – To wszystko?

– To bardzo proste, musi być takie. Ale jest jeszcze dużo więcej... – Jej słowa popłynęły jak woda, gdy tylko przestała walczyć z falą przymusu. Z bolesnym skupieniem powtarzał każde jej słowo, niemal nie mrugając wpatrywał się w oczy, jakby w obawie, że zaraz zniknie. Mówiła dalej, aż głos jej się urwał i wyschły źródła wiedzy. – ...wymaga to czasu. Uwierz w siebie. To nie tragedia, a może okazać się błogosławieństwem. Może tak miało być...

Zadrżały mu usta, jakby powstrzymywał zaprzeczenie; odwrócił wzrok, znowu spojrzął na jej twarz.

– Dziękuję – szepnął. Jeszcze raz przesłonił dłonią jej oczy, pogładził policzek. Poczwała, jak pożyczony przez nią oczy wypełniają się niespodziewanymi łzami, gdy chwycił jej rękę i przycisnął do swych ust. – Nie wiesz, co to dla mnie znaczy. Kocham cię, Moon. Nigdy nie kochałem nikogo innego. Nienawidziłem siebie, odkąd opuściłem Tiamat... – Głos go zawiódł. Nie puszczając jej ręki, zaczerpnął głęboko powietrza. – Mogę ci to teraz powiedzieć... bo wiem, że nigdy już cię nie zobaczę.

Poczwała, jak porywają czarna fala, zabierając z sobą, przyzywając przez bezdenne morze nocy, unosząc do jej własnego ciała. Obraz Gundhalinu zaczął drżeć i niknąć. Nigdy już cię nie zobaczę... nigdy... Zamrugwała, poczuła, jak spod powiek wymykają się łzy, spływają jej po policzkach. – Potrzebuję cię... – Usłyszała wykrzykujący te słowa pożyczony głos, nie wiedziała, czy to ona je wymówiła, czy obca kobieta, której ciało skradła.

– Moon! – zawołał, chwytając ją w ramiona, szarpiąc ducha, gdy zaczęła mdleć. Pocałunkiem starł ostatnie słowa, które wystąpiły na jej wargi: – Koniec analizy... – Czarna fala zatopiła ją, przeniosła przez czasoprzestrzeń, wróciła...

Potrzebuję cię... – Miała swobodne ręce. Wyciągnęła je na ślepo, czując jak upada... ktoś ją chwycił, obrócił, podtrzymał, zapobiegł runięciu.

– Moon...?

Uniosła powieki, mrugając w oszołomieniu, usłyszała męski, znany głos, wołający jej imię. Otworzyła oczy, usta, próbowała wymówić jego, gdy tylko spojrziała wyraźniej...

– Sparks. – Usłyszała niewiarę we własnym głosie, gdy dopasowała imię do tkwiącej przed nią twarzy. Przyglądały się jej zielone jak morze oczy; płomienie ognistych włosów okalały znaną jej, kochaną od zawsze twarz... Bogini, czy to tylko sen? Ciągle czuła na swoich usta tamtego mężczyzny. Wymknął się jej cichy krzyk, gdy mąż przyciągnął ją do siebie, ciągle trzymając w ramionach.

– Też cię potrzebuję – mruknął jej do ucha, całując włosy. – Widziałem Babunię, słyszałem – Moon, tak mi przykro.

Zesztywniała w jego ramionach, niemal się wyrwała, ale zaraz sama go objęła, przycisnęła do siebie, poczuła napięcie mięśni męża, napierające młode, silne ciało. Odnalazła jego usta, zaczęła je całować z gorączkowym głodem, jakiego niemal zapomniała, niecierpliwość, którą miała za umarłą, porwała ją niby czarny wicher.

Tym razem to Sparks cofnął się ze zdziwieniem. Przyciągnęła go do siebie, wsunęła dłonie pod lnianą tkaninę koszuli, przycisnęła swe ciało do jego, zakryła wargami usta męża, powstrzymując w ten sposób od pytań. Westchnął, ulegając jej... reagował coraz żarliwiej, odpowiadał własnym na każdy ruch jej ciała. Wszędzie dotykał ją dłońmi gorętszymi od wszystkiego, co dotąd pamiętała.

Zatopił się z nią w pokrywającym podłogę gęstym białym futrze. Gdy ją rozebrał, dywan wydał się jej miękki jak chmury. Błądził po niej dłońmi, ustami, wciągnęła go na siebie, ciało na ciało, poczuła, jak w nią wchodzi. Wznosili się razem i opadali, rozkosz zalewała ich jak morskie fale. Moon zamknęła oczy, przypomniawszy sobie noc Święta, poczuła się wreszcie bezpiecznie w jego ramionach... wspomniawszy inną noc, w ramionach namiętnego, łagodnego obcego...

ONDINEE: Tuo Ne'el

Reede Kullervo westchnął jeszcze raz; przestąpił z nogi na nogę, wyjrzał przez szczelinę wysokiego, wąskiego okna. Widok nie polepszył mu humoru. Ze swego pokoju w pobliżu wieżyczki twierdzy Humbaby dostrzegał dziesiątki kilometrów niskich, układających się w fale wzgórz i wąskich dolin, wszystko porastały niemożliwe do przejścia cierniste gąszcze. Widział jedynie oszczepki, piekielne igły, ognikolce, wszystkie zasługujące na swoje nazwy, wszystkie szare, popielate i brązowawe, wyglądające na uschłe, na nigdy nie zakwitające. Miejscowi tę część posiadłości nazywali Tuo Ne'el – Martwą Ziemią.

Ale cierniowy las był ogniście, ulotnie żywy. Zapalony płonął jak piekło. Liście i korę roślin przepelniały pochodne ropy naftowej; paliły się z wściekłym żarem i mocą, aż na rozległych przestrzeniach wzgórz pozostawały jedynie lśniące pokłady popiołów. Reede pomyślał, że cykl życiowy gąszczy rozpoczął się tak samo jak jego... z tym tylko wyjątkiem, że gdy w końcu spłonie, nie zakiełkuje zawierające jego genetyczne cechy nasionko, czekające cierpliwie, aż uwolni je ofiara.

Zaczął nucić fragment piosenki. Nie rozumiał jej słów, choć wszystkie pamiętał. Melodia brzmiała w jego uszach obco i niepokojąco, skoki nut i interwały lekko mdlily, choć wiedział, że są dokładnie odmierzone. Nie nucił, gdy był szczęśliwy. W oddali widział inne twierdze – za nieprzebytą zaporą lasów wznosiły się niby wyzywające palce naładowane mocą wieże warowne i cienkie iglice. Potrafił wymieniwać imiona panujących w nich wodzów narkotyków i zbrodni, którzy jak drobni panowie feudalni władali życiem rzesz robotników, naukowców i giermków. Osłonięte wieże były łatwo osiągalne tylko z powietrza. W tym zawodzie dobre sąsiedztwo zapewniały jedynie cierniowe lasy. Powstrzymywały także miejscowych, którzy chcieliby się odpłacić za swe krzywdy. Reede odwrócił się od grubej na dwadzieścia centymetrów szyby z niemożliwego do przebiccia tworzywa ceramicznego, zaczął niespokojnie krążyć po pokoju, przesuwając dłońmi po głowie lub wsuwając je w głębokie kieszenie stroju laboratoryjnego. Denerwował się, bo Humbaba zawiadomił go, że ma natychmiast przybyć.. a teraz każe tu tkwić jak jakiemuś lokajowi. Nie znosił czekania, zatrzymywania w ruchu, sytuacji, w których nie miał czym zajmować myśli... Usiadł, wstał, zacisnął dłonie w pięści; znowu zaczął chodzić i ciągnąć się za ucho.

– Cholera... – powiedział, zaklął ponownie.

Słodki, melodyjny głos stu srebrnych dzwoneczków szepnął w tyle jego imię. Odwrócił się z szybkością zaskoczzonego zwierzęcia, gdy jakaś dłoń chwyciła go za ramię.

– Mundilfoere... – Na widok jej twarzy stanął tak gwałtownie i lekko, jakby nie miał masy. Ledwo sięgała mu do brody, twarz miała przesłoniętą welonem z cieniutkiej gazy, specjalnie niemal przezroczystej, tak iż jej rysy były wyraźnie widoczne, lecz przy tym okryte mgiełką tajemnicy i zmysłowości. Tkanina jej sukni, sięgającej od szyi do stóp, była zaledwie o włos mniej przejrzysta. Była główną żoną Humbaby. Mówiła, że jest córką handlarza klejnotów z południa, sprzedaną na jedną z wielu nałożnic. Ale było w niej coś więcej niż tylko wygląd, dlatego została główną żoną księcia zbrodni, miała na niego większy wpływ niż jakikolwiek z doradców. I Humbaba nie był jedynym, który dostrzegł jej wyjątkowość.

Reede uniósł drżące ręce; opanowała go przemożna żądza. Krył się w niej straszliwy, fizyczny głód rzeczy, które znało ciało Mundilfoere i mogło go nauczyć, a także coś głębszego, czego nigdy nie próbował nazwać, tym bardziej zrozumieć. Miał wrażenie, że zaczął życie od pierwszej nocy spędzonej w jej ramionach, od ranka, kiedy to po przebudzeniu ujrzał ją leżącą obok.

– Gdzie byłaś ostatniej nocy? Czekałem... czekałem aż do wschodu drugiego księżyca...

– Byłam z moim panem, Humbaba – powiedziała cicho. – Wezwał mnie.

– Znowu?

Wzruszyła obojętnie ramionami. Była faworytą Humbaby, nim jeszcze Reede poznał ich oboje; a szef na ogół nudził się nimi szybko.

– Nie sędzę, byście tylko rozmawiali o interesach – rzucił z goryczą.

– Nie przez całą noc. – Jej granatowe oczy przyglądały mu się spoza srebrzystej gazy z łagodną nagana.

Reede skrzywił twarz w grymasie.

– Jak możesz go całować i nie wymiotować?

Nie uśmiechnęła się.

– W ciemnościach wszyscy mężczyźni są przystojni – powiedziała miękko. – Tak jak wszystkie kobiety są piękne.

– Sama w to nie wierzysz.

– Muszę.

Odwrócił się od niej, odetchnął głęboko. Czekala w milczeniu, aż znowu na nią spojry. Zobaczył, że odsunęła welon. Widok jej twarzy podniecił go nagle tak mocno, jakby była całkowicie naga. Wstrzymał oddech, ujrzał w duchu setki różnych obrazów jej twarzy i ciała, siebie przy niej... tysiące wspomnień potajemnych chwil, godzin, nocy spędzonych ukradkiem w kątach tego hermetycznie zamkniętego świata. Nie był pewien, jak długo była jego kochanką – czy raczej on jej, bo to ona wybrała. Poza godzinami spędzonymi w laboratorium całe jego życie było przypadkiem i chaosem. Nie liczył się czas, którego nie spędzał w jej ramionach. Trzymał wykręcane na boki zeszywniałe ręce, bał się, że swą żądzą zdradzi ich oboje.

Odsunęła się, jakby wyczuwając jego wymykanie się uczuć.

– Jest już stary, tishshah 'el – mruknęła ledwo słyszalnie. – Sam tak mówi, więc to na pewno prawda. Nigdy nie sprawił, bym płakała z radości... Tylko ty to potrafisz.

– Tishshah'el – mruknął. Ukochany obcy. Słowo jak westchnienie, wypełnione taką tęsknotą i takim żalem: jej rodacy mówili tak o kimś przyłapanym na cudzołóstwie, zbrodni, którą niekiedy karali kastracją lub obdarciem ze skóry. Niekiedy wolałby, żeby nie używała tego słowa, nawet gdy bardziej niż on doceniała jego ostrą ironię.

– Co tu robisz? – zapytała wreszcie.

– Humbaba chce się ze mną widzieć – odparł wymijająco.

– Dlaczego?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Już pół godziny zapuszczam tu korzenie... – urwał. – Skąd się tu wzięłaś?

– Też mnie wezwał.

– Po co? – zapytał z napięciem i nagłym lękiem. – Bogowie – a może wie?

– Nie wiem. – Na jej twarzy nie było troski. Jak zresztą zawsze. Jej myśli były niby głębokie stawy; nigdy nie pozwoliła mu zajrzeć pod ich powierzchnię. Czasami miał ochotę nią potrząsnąć, wydusić jakąś reakcję. Czasami był pewien, że jej niewzruszony spokój to tylko gra. Czasami sądził, że to jedynie pełen rezygnacji fatalizm, wpajany kobietom przez jej kulturę... A potem rozmyślał, czy nie pociąga jej swą potencjalną zgubą, czy nie widzi w nim jeszcze jednego samobójczego idioty, takiego jak wszyscy znani jej dotąd mężczyźni. Wtedy jednak mówiła mu z żarem, że jest dla niej kimś więcej, jak i ona dla...

Z cichym cmoknięciem brzęącym jak pocałunek otworzyły się drzwi do następnego pokoju. Reede odwrócił się, poczuł, że Mundilfoere robi to samo i szybko zakrywa twarz welonem. Odeszli od siebie na przyzwoitą odległość i razem przekroczyli próg, by stanąć przed Humbaba.

Jak zwykle Reede wzdrygnął się, gdy tylko ujrzał twarz szefa. Ciągle, pomimo upływu tylu lat, trudno mu było uwierzyć, że wygląda tak naprawdę. Humbaba pochodził z Tsieh-pun, a tam podobno miejscowe zwyczaje wykraczają znacznie poza tradycyjne wśród przestępców tatuaże. Mieszkańcy tej planety pokrywali twarze bliznami, im straszniejszymi, tym lepiej, bo w ten sposób zastraszaali wrogów i podwładnych. Chirurgia plastyczna zapewniała przyprawiające o mdłości możliwości, które nieporównanie przewyższały pierwotne, prymitywne szramy. Brzydota oznaczała siłę, potęgę... Jeśli było tak rzeczywiście, to według Reede'a Humbaba powinien być najpotężniejszym człowiekiem w galaktyce, bo był w niej najpaskudniejszy. Wyglądał tak, jakby miał wnętrzości na twarzy.

Kullervo powściągnął wstręt i nagły, niespodziewany niepokój, zsalutował szefowi, przykładając do czoła dłoń.

– Sab Emo. – W tyle Mundilfoere zrobiła to samo.

Humbaba odwrócił się od nich w stronę akwarium, popatrzył na ryby przesuujące się w jego zielonkawych głębiach jak lśniące cienie. Reede widział odbijającą się w szkle wielką i groteskową twarz szefa oraz w tle ich maleńkie, wykrzywione postacie. Ryby przyglądały się im ciekawie spoza przezroczystej szyby; ich łby były bryłami ciała równie zniekształconego, co u ich pana. One także pochodziły z Tsieh-pun, gdzie przy niektórych ludziach wydawały się ładne. Reede starł z twarzy grymas, mówiąc sobie w duchu, że jest w tym tyle samo sensu, co we wszystkich innych postępkach ludzi. A z punktu widzenia bioinżynierii mogło to nawet być prawdą.

Przedłużające się milczenie Humbaby napinało torturą nerwy Reede'a. Jego szef oderwał wreszcie wzrok od zielonego, spokojnego świata odrażających ryb i znowu na nich spojrzał.

– Dają mi tyle radości... – mruknął. Mówił całkowicie normalnym, głębokim i przyjemnym barytonem, stojącym w zupełnej sprzeczności z jego zachowaniem – kolejny kontrast, który potrafił wykorzystywać. – Jak i ty, mój klejnocie. – Wskazał na Mundilfoere, która w podziękowaniu skłoniła głowę, jej dzwoneczki lekko zadźwięczały.

– A twa praca, Reede, przynosi radość milionom ludzi. – W głosie Humbaby zabrzmiało ironiczne rozbawienie. Wyciągnął rękę i swe grube, tępe palce rozłożył nad podłużnym stolikiem. Reede rozpoznał z nagłym zdumieniem, że stoi na nim zestaw narkotyków – wszystkie były jego dziełem. Humbaba wybrał któryś, włożył do ust i połknął jak cukierek. – A także, z czego jestem jeszcze bardziej zadowolony, wypełnia milionami me konto. Obaj dużo korzystamy z naszej stałej współpracy zawodowej.

Reede nic nie odpowiedział i przesunął się niespokojnie, wiedząc, że nie po to go tu wezwano, by wysłuchiwał gładkich pochwał. Nie potrafił niczego wyczytać z całkowicie nie ludzkiej twarzy Humbaby.

Humbaba gwałtownie zwrócił się do nich.

– Ale dowiedziałem się o czymś, co nie sprawiło mi radości. Mówiąc prawdę, wywołało ból, jakiego nie odczułem od śmierci mej ukochanej matki. – Jego małe czarne oczy zdawały się migotać, jakby szybko mrugał skrytymi pod guzami ciała powiekami. – Od kiedy jesteście kochankami?

Reede zdrętwiał, otwartość niespodziewanego pytania pozbawiła go słów.

– Nie jesteśmy...

– Nim jeszcze przyprowadziłam go do ciebie, mój panie – powiedziała spokojnie Mundilfoere. – Od dnia, w którym po raz pierwszy go zobaczyłam. – Reede zerknął na nią ze zdumieniem, a jego szef podszedł powoli, górując nad kobietą potężnym ciałem.

Humbaba wyciągnął rękę, złapał welon zasłaniający twarz żony, zacisnął pięść, jakby chciał go zerwać, lecz tylko łagodnie uniosł zasłonę i zajrzał w twarz Mundilfoere.

– Chcesz powiedzieć, że go uwiodłaś, by mi zapewnić jego wierność?

Reede patrzył na nią, niezdolny do oderwania oczu; nagle bardziej niż na życiu zaczęło mu zależeć na poznaniu jej odpowiedzi.

Spojrzała na niego i popieściła wzrokiem twarz, nim opuściła oczy.

– Nie, mój panie. To nie dlatego.

Humbaba zacisnął pięści, napiął mięśnie ramion.

– Niech cię lichy – powiedział. – Czemu nigdy mi nie kłamiesz? Sam przecież podsunąłem ci kłamstwo...

Odwróciła wzrok, znów na niego spojrzała.

– Nigdy ci nie skłamałam, mój panie. Wiesz o tym. To dlatego tak długo jestem twą główną żoną.

Prychnął, wprawiając w drżenie plecionki z ciała.

– Chciałbym wiedzieć, klejnocie, o czym jeszcze zapomniałaś mi wspomnieć – powiedział gorzko, puszczać welon i ściskając ją za brodę, aż się skrzywiła. – Ufałem ci, jak nigdy przedtem żadnej kobiecie... może jak nigdy żadnemu mężczyźnie... – Reede zwarł bezsilne dłonie; bolała go pierś od wstrzymywanego oddechu. – Tak – mruknął Humbaba – a więc jednak najbardziej lubisz ładnych, młodych chłopców? Ilu jeszcze ich miałaś?

– Żadnego, mój panie – odparła z trudem. – Tylko jego. Tylko ciebie...

Znowu prychnął drwiąco i puścił kobietę.

– Mundilfoere, wiesz, jak twoi ziomkowie karzą cudzołóstwo. Mogę kazać, by zerwano ci skórę z twarzy, aż będziesz wyglądała jak ja. – Rzucił spojrzenie na Reede'a. – Mogę odciąć ci fiuta, Kullervo, i kazać zjeść. – Skrzywił się. – Zawsze się zastanawiałem, czemu nie interesujesz się seksem – mruknął Humbaba. – Dawałem ci kobiety, ile tylko chciałeś, także mężczyzn, chłopców – pamiętasz? – Reede sztywno kiwnął głową. – Zawsze jednak odmawiałaś. Sądziłem, że możesz mieć kogoś w mieście. Ale znalazłeś coś tutaj. Dawałem ci wszystko. Mimo to wzięłaś sobie jedyną rzecz, której ci nie ofiarowano. – Uniósł ciężką pięść, zatrzymał tuż przed twarzą Reede'a, aż ten mimowolnie zamrugał powiekami. – Dlaczego?

– Bo gdy ją spotkałem, zapomniałem o wszystkim innym. – Reede przekonał się, że prawdę może mówić swobodnie, lecz jego głos brzmiał nieswojo. Czuł się jak człowiek dręczony koszmarem, próbujący się przebudzić. Jak się dowiedziałeś? Już niemal o to pytał... jednak nie zdołał. Wiedział, że szczegóły nie mają znaczenia, że już dawno powinno do tego dojść. W takim miejscu nie uchowa się żadna tajemnica, przypominało to życie na orbicie. Romans mógł trwać tak długo tylko dlatego, że i on i Humbaba często odbywali podróże po tej i innych planetach. Zaczął nawet wierzyć, że gdy wszystko się wyda, szef nic mu nie zrobi, bo jest dla niego niezastąpiony...

– Tak – mruknął Humbaba – znam cię, Reede... znam to spojrzenie. Uważasz się za niezastąpionego. Ale utrata genitaliów nie naruszy twego mózgu. – Przesuwał wzrok po ich milczących, napiętych twarzach. Powoli sięgnął między fałdy długiej szaty bez rękawów, wyciągnął ciężką klingę z występami wielkości zębów i czubkiem zakrzywionym jak szpon. – Powiedzcie mi – zażądał – jak bardzo się kochacie? Czy oddasz swą męskość, by ocalić twarz ukochanej?... Czy zrezygnujesz z piękności, mój klejnocie, by odszedł stąd cało? – Machnął ręką, ostrze powtórzyło jego propozycję uśmiechem stali.

– Tak.

– Tak... – Reede urwał, uświadomiwszy sobie, że Mundilfoere odpowiedziała jednocześnie z nim i tak samo. Wystąpił krok, stanął między nią i Humbabą. Odpiął pas i opuścił spodnie. – No dalej – powiedział, patrząc nad błyszczącym nożem w nieodgadnione oczy szefa. – Odcinaj.

Humbaba przyglądał się Reede'owi trochę dłużej. Potem nagle jego twarz zaczęła dygotać, dygot przeszedł w trzęsienie całego ciała. Z bezwargiego otworu tworzącego usta wyrwał się głęboki śmiech. Jego kierownik działu badań wpatrywał się w niego ze spodniami wokół kostek. Humbaba pokręcił głową.

– Szalony łobuzie, na pewno znasz sposób, by ci odrosły. – Schował broń tak powoli, jak ją wyciągnął. – Nałóż spodnie. – Spojrzał na Mundilfoere i znowu pokręcił głową, trzęsąc fałdami.

– Mój klejnocie... – powiedział niemal ze smutkiem. Dotknął jej twarzy, tym razem czule. – Cierpiałbym, gdybym miał zniszczyć taką twarz... choć nadal byłabyś piękna w moich oczach i dawałabyś mi tyle radości... – Westchnął. – Ale i tak się zestarzejesz, choć o takie zniszczenie nie dbam. – Gwałtownie chwycił ją za ramię i pchnął w stronę Reede'a. – Masz. Daję ci ją, Reede. Weź ją za żonę. Przekonasz się, czy dalej nie będziesz mógł się oprzeć owocowi, który przestanie być zakazany.

Reede złapał kobietę, utrzymując równowagę pomimo gwałtownego ruchu i własnego zdziwienia.

– Mój panie... – szepnęła Mundilfoere, patrząc w oszołomieniu na obu mężczyzn. – Czy to żart? Humbaba z irytacją wzruszył ramionami.

– Moje poczucie humoru nie jest aż takie duże – powiedział i Reede wyczytał z jego głosu to, czego nie zdradzała twarz – że się skrzywił. – Już cię nie chcę. Skończyłem z tobą. Należysz teraz do mojego człowieka, Kullervo, chyba że też cię nie zechce. – Machnął na nich ręką, odprawił.

Mundilfoere zatrzepotała rękoma, aż zabrzęczały. Reede objął ją, zaczął prowadzić do drzwi, dojrzał, że jej twarz wyraża bardziej zdenerwowanie niż radość czy ulgę.

– Mundilfoere...? – mruknął. Spojrzała na niego, dostrzegła w oczach nie wypowiedziane pytanie. Wyciągnęła dłoń i lekko dotknęła jego policzka, jednocześnie nagle zmieniając minę i w ten sposób odpowiadając. Reede obejrzał się na Humbabę.

– Dziękuję – powiedział, po raz drugi w życiu, jeśli dobrze pamiętał.

Humbaba uczynił niezrozumiały gest. Reede wiedział równie dobrze jak jego szef, że może pracować z uciętym futem, lecz jeszcze lepiej, gdy będzie szczęśliwy. Humbaba nie był myślicielem. Doszedł daleko, bo instynktownie potrafił pozyskiwać lojalność swych ludzi.

– Ten nowy środek do wdychania, nad którym pracujesz. Spodziewam się wkrótce nim cieszyć – powiedział Humbaba do oddalających się pleców podwładnego.

– Tak, sab. – Reede uśmiechnął się, gdy drzwi się otwarły, pozwalając mu wyjść z przyciśniętą blisko Mundilfoere, a potem zamknęły.

W drugim pokoju chciał się zatrzymać, lecz kobieta lekkim ruchem ciała przeszkodziła mu w tym. Usłuchał, nagle zrozumiał jej chęć oddalenia się jak najbardziej od wydarzeń, które o mało co nie miały miejsca. Wyszli z przedpokoju na ciągnący się w nieskończoność korytarz. Gdy wkroczyli pod bujne listowie tropikalnego ogrodu, powietrze wypełniał niewiarygodnie silny zapach kwiatów, światło stało się zielone i cętkowane.

Reede zdołał wreszcie zatrzymać Mundilfoere, wprowadzić do rozległej kryjówki pod drzewem owocowym i ściśle objąć ramionami. Pocałował ją z całą mocą żądz i wilczego głodu wypuszczonego z więzienia skazańca. Nigdy jej tak nie całował, tak otwarcie, swobodnie, jakby nie musieli się niczego bać, nie mieli nic do ukrycia.

Mimo to uniosła dłonie, odsuwała go łagodnym, upartym ruchem, aż ją wypuścił z objęć, lecz nadal trzymał za ręce.

– Musimy być dyskretni...

– Dlaczego? – zapytał.

– Dopóki wszystkiego nie rozważymy.

Dojrzał naleganie w jej oczach, przypomniał sobie, co chciała mu przypomnieć. Ledwo dostrzegalnie kiwnął głową.

– No to chodź do mojego pokoju.

– Tak – mruknęła, przyciskając do niego twarz, na chwilę przylegając ciałem. Poczuł, jak jej serce bije szaleńczo niby skrzydła schwytanego ptaka. – Chcę płakać z radości...

W swym pokoju i łóżku kochał się z nią, jakby był to sakrament, choć nie miał pojęcia, czym są sakramenty. Wiedział jedynie, że gdyby mógł, to by ją wielbił, że jej ciało było ołtarzem dla duszy, że rozkosz jest jedynym znanym mu rodzajem modlitwy...

Gdy potem leżał obok niej i wreszcie uciszył niespokojny ruch swego istnienia, zadał jej pytanie:

– Dlaczego mnie uwiodłaś, gdyśmy się spotkali, skoro nie chciałaś namówić do pracy dla Humbaby?

Spojrzała na niego leniwie spod na wpół przymkniętych powiek. Poczuł jej zapach, pełen aromatów dziwnych ziół i olejków, które wcierała w skórę i włosy.

– By przynieść ci spokój – odpowiedziała, przesuwając palcami po jego błyszczącej od potu piersi.

Uniósł głowę z chrząknięciem, które mogło oznaczać śmiech lub niewiarę; znów ją położył.

– Niech cię... – mruknął. Położył swe dłonie na jej, aż pod nimi zniknęły. A jednak był to gest dziecka tulącego się do matki. – Nic dziwnego, że przez tyle lat tumańczyłaś Humbabę. Nawet ja nie wiem nigdy, co naprawdę myślisz... Czasem zresztą nie wiem, co sam robię. – Podniósł się, podpierając łokciem, spojrzał na nią, dotknął wiszącego między jej piersiami srebrzystego wisiorka, w jego środku niby opalizujące oko tkwiła solia. Przesunął dłoń, by musnąć swój taki sam naszyjnik, upewnił się, że jeszcze go ma. – Mundilfoere... powiedz mi, jak się spotkaliśmy.

– Znowu? – Spojrzała na niego niebieskofioletkowymi oczami wypełnionymi ciekawością. Przez chwilę myślał, że odmówi, ale powiedziała śpiewnie, jakby recytowała Opowieści o Świętych: – Jest wiele niewidzialnych rąk uczestniczących w Wielkiej Grze... a wszystkie prowadzi sama ona. Grałeś w arkadach stacji, którymi przechodziłam dokądś. Zwróciło to moją uwagę, bo usłyszałam krzyki ludzi obserwujących twą grę, zachęcających, byś ciągle wygrywał. Weszłam do środka, bo byłam ciekawa; ujrzałam ciebie i zobaczyłam, że intuicyjnie robisz rzeczy, o jakich się nawet nie śniło większości graczy. Poznałam, że masz rzadki dar, który się marnuje w takim miejscu. A potem spojrzałaś na mnie, zobaczyłam twą twarz... a ty moją.

– I czas się zatrzymał – szepnął, kończąc za nią zdanie. – I powiedziałaś "Chodź ze mną", a ja poszedłem... – Zamknął oczy, spróbował wyobrazić sobie elektryzujące poczucie wygrania; chwilę, gdy uniósł oczy i zobaczył ją stojącą tam, czekającą, aż spojrzy w górę i ją spostrzeże. Przed oczyma migaly mu fragmenty wspomnień, okruchy lustra, kawałki układanki, wszystko wirowało jak liście na wietrze podczas burzy przypadków. W nagłym odruchu lęku otworzył oczy, ujrzał powagę i prawdziwość jej twarzy, nieodgadnięte głębie oczu. – Dlaczego nic nie pamiętam? Nie mogę sobie przypomnieć...

– To nieważne – powiedziała łagodnie i położyła mu dłoń na włosach, odgarnęła je z twarzy, zaczęła gładzić powolnymi, powtarzającymi się ruchami; ukołysała go tak. – Kocham cię. Zawsze będę cię kochać, bardziej niż moje życie.

Położył się znowu, porzucając wypytywanie, pozwolił, by masażem odpędzała myśli w niepamięć, gdzie było ich miejsce. Umieścił głowę na jej ramieniu, gdy z hebanowego pudełka

stojącego na nocnym stoliku wzięła i zapaliła jedną z pachnących ziołami trociczek. Oddychał resztkami wciąganego przez nią dymu, znowu cieszył się wyjątkową ostrością wszystkich zmysłów, oszałamiającą świadomością samego życia.

– Czy byłem prawiczkim, gdy mnie spotkałaś?

Nie roześmiała się, lecz przekręciła głowę, by na niego spojrzeć.

– Chyba nie. W każdym razie nie fizycznie.

– Byłem bardzo młody.

– Tak – potwierdziła, łagodnie gładząc go po czole.

– Ale czułem się tak staro... – Zamknął oczy, znowu pamięć przywołała mu przed oczy fragmenty obrazów, okruchów szkła w potrząśniętym kalejdoskopie, przypadkowe wzory światła.

– Wiem – mruknęła.

– Mundilfoere, skąd pochodzę?

– To, nieważne – powtórzyła i pocałowała go czule w policzek. – Teraz jesteś tutaj.

– Tak... – Znowu otworzył oczy i spojrzął na nią. Odeгнаło to rozbrzmiewające echem w jego umyśle, tkwiące tam jak kłamstwo melodie pochodzące z nieznanego mu miejsca lub czasu. Westchnął, przycisnął do policzka jej dłoń, przytrzymał. Skórę miała miękką i zimną, niby dotyk... dotyk... Oderwał się od obrazu, który nie mógł nabrać kształtu, oderwał od Mundilfoere, pozwolił minąć napięciu, zaczął błądzić wzrokiem po ścianach. Uświadomił sobie, że w pokoju ciągle rozlegają się tony pieśni Kharemoughi, wypełniają niebieskoszarą przestrzeń, unoszą jego myśli do niebieskoszarego nieba za szczeliną okna, tam, gdzie nigdy nie ma żadnych pytań.

Wciągnęła dym, wypuściła z westchnieniem. Po chwili powiedziała: – Sab Emo był, na swój sposób, przez te wszystkie lata niezwykle dla nas łaskawy. – Podała mu narkotyczne kadzidło i zaciągnął się nim głęboko.

– Tak – mruknął, odpędzając przeszłość, ciągle niezbyt wierząc w teraźniejszość.

– Cieszę się, że nie trzeba będzie go zabić. Był pożyteczny dla Bractwa.

Reede prychnął.

– Gdyśmy tam byli, chyba nie mieliśmy możliwości choćby o tym pomyśleć, a co dopiero uczynić. Bogowie... Myślałem, że mówi poważnie. A gdyby...

– Powiedziałabym mu, że noszę jego dziecko.

Znowu uniósł się na łokciu, spojrzął na nią z rodzajem zdumienia.

– Mówisz poważnie? – zapytał miękko. – Jesteś...

– Oczywiście, żenię. – Uśmiechnęła się trochę smutno. – Tonie dla nas... Wiesz o tym, kochany. Nie takie pisane nam przeznaczenie.

Odwrócił wzrok, zamilkł na dłużej, wreszcie powiedział:

– Powiedziałaś chyba, że nigdy nie skłamałaś Humbabie.

– To byłby pierwszy raz – odparła. – I ostatni. Choć nie zawsze mówiłam mu prawdę...

– Ale gdybyś to uczyniła, mogłyby w tym tkwić i kłamstwa.

– Jeśliby kłamałabym o prawdzie. – Uśmiechnęła się do niego. – Trzeba wiedzieć, jak zadawać właściwe pytania... a czasami, jak na nie odpowiadać.

– Czy kiedykolwiek skłamałaś mnie?

Głęboko, śmiało spojrzęła mu w oczy.

– Nigdy.

– Ale nie zawsze mówiłaś mi prawdę.

Przyłożyła palce do ust.

– Nie dręcz się pytaniami, tishshah'el. To niepotrzebne. Jesteś moim ukochanym.

Uspokojony, pocałował ją znowu.

– Możesz się dzisiaj do mnie przeprowadzić. Każ, by przysłano twe rzeczy... – uśmiechnął się – żono.

Poruszyła się niespokojnie, jakby go nie słyszała. Albo nie chciała słuchać. Ale nie dopuścił do siebie tej myśli.

– Bractwo nie będzie zadowolone, gdy się dowie, że mnie odprawił. Trudniej będzie go kontrolować.

– Kogo? Humbabę?

Kiwnęła głową.

– Może mimo wszystko przegłosują, by go usunąć... a to pogorszyłoby moją pozycję.

Reede objął ją i znowu przyciągnął do siebie.

– Nie martw się. Humbaba jest na tyle sprytny, by wiedzieć, że brak mu dużego sprytu. Od lat opierał się na tobie. To się nie zmieni. Jedyne miejsce twego spania... – Wsunął się na nią, dotykając piersią jej ciała, poczuł między nogami znajome pulsowanie i ciepło.

– Tak... – wydyszała z roztargnieniem między jego pocałunkami. – Jesteś mądry, kochany. Ale może lepiej zaczekam z przeprowadzeniem się do ciebie, aż Humbaba wszystko potwierdzi. Wszędzie są oczy...

– Do licha z ich oczyma – rzucił ochryple, wyjątkowo silne podniecenie pobudziło każdy nerw jego ciała. – Zrób to. Zrób. Dla mnie. – Objął ją mocniej, poczuł na sobie ręce Mundilfoere, błędnymi wszędzie, wbijały paznokcie w jego ciało, gdy rozpałała się równie mocno, co on. Poczuł, jak rozsuwa nogi, pozwalając wstępu. Z oszalelami żarliwością objęła go, wprowadziła w siebie.

– Och, bogowie – szepnął. – Kocham cię...

Reede szedł sterylnymi ciszami korytarzy zespołu laboratoriów. Miał na sobie jedynie białą jak narzuconą luźną szatę. Rozmieszczone co kilka metrów, wiszące nad zamkniętymi drzwiami i wszystkimi skrzyżowaniami zegary przypominały mu, że według miejscowego czasu jest jeszcze daleko do świtu. Niebo za szczelinami okien było czarne jak śmierć, a Mundilfoere spała obok jak dziecko, gdy się nagle obudził i zrozumiał, dlaczego – czego nie dopełnił.

Jego ciało zawsze drżało, brzęczało, wibrowało, jakby przytknięto do niego elektrody. Jednak w czasie snu narkotyczny środek podkręcił napięcie. Powinien był wiedzieć, że niewiarygodne doznania podczas zaślubin Mundilfoere wynikają nie tylko z jej umiejętności i jego żądy. Powinien był rozpoznać sygnały ostrzegawcze. Był jednak zbyt zajęty... Teraz ciało przerwało niespokojną drzemkę, zakończenia wszystkich nerwów rozpałały się, śpiewały. Nie mógł zasnąć, bo jego skórze wydawało się, że leży na łożu nabitym gwoździami, a rano na pewno zmieni się ono w skrzynię rozpalonych węgla.

Każdy robiony teraz krok był morderczą torturą dla stóp, światło kłuło w oczy, każdy zaczerpnięty oddech sprawiał, że płonęły płuca. Głupi. Głupi. Mózg powtarzał to jak litanie przy każdym ruchu, cierpienie tak go wypełniło, że nie znajdował mocniejszych określeń, na jakie w pełni zasługiwała jego głupota. Dał się tak zamroczyć kochaniem, że nie wrócił do laboratorium...

Dotarł do szukanych przez siebie drzwi, tak krótko przytrzymał opuszki palców na czujniku dotykowym, jakby był rozpalonym żelazem; gdy nie zareagował, wcisnął go mocniej i zaklął. Od dźwięku potwierdzenia zacisnął w bólu zęby. Zniknęły pieczęcie zabezpieczające i mógł już wejść do środka.

W tej chwili wdarł mu się w świadomość wysoki, drażniący pisk. Zatrzymał się na chwilę i ruszył w głąb laboratorium, nie tracąc czasu na zamknięcie drzwi za sobą.

W małej przezroczystej klatce znajdował się quoll, jedyne oprócz niego żywe stworzenie w laboratorium. Znalazł je w Razumie, gdzie było jednym z niezliczonych porzuconych, głodujących na ulicach istot. Nigdy nie prowadził badań na zwierzętach; wyniki uzyskiwane z programów modelujących były znacznie dokładniejsze. Ale w tym przypadku uczynił wyjątek. W tym wypadku perwersyjna chęć wiedzy sprawiła, że zabrał do laboratorium nieszczęsne stworzenie. Karmił je, czyścił, podawał środek... Obserwował, jak quoll rósł i rozwijał się, a jednocześnie każdą komórkę ciała zwierzęcia opanowywał technowirus, ten sam co i w jego organizmie. Zwierzę cieszyło się dzięki temu doskonałym zdrowiem. Zaprojektowany przez Reede' a środek miał czynić to samo, co woda życia – zapewnić bezbłędne funkcjonowanie narządów ciała, wydłużyć w nieskończoność ludzkie życie. Niemal mu się udało...

Quoll poznawał go i nie bał się, witał radosnymi gwizdami, gdy tylko wszedł do laboratorium, obserwował przy pracy. Niekiedy Reede wsuwał ręce do klatki, gładził miękkie, rosnące w kępkach futerko...

A potem przestał podawać środek i zaczął obserwować skutki. Marnienie było gwałtowne i straszliwe. Lek był przeznaczony dla ludzi, lecz jego działanie – zaprojektowane ze zbytnim uproszczeniem, jak Reede zrozumiał za późno – było na tyle ogólne, by niemal tak samo wpływał na quolla. I niemal tak samo zabijał.

I to właśnie zabijanie chciał ujrzeć szczegółowo – nie tylko model komputerowy, lecz także prawdziwe, obrzydliwe, krwawe objawy. Bo przecież był nimi osobiście zainteresowany.

Próbował odtworzyć wodę życia, ale bez skutku. Świadomie i umyślnie zaszczepił sobie tak niedoskonale skopiowany na wpół rozumny materiał, choć badania modelowe wykazały, co może mu grozić – i co się rzeczywiście stało. Jego organizm uzależnił się od środka, nie mógł bez niego normalnie funkcjonować. Ciało starzało się nadal – specyfik zawiódł i pod tym względem – ale, jak na ironię, działało przy tym z najwyższą skutecznością.

Ale substancja była nietrwała. Tak samo jak prawdziwa woda życia, wymagała stałych uzupełnień. Tylko że oryginał nie powodował uzależnienia, co czynił środek. Bez ciągłych dostaw specyfiku każda, dosłownie każda komórka ciała przestanie działać, zacznie umierać, wyrodnąć; miliony mikroskopijnie małych maszyn wymkną się spod kontroli.

Reede stanął przed klatką, zmusił się do patrzenia na agonię siedzącego w niej stworzenia; do spoglądania w lustro. Obserwował ciało skręcane niespodziewanymi atakami, krwawą pianę na pyszczku, miękkie cętkowane futerko powalane odchodami, oczy przekręcające się w głowie... Chciał to widzieć, chciał wiedzieć, co go czeka... No to patrz, pieprzony tchórze! Tyś to zrobił; zrobiłeś to sobie, bo tak chciałeś...

Straszliwe bóle przeszywały go ciągle, wypełniały głowę. Rękoma drżącymi od czegoś bardziej przerażającego niż lęk sięgnął powoli do klatki i wyciągnął quolla. Potrzymał go chwilę, nie zważając na zadawane w agonii ukąszenia. Potem nagłym, pewnym ruchem dłoni złamał kark zwierzęcia.

Obwisłe, martwe ciało wrzucił do pieca na odpadki, patrzył, jak znika na jego oczach, czysto, całkowicie uwalniając na zawsze duszę stworzenia – jeśli ją ma. Kto mi wyrządzi taką przysługę ?

Odwrócił się, powłókł przez laboratorium, bolesne ostrzeżenia ciała nagle zwielokrotniły się po tysiackroć. Musiał się zatrzymać i wciągnąć nosem lek uspokajający, inaczej nie mógłby się skupić. Włączył swe stanowisko pracy, przeciągnął dłonią po płytce dotykowej, zapalił niewłaściwe kwadraciki, próbując przekonać system zabezpieczający, by dał mu to, czego potrzebował. Wreszcie usłyszał słaby dźwięk oznaczający, że wyłączył właściwy fragment pola ochronnego. Podeszedł do niego, wsunął ręce za szczypiący ekran i wyciągnął nie oznakowaną fiolkę. Środek nie miał oficjalnej

nazwy. Był jego jedynym użytkownikiem. Myślał o nim jako o "wodzie śmierci". Otworzył fiolkę i połknął zawartość.

TIAMAT: Krwawnik

– Pani...

– Pani...

Słowa wykrzykiwane z boleśnie znajomym gardłowym akcentem Letniaków dobiegały do Moon, gdy schodziła długą, pochyłą rampą kończącą Ulicę. Łączyła ona Niższe Miasto z portem leżącym pod potężną, dającą ochronę muszlą Krwawnika. Robotnicy chylili głowy przed Królową, unosili w powitaniu ręce lub patrzyli ze zdumieniem, jak wkracza w ich świat, który kiedyś był i jej. Miała na sobie spłowieły, wypchany strój dokera – lnianą koszulę, płócienne spodnie i gruby bury sweter, zrobiony dla niej przez babcię. Ze Sparksem u boku przybyła tu po naleganiach Babuni, porzucając na chwilę Kolegium Sybilli, targujących się zimackich przedsiębiorców i spierających zimackich inżynierów. Chciała sobie i swemu ludowi przypomnieć o dawnym dziedzictwie. Babcia także szła w tyle, umyślnie trzymała się z dala od obecnej również Jerushy PalaThion, która zawsze towarzyszyła opuszczającej pałac Moon. W połowie pochylni stała mała grupa Goodventure, oni też nigdy nie opuszczali Królowej, śledzili ją i szpiegowali. Już z tego powodu Jerusha nigdy nie odstępowała Moon.

– Pani, co możemy dla ciebie zrobić? – zapytał żeglarz zbliżający się z liną okrętową w rękę. Patrzył na nią jakby z lękiem, ale i niepewnością w oczach; zdawał się obawiać, że przybyła tu, by wydać wyrok na swój lud, ukarać za krnąbrne uchylanie się przed przyjmowaniem nowych zwyczajów.

Ale Moon wzięła od niego cumę, poczuła w dłoniach szorstkie włókna i pomyślała, że utraciła twardość i wytrzymałość skóry, jaką kiedyś zawdzięczała ciężkiej pracy.

– Nic – powiedziała pokornie – chcę na trochę być znowu Moon

Dawntreader Letniaczką, popracować przy statkach i jak każda sybilla odpowiadać na pytania wszystkich, którzy zechcą je zadać.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem i puścił linę, zostawiając ją w dłoniach Królowej. Owinęła cumę wokół pachołka, dłonie instynktownie wykonały węzły, o których zapomniał umysł.

Powoli, niemal niechętnie, inni Letniacy zaczęli pokazywać, co robią. Sparks poszedł w ślady żony, na wpół świadomie włączył się w rytm pracy. Ciało Moon również się do niego dostosowało, dużo szybciej, niż przypuszczała. Babunia usiadła na nabrzeżu i zaczęła naprawiać przejętą od któregoś żeglarza sieć. Oparta o beczkę Jerusha przyglądała się wszystkiemu z zawieszonym na plecach karabinem i pewnym żalem. Rano oznajmiła im, że po raz czwarty jest w ciąży. Poprzednie trzy skończyły się poronieniami i Miroe zabronił jej wykonywać ciężkie prace. Moon wiedziała, że powinna kazać Jerushy leżeć w łóżku, lecz nawet ona nie miała dość odwagi, by coś takiego powiedzieć.

Wokół nich nie skupił się tłum. Inni Letniacy przyglądali się dyskretnie, ciągle nie wyzbyli się podejrzeń czy niepewności. Moon wiedziała jednak, że wieść o jej obecności rozchodzi się po dyszącym, skrzypiącym podziemiu, gdzie żeglarze i dokerzy załadowywali i rozładowywali towary, skrobali, wiązali i uszczelniali kadłuby, naprawiali sieci, wszystko to przy wtórce zimnego morskiego wiatru gwizdającego w olinowaniu statków. Zmusiła się do zapomnienia, że były łatwiejsze, bezpieczniejsze i szybsze sposoby wykonywania większości tych prac, przywoływała wspomnienia radości dawanej przez uczestnictwo w pracy zgranego zespołu, w którym każdy znał swoje zadania. Wchłaniała zapach morza, jego ciche, stałe mruczenie, czuła, jak zagłębia się pokład załadowywanego statku.

Sparks uśmiechał się do niej znad swej pracy, twarz miał spokojną. Od tak dawna nie widziała

u niego podobnej miny, że niemal zapomniała, iż kiedyś tak wyglądał. W oczach męża dostrzegła także pamięć o niespodziewanej namiętności, która opanowała ich oboje przed dwoma dniami, spełnienia potrzeby nie tylko fizycznej, lecz także wyrastającej z głębi duszy, od bardzo dawna u obojga na to czekającej.

Także się uśmiechnęła, głęboko oddychając morskim powietrzem, przywoływała czasy, kiedy to przy każdym ich miłosnym spotkaniu zapominała o całym świecie, kiedy byli młodzi i wolni, kiedy nie śniło się im, że może być inaczej... Nagle jednak przypomniała sobie o usłyszonym w nocy Przekazie, ujrzała twarz innego mężczyzny, jego wyciągniętą rękę, poczuła usta na swoich wargach, usłyszała słowa potrzebuję cię.

Opuściła wzrok i oszołomioną głowę. Zmusiła się do oczyszczenia umysłu, tak jak zrobiła to już kilka razy w ciągu ostatnich dwóch dni; do powściągnięcia uczuć budzonych wspomnieniem, równie ciemnych co jego oczy, równie rozpaczliwych i dręczących. Mc teraz nie możesz zrobić. Nic. Powtarzała ciągle te słowa, wplatała w rytm pracy, aż wreszcie poczuła ustępowanie bezradnego żalu.

Znowu uniosła głowę, gdy gdzieś na pochylni rozległ się hałas. Zerknęła tam znad trzymanej skrzyni, dostrzegła dwóch mężczyzn spierających się z policjantami, którzy na polecenie Jerushy mieli sprawdzać wszystkich przechodzących. Jedna z kłócących się postaci była stara, a druga młodsza, lecz boleśnie wykrecona. Danaquil Lu. Gdy głosy dobiegły wyraźniej, rozpoznała charakterystyczne ryczenie Boraha Clearwatera.

– Jerusha – zawołała przez burzę i wskazała brodą na zamieszanie. PalaThion skinęła głową i odeszła.

– Pani...? – ktoś mruknął w tyle. Odwróciła się, spojrzała w twarz wysokiej kobiety o brązowych włosach. – Mam pytanie.

Moon odłożyła trzymaną skrzynię i kiwnęła głową.

– Pytaj, a odpowiem. Wejście... – Kącikiem oka zobaczyła, jak Sparks przerwał pracę i zbliżył się z troską. Jednocześnie głos kobiety wypełnił jej uszy i umysł, zaczęła gwałtowny upadek w ciemność.

– ...Koniec analizy. – Znowu doszła do siebie i usiadła na skrzyni, przeczekując krótkie oszołomienie. Sparks położył dłonie na jej ramionach, roztarł je łagodnie. Poczuła oczy przyglądających się dokerów i żeglarzy, patrzyli teraz inaczej.

– Dziękuję, sybillo – mruknęła kobieta, uśmiechnęła się i kiwając głową, odeszła. Moon ujrzała dwie lub trzy inne, podchodzące do pytającej. Wiedziała, że znajdą się następni chętni.

– No, co mam z tym zrobić? – Ostro i wyraźnie doszedł ją głos mężczyzny, głos Boraha Clearwatera.

Skoczyła na nogi, podeszła do relingu małego trimaranu i wyjrzała na nabrzeże.

– Z czym, Borahu Clearwaterze? – zapytała.

Stary odwrócił się, oderwał od zaniepokojonej Jerushy i podniósł wzrok. Przez chwilę patrzył ze zdumieniem na prosto ubraną wyspiarzkę o włosach splecionych w warkocze, nie poznawał w niej Królowej Lata. Gdy poznał, skrzywił się jeszcze bardziej.

– Jeśli myślisz, że zmienię zdanie, widząc, jak uczciwie pracujesz, to się mylisz.

Moon roześmiała się, nie była pewna, czy Clearwater naprawdę wierzy, iż przybyła tu, by zrobić na nim wrażenie. Poczuła niecierpliwość buchającą jak żar od Sparksa, który podszedł bliżej.

– Przepraszam, Pani, że ci przeszkadzam – powiedział Danaquil Lu, z trudem odciągając swego towarzysza. – Mój wuj chciał... pomówić z tobą o, no, o prawie drogi, jakie przyznałaś naszemu krewnemu, Kirardowi Setowi Wayawayowi. – Smutek i rezygnacja Danaquila Lu powiedziały Moon,

że Clearwater tak go męczył, aż się zgodził zwrócić do Królowej.

Rzuciła mu krótki, uspokajający uśmiech i spojrzała na Boraha Clearwatera. Przechylna przez reling wpatrywała się w jego oczy z chłodną dobitnością, do której nie byłaby zdolna dwa dni temu, a nawet przed dwiema godzinami.

– Sądziś więc, Borahu Clearwaterze, że urządziłam to wszystko ze względu na ciebie? Tak samo jak przyznałam to prawo drogi, by cię urazić?

Clearwater prychnął, ale choć przez chwilę nie znajdował słów.

– Kto wie, dlaczego to robisz? Dla mnie ma to tak samo mało sensu, co wszystko inne.

– A za kogo się masz – przerwał mu nagle głos Babuni – że przychodzisz tu i mówisz do Pani takim tonem?

Odwrócił się do staruszki odkładającej naprawianą sieć.

– Uważam, że mam większe prawa mówić tak do niej, niż ty do mnie.

Danaquil Lu uniósł oczy do nieba. – Wuju... – mruknął, odciągając go za rękę.

– To moja wnuczka, jeśli musisz wiedzieć – powiedziała z gniewem Babunia. – To ja namówiłam ją, by tu przysłała, pobyła trochę wśród swego ludu i swych zwyczajów. Ona szanuje starszych. Ty też okaż szacunek, jaki winni są jej Letniacy, choćbyś nawet był Zimakiem!

Borah spojrzał na nią. – Tak się składa, że jestem Zimakiem. Gdyby jednak działała bardziej jak Letniaczka i nie wtrącała się zbytnio, dużo chętniej szanowałbym jej wyroki.

– Zimak! – Babunia przyjrzała mu się z niedowierzaniem.

– Nie wszyscy jesteśmy wyperfumowanymi lalusiami – warknął.

Oniemiała ze zdumienia Moon patrzyła, jak Babunia przeszła do obrony, była głęboko poruszona, iż staruszka ujęła się za nią. Danaquil Lu stał obok Jerushy, wyglądał na ogłupiałego.

– Wracając jednak do prawa drogi przez twe ziemie, Borahu Clearwaterze – powiedziała – czy to naprawdę taki wielki problem? Nie przeszkodzi to twym zbiorom czy połowom ryb. Zostaniesz szczerze wynagrodzony za korzystanie z tak małego skrawka swych posiadłości. Czy o to chodzi? A może nienawidzisz wszelkich zmian, nienawidzisz mnie i moich pomysłów?

Znowu prychnął, wzburzając wasy. – Nie jestem z ciebie rad, Moon Dawntreader. Wyraziłem to dostatecznie jasno i w przeciwieństwie do innych jestem na tyle uczciwy, by powiedzieć ci to w oczy. To mojego krewnego, Kirarda Seta Wayawaya, nienawidzę. Skupuje wszystkie posiadłości wokół moich, by kopać tam minerały i stawiać fabryki. W całej mojej plantacji są złoża rud. Chciał ją kupić, a gdy się nie zgodziłem, namówił cię, abys pozwoliła wejść na moją ziemię. Gdy już to zyskał, będzie na ciebie tak długo naciskał, aż dostanie wszystko. Cholera, przekonałaś go, że to możliwe, i teraz już nie spocznie. Cały klan Wayawayów to jedna gangrena, możesz mi wierzyć – z wyjątkiem młodego Dany, który jest pewnie szalony, ale mimo to w porządku. Powinni być niszczeni, do licha, a nie zachęcani do rozwoju!

– Słyszę cię, Borahu Clearwaterze – powiedziała łagodnie Moon. – Kirard Set Wayaway należy do najbardziej zaangażowanych i utalentowanych ludzi, z którymi pracuję nad rozwijaniem Tiamat. Mimo to nie zamierzam przyznawać mu żadnych zaszczytów kosztem innych. Przedstawiłeś mi swą skargę. Nie zapomnę o niej.

Clearwater chrząknął.

– Dopóki nie zabraknie ci rud i dopóki znowu nie odmówię mu prawa do zabierania moich ziem.

Moon skrzywiła się.

– Chcę polepszyć życie na Tiamat. Nie zamierzam przy tym zniszczyć planety. Nikt nie zmusi cię siłą, byś oddał swe ziemie. Daję ci na to słowo. Musisz mu zawierzyć. To wszystko. – Odwróciła się

od relingu, przestała słuchać skarg Boraha i ostrego głosu babci, znowu ostro wyrzucającej mu kwestionowanie słów sybilli, jej wnuczki. Moon spojrzała na zgromadzonych wokół, przyglądających się ciekawie żeglarzy. Jeden z nich wystąpił powoli, by zadać pytanie.

Odpowiedziała na nie i na kilka następnych, aż wreszcie zobaczyła, że nie ma już dalszych chętnych. Wyczerpana, lecz zadowolona, wstała z zakamarka między skrzyniami i wróciła do pracy.

Sparks wziął ją wtedy za rękę, uśmiechnął się poprowadziwszy do relingu, wskazał na nabrzeże. Zaskoczona, zobaczyła tam Boraha Clearwatera. Ciągle rozmawiał z babcią, teraz jednak siedząc obok niej i naprawiając sieć. Rozprawiał z ożywieniem, ale normalnym głosem, tak iż Moon nie rozróżniała słów ginących w hałasie i krzykach portu. Jerusha rozglądała się ze słabo skrywanym niepokojem, dostrzegła ich na pokładzie, uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, kręcąc jednocześnie głową. Moon wróciła do pracy, przepelniona nagłą wdzięcznością za niespodziewane radości dnia, tylko na chwilę zmieszało ją nagłe uklucie, gdy spojrzała na morze, nie wiedząc, do kogo ma skierować dziękczynną modlitwę.

Usłyszała nagły okrzyk bólu i łoskot upadku czegoś na nabrzeże. Wróciła do relingu statku i ujrzała Jerushę opartą dłońmi i kolanami o białe od soli deski, obok leżał jej karabin. Moon przeskoczyła przez burtę i wylądowała obok wstających właśnie, zaskoczonych staruszków. Z nagłym, wielkim żalem zobaczyła czerwoną plamę krwi spływającej po nogawkach spodni Jerushy.

– Sparks! – zawołała, opadając na kolana i chwytając próbującą wstać kobietę. Objęła ją mocno, wyczuła szarpiący jej ciało ból. Cierpiała wraz z nią, pamiętając o mękach własnego porodu. Jerusha przeżywała je za wcześnie, o wiele za wcześnie. – Znajdź Miroe. Szybko!

Jerusha otworzyła oczy, zamrugała nimi z niedowierzaniem na widok nowego otoczenia. Jej poprzednie wspomnienia dotyczyły nabrzeża portowego, dziwnego doznania spokoju, który spadł na wszystkich wokół niej, gdy ona patrzyła i czekała. Pamiętała, że siedząc poczuła coś – lekkie, drżące ruchy swego nie narodzonego dziecka. Pamiętała, jak w owej chwili przestał dla niej istnieć cały świat, skupiła się wyłącznie na cudzie tkwiącego w niej życia. W tej krótkiej chwili wniknął w nią zewnętrzny spokój, dotknął duszy, aż pozwoliła sobie na błogość, pewność, że tym razem wszystko będzie dobrze...

A potem poczuła dalsze ruchy dziecka, ciągłe, niespokojne i samą ją ogarnął dziwny niepokój. Utraciła owo kruche, bezcenne doznanie pewności, odleciało od niej niby ptak. I nagłe uklucie, napięcie, aż wstała z miejsca, usilnie starając się go pozbyć niby skurczu mięśni, usunąć jak najszybciej. Miewała już takie doznania i wiedziała, co zawsze po nich następowało...

Stojąc poczuła ból, wszystko w niej się skręcało i rwało; gdy mrok zalał ją niby straszliwa, gnająca fala, nie miała już wątpliwości, że tym razem umrze...

Ale żyje. Leży w dziwnym łóżku w dziwnie znajomym pokoju. Rozpoznała sufit, widziała go już przedtem. Wnętrze tej szpitalnej sali było niesamowitą mieszaniną rzeczy starych i nowych. Stojące wokół, porzucone przez Hegemonię sprzęty i meble były nowoczesne, lecz tak jak ona wypatroszone z wnętrzości. Jerusha знаła kwaśny, obcy zapach ziół leczniczych używanych przeważnie przy leczeniu takich przypadków jak jej. Czuła swe dłonie, ręce, ramiona, choć nie miała sił, by nimi poruszyć. Czuła palce nóg, lecz cały środek ciała był pustką, jakby nigdy nie istniał. Odrętwiały. I nikt nie musiał jej mówić, z jakiego powodu.

Poruszyła głową, zwróciła ją w stronę drzwi i pozwoliła opaść pod wpływem własnego ciężaru. Ten ruch spowodował, że poza zasięgiem wzroku coś się przesunęło. Jerusha poczuła, że ktoś ją trzyma za rękę. Zmusiła się do skupienia oczu, spodziewała się zobaczyć męża.

Zamiast niego ujrzała twarz Królowej Lata. W milczącym współczuciu przykrywała jej dłoń

swą bladą ręką. Wyrażała żal po stracie tak niedawnej, że jeszcze nawet nie odczutej. Jerusha na chwilę przypomniała sobie odwrotną sytuację; to ona siedziała wtedy przy łóżku Moon, trzymającej jej rękę w martwym uchwycie, cierpiącej męki porodowe...

– Nie powinnaś tu być – szepnęła. Gardło miała boleśnie wyschnięte, całe ciało zdawało się jej wypaloną pustynią. Jałową. Nieurodzajną.

Twarz Moon zmieniła się, spojrzała niepewnie.

– Masz obowiązki...

Moon pokręciła głową.

– Czas stanął. Wszystko zaczeka, dopóki nie upewnię się, że wszystko z tobą dobrze – powiedziała miękko. – Jak zresztą mogłabym działać bez prawej ręki? – Uśmiechnęła się, lecz nie na długo. Spojrzała w dół oczyma pełnymi wiedzy dostępnej tylko kobietom, patrzyła nimi nie jak królowa, lecz matka, wyrażała największy z wszystkich możliwych lęków.

Jerusha zacisnęła usta, odwróciła wzrok; wargi miała spierzchnięte i popękane. Moon podała jej wodę, pomogła się napić.

– Gdzie Miroe? – zapytała wreszcie.

– Zaopiekował się tobą, gdy cię tu przynieśliśmy. Siedział długo... – mruknęła Moon. – Powiedział, że zaraz wróci.

Jerusha słabo kiwnęła głową. Znowu spojrzała na sufit, gładki i nieskazitelny... zapragnęła, by jej ciało było równie doskonałe, równie odporne na działanie czasu i losu, równie nieczułe. Popatrzyła na Moon.

– Już dobrze – powiedziała wreszcie spokojnie. – Wracaj do rodziny.

Moon wstała, jej dłoń ciągle trzymała mocno rękę Jerushy, oczy wyrażały niepewność. Cofnęła się niechętnie.

– Znajdę Miroe i przyślę ci go.

– Dziękuję ci – powiedziała Jerusha.

Moon uśmiechnęła się znowu i wychodząc z pokoju, niemal nieśmiało kiwnęła głową.

Leżąca Jerusha wsłuchiwała się w dalekie odgłosy życia, dobiegające z korytarzy przez zamknięte drzwi; w mamrotania straty i daremności wkradające się stamtąd, by zapełnić całkowitą pustkę, którą starała się zachować w środku swych myśli. Wyobraziła sobie miny, z jakimi patrzyliby na nią teraz dawni współpracownicy z Policji Hegemonii... własną reakcją, z jaką w owych czasach spoglądałaby na samą siebie, leżącą w tym łóżku. Byliby równie niemili. Przez całe lata starała się ich zmusić do widzenia w niej człowieka, a nie kobiety, lecz zdołała tylko zmienić siebie w mężczyznę. Wierzyła, że opuszczając służbę, potwierdza swe człowieczeństwo. Nie była mężczyzną... ale teraz przekonywała się, że nie może być również kobietą, choć tak tego pragnie. Poczwała wzbierające w oczach i wypływające gorące łzy. Nienawidziła ich, nienawidziła siebie za słabość, fizyczną i umysłową. Pragnęła obecności Miroe, potrzebowała jego pomocy. Dlaczego nie ma go tutaj? Do diabła z nim, tylko jego chce zobaczyć, tylko z nim dzielić stratę. Chce zaczerpnąć od niego siły żalu...

Ktoś wszedł do pokoju. Na chwilę tylko, na dłużej nie miała sił, uniosła głowę. Zdażyła zobaczyć, że jakby w odpowiedzi na jej myśli zjawił się Miroe.

– Jerusha. – Podszedł do łóżka, jego spracowane dłonie dotknęły zaczerwienionej, rozgorączkowanej skóry żony z zadziwiającą ją zawsze delikatnością, dotknął jej rąk, twarzy, łez. Pocałował ją łagodnie w czoło, w usta; potem się cofnął.

– Trzymaj mnie – mruknęła, żałując, że musi prosić o pociechę. – Trzymaj mnie...

Usiadł na skraju łóżka, uniosł jej bezsilne, omdlałe ciało i mocno objął. Trwał tak długo, nie

zważając na zalewające mu koszulę łzy. Jerusha nie wiedziała, czy i on nie płacze. Mięśnie ciała miał twarde jak stal, jakby powstrzymywał rozpacz. Nigdy przedtem nie płakała, ani razu, choć przeżywała to już trzykrotnie. On też nigdy nie płakał.

– Dlaczego to mnie spotyka... – szepnęła wreszcie urywanie. – To niesprawiedliwe...

– Przykro mi. – Jego głos przypominał zaciśniętą pięść. – Na bogów, Jerusho – zrobiłem wszystko, co mogłem.

– Nie winie ciebie. – Odsunęła się od niego, by spojrzeć mu w twarz. Nie patrzył jej w oczy.

– Powinnaś – mruknął. – Nie potrafię tego wyleczyć, nie umiem zapobiec... Gdybyś nie była tutaj, lecz gdzieś indziej, cieszyłabyś się już zdrowymi dziećmi.

– Nie – powiedziała. – Nie miałabym nawet męża. Nie byłabym z tobą. To wina Hegemonii... – Słowa wypływały z niej wraz z falą gniewu i urazy. Ale Hegemonia była daleka, bezkształtna, nieosiągalna, tak iż poczuła nagle złość na trzymającego ją mężczyznę, złość za to, że musiała go prosić o otuchę, że musi go pocieszać, choć stratę odniosła ona... Nasza strata. To nasza strata! powtarzała żarliwie, lecz jednak wysunęła się z jego słabnących ramion, upadła w zimne, bezosobowe objęcia łóżka.

Popatrzył na nią zamglonymi, pełnymi wątpliwości oczyma, znowu je odsunął. Sięgnął do kieszeni płaszcza i coś wyjął – mały słoiczek pełen suszonych ziół.

– Jerusho – powiedział spokojnie – chcę cię prosić, byś zaczęła tego używać.

– Co to jest? – mruknęła, starając się skupić wzrok.

– Dzieciozgub. – Wreszcie spojrział wprost na nią. Poczuła gasnące w niej ostatnie węgielki nadziei.

– Regulacja urodzin? – zapytała drętwo; nie potrzebowała ani pytać, ani czekać na wyjaśnienia.

Mimo to skinął głową.

– Tym razem o mało co cię nie straciłem, Jerusho. Niewiele brakowało, byś się wykrwawiła na śmierć. Nie chcę, by to się powtórzyło.. nie chcę cię stracić.

– Ale... – spróbowała wstać, upadła znowu. – Mam czterdzieści trzy lata, Miroe. Nie zostało mi wiele...

– Wiem. – Zobaczyła uwypuklające się przy zaciskaniu szczęk mięśnie. – Zagrożenie będzie tylko rosło, dla ciebie lub dziecka. Może nadeszła pora spojrzeć prawdzie w oczy: nigdy nie będziemy mieli dzieci. Nie tutaj, nie w życiu, jakie spędzamy razem.

Patrzyła na niego ślepo.

– Wiesz, że w to nie wierzę – w reinkarnację, w następną szansę. To nie ubranie na zmianę, Miroe, to moje życie, nie chcę zaprzestać prób! – Urwała, zaciśnęła zęby, jakby w środku coś ją strasznie zabolalo, przebiło się przez warstwy zdrętwiałego ciała.

Zesztywniał, potem pokręcił głową.

– Kocham cię, Jerusho. Kocham za bardzo, by cię zabić czy pozwolić, byś zabiła się sama, próbując dokonać niemożliwego. Jeśli nie będziesz używać dzieciozguba, przestanę z tobą sypiać.

– Nie mówisz poważnie – powiedziała napiętym głosem.

– Mówię. – Odwrócił wzrok i wstał. – Nie zniosę tego więcej. Przepraszam. – Przeszedł pokój, minął drzwi.

Patrzyła, jak odchodzi, niezdolna do wstania, pójścia za nim, pocieszenia, nie miała nawet tyle sił, by go zawołać. Spojrzała na stolik przy łóżku, na pozostawioną przez Miroe buteleczkę z ziołowym środkiem antykoncepcyjnym. Drżącą pięścią strąciła ją na podłogę i opadła na pościel, patrząc w sufit. Poczuła rozchodzącą się ze środka ciała drętwotę, dotarła do jej serca, wypełniła umysł, aż nie zostało w nim odrobiny miejsca na myśli...

– Komendant PalaThion! Co pani tu robi? – Policjant Fairhaven wyprostowała się przy szarej, drewnianej barierce nabrzeża, patrzyła z wyraźnym zdziwieniem na swej podłużnej, zmizerniałej twarzy.

– Wykonuję swą pracę, tak samo jak wy. – Jerusha odwzajemniła jej salut. Gest Fairhaven był niemrawy, niemal niedostrzegalny, jak większość salutów Letniaków, lecz ona sama była spokojną, bystrą kobietą, a te zalety Jerusha ceniła znacznie bardziej od dyscypliny, zwłaszcza że policjanci czuwali tu przeważnie nad swymi sąsiadami i krewnymi. PalaThion oparła się o barierkę, wdychała ciężki, ostry zapach portu, zmieszane wonie drzewa i smoły, wodorostów, ryb i morza. Labirynt zalewanych wodą pomostów wypełniały łodzie rybackie i przybywające z całego wybrzeża statki towarowe.

– Ale tak szybko? – zapytała Fairhaven. Przyglądała się Jerushy ze szczerą ciekawością podszytą troską.

– Czuję się dobrze – powiedziała machinalnie Jerusha i odwróciła wzrok, spojrzała na wzory lin i łańcuchów, przesuwających się po powierzchni wody światła i cieni. Gdy znowu podniosła głowę, popatrzyła na statki. Miroe wczoraj stąd odpłynął, wrócił na plantację, porzucił nienawidzone przez siebie miasto, ból ich wspólnej straty, jej ból. Pozostawiał za sobą zawody, wzajemne obwiniania, jakie nastąpiły, gdy złość na obojętność nieczulego świata zmieniła się im w gniew na siebie. Uciekał przed tym wszystkim, przed ich zmarłym dzieckiem, umarłymi marzeniami. Przed jej...

– Wybacz mi, Jerusho. – Fairhaven wyciągnęła rękę, dotknęła ramienia drugiej kobiety w geście wyrażającym zarówno przeprosiny, jak i pociechę. Nigdy przedtem nie zwracała się do Jerushy inaczej, niż per "pani komendant", tym większe było jej zdziwienie. – Ja też cierpiałam śmierć poronionych dzieci... straciłam tak troje spośród siedmiu, jakie urodziłam memu zaprzysiężonemu. Było mi ciężko, ciężko... – Zaciśnęła usta, choć, jak wiedziała Jerusha, wszystkie są już dorosłe; wspomnienia o owych stratach muszą być dawne. Podniosła głowę i westchnęła. – Pani daje i zabiera.. Wie pani, mamy takie powiedzenie na wyspach, że kobieta powinna odczekać dziewięć dni, nim znowu weźmie się do pracy. Trzy ze względu na dziecko, trzy ze względu na matkę i trzy ze względu na Panią.

Jerusha uśmiechnęła się lekko. W głowie ciągle jej szumiało od miejscowych środków przeciwbólowych, jakie żuła od kilku dni. Poprzednie poronienia i inne drobne wypadki zużyły już mały zapas pozaziemskich leków.

– Ale ja nie czczę Pani. I wolę pracować, niż dumać. Dość już odpoczęłam.

Fairhaven pokręciła głową. Jej siwiejące, jasne jak piasek warkocze owinęły w tym ruchu tunikę.

– Mimo to rada jest dobra. Nie ma lepszego sposobu od dania czasu smutkowi. Inaczej cierpienia są na dłuższą metę większe.

Jerusha zmusiła się do opanowania nagłego niepokoju. Niespodziewanie przypomniała sobie twarz jednego z dawnych podwładnych, jej pomocnika, Gundhalinu, w chwili otrzymania wiadomości o śmierci ojca. Pamiętała jego upartą dumę Kharemoughi; odmowę powiadomienia nawet o stracie, w końcu musiała mu rozkazać, by do końca dnia wziął sobie wolne na rozpacz... Potarła oczy i odwróciła się.

Od dalszej rozmowy uratował ją grzmot, który zabrzmiał echem w pieczarze portu. Obróciła się do Fairhaven, napotkała jej wzrok.

– Upadł statek... – powiedziała policjantka, gdy zapadłe po huku zdumione milczenie przerwały

krzyki. Nie potrzebując słów, skrzyżowały razem i tak jak inni, zaczęły biec w kierunku wypadku. Wrzaski bólu usłyszały, nim jeszcze dotarły do wału kręcących się, zasłaniających miejsce katastrofy ciał.

Jerusha przecisnęła się przez tłum i jedno spojrzenie powiedziało jej wszystko: statek wciągano na brzeg, by go tu naprawić, łańcuch pękł i kadłub zsunął się do basenu, wciągając dwie osoby. Pod każdym dostępnym skrawkiem burty znajdowali się robotnicy. Naprężali plecy, by unieść katamaran, lecz jeden z jego pływaków zaklinował się pod ścianą nabrzeża, tak iż nie mogli go ruszyć.

Jerusha spojrzała na leżący na ziemi pęknięty łańcuch, potem na wiszący wysoko pod podbrzuszem miasta krążek. Opuściła wzrok. Jeden z robotników leżał nieprzytomny lub martwy w kałuży krwi; drugi miał przygniecione nogi i jeszcze jęczał. Zaciśnęła szczęki, starając się nie słyszeć hałasów, myśleć jak najjaśniej.

Odpięła zwój liny jednowłóknowej, którą nadal nosiła u pasa, choć od odlotu Policji nie używała jej. Jeden jej koniec przywiązała do ostatniego nienaruszonego ogniwa pękniętego łańcucha, nie zważała na patrzących ze zdumieniem robotników.

Cisnęła w górę zwój liny, poczuła, jak ruch boleśnie szarpnął jej na wpół zaleczone rany. Z ulgą i pewnym zdumieniem zobaczyła, że za pierwszym razem przerzuciła krążek. Lina opadła na nabrzeże i legła tam wyczekująco, lecz nikt nie podszedł, by ją podnieść.

– Dalej! – krzyknęła Jerusha i wzięła koniec sznura. – Nawijajcie! – Patrzyli na nią, mrużąc coś i kręcąc głowami.

– Pani komendant – szepnęła Fairhaven. – Lina nie wytrzyma. Wiedzą, że pęknie, jest za cienka... – wskazała na zerwany łańcuch, gruby jak ramię Jerushy.

– Wytrzyma! – zawołała ostro PalaThion, jęki przygnieczonego robotnika zgrzytały w niej jak złamana kość. – Na pewno! Nawijajcie!

Dwaj dokerzy podeszli bliżej, patrząc na nią jak na niespełna rozumu, lecz nie mieli innego wyjścia. Zobaczyła, jak przywiązali linę do kabestanu i zaczęli kręcić. Ich ruchy nagle uległy zwolnieniu, mięśnie się napięły, podobnie jak sznur. Dalej kręcili kabestanem; lina zadźwięczała chwilę, gdy wyciągnięto z niej resztki luzu, i zaczęła przejmować ciężar statku.

Jerusha wstrzymała dech, wiedziała, że lina wytrzyma, lecz bezwiednie bała się wypadku. Statek zaczął zgrzytać i chrzęścić, jego niemożliwa do poruszenia masa uległa nieodpartej mocy kabestanu – wreszcie się uniosła.

Gdy tylko szpara stała się widoczna, dokerzy podskoczyli do dwóch uwięzionych robotników. Para przy kabestanie pracowała jednak dalej, reszta tłumu, mrużąc z przerażeniem, patrzyła na wznoszący się coraz wyżej kadłub. Zaklinowany pod nabrzeżem pławak huknął i pękł, w górę wyleciała lawina drewnianych odłamków. Statek szarpnął się w stronę liny i zakołysał, potem powoli uspokoił pod wpływem nieugiętego ciągnięcia, aż wreszcie cały zawisł w górze – lina ciągle trzymała.

Jerusha oderwała wzrok od statku, spojrzała na rannych robotników odprowadzanych w stronę rampy wiodącej do miasta i szpitala. Znowu się obróciła, gdy ktoś nagle objął ją niezgrabnie i odszedł szybko w ślad za uszkodzonymi.

– Krewny Littleharbora – powiedziała Fairhaven, wskazując na jedną z ofiar i mężczyznę, który właśnie uściskał Jerushę. Ta bez słowa skinęła głową, ze znajomym, mrozącym krew w żyłach zmęczeniem zastanowiła się, czy pozostała po odlocie pozaziemców prymitywna medycyna zdoła uleczyć robotników, czy choćby ulżyć ich cierpieniom. Miroe robił co mógł, by przekazać miejscowym swe umiejętności lekarskie, ale bez nowoczesnego sprzętu i urządzeń diagnostycznych jego metody były niewiele tylko skuteczniejsze od rozwiniętych przez Tiamatańczyków sposobów

leczenia, polegających na "mieszaniu ziół i zdrowego rozsądku".

– Pani komendant? – Ktoś zwrócił się do niej nieśmiało.

Odwróciła się, ujrzała zgromadzony wokół tłumek Letniaków.

– O co chodzi? – zapytała.

– Jak to możliwe? – zapytała kobieta, która przedtem się odezwała. Jerusha zrozumiała, że przemawia w imieniu wszystkich. – Co to za drut, który podnosi ciężar, przy którym pękł łańcuch?

– To tak zwana lina monomolekularna – odpowiedziała. – Jest bardzo mocna. Podobno dałoby się nią podnieść cały Krwawnik. Pochodzi z innej planety. – Patrzyła na ich twarze, spodziewając się, że po ostatnich słowach odwrócą się z brakiem zainteresowania... jak robili zawsze i pewnie zawsze będą robić. Doszła do wniosku, że masochizm musi być wśród Letniaków dziedziczny; że instynktownie sprzeciwiają się wszelkim ułatwieniom życia.

Ale teraz podeszli bliżej, z wahaniem dotykali linę, rozprawiali między sobą o jej sile, lekkości, niezliczonych możliwościach wykorzystania przy robieniu sieci, holi, takielunku... na wsi... w domu. Tak byłoby lepiej. Wszystkie te rzeczy, które Królowa, Kolegium Sybilli i zimaccy przedsiębiorcy próbowali im wytłumaczyć, wykazać, wymusić na nich – u Letniaków wymuszały jedynie obrzydzenie. Powinno się pozwolić, by w zamian mówiły same przedmioty... by Letniacy zaczęli myśleć. Pokazywać, a nie gadać...

– Czy Zimaccy nauczyli się ją robić? – zapytał niechętnie wielki, rudobrody mężczyzna.

– Jeszcze nie – odpowiedziała Jerusha. – Kiedyś tak się stanie. – Opuściła wzrok, starając się ukryć nadbiegły nagle entuzjazm. – Ale w starych magazynach rządowych pozostało trochę zapasów. Jeśli zechcecie, może zdołam je wam załatwić... – Wzruszyła ramionami, próbowała nie mówić z zapalem, nie zdradzać miną, że jej na tym zależy.

Letniacy spojrzeli po sobie niepewnie, jakby sondując zdania innych, badając, czy stojący obok pierwsi zapragną nowej liny i przez to zdobędą nad innymi przewagę.

– Co za nie chcecie? – ktoś mruknął.

Niemal odpowiedziała: "nic"; lecz szybko się rozmyśliła i zamilkła. Letniacy sami wykonywali większość swych sprzętów i nad wzorowany na pozaziemskim system kredytowy przekładali handel wymienny.

– Możemy się potargować – powiedziała i ujrzała, że twarze obecnych rozjaśniają się na zgodne z ich zwyczajami słowa. – Po skończonej pracy przyjdźcie do magazynu. Jeden z moich letniackich policjantów będzie tam na was czekać. – Zobaczyła, jak kiwają głowami, zobaczyła ich oczy i nabrała pewności, że wcześniej lub później niektórzy z nich przyjdą. A potem, przy odrobinie szczęścia, zjawią się następni. Pokazuj, nie gadaj... W magazynach są i inne rzeczy, które może niby przypadkowo zademonstrować w obecności Letniaków, aż sami zrozumieją, że ich zwyczaje nie są jedyne możliwe, ani nawet najlepsze. Wracając rampą do miasta, tak zatopiła się w myślach, że ledwo czuła swe bolące od przemęczenia ciało.

NUMER CZWARTY: Brama Czwórki

– Obudź się, śmierdzący bohaterze. Nie ma czasu na sen...

Komendant policji BZ Gundhalinu ziewnął i ocknął się w całkowitych ciemnościach, dobiegające znikąd słowa rozbrzmiewały mu w głowie jak sen.

– Co? – Śnił... to był sen. Ale śniła mu się twarz kobiety, bladej jak księżycowe światło, wyciągającej do niego ramiona...

Przekręcił się do skraju łóżka, na stojącym obok stoliku poszukał światła, czasu, łączności; czegokolwiek, co obudziło go tak brutalnie z niespokojnego, zmęczonego snu. Po ciągnących się w nieskończoność fetach i uroczystościach na jego cześć wrócił do mieszkania sporo po miejscowej północy. Nie mógł spać dłużej niż dwie czy trzy godziny. Kto w i mię tysiąca bogów...?

Znalazł podstawę lampy, klepnął w nią dłonią, lecz się nie zapaliła. Uświadomił sobie, że nie widzi nic, nawet nocnych cieni, niewyraźnego kształtu okna. Podniósł dłonie do twarzy – odbiły się od otaczającej głowę spolaryzowanej tarczy ochronnej.

Zaklął, wygramolił spod kołdry na czworakach i poczuł na sobie mocne ramiona – kilka par. Szarpnęły go do tyłu. Trzask strzału z ogłuszacza usłyszał w tej samej chwili, gdy został trafiony w pierś i pozbawiony władzy nad własnym ciałem. Sparaliżowany, lecz całkowicie świadomy, opadł na pościel. Z wściekłością przypomniał sobie, że jest zupełnie nagi, bo przed pójściem spać był zbyt zmęczony, żeby narzucić nocną koszulę.

Ręce przekręciły go gwałtownie na plecy; usłyszał zniekształcone przez pole tarczy głosy. Czego chcecie? Zdrętwiałe wargi nie ułożyły się w słowa, jakie chciał powiedzieć, by zdobyć choć tyle władzy nad ciałem, losem. Nie mógł kląć ani nawet jęczeć.

Znowu poczuł na sobie dłonie, obracały nim z bezlitosną skutecznością. Zrozumiał – i poczuł prawie rozrzewniającą wdzięczność – że jego odrętwiałe ciało zostało odziane. Dźwignęli go z łóżka i ponieśli w stronę drzwi.

Bogowie, porwany – został porwany. Usiłował stłumić panikę; tylko tyle mógł teraz zrobić; próbował myśleć, rozumować. Czego chcą? Mówili do niego: "Śmierdzący bohaterze". Chodzi im o okup, a może o informacje o napędzie gwiazdym, Ognistym Jeziorze? Przestań. Nie ma co zgadywać, pewnie niedługo dowiesz się wszystkiego. Skup się. Co już wiesz? Nie wiedział, ilu ich jest ani dokąd go zabierają – chrząknął, gdy obojętnie rzucono go na nierówną podłogę jakiegoś pojazdu, obok siedli porywacze. Poczuł unoszenie się wehikułu zabierającego ich wszystkich w stronę znanego tylko bogom celu.

Usiłując wykorzystać jedyny pozostały mu zmysł, stwierdził, że pojazd pachnie dziwnie znajomo. Poznał wyraźny zapach bandro, sprowadzanego z Tsieh-punu napoju pobudzającego. Z tej planety pochodziła większość funkcjonariuszy Policji Hegemonii w Bramie Czwórki. Policja. Czy może być w to zamieszana? To wyjaśniałoby wyposażenie, pojazd, bezlitosną skuteczność obchodzenia się z więźniem, nawet to, że bez wysiłku przedostali się przez niewidzialne ściany jego systemu bezpieczeństwa...

Ale, na imiona wszystkich przodków, po co Policja tak by z nim postępowała? Może to terroryści, może zamierzają... Och, bogowie, to szaleństwo, czemu to mnie teraz spotyka? Nie. Przestań. Nie. Trafienie ogłuszaczem sprawiło, że zwinięty w pół ledwo mógł oddychać. W milczeniu recytował formułki adhani, aż wreszcie się uspokoił. Czekał, leżąc nieruchomo. Nie miał innego wyjścia.

Schodzili do lądowania. Lot nie trwał długo. Nie mogli się wydostać poza Bramę Czwórki. Usiłował się tym pocieszyć, bez skutku. Pojazd osiadł niemal niezauważalnie na jakiejś płaskiej

powierzchni. Wywleczono z niego Gundhalinu, jakby był trupem. Zabrano go do jakiegoś budynku, niesiono w dół... potem długim korytarzem, odbijającym kroki echem, w końcu winda zwiozła ich jeszcze niżej. Czy wylądowali na dachu? A może znajdowali się pod ziemią? Nie potrafił stwierdzić.

Wreszcie ustały przyprawiające o mdłości ruchy. Gundhalinu został niby worek kamieni rzucony na twardą powierzchnię. Poczuł, jak biorą na boki i wiążą mu ołowiane ręce i nogi, poczuł ukłucie w szyję, gdy ktoś wstrzyknął mu środek usuwający paraliż mięśni. W uldze, że znowu nad sobą panuje, zrobił głęboki, rwany wdech. Mięśnie przeszedł mu skurcz, gdy spróbował poruszyć kończynami. A potem niewidoczne dłonie uczyniły coś przy jego szczęce, wyłączyły pole bezpieczeństwa – przynajmniej mógł teraz widzieć i słyszeć.

Uniósł głowę, tylko to mógł zrobić swobodnie, zaraz pozwolił jej opaść. Wydał z siebie dźwięk, który w zasadzie nie był śmiechem. Mam koszmary sen. To się nie dzieje... Ma przed oczyma zbyt absurdalny widok. W istocie nie leży tak w stożku oślepiająco białego światła, nie otacza go kilka postaci w czarnych, pokrytych gwiazdami szatach i twarzach skrytych pod holograficznymi maskami, nie widzi niewyraźnych kształtów zwieńczonych widokiem płonącej korony Czarnych Wrót, jej mroczne serce nie wciąga go bezlitośnie w szaleństwo. To sen, wspomnienie z przeszłości, koszmar.. obudź się, obudź, do licha!

Nie obudził się. Oczy ciągle pokazywały mu te same postacie, ledwo widoczne na skraju stożka światła padającego bezlitośnie na jego bezradne, okryte do połowy ciało. Patrzył w milczeniu, jak jedna z osób podeszła do niego, zawisła na głowę, wpatrując się weń nieskończonym obliczem. Musiał odwrócić wzrok; obrócić twarz i zamknąć oczy. Pot spłynął mu po policzku w stronę ucha; wywołane tym swędzenie przyprawiało go o szaleńcze męki. Przywiązana dłoń zacisnęła się gniewnie w pięść.

Postać w długiej szacie wystąpiła naprzód i niemal pocieszająco dotknęła jego naprężonej dłoni. Krótkie, okryte rękawiczką palce objęły jego, ułożyły się w tajemny znak równie wyraźny, co i niedostrzegalny dla innych. Gundhalinu rozpoznał go i zeszytniał w nagłej nadziei.

Potem jednak zwróciło się ku niemu oblicze płonącej pustki, w ręce nieznanego pojawił się niespodziewanie ołówek świetlny. Ostrze spójnego światła uderzyło w gardło więźnia, spoczęło na wytatuowanej koniczynie z gorącym wystarczającym, by leżący podskoczył z bólu, za małym jednak, by spalić skórę. Elektronicznie zniekształcony głos zapytał:

– Jesteś sybillą? – Nie sposób było rozpoznać mówiącego, a nawet stwierdzić, jaką ma płęć.

– Tak – szepnął, ciągle odwracając oczy od twarzy Chaosu. – Tak, jestem – moja krew zawiera wirus. – Miał nadzieję, że zawarta w tym stwierdzeniu groźba sprawi, że nie ujrzy nagle własnej krwi.

Głos roześmiał się nieprzyjemnie:

– Jesteś rozsądny, że nas ostrzegasz. Ale to jedynie przypieka. – Postać bez oblicza przesunęła ołówek świetlny, krążek gorąca zatańczył na szyi Gundhalinu. – Co wiesz o Przeglądzie?

– Wejście... – mruknął, biorąc pytanie za zadane sybilli, próbując się w ten sposób wywinąć.

– Stop – rozkazał głos, cofając go do rzeczywistości w chwili, gdy zaczynał długi upadek w sieć sybill. – Odpowiedz sam. Czy jesteś członkiem Przeglądu?

– Tak – mruknął, z trudem się przedstawiając. Zaciskał dłoń, wspominając inne dotknięcie. Ale wiesz o tym. Czemu tu jesteś? Czy możesz mi pomóc? – Nie zadał żadnego z rodzących się mu w myślach pytań, bał się, że nie otrzyma odpowiedzi. W chwilach, gdy nikt nie mówił, milczenie było niemal całkowite, własne oddechy niemal boleśnie huczały w uszach Gundhalinu.

– Co wiesz o Przeglądzie? – zapytał głos.

Pokręcił głową, raczej zdziwiony niż przestraszony tym niespodziewanym zwrotem w

przesłuchaniu. Wśród wszystkich powodów porwania, jakie rozważał gorączkowo, nie było członkostwa w Przeglądzie. Spojrzał w sufit – jeśli w ogóle był jakiś w rozciągającej się w górze ciemności.

– To prywatna organizacja towarzyska i filantropijna. Na Kharemough należą do niej niemal wszyscy, których znam – sami Technicy. Jej oddziały można znaleźć na każdej planecie. – Wielu członków Policji Hegemonii było członkami Przeglądu, sam uczęszczał na jego zebrania na trzech różnych światach. – Słuchajcie, to przecież bzdura... – Z trudem uniósł głowę i spojrzał w twarz koszmaru. – W imię dowolnego boga, czego ode mnie chcecie?

– Tylko odpowiedzi na pytania. – Głos zazgrzytał, zdradzając niecierpliwość mówiącego. Ołówek świetlny przesunął się kłującym szlakiem po nagiej piersi Gundhalinu i niemal odsłoniętym brzuchu, zbliżając do narządów płciowych. Więzień zaczął łzawić od narastającego tam ciepła.

Odetchnął głęboko i pozwolił opaść głowie.

– Co chcecie wiedzieć? – Głos miał cienki i zdenerwowany. – Tyle samo, co ode mnie, dowiedzielibyście się w miejscowym klubie!

– Czy do Przeglądu należy wiele sybilli? – zapytał głos, nie zważając na wybuch.

Gundhalinu zastanowił się.

– Tak. Sporo. – Aż do tej pory nie uświadomił sobie, jak dużo. – Ale to nie jest warunek przyjęcia.

– Czy należą do niego wszystkie sybille? Przypomniał sobie o Tiamat i pokręcił głową.

– Nie.

– Dlaczego?

Otworzył oczy.

– Nie wiem. Tak samo jak nie mam pojęcia, dlaczego tyle z nich należy... – powiedział z gniewem.

– Jak stara jest organizacja?

– Nie wiem. Chyba bardzo stara. Myślę, że powstała na Kharemough.

Zamaskowany przesłuchujący zachichotał.

– Jak wszystko inne coś warte? – Gundhalinu zareagował na to grymasem. – Ile jest poziomów organizacyjnych?

– Co? Trzy. Chyba. Trzy!

– Na którym ty jesteś?

– Na trzecim. Jestem – byłem – Technikiem drugiego rzędu.

– Nie ma wyższych poziomów czy kręgu wewnętrznego?

– Nic o tym nie wiem.

– Nie słyszałeś żadnych pogłosek na ten temat?

– No... tak, ale to przecież normalne. Ludzie lubią we wszystkim doszukiwać się spisków. Niektórzy plotą o tajemnicach. Nigdy nie spotkałem się z żadnym dowodem...

– Nie występują żadne tajemne rytuały? Nie macie obrzędów przejścia, których nie możecie zdradzać?

– No, są, ale nie mają znaczenia.

– Mimo to nikomu o nich nie mówiłeś?

– Nikomu.

– Opisz je.

– Nie mogę. – Pokręcił głową, poczuł niepokój, gdy przesłuchujący odsunął mu szatę, prążąc gołe ciało.

– Opis.

– Na miłość bogów! – zawołał, wierząc się i samego siebie za to nienawidząc. – Nawet ty znasz ten przeklęty ucisk dłoni! Nie ma znaczenia! To głupi, nic nie znaczący klub towarzyski!

– Tak bardzo się mylisz... – mruknął głos. Ból zniknął nagle i całkowicie.

Gundhalinu głośno odetchnął z ulgą.

– Proszę... – powiedział grubym głosem – powiedzcie mi przynajmniej, dlaczego tu jestem...

– Zadawaj właściwe pytania.

Gundhalinu przełknął rosnący mu w gardle protest. Zadawaj właściwe pytania,.. Nad Ognistym Jeziorem uczynił to w końcu i odkrył skarb starożytnej wiedzy zamknięty w na pozór przypadkowych zjawiskach Końca Świata; odnalazł zagubione źródło plazmy napędu gwiazdnego Starego Imperium, co umożliwi podróżowanie między światami z szybkością ponadświatłną. Czy o to chodzi? Czy ma odkryć tajemne sedno owego zgromadzenia szaleńców? Bogowie, jestem na to zbyt zmęczony... A może dostarczono mu wskazówek – stąd te wszystkie pytania o sekretach Przeglądu, kręgach wewnętrznych, wyższych poziomach?

– Czyście wszyscy obcymi z dala od domu? – Było to obrzędowe pytanie, jakie od lat zadawano mu i które sam zadawał w Klubach Przeglądu na trzech różnych planetach.

Holograficzna maska przesunęła ogniskową, jakby noszący ją kiwnął głową.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Teraz zacznasz myśleć jak bohater.

Gundhalinu przezwyciężył zdenerwowanie i znowu, zamilkł starając się skupić na faktach, a nie na dziwaczności sytuacji.

– Jaki jest prawdziwy cel tej organizacji, skoro nie ten zdradzany na zewnątrz?

Odpowiedziała mu cisza. Po dłuższej chwili przesłuchujący mruknął

– Niektórych rzeczy nie da się opowiedzieć, można je tylko pokazać.. – Wyciągnął rękę i dotknął czoła Gundhalinu w geście będącym niemal błogosławieństwem. W jego dłoni pojawiło się coś w kształcie korony, pozostało tam, obejmując głowę leżącego, jakby wbrew wszystkiemu było żywe. Spomiędzy palców znikającej ręki trysnęły promienie światła, narastające gwałtownie i niepowstrzymanie, wypalające oczy Gundhalinu, rzucające go w mrok i milczenie.

Długo czekał, tak leżąc i nie próbując walczyć. Wiedział, że wszelka walka byłaby daremna. Wsłuchiwał się w echa własnych oddechów, aż odniósł wrażenie, iż każdy z nich wplata się w ogólniejsze odgłosy, jakby wraz z nim dyszała otaczająca go ciemność. Zupełnie nie czuł swego ciała, trzymających go więzów, sali ani wypełniających ją obcych... Wyrzucony na brzeg, uświadomił sobie odprężające się stopniowo pod wpływem woli mięśnie ciała. Zaczęło ogarniać go doznanie spadania w mrok, patrzenia w serce nieżyca, otwierania się Czarnych Wrót...

A potem z oddali dobiegła go muzyka... ledwo słyszalna, bliska ciszy krystaliczna muzyka; wiedział od urodzenia, iż taką pieśń śpiewałby kosmos (jakoś dopiero teraz to zrozumiał), gdyby gwiazdy miały głos.

Słuchając pojął, że zna ową pieśń od zawsze, że śpiewają ją cząsteczki DNA w genach. Pomyślał o wieczności, o nici życia swego i setek, tysięcy poprzednich, które łączyły go z sercem Starego Imperium.

Gdy tak słuchał, wokół zaczęły migotać gwiazdy, jakby na boży sposób stworzył je samą myślą... ich obrazy oświectliły niebo nowymi, całkowicie nieznanymi wzorami powszechnego schematu światła na tle ciemności. Otaczała go noc innego świata, oddychała cicho i szeptała w niespokojnym śnie.

– Spójrz na gwiazdy, Ilmarinen – nagle powiedział ktoś obok. – Na barwy... Nigdy przedtem nie widziałem takich gwiazd. Są cudowne. Jak to zrobiłeś?

(Gdzie jestem?) Poczul, jak sam się śmieje z tej myśli; zdławił chichot, bo ciągle, pomimo upływu tylu lat (tylu lat?), nie wiedział, czy Vanamoinen żartuje, czy mówi poważnie. Stanowiło to część daru Vanamoinena, jego denerwującej wyjątkowości... Oceniał, że Vanamoinen już trzy godziny siedzi tu, patrząc na gwiazdy, i dopiero teraz się odezwał. (Vanamoinen? Kim jesteś?)

– Chętnie przypisałbym sobie zasługę za ten widok – odpowiedział (ale on jest Gundhalinu, prawda? Czemu więc odpowiada, uśmiecha się jako Ilmarinen?) – To tylko chmura pyłu międzygwiazdowego. – Ale to niebo jest wspaniałe, musi się z tym zgodzić... Było na to tylko jedno słowo. Taki rodzaj widoku przypominał mu – (Co ? Ilmarinen wiedział, ów obcy, którego oczyma patrzył, którego rozpacz i niecierpliwość ścisnęła mu gardło, którego życie zdawał się zagarniać, wiedział, podczas gdy on był uwięziony gdzieś w Bramie Czwórki i leżał przywiązany do stołu...)

– To wszystko – mruknął Vanamoinen. Jego rozbawienie mogło być ironią, choć niekoniecznie. – Są spóźnieni? – zapytał nagle, jakby nie czekali tu na pozór wieczność.

– Tak – odparł Ilmarinen. (Gundhalinu poczul, jak jego wnętrzości szarpie napięcie Ilmarinena. Ciało z dawnego nawyku chciało objąć ręką ramiona Vanamoinena. Ledwo widział postać siedzącą obok po turecku na piaszczystej ziemi wyżyny, lecz i tak wiedział, kim ona jest; zawsze poznawał Vanamoinena. Poddał się wizji, dał przez nią porwać... poczul nagłą falę uczucia, w którym było po trochu ciekawości, po trochu głodu, po trochu potrzeby.) Zacisnął dłoń, gdy Vanamoinen uniósł swoją, by jej dotknąć. Po tylu latach... pomyślał, ciągle zdumiony reakcją. Musieli kiedyś być razem; życie zaczęło się od ich spotkania, odkrycia więzów umysłu i ducha, dopełniających się mocy, które uczyniło ich kochankami, a potem wspólnie wyniosło na najwyższe poziomy Gildii. Kierowali swymi dyscyplinami w wydziale badań i postępu tego sektora – a owe dyscypliny to banki informacji i programowanie technogenetyczne, co z trudem pozwalało im na spełnienie zamierzeń... co sprawiało, że ich wykorzystanie zaufania Góry było podwójnie zdradzieckie.

(Bez opuszczania wzroku wiedział, że ma na sobie strój Przeglądu z oznakami komendanta sektora; nie wiadomo dlaczego był tego pewien, tak samo jak tego, że nikomu, ale to nikomu we Współpracy Rządowej nie śniło się nawet, co wyczynia się tutaj, na zapomnianej przez bogów wyniosłości tego zapomnianego świata – inaczej zostaliby usunięci jak niechętnie przyjmowana myśl.)

Do licha, gdzie jest Mede? Spojrzał niespokojnie na górujące za Vanamoinenem Wieże: masywne, rosnące jak żywe istoty, wypuszczające konary, skręcające się, sięgające do gwiazd śmiałyymi rękoma, niepodobne do siebie... stojące niby milczący wartownicy, strzegący tego potajemnego spotkania. Kiedyś stanowiły dom dla rasy na wpół rozumnych, pasożytniczych istot, potem zaś zajęli je ludzie, którzy złamali przepisy osadnicze Przeglądu i zdziesiątkowali poprzednich mieszkańców... ich z kolei wybito podczas jednej z tych gwałtownych wojen międzygwiazdowych, które stanowiły powód i skutek wszechgalaktycznego upadku.

Teraz pozostały tylko owe skorupy milcząco przypominające o życiu... Vanamoinen powiedział mu kiedyś: – Dlaczego kiedyś zaczęła się historia? Dzieje są zawsze straszne. – Odetchnął głęboko, piersi zabolowały go trochę, bo nie przywykł do rzadkiego, suchego powietrza. Było też cholernie zimno, nawet pomimo podgrzewanego stroju. Od początkowego szkolenia nie zaznawał tak długo niewygody fizycznej. Paranoja nie pozwalała im na założenie chociażby mgławiaczy, dzięki którym znaleźliby się w mikrośrodku, do którego byli przyzwyczajeni.

– Posłuchaj... – odezwał się nagle Vanamoinen, nerwowo dotykając ucha. Unikali połączeń nerwowych znacznie łatwiej wykrywalnych z przestrzeni, choć miał przy sobie wyposażenie zapewniające, że nie zostaną podsłuchani na żadnym z możliwych zakresów widma... Dotknął ucha, szukając nieobecnego kolczyka, dzwięczącej kaskady kryształów, z którymi się zazwyczaj nie

rozstawiał; systemu informatycznego w kształcie dzieła sztuki, części jego skóry. Także i Vanamoinen miał puste ucho. Czuł się jak nagi... nie, gorzej, jak zagubiony w pustce. (Zagubiony w pustce. Poczuł początki ześlizgiwania się osobowości...)

– Do licha z tym wszystkim! – powiedział dyszący głos, gdy w miejscu spotkania pojawili się pozostali konspiratorzy. – Ilmarinen, mam nadzieję, że to ty.

– Tak. To ja – odpowiedział trochę niepewnie. Mrugnięciem powiek przywołał na miejsce obraz nocy i wreszcie uśmiechnął się z ulgą. Robiąc to, uprzytomnił sobie, że ostatnio odwykł od takiej miny. Przybyli: Mede, zgodnie ze swą obietnicą, przyprowadziła sześciu dalszych, wciągniętych przez siebie spiskowców. Wygrał kolejną grę, odniósł kolejne drobne zwycięstwo, zrobił kolejny bolesny krok na drodze zapowiadającej się na nieprzebycie długą...

– Na wszystko co żywe, Ilmarinen, jestem za stara na takie bzdury – sapnęła Mede. Pomimo skargi objęła go ciepło, ze względu na stare czasy, i opadła ciężko na występ skały. – Co ty... i ja – robimy w tym zapomnianym przez bogów miejscu?

– Wiesz przecież – odpowiedział, choć pytanie było retoryczne. – Próbujemy ocalić przyszłość. Wydała dźwięk jednocześnie drwiący i wyrażający nadzieję.

– Jak sprawują się dzieci? – zapytał. Podejrzewał, że gdyby było źle, to by mu nie powiedziała. W młodości byli z Mede na tyle długo, że przed rozejściem się ich dróg dochowali się trójki dzieci. Potem pozostawali przyjaciółmi i czasem się spotykali. Dzieci były już dorosłe.

– Bezai wreszcie wszystko rzuciła i osiadła na Sittuh. Pozostali są nadal w Gildii, ciągną ją jak my wszyscy. Mamy to chyba we krwi. – Wzruszyła ramionami. – Mógłbyś czasami sam ich zapytać. – Głos się jej zaostrzył.

Opuścił wzrok.

– Przepraszam, ale od tak dawna pochłania mnie ten... projekt. Na nic innego nie zostaje nam czasu. – Gdy znowu na nią spojrzął, dostrzegł zrozumienie w oczach i był za to wdzięczny.

Przedstawił ich sobie, Mede drgnęła lekko, zdradzając zdziwienie osobistym spotkaniem z Vanamoinenem. Przed laty stał się on odludkiem, proporcjonalnie do swej popularności w Gildii. Vanamoinen przyglądał się jej wzrokiem tak silnym, że według Ilmarinena mógł zabijać, choć nie znał nikogo, kto bardziej od niego szanowałby życie.

– Jesteś gotowa przyjąć moje dane? – zapytał cicho Vanamoinen, patrząc na Mede z nie ukrywanym zaciekawieniem, jakby była jakimś rzadkim, niespodziewanym odkryciem, dokonany przy losowym przeglądzie informacji.

Spojrzała niepewnie na Ilmarinena, jakby Vanamoinen zapytał o coś bezsensownego.

– No oczywiście – powiedziała. – Jestem tutaj, prawda? Tak samo oni. – Wskazała na cisnącą się za nią szóstkę mężczyzn i kobiet. Wszyscy tak jak ona nosili mundury Przeglądu, na każdym rękawie lśniła mgliście oznaka Ciągłości.

– Ilu odmówiło spośród tych, których wciągałaś? – zapytał Vanamoinen.

Znowu zdawała się być zaskoczona.

– Trzech. – Oczy jej przygasły. – Po otrzymaniu w Przekazie twego przesłania poczułam się... przekształcona. Gdy tylko dowiedziałam się, co zawiera, musiałam przyjść... wszyscy musieliśmy. – Jej głos przepełniała tłumiona ciekawość. – Ale inni – żaden z nich nie miał Przekazu. Mówili, że musiałam mieć omamy słuchowe. – Pokręciła głową. – Jestem pewna, że w czymś takim nie chcieliby wziąć udziału. Pragnęłam im powiedzieć... ale przesłanie tego zabraniało. Może coś się stało z twoim przekazem?

– Działa dokładnie tak, jak zamierzałem – odparł bezbarwnym głosem Vanamoinen. – Nie nadawali się do projektu. Tak obmyśliłem nośnik danych, by wybierał jedynie odpowiednie

osobowości. – Uśmiechnął się z nagłym triumfem. – Ilmar! – krzyknął, pusta noc odbiła to echem. – Zrobiłem to!

Ilmarinen uśmiechnął się.

– Znowu – powiedział łagodnie i wyciągnął ostrzegawczo dłoń. Mede długo przyglądała się Vanamoinenowi, potem potrząsnęła głową. – Powinam więc być zaszczycona – mruknęła.

– To cudowny pomysł, Vanamoinen – scentralizowany bank danych o biologicznych wyjściach jako czynnik stabilizujący Wszechgalaktykę. Styk pójdzie do piekła, co stanowi prawdziwą, wy mierną różnicę... – Oczy jej zabłyśły. – Ale dlaczego nie przedstawiłeś tej koncepcji Górze? Na miłość Wszystkiego, po co ta chorobliwa tajemniczość?

Ilmarinen skrzywił się, patrząc w gwiazdy. (Gundhalinu patrzył wraz z nim, poczucie niewiarygodnej ciekawości wyrwało jego świadomość z ponurego nastroju Ilmarinena, pozwoliło zrozumieć, kim i gdzie jest w tym określonym momencie).

– Bo już tego próbowałem. Gdyby mogli coś takiego wprowadzić, to czemu według ciebie tego nie zrobili? Starają się jak mogą, by tak się nie stało. – Pokręcił głową, usłyszał w swym głosie wieloletnią gorycz. – Głupie korzystanie ze sprytmaterii zabiło Wszechgalaktykę, wszyscy to wiemy. To dlatego Góra stara się ją wyrwać z wszystkiego, co nie ma żywotnego znaczenia. "Żywotnego"... na Wszystkich, sami używają leków długowieczności! – Szarpnął ręką. – Jesteśmy historią, Mede... Ale sprytmateria zdoła ocalić to, co po nas zostanie, jeśli tylko będziemy dostatecznie sprytni Przerwał nagle. – Wiecie, co myślimy, bo inaczej by was tu nie było. Uwierz mi, Mede, nie jesteśmy jedynymi szaleńcami, którzy to robią. – Spojrzał za nią na pół tuzina słuchających gorliwie twarzy, na otaczających ją półkolem mężczyzn i kobiety, wpatrujących się pomimo mroku w jej twarz. – Inaczej nigdy byśmy tak daleko nie zaszli. Komputer już działa.

Mede sapnęła ze zdziwienia.

– Gdzie?

Pokręcił głową, gdy w jego myślach począł się kłuć obraz; nawet sobie (ani innym, którzy w tyle wstrzymali oddech) nie pozwolił na zapamiętanie tej nazwy.

– Choćbym chciał, to i tak nie mógłbym ci powiedzieć. Nikt nie może wiedzieć. Musi tak być, bo inaczej wszystko szybko się skończy.

Kiwnęła głową.

– Ale chyba możesz powiedzieć, czego chcesz ode mnie... od nas? – Wskazała na swych towarzyszy i obejrzała się wokół, jakby ciągle zdziwiona, że tu jest. Mimo to zapytała niemal z głodem w głosie: – Co możemy zrobić?

Powoli sięgnął do kieszeni i wyciągnął małe pudełko. Na jego boku widać było wąsatą koniczynkę, stary symbol oznaczający skażenie biologiczne.

– Stać się sybillami – powiedział.

Zesztywniała.

– Sprytmateria...?

Kiwnął głową i ciągnął dalej, nim zdołała zaprotestować.

– Jesteście z Ciągłości. Dzięki temu macie doskonały pretekst do częstych podróży. Teraz potrzebne są nam wyjścia – ludzkie końcówki komputera potrafiące łączyć się z siecią i za nią mówić. Łatwo wam przyjdzie rozpowszechnić wieść, znajdować chętnych na odwiedzanych przez was planetach, tak jak znaleźliśmy was.

– Ilmarinen, dużo nas łączy. Wiesz, że ufam ci całą duszą, inaczej bym tu nie przyszła... – powiedziała wolno. – Czy jesteście pierwszymi, do których się zwróciłeś?

Znowu kiwnął głową.

– Tak. Ale nie będziecie ostatnimi. – Pochwycił jej wzrok, nagle go zrozumiał. Dotknął pojemnika ze szczepionką. – Jest pod kontrolą – powiedział, pragnąc, by mu uwierzyła. – Nie doszło do pomyłki w zaprogramowaniu. Technowirus, dzięki któremu staniesz się podatna na przyjmowanie, został zaprojektowany przez jednego z nielicznych ludzi, którzy naprawdę rozumieją...

Chwilę dłużej przyjrzała się pojemnikowi.

– Skąd możemy wiedzieć...?

– Nie będziecie pierwszymi zaszczepionymi. – Spojrzała gwałtownie, gdy wyciągnął rzecz noszoną przez siebie dzień i noc. Chował ją pod ubraniem, blisko serca. Koniczynka na łańcuszku, ten sam symbol, co na pojemniku; wskazywał na to, co łączyło go z wybraną przezeń przyszłością. Vanamoinen w milczeniu pokazał ten sam znak. On był pierwszy, Ilmarinen drugi.

Mede przyglądała się im, szukając – czegoś lub jakiegoś braku. Potem powoli wyciągnęła dłoń do Ilmarinena.

(Gdy ją dotknął, gwiazdy zawirowały i zgasły, a potem...)

Unosił się, obracał – przyglądał mijającej go spirali mgławicy, gdy... ruszał się. (Ruszał.) Unosił rękę, przesunął na próbę nogę – znowu się okręcił, jakby przebywał w nieważkości. (Nieważkość...) Spojrzał w dół; wisiał w powietrzu w kabinie pilota na pokładzie.. transportowca międzygwiazdowego Przemierzający gwiazdy. Dokładnie pod sobą, za przejrzystą ścianą widokową, ujrzał planetę zwaną Trast. Przemierzający gwiazdy przywiózł na nią grupę uciekinierów, niedobitków ze świata zdziesiątkowanego w międzysystemowym konflikcie. Mieli tu zacząć nowe życie. Jego załoga trudziła się nad tym, by zapewnić im całą wiedzę, zapasy i ochronę, jaką tylko ludzkość mogła dać. Kreśliła mapy powierzchni Trastu, badała niebezpieczeństwa i surowce planety, siała na niej biogenetycznie przystosowane rośliny lecznicze... wszystkie, jakie im zostały.

Spojrzał w dół na noszony przez siebie mundur, zobaczył brąz i zieleń Przeglądu. (Oczywiście, pomyślał Gundhalinu, czego innego mogłem się spodziewać; ale w czym jestem ciele?) Paski danych lśniły miękko na jego zniszczonym stroju. Ciągle na służbie Wszechgalaktyki... służbie ludzi, choć już nie było jednego Wszechgalaktycznego Sprzęgu rządzonego przez jedną Górę – choć niemal wyczerpał możliwości uzyskania zapasów czy wymiany wyposażenia. Mimo wszystko ciągle wygrażał pięścią Chaosowi, uparcie wykonywał swą pracę, jedyną, na której się znał, jedyną, którą pragnął wykonywać.

Spojrzał na gwiazdy. Od lat wiedział, że któraś z tych podróży będzie ostatnią. Wyczerpią mu się zapasy lub szczęście – Chaos zaciśnie pięść na Przemierzającym gwiazdy, wysiądzie coś niezastąpionego, napadną na nich piraci... Załoga była już zmęczona, wypalona, przerażona. Teraz – może to rzeczywiście ostatni raz. Wiedział, że chcieli tego inni; pragnęli zakończyć wędrowanie, osiąść tu z uciekinierami...

Wywołał symulatory, kazał się ustawić na powierzchni Trastu, poczuł zalewającą mu kostki ciepłą, błękitną wodę. Na kamienistej plaży wybielone przez sól, wygładzone przez czas i fale otoczaki przypominały dobrotliwe obce istoty wygrzewające się na spokojnym brzegu. W oddali dostrzegał góry, ich zaśnieżone pomimo lata szczyty. To miejsce jest piękne, może tu zyskać szczęście...

Mimo wszystko dotknął zwisającego z ucha kryształu i pod wpływem nie wypowiedzianej myśli symulator zmienił widok. Tkwił teraz we wspomnieniach – w głębi wąwozu, czerwone, kamieniste ściany wznosiły się wokół tak wysoko, że nie widział nieba, dochodził tu tylko żółtawy blask odbitego światła, aż mu się zdawało, iż stoi w sercu wypalanej muszli, krzywizny skały wyglądały jak skamieniały, namacalny wiatr...

Stał na lodowcu w ciszy tak całkowitej, że płynąca w jego żyłach krew zdawała się ryczeć jak

grzmot; patrzył, jak podwójny bliźniak jego świata wznosi się nad czarne szczyty odległego pasma gór, ogromna, złocista kula posrebrzyła lodową terasę, na której się znajdował...

Stał pod niespokojnym, kipiącym niebem jeszcze innej planety. Zjawiska elektromagnetyczne wstrząsały bezustannie jej atmosferą, tak samo jak huragan burzy powierzchnię morza...

Szybko mignęło kilka innych planet, które ujrzał jako jedne z pierwszych – które odkrywał, badał i przystosowywał do zasiedlenia. Od stuleci zajmowali się tym jego przodkowie z tej samej Gildii. Teraz wreszcie się to skończyło. Wszystko ma swe granice... Znowu spojrzał na świat pod sobą, ostatni, jaki zobaczy. Nauczenie się życia na jednej planecie przy świadomości, iż nigdy jej nie opuści, będzie najtrudniejszym z wszystkich zadań, którym stawiał czoła. Nie miał wyboru. Gdyby tylko mógł wybierać... Poczul wilgoć na twarzy, zdumiał się własnym płaczem.

Na kanale ogólnym rozległ się głos jednego z członków załogi. Jednocześnie ujrzał przed sobą sztuczne gwiazdy, gdyż kanał ten był zepsuty bez możliwości naprawienia.

– Tak, słucham? – na pół świadomie rzucił w zdenerwowaniu bezgłośnie pytanie.

– Wiadomość z Ciągłości, panie komendancie. – Głos zdradzał takie samo jak on oszołomienie.
– Sądziłem... sądziłem, że zechce ją pan natychmiast odebrać.

Zamknął oczy, choć tego nie chciał, aż zobaczył jedynie ciemność... A potem dźwięk, o którym zawsze marzył... dzwoneczki głosów astralnych, blask poza wszelkimi widmami, wzywanie go przez obcego...

(Wzywanie w mrok, upadanie...)

I był Derritem Khsaną, drobnym urzędnikiem drobnej dyktatury przygniatającej obcasem ludność planety Chilber... i należał do Przeglądu, choć nie nosił munduru, zaś Gildia, której zaprzysięgł największą lojalność, od trzech stuleci nie otworzyła żadnego nowego świat...

Bezpieczny w swej tajemnej wiedzy milcząco powtarzał obrzędowe medytacje, mające mu pomóc w utrzymaniu spokoju. Dzięki temu z taką pewnością szedł korytarzami zespołu rządowego, jakby to nie on przed chwilą zatrzymał serce premiera otrzymaną od sekretnej sieci niemożliwą do wykrycia trucizną. Otworło to możliwość przebudowania partii rządzącej. Na stanowisko premiera wybiorą kogoś umiarkowanego, a kilka innych delikatnych regulacji nurtu władzy uwolni tysiące sybilli od przymusowej pracy dla rządowego Biura Nauki.

Dobrze wykonał swe zadanie i zostanie za nie dobrze nagrodzony... umożliwieniem mądrości sybilli swobodnego docierania do jego rodaków... propozycją nowego, wpływowego stanowiska podministra finansów... Zamknął oczy, wyrzucając z pamięci obraz śmierci człowieka, czując, jak niknie w blasku przyszłości; jak wszystko niknie...

I zobaczył kobietę, kulącą się pod nim na schodach wielkiego ongiś gmachu. Był Haspą, nosił karmazynowe szaty i kolczastą, złotą koronę Króla Słońca... ona zaś kolczastą koniczynkę sybilli. Otaczający kobietę tłum (był dziwnie, straszliwie znajomy, jakby patrzył w twarze własnych przodków) domagał się jej śmierci. Uniósł rękę i zakrzywione, złote, obrzędowe ostrze zabłysło w słońcu (wzdrygnął się z przerażenia), gdy opuścił ją w dół. Ale broń nie zabiła jej (śmierć za zabicie sybilli...), lecz otworzyła jego nadgarstek. Przed gapiącym się, zdumionym tłumem zmieszał swą krew z krwią sybilli, by samemu nią zostać, by zakończyć szaleństwo prześladowań... uczynił tak, bo poszukując prawdy, odbył podróż do ich tajemnego miejsca wyboru; usłyszał tam muzykę sfer i ujrzał nieodpartą jasność... Poczul, jak po zmieszaniu się ich krwi opanował go boski wirus, poznał strach i zgrozę, ciemność nocy pochłonęła słońce...

I leciał przez przeznaczenie, obraz po obrazie, aż utracił wszelkie poczucie swej świadomości, wszystkie dowody, że kiedykolwiek był oddzielnym człowiekiem w uporządkowanej rzeczywistości, którą można nazwać czasem. – ., przez stulecia skrywanych dziejów wiodących do przyszłości...

budzący strach i czczony, prześladowany i szanowany... sybilla ofiarująca klucz do wiedzy otwarcie i potajemnie, poprzez krew; członek dumnej niegdyś Gildii, którą posiadane sekrety zmusiły do skrywania się pod maską, która strzegła swego daru dla ludzkości i wykuła własną nieznaną sieć, tajemny zakon kryjący się za pozornym chaosem...

I był BZ Gundhalinu, trzecim synem surowego, technokratycznego ojca – członkiem Przeglądu, inspektorem Policji... zdrajcą, niedoszłym samobójcą. Poszukując braci, ruszył w pustkowie zwane Końcem Świata, chciał ocalić ich życie, przywrócić honor rodziny... swój honor, a może osiągnąć śmierć. Tam odnalazł Ogniste Jezioro i w objęciach jego torturującej rzeczywistości utracił wszelkie dowody własnej... tam został kochankiem szalonej kobiety, którą wirus sybilli pozbawił zdrowych zmysłów.

Zaraziła go w ogniu żądz. I został sybilla, i przywróciło to zdrowie jego umysłu, i odkrył wreszcie tajemny ład w sercu chaosu, zwanego Ognistym Jeziorem... I przyprowadził swych braci, i przekazał Hegemonii sekret Ognistego Jeziora. Okrzyknęli go bohaterem, obsypali zaszczytami, szanowali, porwali, uwięzili i ukazali prawdę poza prawdą...

– ..na miłość bogów, chyba wszedł w Przekaz. – Ktoś nim potrząsnął, dość brutalnie, jego słowa przecinały mrok niby promienie spójnego światła.

– Co? Jak? Tak nie było... – Ktoś inny odchylił jego powieki, wpuszczając światło; potem je puścił.

– ..nie panuje nad tym, jest sybilla dopiero od kilku tygodni. Nie przeszedł prawdziwego szkolenia. – Głosy odbijały się ślepym echem po całym widmie fal. Wywoływały łzy, lecz były przy tym tak niemożliwie dalekie, że nieomal nieosiągalne.

– Nie ma prawdziwego szkolenia? To cud, że w ogóle jakoś działa.

– Jest Kharemoughi...

Drwiący śmiech.

– A także niedoszłym samobójcą; według waszych zasad powinien był umrzeć, gdyby w Ognistym Jeziorze nie odkrył plazmy napędu gwiazdowego. To nie dlatego się tu znalazł... i pewnie nie dlatego został bohaterem Hegemonii. – Słowa były teraz wyraźniejsze, zeszyły z zakresu fal świetlnych do dźwiękowych, były coraz łatwiejsze do zrozumienia, coraz bliższe.

– Bądź łaskaw zostawić swe lipne wnioski nisko urodzonego dla...

– Spokój! Na miłość bogów, nie zapominajcie, gdzie jesteśmy i po co tu przybyliśmy. Nie mamy całej nocy. Jak możemy go wyprowadzić z Przekazu?

– Nie możemy. Gdy sieć już go dostała, to na dobre.

– Nie tak miało być. Gdzie go posłała? A jeśli sam z tego nie wyjdzie?

– Na Auranta! Nawet o tym nie myśl.

– Musi być jakiś sposób, żeby się do niego dostać. Użyj ołówka świetlnego. Może sieć go puści, gdy go naprawdę przypalisz, zagroziś życiu.

– To nie... – Gundhalinu z trudem wciągnął powietrze i wydusił z siebie – nie będzie potrzebne.

– Zmusił się do otworzenia oczu, poczuł się oślepiiony wysiłkiem i zamknął je z przekleństwem, odwracając twarz od światła.

Czyjeś ramię wsunęło się pod jego plecy i uniosło ostrożnie, aż niemal usiadł. Ktoś inny podstawiał pod usta kubek. Wypił. To było bandro; w ustach zapiekł go mocny, ostry smak korzeni i środka pobudzającego.

Znowu otworzył oczy, zamrugał powiekami i uniósł ręce, a potem uświadomił sobie nagle, że mógł to uczynić, że siedzi samodzielnie, że zniknęły więzy.

Ciągle otaczał go krąg pozbawionych twarzy przesłuchujących, tkwili na skraju padającego

tylko na niego snopu światła. Pokręcił głową i przetaił oczy niezupełnie pewien, czy ta rzeczywistość jest bardziej prawdziwa od tych, które zajmował przed paroma minutami... godzinami...? Nie miał pojęcia, na jak długo się zatracił. Chciało mu się pić i oddać mocz, ale to mogło być skutkiem zdenerwowania albo leków, które mu podali. Ściągnął szatę, okrywając ciało, niemal wyzywająco zapiął klamrę.

– Witaj w domu, Gundhalinu – oznajmiła uroczyście jedna z postaci.

Gundhalinu uprzytomnił sobie, że szuka ręki trzymającej kubek z bandro, czegokolwiek, co pozwoliłoby ich od siebie odróżnić... ale nie znalazł nawet kubka.

– Czy odszedłem stąd? – zapytał napiętym, urywanym głosem.

– Sam możesz sobie odpowiedzieć – padło z ust innej postaci. – Mam nadzieję, że twoja podróż była oświecająca?

– Bardzo – tego jednego słowa użył jak noża.

– Wiesz więc, kim jesteśmy... i kim teraz sam się stałeś?

Przenosił wzrok z jednej płonącej, nieokreślonej twarzy na drugą, wreszcie pokręcił głową.

– Nie – mruknął, odmawiając dania im czegokolwiek, ciągle czuł w sobie świeży gniew i urazę.

– Nie kłam! – Jedna z postaci zbliżyła się do niego i nagle wyciągnęła ołówek świetlny. Gundhalinu bezwiednie się cofnął. – Nigdy nie lekceważ sobie naszego zdecydowania czy własnej sytuacji. Jeśli nie nabierzemy pewności, że jesteś z nami – teraz i na zawsze – wówczas stwierdzimy, że jesteś przeciwko nam, i za to zapłacisz, mimo że jesteś sybillą. To po prostu konieczne. Grupa musi przetrwać. Widziałeś, jak łatwo cię tu sprowadziliśmy. Nikt przed nami nie umknie. Rozumiesz?

Gundhalinu bez słowa skinął głową.

– Podczas styku wszedłeś w Przekaz. Czy zrobiłeś to świadomie? Dokąd poszedłeś?

– To nie było świadome – powiedział. Spuścił wzrok na dodające otuchy, znajome dłonie o skórze gładkiej, brązowej i usianej piegami. – Nie wiedziałem, że to nie wy zrobiliście. Nie wiedziałem, gdzie jestem... Byłem w historii. – Wzdrygnął się, przekręcił dłonie do góry.

– Byłeś świadkiem narodzin sieci sybilli i jej powiązań z historycznym Przeglądem.

– Tak. – Znowu uniósł twarz, spojrzał w płonący mrok znajdującego się przed nim oblicza. – Byłem... Ilmarinenem. – Pradawne imię zabrzmiało dziwnie w jego języku.

– Ilmarinenem? – ktoś mruknął i został uciszony machnięciem ręki.

– Rozumiem – szepnął przesłuchujący; lecz Gundhalinu zorientował się po jego tonie, że nie takiej odpowiedzi się po nim spodziewano.

– Wiem teraz – ciągnął dalej, nim zdolali umieścić przed nim dalsze pytania jak wybuchające pod ciśnieniem miny – o powiązaniach między Przeglądem a sybillami. – Przez chwilę oszołomiło go uświadomienie sobie wniosków, jakie z tego wynikały. Jeśli to wszystko prawda... Jakoś nie miał co do tego wątpliwości. – A więc to prawda, że w Przeglądzie są wyższe stopnie, wewnętrzne kręgi trzymane w tajemnicy nawet przed jego członkami?

– Nareszcie zadajesz właściwe pytania – powiedział przesłuchujący.

Gundhalinu spuścił nogi ze stołu. Teraz siedział wygodniej i poczuł się pewniej. Nie próbował postawić stóp na podłodze i w ten sposób wkroczyć na ich teren.

– Mam inne pytanie, choć może nie takie, jakie chcecie słyszeć... Czemu? Czemu nadal jesteście potrzebni? Sybille już nie są prześladowane. – Z wyjątkiem Tiamat.

Przesłuchujący wzruszył ramionami.

– We wszystkich epokach i miejscach dochodzi do takiego rozwoju socjohistorycznego, który grozi wstrzymaniem czy nawet zniszczeniem postępu ludzkości. Przegląd jeszcze przed sybillami

starał się pomóc ludziom w rozroście, dać im przestrzeń, fizyczną i umysłową. Tak zawsze było i będzie. Naszym zadaniem jest czynienie jak największego dobra dla jak największej liczby ludzi, gdzie tylko jest to możliwe... i w sposób jak najbardziej niedostrzegalny.

Gundhalinu potarł ramię przez rękaw szaty.

– Ale zabilibyście mnie, gdybym się wam sprzeciwił?

Przesłuchujący zachichotał; w zniekształceniu brzmiało to jak odgłos wody spływającej rurą.

– Nie sędzę, by to było potrzebne, komendancie Gundhalinu.

Zgasło padające na niego światło, zostawiając go w nagłych ciemnościach, otoczonych jarzącymi się dziurami. Wciągały one jego wzrok w noc, gdzie Czarne Wrota otwierały się na niezliczone gdzie – indziej lub w nieskończony koszmara, gdzie krocie światła przypominały gwiazdy na obcym niebie... Zaskoczony Gundhalinu siedział bez ruchu, oczyma starożytnego Ilmarinena patrzył na pradawne pola gwiazd, innymi na nawiedzane przez duchy piekielne płomienie Ognistego Jeziora...

A potem światła zaczęły kolejno gasnąć, aż został otoczony przez całkowity mrok.

Nagle znowu się zapaliły, tym razem wszystkie jednocześnie; wreszcie ujrzał pomieszczenie, w którym go uwięziono – pozbawione okien, z białymi ścianami, zasłane ruchomymi przenośnikami, które mogły być pełne lub puste – oraz trzech pozostałych w nim ludzi. Poprzednio było ich około dziesięciu. Zastanowił się, gdzie tak szybko mogli zniknąć tamci.

Skupił wzrok na stojących, ze zdumieniem stwierdził, że zna ich wszystkich. Dwaj byli Kharemoughi – Estvarit, Główny Sędzia miejscowego Sądu Hegemonii, oraz Savanne, Główny Inspektor oddziału Policji Hegemonii, na Numerze Czwartym; trzeci zaś to Yungoro, generalny gubernator planety. Z trudem powstrzymał odruch, który zawróciłby go do czasów sprzed Ognistego Jeziora. Wówczas natychmiast zeskoczyłby ze stołu i sztywno zasalutował. Zamiast tego obejrzał się na trzymające go przedtem więzy. Znowu popatrzył na mężczyzn, zmusił się do przypomnienia wszystkiego, czego się nauczył i doświadczył w ciągu ubiegłych miesięcy... Zmusił się do przypomnienia, że sam jest teraz komendantem Policji i że choć nie ma podwładnych, to przewyższa stopniem dwóch spośród trzech stojących przed nim ludzi. Każdemu po kolei kiwnął głową, witając się jak równy z równymi.

– Panowie – powiedział. – Cieszę się, że znowu was widzę. – Głos miał pewny, usta wygięte w próbie ironicznego uśmiechu. – Zwłaszcza będąc obcym z dala od domu.

– Wszechświat jest domem nas wszystkich. – Główny Sędzia – jedyny, który na tej planecie przewyższał go stopniem – odpowiedział mu z uśmiechem wyglądającym na szczery.

– Traktujecie obcych trochę ostro – stwierdził Gundhalinu i zobaczył, jak Savanne odwraca wzrok. W końcu zsunął się ze stołu, poczuł ból przy naciąganiu zeszywniałych mięśni. Ulga i wyczerpanie pozbawiły go sił; nieznacznie oparł się o zimną, metalową krawędź stołu.

– Przepraszam, panie komendancie – powiedział Estvarit. – Ale tak jest zawsze. Na nowo przyjmowanych musimy wywierać odpowiednie wrażenie, by zrozumieli tak powagę wtajemniczenia, jak i jego ogromne znaczenie dla ich życia. Posługujemy się tym celu odrobiną strachu. – Główny Sędzia był wysokim, szczupłym mężczyzną o mocno skręconych, siwiejących włosach. Jego powolne, niemal leniwe wypowiedanie słów odruchowo uspokajało słuchających.

Gundhalinu poczuł, jak jego uśmiech z ironicznego przechodzi w pełen skruchy.

– W dzieciństwie usłyszałem od niani, że kiedyś, gdy sama była mała, na parapecie okna domu jej rodziców pojawiła się skrzydlata jaszczurka szczęścia. Jej ziomkowie uważają to za oznakę błogosławieństwa losu. Gdy powiedziała o tym swemu ojcu, ten uderzył ją tak, że przeleciała przez pokój, a potem wytłumaczył, że ważne wydarzenia powinny być zawsze zaznaczone bólem, by nigdy

o nich nie zapomnieć. Niania mówiła jednak, że nie jest pewna, czy pamięta o jaszczurce ze względu na lanie, czy o laniu ze względu na jaszczurkę.

Usłyszał niemal nie skrywany chichot Generalnego Gubernatora. Estvarit skrzywił twarz.

– Myślę, Gundhalinu, że robi pan karierę jako mówca.

– Co was skłoniło do przypuszczenia, że się nadaję do wewnętrznych kręgów Przeglądu?

Estvarit sięgnął do swego munduru i coś wyciągnął. Gundhalinu ze zdziwieniem spojrzął na podsunęty mu przed oczy przedmiot: dwa nakładające się krzyże tworzące ośmiopromienną gwiazdę wewnątrz koła – Pieczęć Hegemonii, która widniała na każdym urzędowym dokumencie i sprzęcie, nawet na sprzączce pasa jego munduru. Ta jednak przekształciła się w lśniący cud holograficznego ognia.

– Otrzymam Order Światła? – mruknął oszołomiony, ale jednak niezbyt zdziwiony. Nagle przypomniało mu się pustkowie, płonący klejnot zwany solią, wyciągnięty ku niemu przez szczupłe palce szalonej kobiety... Lekko pokręcił głową, rozpraszając ten obraz.

Estvarit przytaknął.

– Za szczególną odwagę i poświęcenie został pan Bohaterem Hegemonii. Oficjalnie dowie się pan o tym za tydzień. Gratuluję, komendancie Gundhalinu. Ten zaszczyt jest zwykle przyznawany pośmiertnie.

Gundhalinu zastanowił się, czy w głosie Estvarita nie ma ironii.

– Jestem zaszczycony... – Gdy sędzia wręczył mu medal, by się przekonał o jego realności, znowu potrząsnął głową, nie w sprzecznię, lecz z lęku.

– Okazał się pan godny tego zaszczytu, Gundhalinu – powiedział Savanne. – Odkrycie napędu gwiazdowego usunęło... bliźny przeszłości – Estvarit odwrócił się, spojrzeniem i miną zmusił Savanne do zamilknięcia. Gubernator Generalny zakaszał i wykręcił ręce.

– Tak – powiedział natychmiast Estvarit – został pan dopuszczony do kręgów wewnętrznych ze względu na odkrycie dokonane nad Ognistym Jeziorem i wszystko, co z tego wynika – nie chodzi mi tu o nagrody, zaszczyty czy inne zbyteczne symbole. Myślę o prawdziwej, szczerzej odwadze i inteligencji, bez czego nikt nie zdołałby przetrwać Końca Świata, a pan nie tylko wyszedł stamtąd z życiem i zdrowiem, lecz także z prawdą o tym miejscu. Przeszłość nie ma teraz znaczenia, bo zmienił pan przyszłość nas wszystkich i swoją. Nie muszę panu o tym mówić.

Gundhalinu bez słowa oddał medal i splótł przed sobą ręce, szukając potajemnie znaków na przegubach, piętna niedoszłego samobójstwa, które usunął zaraz po powrocie z Końca Świata.

– A także dlatego że zamiast sprzedać swą wiedzę, oddał ją pan Hegemonii. – Oczy Głównego Sędziego spoczęły na twarzy Gundhalinu. – Śmieszne uprzedzenia i krótkowzroczne przywiązanie do więzów narodowych czy planetarnych nie mają miejsca w naszej organizacji. Służymy sprawie Ładu, walczymy z zagrażającym zawsze Chaosem. Czuję, że podziela pan tę ideę, a także dowiódł pan, że jest zdolny do poczynienia prawdziwego rozróżnienia.

Gundhalinu zawahał się, wzrokiem przywykłym do wyszukiwania kłamców przyjrzał się twarzom mężczyzn. Wiedział, że zbyt często łgarze przyjmują maski uczciwych ludzi. W patrzących na niego oczach nie dostrzegł jednak skrywanego wstrętu za to, co uczynił sobie w poprzednim życiu, które teraz zdawało mu się tak odległym... Główny Sędzia był nie tylko najpotężniejszym przedstawicielem rządu Hegemonii na Czwórce, lecz także Techem, członkiem najwyższej klasy społecznej na Kharemough, planecie, z której wszyscy pochodzili. Nie ukrywałby odrazy, nie zniżyłby się do tego, a więc mówił prawdę.

Gundhalinu zawsze uważał Estvarita za człowieka zasługującego na swe stanowisko, niezwykle wprost uczciwego, teraz był tego pewien.

– Tak – powiedział w końcu. – Ja też tak uważam. – Przeżycia nad Ognistym Jeziorem nauczyły go wielu ciężkich prawd. Najcięższa jednak była gorzka wiedza, iż jego dotychczasowa niezachwiana wiara – podzielana przez wszystkich Techów na Kharemough – w to, że najpotężniejszą z sił rządzących jego życiem jest on sam, okazała się wierutnym kłamstwem. W porównaniu z wzorami całego wszechświata nie rządził niczym. Ale to właśnie owe całkowite zaprzeczenie własnej zadufanej ważności, zmuszającej go do winienia siebie za sprawy, na które nie miał wpływu, prowadzące do wiary, że nie warto umierać, to właśnie w końcu go wyzwoliło. Był świadkiem kruchej równowagi między Ładem a Chaosem i zrozumiał, że będąc wolnym człowiekiem, może dokonywać własnych wyborów, że liczy się tylko on, a nie honor rodziny czy nadzieje przodków.

Postanowił wówczas, że on i tylko on panuje nad jedną rzeczą, i w ten sposób wybrał życie własnym życiem. Wybrał pracę po stronie Ładu, a przeciwko Chaosowi... czynienie większego dobra, nawet za cenę łamania praw Hegemonii, jeśli okażą się one niesprawiedliwe.

– Skąd wiedzieliście? – mruknął.

– Przemawiały za tym pańskie czyny.

Gundhalinu westchnął jak człowiek, który wreszcie dotarł do domu, poczuł opuszczające go napięcie. Było ono dotąd tak nieoddzielne od niego, że trudno mu było uwierzyć, iż zniknęło.

– Dziękuję wam – powiedział, czując, jak jego gardło ściska się przy tych słowach – dziękuję za pokazanie mi, że nie jestem sam.

Główny Sędzia uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Gundhalinu uniósł własną, zetknęli je wnętrzami dłoni w geście ślubowania i przywitania. Pozostali z powagą zrobili to samo.

Gundhalinu uniósł rękę do ust, skrywając nagłe ziewnięcie. Po utracie pchającego do działania napięcia władzę nad jego ciałem przejęło zmęczenie, grożąc powaleniem.

– Panowie, to było naprawdę niezapomniane przeżycie. Wdzięczny jestem za wszystko, co mi pokazaliście, ale pewnie jest już blisko świtu i muszę odpocząć przed dobroczynnym śniadaniem, wydanym na moją cześć przez Bractwo Wendroe. – Nie po raz pierwszy czując ironię własnych słów, spojrzął na Głównego Inspektora i Generalnego Gubernatora. – Proszę mi wybaczyć, ale jestem wyczerpany...

– Oczywiście – Główny Sędzia skinął głową. – Nim jednak się rozstaniemy, musimy panu powiedzieć o dwóch rzeczach: po pierwsze, to jasne, że nie może pan o tym nikomu mówić. Poznał pan trzech spośród nas... Z czasem spotka pan innych, nauczy się zwyczajów, a po osiągnięciu wewnętrznych poziomów pewnych dalszych informacji. Jest jednak inna, ważniejsza rzecz, znana jedynie kręgom wewnętrznym, a o której, ze względu na bezpieczeństwo Hegemonii, muszę panu powiedzieć natychmiast, nim zdąży pan wyjść.

Gundhalinu zmusił do spokoju swe zmęczone, oporne ciało.

– Co to za rzecz?

– Posiada pan niesłuchanie ważne informacje o naturze plazmy napędu gwiazdowego i Ognistego Jeziora. Te dane muszą być natychmiast przekazane na Kharemough. Potrzebują tam czasu na wykonanie floty statków. Muszą się przygotować na utrzymanie porządku, bo gdy tylko napęd gwiazdowy zostanie ujawniony, każdy z ośmiu światów uzyska możliwości techniczne i swobodę niemal natychmiastowych podróży międzyplanetarnych. Na pewno już się pan zastanawiał nad ogromną zmianą, którą ten fakt spowoduje w stosunkach między światami.

– Chcecie więc, by Kharemough zachował władzę nad Hegemonią? – zapytał Gundhalinu. – Jestem Kharemoughi i kocham mój lud... ale zdawało mi się, że Przegląd nikogo nie faworyzuje.

Estvarit kiwnął głową.

– Ale zajmuje się polityką. Staramy się osiągnąć rezultaty, które przyniosą największe dobro jak największej liczbie ludzi. Tylko istniejący rząd Hegemonii jest w stanie skutecznie panować nad dostępem do napędu gwiazdowego, zapobiegać rozszerzeniu się tej technologii niby zarazy powodującej polityczny chaos i wojnę międzygwiazdową. Bo się rozszerzy... – Opuścił wzrok. – Poprzez normalne sposoby łączności sama wiadomość o pańskim odkryciu dopiero po kilku latach dotarłaby na wszystkie inne planety Hegemonii, nie wyłączając Kharemough. Jako sybilla ma pan jednak możliwość zmiany tego stanu rzeczy.

– Jak? – zapytał Gundhalinu, szukając dłonią symbolu koniczynki i nie natrafiając na łańcuszek, na którym zawsze wisiał. – Skoro nikt na Kharemough nie domyśla się odkrycia, to jak mogą.. zadać właściwe pytanie, na które dałbym odpowiedź. – A jednak... w głębi duszy wiedział, że zagubiony w Końcu Świata uczynił coś bardzo zbliżonego: wezwał Moon Dawntreader i ta do niego przyszła.

– Jest sposób, był zawsze, lecz zachowywaliśmy go dla siebie. Podam panu nazwisko jednego z naszych, sybilli na Kharemough. Przy pomocy specjalnej formułki Przekazu, której pana nauczymy, zdoła pan dotrzeć bezpośrednio do tej osoby.

Gundhalinu wydał dźwięk zbliżony do śmiechu.

– To niewiarygodne! Środek łączności szybszy od światła. Czemu tego nie ogłaszacie?

– Bo jeśli mamy sprostać zaufaniu złożonemu na nas przez przodków, musimy posiadać własne tajemnice – zachowywać przewagę. – Estvarit wzruszył ramionami. – Teraz niech mnie pan słucha, i to uważnie...

Światła pomieszczenia dwa razy przygasły i rozbłysły.

– Cholera! – mruknął Estvarit. Lampy wyłączyły się nagle, pogrążając ich w smolistych ciemnościach.

Na bogów, oby nie znowu. W mroku za oczami Gundhalinu pojawiła się ta myśl. Ktoś złapał go za ramiona, pociągnął z rozpaczliwym pośpiechem.

– Tędy... – Poznał głos Generalnego Gubernatora i dał się prowadzić. Powoli, lecz posłusznie przeszedł salę i poczuł, jakby przekraczał dziurę w nocy – zmianę w odbijaniu się dźwięków, w powietrzu. Po dwóch dalszych krokach uderzył w ścianę.

– Teraz tunelem w górę – mruknął Generalny Gubernator. – Niech się pan nie martwi i nie zadaje pytań. Wszystko w porządku. Proszę jutro wieczorem przyjść do Klubu w Bramie Czwórki. Będziemy w kontakcie.

Potem został sam, zamknięty... był tego pewien, choć nic nie widział. Wyciągnął prawą rękę, lewą przyciskał mocno do ściany; po raz drugi tej nocy walczył z zalewającą go niepewnością. Bliżej niż na wyciągnięcie ręki natrafił na twardą, gładką powierzchnię ściany wąskiego korytarza. Ruszył nim, macając przed sobą drogę i wahając się przed postawieniem każdego kroku. Tunel prowadził go w górę, powietrze wydawało się być coraz bardziej nieruchome i przytłaczające, aż wreszcie wpadł na płaską powierzchnię i mrok nagle nabrał ciała.

Nim jednak załapała go panika, ściana ustąpiła pod jego naciskiem, wypuszczając nagle na światło słońca i świeże powietrze.

Wyszedł na ulicę, a drzwi zamknęły się za nim, wtapiając się w mur, tak iż nie potrafił stwierdzić, gdzie były. Długo stał, przyglądając się ścianie i ciężko dysząc w oszołomieniu wywołanym światłem i chłodnym, wilgotnym powietrzem.

Wreszcie obrócił się, rozglądając po okolicy i położeniu. Był nadal w Bramie Czwórki, lecz w Starej Dzielnicy. Pod bosymi stopami miał wąski pas śliskiego od wilgoci chodnika, tylko on oddzielał zniszczone, ciche magazyny od zimnej wody kanału – jednego z niezliczonych sztucznych potoków wijących się między starożytnymi gmachami z duroplassu i wpadających do morza. Czuł

zapach oceanu, choć na jego ostrą, świeżą woń nakładał się smród stojącej wody, gnijącego drewna i wiele innych, jeszcze mniej przyjemnych dla nosa.

Otoczające go powietrze było jak zawsze przesycone wilgocią, mgła okrywała kołdrą całą Starą Dzielnicę, drobna mżawka osiadała na jego twarzy. Poplamione szare mury stapiały się z oparami zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym stał. Leżąca na kanale mgła mieszała się z wodą, Gundhalinu nie potrafił ich od siebie odróżnić, tak samo jak nie umiał odnaleźć drzwi, które zniknęły w pozornie litej ścianie. Gdzieś w dali słyszał grające smutną melodię dzwony na wieżach, ich głosy były stłumione i nierealne. Musiało być tuż po świcie, nikt jeszcze nie wstał i tu nie przyszedł.

Zbyt zmęczony, by iść, oparł się o mur budynku i otulił szatą, bo już zaczynał się trząść. Czuł się opuszczony, mokry, zziębnięty, na wpół nagi i zagubiony, nie miał nawet kredytek, by wynająć taksówkę powietrzną i wrócić do domu. Wydarzenia ubiegłych godzin wydały mu się nagle nieprzyjemnym snem, ale to, iż tu stał, dowodziło ich prawdziwości. Na pewno nie był lunatykiem.

– Co, u licha, się tu dzieje? – zapytał muru; usłyszał wracające do niego echo własnych słów. Skąd to niespodziewane, bezceremonialne wyjście z głębin skrytej sali? Czy była to ostatnia próba – sprawdzenie, czy wykaże swą wartość i wróci do domu przemoczony, bosi i bez kredytek? Wybuchnął krótkim śmiechem pełnym gniewu i zdenerwowania. Ale nim jeszcze skończył tę myśl, już przestał w nią wierzyć. Zdarzyło się tu coś niespodziewanego i to nie tylko dla niego. Czy ktoś jeszcze próbował poznać tajemnice Przeglądu... a może się mylił i jego wewnętrzne kręgi nie są ostoją ładu i rozumu? Potrząsnął głową, był zbyt zmęczony, by to rozważać, zresztą niewiele go to obchodziło. Będziemy w kontakcie... Wtedy otrzyma wszystkie odpowiedzi.

– Podwieźć, sah? – zawołał głęboki głos, odbijający się po wielekroć od okolicznych ścian.

Uniósł głowę, oczy zalała mu skapująca z włosów woda. Płytką łódź kanałowa kierowała bezgłośnie swój wysoki, ostry dziób w stronę małego drewnianego pomostu niemal pod Gundhalinu. Stojący na rufie mężczyzna skierował ją bliżej na pozór bez wysiłku, lecz pewnie było inaczej. Jak chyba wszyscy tutaj, przewoźnik nosił bezkształtną szarą pelerynę zakończoną kapturem. Chroni ich przed spleśnieniem, powiedział kiedyś sierżant z Policji.

– Dokąd, sah?

Gundhalinu podszedł do skraju pomostu i spojrzał na łódź. Srebrzystoszary od zewnątrz kadłub zlewał się z powierzchnią wody, mgłą i kamieniami nabrzeża... Środek jednak, szerokie siedzenie i skomplikowane rzeźby dziobu pomalowane były w jaskrawe, kłujące w oczy barwy, ożywione pracowicie wykonanymi złożonymi wzorami.

Uniósł wzrok, starając się dostrzec twarz przewoźnika. Większa jej część ginęła pod smutną szarością kaptura, lecz mimo to poznał, że miał przed sobą miejscowego – wskazywał na to złocisty odcień skóry i ciemne, lekko skośne oczy.

– Sah? – spytał cierpliwie przewoźnik i skinął ręką.

Gundhalinu zawahał się, wiedząc, jak absurdalnie wygląda, i próbując o tym nie myśleć.

– Chcę się dostać do górnego miasta, ale nie mam przy sobie pieniędzy.

Przewoźnik zachichotał.

– Ani nawet gdzie ich trzymać.

Gundhalinu uśmiechnął się nieznacznie i wzruszył ramionami.

– W każdym razie dziękuję. – Zaczął się odwracać, gotów do odejścia.

– No, w takim razie wezmę was dla towarzystwa – powiedział przewoźnik. – Przed świtem trudno o zarobek, a wyglądacie mi na obcego z dala od domu.

Gundhalinu odwrócił się tak szybko, iż o mało co nie spadł ze śliskiego chodnika. Poruszając się już ostrożniej, zszedł do łodzi i usiadł na ławce. Odwrócił się i spojrzał na stojącego z tyłu

mężczyznę. Nie znał go, był tego pewien.

– Wszechświat jest domem dla nas wszystkich. – Mruknął tradycyjną odpowiedź, bacznie się przyglądając twarzy przewoźnika.

– Otóż to – odpowiedział tamten obojętnie i odwrócił twarz, odpychając łódź od nabrzeża. Krótkimi, pewnymi ruchami tyczki kierował ją kanałem. Po chwili zauważył:

– Musieliście mieć ciężką noc, sah.

– Rzeczywiście – stwierdził Gundhalinu. – To na pewno. – Patrzył na budynki przesuujące się niby fragmenty snów, oderwane przez mgłę od podłoża, miał wrażenie, że to one się poruszają, a łódź tkwi nieruchomo.

– Młoda pani, sah? A potem niespodziewany powrót męża?

Gundhalinu spojrział na przewoźnika i z uśmiechem pokręcił głową. – Nie.

– To w takim razie za dużo snów?

– Co...? – Urwał, przypomniawszy sobie, że miejscowi tak mówią o narkotykach. Brzmiało to dla niego sensowniej niż wszystko inne, co mógłby powiedzieć o nocnych przeżyciach. – Tak. Chyba tak.

Ta odpowiedź chyba zadowoliła przewoźnika, bo o nic więcej nie pytał. Gundhalinu także milczał, jego zdrętwiałe, drżące ciało zapadało się w sobie, żądało zezwolenia na zaśnięcie na siedząco. Tylko umysł nie chciał odpoczynku, skupiając się na jednej rzeczy, ostatej, której się nauczył – może się porozumiewać z inną sybillą. To nad Ognistym Jeziorem nie było złudzeniem. Jedyne, co było potrzebne, to znajomość imienia sybilli. A tej imię znał... jej twarz, ciało, jej świat... Mgła zdawała się rozbielać, niby śnieżne pole... Moon.

– Już jesteśmy, sah.

Ocknął się i rozejrzał, by kiwnąć głową na widok Łuku Pamięci, wyznaczającego granicę między górną i dolną częścią Bramy Czwórki, między ulicą i kanałem, lądem i morzem. Tutaj znajdzie pojazd, któremu wystarczy numer kredytu, a przynajmniej dowiezie do jego drzwi i zaczeka, aż wróci z kartą, by zapłacić nią za jazdę.

Łódź dobiła zgrabnie do słupów nabrzeża. Przewoźnik przytrzymał kadłub, gdy tylko Gundhalinu wstał.

– Nie wiem, jak mam dziękować... – zaczął, lecz nieznajomy pokręcił głową.

– Nie trzeba, sah. Przyjmijcie tylko radę od kogoś znającego ten świat: uważajcie na tych, którzy wam to zrobili. Zbyttno wypełnili waszą głowę swymi snami, aż przestaliście jasno myśleć. Nie sprzedali wam całej prawdy i nie wszystko jest takie nieszkodliwe. Uważajcie na siebie, wchodząc w te kręgi. – Wyciągnął rękę i wstał, by pomóc Gundhalinu zrobić niepewny krok na twardy grunt.

– Tak – mruknął Gundhalinu niepewnie. – Tak, będę uważał... – Ujął zaofiarowaną mu dłoń; wyczuł znany, ukryty ruch palców przewoźnika. Odpowiedział tym samym i nim wyszedł na nabrzeże, odwzajemnił mocny, silny ucisk rąk.

– Bądźcie błogosławieni, sah – powiedział przewoźnik. – Nie co dzień spotyka mnie zaszczyt przewożenia tak sławnej osoby... – Odepchnął się od muru.

– Chwilę! – Gundhalinu obejrzał się, ruchem wezwał przewoźnika do powrotu. Tamten uniósł dłoń w pożegnany geście i jego łódź popłynęła w mgłę.

Gundhalinu stał cicho, patrzył za nią, aż zniknęła mu z oczu.

ONDINEE: Razuma

Oparty o ciepły bok łazika, Kedalion Niburu czekał na powrót Reede'a Kullervo, wdychając suche, przesycone zapachami korzeni powietrze targu i z mieszanymi uczuciami przyglądając się barwnym scenom. Zerknął na stojący po drugiej stronie ulicy, wzniesiony z lepionych ręcznie cegieł, zakończony żelaznymi kolcami mur. Spoza tkwiącej w nim ciężkiej drewnianej bramy dochodziły wyraźne krzyki wielkiego bólu. Nie był to głos Reede'a, co oznaczało, że wizyta przebiega zgodnie z planem.

Mieszkający za murem miejscowy handlarz mieszał wyroby Reede'a z gorszymi narkotykami, tak przynajmniej mówiono. Będąc w złym humorze, Kullervo lubił załatwiać takie sprawy osobiście, a że taki właśnie ma nastrój, Kedalion przekonał się o świcie, kiedy to został wykopany z łóżka i nazwany leniwym sukinsynem.

Niech go cholera. Kedalion odetchnął głęboko. Dobrze przynajmniej, że dzięki temu na cały dzień wyrwali się z warowni. Humbaba nie lubił, gdy Reede osobiście zajmował się brudną robotą... ale ten o to nie dbał, a w takim nastroju nawet szef nie był w stanie go powstrzymać.

Kedalioniowi wydawało się niemożliwe, że już prawie trzy lata czasu subiektywnego pracuje dla Reede'a... czy też raczej jest jego podwładnym. Miał wrażenie, że od zawsze stanowi prywatną własność Kullervo, choć przecież niemal tak wyraziście, jakby było to wczoraj, pamiętał dzień, w którym rozpoczął pracę w przedsiębiorstwie Humbaby. Jak o ranie, która o mało co nie była śmiertelna, nie zapomni nigdy o chwili, kiedy to w końcu musiał przyznać, że władza i wpływy Reede'a są rzeczywiście takie wielkie, jak ten twierdził. Przekonał się, że Kedalion Niburu jest nikim, że prędzej zginie z głodu na ulicach Razumy, niż się doczeka, by ktoś go wynajął do jakiegokolwiek pracy – bo takie było życzenie Kullervo. Gdy Prajna została zajęta za koszty dokowania, a dług na nieprzydatnej na nic karcie kredytowej urósł niebotycznie, w końcu zapomniał o dumie i zaprzedał siebie – jak również chętnego Ananke – w tą złotą niewolę.

Westchnął i wepchnął wspomnienia w ten zakątek umysłu, w którym niekiedy potrafił je trzymać zamknięte nawet przez kilka dni. Pomimo wszystko musiał przyznać, że są gorsze roboty i paskudniejsze miejsca, w których mógł się znaleźć... Na przykład sytuacja handlarza, z którego po drugiej stronie ulicy wykopywano duszę.

Wszedł głębiej w cień łazika, chroniąc się przed otumaniającym upałem. Nawet wysychający niemal natychmiast pot nie dawał poczucia chłodu. Skwar był przynajmniej przewidywalny, od dawna nie znalazł się bliżej domu, a ponadto cieszył się, że po ostatniej podróży poza planetę przyleciał znowu do Razumy.

Wyjazdy z Reede'em nie były ani częste, ani – przynajmniej na razie – równie niebezpieczne dla zdrowia, co poprzednie wyprawy na własną rękę. Po rozpoczęciu pracy dla Kullervo tylko dwa razy poleciał poza planetę. I zarabiał teraz o wiele więcej, zgodnie z obietnicami Reede'a. Ale niewiedza co do celów podróży – nigdy nie piśnięto mu nawet słówka o zamiarach Reede'a czy o wynikach rejsów – odbijała się na jego nerwach, podobnie jak tkwienie przez większość czasu na Ondinee i pełnienie funkcji szanowanego szofera dla humorzastego pracodawcy.

Z drugiej strony Kedalion przekonał się, iż zaletą pracy dla Reede'a jest ochrona przed miejscowymi kłopotami oraz dostęp do miejsc i przyjemności, których istnienia na tym świecie nawet się nie domyślał. Planeta była wielka i nie wszędzie wyglądała tak samo jak Razuma. Reede zabrał ich do górskiego uzdrowiska, którego widoków nigdy nie zapomni, oraz do miasta na Morzach Południowych, gdzie ocean jest błękitny i ciepły jak kąpiel w wannie.

A potem było osiedle na orbicie z najlepszymi symulatorami polowań, jakie widział w życiu.

Kedalion przypomniał sobie, jak pewnego wieczoru przypatrywał się grającemu Reede'owi. Przypominało to balet w nieważkości, wspaniałe refleksy i błyskotliwy umysł Kullervo sprawiały wrażenie, że wygrywa bez najmniejszego wysiłku. Reede dał im nieograniczony kredyt w kasynie i ich przegrane niemal dorównały wysokością jego zwycięstwom. Potem jednak wpadł w paskudny nastrój, jakby tracił zamiast zyskiwać, albo, w wyniku umiejętności, przegrane niczym nie różniły się dla niego od wygranych...

Z drugiej strony, na ogół nie widywali niczego poza cierniowymi lasami i warowniami Tuo Ne'el czy też ulicami Razumy.

Kedalion poszukał w tłumie Ananke, który poszedł na plac, by tam na chwilę zapomnieć o swej sytuacji. Dostrzegł go, jak zwykle tkwił wśród bandy uliczników. Krzyczeli i gwizdali, gdy Ananke żonglował wszystkim, co mu się nawinęło, wyginał ciało z absurdalnym wdziękiem akrobaty i śpiewał bezsensowne piosenki. Nabrał zwyczaju noszenia na jednej nodze sandała, a na drugiej specjalnie dopasowanego buta, przypominającego rękawiczkę z miękkiej skóry. Postępowali tak kosmonauci, by móc posługiwać się nogą w warunkach niskiej grawitacji. U większości znanych Kedalionowi był to tylko szpan, lecz giętkość ciała Ananke sprawiała, że nie czynił on tak dla przechwałek, nawet przy normalnym ciężeniu zdawał się mieć trzy ręce. Kedalion przyglądał się mu z lekką zazdrością i podziwem. Niektórzy z przystających obok dorosłych rzucali monety, lecz Ananke nie podnosił ich z kurzu, zostawiając je dla dzieci. Wszyscy wiedzieli, że pracuje dla pozaziemców, a pieniądze i pogarda wobec nich świadczyły o prestiżu.

Kedalion pokręcił głową i lekko się uśmiechnął. Sięgnął do kieszeni i zaczął przerzucać z ręki do ręki wyciągniętą stamtąd łuskowaną kulkę. Ananke nie skłamał, zapowiadając, że okaże się szybki i giętki, zarówno fizycznie, jak i umysłowo. Świadomość, że jego zalety są dostrzegane i doceniane, skłaniała go do jeszcze cięższej pracy. Po wyzbyciu się strachu, że Reede pewnego dnia zabije ich dla kaprysu, o wiele bardziej niż Kedalion cieszył się ze swego nowego zajęcia. Od skrajnego przerażenia przeszedł bezpośrednio do swego rodzaju czci dla herosa, co prawdopodobnie było jeszcze bardziej niebezpieczne. Na szczęście naiwne zauroczenie Ananke zmiennymi nastrojami jego szefa zdawały się Reede'a bardziej bawić, niż niepokoić. To była rodzinna planeta chłopaka, który czując nad sobą ochronę, zdawał się mniej nienawidzić życie na niej.

Kedalion przestał się uśmiechać i znowu westchnął, rozmyślając nostalgicznie o złudnych pociechach młodości. Oderwał się od łazika na widok ruchu w odległej bramie. Reede wyszedł z niej, zatraskując wrota za sobą, i przeszedł przez tłum, jakby ten nie istniał. Ludzie rozstępowali się przed nim jak woda. Kedalion patrzył, jak się zbliża z czerwonymi plamami na ubiorze i mrocznym zadowoleniem w oczach. Ten widok pozbawił twarz Niburu wszelkich uczuć. Odwrócił się i zawołał: – Ananke!

Chłopiec obejrzał się, łapiąc spadające z powietrza różnorodne owoce. Też przestał się uśmiechać i kiwnął posłusznie głową, nie zwracając uwagi na dobiegające z wysokości pasa protesty. Potem rzucił owoce dzieciom i ruszył w stronę łazika.

Reede pierwszy doszedł do pojazdu i chrząkając z zadowolenia, skinął Kedalionowi. Potem, rozciągając palce, oparł się o drzwiczki.

– Lepiej się teraz czujesz? – zapytał Kedalion i natychmiast tego pożałował; nawet w jego uszach brzmiało to jak karcenie dziecka przez dorosłego.

Reede spojrzał na niego i uniósł brew.

– Dużo lepiej – powiedział. – Obchodzi cię to?

Kedalion uśmiechnął się z trudem.

– Pewnie nie tak jak jego.

Reede wybuchnął śmiechem.

– Racja... Nie krzyw się, Niburu. Ozał już jutro będzie łąził na czworakach. I nigdy, przenigdy nie zapaskudzi więcej moich wyrobów. – Wzruszył ramionami, rozluźniając mięśnie, i pociągnął za ucho.

– Ananke! – Zawołał znowu Kedalion, szukając pretekstu do odwrócenia głowy i podniesienia głosu. Z pewnym niepokojem zauważył, że chłopiec wdał się w spór z grupą młodziaków, którzy naśladując jego żonglerkę, przerzucali się czymś wielkości kota. Przestraszony Kedalion rozpoznał piszczenie quolla; usłyszał wznoszący się nad ogólny śmiech głos Ananke, który starał się złapać zwierzę, rzucając je jak piłkę na coraz to większe odległości. Łobuziacy przesuwali się w stronę skrajów placu, odciągając chłopca od łązika.

Reede odwrócił głowę, gdy quoll zaczął przeraźliwie piszczeć w przerażeniu lub bólu. Bez ruchu przyglądał się zamieszaniu, mrużąc coś do siebie o byciu głupim durniem.

– Ananke! – zawołał znowu Kedalion. Czuł ucisk w żołądku, nie wiedząc, co bardziej go złości, scena na ulicy czy reakcja Reede. – Łobuzie – mruknął, oglądając się na szefa i zamierzając samemu pójść na plac. W tej chwili jeden z chłopaków zawołał: – Złap to, żonglerze! – i wysoko wyrzucił wrzeszczącego quolla. Ananke podbiegł i skoczył, lecz nie dosięgnął zwierzęcia, wpadając na niski mur ze stopu ceramicznego, otaczający najbliższą cysternę. Ledwo uniknął wpadnięcia do środka w ślad za quollem, który przeleciał mu nad głową i runął w głąb zasilanego źródłem basenu.

Kedalion zamarł na ten widok, również Ananke zastygł bez ruchu i przechylony nad krawędzią wpatrywał się niby zaskoczony gargulec we wnętrze zbiornika.

Ktoś minął i potrącił Kedalion; ujrzał biegnącego w stronę cysterny Reede'a. Kullervo wspiął się na mur, przez jedno bicie serca stanął tam, wpatrując się w dół, a potem skoczył.

– Edhu! – wysapał Kedalion. Zaczął biec. Ananke ciągle wisiał nad krawędzią zbiornika, wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

Kedalion dobiegł tam także i zajrzał przez mur, ledwo zdołał dostrzec leżącą w głębokim cieniu powierzchnię wody. Mrużąc oślepiane słońcem oczy, wsłuchiwał się w pluski i przeraźliwe piszczenie, odbijające się echem od stromych, gładkich ścian. Daleko w dole pływał Reede, starając się złapać tonące zwierzę. Wreszcie chwycił je w obie dłonie i wsadził pod koszulę, a potem ruchami nóg skierował się w stronę schodów wznoszących się spiralą przy ścianie cysterny.

Kobiety i dziewczęta z dzbanami wody na głowach patrzyły na Reede'a, gdy ten wydostał się z wody na platformę, na której stały; cofnęły się, gdy wstał i rozpoczął długą wspinaczkę. Kedalion i Ananke przyglądali się, jak podchodzi z ciągle wyrrywającym się zwierzęciem.

Reede wreszcie dotarł na poziom ulicy i rozejrzał po tłumie. Kedalion skoczył ku niemu, mając za sobą Ananke.

– Reede!

Kullervo odwrócił się na ten głos i zczekał na nich na szczycie schodów. Kedalion zauważył, że się nawet nie zasapał – Reede miał w sobie siłę trzech ludzi. Ale woda spływająca z jego włosów, ubrania, ramion i piersi miała czerwony odcień od zadrapań i ukąszeń zadanych przez wyrrywającego się quolla.

– Bishada! – zawołał Ananke, uśmiechając z lękiem i wdzięcznością. – Uratowałeś go...

Reede spojrział na minę chłopca i sam wykrzywił twarz.

– Nie. To tyś uratował to paskudztwo. – Sięgnął pod koszulę, wyciągnął zwierzę i podał je Ananke. – Masz. Znasz już zasadę. Coś uratował, to należy dla ciebie. Odpowiadasz za to. Nie ja.

Ananke ostrożnie wziął quolla, odsuwając od siebie jego długie jak u gryzonia zęby. Potem owinał bezpiecznie szatą i przycisnął do piersi, mrużąc łagodnie. Wreszcie spojrział na Reede'a i

szepnął: – Dziękuję.

Ale uwagę Kullervo przykuwało już coś innego. Odszedł od nich nagle i minawszy kilku miejscowych, spośród tłumu ciekawskich gapiów wyciągnął jakiegoś chłopca. Złapał go za ubranie i przerzucił przez krawędź cysterny, nim zaskoczony ulicznik zdołał krzyknąć w proteście.

Kedalion usłyszał wrzask spadającego chłopca i plusk, gdy ten wpadł do leżącej nisko wody. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że z trudem rozpoznał w ofierze jednego z dręczycieli quolla, tego, który wrzucił zwierzę do zbiornika.

Reede wrócił do nich, nie rozglądając się na boki, i z twarzą bez wyrazu spojrział na zwierzę, które przestało się już wrywać i schowało w fałdach rękawa Ananke, kumkając ze strachu. Chłopiec głaskał jego nastroszone futerko tak łagodnie, jakby dotykał aksamitu.

Reede minął ich, wskazując tym samym, by poszli za nim.

– Reede... – rzucił Kedalion, z trudem za nim nadążając.

– Dość – odparł Reede głosem zimnym jak śmierć.

– ...czy wracamy do warowni? – dokończył Kedalion, jakby o to właśnie zamierzał zapytać.

– Nie. – Reede rozejrzał się, potem zerknął na siebie, skrzywił i wzruszył ramionami. – Mam jeszcze coś do załatwienia. Podrzucisz mnie do Placu Świątyni. Masz wolny wieczór; wezwę cię, gdy już skończę.

– Lepiej zajmij się ukąszeniami – powiedział Kedalion. – Tylko bogowie wiedzą, co ten quoll mógł...

Reede spojrział na niego z wyraźnym rozdrażnieniem.

– Nie troszcz się o mnie, Niburu – powiedział z goryczą. – Nie jestem tego wart.

– Troszczę się tylko o pracę – mruknął Kedalion, usiłując jak najszybciej ukryć mimowolny odruch zmartwienia.

– Myślałem, że jej nie znosisz – rzucił Reede.

– Nie znoszę – odrzucił Kedalion.

Reede wybuchnął jednym z tych niespodziewanie normalnych śmiechów, które zawsze zaskakiwały Niburu. – Jeśli umrę, dostaniesz w spadku wszystko, co mam.

Kedalion prychnął.

– Pomóżcie mi, bogowie – mruknął, bojąc się, że to może być prawdą. Otworzył drzwiczki łazika.

Reede wyszczerzył zęby i wszedł na tył pojazdu. Usiadł tam ciężko i obojętnie, nie zważając, że kapiąca z jego ubrania różowawa woda plami kosztowną tapicerkę. Kedalion zajął miejsce za sterami, zaś Ananke usadowił się obok, ciągle trzymając quolla, który ukrył się całkowicie pod jego szatą, aż widać było tylko łeb zwierzęcia, przyciśnięty do szyi chłopca. Bez przerwy mruczał, jakby szukając bezpieczeństwa, którego nie znajdował w prawdziwym świecie. Ananke odpowiadał mu łagodnie w swoim języku i głaskał wolną ręką. Podniósł głowę, gdy wyczuł, że Kedalion mu się przygląda, spojrział na niego oczyma pełnymi uczucia, jakiego ten nigdy w nich nie widział, a potem pełnymi niepewności.

Kedalion z uśmiechem skinął głową.

– Tylko nie pozwól mu wszędzie brudzić, dobra? – Wzniósł pojazd, zawisnął nad głowami wypełniającego ulicę tłumu, potem wzbił się wysoko, aż znalazł nad płaskimi dachami domów. Widział teraz przypominające piramidy kształty kilku wznoszących się nad miastem świątyń. Ruszył w stronę tej z nich, o którą na pewno chodziło Reede'owi – tej stojącej przy porcie gwiezdny, z której owej feralnej nocy wyciągnęła ich miejscowa policja. Starał się nie myśleć o owym wieczorze, ale bez większego powodzenia.

Opuścił pojazd i bez wypadku wylądował na maleńkiej, ślepej uliczce w pobliżu klubu, gdzie się spotkali po raz pierwszy. Siedziba Przeglądu ciągle wznosiła się nad tajemnym do niego wejściem. Reede często tu przybywał, lecz w celach równie nieznanym Kedalionowi, co większość jego innych zajęć.

Reede wysiadł i powiedział: – Róbcie, co chcecie. Wezwę was, ale nie nastąpi to prędko.

Kedalion przytaknął i patrzył, jak Kullervo oddala się ulicą z obojętną wyniosłością drapieżnika. Pomyślawszy o zwierzętach, obrócił się do Ananke i zobaczył, że quoll leży teraz jak niemowlę w fałdach szaty na piersiach chłopca, z rzadka tylko coś mrucząc.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał.

Ananke wzruszył ramionami i pogładził swój wydatny nos.

– Quolle są bardzo łagodne, naprawdę. Wystarczy zostawić je w spokoju. – Zwierzę spojrzało na niego jednym bystrym, czarnym oczkiem i zamrugało.

Kedalion uśmiechnął się lekko.

– To samo można by powiedzieć o ludziach.

– Ale to byłoby kłamstwo.

Uśmiech Kedaliona stał się szerszy.

– Nie. Chyba nie. – Spojrzał na ulicę; Reede zatrzymał się przy stojącym na rogu alei wózku wędrownego handlarza biżuterii.

– Pójdę kupić trochę owoców.

Kedalion pchnął drzwiczki.

– Idź. Słyszałeś, co powiedział szef: róbcie, co chcecie.

– Ty teraz jesteś szefem, Kedalionie. – Ananke na krótko błysnął w uśmiechu białymi zębami.

Niburu pokręcił głową, choć nie tylko w sprzeciwie.

– Od kiedy to nabrałeś apetytu na zdrowe jedzenie? – W mieście Ananke żywił się jedynie keffami – toczonymi w cieście, smażonymi na tłuszczu kawałkami niewiadomego pochodzenia mięsa i innych podejrzanych dodatków, wszystko tak ostro przyprawione, że jedynym odczuwanym smakiem był ból podniebienia. – Czy sprzedawczyni owoców jest młoda i ładna?

– Quolle nie jedzą niczego poza warzywami i owocami – odparł Ananke, opuszczając głowę.

Kedalion wzruszył ramionami i skinął głową. Chłopiec wysiadł i poszedł w stronę placu, mijając po drodze targującego się z handlarzem Reede'a. Kedalion nigdy nie dostrzegł, by Ananke zainteresował się naprawdę kobietą czy mężczyzną, było to dość dziwne. Dzieciak przejawiał tak chorobliwą wstydlivość, że nigdy nie pozwalał, by widziano go rozebranego, co bywało bardzo niewygodne przy wspólnym przebywaniu w ciasnych pomieszczeniach małego statku międzygwiazdowego. Może stąd właśnie wynikał problem chłopca lub też stanowiło to inny objaw innego, prawdziwego... Kedalion nie przejmował się zbytnio kłopotami Ananke, wystarczało mu, że wykonywał on swą pracę i nie wariował.

Przeciągnął się i wysiadł z łazika, zamykając za sobą drzwi. Przypomniawszy sobie o klubie Raviena i pomyślał o Shalfaz. Dawno już tam nie był, ostatnio owej pamiętnej nocy. A od tego czasu odbył z Reede'em dwie wyprawy poza planetę. Dla niego minęły tylko dwa lata, lecz dla Raviena dziewięć. Ktoś mu powiedział, że Shalfaz zrezygnowała z dotychczasowej pracy i para się teraz trochę bardziej szanowanym zajęciem malarki – przed weselami i świętami ozdabia wyszukаныmi wzorami dłonie młodych, bogatych dziewcząt. Ucieszył się z tego, lecz mimo to brakowało mu jej. Na pewno nie mógł tego powiedzieć o napitkach czy atmosferze lokalu Raviena. Może po prostu pójdzie na wczesny obiad...

Obszedł tył łazika, kierując się w stronę placu, i po raz ostatni odwracał się w stronę pojazdu,

by sprawdzić, czy wszystko w porządku, gdy w kurzu coś mu zabłysło. Wrócił się i podniósł wisiorek z białego metalu z osadzoną w nim solią – Reede nosił go zawsze i nazywał przynoszącą szczęście maskotką. Wyrywający się quoll musiał zerwać łańcuszek i klejnot wypadł przy wysiadaniu.

Kedalion spojrzął na ulicę i zobaczył, że Reede odchodzi właśnie od wózka wędrownego handlarza.

– Reede! – zawołał, ale tamten minął już narożnik ulicy.

Kedalion ruszył za nim wąską uliczką, choć nie wiedział dlaczego. Przekonywał siebie, że zgubiony amulet Kullervo pobudza jego własne przesady. Doszedł do narożnika, nie zważając na śpiewne nagabywanie handlarza biżuterii, i spojrzął na duży plac. Po chwili zauważył w tłumie, jak blask migotliwych kryształów zatańczył na smolistej czerni tyłu kamizelki Reede'a.

Szef nie szedł szybko na swych długich nogach, co oznaczało, że Kedalion ma pewne szansę doścignięcia go swoimi, dużo krótszymi. Niburu ruszył za Reede'em, wymijając wyjątkowo gęste tłumy. W powietrzu wisiał zapach kadzidła, musiało dziś wypadać jakieś święto, dlatego zebrało się tu tyle ludzi. Mimo to Kedalion zbliżył się powoli do Kullervo i znowu go zawołał. Reede obejrzał się, lecz nie dostrzegł zasłoniętego przez tłum karła i ruszył dalej, trochę teraz szybciej.

Kedalion zobaczył, że znalazł się w pobliżu klubu Raviena, i przez chwilę się zastanawiał, czy nie tam zmierza jego szef, potem zaklął pod nosem, gdy ten skręcił nagle w przejście między dwoma budynkami otaczającymi plac. Niburu zapamiętał owo miejsce i trafił do tego samego wejścia pod zniszczoną arkadą. Cieniste wnętrze wydało się mu tak mroczne po blasku placu, że musiał stanąć na chwilę i poczekać, aż oczy przestawią się na nowe warunki. Czuł pod nogami stary bruk, po obu stronach otaczały go gładkie ściany bez żadnych otworów. Były tak blisko siebie, że niemal mógł obu dotknąć naraz. Reede'a nigdzie nie było widać.

Kedalion ruszył przejściem, był zbyt zawzięty, żeby teraz zrezygnować z odnalezienia Reede'a. Zaulek zakończył się nagle nie rzucającymi się w oczy metalowymi drzwiami. Niburu pchnął je i ze zdziwieniem przekonał, że nie są zamknięte.

Korytarz za nimi był zdumiewająco czysty i nowoczesny. Wtopione w ściany błyskopłytki wydzielaly matowe, lecz dostateczne światło i Kedalion szedł teraz śmieiej, aż dotarł do następnych drzwi, które rozsunęły się przed nim, ukazując dużą salę. Niburu stanął jak wryty, gdy zgromadzeni tam ludzie odwrócili się w jego stronę. Spojrzął na jarzące się wokół obwarzankowatego stołu ekrany i holograficzny obraz na blacie. Stanowiły one zaskakujący kontrast z twarzami ludzi siedzących przy stole lub stojących przy drzwiach.

Kilkoro z nich otoczyło już Kedaliona, patrzyło na niego oczyma Śmierci, aż ten zaczął uważać, iż popełnił fatalny błąd.

– Czy jesteś obcym z dala od domu? – zapytał go czarny jak heban mężczyzna w szatach najwyższego kapłana.

Kedalion spojrzął na siebie.

– Pewnie na to wychodzi – powiedział, uśmiechając się słabo. Spoważniał natychmiast na widok wyrastającej jak dzikie kwiaty broni. Wiedział, że nie udzielił właściwej odpowiedzi.

– Zabić go – zażądał jakiś głos.

– Reede... – powiedział Kedalion. – Szukam Reede'a! – zawołał z rozpaczą.

– Niburu! – Twarz Kullervo pojawiła się nagle wśród obliczy pozaziemskich księząt narkotyków, miejscowych polityków, wysokich duchownych i innych, nie znanych Kedalionowi ludzi. Reede wepchnął go na środek i złapał za koszulę. – Co, do cholery, tu robisz? – Zaciskał pięści, wpatrując się w karła z rozdrażnieniem i szczerym gniewem.

– Myślałem, że to zechcesz – ledwo panujący nad swym głosem Kedalion wyciągnął talizman.

Reede wyszarpnął maskotkę i spojrzał na nią.

– Bogowie... – mruknął jak człowiek, który zgubił swą duszę. Gdy wsuwał amulet do kieszeni, Kedalion zauważył, że otaczający go dwaj mężczyźni i kobieta noszą takie same wisiorki. Rozpoznał księcia narkotyków imieniem Sarkh i Mundilfoere, była żoną Humbaby, a obecną Reede'a.

– Reede? – zażądał wyjaśnień ktoś z tyłu.

– To mój człowiek. Niczego nie widział. Zgoda? – Dłoń Kullervo zacisnęła się boleśnie na ramieniu Kedaliona. – Niczego nie widziałeś.

Karzeł kiwnął głową i Reede pociągnął go brutalnie przez krąg ciała, aż obaj znaleźli się na korytarzu. Drzwi zatrzasnęły się za nimi.

– Niczego nie widziałeś – powtórzył Reede, tym razem łagodniej, i spojrzał wzrokiem, w którym Kedalion niemal dopatrywał się współczucia. – Nigdy więcej mnie nie śledź. – Puścił koszulę Niburu, przekręcił go do siebie plecami i zniknął za drzwiami, jakby pilot przestał już istnieć.

Kedalion stał jeszcze chwilę w korytarzu, niezdolny do strząśnięcia z siebie niewidzialnych dłoni, które nadal zdawały się go trzymać. Wreszcie odwrócił się i ruszył korytarzem, a potem przejściem, by w końcu wyjść na ulicę.

– Co, na piekło, to wszystko ma znaczyć? – warknął Sarkh, gdy Reede samotnie powrócił do sali zebrań.

– To. – Reede wyciągnął z kieszeni i pokazał wisiorek z solią.

Przypatrywali mu się teraz wszyscy obecni, lecz niczego więcej nie wyjaśnił. Pod jego spojrzeniem zaczęli kolejno odwracać wzrok.

– Głupio zaryzykowałeś – skrzywił się Sarkh. – Myślę, że powinniśmy...

– Nie myśl, Sarkh – powiedział Reede. – Po co masz psuć sobie opinię?

Sarkh odwrócił się z twarzą pocętkowaną z gniewu i zrobił krok w stronę Reede'a.

– Ręczę za Kedaliona. – Mundilfoere szybko stanęła między mężczyznami. – Reede, pamiętaj, gdzie jesteś! – Wyciągnęła do obu ręce z otwartymi dłońmi i szybko się wycofała, wszystko w jednym, płynnym ruchu. Mężczyźni się odprężyli. – Kedalion Niburu od lat pracuje dla Reede'a – powiedziała Mundilfoere, patrząc na Sarkha. – Nie dostrzegł niczego, co by mógł zrozumieć. I jest całkowicie godny zaufania. Zrobi, co mu kazano, a ma o wszystkim zapomnieć. – Z lekkim uśmiechem uniosła rękę.

Sarkh chrząknął i wzruszając ramionami, odwrócił się od patrzącej na Reede'a Mundilfoere. Nie miała na sobie dzwoneczków i welonów, nigdy ich tu nie nosiła. Ubrała się w bezkształtny szary kombinezon dokera z portu gwiazdowego, a długie, czarne jak noc włosy związała w praktyczny węzeł. Doskonałe przebranie... a może maską był wygląd z warowni Humbaby. Bez śladu uległości, jedynie z gniewem przyglądała się Reede'owi.

– Mundilfoere... – powiedział, niemal bezwiednie wyciągając ku niej rękę.

– Siadaj – nakazała i odwróciła się, nim ją dotknął. Wprawiała tym w ruch ciągle stojących ludzi, podążyli za nią do stołu zebrań. Po zajęciu miejsc paru obejrzało się na Reede'a, jego mokre ubranie i świeże zadrapania na gołych ramionach i gardle.

Na nogach pozostał tylko Reede, wreszcie, ociągając się jak nadąsane dziecko, przynajmniej takie sprawiał wrażenie, usiadł po prawej ręce Mundilfoere.

– Kto zwołał to zebranie Bractwa? – zapytał najwyższy kapłan Irduz. Zawsze zadawał Pytania, nigdy nie nużąc się powtarzaniem pompatycznego obrzędu. Reede zamknął oczy i odchylił się w krzesło, słuchając monotonicznych recytacji. Bogowie, oby już się to skończyło... Kołysząc się

niecierpliwie przesuwał palcami po kutym metalu kolczyka kupionego od ulicznego handlarza.

– Ja. – Reede poznał głos następnej osoby w kręgu – kupca Aloloreda, który dla świata zewnętrznego był szanowanym, zamożnym pośrednikiem w międzygwiazdowym handlu bankami danych.

– Ja. – Głos Matki Weary, jednej z niewielu kobiet, które liczyły się w handlu narkotykami. Stała na czele ciągle rozrastającego się kartelu. Była niemal osiemdziesięcioletnia i złośliwa jak ogniokrzew.

– Ja. – Głos TolBeoita, będącego na pozór jedynie sprzedawcą leków ziołowych w sklepie z roślinami z Newhaven.

– A kto powołał Bractwo do życia, wyznaczył nam obowiązki i ukazał potęgę wiedzy? – zaintonował najwyższy kapłan.

– Mede. – Głosy zbliżały się nieubłaganie w stronę Reede'a.

– Ilmarinen – powiedział siedzący obok Baredo. Reede siedział nieruchomo z ciągle zaciśniętymi oczyma. Paraliżowały go wylaniające się z pamięci trzy twarze, trzy niesamowite oblicza... Wiedział, że nadeszła pora na jego odpowiedź, lecz nie był w stanie jej udzielić. Baredo wychylił się ze swego miejsca i niecierpliwie szturchnął go w ramię. Reede wzdrygnął się i spojrzał na sąsiada.

– I Vana... Vana...

– Vanamoinen – dokończyła za niego Mundilfoere. Uspokajająco pogładziła go po chłodnej i zaciśniętej dłoni. Zamrugał piekącymi oczyma. Nie znosił wymieniania tego imienia. Nie mógł się nigdy zmusić do jego wypowiedzenia. Inne nic dla niego nie znaczyły, ale to...

– Co, Kowalu – prychnęła Matka Weary – zazdrość o członek?

Reede spojrzał na nią przez stół.

– Zjedz go, zeszcła jędzio – odpowiedział. Zagdakała wściekle. Nazywali go "Kowalem" z tego samego powodu, co czasami "nowym Vanamoinenem" – bo nie było nikogo przewyższającego go w obmyślaniu, opracowywaniu i wdrażaniu projektów związanych z biotechnologią. Nieraz słyszał od członków Bractwa, że tylko ostatni ze znanych geniuszów Dawnego Imperium zrobiłby to lepiej i szybciej – czy wykonałby w ogóle, jak się to okazało w przypadku wody życia, przy odtwarzaniu której zawiódł całkowicie. Później owe określenie stało się mieszaniną pochwały i kpiny, choć prawdziwy Vanamoinen był jedynie zręcznym rzemieślnikiem, wykorzystującym istniejącą w jego czasach technikę, mającym do swej dyspozycji zasoby całego Imperium i gromadzone przez tysiąclecia dane... ograniczone do ośmiu planet Hegemonii Bractwo nigdy nie zdołało tego odtworzyć.

Nienawidził drażnienia go imieniem Vanamoinena, ale nie dlatego stawało mu to kością w gardle... Spojrzał na siebie, zobaczył kryształę lśniąca jak tęczowe gwiazdy na tle czarnej nocy kamizelki; swoje dłonie, wytatuowane ramiona, mięśnie, których użył tak niedawno, łącznie z błyskotliwym umysłem i doskonałym refleksem, by pobić oszukującego go drobnego handlarza narkotyków. Vanamoinen. Vanamoinen. Imię to tkwiło w jego gardle i myślach jak nieprzyzwoity refren, powtarzało się obsesyjnie; prawdziwa sprośność tkwiła jednak tutaj, w jego... w jego...

Reede wyprostował palce podrapanych dłoni i zmusił się do śledzenia toczących się wokół wydarzeń. Brzęczenie oklepanego rytuału dobiegało już końca – inwokacje miały służyć przypominaniu im wszystkim o szerszej tradycji, której częścią był ten szczególny obrzęd i z której czerpał swą rzeczywistą potęgę: Przegląd.

– I od tysiącleci poświęcamy się jednej rzeczy... – zaintonował Irdusz.

– Przetrwaniu – odpowiedział siedzący obok Reede'a Baredo, gdy kolejka pytań i odpowiedzi znowu obeszcła cały stół.

– A co łączy nas wszystkich? – Irduz zadał ostatnie z obrzędowych Właściwych Pytań.

– Krew.

Reede uniósł głowę, usta miał już uchylone, by dać tę odpowiedź.

Ktoś zajął wolne miejsce po jego prawej stronie – a może coś: bezkształtna, nieokreślona ciemność, w której mogło się kryć ludzkie ciało, choć powykęcane lub zdeformowane...

Reede zaklął pod nosem, odsuwając się bezwiednie od tego, co znalazło się obok. Źródło. Zastanawiał się, czemu, w imię tysiąca piekieł, Thanin Jaakola wybrał to właśnie krzesło.

– Zaczęliście beze mnie? – zapytał Jaakola. Gdyby zmusić do mówienia wykopane z grobu ciało, miałoby taki właśnie głos. Reede odnosił nawet wrażenie, że z mroku dochodzi lekki odór zgnilizny. Musi jednak to sobie tylko wyobrażać, bo obok siebie ma obraz holograficzny, nie jedyny zresztą na tej sali; kilku innych spośród ponad dwudziestu Braci nie zdecydowało się na obecność ciałem. Krążyły pogłoski, że Jaakola cierpi na jakąś niszczącą, nieuleczalną chorobę. Mówiono także, iż otacza się ciemnością dla efektów psychologicznych. Utrzymując tajemnicę, Źródło mógł być każdym, robić wszystko. Reede nie miał pojęcia, na jakim szczeblu Bractwa stoi Jaakola, co oznaczało, że jest on na tyle potężny, by stanowić najwyższe niebezpieczeństwo.

– Rozpoczęliśmy o wyznaczonej porze – odpowiedziała Mundilfoere, jedyna zdolna do takich słów. – Zażądałeś tego spotkania.

Chrząknął w potwierdzeniu lub odrazie. Jedyną pewną rzeczą, jaką wiedziano o Jaakoli, było to, że nienawidzi kobiet. Reede nigdy nie słyszał dlaczego, jeśli w ogóle był jakiś powód. Nie wiedział, którego poziomu sięgają wpływy Mundilfoere, ale występowała przeciwko Źródłu śmielej niż większość zgromadzonych tu członków Bractwa. Czasami odnosił wrażenie, że specjalnie drażni Jaakolę, bo wie, co ten o niej myśli.

– Nie spóźniłem się więc na główny punkt zebrania – powiedział Źródło, przebijając wysoko poziom zniewag. – Bracia, doszły mnie wieści o czymś, co do tej pory było jedynie przedmiotem naszych marzeń – a w tym towarzystwie takie słowa znaczą wiele. – Mógł się za nimi kryć uśmiech. Reede wyraźnie wyczuwał drwinę, ale nie wiedział z czego. Jaakola skupił już na sobie uwagę wszystkich przy stole. – Ktoś odkrył źródło napędu gwiazdowego – tu, w Hegemonii, na Numerze Czwartym.

Okrzyki niewiary i zdumienia wypełniły uszy Reede'a, ale sam czuł jedynie wątpliwości. Siedział nieruchomo, czekając, aż Jaakola przekaze dane do jednostek wszystkich obecnych. Stare Imperium mogło tak daleko rozszerzyć swą chwałę, bo posiadało tajemnicę podróży z szybkością większą niż światło. Plazma napędu gwiazdowego była rodzajem sprytmaterii, bioinżynierijnie zaprogramowanej do manipulowania czasoprzestrzenią, umożliwiającej statkom przemierzanie kosmosu bez paradoksów. Po upadku Starego Imperium wiele z jego planet, może większość, zagubiło wiedzę techniczną. Żadna z należących do Hegemonii planet od ponad tysiąclecia nie dysponowała działającym napędem gwiazdowym. A chociaż powszechnie uważano, iż sieć sybilli potrafi odpowiedzieć na każde pytanie, to w rzeczywistości niektóre pomijała milczeniem – w tym także wszelkie dociekania dotyczące sposobów wyprodukowania sprytmaterii. Niektórzy twierdzili, iż to właśnie sprytmateria spowodowała upadek Starego Imperium i że chcący tego uniknąć twórcy sieci zapobiegli dostępowi do niektórych danych.

Z niejasnych powodów sieć sybilli odmawiała również informacji pytającym o mapy kosmiczne. W wyniku tego nie było żadnych możliwości odnalezienia innych planet byłego Imperium, czy się posiadało napęd gwiazdowy, czy nie. Kharemough natrafił na siedem światów Hegemonii dzięki wysłaniu Czarnymi Wrotami, niby listów w butelce, niezliczonych sond kosmicznych.

Prowadzone zaciekle przez Kharemoughi prace archeologiczne w pochodzących z okresu

Starego Imperium ruinach doprowadziły wreszcie do odnalezienia ich dawnego najbliższego sąsiada, jedyne nie oddalonego o absurdalną liczbę lat świetlnych. Mając nadzieję, że znajdą na nim działającą plazmę napędu gwiazdowego, wysłali tam swe najszybsze statki podświetlne. Wyruszyły przed niemal tysiącem lat i na Kharemough wierzono, że wrócą w każdej chwili... jeśli tylko na owej planecie zachował się napęd gwiazdny. "Nadejdzie nowe Millenium" – powtarzano wśród władz Hegemonii, myśląc o dniu, w którym odzyska ona swobodę wędrowania po galaktyce. Sam Reede nie spodziewał się dożyć dnia, w którym dowie się o ujrzaniu choćby jednej cząsteczki plazmy napędu gwiazdowego.

Mimo to Millenium nadeszło, lecz z zupełnie niespodziewanego kierunku. Pewien człowiek dotarł do straszliwego pustkowia, zwanego Końcem Świata, i odkrył tam, dlaczego dziwaczne zjawisko określane jako Ogniste Jezioro powodowało, że owa okolica była naprawdę piekłem. Stwierdził, że Jezioro jest w istocie zdziczałą plazmą napędu gwiazdowego, pozostałością katastrofy statku Starego Imperium, który rozbił się tam pod koniec istnienia Imperium.

Reede zastanawiał się, kim był człowiek, który dokonał tego odkrycia. Wiedział dużo o Końcu Świata, zafascynowany nim, zgromadził wszystkie ogólnie dostępne dane. Niektóre ze szczegółów wydawały się mu coś mówić, lecz nigdy nie zdołał utworzyć z nich sensownej całości. Obrazy stamtąd dręczyły go w snach, wzywały. Pragnął polecieć na Koniec Świata, zobaczyć go na własne oczy, zrozumieć... ale Bractwo zawsze miało dla niego inne plany, nie mające nic wspólnego z Ognistym Jeziorem. Teraz ktoś spełnił jego marzenia – dotarł do sedna tajemnicy i odkrył to, co wymykało się stuleciom badań najtęższych umysłów Hegemonii.

Teraz, gdy znał odpowiedź, z nagłą, piekącą wyrazistością dojrzał, że wyjaśnienie było od dawna oczywiste. Ale nie zadał właściwych pytań. Z niemal pożądaniem wyobraził sobie spotkanie z odkrywcą tajemnicy.

Reede spojrział na sąsiednią ciemność i odwrócił wzrok pod wpływem krążących wokół stołu okrzyków podniecenia i zatroskania. Zasłonił uszy, skupiając się ponownie na napływających danych, próbując zdzierżyć ich denerwująco powolne przybywanie. Nienawidził tego systemu, będącego niezdarnym zestawieniem prostszych technologii, lecz nigdy nie spotkał się z lepszym. Mimo to wiedział, że gdzieś taki istnieje. Tak samo jak napęd gwiazdny.

Wreszcie zmusił się do powrotu do rzeczywistości i wsłuchania w toczącą się wokół stołu dyskusję.

- ..co to może oznaczać dla naszego handlu – powiedział ktoś z siedzących.
- Wszystko się zmieni – zawtórował mu Sarkh, wyrażając oczywisty wniosek.
- Skoro tego nie mamy, możemy tylko marzyć – rzuciła Matka Weary. – A nie mamy.

Nie słysząc głosu Mundilfoere Reede zerknął na nią, ciekaw, co myśli. Nie wyglądała na zaskoczoną; spojrzała na niego z nieodgadnioną miną. Nie potrafił oderwać wzroku od jej oczu.

– Właśnie – powiedział Jaakola, wyginając to słowo jak bryłkę plasteliny. – Znakomicie to ujęłaś. Nie mamy w naszym posiadaniu plazmy napędu gwiazdowego. Jasne, że musimy to zmienić.

– Kto kontroluje Ogniste Jezioro? – zapytał Irduz.

– Odłam centralistów nazywający siebie Złotym Środkiem, chcący, by Hegemonia rządziła tylko nominalnie – wyjaśnił Jaakola. – Oczywiście opanowany przez Kharemoughi, ale też sprzymierzony z koteriami mającymi na Czwórce znaczne wpływy. Już starają się zapewnić, by Kharemough pierwszy otrzymał napęd gwiazdny i w ten sposób uzyskał władzę wojskową.

– W takim razie uda im się – powiedział TolBeoit. – Nasze wpływy na Czwórce nie są zbyt silne. A skoro my o tym wiemy, to i Kharemough. Musimy kogoś wysłać...

– Ale to zajmie lata czasu rzeczywistego – ktoś zaprotestował. – Możemy nie zdążyć

przechwycić napędu gwiazdowego. Hegemonia zjawia się na naszych niebach, gotowa do zadania śmiertelnego ciosu. – Rozlegały się inne, podobne temu głosy.

– Nie musi tak być – powiedziała miękko Mundilfoere. Jej słowa przecięły wszelkie inne. Skupiła na sobie wszystkie oczy, także Reede'a. – Ogniste Jezioro powstało w wyniku zdziczenia napędu gwiazdowego, może uległ on poważnym uszkodzeniom, a w każdym razie przez stulecia rozmnażał się żywiołowo. Nawet Kharemoughi nie mają wielkiego doświadczenia w zajmowaniu się takimi rzeczami. Opanowanie plazmy zajmie im więcej czasu, niż sądzą, może nigdy się nie uda. Wszystkich swych najlepszych ludzi mają na Kharemough i muszą stamtąd przerzucić na Czwórkę. Już to da nam dostatecznie wiele czasu, jeśli tylko zaczniemy działać.

Oczy Reede'a rozszerzyły się lekko. Wiedziała. Zrozumiał, że już przed przybyciem Jaakoli nie było to dla niej tajemnicą. Mrok wokół Źródła zdawał się pogłębiać, jeśli to tylko możliwe. Ciekawe, ilu spośród obecnych wiedziało o napędzie gwiazdowym w chwili zajmowania miejsc. Reede był pewien, że nawet w tej elicie istniały wewnętrzne kręgi; sam niekiedy dysponował informacjami niedostępnymi dla innych – choć przeważnie tylko dlatego, że przekazała mu je Mundilfoere. Poczul nagły niepokój na myśl, że nie podzieliła się z nim tym szczególnie cudownym sekretem; a przecież, gdyby go tylko znał...

Woda życia i zarazek sybilli były jedynymi istniejącymi w Hegemonii rodzajami utworzonych ze sprytmaterii technowirusów Starego Imperium – przynajmniej do tej chwili. A nigdy nie widział prawdziwej wody życia i nie sądził, by kiedykolwiek do tego doszło. Teraz wszystko uległo zmianie.

– Jesteś tego pewna? – zapytała Mundilfoere Matka Weary. – A może chcesz nam tylko poprawić humor?

Mundilfoere uśmiechnęła się, nie patrząc na Jaakołę.

– Moje źródła są bardzo wiarygodne – powiedziała. – Możecie być pewni.

– W takim razie musimy działać – stwierdził Irduz. – Musimy wyznaczyć zespól...

– Polecę – powiedział Reede. – Poślijcie mnie z Mundilfoere. Nie potrzeba nikogo więcej.

Matka Weary wybuchnęła takim śmiechem, że się skrzywił.

– Jakże skromny jest ten cholerny wariat! Reede wykręcił się z niepokojem.

– Nikt lepiej ode mnie nie zna się na sprytmaterii. Wszyscy o tym wiedzą.

– Tak samo jak o tym, że jesteś szalony – mruknął Sarkh. Reede zmierzył go wzrokiem.

– Tylko wtedy, gdy tak mi pasuje, Sarkh.

– Tak – szepnął Jaakola. Reede spojrział na niego ze zdumieniem. – Powinien polecieć. Niech Nowy Vanamoinen odkryje tajemnice Starego. Skrajna nieprzewidywalność jest jego siłą, prawda? Czyni go doskonałym złodziejem. I jeśli chce, może zabrać z sobą kochanicę.

Reede zeszytniał, wyczuł bardziej, niż dostrzegł, że Mundilfoere stężała ze złości. Skrzywił się z nagłym niepokojem i spojrział na żonę. Na jej twarzy niby błyskawica przemknęła niepewność, a może tylko stworzyła ją jego własna paranoja. Spojrzała mu w oczy wzrokiem, w którym nagle zawarła się cała historia, i poczuł, jak zalewa go, niby woda wytryskująca z bezdennej studni, jej zaufanie, wiara, miłość.

– Tak – mruknęła – tylko ty powinieneś lecieć, Reede. To w tym celu zostałeś stworzony przez wiążącą nas wszystkich wyższą moc. – Reede otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Mundilfoere uciszyła go ruchem głowy. – Ale ze względu na ową moc nie mogę zostawić bez nadzoru pewnych granic czy zaniedbanych od dawna projektów. Tym razem polecisz sam. – Jej oczy powstrzymały wszelkie protesty. Sparaliżowany Reede patrzył na nią, gdy wszyscy obecni kolejno głosowali za tym wnioskiem.

TIAMAT: Plantacja Ngeneta

Moon patrzyła na morze, stojąc po kolana w jasnej trawie porastającej pagórek przed domem na plantacji. Radowała się świeżym oddechem wiosny, czuła zimne palce bryzy czeszące jej włosy, podnoszące je niby skrzydła. Przez chwilę miała wrażenie, że jest czymś równie ulotnym, co chmurze dziecko, pędzące na ramionach wiatru tak samo, jak na plaży robił to teraz z ojcem Tammis. Dobiegały do niej śmiechy zadowolenia i piskliwe krzyki tańczących obok Ariele i Merovy. Dziewczynki łapały ręce Sparksa i nóżki chłopca, dopraszając się, by je także ponosić. Moon uśmiechnęła się i odetchnęła głęboko, zapamiętując na zawsze piękno dzieci.

W dole morze wpadało na plażę, fala po fali. Na północy i południu fale sięgały aż po horyzont: ciężkie, srebrzystoszare, zwieńczone białą pianą, zasilane potężnym napływem topniejących śniegów. Morze wydawało się tu nadal zimne i bezlitosne, olbrzymimi bałwanami walące w strome, poszarpane wzgórza, ciągnące się całymi milami wzdłuż północnego brzegu. Sylwetki gór, nie zwieńczone już gładkimi lodami, łapiącymi i odbijającymi światło niby lustro, wyglądały jak poszarpane ostrze noża wymierzone w bezbarwne, zasnuwane mgłą niebo. Dziś jednak ich potężne kształty niknęły w oparach, aż zdawały się być jedynie kłębamii dymu brudzącymi lśniąca powietrze, nierzeczywistym, nieosiągalnym marzeniem...

Moon spojrzała w dół na dzieci i męża, którzy śmiali się, biegali i skakali na plaży. Nagle zatańczyli z własnymi cieniami, zakrzyknęli z radości, gdy słońce wreszcie przebiło się przez mgiełkę, malując na niej tęczowe kręgi. Z nagłą, gorzko – słodką wyrazistością przypomniała sobie, jak dawno temu, daleko stąd, sama szalała na plaży ze Sparksem. Stała nieruchomo, złapana w punkcie czterowymiarowej przestrzeni, i patrzyła na nich, na rozjaśniające się i nabierające za nimi barw morze. Mętne wody północnego oceanu nigdy nie nabierały widzianej przez nią w morzach południowych przejrzystej zieleni i błękitu. A może to tylko pamięć, która zawsze czyści niebo z chmur, zdobi je tęczami, zawsze rozjaśnia nurty, zawsze nasycza blaskiem barwy widziane podczas zalanych słońcem chwil... Jeśli nawet to nie Pani rozświetlała wody swym duchem, to morze ocieplało się co dzień, ziemia rozzieleniała, odradzała, a ta planeta i jej lud czynili nowy krok w stronę lepszego życia. Wciągnęła następny głęboki łyk swobodnego, niespokojnego powietrza, przytrzymała go, czując smak soli, wilgoci i... powstających nowych rzeczy.

– Moon – powiedział ktoś cicho, jakby nie chciał naruszać jej samotności.

Odwróciła się, wdzięczna za kryjące się za ową powściągliwością uczucia, nagle ucieszyła się na widok stojącej obok Jerushy PalaThion. Przyzwyczaiła się do jej ciągłej, niby cień, obecności przy sobie. Bez niej czuła się niepewnie.

– Spójrz na nich – powiedziała, wskazując na plażę, na którą Jerusha już patrzyła, z uśmiechniętą zawiścią obserwując zabawę.

– Cieszę się, że przyjechałaś – stwierdziła Jerusha, wznosząc wzrok w stronę domu i rozcierając ramiona, jakby czuła chłód, choć dzień był ciepły.

– Cieszę się, że wybrałaś się z nami. – Moon położyła dłoń na ramieniu stojącej obok kobiety, dotykając ją łagodnie przez grubą warstwę skóry klee i swetra. Przyglądała się twarzy patrzącej na nią Jerushy, rozmyślając przy tym, jak zmieniała się jej Dowódczyni Policjantów – pozwalała sobie na to – wyjeżdżając poza miasto, jakże spokojniejsza i pogodniejsza wówczas była. PalaThion zdawała się przynależć do tej ziemi, tego świata, pasowała tu w grubym, miejscowym stroju, gdy rozpuszczała na plecach ciemne włosy lub jak wyspiarka splatała je w ciężki warkocz. Tak samo ona przestawała być Królową Lata, stawała się zwykłą kobietą, mającą czas na oddychanie, myślenie i snucie wspomnień mających znaczenie tylko dla niej.

– Pobyt tutaj dodaje mi sił – powiedziała, patrząc na plażę i morze. Teraz to Jerusha się jej przyjrzała.

– Tak – rzekła. – Odczuwałam to samo, gdy byłam jeszcze komendantem Policji. – Westchnęła i znowu popatrzyła na wzgórze. – Wiedziałam, że Miroe jest zamieszany w przemyt, lecz mimo to w ciągu pięciu lat spędzałam tu najszcześniejsze chwile. – Moon usłyszała nagle w tych słowach tęsknotę i rozczarowanie.

– Nigdy więcej? – zapytała cicho.

Jerusha spojrzała na nią, pokręciła głową i ponownie odwróciła wzrok. Moon dziwiła się, że PalaThion tak rzadko tu bywa. Mnóstwo czasu przebywała w mieście, zajmując się zarządzaniem i doradzaniem. Obowiązki ciągle i na zbyt długo odrywały ją od tego miejsca, od męża. Moon często powtarzała jej, by bardziej myślała o sobie, lecz zawsze spotykała się z odmową.

Znowu popatrzyła na twarz Jerushy, pogłębiające się rysy jej ostrego profilu złagodniały pod wpływem uśmiechu, z jakim przyglądała się dzieciom. Życie nie na swoim świecie i cztery poronienia nie przeszły bez echa. Moon poczuła, jak ściska się jej serce, a duszę przejmuje chłód na myśl, że mogłaby stracić choćby jedno ze swych biegających i bawiących się dzieci. Spojrzała znowu na Jerushę, dostrzegła głęboki smutek pod powierzchownym uśmiechem; zrozumiała nagle, w pełni i z lękiem, że tragedie Jerushy legły głębokim cieniem na jej stosunkach z mężem.

Ani Jerusha, ani Miroe nie zdradzali chętnie swych uczuć, obojętnie, czy chodziło o ból, czy o radość. A dwoje ludzi nie zdoła razem spędzić całego życia, jeśli niczego z sobą nie dzielą – choćby były to rzeczy nie wiadomo jak bolesne, tajemne czy dziwne. Im więcej przed sobą ukrywali, tym bardziej z rodziny stawali się samotnymi, obcymi dla siebie ludźmi, wiodącymi własne życie i ślepyimi na potrzeby drugiej strony...

Dopiero gdy Jerusha dotknęła jej ramienia, uświadomiła sobie, że się porusza, odsuwa od morza, nie patrzy już na odchodzących daleko plażą męża i dzieci. Zaskoczona stwierdziła, że kieruje wzrok na ląd poza górami... na odległe, ostre wierzchołki, ciągle pokryte lodem i spowite w szarfy wolno przepływających chmur. Na jej oczach obłoki zdawały się przybierać postać twarzy i rąk kobiety, której rozwiewane przez wiatr włosy lśniły śnieżną bielą na tle błękitnego oceanu nieba. Jeszcze dalej, jak to się bardzo rzadko zdarzało w wyjątkowo pogodne dni, dostrzegła kilka gwiazd na tyle jasnych, by nie niknąć w świetle słońca. Moon patrzyła, jak postać z chmur rozprasza gwiazdy... przypomniała sobie, jak dawno temu obserwowała nad odległą, zaśnieżoną równiną spadające z nieba jak zjawy inne iskry: okręty Rady Hegemonii przybywającej na Tiamat z ostatnią wizytą, by uczestniczyć w końcowym Świącie Zimy. Przypomniała sobie stojącego wtedy obok niej BZ Gundhalinu...

– Moon? – dotarły do niej słowa Jerushy; poczuła, jak ta ją obejmuje, przytrzymuje podczas nagłego zawrotu głowy.

– Czy ją widzisz? – szepnęła, patrząc ciągle na góry i niebo. – Panią...

– Co? – Jerusha obróciła się, spojrzała tam gdzie Moon, ale chmury zdążyły już przepłynąć dalej, zmienić się, zakryć skupisko gwiazd, tak iż nie zobaczyła niczego.

– Nic – mruknęła Moon. – Chmury... chmury wyglądają pięknie. Przywodzą mi na myśl... inne niebo. – Pokręciła głową, unikając pełnego zatroskania wzroku drugiej kobiety. Potem jednak nagle na nią spojrzała. – Jerusho, otrzymałam wiadomość od BZ.

– Co? – powtórzyła Jerusha, bardziej w niedowierzaniu niż niezrozumieniu. – Gundhalinu? – Był jednym z jej inspektorów; pamiętała, jak przeciwstawił się jej rozkazom i prawom Hegemonii, zdradził z miłości dla Moon. Mimo to pozwoliła mu odejść, rozdieranemu przez dwie lojalności, sama czuła podobnie... – To niemożliwe – mruknęła, prosząc oczami, by tak nie było. – W jaki

sposób? – zapytała wreszcie.

– Przez Przekaz. Został sybillą... – wyjaśniła, przekazując Jerushy wszystko, co pamiętała z widzianych wtedy i słyszanych rzeczy.

– Skąd się wziął w Końcu Świata? – zapytała Jerusha, kręcąc głową. – Czy prowadził śledztwo? Dostał przydział na Czwórkę...

– Nie powiedział mi.

– Kiedy to się stało?

– Kilka miesięcy temu. – Moon odwróciła wzrok.

– I nikomu nie powiedziałaś?

– Nikomu. – Potrząsnęła głową, strącając z twarzy jasne kosmyki włosów. – Nie mogłam. – Odwróciła się, spojrzała znowu na plażę, gdzie Sparks i dzieci wracali powoli brzegiem. – Nie mogłam powiedzieć jemu...

– Ach – stwierdziła cicho Jerusha.

Moon patrzyła, jak Sparks zatrzymał się na piasku i jej pomachał, słońce rozпалиło ogniem jego rude włosy. Z ciężkim uciskiem na piersiach również uniosła rękę.

– Nie mogę przestać o tym myśleć. Dałam mu wszystko, co mogłam, co byłam w stanie... – Tym razem zamiast twarzy męża widziała obcą, jak owej nocy, gdy miał ją w swych ramionach... – Ale nie wiem, czy to dosyć. Nie wiem nawet, czy zdołał się uratować. Od tego czasu nie było ani jednego dnia, bym o tym nie myślała. – Poczwała, że się rumieni. I każdej nocy prześladowuje ją pamięć jego ostatnich słów, nie pozwala zasnąć, choć tak bardzo potrzebuje snu...

– Później nic o nim nie słyszałaś?

– Nic. – Pokręciła głową. – Nie wiem, jak do niego dotrzeć... nie wiem nawet, jak mnie znalazł. Nie sądziłam, że to możliwe.

– Wiem. – Jerusha spojrzała na swe stopy, trochę się skrzywiła. – Cholera. Chciałabym znać odpowiedź. – Westchnęła. – Ale się cieszę, że mi powiedziałaś. – Znowu spojrzała w oczy Moon i lekko uśmiechnęła. – Jeśli ktoś mógłby z tego wyjść, to tylko on. Nim opuścił Tiamat, dałaś mu dar przeżycia.

Moon niepewnie odwróciła wzrok.

– Był dobrym człowiekiem, jednym z najlepszych. Ale także sztywnym. Duma czyniła go kruchym. Porwanie przez koczowników zabiłoby go – o mało co się tak nie stało – gdybyś nie pokazała mu, że ma w sobie coś silniejszego. Ja zwróciłam mu stanowisko, ale ty życie. Uczyniłaś go człowiekiem. – Rozszerzyła uśmiech. – Bogowie, powinnaś usłyszeć, co mówił o tobie. Nie wierzyłam własnym uszom.

Moon odwróciła się, otworzyła usta.

– Moon! – Sparks wyrósł nagle obok niej, przycisnął do siebie i pocałował. Poczwała otaczające ją ramiona, ciepło i chłód skóry męża, zapach słońca i potu. Spojrzała mu w oczy, zielone jak świeża trawa, na rude włosy poruszające się na wietrze jak płomień; na jego przystojną, spokojną twarz, równie jej znajomą co własna. Przytuliła się do męża, szukając pewności i siły, spostrzegła, jak patrząca na nich Jerusha przybiera starannie obojętną minę. Moon spojrzała na pełne morze, chłoneła je, aż nie widziała niczego więcej; próbowała wyobrazić sobie, że nigdy nie opuścili wysp, że nie było żadnego straconego czasu, żadnego rozstania, żadnych dzielących ich gorzkich tajemnic.

– Mamo! Mamo! – Przyłączyły się do nich bliźnięta i mała Mero vy – nie jest już taka mała, myślała, patrząc na jasną, piegowatą twarz dziewczynki i jej rozwiane brązowe włosy. Żadne z nich nie było już małe. Głowy przepychających się bliźniaków sięgały jej do piersi. Objęła je ramionami, czerpiąc siły z ich gorącej, niezachwianej miłości... zapominając o niepoznawalnym, niemożliwym,

minionym, które przestało już być wyborem.

– Zobacz, mam, znalazłem krwawnik! – Tammis wyciągnął jeden z błyszczących, czerwonych jak krew kamieni, jakie występowały na wybrzeżach Tiamat. To od tych półszlachetnych kamieni Zimacy zaczerpnęli nazwę swego miasta, a może na odwrót. – I popatrz na nasze muszle!

– Mam jedną taką jak tata, zrobi mi piszczalkę! – Ariele pomachała przed twarzą Moon wąską, skręconą jak korkociąg muszlą.

– Nie, to moja! – zawołał Tammis. – Mnie zrobi piszczalkę! Ja ją znalazłem!

– Obiecałem Ariele... – sprzeciwił się Sparks z lekkim zniecierpliwieniem. – Poczekasz.

– Skoro ją znalazł, to jest jego – powiedziała Moon, rozdzielając walczące ręczki. – Znajdziesz inną i ta będzie twoja, Ariele. To ty zaczekasz.

– Nie! – dziewczynka gwałtownie pokręciła głową. – Chcę teraz!

– Pozwolę ci grać na mojej – mruknął Sparks, unosząc jej bródkę. – Będiesz mogła ją używać.

Ariele spojrzała na niego z uśmiechem promiennym jak słońce, zaś Tammis nagle spochmurniał. Moon dotknęła jego ramienia, pocieszając i odwracając uwagę.

– Pokaż, co znalazłeś.

– To dla ciebie...

Roześmiała się i wydała oczekiwane okrzyki zdumienia, z nagłą serdeczną przyjemnością przytrzymała ręczki i muszle, zatykała uszy na ciągle przywołujący jej imię, kryjący się gdzieś pod radosną wrzawą terażniejszości głos z przeszłości.

– No no, a cóż to takiego?

Moon obejrzała się przez ramię, usłyszała dobiegający z dołu wzgórze wesoły głos babci. Wraz z Borahem Clearwaterem powoli, lecz zdecydowanie podchodziła w górę stoku; obok jako gospodarz i przewodnik szedł Miroe. Dostrzegła stojącą przy nabrzeżu łódkę z łopoczącym opuszczonym żaglem, zdziwiła się, że nie widziała, jak przyplływają, Ngenet ich widział, bo jego dom stoi wyżej. Dzieci oderwały się nagle od Moon i z jeszcze radośniejszymi okrzykami pobiegły w stronę nowych przybyszy.

Moon uśmiechnęła się na ich widok, przez chwilę miała wrażenie, iż patrzy na siebie i Sparksa. Ujrzała odbijającą się w oczach babci radość dzieci, zaś w stojącym obok Borahu Clearwaterze postać dziadka, ledwo przez nią pamiętanego, który zmarł na gorączkę, gdy miała trzy lata. Ciągle zdumiewał ją widok Babuni promieniejącej jak młoda dziewczyna, w niczym nie przypominającej wyczerpanej, starej kobiety, która wtedy przybyła do Krwawnika. Capella Goodventure wyrządziła im wszystkim niewyobrażalną wprost przysługę, gdy sprowadziła babcię do miasta. Moon miała cichą nadzieję, że u starszej klanu wywołało to rozczarowanie równie mocne, co ból, który wówczas odczuły.

Trudno jej było teraz uwierzyć, że to Zimak rozpałił w Babuni ogień życia. Ale po latach przekonywała się, że wielu z przebywających poza Krwawnikiem Zimaków ma więcej wspólnego z Letniakami niż ze swymi ziomkami z miasta.

– Niech to licho! – powiedział Borah Clearwater, patrząc z dobrotliwą niecierpliwością na ruchliwe główki dzieci. – Widzę, Miroe Ngenet, że zasadził pan na swojej zwariowanej plantacji nowe "wiatrowe kwiaty". – Wskazał na wiatraki stojące na sąsiednim wzgórzu. – Co za cholerna hańba, gdy się wspomni, jak kiedyś było wspaniale...

– Kiedyś ta plantacja, jak i pańska, Clearwaterze, polegała jedynie na ciężkiej pracy ludzi i jednym, bardzo kosztownym, pozaziemskim źródle zasilania, dobrze pan o tym wie. – Miroe skrzywił usta skryte pod gęstymi wąsami. – Dzięki wiatrakom i generatorom napędzanym paliwem z naszej destylarni uzyskujemy dwukrotnie wyższe wyniki przy połowie dawnych kosztów, a ponadto dają one

moim ludziom czas na naukę obsługiwanie zakładów przetwórczych...

– Phi. Brzmi to jak śmierdząca kupa...

– Borah! – powiedziała ostro Babunia. – Powściągnij język. Tu są dzieci.

– Tak, serdeczko – mruknął potulnie, tracąc nagle werwę. – Ale niech mnie, jeśli chcę więcej słyszeć o zakładach przetwórczych i nowych rzemiosłach, nowych miasteczkach, nowych hałasach i smrodach, a zwłaszcza o tym żalonym pajacu Kirardzie Secie... Znowu mnie męczy, bym sprzedał mu plantację. Szkoda, że nikt nie pogmerał w jego kodzie genetycznym. Mogę jeszcze przeżyć prawo drogi, jeśli dalej będzie dobrze płacić... – Zerknął na Moon, która się uśmiechnęła. – Ale nie spodziewajcie się, że za to podziękuję. I uwierzcie, zrobi się gorąco jak w piekle, gdy zechce tknąć "postępem" następny cal mej ziemi. Po moim trupie! Prawda, kochana? – Babunia przytaknęła z równym mu zdecydowaniem. Otoczył ją ramieniem i zarechotał, gdy dała klapsa zbyt śmiałej dłoni.

– Pomyśl o swoim wieku, stary klee – powiedziała, uśmiechając się oczyma mimo tych słów i w jakiś sposób wsuwając pod jego ramię. Przyjęła nowe uściski i muszelki dawane przez pół tuzina rąk.

– Ależ myślę, wiesz o tym – szepnął jej do ucha Borah i Babunia zachichotała jak dziewczyna. – Gdzie mój siostrzeniec i twoja matka? – Spojrzał na wierzącą się i ciągnącą go za rękę Merovy.

– Nie mogli przyjechać – powiedziała poważniejąc.

– Dlaczego? – Popatrzył na nią z troską. – Tak bardzo męczą go plecy?

Moon kiwnęła głową, ściągając usta. Bóle pleców Danaquila Lu stały się takie silne, że nie mógł już chodzić prosto. Podróż wzdłuż wybrzeża, nawet na statku z silnikiem, była dla niego zbyt długa i męcząca. Dlatego oboje zostali w mieście.

– Ale zbliżamy się do możliwości udzielenia mu pomocy – powiedział Miroe. – Ciągłe się polepsza jakość narzędzi wykonywanych przez maszyny drugiej generacji. Niedługo zdołamy wyprodukować sprzęt chirurgiczny, jaki miałem kiedyś, a wtedy leczenie stanie się stosunkowo proste...

Borah prychnął z odrazą.

– Fałszywe nadzieje! Czemu go pan łudzi? Nie zdołamy w ciągu stulecia odtworzyć tego, co na innych planetach powstawało w ciągu wieków! Niech rzeczy będą jak były, trzeba się z tym pogodzić. – Machnął ręką, odwrócił się i odsunął. Jerusha zeszytniała, Moon przypomniała sobie o jej bezdzietności i co mogłaby w tej sprawie uczynić nowa technika, gdyby tylko zjawiała się w porę.

– Mój tata wyzdrowieje! – zawołała oburzona Merovy. – Nie mów tak.

– Oczywiście, że wyzdrowieje – potwierdził Miroe, którego dobry humor rozwiął się jak dym.

– Jeśli pozwoli Pani – dokończyła Babunia, gładząc Merovy po główce.

Moon odwróciła się od nich, potarła ręce pod luźnymi rękawami swetra. Stojący obok Sparks uniósł oczy ku niebu i wsadził dłonie do kieszeni płóciennych spodni.

– Bogini! Jest gorszy od Zimaków – mruknął tak cicho, że usłyszała to tylko żona.

– Mamo, chodź z nami po nowe muszle! – Ariele chwyciła Moon za rękę i spojrzała z zapalem w jej oczy.

Moon przytrzymała ją z uśmiechem. – Dobrze...

– Moon, muszę z tobą porozmawiać o najnowszych badaniach nad pieśniami merów. Brakuje mi pomysłów i potrzebuję pomocy. – Miroe spojrzał jej w oczy, skinął w stronę domu, gdzie spędzili już pół dnia, dyskutując o nowych sposobach, zachęcania Letniaków do przyjmowania techniki, która niemal co dzień zmieniała ich życie.

– Chodź, mamo. – Tammi chwycił ją za drugą rękę.

Moon poczuła, jak zaciskają się jej usta, spojrzała na czekającą srebrną wstęgę plaży, rozrywały

ją potrzeby dzieci i Miroe.

– Nie mogę w tej chwili...

– Mamo! Obiecałaś...

Moon skrzywiła się, coraz bardziej zdenerwowana.

– Bawiliście się ze mną połowę ranka – powiedział Sparks. – Możecie chwilę same pobiegać po plaży. Zbudujcie miasto z piasku, takie jak Krwawnik...

– Ale mama obiecała...

– Chodźcie z nami, dzieci – powiedziała Babunia, podchodząc bliżej i wysuwając je z ramion Moon. – Dawno z nami nie byliście, a mama musi coś zrobić – obojętnie, co sama o tym myślę, mówiły jej oczy – jak przedtem jej matka, a jeszcze dawniej nawet ja sama. Ale teraz mam czas, by pochodzić boso po plaży! Rusz się, Borahu... – Gestem głowy zjednała sobie jego poparcie. Clearwater wziął Merovy za rękę, a Babunia sprowadziła z wzgórza opierających się Tammisa i Ariele. – Mamo! – zawołał żałośnie Tammis.

– Nikt nie miesza wodorostów, Miroe Ngenet! Zgniją pańskie zbiory morskich włosów! – Borah skinął ręką na puste pola. – Jaki będzie pożytek z waszej techniki, jeśli wszyscy padniemy z głodu?

– Zautomatyzowałem wszystko – odkrzyknął Miroe. – Wiatr napędza generatory fal. Niech się pan martwi o swoje zbiory!

– Zautomatyzowane? – zawołał Borah, ale Miroe już się odwrócił, machając z oburzeniem ręką.

– Idźcie na południe! – krzyknęła Jerusha. – Przedwczoraj był tam sztorm. Na brzegu znajdziecie wspaniałe muszle. Może nawet traficie na agaty dymne.

– Czy zobaczymy mery?

– Nie tak szybko po sztormie.

– Moon pokiwała głową w niepewnym, niezdecydowanym geście pożegnania. Odwróciła się od nich z nagle śwędzącymi oczami. – W porządku, Miroe – odpowiedziała na ujrzenie w jego oczach nie wypowiedziane przeprosiny – porozmawiamy o merach.

Sparks ruszył z nimi, gdy zaczęli wchodzić, na wzgórze. Miroe spojrzał na niego.

– To nie twoja dziedzina, Dawntreader.

Sparks skrzywił się lekko.

– Badałem pieśni merów i sądzę, że mogę udzielić wskazówek na...

– Jerusho, czemu nie zabierzesz go do fabryki? – Miroe wskazał na drugą stronę zatoczki.

– Widziałem fabrykę. Chcę porozmawiać o merach.

Miroe odwrócił się nagle i spojrzał mu w twarz.

– Po tym, co z nimi robiłeś, nie masz do tego prawa.

Sparks stanął gwałtownie i Moon ujrzała pustkę zalewającą jak śmierć jego oczy. Przeniosła wzrok na Miroe, jego oczy były czarne i twarde jak kamienie. Nic nie powiedziała, nic nie zrobiła, gdy przeszłość wionęła na nich wszystkim zimnym oddechem Zimy. Poszła za Miroe na górę, wpatrując się w przesłonięte chmurami odległe szczyty. Sparks został w tyle.

Sparks patrzył za nimi, aż znaleźli się poza zasięgiem jego głosu. Jerusha PalaThion ciągle stała obok; nie wiedział, czemu nie został zupełnie sam. W końcu odetchnął głęboko i zwrócił do niej.

– Czemu nie myślisz jak on? – zapytał.

– Bo nie sądzę, byś na to zasługiwał – odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

– Dlaczego? – Odwrócił głowę, czując, jak coś gryzie go niby robak. – Zabijałem mery dla Arienrhod, żeby mogła sprzedawać wodę życia, żebyśmy dzięki temu ludobójstwu mogli zachować młodość. Wiesz, co robiłem; widziałas to – jak i on. Ma rację, jestem winny.

Długo patrzyła na niego, nim się odezwała.

– Nie ty... – stwierdziła wreszcie – winę ponosiła Arienrhod. Byłeś tylko chłopcem. Nie mogłeś się równać z taką kobietą jak ona. Od stu pięćdziesięciu lat uprawiała ludożerstwo dusz. O mało co nie zniszczyła nas wszystkich.

Zacisnął dłonie.

– Zbyt mi pobłażasz. Wiem, co robiłem. Inaczej myślałaś, gdyś mnie nienawidziła jako komendant Policji.

– Nienawidziłam Starbucka, rzeźnika Królowej, tak samo jak nienawidziłem jej samej. Nie znałam wtedy Sparksa Dawntreadera ani Moon Dawntreader. Miałam takie wrażenie, ale się myliłam. – Pokręciła głową. – Byłam Siną i uważałam się za dobrego znawcę charakterów ludzi... ciągle się uważam. Moon powiedziała mi, że nigdy przedtem nie byłeś taki jak przy Arienrhod; twierdziła, iż nigdy taki nie będziesz. Uwierzyłam jej, bo nosiła koniczynkę. Nie byłam ciebie taka pewna. Ale miała rację. Znam cię już niemal dziesięć lat. Jesteś dobrym człowiekiem.

Spojrzał na oddalające się plecy Moon, górującą nad nią wysoką, barczystą sylwetką Miroe. Wyglądała przy nim na małą i kruchą. Znowu odwrócił się do Jerushy, nagle przestał się lękać spojrzenia w jej oczy. Zdarzyło się to mu po raz pierwszy.

– Dziękuję – powiedział w końcu łagodnie.

Kiwnęła głową.

– Nie ma za co.

Ponownie popatrzył na plecy odchodzącego Miroe.

– Ale te dziesięć lat nie zmieniło jego poglądów.

– Tego także się nauczyłam – mruknęła. – Trudno do niego dotrzeć.

Sparks usłyszał w tych słowach gorzkie rozczarowanie, nagle zapragnął wyciągnąć do niej rękę. Nie uczynił tego, bo miała w sobie coś z odstręczającego pancerza jej męża.

– Jak mogę go skłonić, by mnie choćby wysłuchał? Czy jest jakiś sposób?

Zastanowiła się długo.

– Jest upartym człowiekiem, przywiązany do swoich wyobrażeń, niełatwo się ich wyzbywa... Ale szanuje też upór innych. – Spojrzała na Sparksa. – Jeśli chcesz mu powiedzieć o swoich przemyśleniach na temat merów, idź i zrób to. Nie pozwól, by cię uciszył. Trwaj przy swoim. – Powoli na jej twarzy zjawił się uśmiech. – Warto spróbować. W ten właśnie sposób zmusiłam go do wyznania, że mnie kocha.

Sparks roześmiał się, kiwnął głową i znowu spoważniał.

– Dobrze. Spróbuję. – Spojrzał na dom. – Pójdiesz ze mną?

Pokręciła głową i spojrzała na plażę, gdzie mała grupka bardzo młodych i starych ludzi zajęła się poszukiwaniami wśród piasku tajemniczych skarbów.

– Nie. To twoja walka, zostanę na boku. – Rozpostarła ramiona.

– Też wybiorę się na plażę. – Spojrzała na niego. – Powodzenia – powiedziała i zeszła po stoku porośniętym trzeszczącą od soli trawą.

Sparks przyglądał się jej przez chwilę, wreszcie zrozumiał, że w istocie nie jest zazdrosny, i zaczął wchodzić na wzgórze. Nad nim kręciło się niemal bezszelestnie kilkanaście wiatraków. Porozrzucane niby niesamowite kwiaty, przemieniały ciągłą siłę wiatru w energię dostępną dla ludzi, utrzymywały nieustanny ruch wody w basenach z hodowanymi wodorostami, dostarczały elektryczności dającej światło i moc dla ciągle rozrastających się zakładów, które Ngenet wznosił na drugim brzegu małej zatoczki. Wokół fabryczki rozrastało się osiedle, zamieszkiwane przez zimackich robotników i ich rodziny; budowane w starym stylu domy oznaczały rodzenie się nowego

życia.

Doszedł do dworu leżącego na grzbiecie wzgórza niby olbrzymi kopiec. Jego mocne, stuletnie ściany z kamienia i drewna przypominały mu budynki z własnej młodości; przypomniały ponownie, że oba ludy tej planety, Zimacy i Letniacy, dzielą wspólne dziedzictwo i stoją przed jednakowymi problemami przetrwania. Zastanawiał się, dlaczego tak łatwo o tym zapominają. Niestety, wszyscy ludzie lubią nie pamiętać o swym człowieczeństwie, niezmiernie długo hołubią gorzkie wspomnienia...

Sparks wszedł przez zawieszane na ciężkich żelaznych zawiasach drzwi i zastał Moon i Miroe siedzących przy niskim stole zasłanym ręcznymi notatkami. Wraz z niepokojącą mieszaniną sprzętów odziedziczonych po pozaziemcach i solidnych, miejscowych mebli nadawało to temu domowi wyjątkową osobowość.

Spojrzeli na niego, Moon ze zdziwieniem, a Ngenet bardziej z gniewem.

– Czego chcesz? – zapytał ostro.

– Żebyś wysłuchał moich uwag, Miroe. – Sparks wyprostował się i położył dłonie na biodrach. – Zamknij oczy, jeśli musisz, jeśli źle ci się robi na widok mojej twarzy. Ale posłuchaj.

Ngenet zeszywniał, spojrzał na Moon, ale ta patrzyła na Sparksa z mieszaniną dumy i ponagrania. Jej oczy mówiły, że postąpił słusznie, wspierały jego zdecydowanie.

Usiadł przy nich, jakby został zaproszony, tworząc w ten sposób trójkę – dobry znak Pani, pomyślał z ironią. Ngenet chwilę jeszcze patrzył na twarz Moon, wreszcie odwrócił się z pewną rezygnacją, zerknął przelotnie na Sparksa i zamknął oczy.

– Dobrze – powiedział. – Słucham.

Sparks odetchnął głęboko, stwierdził niespodziewanie, że jest uważnie słuchany. Odwrócił głowę i spojrzał na ogień płonący w kominku za plecami Ngeneta.

– Gdy jeszcze byłem dzieckiem na wyspach, lubiłem grać na piszczałce... – Dotknął sakiewki przy pasie, gdzie trzymał zrobiony z muszli instrument. – Znam wszystkie stare piosenki, ale grane na piszczałce brzmiały inaczej... Przypominały mi pieśni merów; miały podobną budowę, ton, odstępy między nutami i ich wysokości. Nie znałem określeń ani nie rozumiałem powiązań... – Uśmiechnął się do patrzącej na niego Moon; do wspomnień z dawnych czasów, ich utraconego świata. – Ale moje uszy znały. Potem przybyłem do miasta i... – I znalazła mnie Arienrhod – i uzyskałem możliwość dotarcia do danych udostępnianych nam przez pozaziemców. Zacząłem wtedy pojmować matematykę muzyki. To, co uważałem przedtem za... wyraz uczucia, piękny hałas, stało się dla mnie wzorcem, siecią powiązań, w której każda nuta ma swą dokładnie oznaczoną długość fali i znajduje się w odpowiedniej współzależności wobec wszystkich innych...

– No i? – zapytał niecierpliwie Ngenet.

– No i dalej badałem powiązania między śpiewami merów a naszymi piosenkami, nawet melodiami z puzdra tonów, którego używano przy przechodzeniu Sali Wiatrów. Okazały się one zdumiewająco podobne. – Zobaczył, jak prostuje się zaskoczona Moon. Spojrzała na niego dziwnie, nie potrafił odgadnąć, o czym myśli. Zmusił się do pominięcia tego bez pytań, do wykorzystywania dalej szansy mówienia, póki jej nie straci.

– O co chodzi? – rzucił Ngenet. – Nie marnuj mi czasu. – Jego ogorzała od wiatru twarz ściągnęła się i wyostrzyła, ciemne, zapadnięte oczy były nadal bezlitosne i zimne niby wiatr. Ngenet był ostatnim z rodu pozaziemców, który osiadł na tiamatańskiej dzicy, namiętnie kochał tę planetę i wszystko, co się z nią wiązało. Starał się ochronić przed Łowami zamieszkujące jego plantację mery. Ale pod sam koniec Zimy Arienrhod wysłała Starbucka, by właśnie tu przeprowadził ostatnią, nielegalną masakrę. Wszystkie ich pokręcone losy splątały się razem tego tragicznego dnia, ściśnięte

pięścią Królowej Śniegu spotkały się na ukrytym skrawku plaży. Nikt z nich nie wyszedł z tego cało.

Sparks spojrzął na Moon, zobaczył, jak jej oczy odbijają jego nagły ból. Ich nieuchwytnie barwy były niby wspomnienia czy migotliwe odbłaski na powierzchni wody. Przełknął gorzką pigułkę swego niespodziewanego żalu.

– Chodzi... chodzi o to, iż według mnie w pieśniach merów brakuje pewnych fragmentów. Częściowo tworzą one wzory wskazujące na istnienie większej całości. Ale są luki... – Już przed latami zaczął rozmawiać z Moon o pracy Ngeneta, początkowo robił to chyba w rodzaju masochistycznej pokuty. Potem jednak z chęci ukarania siebie wyrosło czystsze, głębsze zainteresowanie pieśniami merów, związało się z jego zainteresowaniem naturą muzyki w ogóle.

Badał zarejestrowane dane, dopóki nie nabrał pewności, że śpiewane przez mery pieśni są czymś odmiennym od prostego, tonalnego języka, którym się ze sobą porozumiewają. Taśmy wypełniały złożone, niemal niemożliwe do odczytania zbitki dziwnych, polifonicznych dźwięków, niektóre z nich ciągnęły się godzinami. Gdyż to rzeczywiście pieśni, równie charakterystyczne i niezmiennie dla każdej kolonii merów, co różne dla poszczególnych ich grup. Każdy ród w obrębie kolonii zdawał się posiadać odmienny typ muzyki, w ciągu niezliczonych dla ludzi pokoleń przekazywany przez dorosłych nielicznym młodym. Owe melodie zestawione razem tworzyły coś większego, czego naturę zaczął rozumieć dopiero przed kilkoma tygodniami.

– Badałem poczynione przez ciebie zapisy, wykrywając melodie, i mam wrażenie, że zmniejszające ciągle liczebność merów... masakry sprawiły, że one same zagubiły cel swych pieśni i niektóre spośród nich. Nawet po odejściu pozaziemców liczba merów wzrasta bardzo powoli. Odbudowa całej populacji wymaga co najmniej stulecia. Nie zdziwiłbym się, gdyby niektóre z ich pieśni uległy bezpowrotnej stracie. Gdybyśmy jednak potrafili jakoś zrekonstruować brakujące, moglibyśmy je zrozumieć, a może nawet odtworzyć straty.

Ngenet powoli pochylił się do przodu. Sparks zauważył nagle, że ma otwarte oczy i przygląda mu się... czekając na jego wzrok.

– To brzmi sensownie – powiedział Miroe niechętnie, jakby te słowa przychodziły mu z bólem.

Sparks przygryzł język i uśmiechnął się. Zerknął na twarz Moon, wyrażając fascynację i szacunek. Nagle dostrzegł w niej niezachwianą miłość. Uśmiechnął się szerzej.

Ngenet wychylił się z kanapy w ciężkiej obudowie, knykcie jego splecionych mocno dłoni przypominały drewniane sęki.

– Spójrz na te dane i opowiedz mi o swoich metodach – jak doszedłeś do takiego przekonania? Czy masz przy sobie własne wyniki?

– Mogę je sprowadzić. – Sparks wstał, ledwo wierząc, że padły te słowa, że został wysłuchany. Tak długo żył przecież w cieniu nie wypowiedzanego przez Ngeneta potępienia. Całą wieczność prowadził samotne badania, szukając klucza, który otworzyłby mu drzwi do swobodnego włączenia się we wspólne prace Moon i Ngeneta – dałby nadzieję, choćby najmniejszą, że któregoś dnia nie dostrzeże już nienawiści, niechęci, litości czy bólu w oczach znających prawdę... we własnych oczach... w oczach żony.

Zawahał się, gdy dobiegło ich szczekanie psów i podniecone głosy wracających do domu dzieci.

Ngenet skoczył na nogi z wyrazem niepokoju na twarzy, ale tym razem patrzył na okno, bojąc się, że im przeszkodzą.

– Mamo! Mamo! – Zarumieniona, zadyszana Ariele wpadła przez drzwi, ledwo zdołała wyminąć stojący pod oknem stolik. – Tato! – dodała na widok stojącego ojca. – Znaleźliśmy mery!

Na twarzy Ngeneta ukazało się lekkie zaskoczenie, na chwilę zastąpiło zdenerwowanie

przerwaniem rozmowy.

– To dobry znak, że je zobaczyliście, Ari – powiedziała wstająca Moon – ale...

– Na plaży! Na plaży! – krzyczała Ariele, gdy do środka weszli następni. Sparks zwrócił się w stronę Jerushy, której ciężkie buty zadudniły na drewnianej podłodze. W ramionach trzymała coś ciężkiego, wielkości dziecka. Zamarł, póki nie dostrzegł, że pozostała para dzieci stoi obok. – Martwy! – ciągnęła Ariele. – Ale patrzcie, znaleźliśmy dzidzie... – Podbiegła do Jerushy, objęła ochronnie ciężar trzymany na wysokości jej twarzy, dotknęła go z rozszerzonymi oczyma, pogładziła delikatnie.

Sparks nie ruszał się, nagle bezradny, jakby sam był młodym w ramionach Jerushy, natomiast Moon i Ngenet wstali z miejsc i podeszli bliżej. Zobaczył, jak idą do PalaThion, zapominając zupełnie o toczonej dopiero co rozmowie i o nim samym. Ngenet odsunął dzieci na bok; cofnęły się posłusznie, ulegając jego nagłej stanowczości.

– Żyje? – zapytał i sam sobie odpowiedział, przesuwając z wprawą rękoma po ciele merątka, badając jego małą, nieruchomą głowę. Małe zakwiliło cicho i otworzyło oko; ulotny dźwięk zmroził Sparksa. Odwrócił wzrok, dłonie przypomniały sobie miękkie aksamit ich grubego futra. Pragnął podejść do innych, stanąć wśród nich, ale niezdolny do tego, stał z tyłu nie zauważony, niepożądany...

– Znaleźliśmy także dorosłą samicę – powiedziała Jerusha – ale już nie żyła.

– Co ją zabiło? – zapytał Ngenet. Sparks spojrział na nich, zobaczył, że Moon patrzy na niego, a potem nagle odwraca wzrok.

– Nie wiem. – Jerusha pokręciła głową. – Nie dostrzegłam żadnej rany. Może sztorm... – Mery nie miały żadnych wrogów, nie licząc ich twórców.

Sparks odetchnął. Jerusha spojrziała na niego, jakby wyczuwając tę reakcję, dopiero wtedy zrozumiał, że czekał, aż wypowie jego imię, oskarży go.

Ngenet wzruszył ramionami, spojrział na wchodzących do domu Boraha Clearwatera i Babunię.

– Albo pasożyty, albo zatrucie... ale kolonia przeważnie troszczy się o tych, którzy wpadną w kłopoty. Bardzo rzadko można znaleźć samotnego mera. Jak i młodego o tej porze Wielkiego Roku...

– Spróbował wziąć merątko z ramion Jerushy, ale nie pozwoliła, powoli, niemal bezwiednie, kołysząc się z nogi na nogę, jak matka usypiająca dziecko. Ngenet opuścił ręce. – Może to sztorm oddzielił ich od reszty kolonii. Albo też... – znowu pokręciła głową. – Nie rozumiem. Ale małe umrze z głodu, jeśli do nocy nie znajdziemy kolonii, natychmiast też musimy się nim zająć. – Wypadł z pokoju, wołając kogoś w kuchni.

– Czy kolonia przygarnie sierotę? – zapytała Moon, patrząc na główkę spoczywającą biernie na ramieniu Jerushy.

– Nigdy przedtem nie spotkałem samotnego merątka – powiedział powracający Ngenet. – Przekonamy się. – Odrywane przemocą od swej kolonii mery niezmiennie umierały, ale o tym nie wspominał. Przerwał i wydał polecenia zaskoczony kucharce, która pojawiła się w drzwiach, wysłał ją, by znalazła coś odpowiedniego do nakarmienia młodego mera.

– Wujku Miroe, a jeśli mery nie zechcą dzidziusia – zapytał Tammis, pociemniałymi z troski oczyma patrząc na merątko. – Czy zostawimy je samo? Kto się nim zajmie?

Ngenet spojrział na chłopca z uśmiechem przebijającym się przez zmartwienie. Całe życie badał mery, lecz nawet on niewiele wiedział, jakie społeczności tworzyły, co je łączyło, jak wychowywały młode.

– Wtedy zostawimy dziecko tutaj. Ale na razie o tym nie myśl. Musimy dopilnować, by merątko było silne i zdrowe.

– Czy maleństwo wyzdrowieje? – zapytała Merovy, powstrzymywana łagodnie przez Babunię.

– Zrobimy wszystko, by mu pomóc – stwierdził miękko Ngenet, nie odpowiadając właściwie na pytanie dziewczynki. Sparks dojrzał wątpliwość w jego oczach, wyczuwał kryjącą się za nią mroczną troskę. Miroe znowu dotknął nieruchomego merątka. Zawsze walczył o przetrwanie merów. Wkładał w to takie zapamiętanie, że ściągnąłby nim własną deportację, gdyby wcześniej nie uczynił tego samego z miłością i wyrozumiałością komendanta policji Hegemonii.

– Miroe – powiedziała Moon niemal nieśmiało, nie przestając nawet przez chwilę przyglądać się merątku – jeśli zdołasz je uratować, wychować... może w ten sposób dotrzesz do innych. Pomogłoby to nam w poznaniu...

Ngenet spojrzał na nią i na Jeruszę delikatnie kołyszącą małego w ramionach.

– Poprowadzę cię – powiedział z niespodziewanym uśmiechem. – Tędy... – Skinął głową i ruszył do drzwi. Wszyscy poszli za nim.

Sparks patrzył, jak odchodzą, ciągle przykuty do miejsca, nie był w stanie się ruszyć. Ariele zatrzymała się w progu i spojrzała na niego ciekawie.

– Chodź, tato! – Podeszła do niego.

Objął ją ramieniem i przez chwilę przycisnął. Wyswobodziła się i pociągnęła go za rękę. – Chodź, tatusiu, pomóż merowi...

– Nie mogę, Ariele – szepnął tak cicho, że sam ledwo się słyszał. – Nie wiem jak. – Wyciągnął dłoń z jej rączki i podszedł do drzwi. Bez słowa wyszedł, zatraskując je za sobą.

TIAMAT: Krwawnik

– Mamo, prawda, że jest piękny? – Ariele uścisnęła matkę, która przyszła ją pocałować przed snem, bardzo poruszona uwiesiła się na niej. – Tyle z nim radości! Teraz będziemy mieli swojego mera. Nazwę go Silky,[jedwabisty] bo jest taki miękki! – Wykręciła się, gdy Moon spróbowała przykryć ją kołderką.

Zaskoczona Moon zastygła, to imię obudziło dawne wspomnienia. – Mery są naszymi przyjaciółmi – zwróciła łagodnie uwagę, gładząc Ariele po główce. – Nie są naszą własnością, jak i my ich. Nasz lud, Letniacy, nazywa je drugimi dziećmi Bogini, bo jak nas zrodziło je Morze... Ale uważam, że Silky to doskonałe imię – dodała.

– Miałam kiedyś... przyjaciela, pozaziemca, który tak się nazywał. Nikt bardziej od niego nie przypominał mera. Na pewno by się ucieszył, że go tak upamiętnimy. I być może Silky po dorostaniu pomoże nam lepiej zrozumieć mery. – Pocałowała córkę w czoło. – Kładź się i zaśnij.

– Jeszcze wcześniej...

– Jesteś zmęczona.

– Chcę ci pomagać...

– Wiem. Sza. – Odwróciła się i przez ciemniejący pokój dziecięcy przeszła do łóżka Tammisa. W pałacu było tyle pustych pokoi, że każde mogłoby mieć jeden dla siebie. Wszystkie jednak były wielkie i nieprzytulne, od każdego wiało dla niej chłodem, tak iż postanowiła zostawić bliźnięta w leżącym blisko jej komnaty pokoju dziecięcym, trzymać je tam, dopóki nie zaczną się skarżyć albo przynajmniej na tyle urosną, że nigdy po przebudzeniu się w nocy nie zaczną płakać, gdy ujrzą, że są same.

A może nikt nie wyrasta z koszmarów... Sama niekiedy budziła się w nocy przerażona, zagubiona, osamotniona, choć przecież spała z mężczyzną, który ją kochał, którego znała od urodzenia.

– Ja też chcę pomóc! – powiedział podparty na łokciu i słuchający Tammis.

– Wiem. – Uścisnęła go i pocałowała w czoło, czując na włosach zapach morza i wiatru. – Wszyscy razem zajmiemy się merątkiem.

– Kiedy znowu zobaczymy dziecko mera? Jutro?

– Silky! – szepnęła głośno Ariele. – Nazwałam go Silky, słyszałeś?

– Dopiero co wróciliśmy – uśmiechnęła się Moon. – Niedługo znów popłyniemy. Nie jutro. Macie lekcje.

Tammis skrzywił twarz.

– Gdzie tato? Nie przyjdzie pograć nam na piszczałce?

Moon zerknęła na puste drzwi do pokoju, poczuła, jak zaciskają się jej szczęki.

– Nie dzisiaj. Jest bardzo zmęczony. – W czasie długiej, wyczerpującej podróży wzdłuż brzegu był niecierpliwy i przygnębiony. Rzadkie słowa, jakie dla nich miał, były palące niby pokrzywa, aż zaczęła usuwać siebie i dzieci sprzed jego oczu. Nic nie mówił o powodach swego rozżłoszczenia, ale i tak wiedziała. Chodziło o merątko. – Zaśpiewam wam. – Zamknęła oczy, wyzbywając się zdenerwowania, cofając wspomnieniami do czasów, gdy sama była dzieckiem. Pamiętała, jak kołysały ją ramiona silnej, jasnowłosej matki, po powrocie z połowów pachnącej wiatrem i morzem, śpiewającej o merach, tak samo jak ona nuci teraz dla własnych dzieci. Wyobraziła sobie, że wszyscy siedzą przed ogniem w drobnej, kamiennej chacie na smaganej wiatrami wysepce. Jedyne w niej pokój wydawał się jej zawsze cieplejszy, bezpieczniejszy i prawdziwszy od każdego innego, który potem widziała. W nagłej, głębokiej tęsknocie zapragnęła zabrać całą swą rodzinę na ową

wyspę, z dala od przeklętego miasta.

Ale nie było już przeszłości z jej pieśni i wspomnień. Nie żyła śpiewająca je matka... a ona sama musi mieszkać tu, czy chce tego, czy nie, bo inaczej nigdy nie dokończy swego dzieła.

Dzisiaj szczególnie ciążyło jej brzemień zadania złożonego na nią przez umysł sybilli – zwłaszcza przy świadomości, że nie wykona go do końca życia ani nigdy nie zazna spokoju. Pod koniec piosenki oczy wypełniły jej łzy, ledwo zdołała ją dokończyć. Tammis spojrzął na nią z wielką troską. Uśmiechnęła się szybko, przełykając zatykający gardło gorzki żal, i pogładziła synka po włosach.

– Czy tatuś robi dziś dla mnie piszczałkę? – zapytał, gdy wstała od jego łóżka.

– Nie wiem, kochany – mruknęła. Martwiła się, że Sparks już pozwala Ariele grać na jego piszczałce. – Przypomnę mu o tobie. Śpijcie dobrze – powiedziała obojgu i wyszła z ciemnego pokoju na słabo oświetlony korytarz.

Na progu zaskoczona minęła się ze Sparksem. Spojrzął na nią przepaszająco i niepewnie, nim wszedł do pokoju dziecięcego. Stała chwilę pod drzwiami, słuchając niewyraźnych głosów, a potem wysokich, czystych dźwięków piszczałki.

Szła powoli pełnymi ech korytarzami, mijała sale pełne fragmentów przeszłości albo prototypów i planów na przyszłość. Kierowała się do gabinetu, gdzie czekało na nią mnóstwo próśb i wiadomości. Wszystkie wymagały przeglądu, odpowiedzi i załatwienia, wszystkie były bardzo dla kogoś ważne. Nie sposób było je pominąć, odłożyć. Jej praca nigdy się nie kończyła, choć próbowała ją przerwać... musiała. Gdy spała, kochała się lub bawiła z dziećmi, gdy uciekała z miasta, by pobyć pod otwartym niebem, ujrzyć na własne oczy wprowadzane przez siebie zmiany albo mery, nad których uratowaniem tak się trudziła, to w tym czasie ściagały ją bezlitośnie obowiązki, oczekiwania i żądania. Każdy powrót tutaj po skradzionej pracy godzinie czy tygodniu oznaczał, że czekające na nią brzemień jest jeszcze trudniejsze do udźwignięcia... aż wszystko stawało się dla niej ciężarem, odpowiedzialnością; nawet rzeczy, które powinny dawać jej radość, które kiedyś sprawiały jej przyjemność.

Wspięła się spiralnymi schodkami prowadzącymi do gabinetu na szczycie pałacu; patrzyła stamtąd na skorupę miasta, opadającą w dół gładkimi falami, lśniącymi i zacienionymi. Uderzyła ją precyzja, z jaką umieszczono miasto na granicy między wiecznym morzem a bezustannie zmiennym lądem, tak iż nie należało do żadnego z tych żywiołów. Wpatrywała się w dawne zaśnieżone pustkowia, które teraz zmieniło się w grunty pokryte świeżą roślinnością, fabrykami i laboratoriami, wszystko to czerpało energię z zasilanego przyływaniami miasta. Mogła stąd widzieć postępującą budowę nowych zakładów na południu. Odwróciła się, spojrziała w głąb lądu, dostrzegając ciemne kopuły pustego portu gwiazdowego i wznoszące się za nim wzgórza, które nie były już białe od śniegu, lecz zielone od życia.

Leżące jeszcze dalej góry pokrywały lody, lśniące metalicznie między chmurami. Większość z nich była niedostępna nawet pełnią Lata, docierali tam tylko nieliczni hodowcy pfall. Na obecnym poziomie rozwoju nie nadają się do zamieszkania i pewnie zostanie tak aż do powrotu pozaziemców. Pomyślała o czasie, jaki straciła w tych górach, będąc uwięzioną przez koczowników, kiedy to przebywała tam z pewnym samotnym mężczyzną...

Spojrziała na niebo, znowu przypomniała sobie, jak z ostatniego grzbietu gór patrzyli na gwiazdy nad Krwawnikiem... sztuczne gwiazdy z holograficznego ognia, zapalonego przez przybywającą Radę Hegemonii, oznaczające porę ostatecznej Zmiany, śmierci Zimy, narodzin Lata, kolejny etap nieskończonego kręgu daremności i hipokryzji.

Patrzyła na niknące na zachodzie Bliźnięta, na morze nieba z wyspami chmur, ciemniejącym granatem głębi. Zaczynała już dostrzegać wspaniałe mrowie gwiazd; wiedziała, że gdzieś za

płonącym niebem tkwi czekająca na powrót Hegemonia, że skądś tam sięgnął jej i dotknął przez lata świetlne jedyny mężczyzna, którego pokochała oprócz Sparksa...

Opuściła wzrok, oderwała go od nieba na wspomnienie snu sprzed dwóch dni, którego nie wyjawiała nawet Jerushy, w którym poprzez Przekaz wyrwała się z ciała i uleciała w mrok podobny do Nicości, gdzie leżało serce martwego umysłu sybilli. Ale nie było ani pytania, ani pytającego, tylko głos – jego głos, w symfonii rodzących się światła wołający jej imię. Pokazał jej, że ze względu na nią jest cały i zdrowy. Przysiągł, że nigdy o niej nie zapomni; że gdy będzie go potrzebować, w jakiś sposób się tu znajdzie...

Obudziła się, czując wokół znajomą ciszę nocy na plantacji Ngeneta, widząc Sparksa, spokojnie śpiącego obok. Oszołomienie zatykało jej dech, jakby wyszła z Przekazu, tylko że nigdy takiego nie zaznała. Wszystko to było niemożliwe, a więc musiało być snem, choć w niczym nie przypominało innych snów o nim...

Opanowała ją beznadziejna tęsknota na wspomnienie własnego uwięzienia w ciele innej kobiety na innej planecie, jego spragnionych ust na swoich. Z nagłą, wyjątkową ostrością przypomniała sobie gorączkę, która opanowała ją w nocy przed wielu laty – pożądanie tak gorące i nieodparte, że stopiło jej duszę. Potrzebę równie palącą jak u obcego, którego płonące ciało zmieniło w popioły wszystkie jej przysięgi...

Otworzyła oczy, skupiając się na pokoju, na przygnębiających stosach dokumentów i akt, na szczątkach swego życia. Mocno wzięła się w garść, powstrzymując drżenie. Stała cicho, czując na ramionach gęsią skórę.

Ktoś wszedł do gabinetu. Obejrzała się i zobaczyła stojącego na progu Sparksa, z równą rozpaczą patrzącego na chaos w środku.

– Moon – powiedział łagodnie i z wahaniem, jakby bał się czegoś w jej oczach. Opuścił wzrok, a gdy go znowu podniósł, poznała, że to już minęło.

– Dobrze się czujesz? – zapytała. Nie czuła już niecierpliwości, dostrzegając w jego oczach własne zmęczenie i tęsknotę. Podeszła do męża, pozwoliła się objąć, przez chwilę spoczywała bezwładnie w jego ramionach.

– Już lepiej – mruknął i wiedziała, że ma na myśli tylko tę chwilę, gdy trzymają blisko, a nie powrót do miasta, do tych pustych, dudniących echem korytarzy. – Bliźniaki są wspaniałe, prawda? Zawsze mnie zdumiewa, jak szybko rosną. Czasami trudno mi uwierzyć, że są naszymi... – Urwał i przycisnął ją mocniej. – Ariele na plaży... tak bardzo była do ciebie podobna. Będzie z niej urodzony muzyk. Słyszałaś ją?

– Tammis się martwi, że zapomnisz zrobić mu pizczalę – powiedziała Moon, starając się mówić obojętnie i nie urażać męża. – To niesprawiedliwe, że tylko Ariele pozwalasz używać swojej.

– Przepraszam. Zrobię to. – Puścił ją i odetchnął głęboko, patrząc w stronę drzwi. – Nie mogłem... próbowałem, wiem, że ostatnio zachowywałem się jak wyrzutek bez matki... Żadne z was na to nie zasługuje. Pewnie wiesz, dlaczego taki byłem. – Spojrzał na nią.

– Merątko? – Właściwie to nie było pytanie.

Potarł twarz.

– Za każdym razem, gdy Ngenet na mnie patrzył, widziałem w jego oczach Starbucka. Nie chciałem, bym się do niego zbliżałem – jakby sama moja obecność w tym samym pokoju była trucizną! Nigdy nie przestanę mnie nienawidzić za to, co jako Starbuck robiłem merom, jemu... nigdy o tym nie zapomni.

Położyła mu dłoń na ramieniu, poczuła ból w piersiach od nieszczęścia jego i własnego. Znowu plecy jej schłodził mroźny oddech Zimy.

– Nikogo nie dopuści do merątka, dopóki nie dowie się, co mu jest, i nie upewni się, że przeżyje. Chce poznać twe odkrycia na temat pieśni merów...

– Po to tylko, by je wyśmiać jako bzdury.

– A może – powiedziała miękko – odczuwa zazdrość, że znalazłeś nowe podejście do danych, nad którymi od tylu lat bezskutecznie pracował. Ale nigdy nie dałeś mu szansy. – Puściła jego dłoń i rozpostarła palce w nagłym zdenerwowaniu. – Gdy kazał ci opuścić pokój, nie powiedziałeś trzech słów o czasie, który tu spędzaliśmy.

– Bałem się, do licha! Zgoda? To właśnie chciałaś usłyszeć? – Zaciśnął pięści, potem rozluźnił dłonie i pokręcił głową. – Nie mogłem też przebywać blisko nich, nawet myśleć o merach. Widzę to i w ich oczach... strach, brak wybaczenia! – Odwrócił umęczone nocy.

– Sparksie... – szepnęła. – Arienrhod umarła! Przeszłość umarła. Starbuck umarł. Pamiętasz Zmianę, tamtą ostatnią noc? Noc Masek... i rano, kiedy to... – Kiedy posialiśmy Arienrhod do morza. – Kiedy to wszyscy Zimacy i wszyscy Letniacy odrzucili maski, a z nimi swe grzechy i żale. Przysięgliśmy, że rozpoczniemy nowe życie, że odnowimy naszą przysięgę, bo wszystko się zmieniło.

– Ale właśnie o to chodzi, że wszystko się zmieniło... – Odwrócił wzrok od niej i pokoju, spojrzał na niebo poza oknami. Znowu popatrzył w oczy Moon, nagle objął ją i pocałował, przytrzymał z rozpaczliwą czułością. – Moon... chodźmy spać. Od tak dawna nie kochaliśmy się w dzień... Od tak dawna nie spaliśmy ze sobą.

Poczuła, jak nacisk jego ust i ciała budzi i w niej pożądanie. Mimo to oderwała się od niego, pokręciła głową.

– Nie mogę. Mam tyle roboty, że nie mogę nawet myśleć o... myśleć o... czymkolwiek innym. Jestem zbyt zmęczona. Nie mogę.

Nie chciał jej puścić. – Proszę cię, Moon. Potrzebuję ciebie. Potrzebuję teraz, muszę wiedzieć, że ty, my, ciągle coś czujemy, ciągle dla siebie coś znaczymy, że pomimo tego wszystkiego... – wskazał głową na pokój.

– Ty potrzebujesz? – wyrwała się mu, gdy jej uczucia przeszły w urazę. – A co z moimi potrzebami? Potrzebujesz mnie ty, potrzebują dzieci, wszyscy w tym mieście, na całej przeklętej planecie mnie potrzebują, nawet sieć sybilli – i to zawsze natychmiast, bez chwili zwłoki. Wszyscy potrzebują, potrzebują, potrzebują! Nikt nigdy nie zapyta, czego ja potrzebuję! Chcę choć na chwilę pobyć sama! Zostaw mnie, do cholery, zostaw!

Sparks zaczął się cofać, z oszołomioną miną dotarł tak do drzwi, tak się odwrócił i wyszedł, bez jednego spojrzenia czy słowa spełniając jej życzenie.

Sparks zszedł po kręconych schodach, minął korytarze, komnaty, zimną, pustą salę tronową. Nie dostrzegając sztucznego nagromadzenia nowych rzeczy, które nie zdołały przesłonić przeszłości. Widział tylko ją, wspomnienia, Zimę... Widział Ją, Arienrhod, całą na białym, siedzącą na szklanym tronie w pokrytej śnieżnym dywanem sali, jaśniejącą nieskazitelną czystością piękna, siły i opanowania.

Nie rozumiał, dlaczego obie są takie do siebie podobne, Arienrhod i Moon; dlaczego obie go pragną, potrzebują, kochają... tak samo jak nie rozumiał rzeczy, które jak klątwa weszły między niego a żonę. Przecież tak bardzo go pragnęła, przebyła tak daleką drogę i wycierpiała tak wiele, by go znaleźć, zmierzyła się z Arienrhod o prawo do jego duszy...

Schodził coraz niżej, przeszedł most nad milczącą Otchłanią, minął pokrytą letnimi freskami sień i potężne wrota pałacu. Kroczył przez miasto, choć po Ulicy jeździły już elektryczne tramwaje. Walczył ze zdenerwowaniem zatykającym mu pierś, aż ledwo oddychał.

Mruczał beładne odpowiedzi na rzadkie pozdrowienia przechodniów, głównie Zimaków. Przeważali oni w górnych częściach miasta, gdzie luksusowe ongiś domy zachowywały pamiątki lepszych dla nich dni panowania Zimy. Większość z nich ciężko teraz pracowała dla Królowej Lata, trudzili się nad przybliżeniem dnia, w którym znowu zadziałają bezużyteczne teraz cuda pozaziemskiej techniki, w którym zostaną przywódcami nowej Tiamat. Nie uzyskają tego dzięki przypadkowi czy kaprysowi, lecz sami zbudują gospodarkę planety, zasłużą na prawo do jej kierowania... na gorsze czy lepsze.

Patrząc na mijane twarze i zaglądając przez okna, nie znalazł nikogo, z kim mógłby porozmawiać o tym, co czuje – co robił, kim był, o czym nie mógł zapomnieć. Szedł dalej, poszukując jakiegoś celu, kontaktu z ludźmi... aż wspomnienia zaprowadziły go do Labiryntu.

Labirynt oddzielał Zimaków od Letniaków zamieszkujących najniższe poziomy Krwawnika, gdzie spirala alei zbliżała się najbardziej do morza. Stanowił on serce miasta, a podczas rządów Hegemonii na Tiamat także tryskającą życiem strefę rozdzielającą obie połowy świata. Tam to osiedlała się większość pozaziemców, tam prowadziła interesy, sprzedawała i kupowała: przyjemności i występkę. Nadal mieściły się tu te nieliczne sklepy i warsztaty, które jeszcze działały.

Sparks zerkał w każdą z mijanych alejek, tworzących szprychy odchodzące od powoli opadającej w dół spirali Ulicy. Ich nazwy pochodziły od barw, tak przynajmniej mówiono, choć trudno mu było sobie wyobrazić, że istnieje aż tyle kolorów, mimo że na niebie Tiamat codziennie pojawiały się tęcze. Sparks nadal nie wiedział, co oznacza połowa z nazw, podobnie jak nie miał pojęcia, w jakim języku je nadano i dlaczego właśnie takie, a nie inne. Może nawet na pochodzących ze Starego Imperium budowniczych miasta wywarł wrażenie widok nieba, na którym w dzień ciągle rodziły się i ginęły tęcze, nocą płonęły gwiazdy...

Zatrzymał się u wejścia do Alei Cytrynowej. Był to jakiś odcień pomiędzy żółcią a zielenią. Okiennice, drzwi i niektóre budynki ciągle o tym świadczyły. Tu znalazł pierwszy dom, gdy jako siedemnastoletni chłopak przyplął z Wysp Nawietrznych. Wtedy mieszkała w nim Fate Ravenglass, maskarka... ciągle mieszka, lecz jako sybilla. Usłyszała jego grę i nauczyła, jak zarabiać muzykowaniem na ulicy. Wzięła go do siebie i dawała schronienie, dopóki nie znalazła go i nie zażądała dla siebie Arienrhod.

Nawet po zostaniu faworytem Królowej Śniegu... po zostaniu jej małżonkiem, potem prawą ręką i Starbuckiem, nawet wtedy tu wracał. Choć zabijał święte mery i pił wodę życia, to przybywał tu w poszukiwaniu sanktuarium, gdzie mógłby zrzucić z siebie zbyt przygniatający ciężar. Przychodził na spotkanie z Fate, której oczy nie widziały niemal niczego, zaś dusza dostrzegała wszystko, lecz nigdy tego nie oceniała.

Nigdy się nie dowiedział, czemu nadal witała go w progu, nie miał też wtedy pojęcia, że jest sybilla, jedyną w Krwawniku, skrywającą swój sekret przed Zimakami i pozaziemcami, podobnie jak Starbuck chował się pod maską i czarnym strojem. Ona jednak ukrywała swe prawdziwe oblicze, by dzięki temu służyć wyższemu dobru, podczas gdy on, okrywając się kłamstwem, ułatwiał sobie dokonywanie zrad i morderstw...

Pokręcił głową i wychodząc z cienia, ruszył Aleją Cytrynową. Od dawna już nie odwiedzał Fate, brakowało mu powodów, dla których zjawiał się u niej dawniej albo dla którego szedł tam teraz.

Budynki najbliższe Ulicy stanowiły mieszaninę nowych zakładów prowadzonych przez Zimaków i kilku sklepów letniackich, lecz ciągle prądawne budynki stały zniszczone i porzucone, z nieludzką cierpliwością czekając, aż ktoś do nich wróci. Przejrzyste osłony sztormowe przepuszczały jaskrawe barwy zachodzącego słońca; tak daleko na północy zmrok pojawiał się późno, a

przedłużające się dni wiosny wskazywały na początek lata, które doda swe ciepło do wielkiego Lata, wyznaczanego przez zbliżanie się całego układu do Czarnych Wrót. Idący w głąb alei Sparks coraz rzadziej mijali ludzi. Gdy dotarł do schodków przed domem Fate, nie dostrzegł już żadnego, z czego był rad.

Zapukał w zamknięte drzwi, najpierw lekko, potem mocniej, lecz nikt nie otwierał. Jedyłą odpowiedzią na jego dobijanie się było słabe miauczenie starego kota, mówiącego mu niecierpliwie, że gospodyni nie ma w domu. Sparks zaklął pod nosem, zastanawiając, gdzie, do cholery, mogła pójść o tej porze niewidoma kobieta. Pewnie wybrała się z Tor Starhiker do jakiejś tawerny, by posłuchać tam muzyki. Wiedział, że czasem tak robiła. Domyślał się nawet gdzie, ale nie chciał spotkać się z Tor, nie dzisiaj, gdy głowę przepełniały mu wspomnienia z ich dawnego życia, z lat poprzedzających koniec Zimy.

Wrócił aleją do Ulicy i stanąwszy na jej rogu, popatrzył w górę spirali, zastanawiając nad powrotem do pałacu. Wreszcie odetchnął głęboko i zmusił się do ruszenia przed siebie. Nie miał dokąd pójść, nikogo, z kim chciałby porozmawiać, gdzie się udać...

Idąc rozważał, czy by nie zostać tu na noc, położyć się samotnie w ciemnościach, dzielić łożę z duchem Arienrhod, poczuć zmieniający jego ciało w padlinę zimny dotyk widmowych ramion; wspomnienia tego, co czynili tu razem, pozbawią go snu... Pomyślał o położeniu się przy Moon, odzianym w ciało ducha Arienrhod, wyobraził sobie, jak w gniewie odwróciłyby się plecami, zimnymi i napiętymi z wyczerpania i urazy. Opanowała ją nie tylko jakaś obsesja, lecz i coś znacznie głębszego, nieodpartego, czego zupełnie nie rozumiał. Zastanawiał się nad bezlitosnym uchwytem tego czegoś... gorzkimi kolcami noszonej przez Moon koniczynki, tym samym symbolem w niezmarywalny sposób wytatuowanym na jej gardle.

Przez chwilę współczuł jej; wiedział, iż zasługuje ona na więcej, niż dał jej dzisiaj, na czułość, zrozumienie, miłość – że zasługiwała na to od pierwszej chwili, gdy się odnaleźli. Ale wiedział także, iż bardziej jej potrzebował, niż mogła mu ofiarować. Przestrzeń wokół nich i wewnątrz ich życia była zbyt mała, nie mieli gdzie się zwrócić; przyszłość przygniatała ich tą nieodmienną prawdą...

Zwolnił kroku, dochodząc do narożnika kolejnej znajomej alei, Oli winowej, przy której mieściło się Kolegium Sybilli. Znajdowało się tu jego biuro, gdzie w dzień pracował z żoną, zadawał jej pytania, po których wchodziła w Przekaz, gdzie zapisywał odpowiedzi i starał się je zrozumieć, bo wyjaśnienia udzielane przez sieć sybilli były często dziwne i niejasne.

Zrozumiał nagle, że lubi tam przebywać, jest dumny z siebie... czuł, iż pracując i prowadząc badania dla Tiamat, jednoczy oba swe dziedzictwa, letniackie i pozaziemskie, a o tym właśnie marzył, przybывая do Krwawnika po raz pierwszy. Odkrywanie doskonałego piękna matematyki, leżącej u podstaw tak wielu kształtów i działań, zarówno ludzi, jak i natury, wypełniało go radością i zadowoleniem, jakich rzadko tylko doznawał w przypadkowych i bolesnych stosunkach między ludźmi.

Wiedziony impulsem, skręcił w aleję, odwrócił się plecami do wspinaczki w stronę domu i rodziny. Kroczył nią, aż dotarł do drzwi Kolegium, wszedł do środka, mijając znajome, słabo oświetlone sale, osiągnął wreszcie swe biuro. Zapalił tam światło i usiadł przy regulaminowym biurku Policji, porzuconym w czasie Zmiany przez poprzednich gospodarzy budynku. Bezużyteczny ekran komputera patrzył na niego martwym wzrokiem. Przetrzasał stosy maszynopisów i odręcznych notatek, aż natrafił na znaleziony w porzuconym magazynie stary artykuł o teorii fugi. Opadł w objęcia zmieniającego kształt fotela i położył nogi na biurku. Otworzywszy książkę, zaczął czytać, zatapiając się w myślach.

NUMER CZWARTY: Koniec Świata

Reede Kullervo spoczywał, ponury, w fotelu apartamentu hotelowego w Porcie Rządowym, obgryzał skórę przy paznokciu i sięgając wzrokiem poza sztuczne gwiazdy lądowiska, wpatrywał się w leżącą dalej mroczną dżunglę. Zobaczył kolejny prom wznoszący się pozornie bez wysiłku, by zniknąć w jeszcze większych ciemnościach nocy. Zaciśnął pięść na butelce pitego bez dodatków ouvunga; tandetne tworzywo pękło mu w palcach, a lepki rubinowy płyn spłynął po nich niby krew.

Słuchał dochodzących z sąsiedniego pokoju stłumionych głosów i ogólnego hałasu. Niburu i Ananke zabijali tam czas, uczestnicząc w wymagających współdziałania rozrywkach. Westchnął i napił się ze zgniecionej butelki, wpatrując się w noc. Ten pokój pachniał nowością, jak wszystko tu, tchnęły nią cząsteczki odrywające się nieustannie od ścian, tkanin, mebli. Gdyby potrafił patrzeć przez ściany, ujrzałby gdzieś za sobą morze światła, będące gmachem Projektu Badawczego Napędu Gwiezdnego i wzniesionym błyskawicznie miastem, które wyrosło wokoło na środku pustkowiec otaczającego skraj Końca Świata.

– Na Odplacającego... – zaklął i nagle usiadł prosto, czując, jak fotel dostosowuje się do nowej pozycji. Z talerza na stole wziął następną garść iestów i włożył do ust, żując strączki i całą resztę. Łupiny smakowały jak gnój, lecz zawierały więcej naturalnego środka uspokajającego niż ziarna. Choć i tak nic mu to nie pomoże. Popił iesty następnym łykiem ouvungu. Woda śmierci zneutralizuje każdą ilość śmieci wprowadzonych do organizmu. W żaden sposób nie mógł się upić czy zaćpać, a nawet choćby na chwilę doznać oszołomienia. Mimo wszystko stale próbował, licząc na cud.

Nie mógł na próżno przebyć takiej drogi! Cholera z tym głupcem Tubirim, miał dostarczyć potwierdzenia, po które Kharemoughi przysłali tu Reede'a Kullervo, a zupełnie niedawno, wyjątkowo nie w porę, został starty z powierzchni Numeru Czwartego. "Spalony w wypadku przez plazmę napędu gwiezdneho." Tak mu powiedziano. A może to nie był wypadek?

Nie. Wypadki się zdarzają, nawet w Bractwie. Gdyby to nie był przypadek, podobny los spotkałby już Reede'a Kullervo... Tymczasem był cały i zdrowy, choć bezsilny, bez żadnego dojścia do prowadzonych badań. Jeśli nie zdoła się dostać do środka i pokazać tym pieprzonym głupcom, jak przechowywać paliwo do napędu gwiezdneho i jak się nim posługiwać – a przez dwa i pół roku ich czasu, które minęło, zanim tu dotarł, niczego w tym kierunku nie osiągnęli – wówczas nigdy nie uda mu się uzyskać bezpiecznej próbki i wrócić z nią na Ondinee. Do Mundilfoere... Mundilfoere. Gdyby tylko była z nim, potwierdzała, że postępuje właściwie, wskazywała, co robić dalej. Trzymała go w ramionach...

Potarł oczy i wymruczał następne przekleństwo. Bractwo miało na Czwórce swych ludzi, lecz niewielu, zresztą unikał z nimi kontaktu. Po śmierci Tubiriego nie było wśród nich nikogo pracującego dla Projektu Badawczego. A to miejsce było dobrze strzeżone. Bezwzględność miejscowych, wsparta obsesją Kharemoughi na punkcie techniki, sprawia, że paranoicznie pilnowane siedziby karteli w Tuo Ne'el wydawały się przy nim otwartym rynkiem. Spróbował dzisiaj wszelkich możliwych sposobów, by wejść do środka, lecz żaden nie zadziałał. A dostęp mu nie wystarczał, potrzebował współdziałania. Teraz pozostawał mu tylko powrót do Bramy Czwórki – najbardziej kosmopolitycznego miasta planety, ośrodka handlu międzyplanetarnego. Tam może zacząć od początku...

Rozległo się pukanie do drzwi. Skrzywił się i wstał. Nie spodziewał się gości. Nie pragnął żadnych.

– Niburu! – krzyknął. Ale hałasy i śmiechy w drugim pokoju nie ucichły. Klnąc pod nosem, podszedł do drzwi. Zatrzymał się przed nimi i sięgnął za pazuchę, sprawdzając, czy tkwi tam broń, w

którą się uzbroił zaraz po opuszczeniu Projektu.

Wyjrzał przez jednostronną szybkę obok drzwi i zamarł. Po chwili jego dłoń powoli puściła broń i otworzyła zamek. Drzwi uchyliły się w milczeniu. Spojrzał na miejscową kobietę, pracownicę Projektu Badawczego, która próbowała go nagabnąć, gdy niedawno stamtąd wychodził, i na stojącego obok nieznanego. Nagle sobie przypomniał, że jest sybillą; a gdy po sześciu godzinach daremnych tłumaczeń pokazano mu drzwi, krzyknął w zdenerwowaniu: – Na miłość bogów, jestem obcym z dala od domu...

Para za drzwiami nosiła ciemne, bezkształtne płaszcze przeciwdeszczowe, twarze kryła pod kapturami. A mimo to Reede nie miał wątpliwości, kogo przyprowadziła kobieta. Wyciągnął do niej rękę.

– Witam jeszcze raz – mruknął w miejscowym języku. – Przepraszam, że po południu nie odwzajemniłem pani pozdrowienia.

– Nie winie pana. – Z powagą ujęła podaną jej dłoń i Reede poczuł, jak odpowiedziała na nieznaczące ruchy palców. – Jestem Tiras ranKells Hahn – powiedziała, według miejscowego zwyczaju podając najpierw nazwisko. – Przepraszam, że wtedy nie mogłam być dla pana bardziej pomocna. Niestety, nieznanymi nie są w Projekcie mile widziani... Przedstawiam panu Czcigodnego Komendanta Badacza BZ Gundhalinu.

– Tak, tak, oczywiście.

– Reede wyciągnął rękę do towarzysza kobiety, poczuł, jak się rumieni z niespodziewanej emocji. – Bogowie, nie możecie sobie wyobrazić, jak mi przyjemnie. – Nie możecie. Spojrzał mężczyźnie w oczy z całkowicie szczerym uśmiechem. – Reede Kullewa Kullervo z Instytutu Badawczego Pandalhi.

Gundhalinu podał mu rękę, unosząc ją w typowy dla Kharemoughi sposób. Reede szybko przekręcił swoją, tak iż wnętrza ich dłoni zetknęły się w naturalnym ruchu, przynajmniej taką miał nadzieję. Beztroski ośle. Poczuł skryte pytanie zawarte w sposobie dotyku i odpowiedział na nie z milczącą satysfakcją. Gundhalinu na pewno jest w Przeglądzie, i to na wysokim szczeblu.

– Jak rozumiem, przybył pan aż z Kharemough, by z nami pracować, lecz został dzisiaj odprawiony przez zbyt gorliwych strażników? – Uśmiech, zaprezentowany przez Gundhalinu, był w porównaniu z jego bardziej powściągliwy. Oczyma tak ciemnymi, że niemal czarnymi, wpatrywał się w Reede'a ze szczerą ciekawością.

Kullervo zdobył się na ponury śmiech.

– Okazało się, że zniknąłem z waszych danych, a mój kontakt spłonął w wypadku... Wasza służba bezpieczeństwa wykracza poza znane w całej Hegemonii normy.

– Raczej nasza biurokracja. – Gundhalinu potrząsnął głową. – Naprawdę mi przykro. To miejsce zawsze było zapadłą dziurą. Powinien je pan widzieć przed powstaniem ośrodka badawczego, gdy mieściło się tu tylko miasteczko Firmy... Ale nie życzyłbym tego najgorszemu wrogowi.

Reede poczuł, jak niknie jego uśmiech. Wzruszył ramionami i rozluźnił mięśnie pleców.

– Był tu pan wtedy? – zapytał ze zdziwieniem.

– Niestety, los miasta splótł się z moim – uśmiech Gundhalinu zmienił się na bardziej gorzki, nie dodał nic więcej. Reede zrozumiał, że odkrycie przez niego napędu gwiazdowego musiało być katalizatorem, który przyspieszył całą tę zmianę. Tym jednym czynem stał się odpowiedzialny za przekształcenie miasteczka.

Reede znowu spojrział na Hahn, wyczuł jej zmęczenie.

– Proszę mi wybaczyć zachowanie. Czemu nie wchodzić? – mruknął, wskazując na wnętrze

pokoju.

Hahn pokręciła głową.

– Nie mogę zostać. Muszę wracać. Moja córka...

– Jak się czuje? – zapytał Gundhalinu, zwracając się do niej z nagłą troską.

– Lepiej... – mruknęła. – Chyba trochę lepiej. – Wzruszyła ramionami w geście, w którym

Reede odczytał brak nadziei.

– Bardzo się cieszę – powiedział Gundhalinu ze szczególnym smutkiem w oczach.

– Miło, że o niej pamiętasz.

– Szakt! – rzucił nagle Gundhalinu. – Nie zaczynaj mnie traktować jak jednego ze swych świętych przodków. Za dobrze mnie na to znasz.

Zaskoczona zwróciła się do niego i rozjaśniła prawdziwym uśmiechem skierowanym do prawdziwego człowieka.

– Tak, oczywiście... BZ. – Kiwnęła głową, opuszczając przy tym oczy, niezdolna do powstrzymania tego gestu.

Gundhalinu odetchnął głęboko.

– Dziękuję, Hahn, żeś mnie tu przyprowadziła. Gdybym mógł cokolwiek dla ciebie zrobić...

^Wiesz. – Wzruszył ramionami. Uśmiechnęła się do niego przez ramię i wyszła na korytarz.

Gundhalinu odwrócił się i popatrzył ciemnymi oczyma w niebieskie i obojętne Reede'a.

– Jej córka jest sybillą – powiedział, przechodząc z języka miejscowego na rodzinny sandhi, jakby nie wątpił, że Reede go zrozumie. – Nie była do tego dostosowana... – Uczynił krótki, daremny ruch ręki i odwrócił wzrok. – Nieważne. – Podążył za Reede'em do środka, zerknął na sąsiedni pokój, zaskoczony dobiegającymi stamtąd światłami i hałasami.

– Moi asystenci – mruknął wyjaśniająco Reede; nagle, niespodziewanie poczuł się lepiej. – Proszę usiąść. – Mówił teraz w sandhi, spełniając niewątpliwe oczekiwanie swego gościa. Wskazał na kanapę.

– Dziękuję. – Gundhalinu rzucił płaszcz przeciwdeszczowy na poręcz pustego fotela. Pod spodem nosił pełny mundur komendanta Policji, na kurtce jaśniały holograficzne ognie tuzina medali. W ich blasku niknęła koniczynka sybilli.

Reede zeszywniał, wpatrując się w nią przez chwilę zdającą się ciągnąć wieczność.

Gundhalinu spojrział na niego badawczo, jakby nie domyślał się, co może się kryć za miną gospodarza.

– Śpi pan w tym? – zapytał Reede.

Gundhalinu spojrział na siebie, jakby dopiero teraz dostrzegł, w co jest ubrany. Roześmiał się nagle, niemal z ulgą.

– Nie, na bogów. – Zdjął kurtkę i rzucił na mokry płaszcz przeciwdeszczowy. – Przyszedłem prosto z wyjątkowo długiego i męczącego bankietu. Na cześć odwiedzających Projekt dostojników... – Potarł szyję i rozluźniając kołnierzyk, przeszedł przez pokój. Reede bardziej wyczuł, niż dostrzegł zmęczenie, z jakim opadł na kanapę.

– Cena sławy – mruknął Reede, przesuwając rękoma po swoim stroju. Był rad, że nie chciało mu się zdejmować gładkiej, staroświeckiej tuniki i luźnych spodni, srebrnej kłamry spinającej w kucyk odporne wobec grzebienia włosy. Usiadł na kanapie w wygodnej odległości od Gundhalinu. W wycięciu rozpiętego kołnierzyka widział tatuaż sybilli.

Gundhalinu odwrócił głowę, skupił wzrok na czymś dalekim.

– Wszystko ma swoją cenę. – Spojrział na stojącą obok na stoliku niemal pustą butelkę ouvungu i do połowy wypełnioną wazę strączków iestów.

– Proszę się częstować – powiedział Reede.

– Nie, dziękuję. Nie piję. – Gundhalinu podniósł pogiętą butelkę i przytrzymał pod światło, patrząc na unoszącego się w rubinowym płynie martwego robaka. – Musieliście mieć wyjątkowo denerwujący dzień, Kullervo-eshkrad – powiedział nie bez sympatii. Reede rozpoznał zwrot często używany wśród Kharemoughi z klasy Techów, oznaczający jednocześnie szanowny i uczony. Zwykle mówili tak tylko do siebie, bardzo rzadko zaszczycając nim obcych. Domyślił się, że spotkało go to ze względu na rzekomą pozycję naukowca z Instytutu Pandalhi.

– Tak – odparł Reede, zaniepokojony ukrytą oceną swych nałogów.

– Będzie pan miał po tym straszego kaca – powiedział Gundhalinu.

Reede uniósł brwi.

– Mówi pan, jakby miał osobiste doświadczenia, a przecież nie pije pan.

– Zgadza się. W obu wypadkach. – Gundhalinu postawił butelkę i spojrzał na Reede'go. – Muszę przyznać, że usłyszawszy od Hahn o przybyciu kogoś z Kharemough – i to z Instytutu Pandalhi – spodziewałem się spotkać Kharemoughi. Moi ziomkowie mają.. pewne opory przed dopuszczaniem obcych do swych co ważniejszych instytucji. Musi być pan bardzo inteligentny.

– Jestem. – Reede uśmiechnął się nikle i przyjrzał Gundhalinu niemal z rozczarowaniem. Nie tak go sobie wyobrażał. Nie znalazł w nim niczego zwracającego uwagę. BZ Gundhalinu był typowym Techem z Kharemough: średniego wzrostu, ciemny i szczupły, przypuszczalnie tuż po trzydziestce. Twarz ma drobną i, jak u wielu dobrze urodzonych, usianą bladymi piegami. Obowiązkowy, obłudny, słabowity. Któż by pomyślał, że dokonał jednego z największych odkryć w dziejach? Zwątpiłby w to nawet najbutniejszy Technokrata. Kharemoughi uważają, iż rządzą Hegemonią, a co gorsza, są przekonani, że na to zasługują.

– I bardzo wpływowym obcym tak daleko od domu.

Reede ponownie kiwnął głową, patrząc tym razem z pełną ufnością. – Jak i pan.

– Czy jest pan także sybillą?

– Ja? – To pytanie wywołało w nim śmiech. – To nie dla mnie. Okazałem się... nieodpowiednim materiałem. – Jego ręka zapragnęła sięgnąć po butelkę ouvungu; zmusił ją do pozostania bez ruchu.

– Zawsze myślałem to samo o sobie. – Gundhalinu dotknął koniczynki bujającej się na łańcuszku, jakby ciągle trudno mu było uwierzyć, iż ją nosi.

– Musiał pan poczuć ulgę – powiedział Reede.

Gundhalinu spojrzał nań ze zdziwieniem.

– Bo uzyskał pan dowód, że może na sobie polegać.

Gundhalinu uśmiechnął się lekko i znowu spojrzał na koniczynkę. Pozwolił jej opaść.

– Kulleva Kullervo... to samathańskie nazwisko?

Reede wzruszył ramionami.

– Tak. Ale dawno stamtąd wyjechałem.. – Wyjrzał przez okno, ukrywając nagle palące wspomnienie: W napęczniałym podwodnym zmroku płacze mały chłopczyk. Leży między zbiornikami, tak iż nie słyszy go zamroczony narkotykiem ojciec. Tuli się do kochanego bardziej niż jakikolwiek człowiek kundelka, który skomli i wylizuje mu łzy. Czuje wilgoć w splątanej sierści, wilgoć przesączającą się przez koszulkę, płacze, bo ojciec zbił psa, a potem jego, a nawet nie wie dlaczego... Bogowie... Przycisnął dłonie do oczu i zrobił głęboki wdech; przytrzymał go, recytując adhani.

– Kto kieruje teraz Instytutem Pandalhi? – zapytał Gundhalinu. Reede zrozumiał, że po raz drugi, bo na pierwsze pytanie nie odpowiedział.

Reede odchylił się, zapadając w obejmujące go troskliwe ramiona kanapy.

– Tallifaille. A przynajmniej kierował w chwili mego odlotu.

– A co ze starym Darkradem?

Reede uśmiechnął się.

– Bez większych zmian.

Gundhalinu wyprostował się.

– Darkrad nie żyje od kilkunastu lat.

– O tym mówiłem. Nadal jest martwy. – Reede znowu pochylił się do przodu, przestał się uśmiechać. – Jeśli chcecie się co do mnie upewnić, Gundhalinu-eshkrad, zapytajcie o coś ważnego. Na przykład o to, dlaczego sądzę, iż mogę wam pomóc.

Gundhalinu spojrział na niego.

– Pan naprawdę wierzy, że się z tym upora – mruknął. Nie było to pytanie.

Reede znowu się uśmiechnął i kiwnął głową.

– Niech mi pan opowie o swoich pomysłach – powiedział Gundhalinu z nagłym napięciem. – Borykam się z tym już niemal trzy lata. W tym czasie zdołaliśmy zaledwie ogarnąć drobną część całego zagadnienia. Potrzebuję wyników... – Reede ujrzał w jego oczach bezdenne głębie rozczarowania, zdenerwowania, porażki... rozpaczliwego pragnienia. – Proszę mnie przekonać, że pan do nich dojdzie, a otrzyma pan wszystko, co zechce.

Reede uśmiechnął się szerzej i zadowolony rozparł w objęciach kanapy. Wiedział, że Gundhalinu i Hegemonia dotrzymają tej obietnicy, choćby się im to bardzo nie podobało.

– Jeśli się nie mylę, to macie do rozwiązania niejeden problem, lecz dwa. Po pierwsze, odkryta przez pana plazma napędu gwiazdowego doznała podczas katastrofy statku, w którym była, jakiegoś rodzaju wewnętrznego rozerwania. Nie jesteście w stanie kontrolować jej działania. Po drugie, nie potraficie skutecznie jej przechowywać. Obie sprawy są oczywiście ze sobą powiązane. Gdyby plazma zachowywała się w przewidywalny, zrozumiały sposób, wówczas nie musielibyście przetrzymywać jej w polach stazyjnych. Ale też dopóki nie nauczycie się tak przechowywać plazmę, by móc dokonywać na niej eksperymenty, nie będziecie mieli możliwości jej badania. Razem tworzy to rodzaj błędnego koła. – Gundhalinu przytaknął. – Moją dziedziną badań jest sprytmateria.

Gundhalinu powoli uniósł głowę.

– Naprawdę istnieje coś takiego?

– Sprytmateria? – zapytał ze zdumieniem Reede.

– Żyjący specjalista w tej dziedzinie. Wszyscy się zgadzają, że Stare Imperium stworzyło sprytmaterię, używało jej i dzięki niej istniało. Istnieją nawet dowody, że przez nią upadło. Ale wszystko to działo się tysiące lat temu. Sama technologia zaginęła; jedynie napęd gwiazdowy i woda życia świadczą, że to nie legenda...

– I wirus sybilli.

Gundhalinu zeszywniał i przytaknął.

– Tak. I wirus sybilli. Rozumiemy w zasadzie, jak działa, lecz nikomu się nie udało go przeprogramować czy choćby rozmnożyć. A sieć sybilli nie zawiera żadnych danych na ten temat. Wydaje się, iż ta wiedza została specjalnie przed nami ukryta. – Odchylił się i westchnął. – Niech ich szlag...

– Pragnęli, byście popełniali błędy na własne konto – powiedział Reede.

Gundhalinu spojrział nań ostro i badawczo.

– Byśmy – mruknął Reede. – Oczywiście miałem na myśli nas.

– Doktorze Kułlervo...

Rad z przerwy Reede odwrócił głowę i ujrzał, jak Ananke wystawia głowę przez drzwi. Chłopiec miał na sobie niezłą imitację stroju używanego na Kharemough przez studentów – przesadnie workowatego i nieładnego – mówił także przyzwoitym sandhi. Reede zmusił go, a także Niburu, by podczas lotu z Ondinee nauczyli się tego języka i niektórych z używanych na Czwórcie. Uznał, iż tym razem powinni wiedzieć, w czym uczestniczą. – Co się stało?

– Idę spać. Czy mam przedtem coś zrobić?

– Gdzie jest Niburu?

– Już się położył.

Reede syknął i pokręcił głową.

– Ucisz ten hałas. To wszystko.

Ananke kiwnął głową i zniknął; sąsiedni pokój w cudowny sposób pociemniał i umilkł. Reede spojrział na wyświetlacz na niskim stoliku, zdziwił się, że jest już tak późno.

– Czy pański asystent trzymał dziecko? – zapytał Gundhalinu.

Reede spojrział na puste drzwi i zaśmiał się.

– To tylko zwierzę, quoll. Nosi to cholerstwo w ten sam sposób co dzieci. Na Ondinee trzymają quolle jako zwierzęta domowe – a niekiedy jedzą na kolację. Może dlatego go nie pokazuje.

– Oczywiście otrzymał zezwolenie na przywiezienie go tutaj?

Reede spojrział na niego z uśmiechem.

– Oczywiście, panie komendancie. – Pochylił się przesuwając dłoń nad blatem stolika, włączył komputer. Ekran rozjaśnił się, pokazując dane, które zaprogramował, przygotowując się na pokaz, którego dzisiaj nie pozwolono mu zaprezentować. – Proszę spojrzeć – powiedział. – Czy to właśnie próbujecie robić?

Gundhalinu pochylił się do przodu, badając model cyfrowy, mruczając komputerowi pytania, patrzył, jak obraz się zmienia, staje się trójwymiarowy, wreszcie nika w powierzchni stolika. Nie poprosił Reede'a o żadne wyjaśnienia, ani nie zdradził, że ich potrzebuje.

– Tak... – powiedział wreszcie. – To zdumiewająco spójny model prowadzonych przez nas prac. Ale niektóre z tych danych otrzymaliśmy dopiero niedawno. Będąc w podróży, nie mógł ich pan poznać...

Reede wzruszył ramionami.

– Uzupełniłem luki paroma oczywistymi domysłami.

– "Oczywistymi domysłami" – powtórzył cicho Gundhalinu i dotknął rzędu symboli na powierzchni stolika. – To niemożliwe. Myśmy dochodzili do tego latami. Nikt nie mógł przypadkowo wpaść na te...

– Jak już powiedziałem, panie komendancie – mruknął Reede, ciągnąc się za ucho – to właśnie jest moją specjalnością. Zajmując się sprytmateria, przyjęliście wszystkie klasyczne założenia. Dlatego założyłem, że popełniliście wszystkie klasyczne błędy.

Gundhalinu uniósł głowę i zacisnął usta.

– Sam je wszystkie popełniłem, Gundhalinu-eshkrad – stwierdził łagodnie Reede. – Stąd tak dobrze je znam.

Gundhalinu przestał się krzywić. Gniew wyprał jego twarz z wszelkich uczuć, pozostawiając jedynie zmęczenie. Pokręcił głową.

– Dobrze, Kullervo. A co dalej? Co? Brakuje mi pomysłów. Reede machnął ręką nad obrazem, poczuł się jak czarodziej, gdy wszystko zmieniło się na jego wcześniej zaprogramowane polecenie. Ucieszyło go to.

– Czy rozważaliście ten model pod kątem sposobu, w jaki technowirus przekazuje informacje?

Gundhalinu spojrział na zmieniony obraz, znów się skrzywił, na wpół z wątpliwością, na wpół ze skupieniem.

– Interesujące... – Jeszcze raz pokręcił głową. – Ale kody strukturalne stają się zbyt różnorodne, gdy doprowadza sieje do logicznego końca... – Wskazał na obraz.

– Nie, nie... – Reede przerwał mu niecierpliwie i odsunął rękę. – Zbyt to pan komplikuje. To nie życie, lecz sztuka – kryje się za tym coś znacznie prostszego. Wspólne dla tego wszystkiego sedno musi być piękne w swej prostocie. Coś w tym rodzaju... – Znowu zmienił obraz, niemal łapczywie szukając w twarzy Gundhalinu śladów zrozumienia.

Gundhalinu wpatrywał się w obraz, aż w końcu całkowicie zamarł. Reede dostrzegł po chwili, że przestał nawet oddychać.

– Ojcie wszystkich mych przodków – wyszeptał w końcu Gundhalinu. – Nie mogę uwierzyć. Bogowie – to jest prawdziwe. Jest piękne... bardziej niż piękne, cholernie błyskotliwe. – Roześmiał się i pokręcił głową, gdy uniósł głowę, wyglądał na człowieka bliskiego płaczu. – Kullervo, powiedziałem panu, że jeśli dostarczy nam pan jakieś wskazówki, będzie mógł zażądać nagrody. Proszę ją wymienić.

– Nie chcę niczego – powiedział Reede – poza możliwością robienia tego, po co tu przybyłem – rozwiązania problemu, i to jak najszybciej. A także możliwością pracy z człowiekiem, który w Końcu Świata odkrył plazmę napędu gwiazdnego.

– To nie będzie trudne – odparł miękko Gundhalinu z bezwiednym uśmiechem na ustach. – Ani trochę.

NUMER CZWARTY: Koniec Świata

– Dobre wiadomości, Reede. Wszystko sprawdzone. Mamy zezwolenia. – W ślad za tymi słowami Gundhalinu wkroczył do prywatnego laboratorium Kullervo.

Reede uniósł głowę, wyglądał na wyrwanego z wczesnej drzemki.

– Nadeszło Millenium! – zawołał siadając. Ulga i zadowolenie mieszały się na jego twarzy ze zdumieniem.

– Tak, dzięki bogom, nadeszło Millenium – mruknął z uśmiechem Gundhalinu. Kullervo odczytał w tych słowach ironię równą jego własnej. Jak wszyscy inni powtarzał je od lat, mając na myśli odzyskanie przez Hegemonię napędu gwiazdowego i nie wierząc, by doczekał tego dnia.

Uśmiechnął się i podrzucił głowę.

– Po raz pierwszy zdarzyło się, byś coś powiedział przed przywitaniem.

Gundhalinu również się uśmiechnął i zatrzymał przy Kullervo.

– Kolejna wyjątkowo trafna obserwacja... – powiedział, rozjaśniając się jeszcze bardziej. Jak zawsze, zetknięcie się z pokrętnym sposobem rozumowania Reede'a wprawiło go w radość i zakłopotanie. – Witaj. Dobry wieczór. Mam nadzieję, Kullervo-eshkrad, że dobrze spaliście ostatniej nocy.

Reede roześmiał się i wstał. Głośno uderzył w wyciągniętą dłoń Gundhalinu, zmieniając w ten sposób stateczne powitanie w rodzaj kumplowskiego klepnięcia w plecy.

– Nigdy nie śpię dobrze, ale kogo to obchodzi? Psia... – mruknął – zbliża się to razem. Też to czujesz, prawda? – Wykręcił rękę, jakby chciał ją znowu wyciągnąć, ale nie wyciągnął. Gundhalinu poczuł, że nieznośnie niebieskie oczy Kullervo obnażają jego myśli, zdradzając zapał i palące pragnienie znalezienia rozwiązania, które go uwolni.

Potem jednak Kullervo nagle spojrzął w bok i zwrócił się do komputera na biurku. Na jego blacie niby miraż unosił się trójwymiarowy model, będący obrazem informacji zgromadzonych w jednej komórce technowirusa. – Jesteś mój – szepnął, jakby był sam w pokoju – i wiesz o tym.

Wymruczał jeszcze kilka słów, wydał komputerowi parę niezrozumiałych poleceń i obraz zmienił się nieznacznie. Nim Gundhalinu zdołał przeanalizować, co się zmieniło, cały widok zniknął i blat biurka stał się jedynie pustą płaszczyzną nieprzenikliwej, szarawej zieleni.

– Nie – powiedział Kullervo, zwracając się do Gundhalinu, jakby odpowiadał na jakieś nie wypowiedziane pytanie – nie drzemałem.

Gundhalinu zamrugał i zmusił swój umysł do następnego aktu ślepej wiary, z którą podążał za żywymi jak rtęć myślami Kullervo. Przed przybyciem Reede'a przywykł do mozolnych, ograniczonych, zbyt dosłownych analiz naukowców pracujących nad projektem. Byli oni najlepszymi umysłami Czwórki... ale wszystkie naprawdę wybitne przenosiły się na Kharemough lub się tam rodziły.

Kiedyś wierzył, podobnie jak większość Techów, że mieszkańcy Kharemough pod każdym ważnym względem – moralnym, intelektualnym, społecznym – przewyższają wszystkich innych obywateli Hegemonii. Latami, boleśnie, uczył się pokory i był wdzięczny za te lekcje. Ale doświadczenie przywiodło go też do wiary w fakt, wpajany mu przez nauczycieli w Rislance, że jest godny swego starożytnego nazwiska, że otrzymał najlepsze wykształcenie, jakie tylko można było uzyskać, i że potrafił dobrze wykorzystać.

Ale jednak na prawie trzy lata utknął wśród przygasłych i przygaszających pedantów, u wiążął w biurokratycznej pułapce obsesyjnego bezpieczeństwa i wojskowej paranoi. Na planecie przebywało tylko kilku Kharemoughi, wszyscy pracowali w służbie sprawiedliwości Hegemonii, żaden nie był z

wykształcenia badaczem. Po przekazaniu na Kharemough wiadomości o odkryciu poprzez ukryte kanały Przeglądu uzyskał zapewnienie, iż otrzyma pomoc niezbędną przy rozwikływaniu przyprawiającej go o szaleństwo zagadki napędu gwiazdowego. Niemal trzy lata czekał na nią, raz jeszcze uczył się pokory, próbując całkowicie sam rozwiązać to, co wydawało się nierozwiązywalne.

I wreszcie nadeszła obiecana pomoc. Spodziewał się tuzina najlepszych uczonych Kharemough, dwóch tuzinów, a przysłali mu tylko jednego człowieka, nawet nie Kharemoughi, kogoś zupełnie mu nie znanego i tak młodego, jakby dopiero co opuścił szkołę. Po ochłonięciu z zaskoczenia musiał uznać, że skoro zdecydowano się na Kullervo, to musi on być wyjątkowym człowiekiem. Wielu wybitnych naukowców dokonało swych największych odkryć, mając zaledwie dwadzieścia parę lat. Ale wszystkie te rozważania nie przygotowały go na bezpośrednie zetknięcie się z błyskotliwością Reede'a Kullervo. Jego zdolność do pojmowania sposobów działania sprytmaterii graniczyła z mistyką, a Gundhalinu nie wierzył w tajemne moce. Odnosił wrażenie, iż przybysz poznaje technowirusa intuicją, a nie rozumowaniem; nie tyle analizuje dane, co je wymyśla... a jednak wszystkie nieopanowane wyskoki jego fantazji niemal zawsze ze straszliwą dokładnością trafiały prosto w cel.

Gundhalinu poczuł, jak ożywa jego własny umysł, zetknięcia z Kullervo pobudzały go w sposób nieomal trudny do zniesienia. Codziennie zmuszany był do osiągania i przekraczania granic swych zdolności pojmowania, pchany do własnych oślepiających błysków objawienia. Prawie na początku zrozumiał, że jego umysł nigdy nie będzie niczym więcej jak tylko przygasłym odbiciem jaskrawej błyskotliwości umysłu Kullervo, ale jednocześnie pojął z zadowoleniem, niemal z wdzięcznością, iż może ofiarować Reede'owi to, czego tamten teraz potrzebuje; praktyczność i porządek. Nie był przy nim brzęczącą muchą czy nawet lustrem, lecz fundamentem, podstawą, ogniskiem skupiającym dziką energię Kullervo. Niekiedy dostrzegał dowód tego w jego nagłych, doceniających spojrzeniach... w wynikach współpracy. Kilka spędzonych razem miesięcy było nieporównywalne z wszystkim, czego dotąd doświadczył w życiu – było rodzajem ekstazy czysto intelektualnej, dzięki której co dzień budził się z chęcią do życia, z pragnieniem ujrzeć Kullervo.

A jednak w ciągu całego tego czasu nie dowiedział się niemal niczego o Reede'em jako człowieku, a nie uczonym. Od pierwszego spotkania z Kullervo znalazł się pod jego wielkim urokiem. Początkowo dziwił się swemu zainteresowaniu, potem jednak zrozumiał, że jego życie stało się równie hermetycznie zamknięte, co

Projekt, w którym spędzał cały czas. Długo przebywał wśród ludzi, z którymi niewiele go łączyło, i dopiero z Reede'em mógł rozmawiać jak z kimś równym sobie. Na dodatek przybysz okazał się kimś wyjątkowym, obdarzonym błyskotliwym umysłem. Niemal boleśnie dążył do zaprzyjaźnienia się z nim.

Kullervo odrzucał jednak stanowczo wszelkie próby zażyłości czy nawet prywatnych rozmów. Gundhalinu w końcu pogodził się z tym i zaprzestał dalszych usiłowań. Nigdy dotąd nie starał się bliżej zaznajamiać z obcymi, rozumiał też, że opory Kullervo wobec wychodzenia mu naprzeciw nie mają u podłoża niechęci osobistej, lecz są reakcją obronną. Obserwując nieprzewidywalne nastroje i dziwaczne zachowania się Reede'a, Gundhalinu rozumiał, że ma on jakieś problemy, które woli zachowywać dla siebie.

Odsunął na bok rozczarowanie, powiedział sobie, że to bez znaczenia, że mogą współpracować jako koledzy, a nie przyjaciele. W sprawach związanych ściśle z pracą porozumiewali się bez trudu, od tygodni już prowadzili badania w niemal doskonałej harmonii. Mimo to Kullervo pozostawał zagadką, tajemnicą, dziwnym kłębkim sprzeczności, codziennie przywoził Gundhalinu na

pamięć wąską granicę między geniuszem a szaleństwem.

Gundhalinu nagle wyraźnie przypomniał sobie o dniu pierwszego triumfu ich zespołu, jaki odnieśli ponad dwa tygodnie temu. Unosząc się razem w komorze o zerowej grawitacji, wypróbowywali kolejną kombinację klucza mającego rozszyfrować molekularną strukturę uszkodzonego technowirusa, którego maleńka próbka tkwiła gdzieś we wnętrzu niewiarygodnie potężnego, złożonego, kosztownego zestawu urządzeń i procesorów. Chcieli w ten sposób opanować, spętać, uzdrowić plazmę napędu gwiazdowego... Jak w poprzednich przypadkach, czekali, blisko siebie, lecz oddzielnie, podczas gdy delikatne badawcze palce ich pól z niedościgłą precyzją dokonywały odpowiednich analiz. Czekali na słowa, które zmienią historię – albo sprawią, iż ponownie wyjdą z komory, pokonani, powrócą do programów i modeli...

Mamy potwierdzenie. Wyrazy te migają bezustannie na ekranach wewnątrz ich hełmu. Monotonny przekaz przeciął krzyk triumfu Kullervo; stojąca obok Gundhalinu postać, mało przypominająca człowieka w skafandrze ochronnym i otaczającym ją polu stabilizującym, rozpoczęła swobodny, niemożliwy tu taniec.

– ...zrobiliśmy to, BZ! Rozpieprzyliśmy! – Słowa zwały się w niezrozumiały szum, gdy Kullervo wdarł się w pole Gundhalinu, by objąć go niezgrabnie. – Mówiłem ci! Śmieję się, krzycz, przycywilizowany sukinsynu – zrobiliśmy to!

Gundhalinu roześmiał się i wreszcie wierząc, zaczął krzyczeć w uniesieniu. Potem skoczył za Kullervo, który runął w dół, jakby zamierzał gołymi rękoma wyrwać próbkę.

– Reede! – Dopadł go, chwycił i zatrzymał. – Cholera, zaczekaj na roboty. Przyniosą ją najszybciej, jak tylko będą mogły... Może i jesteś piekielnie bystry, ale pole usmaży jak jajko twój błyskotliwy mózg. – Położył ręce na ramionach Kullervo, przytrzymał, ich nakładające się pola stabilizujące otaczały ich paskudną złotą aureolą.

Kullervo spojrzał na niego, oszołomienie i osłupienie na jego twarzy przeszło w coś bardziej znajomego, choć równie dziwnego.

– Ilmarinen... – szepnął.

– Nie – powiedział trochę zdenerwowany Gundhalinu i potrząsnął nim. – To ja... Reede?

Kullervo zamrugał i pokręcił głową już samodzielnie.

– Wiem – warknął, usuwając się z objęć Gundhalinu.

– Dlaczego nazwałeś mnie Ilmarinenem? – zapytał spokojnie, ciekawość wzięła w nim górę nad goryczą.

Kullervo wzruszył ramionami.

– Niektórzy z moich... znajomych nazywają mnie "nowym Vanamoinenem". Myślałem, że wobec tego ty jesteś Ilmarinenem... Słaby żart. – Odwrócił wzrok i pokręcił głową, ciągle patrzył w bok, gdy z głębi wyłonił się cylindryczny serwoautomat, przynosząc posłuszny już, spokojny miligram napędu gwiazdowego.

Gundhalinu czekał z zapartym tchem na jego przybycie. Kullervo tkwił obok bez ruchu. Potem z powolnym, niemal umyślnym wdziękiem wykręcił w powietrzu salto...

– Ananke! – Głos Reede'a przywrócił Gundhalinu rzeczywistości.

– Tak, doktorze Kullervo. – Rozległ się głos pomagającego mu w laboratorium ondyńskiego studenta.

– Poszukaj mi Niburu. Powiedz mu, że jest mi potrzebny. Mamy nasze zezwolenie.

– To wspaniale, panie doktorze. Natychmiast...

Kullervo zwrócił się do Gundhalinu.

– Kiedy możemy wyruszyć do Ognistego Jeziora?

– Jutro – odpowiedział Gundhalinu, ledwo wierząc we własne słowa. – Już dawno zamówiłem wszystko, co potrzeba. – Udoskonalili program wirusowy, który skutecznie stabilizował plazmę napędu gwiazdnego; pomyślnie go badali. Następnym oczywistym krokiem była podróż do Ognistego Jeziora. Ten czekający na nich, na w pół rozumny zbiornik napędu gwiazdnego miał odpowiedzieć na potrzeby, uporządkować chaos... Gundhalinu spojrział w stronę drzwi, przypomniał sobie dotyk udręczonego umysłu, gorący oddech szaleństwa i chłód zimowych śniegów.

– W samą porę – mruknął Kullervo. – Można by pomyśleć, że nie tylko my chcemy doczekać, aż to wszystko zadziała!

Gundhalinu zerknął na niego.

– Uwierz mi, jest wielu takich, którzy czekają na to równie długo jak ja. – Ale tak przy tym nie cierpią... – Spotkałeś niektórych z nich w Bramie Czwórki, w Klubie Przeglądu. – Przed kilkoma tygodniami, kiedy upewnił się, że przełom w badaniach jest już bliski, zabrał Kullervo na specjalne zebranie miejscowego oddziału. Reede siedział na nim cicho, w dziwnym przygaszeniu, choć jego odpowiedzi zdradzały wyraźnie, że zajmuje dość wysoki szczebel w wewnętrznych kręgach Przeglądu. – Niestety, wszyscy oni przebywają nadal w Bramie Czwórki. A my tutaj – gdzie biurokracja panoszy się w najlepsze. Największe odkrycie naukowe tego tysiąclecia jest dla nich jedynie pozycją w programie. Dziś wieczorem oczekują nas w wydziale ochrony terenu, by dokonać ostatecznego sprawdzenia naszej trasy i proponowanych celów.

Reede prychnął.

– Perły przed wieprze – mruknął. Gwałtownym gestem wyłączył swój komputer i spojrział w twarz Gundhalinu. – Miejmy to już za sobą. – Wyjrzał przez drzwi prowadzące do głównej części laboratorium. – Gdzie Niburu? – zawołał.

Gundhalinu zobaczył, jak Ananke unosi głowę znad swej roboty.

– Idzie, panie doktorze. Jak zwykle spotka się z panem na zewnątrz.

– Ty też chodź – polecił Kullervo. – Wszyscy pojedziemy. – Chłopiec wstał, wyglądał na zaskoczonego, a może przestraszonego. Choć raz nie nosił na piersi torby ze zwierzątkiem. Gundhalinu rozejrzał się po sali i ujrzał quolla siedzącego spokojnie w pudle stojącym pod biurkiem. Pokręcił głową, wyobrażając sobie spojrzenia, jakie ta para musiała ściągać na Kharemough. Znowu zerknął na Kullervo.

Ten się obrócił, jakby poczuł, że jest obserwowany. Gundhalinu spuścił oczy, nie patrzył na zbliżającego się Reede'a i idącego za nim Ananke. Razem przemierzali przyciszony ul pomieszczeń badawczych i laboratoriów, mijali symetrycznie rozmieszczone, zielono oświetlone poziomy bezpieczeństwa, przecinali je jak pływacy wodę. Wreszcie wynurzyli się na nagły blask i hałas, na gorąco, wilgotność i zgniły zapach roślin Końca Świata, czekające na nich zawsze tuż za drzwiami Projektu.

Kedalion Niburu, drugi asystent Kullervo, zgodnie z obietnicą oczekiwał ich przed gmachem. Od hałasu i skwaru odgrodził się, zasiadając za sterami łazika, zdolnego do poruszania się w trzech żywiołach pojazdu, używanego do wypraw w pustkowiu. Kullervo zamówił go, gdy tylko się o nim dowiedział, i polecił Niburu, by nauczył się prowadzić. Twierdził, że jego pomocnik poradzi sobie z każdym wehikułem, a nie ufa nikomu innemu jako kierowcy. Gundhalinu przystał na to, wiedząc, że sam nie nadaje się na pilota łazika, a Kullervo powierza temu człowiekowi swe życie. Wolął też mieć do czynienia z kierowcą znającym się choć trochę na ich pracy, niż z przysłanym przez Bezpieczeństwo nieznanym. Po pierwszym zaskoczeniu widokiem mężczyzny tak bardzo od siebie niższego doszedł do przekonania, że Niburu jest człowiekiem kompetentnym i godnym zaufania, a na pewno o charakterze znacznie bardziej stałym niż Kullervo. Zaś po przybyciu do Końca Świata

zaczął stałość cenić wyżej niż wszystkie inne cechy.

Gundhalinu wszedł do łazika zadowolony, że uciekł przed parnym skwarem, choć zrobił w nim jedynie kilka kroków. Po nim wsiedli Kullervo i Ananke. Natychmiast potem drzwi zamknęły się z sykiem, pozostawiając ich w klimatyzowanym wnętrzu. Gundhalinu otarł pot z twarzy. Mundur, w którym zobowiązany był chodzić większość czasu, został zaprojektowany na warunki biurowe, a nie na takie miejsce jak to... po powrocie na Kharemough musi o tym porozmawiać z władzami Hegemonii. Spojrzał na Kullervo, zajmującego miejsce drugiego pilota obok fotela Niburu, i dostrzegł, że ma zarumienioną twarz. Nigdy nie widział, by Reede nosił cokolwiek innego niż koszulę czy tunikę z długimi rękawami, choć nie musiał się ubierać tak formalnie. Zastanowił się przelotnie, czemu zamiast stroju nie używa do ochrony osłony przeciwsłonecznej.

Niburu wzbił się w powietrze z umiejętną swobodą, leciał nad denerwującym ruchem naziemnym, choć odległość, jaką mieli pokonać, była niewielka. Zdawał się dobrze znać charakter swego szefa; Gundhalinu podejrzewał, że Kullervo wymagał tego od wszystkich swych pracowników.

Przyjrzał się szalonej mieszaninie leżących w dole starych i nowych budynków. Przypomnił sobie trójwymiarowy model pokazujący nie kontrolowany rozwój miasta, jego rozszerzanie się na kształt zwyrodniałej, żywej istoty, uciekającego wirusa, plazmy napędu gwiazdowego... Zmusił się do zamknięcia tego obrazu, skupienia na konkretnym fakcie gwałtownego rozrostu miasta, za co był w dużym stopniu odpowiedzialny. Gdy przybył tu w poszukiwaniu zaginionych braci, była to nędzna miejscina stanowiąca jedyny legalny dostęp do Końca Świata. Ściągali tu poszukiwacze przygód i inni awanturnicy na tyle tępi, by ruszać w pustkowie. W owym czasie władało nim Uniwersalne Zjednoczenie Przetwarzania, międzynarodowe konsorcjum posiadające prawa do surowców mineralnych Końca Świata, którego biurokracja stanowiła bardziej surrealistyczny koszmar, aniżeli sam obszar geograficzny istniejący na mapach planety. Osada była wtedy tak mała, że nie miała nawet swej nazwy. Uniwersalne Zjednoczenie Przetwarzania nazywano "Firmą", a to było miasteczko Firmy.

Stamtąd wyruszył do Końca Świata i wrócił z wiadomościami, które ciągle wstrząsały całą Hegemonią. Pierwszy wstrząs i zmiany miały miejsce tu, w epicentrum Numeru Czwartego. Patrzył na przesuwające się w dole miasto, ponure zbiorowisko pudełkowatych, przyciężkich budynków, leżących w cieniu błyszczących wieżowców z prefabrykatów, postawionych tu przez rząd Czwórki, by znaleźć miejsce dla techników, naukowców i robotników zatrudnionych w zakładach Projektu.

Z poziomu mrowiska ulic to miejsce wydawało się całkowicie zmienione i przetworzone, tak samo jak cała przyszłość, z góry jednak wzrok wykraczał poza granice miasta, widać było otaczającą je z wszystkich stron, rozciągającą się po horyzont szaleńczą gęstwą dżungli. Puszcza nigdy nie ustawała w wysiłkach odzyskania terenu opanowanego przez obce życie, ustępowała pola powoli i niechętnie... Chaos przeciwko łaadowi. Mikrokosmos życia, postępu, ludzkiej duszy.

Gundhalinu zamknął na chwilę oczy, odgradzając się od widoku i wywoływanych nim wspomnień. Jutro wyruszy do Ognistego Jeziora uzbrojony w wiedzę, która, jeśli bogowie pozwolą, zacznie je wyprowadzać z jądra szaleństwa, tak jak przedtem z wielkim trudem wywiódł stąd swych braci... jak ledwo sam wrócił do zdrowia i cywilizacji. Przesunął się w siedzeniu, z ulgą spostrzegł, że się opuszczają, zanurzają w złudzenie, iż postęp i ład odnoszą zwycięstwo.

A ów ład i postęp nie oznaczają wcale wyższości moralnej, myślał z goryczą, gdy Niburu wylądował w wyznaczonym miejscu ośrodka wyjazdowego wydziału bezpieczeństwa. Gdy wysiedli z pojazdu na lądowisko z cerbetu, dostrzegł otaczającą ich z wszystkich stron brzydotę i banalność. Niżej, obok buta, w szczelinach niedokładnie położonej ceramicznej nawierzchni zobaczył mięsistą

narośl jakiegoś nie znanego mu grzyba, chaos przeciskający się przez szpary cywilizacji. Nie wznoszono tu niczego trwałego. Przerażające, powiedziała mu kiedyś sybilla Hahn, jak krucha jest tratwa, na której się unosimy na powierzchni życia.

Z nawyku obciągnął poły kurtki na widok podchodzącego do nich umundurowanego, przy każdym ruchu szczękającego od licznych broni strażnika. Był to bardziej symbol niż groźba, wyraźniej przemawiający do przeciętnych ludzi aniżeli znacznie bardziej wyrafinowane i skuteczne oręż, które teraz broniły Obwodu i wszystkim nie upoważnionym uniemożliwiały dostęp do Końca Świata.

Dotarcie tam było dość trudne już wtedy, gdy te same zadania pełniła jedynie Firma. Gundhalinu był pewien, że teraz jest to zupełnie niemożliwe. Gdy tylko rozniosły się wieści o jego odkryciu, Czwórka, przy pomocy Policji Hegemonii, siłą znacjonalizowała potężną Enklawę Świata. Uniwersalne Zjednoczenie Przetwarzania należało do największych mocarstw ekonomicznych planety, w innych okolicznościach rząd nie mógłby nawet marzyć o jego przejęciu. Nawet teraz pewnie okazałoby się to niemożliwe, gdyby nie pełne poparcie Hegemonii. Ale Zjednoczenie posiadało Koniec Świata, na terenie którego leżało Ogniste Jezioro, i to zmieniło wszystko. Niemożliwe, niewyobrażalne stało się nagle nieuniknione...

Gdy strażnik podszedł bliżej, Gundhalinu dostrzegł, iż jest on naprawdę wielki, nie tylko wysoki, ale i barczysty, posuwający się niepowstrzymanie jak lawina. Coś w szerokiej, brązowej twarzy człowieka z bezpieczeństwa wydało się mu znajome, jakby się już kiedyś spotkali. Gundhalinu zaczął się zastanawiać gdzie, lecz ponure, nieruchome oblicze strażnika wyrażało – jeśli w ogóle coś – najwyżej ogólną niechęć wobec obcych, uczucie panujące tu powszechnie. Funkcjonariusz miał na sobie mundur sił zbrojnych Enklawy, lecz przedtem, jak wszyscy tutaj, musiał pracować dla Firmy. Dla miejscowych zmienili się jedynie szefowie, nic więcej, poza tym może to, iż totalitarna biurokracja, która od stulecia ciążyła na dosłownie wszystkich mieszkańcach tego kontynentu, uzyskała teraz lepsze narzędzia wymuszania i jeszcze mniej niż poprzednio obawiała się, iż rząd wtrąci się w jej nadużycia. Teraz ona była tu rządem.

Gundhalinu patrzył na strażnika wznoszącego opornie w salucie pogrubiała dłoń. Odpowiedział tym samym, nie zdradzając się jednak z równie dużą niechęcią. Fale gorąca odbijały się od bezlitosnego szklistego chodnika. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś w barze o nazwie C'uarr's widział podobne ręce łamiące wszystkie palce kandydata na poszukiwacza.

– Komendant Gundhalinu – powiedział energicznie – do agenta Ahron.

– A oni? – zapytał strażnik umyślnie obraźliwym tonem, wbijając w pozostałą trójkę swe ciemne, zapadnięte oczy.

Gundhalinu poczuł, jak się krzywi stojący obok Kullervo.

– Też – powiedział łagodnie i zrobił krok do przodu, zmuszając strażnika, by się cofnął. Tamten odwrócił się i bez jednego słowa odszedł. Kullervo rzucił za nim jedno krótkie, uważne spojrzenie, ale zachowywał milczenie, gdy funkcjonariusz prowadził ich do gmachu, w którym oczekiwał na nich agent Ahron.

Wewnątrz zostali wsadzeni do zamkniętego wagoniku i posłani niby bagaż. Po drodze mijali jednakowe korytarze całego kompleksu. Odległość nie była duża, lecz mimo to Gundhalinu cieszył się, że nie musi, niby przestępca, iść pod strażą. Siedzący obok Ananke przypatrywał się identycznym wejściom, jakby było w nich coś ciekawego. Gundhalinu zerknął na Kullervo, który skrzywiony, trzymał się za ucho, pociągał za kryształowe paciorki kolczyka, będącego jedną z bardziej rzucających się w oczy oznak jego nieprzewidywalnego charakteru.

Obok Reede'a siedział Niburu, jego krótkie jak u dziecka nogi zwisały z siedzenia. Gundhalinu

przypuszczał, że Kedalion jeszcze bardziej od niego cieszy się, iż nie musi iść, bo zawsze musiał dostosowywać krok i ruchy ciała do ludzi różniących się od niego wzrostem. Odważył się go kiedyś o to zapytać, gdy ujrzał, jak Niburu stanął na krześle, by widzieć proste dane, które Kullervo kazał mu sprawdzić. Kedalion jedynie wzruszył ramionami z rezygnacją i mruknął, że na pokładzie statku kosmicznego jego wymiary są bardziej wygodne niż wszystkich innych.

Gundhalinu ponownie zerknął na Niburu i Ananke. Obaj przyglądali się mijanym, wypranym z barw ścianom, siedząc dziwnie symetrycznie. Zaczął się zastanawiać, czy Kullervo dobrał swój zespół ze względu na szok, jaki wywoływali. Podejrzewał, że to możliwe, lecz mimo wszystko był niemal pewien, że Reede najął ich nie dla wyglądu, lecz raczej pomimo niego.

Wagonik wyrzucił ich dokładnie przed wejściem, które bardziej niż drzwi przypominało służbę prowadzącą do ściśle izolowanej komory. Środki bezpieczeństwa były niemal równie wyrafinowane, co sam Projekt.

– Przesada. – Gundhalinu usłyszał, jak w tyle Kullervo mruczy do Niburu. – Przed czym to tak się chronią te czubki?

Gundhalinu obejrzał się na nich, lekko krzywiąc usta.

– Przed spontanicznością – rzucił. Reede powiedział coś niezrozumiałego, gdy pojawił się przed nimi wewnętrzny ekran drzwiowy.

Przez pustkę wielkiego pokoju spojrziała na nich krępa niemłoda kobieta o złotej skórze i ufarbowanych na stalowy kolor włosach. Gundhalinu rozpoznał w niej agenta Ahron. To ona przy poprzednich jego wypadach nad Ogniste Jezioro zatwierdzała pozwolenia na wyjazd i trasę podróży. Miała na sobie odmianę munduru noszonego tu przez niemal wszystkich i wyraz twarzy równie mu znajomy, co ona sama – wyrażający czujność, lecz także całkowity brak zainteresowania wszystkim, co widziała. Oprócz niej w pokoju byli jeszcze trzej mężczyźni, nie musiał się pytać, by wiedzieć dlaczego.

– Komendant Gundhalinu – powiedziała Ahron, wymawiając to nazwisko z pewną zgrzyliwością, jakby wątpiła, czy pamięta jego twarz.

– Tak – odparł tak przymilnie, jak tylko zdołał – gotów do następnej próby. Mam nadzieję, że ostatejnie, dzięki memu koledze wskazał na stojącego obok sztywno, przyglądającego się pokojowi i obecnym w nim ludziom Kullervo.

Ahron nic nie odpowiedziała, nadal wpatrywała się w Gundhalinu bez najdrobniejszego śladu zaciekawienia. Trójka mężczyzn stała za nią cicho.

– Wierzmy, iż znaleźliśmy sposób opanowania napędu gwiazdowego. Jestem pewien, że nie muszę pani tłumaczyć, co to oznacza...

– Tak, panie komendantce, przejrzałam wasze dokumenty. Także zezwolenia i spisy wyposażenia – powiedziała, zerkając na ekran stojącego obok burego biurka – komputera. – Przynajmniej raz wszystko wydaje się być w porządku. Nie widzę powodów, dla których nie mielibyście odjechać zgodnie z planem.

Gundhalinu zrozumiał z pewną irytacją, iż owo "przynajmniej raz" odnosi się do jego wniosku, a nie odpowiedzi Bezpieczeństwa.

– Bardzo się cieszę, że to słyszę – powiedział z męczącą uprzejmością. Poczul, jak Kullervo nieznacznie się odprężył.

– Ile czasu według pana zajmie ta wyprawa?

– Trudno powiedzieć. Jeśli wszystko pójdzie dobrze...

– Potrzebuję dokładnego określenia długości pobytu. – Niecierpliwie puknęła w ekran.

– Tak, oczywiście. Tydzień. – Niemal natychmiast powinni się przekonać, czy zadziała

restrukturyzacyjny program Reede'a. Ten termin wystarczy, nawet biorąc pod uwagę ustawienie przyrządów i wahania czasu wokół Ognistego Jeziora.

– Tylko tyle? Zdaje pan sobie sprawę, że będzie musiał wrócić po tygodniu, choćby nawet nie zakończył prac...

– No to dwa tygodnie – powiedział z lekką niecierpliwością – niech będą dwa.

– W porządku. Ale gdybyście wcześniej zakończyli badania, będziecie musieli nas zawiadomić, że wracacie przed terminem.

– Oczywiście.

– W takim razie proszę podać swoje kody zezwolenia i zaświadczyć osobiście, że nasze dane są dokładne i prawdziwe.

Kiwnął głową i dotknął nadajnika na pasie, przesyłając do dokumentów numery kodu. Po chwili usłyszał wysoki dźwięk, oznaczający, że bank danych bezpieczeństwa zaakceptował jego upoważnienie.

– Oto pańska załoga – Ahron wskazała na trzech mężczyzn tkwiących za nią niby głazy. Po raz pierwszy dała poznać, że w pokoju jest jeszcze ktoś.

Gundhalinu kiwnął głową i zrobił krok do przodu na widok niechętnie wracających do życia funkcjonariuszy. Kullervo złapał go nagle za ramię i zawrócił.

– Co to znaczy? – wyszeptał Reede z nagłą złością. – Nie mówiłeś, że ktoś jeszcze z nami pojedzie!

Zdziwiony gwałtownością wystąpienia, Gundhalinu spojrział na Kullervo.

– Wszystko w porządku – mruknął, starając się znaleźć słowa, które by uspokoiły Reede'a. – Rząd zawsze tak robi. Zapewniają pilota i dwóch zwiadowców dla ochrony.

– Już mamy pilota – syknął Kullervo, wskazując na Niburu. – Nie potrzebujemy też żadnej asysty. Nasze zadanie jest ryzykowne, lepiej, żeby nie pałętali się nam pod nogami zupełnie obcy ludzie. Sam powiedziałeś, że im większa grupa, tym groźniejsze staje się Jezioro.

– Takie są przepisy – powiedziała agent obojętnie.

Gundhalinu popatrzył na twardniejące rysy Ahron i trójki funkcjonariuszy. Jeśli Kullervo wpadnie w złość, mogą łatwo utracić zezwolenie, na które tak długo oczekiwali.

– Agencie Ahron – powiedział, rzucając Kullervo ostre, ostrzegawcze spojrzenie. – Doktor Kullervo ma rację, przypominając, iż ze względu na niestały charakter Jeziora, większa grupa może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Jak pani wie, w ciągu ostatnich dwóch lat straciliśmy kilka zespołów. Tym razem tworzymy pełną ekipę...

– Takie są przepisy – powtórzyła i splotła ramiona. – Upoważniony pilot i dwóch zwiadowców dla bezpieczeństwa.

– Cholerna bzdura – mruknął Kullervo. Tym razem to Niburu złapał go za rękaw i coś mruknął. – Bezpieczeństwa przed czym – dodał zgryźliwie – przed nami?

Gundhalinu obrócił się do niego i powiedział szybko:

– Tak już tu jest. Nie widzę tu żadnego problemu. – Położył dłoń na ramieniu Kullervo, wytrzymał jego spojrzenie, – A ty jaki? – Reede zeszywniał pod jego ręką. – Powiem ci otwarcie, jaki będziesz miał problem – szepnął Gundhalinu, nie dopuszczając Kullervo do głosu. – Jeśli dalej będziesz obstawał przeciwko tym ludziom, Reede Kullervo otrzyma stały zakaz wjazdu do Końca Świata albo też cała wyprawa wyląduje w krzakach i nie wiem, czy nawet bogowie twoi lub moi... – dotknął wiszącej mu na piersiach koniczynki – zdołają nas stamtąd wyciągnąć. Opanowanie napędu gwiazdowego nic nie znaczy dla tych ludzi. Dla mnie jest wszystkim. A dla ciebie?

Gundhalinu spostrzegł, iż w oczach wpatrującego się weń Kullervo gaśnie dziki blask. Reede

nic już nie powiedział, strząsnął tylko nagłym ruchem spoczywającą na jego ramieniu dłoń.

Gundhalinu zwrócił się znowu w stronę Ahron, przyjrzał się trójce zwiadowców. Poznał pilota, z którym odbył poprzednią wyprawę – kaprala Ngonga, dobrego fachowca, ale równie chętnego do lotu nad Ogniste Jezioro, co każdy inny rozsądny człowiek.

– Agencie Ahron – powiedział – chcę coś zaproponować. Zabierzemy naszego upoważnionego pilota, będącego jednocześnie asystentem doktora Kullervo, ale także dwójkę zwiadowców. W ten sposób nasz zespół będzie trochę szczuplejszy, co zmniejszy odrobinę zagrożenie ze strony Jeziora, ale nadal odpowiednio chroniony. Nie sądzę, by kapral Ngong miał coś przeciwko zajęciu się innymi sprawami. Prawda, kapralu?

Ngong zerknął nerwowo na stojącego za nim sierżanta i odpowiedział: – Nie, panie komendancie!

– Właśnie, jestem przecież komendantem Policji.

Ahron długo przyglądała mu się podejrzliwie, jakby usiłując przejrzeć knuty przeciwko niej spisek.

– To niezgodne z regulaminem...

– Wiem, agencie Ahron, że jedyną pani troską jest nasze bezpieczeństwo i powodzenie projektu, nad którym wszyscy od tak dawna pracujemy... – Zaczerpnął głęboki oddech. – Spośród wszystkich agentów, z którymi się zetknąłem, pani wykazuje największe poświęcenie i pracowitość – wartości wysoko przeze mnie cenione. – Bogowie, spuście zasłonę miłosierdzia na tę hipokryzję!, pomyślał, czując wstyd za te słowa. – Koniec Świata jest niezmiernie zdradliwą okolicą. Wiem, że spośród wszystkich ludzi pani najmniej chciałaby niepotrzebnego zagrożenia dla naszego życia czy sukcesu projektu napędu gwiazdowego...

– Zgoda – powiedziała nagle, wypluwając z siebie decyzję jak ślinę. – Może pan skorzystać ze swego pilota, komendancie Gundhalinu. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego – zerknęła na Kullervo – nigdy bym się nie zgodziła. Ale zabierze pan z sobą sierżanta Hundeta i zwiadowcę Saroona.

– Dziękuję – powiedział szczerze Gundhalinu. Odważył się spojrzeć na Kullervo. – Mam nadzieję, doktorze, że takie ryzyko jest dla pana do przyjęcia? – Reede skierował na obu zwiadowców zmrużone oczy. Gundhalinu podążył za jego wzrokiem. Nigdy przedtem ich nie widział. Sierżant był niski i chudy jak patyk, ale dobrze umięśniony, miał wąską, przeciętną twarz i zagadkowe oczy. Gundhalinu od razu się nie spodobał. Szeregowiec dopiero co wyrósł z chłopięctwa, pewnie był niedawno powołany. Wyglądało na to, że perspektywa wyprawy nad Ogniste Jezioro pociąga go równie mocno, jak własna kastracja. Gundhalinu westchnął.

Kullervo obejrzał się na Niburu.

– Sądzę, że to zniosę – mruknął. Kedalion dalej okazywał niepokój zamiast ulgi, a Ananke przyglądał się im, jakby rozmawiali w nieznanym mu języku. Kullervo znowu spojrzął na Gundhalinu.

– Dziękuję wam, Gundhalinu-eshkrad. – Niespodziewanie się uśmiechnął.

Coś zatrzepotało i osiadło w żołądku BZ, jakby był drobnym gryzoniem oglądanym przez kota. Zaniepokojony, otrząsnął się z tego uczucia. Niespodziewane odpowiedzi Kullervo nie po raz pierwszy spowodowały, że w mózgu rozległy mu się dzwonki ostrzegawcze. Zbyt już długo był oficerem Policji; niemal instynktownie odczytywał język ciała innych ludzi. Owa mowa w przypadku Kullervo była wylewna, lecz myląca. Jego zmienność usposobienia i zachowanie się w chwilach nie poświęconych badaniom bardziej pasowały do junackiego ulicznika, aniżeli szanowanego uczonego. Ale niewątpliwie był wybitnym naukowcem.

Gundhalinu kiwnął głową i odwrócił wzrok. Przypominał sobie, że na Kharemough

wychowywał się wśród uczonych, tworzących grono przyjaciół i znajomych jego ojca – ludzi, których wyrafinowane maniery wynikały z wysokiej pozycji w ściśle uporządkowanym klasowym społeczeństwie. Kullervo nie jest Kharemoughi. Gundhalinu nigdy nie dowiedział się niczego o jego pochodzeniu, może dlatego iż Reede się go wstydził. Takie zachowanie mogło być zrozumiałe u człowieka o tak wybitnym umyśle, że zdołał dzięki niemu wyrwać się z bogowie tylko wiedzą jakiego życia i trafić do kuźni elit. Nikt jednak nie jest w stanie odciąć się całkowicie od swego pochodzenia; wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Gundhalinu spojrział na agenta Ahron i stojących za nią zwiadowców.

– Jutro o pierwszej piętnaście wyruszamy z dziedzińca. Spodziewam się, że będziecie tam na nas czekać. Mam nadzieję, że wszystko zostało już zgromadzone?

– Wszystko załatwione, panie komendancie – powiedziała agent Ahron. Zwiadowcy niedbale odpowiedzieli na salut kierującego się ku drzwiom Gundhalinu. Kullervo i pozostali ruszyli za nim bez słowa. Żaden z nich się nie odezwał, nim nie dotarli do bezpiecznego pojazdu i nie wzniesli się nad miasto.

– Byłem pod wrażeniem – powiedział wreszcie Kullervo. – Doskonale manipulujesz ludźmi, Gundhalinu-eshkrad.

Gundhalinu spojrział na niego z grymasem zdenerwowania i niechęci, wyrosłym z ropiejącego w nim wstrętu do siebie. Jednakże ku swemu zdziwieniu nie dostrzegł na twarzy Kullervo śladu kpiny ani żadnego innego uczucia, może z wyjątkiem ciekawości.

– Mam nadzieję, że nie za to będę czczony przez potomków. – Odwrócił wzrok, wyglądając przez okno.

– Powinieneś – powiedział Kullervo. – Możesz być z siebie dumny. Wykazałeś, że masz prawdziwy talent do radzenia sobie w niesprzyjających okolicznościach. Wiedziałeś, jak daleko możesz się posunąć, naciskając na nich... i na mnie. W tym na pewno nie jestem dobry. Przepraszam. Denerwują mnie biurokraci... Denerwuje mnie Koniec Świata. – Skrzywił się i wzruszył ramionami. – Naprawdę nie sądziłem, że jesteś taki spostrzegawczy. Kharemoughi tej akurat cechy nie cenią zbyt wysoko.

Gundhalinu dotknął wiszącej mu na piersiach koniczynki i nic nie odpowiedział.

– To był komplement – dodał Kullervo.

– Dziękuję – mruknął Gundhalinu machinalnie. Spojrział na swoje dłonie, na gładką, brązową skórę nadgarstków, pokrytą kiedyś żywymi śladami nieudanej próby samobójstwa. Skrzywił usta. – Uważałem, że po kilku ubiegłych latach zasłużyłem na pewne zaufanie. – Spojrział na dżunglę, myśląc o tym, co leży za horyzontem, za odległymi górami... co czeka go poza czasoprzestrzenią.

NUMER CZWARTY: Koniec Świata

– Co tu robisz w środku nocy? – Gundhalinu zatrzymał się przy snopie światła bijącym z otwartych drzwi gabinetu Kullervo, zajrzał do środka.

Reede drgnął i zamrugał, jakby nie poznawał widzianego przez siebie świata.

– Bogowie... – mruknął – cholernie mnie zaskoczyłeś. – Pokręcił głową i przeciągnął się. – Gdy nie mogę zasnąć, często przychodzę pracować. – Przesunął dłonią po rozczochranych włosach. – Ale co ty tu robisz? Myślałem, że zawsze wcześniej się kładziesz i śpisz snem sprawiedliwego.

Gundhalinu bezwiednie uśmiechnął się ironicznie i również pokręcił głową.

– Nigdy nie mogę zasnąć przed wyjazdem do Końca Świata.

– Czyli mimo wszystko masz nerwy, komendancie Gundhalinu-eshkrad, sybillo, bohaterze Hegemonii – roześmiał się Kullervo.

– Ojczy wszystkich mych przodków! – powiedział Gundhalinu ze zdenerwowaniem i nagłym gniewem. Zaczął się odwracać.

– Poczekaj. – Kullervo zerwał się z miejsca. – Na Odplacającego, jesteś na skraju. Wychodzisz?

– Tak – odpowiedział skrzywiony Gundhalinu, nie ruszając się z miejsca.

– Ja też. Wychodzę – powiedział Kullervo. Gdy Gundhalinu nic nie odpowiedział, dodał: – Na skraju...

Gundhalinu spojrział w jego stronę. Reede wpatrywał się ponuro w obraz wyświetlany przez komputer.

– Nad czym pracujesz?

– Nad niczym – powiedział Kullervo z nagłą goryczą. – Ślepa uliczka. – Wymazał ekran, tak iż Gundhalinu zdołał zaledwie rzucić okiem na unoszące się w nim konstrukcje. Komendant spojrział na nagle opustoszały blat biurka, potem na twarz Reede'a, spodziewając się zastać powierzchnię równie nieprzenikalną, lecz trafił na wypełniającą jego oczy wielką, niespodziewaną beznadziejność.

Gundhalinu zawahał się, gdy Kullervo gwałtownie odwrócił wzrok. Widział już ten wzrok... widział w lustrze.

– Reede, chcesz o tym porozmawiać? – zapytał spokojnie. – Mogę ci pomóc...

– Nie – rzucił Kullervo. Podniósł głowę, jakby uświadomił sobie, jak to zabrzmiało, i mruknął – Ale doceniam ofertę. – W jego oczach przelotnie mignęło coś jakby wdzięczność, a może nawet tęsknota. Pokrył to przeczącym ruchem głowy. – Nie marnuj swego czasu, jest zbyt cenny. Dość straciłem mojego. Niektórych błędów nie da się wymazać. Trzeba z nimi żyć... – Odwrócił się i podszedł do drzwi. Zatrzymał się tam i obejrzał na Gundhalinu. Czekał.

Gundhalinu z wahaniem przyjął zaproszenie i wyszedł z pokoju. Mijali poziomy bezpieczeństwa, aż wyszli w cuchnące objęcia nocy.

Kullervo zastanowił się, gdy Gundhalinu stanął tuż za lekko gorejącym ekranem wejścia do Projektu i niedbale się pożegnał.

– Pojedziemy razem? – zapytał.

Gundhalinu pokręcił głową.

– Chyba się dzisiaj przejdę.

– Czeka cię daleki spacer. – Kullervo spojrział na niego ze zdziwieniem. – A może nie idziesz do domu?

– Nie idę do domu. – Gundhalinu odwrócił wzrok, trochę zaniepokojony niespotykaną u Kullervo poufałością. Spojrział na jasno oświetlony sztuczny krajobraz, zwodniczo puste przestrzenie,

dzielące kryjącą się głównie pod ziemią fortecę Projektu od starego miasta Firmy. – Chcę kogoś odwiedzić.

– Kobietę? – Kullervo uniósł brwi. – Sprawa osobista?

– Tak – potwierdził Gundhalinu, coraz bardziej zaniepokojony. – Nie taka, jak myślisz.

Reede gapił się na niego oczyma ocienianymi prze noc.

– Czy w takim razie mogę ci chwilę towarzyszyć?

Gundhalinu zawahał się, pojął, że wybiera w myślach słowa odmowy. Umysł uparcie żadnych mu nie podsuwał, skinął więc głową.

– Jeśli chcesz – powiedział z rezygnacją.

Razem mijali nieco fantastyczny park. Gundhalinu spojrzął w choć raz widoczne niebo, na tle smoliście czarnej bezksiężycowej nocy zobaczył nieciekawe skupisko gwiazd. Przypomniał sobie Tiamat, gdzie gwiazdy przypominały jarzące się węgle, gdzie raz o północy dostrzegł swój cień... Znowu spuścił wzrok, patrzył, gdzie stawia nagle niepewne stopy.

Kullervo szedł obok, wpatrując się uparcie pod nogi, wciskając ręce głęboko w kieszenie luźnej niebieskiej bluzy. Gundhalinu przyszedł na myśl chłopiec szukający zgubionych pieniędzy; nigdy dotąd ten obraz nie kojarzył mu się z Kullervo. Jak nieraz przedtem zaskoczyła go młodość Reede'a, ale przecież większość geniuszy jaśniała najbardziej w młodym wieku.

– Czyli nie idziemy na randkę... – Kullervo spojrzął na niego. – Jesteś żonaty?

Gundhalinu pokręcił głową i opuścił wzrok, znowu szedł niepewnie.

– Nigdy?

– Nigdy – powiedział cicho. Spojrzął w niebo. – A ty? Jesteś żonaty?

– Tak. – Kullervo patrzył prosto przed siebie, jakby wspominał czyjąś twarz. – Bogowie – rzucił gwałtownie – chciałbym z tym skończyć i wrócić do niej! – Zacisnął wbite w kieszenie ręce. – Jest moim życiem...

– Od kiedy jesteś żonaty? – zapytał Gundhalinu, starając się ukryć zdumienie.

– Niedługo... od zawsze – mruknął Reede.

Gundhalinu uprzytomnił sobie, że Kullervo przez cały swój pobyt tutaj nigdy nie spojrzął dwa razy na żadną kobietę. Usiłował wyobrazić sobie kobietę, która w takiej niewoli utrzymuje bujny temperament Reede'a, który przecież wie, iż miną lata, nim się znowu zobaczą. Cóż to za kobieta... Znowu spojrzął na gwiazdy.

– Jest Kharemoughi?

Kullervo zaśmiał się krótko.

– Co? Nie! Jest na – z Ondinee. Bez urazy, ale kobiety Kharemoughi nie są w moim typie.

Gundhalinu znowu na niego spojrzął.

– Nie, pewnie nie – powiedział trochę sucho. – Ale nie wszyscy jesteśmy martwi poniżej szyi.

Kullervo pochylił głowę, odpowiedział kpiącym uśmiechem na lekki grymas Gundhalinu. – A ty ożeniłeś się ze swoją pracą. Czy naprawdę nikt na ciebie nigdzie nie czeka? Żadnych kochanek – żadnych tęsknot?

BZ poczuł, jak coś ściska mu gardło, przełknął to i teraz bolało go w piersiach.

– Tak – powiedział wreszcie. – Jest pewna kobieta. Była. Jest. I wiele tęsknoty... Może kiedyś jeszcze się z nią spotkam. Gdy wszystko się nam uda.

– Gdzie ona jest?

– Na Tiamat.

– Tiamat! – powtórzył z niedowierzaniem Kullervo. – O bogowie.. Chcesz powiedzieć, że zrobiłeś to wszystko, by móc do niej wrócić... – Uśmiechnął się niespodziewanie, wskazał ręką na

tkwiący za nimi gmach Projektu Badawczego. – No dalej, zaskocz mnie.

– Zrobiłem to wszystko, by do niej wrócić – powiedział Gundhalinu, czując, jak w kącikach jego ust rodzi się nikły uśmiech.

– Kłamca – rzucił Kullervo, uśmiechając się szerzej.

Gundhalinu wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie. – Ciepły nocny wietrzyk owionął mu twarz.

Wkroczyli w labirynt uliczek prowadzących do starej części miasta, istniejącej równie długo jak Firma, może nawet dłużej. Popękane, nadgryzione przez czas mury okazywały rany odniesione w walce z nieprzyjaznym klimatem. Docierały tu, jak wszędzie poza chronionymi parkami, przesyłane przez dżunglę nasiona cętkowanych, szarozielonych pnączy i mięsistych, kolczastych krzewów. Puszczą wyciągała swe żywe palce, by z piekielną cierpliwością usuwać ślady działalności człowieka. Widok miasta i otaczających go terenów przygnębiał Gundhalinu od pierwszej chwili, gdy je ujrzał, ciągle odnosił takie wrażenie. Ulice były teraz lepiej oświetlone nocą, a rozrywki bardziej różnorodne, choć pociągały go równie mało, co przed trzema laty. Miasto stało się także gwarniejsze i żywsze, bo pieniądze przepływały przez nie swobodniej. Mijało ich więcej ludzi, niż śniło się dawnym mieszkańcom, nim w ich życie wkroczył Projekt.

– Kogo idziemy odwiedzić? – zapytał Kullervo z pewną ciekawością, rozglądając się na boki.

– Hahn, sybillę, która przyprowadziła mnie do ciebie.

Kullervo spojrzał na niego.

– Dlaczego teraz? Trochę za późno na towarzyską wizytę.

– Przed wyjazdem muszę jej coś dać. – Gundhalinu wskazał na ciężki pojemnik.

– Co tam jest? – zapytał Kullervo, nie mogąc się doczekać dalszych wyjaśnień.

– Coś należącego do jej córki.

Kullervo skrzywił się lekko, jakby był zaniepokojony lub starał się coś sobie przypomnieć.

– Powiedziałaś, że jej córka była także sybillą... ale nie powinna nią zostać? Czy to oznacza, że... – Drżącą ręką dotknął głowy. Zwariowała.

– Tak – powiedział gwałtownie Gundhalinu, patrząc pod nogi. U ludzi niedostatecznie stałych emocjonalnie, by mogli zostać sybillami, wirus powodował nieuleczalną chorobę psychiczną.

– Jak to się stało? Myślałem, że miejsca wyboru odrzucają wszystkich ludzi, którzy nie mogą zostać sybillami.

– Została odrzucona, ale się z tym nie pogodziła. Zaraziła ją matka.

– Bogowie – mruknął Kullervo kręcąc głową. Znowu spojrzał na Gundhalinu, bez słowa obrzucił krótkim spojrzeniem noszoną przez niego koniczynkę.

Gundhalinu zwolnił kroku po dojściu do rogu ulicy.

– Tutaj skręcam...

– Chciałbym pójść z tobą – powiedział Kullervo.

Gundhalinu zawahał się. – Zgoda. – Wzruszył ramionami i skręcił w boczną uliczkę. Zaraz po opuszczeniu głównej arterii znaleźli się na cichszej, spokojniejszej ulicy. Nad słabo oświetlonymi pustymi chodnikami wznosiły się tu parterowe, najwyżej jednopiętrowe budynki, niektóre z nowymi, natrętnie ozdobnymi balkonami.

Weszli do jednego z nich. Po minięciu korytarzyka Gundhalinu zobaczył Hahn czekającą w otwartych drzwiach mieszkania. Ubrana była w długą, luźną tunikę, mogącą być koszulą nocną. Wyraźnie okazywała ciekawość, ale mimo to bez słowa zaprosiła ich do środka. Raz tylko zerknęła na twarz Kullervo i szybko odwróciła wzrok.

Gundhalinu nie odwiedzał jej od prawie dwóch lat. Mieszkanie niewiele się przez ten czas

zmieniło, było równie czyste i skromne co jego właścicielka. Miękkie, składane meble, kupione przez Hahn, gdy znalazł dla niej pracę w Projekcie, ciągle wyglądały jak nowe.

Przyniesiony z ośrodka badawczego pojemnik ustawił na niskim stole, pokrytym nie zmytymi talerzami. Odwrócił się odpowiedział na ciągle nie wypowiedziane pytanie Hahn.

– Przyniosłem ci coś. Dla Song. – Patrzył na pudełko, unikając jej oczu. Otworzył pokrywkę i wyjął kolbę wypełnioną skrzącym się ogniem.

Pokazał naczynie Hahn, ujrzał lekką konsternację, ściągającą jej brwi.

– Co to jest? – zapytała, ledwo co głośniejszym niż szeptem.

– Plazma napędu gwiazdowego. – Odpowiedział nie Gundhalinu, lecz Kullervo, przyglądający się kolbie z otwartymi ze zdumienia ustami. – Co, do cholery, z tym wyprawiasz?

– Zwracam prawowitej właścicielce – odparł Gundhalinu głosem spokojniejszym od swych prawdziwych uczuć.

– Chcesz powiedzieć, że wyszedłeś z tym z Projektu Badawczego, że razem stamtąd wyszliśmy?

Gundhalinu kiwnął głową.

– Jak to możliwe?

Gundhalinu uśmiechnął się lekko.

– Jestem dyrektorem całego Projektu. Udzieliłem sobie zezwolenia.

– A systemy bezpieczeństwa cię posłuchały? – mruknął Kullervo. – Tak po prostu?

– Oczywiście. Zaprogramowałem je. Nie było tu nikogo innego dorównującego mi doświadczeniem w pracy z nowym systemem.

Kullervo pokręcił głową.

– Muszę usiąść.

– Song... – powiedziała nagle Hahn, patrząc poza Gundhalinu; nie było to wezwanie, lecz oznajmienie obecności. Obaj mężczyźni popatrzyli w stronę wskazywaną spojrzeniem gospodyni.

Song stała bez ruchu w drzwiach innego, ciemnego pokoju. Długa, bezkształtna koszula nocna zasłaniała bolesną chudość jej ciała; ciężkie, czarne jak noc włosy otaczały ją niby chmura. Z otwartymi ustami patrzyła na Kullervo. Powoli wsadziła jedną rękę do buzi, drugą wskazała na niego, jakby zobaczyła ducha. A może rzeczywiście go widzi, pomyślał Gundhalinu. Sam je widywał nad Ognistym Jeziolem. Ale ciemne oczy Song zaczęły błędzić, aż spotkały jego własne. Wypełniły się czymś mogącym być rozpoznaniem, odrzuceniem, nienawiścią... albo w ogóle niczym, nim nie spojrzała na trzymaną przez niego kolbę. Powoli zmieniał się wyraz jej twarzy, aż nie miał wątpliwości, iż dostrzega zdumienie.

Dziewczyna podeszła do niego, niepewnie wyciągnęła rękę, jakby bała sięgo lub jego odmowy. Wręczył jej kolbę. Song pogładziła ją i przycisnęła do ciała, spojrzała na Gundhalinu oczyma nagle błyszczącymi od łez. Trochę się skrzywiła, badawcze spojrzenie sprawiło, że przez chwilę przypominała swą matkę.

– Tak. – Kiwnął głową, nie wyciągnął ręki w stronę dziewczyny czy kolby. Ta opuściła wzrok na naczynie, jakby przysłuchiwała się oczyma. Pamiętał to spojrzenie, pamiętał to uczucie. – Czujesz to? Spokojnie...

Miał wrażenie, że kiwnęła głową, lekko szarpnęła szyją, ale nie spojrzała na niego. Odwróciła się powoli, mocno przyciskając kolbę, i lekko jak duch zniknęła za progiem. Blask z naczynia rozjaśnił mroczny pokój baśniową, chwilową poświatą.

Gundhalinu zwrócił się do Hahn, ignorując wymowne milczenie Kullervo.

– Jutro wyruszam do Końca Świata.

– Wiem – powiedziała. – Żeby przetestować przeprogramowany przez doktora Kullervo wirus.

– Tak, mamy... – Urwał. Oczywiście, wszyscy wiedzą. – Pomyślałem, że... gdyby coś się stało, obojętnie, czy się nam uda, czy nie... na wypadek, gdyby coś mnie spotkało... w każdym razie postanowiłem dać ci to teraz. Plazmę napędu gwiazdowego, w kolbie.

Znowu kiwnęła głową.

– Proces transformacji udawał się na wszystkich badanych przez nas próbkach, łącznie z tą. Pomyślałem, że może jakoś pomóc. – Opuścił wzrok.

– Dziękuję – mruknęła.

– Tyle przynajmniej mogę zrobić. – Znowu na nią spojrzął, dostrzegł pobrużdżoną, zmęczoną twarz, na szyi taki sam jak u niego tatuaż, przypominający, iż sybilla jest zawsze sybillą, nawet bez wiszącego na łańcuszku znaku; dniem i nocą, czuwając i śpiąc, jedząc, pijąc, kochając się... w każdej chwili życia. – Chciałbym wiedzieć, co jeszcze mógłbym zrobić.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale ujrzał w tym smutek.

– Lepiej już pójdę.

Zawahała się, nie wiedział, czy dlatego że chciała go zatrzymać, czy też nie znajdowała żadnych słów. Odwróciła się i odprowadziła ich do drzwi.

– Dobranoc – powiedziała – jeszcze raz dziękuję.

Również się pożegnał i wraz z Kullervo wyszedł na ulicę.

– Wyjaśnij mi – powiedział Reede i złapał go za rękaw, gdy tylko zaczął iść. – Właśnie oddałeś trzecią część całej plazmy napędu gwiazdowego, jaką zdołaliśmy zebrać w ciągu ponad dwóch lat – i to dla kaprysu?

– Nie... – Gundhalinu pokręcił głową. – Nie dla kaprysu. – Ruszył w stronę centrum miasta, ciągnąc za sobą Kullervo. – Ilość zebranego przez nas napędu gwiazdowego jest o wiele za mała, by dokonać choćby jednego lotu z szybkością większą niż światło. Nawet nie potrafimy go reprodukcować. Jeśli nie uda się nam nad Ognistym Jeziorem, nic się nie zmieni. Jeśli się uda, nie będzie to ważne.

– Ale co plazma napędu gwiazdowego ma wspólnego z córką Hahn?

Gundhalinu milczał przez kilka następnych kroków. Doszli do narożnika ulicy i wskazał tam Kullervo jeden ze stolików tawerny pod gołym niebem. Nocne siadywanie przy nich było ulubioną rozrywką pracowników Projektu, w dzień nie dawało się tego czynić. Ledwo słyszalny szum urządzeń stosowanych wszędzie do odstraszania owadów dawał rozmowie kojące, zagłuszające tło.

Właściciel przyniósł im miskę mocno solonych łupin carrodów i dwa kielichy wody. Gundhalinu pociągnął letni płyn i pomyślał, że gospodarz wygląda na zaniepokojonego, choć nie powinien, bo nawet wody nie podawano tu za darmo – tradycja zachowywana od jego pierwszej wizyty w tym ponurym mieście. Zdziwiło go, że Kullervo nie poprosił o nic mocniejszego; ale od wieczoru, w którym się spotkali, nie widział u niego niczego choćby przypominającego narkotyki.

– Ale co to ma wspólnego z córką Hahn? – powtórzył Kullervo, tym razem uparcie wytrzymując spojrzenie Gundhalinu. – Co ci dadzą?

BZ wybuchnął śmiechem.

– Może ogrzeją serce. – Pokręcił głową, odwrócił wzrok od twarzy Kullervo. – Nic więcej. Ale kolba zawierająca plazmę napędu gwiazdowego jest oryginałem, pamiątką. To pole stazyjne zdolne do utrzymywania napędu gwiazdowego bez zmieniania jego właściwości, wyglądające przy tym i zachowujące się jak kula z plassu. Wiemy o nim bardzo dużo, rozumiemy doskonale, ale nie potrafimy go wytworzyć... na razie. To dlatego potrzebna jest nam plazma chętna do współpracy...

– Do licha, wiem o tym. Ale co to ma wspólnego z Hahn? – nalegał Kullervo. – Co ma wspólnego z jej szaloną córką?

– Kolba należała do Song. To oryginalna plazma napędu gwiazdowego, przyniesiona przeze mnie z Końca Świata. Miała ją. Wyprowadziłem ją razem z moimi braćmi... Wybrałem się tam, by ich odnaleźć. To dlatego się tu znalazłem. – Brzmiało to jak wymówka. Spojrzał na Kullervo, jakby sprawdzał, czy to zauważył. – Spotkałem tu Hahn, poprosiła mnie, bym poszukał jej córki.

– I znalazłeś ich wszystkich, w tamtej...? – Kullervo wskazał głową w stronę Końca Świata, jakby zawiodły go słowa. – Jeszcze trudniej w to uwierzyć niż w odkrycie tam napędu gwiazdowego.

– Chyba tak – powiedział Gundhalinu z lekkim uśmiechem. – Choć wtedy wydawało mi się to proste.

– "Bogowie troszczą się o głupców"... – mruknął Kullervo.

Gundhalinu przyjął to skrzywieniem twarzy.

– Może i tak. Jak się okazało, dzięki ślepemu przypadkowi czy czemuś innemu wszyscy spotkaliśmy się w tym samym miejscu nad Jeziorem – w tak zwanym Sanktuarium.

– Jest tam miasto? – zapytał z niedowierzaniem Kullervo.

– Było. Na wyspie z czerwonej skały na środku Jeziora. Zbudowali je rozbitkowie ze statku, który się tam roztrzaskał pod koniec istnienia Starego Imperium, wtedy to wyciekła plazma napędu gwiazdowego. Bogowie tylko wiedzą, co się stało z pierwotnymi mieszkańcami. Ja zastałem tam pełno morderców i wariatów... – Umilkł i napił się wody, świadom, że Kullervo dziwnie na niego patrzy. – Moi bracia byli tam więźniami, niewolnikami, zaś Song ich królową.

Kullervo roześmiał się zduszonym głosem, bardziej ze zdumienia niż rozbawienia.

– Była w swoistej łączności z Ognistym Jeziorem. W pewnym stopniu chroniła mieszkańców przed jego kaprysami. – Gundhalinu uniósł oczy, znowu spojrzał prosto na Kullervo, który jedynie kiwnął głową, tym razem nie okazując zdziwienia. – Na swój sposób się z nią porozumiewało, dlatego że była sybillą. Mam teorię...

– Że wszystkie używane nadal postacie technowirusa Starego Imperium mają jedną wspólną cechę – powiedział Kullervo. – Różnią się jedynie narzuconym im programem.

Gundhalinu spojrzał na niego uważnie.

– Dokładnie tak.

Kullervo roześmiał się i kiwnął głową; błyszczały mu oczy.

– Masz całkowitą rację, Gundhalinu-eshkrad.

– Mówisz tak, jakbyś wiedział to na pewno. Kullervo wzruszył ramionami i sięgnął po łupinę.

– Potwierdzają to nasze wyniki... przynajmniej dla mnie. Tak się posunąłem w analizie i odczytywaniu różnic, że jesteśmy w stanie przewidzieć, jak przeprogramować podstawową substancję, by ją wykorzystać. To właśnie robimy i będziemy robić, biorąc się najpierw za napęd gwiazdny. Możliwości są niemal nieograniczone. Gdybyśmy tylko zdołali uzyskać niezbędny stopień dokładności...

– Jeśli uda się nam nad Ognistym Jeziorem, otrzymamy dowód, który po powrocie na Kharemough powinien ci pomóc otrzymać większe fundusze i wsparcie w pracy.

Kullervo spojrzał na niego pusto, jakby ten komentarz był zupełnie nie związany z tematem, jakby jego myśli znowu popłynęły do obcych krain.

– Tak, chyba tak – mruknął. Potarł ramiona i podwinął rękawy powyżej łokci.

Gundhalinu zeszywniał, patrzył zmieszany na barwy i wzory wychodzące z nadgarstków Kullervo i wspinające się spiralą po jego przedramionach. Tatuaze. Tego typu widział dotąd jedynie na rękach przestępców. Podniósł wzrok, zobaczył, że Kullervo patrzy na niego.

Długie palce Reede'a drgnęły, jakby zamierzał opuścić rękawy, lecz tego nie zrobił.

– Zostałem wytatuowany na Samathe – powiedział – byłem wtedy... młody. – Wzruszył

ramionami. – To nie takie, jak myślisz. – Wyciągnął rękę, tak iż Gundhalinu ujrzał wyraźnie delikatne wzory geometryczne spletające się z sobą niby muzyka. Na pewno nie przypominały prostych rysunków, jakie widywał u zbrodniarzy z podziemia. – Lubię się im przyglądać...

– Są bardzo piękne – powiedział miękko Gundhalinu. Przypominały mu płynne wzory adhani. – Nigdy takich nie widziałem. Czemu je zakrywasz?

Kullervo przyglądał się tatuazom, jakby go hipnotyzowały, ale Gundhalinu odniósł wrażenie, że się zarumienił.

– Bo nikt w Projekcie nie patrzyłby na to tak jak ty. – Opuścił rękawy.

Gundhalinu ze zmieszaniem i żalem patrzył na znikające wzory. Nic nie mówił, czekając na słowa Reede'a.

Kullervo gwałtownie wrócił do poprzedniej rozmowy; Gundhalinu ponownie odczytał, że jego lekki grymas nie ma związku z tematem.

– Skoro Jezioro w jakiś sposób komunikowało się z Song, to czy i z tobą? – Wskazał na koniczynkę, jakby przed chwilą nie mówili o tatuazach.

Gundhalinu zmusił się do przełączenia na nagle zmienioną przez Kullervo częstotliwość. Machinalnie, bezwiednie dotknął koniczynki, robił to często każdego dnia.

– Tak. Ze mną też się porozumiało. Zmusiło do zastanawiania się nad tym, aż... zrozumiałem.

– Jak tam naprawdę jest – na Końcu Świata? – Kullervo przekręcił noszony na kciuku pierścień; krążek ze srebrzystego metalu z oprawionymi dwiema soliami. Gundhalinu domyślił się nagle, że to pewnie obrączka weselna.

Pokręcił głową.

– Nie mogę ci powiedzieć. Nie potrafię tego wyjaśnić... Może wygląda inaczej dla każdego, kto tam dociera. – Uniósł ręce. – I tak wkrótce sam zobaczysz. Bogowie, popatrz na godzinę. Lepiej złapmy chwilę snu... jeśli zdołamy. – Uśmiechnął się i wyciągnął kielich do Kullervo, po raz pierwszy czując się przy nim miło i koleżeńsko, czego niemal boleśnie brakowało mu w ciągu ostatnich miesięcy. Kullervo uniósł własne naczynie, uśmiechnął krzywo i opróżnił.

– Pojadę z tobą do domu – powiedział Gundhalinu.

Kullervo kiwnął głową i nadajnikiem wezwał taksówkę. Wstał, przeciągnął się i roztarł kark.

– Powiedz mi, czy nadal słyszysz Jezioro, gdy tam przybywasz?

Gundhalinu zawahał się, nim kiwnął głową.

– Nadal słyszę. I nadal mam na nie pewien wpływ. Kierowane przeze mnie ekspedycje są... bezpieczniejsze. Ale Jezioro jest – szalone, choć to niewłaściwe słowo. Kiedy tylko zechce, wypływa i przy pływa do naszego szczególnego kontinuum, nie ma wokół niego niezmiennej rzeczywistości. To dlatego tak cholernie trudno było zebrać nawet próbkę. – Uniósł wzrok ku spływającej na ulicę zamówionej przez niego taksówce. – Reede... – Kullervo spojrział na niego. – Gdy jestem nad Jeziorem, sam niekiedy czuję się trochę dezorientowany. Trudno mi się tam skupić, mam zamęt w głowie. – Zaczerpnął głęboko powietrza i poczuł jak się rumieni. – Cieszę się, że jedziesz ze mną. Rad jestem, iż będzie przy mnie ktoś, na kogo mogę liczyć.

Na usta Kullervo wrócił uśmiech.

– W tej wyprawie potrzebujemy siebie nawzajem... – Spojrział na swą ślubną obrączkę; osobiście skrzywił uśmiechające się wargi. – Możesz na to liczyć.

NUMER CZWARTY: Koniec Świata

W mroku tuż przed świtem Reede położył się na swym łóżku i westchnął. Woda śmierci przywróciła mu siły, odegnała samotność i lęk, usunęła szarpiące nerwy mnogie, choć niemal niezauważalne nieprzyjemne uczucia. Delektował się potwornie złudnym poczuciem dobrej kondycji, wrażeniem, iż może zrobić wszystko, iż nawet Koniec Świata jest niczym wobec jego inteligencji, a ludzie, którzy tak ufnie się z nim tam wybierają, nie dorównają mu sprytem. Zamknął oczy, odpłynął w sen otulający go niby ciepły koc...

Sygnał wezwania z jego nadajnika rozległ się głośno w miękkiej, całkowitej ciszy, wrywając Kullervo jakby z zapomnienia. Zaklął i usiadł oszołomiony, nie wyrwał się jeszcze całkowicie ze snu, w którym kotłował się z jakimś gigantycznym owadem. Zaklął ponownie, gdy uświadomił sobie, gdzie jest i co oznacza ten dźwięk. Z łóżka wstał już całkowicie przebudzony, ujrzał mętne światło przebijające się przez szczeliny zasłaniających okno błon. Nakazał zapalenie światła i sięgnął po leżący na nocnym stoliku nadajnik.

– Już schodzę – rzucił i wyłączył go, nim Niburu zdołał coś odpowiedzieć. Ubrał mocną, lekką tunikę i spodnie, naciągnął polecone mu przez Gundhalinu ciężkie buty, potem wsunął nadajnik za pas i nałożył hełm przeciwsłoneczny, który nauczył się nosić cały czas. Wreszcie wziął torbę zawierającą wszystkie jego rzeczy osobiste – nie spodziewał się, że wróci kiedykolwiek do tego pokoju, obojętnie, co się stanie – i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Niburu i Ananke czekali na niego w wynajętym poduszkowcu. Powierzchnym spojrzeniem sprawdził ich strój, trochę więcej uwagi poświęcił twarzom. Wyglądali na zmęczonych i nerwowych, jakby także nie zaznali snu, wrywani z niego troską o dzisiaj, jutro albo następny dzień.

– Co was martwi? – rzucił, wiedząc, iż czułby to samo, gdyby nie znajdował się pod wpływem środka.

– Wszystko – powiedział ponuro Niburu. Ananke nic nie mówił, przyciskając do siebie mrużącego quolla, gładził go po wystającym nosie.

– Uszy do góry, na miłość bogów – nakazał skrzywiony Reede.

– Bo "to jeszcze nie koniec świata"? – zapytał sarkastycznie Niburu. – A właśnie że tak.

Reede chrząknął, patrząc na przesuwające się w dole budynki Projektu i miasta; zastanawiał się, czy martwią się perspektywą wyprawy do nie znanego pustkowia, czy też boją tego, do czego mogą zostać zmuszeni, by się stamtąd wydostać. Nie zapytał, bo nie był w stanie udzielić im odpowiedzi, po której poczuliby się lepiej. Odwrócił od nich wzrok, wierząc się niespokojnie.

Jak można było przewidzieć, Gundhalinu czekał już na nich w miejscu wyjazdu. Za nim stał podobny do owada, poruszający się w trzech żywiołach łązik, którym wszyscy udadzą się do swego celu, oraz holowana z tyłu unosząca się platforma, załadowana całym sprzętem. Reede z uśmiechem pokręcił głową; ujrzał w oknie odbicie swej twarzy i dostrzegł, że jego uśmiech nie jest miły.

Niburu opuścił ich precyzyjnie na lądowisko. Reede wysiadł i popatrzył na łązik, do którego dwaj rządowi zwiadowcy ładowali ostatnie zapasy. A raczej jeden z nich – ten dzieciak, Saroon czy jak tam się nazywa. Sierżant Hundet stał z rękoma założonymi z tyłu, obserwując, jak chłopiec trzusi się z pakunkami, z którymi pewnie poradziłby sobie jedną ręką. Ruszył się tylko raz, by zakląć i kopnąć Saroona, który upuścił jakąś skrzynkę.

Reede obrócił się do Gundhalinu.

– Sierżancie! – rzucił ostro komendant w miejscowym języku. – Jeśli chcecie, by załadunek poszedł szybciej, przyłóżcie do pracy rękę, a nie nogę!

Hundet obejrzał się na niego i Reede dostrzegł w oczach sierżanta mroczną niechęć, gdy powoli

i opornie podniósł jakiś pakunek. Nie był człowiekiem, który kiedykolwiek wybaczyłby podobną uwagę. Reede nie zrobił nic, by to zmienić, było już za późno.

– Dzięki bogom, że tam polecimy – mruknął Gundhalinu. Reede uniósł brwi.

– Na siedem piekieł, jak można w ogóle myśleć o innym sposobie?

Gundhalinu wzruszył ramionami, lekko się uśmiechając.

– Gdy po raz pierwszy wyruszałem do Końca Świata, zrobiliśmy to w uszkodzonym gracie z psującą się kratą odpychającą. Musieliśmy jechać po ziemi przez całą przeklętą przez bogów, piekielną.. – Umilkł, w jego oczach pojawiło się coś niemożliwego do wyrażenia słowami.

Reede obejrzał się na lekko zdenerwowanych Niburu i Ananke.

– Jak długo wtedy jechałeś?

Gundhalinu potrząsnął głową.

– Naprawdę nie wiem. Wkrótce nawet czas przestał cokolwiek znaczyć.

Reede nic nie powiedział, nie przychodziła mu do głowy żadna odpowiedź.

– Skąd więc możemy wiedzieć, jak długo tam pozostaniemy? – zapytał zachmurzony Niburu. – A jeśli pobyt się przedłuży i nasza ochrona... zacnie na nas naciskać? – Reede podejrzewał, iż Kedalion zdradził się z najmniejszą ze swych obaw.

Gundhalinu pokręcił głową.

– Tym razem nie będzie z tym problemu.

– Bo potrafisz rozmawiać z Jeziorem? – zapytał Reede. Gundhalinu spojrzał na niego twardo. –

Tak – powiedział. – Bo potrafię rozmawiać z Jeziorem.

Reede poczuł na sobie nagłe, połączone spojrzenia Niburu i Ananke. Zadawały mu niespokojne pytania, ponaglały milczącym protestem.

– Czyli będziemy tam całkowicie bezpieczni? – zapytał za nich.

– Nie. – Gundhalinu uśmiechnął się ze smutkiem. – Nikt nie jest całkowicie bezpieczny, Kullervo-eshkrad. W każdym razie nie w tym wszechświecie.

Reede spojrzał na niego i niespodziewanie się uśmiechnął.

– O nic innego mi nie chodziło – powiedział. Pomiął wywołane tą odpowiedzią zmienne uczucia.

Załadowano resztę wyposażenia i zajęli miejsca w przytulnym i ciasnym jak łono matki wnętrzu łazika. Gundhalinu usiadł obok Niburu na miejscu drugiego pilota. Tu, na przedzie, miał najlepszy widok na wyżynę, nad którą polecą. Reede wybrał fotel za Kedalionem, przy nim opadł Ananke, tak iż obu zwiadowcom pozostał jedynie pozbawiony okien przedział towarowy. Według Gundhalinu podróż potrwa jedynie kilka godzin. Jeśli wszystko pójdzie dobrze. Reede nie potrafił się powstrzymać przed dodaniem w myślach owego milczącego zastrzeżenia. Pochylony do przodu, wyglądał niecierpliwie przez boczną szybę, zerkał też między przednie siedzenia na widok z przodu, słuchając jednocześnie rozmów z wydającą pozwolenie na start Kontrolą Obrzeża.

Wreszcie poczuł, jak się wznoszą. Uwalniając się od przytłaczającego ograniczenia cywilizowanych władz, ruszali w pustkowiu, w nieznanym, w nieokreślonym, we wszechobecnym chaos. Poczul, jak traci ciężar, jak się wznosi, odpręża, rodzi na nowo... Ananke spojrzał nań z boku oczyma pełnymi wątpliwości. Reede zaczerpnął głęboko powietrza i zatonął we własnych myślach.

Wyglądał w dół na napęczniałą, szarozieloną roślinność dżungli, leżącą pod nimi niby niezdrowy dywan. Jak myśliwi tropiący błyszczące śluzowate zarodniki whillpów podążali wzdłuż ponurej żółtej wstęgi rzeki, której nazwy nie znał. Uprzytomnił sobie, że jedyne obrazy, jakie podsuwa mu umysł dla opisu tego, co widzi, są dość wstrętne; bezskutecznie próbował znaleźć mniej chorobliwe. Zastanowił się, czy to w samym wyglądzie tej planety jest coś instynktownie ohydneho

dla umysłu człowieka, czy też po prostu ulega nastrojom otaczających go ludzi.

– Komendancie Gundhalinu, ile podróży odbyliście do Końca Świata? – zapytał Niburu, pewnie starając się oderwać myśli od widoków.

– To moja szósta – mruknął ledwo słyszalnie Gundhalinu. W dole mignęło coś przypominającego rafinerię stojącą na nagłej, niespodziewanej polanie. Reede poczuł, jak napina ramiona, odprężył się, gdy znowu miał pod sobą jedynie obsceniczną bujność roślin.

– To ostatni ślad ludzkiego życia – powiedział Gundhalinu takim tonem, jakby był z tego rad.

Reede wyrzwał do przodu ponad jego ramieniem, dostrzegł w oddali coś nowego. Dżungla kończyła się tam, niby morze, na dolnych stokach łańcucha gór. Szczyty wydawały się nierzeczywiste w srebrzystej, wilgotnej mgiele nad przesiąkniętą deszczami puszcza. Wpatrywał się w nie, pewien, że po następnym mrugnięciu okiem rozsypią się chmury, w mirażu.

Nie uczyniły tego. Słońce wzbijało się coraz wyżej na niebie, wypalając opary, zalewając blaskiem wnętrze łazika i milczące, zamyślane twarze. Odległa nierzeczywistość z każdą chwilą stawała się coraz bardziej realna, przekształcała się w przegradzającą drogę zaporę, ostrzeżenie.

Gdy się nad nią wzniesli, pasmo górskie rozsypało się w gigantyczne sterty gruzów, jakby jakiś obłąkany gigant w daremnej próbie powstrzymania najeźdźców spiętrzył głązy wielkości domów.

– Pokonywałaś łądem tę wyżynę? – zapytał wreszcie Reede, pochylając się naprzód, by przyciągnąć uwagę Gundhalinu. Czuł tak wielkie niedowierzanie, iż nie zdołał powstrzymać ciekawości.

– Tak – odparł Gundhalinu. – Każdy jej cholerny milimetr.

– Musiała to być piekielna droga – mruknął Reede z niechętnym podziwem.

– Tak – potwierdził cicho Gundhalinu. – Dokładnie taka. – Umilkł na chwilę, wpatrując się w szare, nierówne ruiny gór. – Byłem mechanikiem. Utrzymywałem łązik na chodzie, by przebyć to, przebyć wszystko. – Prychnął śmiechem. – Zacząłem się czuć jak cudotwórca. Ale Koniec Świata uczy człowieka pokory...

Reede odchylił się do tyłu, usiłował wyobrazić sobie Gundhalinu leżącego na plecach pod uszkodzonym łązikiem, próbującego go naprawić w takich warunkach. Znowu wyrzwał przez okno, z nagłym zapalem, niemal głodem wypatrywał, co będzie dalej za leżącą w dole umęczoną ziemią.

Poza górami dojrzał prawdziwe jądro Końca Świata: spłaszczone połacie kamieni i piasków; błota spieczone bezlitosnym żarem w płyty chodnikowe; błyszczące złoża nienaruszonych surowców mineralnych. Nie mógł uwierzyć, że istnieje tu życie, lecz dowodziły tego, rozrzucone tu i ówdzie jak odchody, kępy groteskowych, krępych roślin. W na pozór nieosiągalnej dali wznosiły się następne góry osnute sztucznymi chmurami wulkanicznych dymów.

W pamięci łązika nie było planu lotu. Gundhalinu rzucał niekiedy Niburu oderwane słowa, nakazujące zmianę kursu. Kierował się wzrokiem, a może tajemnym szóstym zmysłem. Twierdził, że zawiodą tu wszystkie przyrządy, a ponadto Koniec Świata nigdy nie wygląda dwa razy tak samo. Spowodowane przez błędnie funkcjonującą plazmę napędu gwiazdowego zawirowania fal elektromagnetycznych i pól czasoprzestrzeni rozchodziły się od Ognistego Jeziora na setki kilometrów w każdą stronę. Racjonalna część umysłu Reede'a przyjmowała sterujące takim zjawiskiem abstrakcyjne parametry; inna, bardziej pierwotna, drżała z przerażenia, lękając się zostać świadkiem tego.

– Co naprawdę sprawiło, żeś tu dotarł? – zapytał, ciągle trudno było mu się pogodzić z obrazem Kharemoughi z własnej woli czyniącego coś wymagającego hartu, poświęcenia lub pracy fizycznej. Wiedział, że Gundhalinu przed odkryciem tajemnicy Ognistego Jeziora był Sinym, ale na pewno nikt nie robił kariery w Policji Hegemonii, kierując się odruchami. Stanowiska oficerskie nawet przez

Techów były uważane za chwalebne zajęcie, odpowiadały ich poczuciu porządku. Trudno natomiast było sobie wyobrazić coś bardziej oddalonego od racjonalności, niż wybranie się tu zepsutym łazikiem w roli niezależnego poszukiwacza. – Domyślałeś się wcześniej, czym może być Jezioro?

– Nie – odparł Gundhalinu, nie patrząc Reede'owi w oczy. – Nie miałem pojęcia, co znajdę. Chodziło mi tylko o odszukanie braci. Uważałem, że muszę tu przybyć... ze względu na obowiązek wobec rodziny, jeśli możesz to zrozumieć. Sprawa honoru.

Reede ze zdziwieniem wyczuł w tych słowach nienaturalną rezerwę i zaczął się zastanawiać, czego Gundhalinu mu nie powiedział, czego nie chciał zdradzić. Rozpoznał nagle wycofanie się z rozmowy, niewidzialną, nie przełamaną ścianę milczenia. Sam ją stawiał za każdym razem, gdy Gundhalinu próbował się do niego zbliżyć. Nie przejmował się, iż zderzenie z nią może zranić uczucia BZ. Ze względu na okoliczności, im mniej ich łączyło, tym lepiej. Zdziwił się i poczuł gniew, gdy w końcu został odprawiony.

– A ludzie, którzy wyruszyli z tobą – zapytał, chcąc utopić niepokój w rozmowie. – Kim byli? Czego szukali w Końcu Świata?

– Było ze mną tylko dwóch innych. – Gundhalinu spojrzał na niego i znowu zrezygnowany odwrócił wzrok. – Ang był geologiem, byłym pracownikiem Firmy. Zrezygnował ze stanowiska, by wyruszyć na własną rękę. Uważał, że wie, gdzie nastąpiło uderzenie. Sądził, iż Koniec Świata da mu to, czego pragnie... Spadrin był pozaziemcem, przestępcą, przypuszczalnie wpadł w kłopoty ze swoimi i szukał niebezpieczeństwa. Także myślał, że znajdzie w Końcu Świata to, czego pragnie... Wszyscy tak myśleliśmy.

– Czy znaleźli to, czego pragnęli? – naciskał Reede.

– Obaj zginęli.

Niburu spojrzał na Gundhalinu i znowu na Koniec Świata, twarz mu pobladła.

Reede cofnął się, zapadł w nagłe milczenie o gorzkim smaku. Patrzył na przesuwane się pod nimi jak połacie śniegu nieskończone pola ługu i gipsu. Zmusił się do wyobrażenia sobie przesuwania się po tej równinie dzień po dniu, brnięcia w parzącym żarze i koszmarnej niepewności... Zerknął na Niburu, lecz oparcie fotela kryło jego twarz, spojrzał na Ananke wpatrującego się w powietrze, w jakieś osobiste marzenie, które mogło być zarówno jasne, jak i ciemne. Zwiadowca Saroon przysiadł na podłodze, plecami opierając się o ścianę, wyglądał na wyczerpanego. Sierżant przyjął spojrzenie Reede'a ponurym łypnięciem. Miał za mało wyobraźni, żeby się martwić. Kullervo odwrócił głowę, popatrzył na mijane pustkowia.

Przeplątywał czas, choć nie miał pojęcia, w jakim tempie. Nie było to ważne, bo wiedział, że pojęcie czasu traci tu wszelkie znaczenie. Sen, pomyślał, czując się dziwnie, niby w śnie. Nikt się nie odzywał, jakby wszyscy pozostali także śnili. W końcu Gundhalinu podniósł się i napiął mięśnie, wpatrując się przed siebie.

– Tam – powiedział.

Reede wyjrzał przez zamgloną przednią szybę, jego ciało również stężało. Wciągnął powietrze, gdy nagle to ujrzał: niezwykle blask na horyzoncie, pierwszy paznokiec światła, obietnicę. Tak szybko. Zacisnął dłonie, opanowany przez uczucie nie będące podnieceniem, strachem czy zadziwieniem, lecz zawierające w sobie cząsteczki tych emocji.

To Jezioro zdawało się do nich zbliżać, a nie oni do Jeziora, rosnącego pod nimi niby powierzchnia słońca: oślepiająca, migotliwa tafla światła.

– Komendancie Gundhalinu, czy mam wylądować przy brzegu? – zapytał Niburu niepewnym, suchym głosem. Reede nie wiedział, co wysuszyło mu gardło, godziny bez picia czy strach.

– Tak – powiedział Gundhalinu, wskazując na lewo. – Jest tam ujście wąwozu, widzę w nim

jakąś zielen. Jeśli jest tam woda, będzie to dobre miejsce na obóz.

Reede zastanawiał się nad skutkami picia wody w takim miejscu; niemal się rozczarował, dochodząc do wniosku, że skoro pił ją Gundhalinu, to musi być dobra.

Niburu opuścił się z ogromną ostrożnością między strome ściany szczeliny w okalającym Jezioro wale. Posuwał się nią, aż znalazł kawałek równego gruntu na tyle szeroki, by rozbić tam obóz. Było to tuż poza zasięgiem piekielnego blasku Jeziora. Łazik wylądował z głuchym, chrzęszczącym uderzeniem na wysuszonej ziemi.

Niburu otworzył drzwi i do wnętrza kabiny wpadła fala żaru; gorące, obce powietrze pustkowie ogarnęło ich twarze i ciała. Długo nikt się nie ruszał, jakby wszystkim zabrakło odwagi do zrobienia pierwszego kroku. Reede spojrzął na Gundhalinu, który z lekko przechyloną głową, jakby... nasłuchiwał, patrzył na spieczony wąwóz. Kullervo niczego nie słyszał. Miał właśnie coś powiedzieć, gdy Gundhalinu wstał z fotela i wysiadł z pojazdu. Reede poszedł w jego ślady, za nim kolejno pozostali.

Kullervo zmrużył oślepiane blaskiem oczy i opuścił tarczę kasku. Było tu jeszcze goręcej niż w dżungli, lecz przynajmniej sucho. Obrócił się w stronę Ognistego Jeziora, lecz kryło się ono za zakrętem wąwozu. Spojrzął pod nogi, poczuł przebijający się przez izolowane podeszwy żar jasnego, nieruchomego żwiru wyściełającego dno jaru. Popatrzył na ściany z litej skały, zwieńczone warstewką gliny. Olbrzymie paprocie drzewiaste o pniach barwy stali i stłumionej przez powłokę kurzu zaskakującej zieleni skórzastych liści tkwiły tu niby gigantyczne, niestosowne parasole na tle jaskrawego, ceramicznego nieba. Rozmyślał nad przekorą, z jaką pięty się ku płaskowyżowi, podczas gdy w dole leżały resztki wody, wypełniającej porozrzucane, płytkie, okolone zielenią bajora na dnie wąwozu w przypominających ślady stóp osłoniętych jamach... jakby sam Czas zszedł tu, by się umyć przed wyruszeniem gdzie indziej, pozostawiając po sobie wszystko zastygłe w bezruchu, który dopiero oni po wiekach naruszyli swym przybyciem.

Ktoś za nim głośno zaklął. Reede obrócił się, nagle świadom, że nie jest tu sam, że pozostali mniej lub bardziej skutecznie coś robią, wypełniając rozkazy Gundhalinu. Patrzył, jak rozbijają obozowisko, mające ochronić ich i cenny sprzęt przed okrutnym żarem – jedyną rzeczą, przed którą mogli się tu rzeczywiście osłonić. Podszedł do nich zdenerwowany, głównie na siebie, wydał Niburu i Ananke ostre rozkazy. Przypomniał sobie, że Gundhalinu kilka już razy widział ten krajobraz albo inne, równie dziwne, a gdyby nawet tak nie było, to miał na tyle obowiązkowy charakter, że dziwność otoczenia nie powstrzymywała go przed wykonaniem swego obowiązku.

Reede przetarł dłonią spoconą twarz, spróbował zapomnieć o dudniącej mu w uszach własnej krwi.

– Gundhalinu – zawołał. Komendant obrócił się na jego głos i podszedł. – Czy to bezpieczne miejsce? Co z nagłymi wylewami? – Wskazał na nieruchome, zastygłe bajora, wysokie, wąskie ściany namulów. Na ich obraz nakładały się wspomnienia, które nie przybierały kształtów, lecz z ostrością brzytwy drażniły mu oczy.

Gundhalinu pokręcił głową.

– Nie nastąpią, póki tu będziemy.

– Chcesz powiedzieć, że mamy... suchą porę? – Zamilkł na widok wyrazu twarzy komendanta.

– Tak, oczywiście – mruknął Gundhalinu – to sucha pora. – Odwrócił głowę, krzyknął Hundetowi jakieś polecenie.

Reede wrócił do łazika i przystąpił do pracy, nagle zapragnął mieć to wszystko za sobą, możliwie jak najszybciej zakończyć swe prawdziwe zadanie.

Gdy już uporali się całkowicie z obozowiskiem, zachodzące słońce skryło się za krawędzią

wąwozu, dając im pewne wytchnienie od bezlitosnego skwaru. Reede ciągle czuł się jak ogłuszony, gdy tylko wysuwał głowę z nadmuchiwanego kopuła, choć przywykł przecież do gorącego klimatu. W końcu we wnętrzu kopuła zapanował mikroklimat chroniący choćby częściowo ich sprzęt – przy okazji i ich – przed nieciągłymi wahaniami elektromagnetycznymi Ognistego Jeziora.

Reede wyszedł z kopuły mieszczącej ich kwatery, mając wreszcie pewność, że jego wyposażenie działa doskonale, a rzeczy osobiste są całkowicie bezpieczne. Całe popołudnie spędził na wielokrotnych sprawdzianach i badaniach. Potrzebował odpoczynku, lecz nie potrafił oderwać myśli od Mundilfoere. Jej tajemnica, żar, władza nad nim były równie pochłaniające i nieuchronne, co Koniec Świata... wyгнаła go na te dziwaczne pustkowia i zakazała wracać, póki nie wypełni zadania, które mu postawiła. A teraz widzi, że jest ono trudniejsze, niż sobie przedtem wyobrażał... z niewłaściwych powodów. Ta wiedza podsycala pragnienie ujrzenia Mundilfoere, jego własne wątpliwości i poczucie odosobnienia, uniemożliwiała zamknięcie oczu.

– Niburu! – zawołał. Kedalion pojawił się w łukowatym wejściu do namiotu, który dzielił z Ananke. Reede spojrzał na niego, poczuł, że musi znaleźć jakiś powód tego wezwania poza pragnieniem sprawdzenia, że nadal istnieje. – Co na kolację? – Jeśli ktoś potrafił uczynić jadalnym wyładowane z łazika podstawowe racje, to tylko Niburu. A ta co najmniej niegrzeczna prośba go nie urazi.

– Pewnie coś paskudnego – wzruszył ramionami Niburu i dodał z uśmiechem – Zobaczę, co da się z tym zrobić. – Ruszył do kopuły z zapasami.

– Niburu.

Zawahał się, obejrzał za siebie z nagłym znużeniem.

– Dobrze się dziś sprawiłeś. – Reede wskazał na łazik, nieśmiało muskając kolczyk.

Niburu uśmiechnął się niepewnie i poszedł dalej. Reede patrzył, jak Hundet stanął mu na drodze, na podstawie gestów domyślił się, że Kedalion tłumaczy swe prawo do swobodnego dostępu do wspólnej żywności. Obaj funkcjonariusze rządowi zdecydowali się przenocować w pojeździe, przypuszczalnie ze względów bezpieczeństwa, bo w ten sposób kontrolowali sprzęt łączności i jedyną drogę ucieczki z tego piekła. Reede'a rozbawiła myśl, że ich urzędowa paranoja jest w tym wypadku całkowicie uzasadniona. Diabelnie przeszkadzała mu w jego planach, lecz stwierdził w duchu, że to tylko drobna przeszkoda...

Hundet w końcu przepuścił Niburu, to kolejne drobne upokorzenie kogoś trochę go uspokoiło. Reede przez całe popołudnie obserwował, jak objeżdża Saroona, dokucza Kedalionowi i Ananke. Własne obowiązki wypełniał od niechcenia, przypatrując się Gundhalinu i Kullervo.

Reede rozejrzał się w poszukiwaniu Gundhalinu. Zza kopuły wyszedł Ananke z quollem otaczającym jego ramiona niby futrzany kołnierz. Drgnął gwałtownie, gdy niemal wpadł na swego szefa.

– Gdzie byłeś? – Reede zapytał go ostrzej, niż zamierzał.

– Tak się... rozglądałem. – Ananke wzruszył ramionami, sprawiając wrażenie winnego. – Chciałem się przyjrzeć Ognistemu Jezioru.. – Nie wytrzymał wzroku Reede'a i spuścił oczy na swoje rozgarniające żwir stopy. – Czy jestem do czegoś potrzebny, sze... doktorze Kullervo?

– Nie. – Reede próbował przybrać miłą minę; za każdym razem, gdy patrzył ostrzej na chłopca, ten wiądl jak kwiat bez wody. Ananke, ubrany w luźną koszulę i szerokie szorty, z włosami spiętymi w kucyk, pomimo uwydatniających się na gołych ramionach i nogach potężnych mięśni wyglądał jak ktoś kruchy i wrażliwy. Według Reede' a dzieciak mógł być jedynie trzy, cztery lata młodszy od niego, choć odnosił niekiedy wrażenie, iż różnicę wieku między nimi można by liczyć w wiekach. – Gundhalinu powiedział, byśmy nie odchodzili za daleko od obozu. To... niebezpieczne. –

Nie musiał niczego wyjaśniać; Koniec Świata był dostatecznie osławiony.

– Tak, doktorze, wiem. – Ananke przytaknął gorliwie, gładząc quolla. Zwierzę zamruczało z zadowolenia, dopóki było z panem, nic nie mogło go zaniepokoić. – Komendant Gundhalinu był ze mną, powiedział, że wszystko w porządku.

– Gdzie jest teraz?

– Ciągłe patrzy na jezioro.

Reede rozejrzał się po wąwozie.

– Czy toto kiedykolwiek łązi? – zapytał, wskazując na quolla i zastanawiając się, dlaczego obaj nie roztopili się od gorąca.

Ananke znowu wzruszył ramionami, quoll miękko powtórzył ten gest.

– Lubi siedzieć – wyjaśnił.

Reede uśmiechnął się niezamierzenie na widok wracającego z naręczem zapasów Niburu. Pozostawił obu swych pracowników i wszedł między kopuły.

Podążał krzywizną wąwozu w stronę, gdzie leżało Ogniste Jezioro. Po minięciu pierwszego zakrętu, który odciął go od widoku i głosów zostawionego w tyle obozu, odniósł nagle niepokojące wrażenie, iż po zawróceniu nie zastałby tam niczego, iż pozostał sam... Skrzywiony, lecz zdecydowany szedł dalej, słuchając chrzęstu deptanego butami piasku i żwiru, czując żar spadający na popękanaą glinę mijanych przez niego ścian wąwozu.

Daleko w przedzie, na gołym, kamienistym dnie jakiś przelotny ruch zwrócił jego uwagę. Nie mógł oderwać oczu od wlokącej się tam istoty, wpatrywał się w nią z milczeniem i fascynacją. Była brązowa lub zielona, czerwona lub pstrokata i spośród wszystkich zwierząt, jakie przychodziły mu na myśl, najbardziej przypominała rybę, która czołgała się na czymś, co już nie było płetwami, lecz jeszcze nie nogami. Patrzył na wyrzuconą z wody rybę, dążącą z trudem w górę wąwozu, nie zwracającą na niego uwagi, zajęta wyłącznie czynieniem czegoś, co pewnie na zawsze pozostanie niepojęte.

Reede stał, zastanawiając się, czego, w imię tysięcy bogów, szuka tu ta ryba, w wielkiej męce pokonując milimetry rozgrzanych kamieni. Śledził wzrokiem jej szlak; w przedzie, pod ochronnym nawisem namulów dostrzegł kolejną z zielonych jak mech, krótkotrwałych kałuż, jakie występowały na dnie wąwozu. Na jej brzegu poruszały się pierzaste paprocie, chylące się w gorącym, słabym wietrze. Reede spojrzął za stworzenie i spostrzegł w oddali następną kałużę, z której zostało już tylko błotniste zagłębienie. Ucieczka. Znowu popatrzył na rybowatą istotę, posuwającą się z męką w stronę lepszych warunków. Nie wiedziała, że bajoro, do którego brnie, za kilka dni także stanie się dziurą błota, że cały jej trud pójdzie na marne. On to wiedział, ale nie owo stworzenie. Gdy wyschnie kolejna kałuża, znowu ruszy w drogę i nie spocznie, póki nie znajdzie nowej, trochę głębszej, nie doczeka się powodzi lub zdechnie.. Przetrawanie. Może i nie ma w tym sensu, lecz ta istota będzie daremnie walczyć o przetrwanie... Patrzył na nią ze zdumieniem, lekkim podziwem i niesmakiem.

A potem kopnął stworzenie, mocno. O prawie półtora metra przesunęło się po żwirze w stronę kałuży. Wylądowało milcząco na boku, zamachało płetwami jak chorągiewkami, wreszcie się wyprostowało i znowu ruszyło ku bajorku, jakby nic się nie stało. Reede odwrócił się i poszedł w dół, ściskając i rozprostowując dłonie.

Minął kolejny zakręt wąwozu i stanął gwałtownie. Przed nim leżało Ogniste Jezioro, choć na pewno nie mógł tak szybko do niego dojść. Jego obecność była fizycznym gwałtem zadanyim zmysłom. Reede czuł nie tylko żar i blask, lecz także inne doznania, jakich jego mózg nie zaczął nawet rozpoznawać. Jezioro wdierało się w umysł wszystkimi dostępnymi drogami, przez oczy, uszy, nos, skórę...

– Czujesz je.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że słowa i głos nie były przejawami Jeziora czy halucynacjami; że nagle wyrosła za nim na zakrzepłej powierzchni plaży widmowa postać jest naprawdę Gundhalinu.

Reede zamrugał, niepewnym wzrokiem badając szczegóły twarzy Gundhalinu. – Tak... – powiedział wreszcie głosem grzęznącym mu w gardle. Nie próbował pytać, czy Jezioro kiedykolwiek tak na kogoś wpłynęło, w jakiś sposób wiedział, że tak nie było.

– Co widzisz? – zapytał z naciskiem Gundhalinu. – Co słyszysz?

Reede, zdziwiony tymi pytaniami i niecierpliwością, z jaką je zadano, odpowiedział lakonicznie.

– Światło. Szum... nieokreślony. Nie potrafię go opisać. – Pokręcił głową. – Jakby... jakby powiedziałaoby mi, gdybym tylko coś miał i wiedziałbym... – Zapragnął wypluć to, co blokowało mu usta, strząsać więzy krępujące mu umysł. – Bogowie, to brzmi jak wielka bzdura... – rzucił gniewnie. – Nie wiem, co chciałem powiedzieć. Co widzisz?

– Duchy – odparł Gundhalinu z lekkim rozczarowaniem w głosie, znowu spojrzał na Jezioro. – Przeszłości i przyszłości, zjawiające się i znikające; otwierające się i zamykające obwody meta – przestrzeni.

Reede roześmiał się niepewnie.

– Masz lepszą wyobraźnię niż ja.

– To nie moja wyobraźnia... ale wirus sybilli. – Gundhalinu skupił się na twarzy Reede'a, ale jakby z wysiłkiem. – Wpuszcza Jezioro... czuję się, jakby bez przerwy wyło mi w mózgu tysiąc szaleńców. Jest mi bardzo... trudno stać tutaj i normalnie się zachowywać. Pomagają ćwiczenia adhani; po wstąpieniu do wyższych poziomów Przeglądu nauczyłem się dalszych technik kontroli biologicznego sprzężenia zwrotnego. – Przesunął dłońmi po zgniecionej tkaninie luźnych nogawek, daremnie starając się ją wygładzić.

– Chyba bym tego nie zniósł – skrzywił się i mruknął Reede. Nie przy tym wszystkim... snach, stłuczonych lustrach, pustce, próżni...

Gundhalinu nadal przyglądał mu się z dziwnym napięciem.

– Nigdy, z wyjątkiem innych sybilli, nie spotkałem nikogo, kto bardziej od ciebie wyczuwałby owo zjawisko. Ale czynisz to jedynie częścią umysłu. Pozostałe nie słyszą niczego; to cię chroni...

Reede pchnął go mocno w pierś, powalił na ziemię.

– Cholera! – Nakrapiana wygięta powierzchnia brzegu w pobliżu Gundhalinu przybrała nagle wygląd milionów twarzy o krzyczących ustach, bezmyślnych oczach i duszach schwytych w niewyobrażalne piekło na ziemi.

Gundhalinu powoli wstał. Pokręcił głową, jak ktoś budzący się ze snu, i oszołomiony spojrzał na Reede'a.

– Co to, u diabła, ma znaczyć? – zapytał.

Reede zmusił się do oderwania wzroku od ziemi i spojrzenia w skarżące się oczy Gundhalinu.

– Nie mów tak do mnie!

– Jak?

– Jakbyś wiedział, co czuję.

Gundhalinu popatrzył na Jezioro, znowu na Reede'a.

– Bogowie, jak tego nienawidzę...! – głos mu zadrżał. Potarł twarz, mruczając coś niezrozumiałego. Odezwał się głośniejszym głosem. – Przepraszam. Gdy to mówiłem, miałem wrażenie, że ma sens... Będzie lepiej, gdy już się przyzwyczaisz. Najgorzej jest na początku.

Reede skrzywił się, czując, jak niespodziewane uczucie brnie mu w środku niby rybowata istota wyrzucona na rozpaloną skałę.

– Nie przywykłem do przebywania z ludźmi bardziej szalonymi niż ja sam. – Zaczął się odwracać, pragnął oddalenia od Jeziora, od Gundhalinu, od milczących, krzyczących twarzy na brzegu.

– Reede. – Gdy się opornie odwrócił, zobaczył blady, bolesny uśmiech Gundhalinu. – Proszę cię, nim odejdiesz, pomóż mi się przekonać, jak bardzo jestem szalony. Czy widzisz tam wyspę? – Wskazał na Jezioro, odwracając się przy tym całym ciałem, jakby przyciągała je tęsknota.

Reede podążył wzrokiem za jego ręką, mrugając powiekami w blasku przesłaniającym wszystko, nawet niebo. Osłonił oczy, aż wreszcie zaczął widzieć dokładniej i dojrzał nagi, mocny kształt wznoszący się w środku ciekłego morza niby grzbiet przedpotopowej bestii. – Tak – powiedział głosem tak ochrypłym, jakby wysechł mu w gardle, jakby od wielu dni stał tu z napiętymi nerwami. – Tak, coś tam jest. Wygląda jakby na wyspę.

Gundhalinu wydał głos przypominający dławiony krzyk triumfu.

– Wróciło! To wie, Jezioro wie, że tym razem uzyskamy odpowiedź. – Znowu spojrzał na Reede'a, oczy mu błyszczały. Złapał za rękę próbującego odejść towarzysza. – Czy słyszałeś o Sanktuarium?

– Powiedziałaś, że to miejsce na środku Jeziora, pełne wariatów i pomyleńców... – stwierdził Reede ze zdumieniem. – Czy to tam? – Wpatrzył się w lśniący blask.

– Tam było – mruknął Gundhalinu, również przesunął wzrok na Jezioro. – Tam znalazłem braci i Song. Gonili nas, gdy uciekaliśmy – a Jezioro pochłonęło ich wszystkich, miasto, całą wyspę. Odtąd nikt jej nie widział... do teraz.

Reede skrzywił się z lekkim niedowierzaniem.

– Bogowie! Chcesz powiedzieć, że po prostu zniknęła? A teraz wróciła? Z wszystkim?

Gundhalinu przytaknął. Zaciśnął pięści i przywołał na twarz uśmiech rozpaczliwej nadziei.

– Sama wyspa. Nie sądzę, byśmy znaleźli jej mieszkańców. – Głos mu stwardniał. – Już by nas opadli niby śmiercionośne żuki... Ciekawe, co jeszcze wróciło?

– Co masz na myśli? – zapytał Reede, zaskoczony nagłym zapalem Gundhalinu.

– Statek, z którego pochodzi plazma napędu gwiazdowego, twórca Ognistego Jeziora. Gdyby Jezioro wiedziało, że znamy odpowiedź, mogłoby... mogłoby... – Opuścił wzrok na ziemię pod stopami, na krzyczące twarze przeklętych. – Musiało przegnać lub zabić ludzi, którzy zbudowali Sanktuarium. Ale nigdy ich nie zapomniało. Ciągle o nich śni. Potrzebuje kontaktu z ludźmi, ich pomocy... czeka, byśmy przybyli znowu i zakończyli jego szaleństwo, jego zabląkanie...

– Aha, racja – rzucił Reede, wrywając się z uchwytu Gundhalinu. – No, jesteśmy tu po to. Wtedy oboje poczujecie się lepiej. Wracajmy do obozu.

– Jutro musimy wybrać się na wyspę – powiedział Gundhalinu, jakby go nie słuchał, ale jego oczy były znowu jasne i rozumne.

– Dlaczego? – zapytał Reede, nie porzucając złośliwości.

– Tam jest statek gwiazdny.

Reede rozszerzył oczy.

– Mówisz o statku Starego Imperium, nietkniętym?

– Przynajmniej jego kawałek. – Gundhalinu przytaknął i znowu się uśmiechnął. – Wyobraź sobie, co będzie, jeśli zastaniemy tam jednostkę napędową! Mając taki wzór, uzyskamy niesamowitą odskocznnię do zbudowania nowych.

Reede poczuł falę podniecenia przypominającą perwersyjną żądzę. Niepewnie wzruszył

ramionami, jakby to uczucie nie było jego własnym.

– Lepiej przekonajmy się najpierw, czy szczepionka działa na prawdziwe Jezioro – powiedział twardo. – Idźmy stąd. – Pociągnął Gundhalinu za ramię. – Chodź...

Gundhalinu przytaknął, odwrócił się wreszcie od Jeziora. Ten ruch zdawał się wyczerpywać wszystkie jego siły. Przeszli plażę i weszli w wąwóz, mijając piaszczyste namuły. Reede nie dostrzegł śladów rybowatej istoty. Zastanawiał się, czy w ogóle ją widział.

NUMER CZWARTY: Koniec Świata

Wraz ze światłem dnia podnieśli się ku niebu jak słońce, Niburu prowadził łązik po długim, płynnym łuku, zawieszonym nad Ognistym Jeziorem. Reede obserwował wskaźniki, podczas gdy pojazd zostawiał za sobą siatkę delikatną jak rybacki wędziej. Pola skupionej energii wzbudzą wybiórczo molekuly plazmy napędu gwiazdowego, aż ta przyjmie postać nieożywionej materii, z którą została nienaturalnie połączona. Wtedy wnikną w nią nieodparte pola wtórne, przytrzymają w stacji wewnątrz ścian pojemnika. Metody używane poprzednio przez Gundhalinu były tak beznadziejnie nie dostosowane do fazy struktury molekularnej plazmy, że naukowcom tylko cudem udało się złapać jej miligram. Tym razem jednak mają odpowiednią próbkę do zaszczepienia; przypilnował tego. Próbkę dostatecznie dużą, by rozmnażała się niezależnie, a przy tym na tyle małą, by w odpowiedniej chwili zabrać ją ze sobą...

Wpierw jednak musi dojść do zaszczepienia. Zebrana przez nich plazma na zawsze już pozostanie w stacji, zamrożona w dokładnie tej samej pikosekundzie, w której została schwytana, dopóki nie spróbują nią manipulować. Raz uwolniona, jeśli szczepionka nie zadziała niemal natychmiast i nie przejmie nad nią kontroli, wymknie się im... być może wraz z ich życiem.

Reede w milczeniu patrzył na wskaźniki podające, jak powoli rośnie ilość plazmy złapanej przez nich i zatrzymanej w zbiorniku. Dumny, że jego przypuszczenia okazały się słuszne, nie zwracał uwagi na nikogo i na nic wokół. Na krótką chwilę mógł zapomnieć o znaku zapytania własnego życia, o niepewności istnień ich wszystkich, o niespożytych, oczekującym żarze, czatującym, by wysać go poprzez izolowany kadłub łązika.

– Mamy pełno! – zawołał w końcu. Rozejrzył się, zdumiony nagłym pojawieniem się prawdziwego świata.

– Świetnie! – Gundhalinu uśmiechnął się do niego i wznosił triumfalnie pięść. – Podejdz tutaj i spójrz na to... Niburu, zabierzesz nas na wyspę?

Reede wstał i niechętnie zostawiając aparaturę, minął zwiadowcę Saroona, który niby religijny talizman przyciskał do piersi swój karabin ogłuszający. Funkcjonariusz spojrzął na niego, ze skośnych oczu wycierał smutek i przerażenie. Jego szczupła, napięta twarz była obliczem kogoś beznadziejnie zgubionego i otoczonego wrogami. Reede zrozumiał, iż z punktu widzenia Saroona, to właśnie ich spotkało. Hundet rozkazał mu towarzyszyć im w tym locie, pewnie dlatego że brakowało mu odwagi, by samemu wnieść się nad Ogniste Jezioro. Reede przez chwilę rozkoszował się myślą, że po powrocie do obozowiska przekonają się, że Hundet tajemniczo zniknął, połknięty przez chorobliwe kaprysy Końca Świata.

Dołączył do Gundhalinu i Niburu, którzy na przedzie łązika wpatrywali się w powodujące halucynacje, lśniąca piekło Jeziora... w monolit z czerwonego kamienia, wznoszący się jak sen z ciekłego morza – wyspę, którą dostrzegł z brzegu. Była większa, niż sobie wyobrażał, swobodnie pomieściłaby małe miasto, choć nie dostrzegał żadnych śladów osiedla.

– Tam! – powiedział Gundhalinu podniesionym głosem. – Sanktuarium!

– Gdzie? – Reede zmrużył oczy. – Nic nie widzę.

– Zejdz niżej, Niburu – polecił Gundhalinu. Pilot posłusznie opuścił łązik, zawracając nim nad wyspę.

– Miasto wzniesiono z kamienia – wyjaśnił Gundhalinu. – W większości leży w ruinie. Trudno je dojrzeć z góry, jeśli się nie wie, gdzie leży.

Reede zastanawiał się, skąd Gundhalinu może mieć pewność, że wszystko to nie jest tylko fantazją. Zdołał powstrzymać się od pytań. Gdy zbliżyli się do stromych brzegów z czerwonej skały,

nagle ze zdumieniem dostrzegł wodospad, z wyżyny wyspy spadający w morze ognia. Kłęby pary przesłaniały miejsce zetknięcia się dwóch podstawowych żywiołów, wypełniając powietrze ulotnymi tęczkami. Lecieli nad płaskowyżem, aż Gundhalinu znowu powiedział: – Tam – i wskazał dłonią.

Tym razem Reede dostrzegł resztki tego, co kiedyś było miastem, zbudowanym z czerwonych skał wyspy, a następnie porzuconym i wystawionym na zniszczenie. Mimo to wstrzymał oddech, gdy podlecieli bliżej, jednocześnie zmniejszając odległość. Piękno architektury nie zostało po prostu wygładzone przez czas czy zburzone trzęsieniem ziemi – było rozmyślnie rozwalone przez inną siłę, dzikszą i trudniejszą do wyobrażenia. Złomy nie obrobionej skały leżały niemożliwymi warstwami między piętrami budynków, ład i chaos, naturalne i nienaturalne przeplatały się gwałtownie.

Miasto dzieliło się na ćwiartki, wyznaczone przez krzyżujące się w jego środku dwa parowy. Wycięte w skale głębokie bruzdy wypełniały lśniące z oddali potoki wody. Reede zrozumiał, że musi tu być więcej wodospadów, takich, jak widział poprzednio, zasilanych przez istniejące w niemożliwy sposób, lecz mimo to tryskające z głębi wyspy źródła. Niemożliwym sposobem z czterech rogów owego świata ze snu spadały w roztopione Jezioro.

– Edhu, spójrzcie na to... – mruknął Niburu.

– Wyląduj. – Reede nawet się nie zdziwił, nieoczekiwanie słysząc, że to on, a nie Gundhalinu wydał ten rozkaz. BZ spojrział na niego, mając w oczach coś mroczniejszego niż troskę, lecz tylko kiwnął głową.

Niburu osadził ich łagodnie na mniej więcej równym obszarze w pobliżu środka miasta i otworzył luk. Zwiadowca Saroon skoczył na nogi, ograniczonymi do białek oczami patrzył na ukazującą się wokół rzeczywistość.

Gundhalinu położył dłoń na jego ramieniu, lekko naciskając, skierował ponownie na fotel.

– Pilnuj łazika, tak samo Niburu. Będziemy bezpieczni – nikogo więcej tam nie ma.

Saroon bez słowa, z ulgą kiwnął głową, a Gundhalinu odwrócił się w stronę leżącego za nim jaskrawego blasku.

– Na pewno...? – zapytał Niburu, patrząc na Reede'a obserwującego oddalające się plecy Gundhalinu.

Reede przytaknął, rozumiał, iż Gundhalinu dużo bardziej niż na bezpieczeństwie łazika czy uspokojeniu Saroona zależało na własnej samotności.

– Zostań tutaj – powiedział. Nałożył na głowę hełm przeciwsłoneczny i wysiadł, idąc w ślady BZ. Łazik zamknął się za nimi, nim jeszcze dołączył do stojącego i wpatrującego się w miasto Gundhalinu.

Reede usłyszał, że Gundhalinu coś mruczy, rozpoznał ledwo dobiegające go deklamacje adhani. BZ przycisnął dłonie do twarzy, niemal brutalnie wpakował je w oczy, nim wreszcie pozwolił im opaść.

– Bogowie, tak – mruknął. – Słyszę was. Widzę was. Pamiętam was...

Reede zrozumiał nagle, że Gundhalinu nie mówi do niego. Spojrział na piętrzące się ruiny, ale nie dostrzegał nikogo, nie słyszał niczego, oprócz szumu wiatru. Kompletna pustka tego miejsca przywodziła mu na myśl wypalone przez słońce kości, potrząskane naczynia, całkowity spokój rzeczy, z których uleciała niedoskonała dusza. Ponownie popatrzył na Gundhalinu i z przejmującą dreszczem pewnością zrozumiał, że nie widzą tego samego. A gdyby posłuchał tą cząstką umysłu, której nie chciał nawet o to prosić, dobiegłyby go głosy nie nazwanej obecności; gdyby tylko zapytał...

– Duchy? – mruknął, własny głos wydał mu się obcy.

Gundhalinu wybuchnął dziwnym, zdławionym śmiechem.

– Tysiące... – Pokręcił głową. – Między nimi są wszyscy ci, których znałem albo poznam...

Reede, czy chcesz dowiedzieć się przyszłości? Jeśli zostanę tu dostatecznie długo, będę w stanie ci o niej powiedzieć.

Reede przyglądał mu się, uderzony nagłą paranoją, aż zrozumiał, że Gundhalinu mówi ogólnie.

– Jak zdołałeś się tu zbliżyć, za pierwszym razem, skoro było to dla ciebie czymś takim? – Nadal nie był w stanie uwierzyć, że ktoś równie panujący nad sobą jak Gundhalinu mógł się zdobyć na niemal szaleńczy czyn wkroczenia na Koniec Świata.

– Nie byłem sybillą, gdy przybyłem tu po raz pierwszy.

– Co tu się stało? – szepnął Reede, niezdolny do powstrzymania się od pytań. A gdy Gundhalinu nie odpowiadał, dodał: – Z tobą. Z innymi, którzy ci towarzyszyli?

– Spadrin zamordował Anga – padła szorstka odpowiedź. – Ja zamordowałem Spadrina. Liczne rany klute...

Reede wstrzymał oddech.

– Gdy dotarłem nad Jezioro, po uprzednim zabiciu Spadrina, zostałem złapany przez bandytów z Sanktuarium. Zabrali mnie do niej... Song mnie zaraziła.

Grymas zwięził oczy Reede'a.

– Wbrew twojej woli?

– Tak. – Gundhalinu aż do bólu zacisnął dłoń na wisioru sybilli. Odwrócił się i ruszył, wybierając uważnie drogę pomiędzy nierównym gruntem. Mijali opuszczone ulice, okrążali zwałiska, schodzili połamanymi stopniami i zardzewiałymi drabinami.

– Dlaczego? – zapytał wreszcie Reede.

Gundhalinu zatrzymał się, obrócił w miejscu.

– Co dlaczego? Dlaczego tu przybyłem? Bo nie zostało mi nic, dla czego chciałbym żyć. Dlaczego mnie zaraziła? Bo oboje dotarliśmy na Koniec Świata... – Głos mu się załamał. Dotrzeć na Koniec Świata na Numerze Czwartym znaczyło to samo, co zwariować. – Pragnęła małżonka... – Rozejrzał się, przypatrzył jedynej wieży wznoszącej się nad miastem, jej środkową część zastępował złom litej skały. – Może myślała, że jeśli da mnie jezioru, ono zostawi ją w spokoju... – Wzniósł obie ręce, gwałtowny ruch przypominał wzruszenie ramion. – Potem także usłyszałem Jezioro, tak samo jak ona. Zabrało mi... zabrało mi wiele czasu zrozumienie, co chce mi powiedzieć. Naprawdę uwierzyłem, że zwariowałem. A jednak zostanie sybillą w jakiś sposób mnie uzdrowiło. – Ruszył dalej, nie oglądał się do tyłu, by sprawdzić, czy Reede idzie za nim. Ten uczynił to, zagłębiając się jeszcze bardziej w gorączkowe sny swego towarzysza. – Niemal się nie zabiłem, o tam, nim nie rozumiałem. – Wskazał przed siebie, na krawędź parowu, do którego się zbliżali. – Nie mogłem być niczego pewien.

– Znam to uczucie – mruknął Reede, czując, jak schną i pękają mu usta. – Bogowie, tak... znam je. – Gundhalinu zawahał się, spojrział na niego. – Gdy nie można... nie wie się nawet, jakie pytanie zadać. A gdybyś zdołał je wymyślić, wiedziałbyś przynajmniej, czego... ci brak. – Poczł, jak pałą mu oczy, nagle pełne łez, jakby pewna szalona częśćka jego duszy pragnęła opłakiwać – a nawet przypomnieć sobie – jakieś nie wypowiedziane, zapomniane zło, którego nigdy nie zdoła pomścić. Opuścił głowę, patrząc się pod nogi, w zasłaną gruzami ziemię. – Gdy pracuję, wiem zawsze, jakie pytania zadać. Ale...

– Dokładnie tak – mruknął Gundhalinu. Obejrzał się i nagle potknął. Reede bez namysłu wyciągnął rękę, by go podeprzeć. BZ kiwnął głową i w podziękowaniu na chwilę dotknął ramienia Kullervo. Ruszyli dalej, idąc już obok siebie.

– Tego właśnie uczą najpierw, zaraz po wstąpieniu do Przeglądu; że wszystkie odpowiedzi już padły, wystarczy je wybrać. Trzeba tylko zadać właściwe pytanie. – Gundhalinu roześmiał się, szorstko i gorzko. – Wydaje się to takie proste. Ale nie znamy ceny za zadanie pytania, dopóki nie jest już za późno. – Kopnął kamień, posłał go przed siebie, aż minął krawędź wąwozu i spadł w otchłań. Zaczął iść szybciej, jakby czuł nieodpartą chęć podążenia w ślad za odłamkiem.

Reede złapał go za ramię i powstrzymał, gdy tylko osiągnęli skraj parowu. Gundhalinu uśmiechnął się, pokręcił głową i Kullervo go puścił. Razem spojrzeli w dół, Reede poczuł strach i ożywienie, gdy opuszczał wzrok po skalistej ścianie, aż wreszcie dotarł do płynącej pięćdziesiąt metrów niżej, żyłkowanej zielono rzeki.

Gundhalinu wypuścił powietrze w czymś przypominającym westchnienie.

– Jest tu.

Reede skierował oczy w górę rzeki do miejsca, gdzie spotykały się oba wąwozy. Coś tam dostrzegł, lśniącego, błyskającego, gdy rozświetlony słońcem, nie spoczywający nigdy nurt wznosił się nad ową rzeczą. Nad czymś wielkim, metalicznym, z fragmentami, w których było coś dziwnie znajomego...

– Statek – powiedział, nie było to pytanie.

– Tak – szepnął Gundhalinu, na jego twarzy ukazało się zdumienie. – Zupełnie tak, jak pamiętałem. – Przykucnął, łatwo utrzymując równowagę, odzyskał zwinność, gdy tylko jego umysł znalazł punkt, na którym mógł się skupić. – Jak najszybciej musimy się tam dostać.

– Jest pod wodą – powiedział Reede, gdy rozpoznał rzeczywistość tego, na co patrzył.

– Wiem – stwierdził Gundhalinu, jakby zwrócono mu uwagę na coś nieważnego.

Reede poczuł nagle, jak powietrze wokół nich staje się lepkie, przestaje nadawać się do oddychania.

– Ale... musi tam być głęboko na dwadzieścia czy trzydzieści metrów. Nie mówiłeś, że tak będzie. Na statku Starego Imperium nie ma nawet odpowiednich urządzeń. Nie możemy go sprawdzić, dowiedzieć się, czy z tego wraka warto w ogóle coś ratować!

Gundhalinu spojrział na niego, skrzywił się z lekkim zdziwieniem, potem lekko uśmiechnął, gdy uznał, że zrozumiał.

– W łaziku mamy hełmy z wyposażenia ratunkowego. Możemy zanurkować i sprawdzić. Wykorzystam Przekaz, by zawiadomić nas, czy jest tam coś z tego, czego chcemy.

Reede odsunął się od skraju wąwozu, zamknął oczy, chwycił za ucho.

– Tak, musimy tak zrobić. Nie możemy nie zrobić. Okazja jest zbyt cudowna...

– Kręcisz głową – powiedział Gundhalinu. Wstał. – Reede – czy boisz się wody?

Reede roześmiał się gwałtownie.

– Nie. Czemu miałbym się bać wody? – Przejmująco zimnej, czarnej wody, zamykającej się nad moją głową, oślepiającej oczy, zatykającej uszy.

– Czy miałeś z nią złe doświadczenia?

– Nie! – Woda wypełnia me usta, nos... Patrzył dziko, szukał twarzy Gundhalinu wznoszącej się coraz wyżej ku światłu. – Nie ma żadnego problemu – stwierdził to nieludzko spokojnym głosem, jakby ktoś teraz kontrolował jego odczucia, sterował nim niby marionetką. O bogowie, co się ze mną stało? Ale to nigdy nie było właściwym pytaniem i nigdy nie otrzyma na nie odpowiedzi. – Chodźmy stąd – mruknął. – Chcę wracać do obozu, kontynuować eksperyment.

Gundhalinu kiwnął głową. Twarz mroczyła mu teraz znużeniem i zwątpieniem, jeśli miał nawet dalsze pytania, to ich w tej chwili nie zadawał. Odwrócił się ciałem zeszywniałym z napięcia i ruszył w kierunku łazika. Szedł szybko i pewnie, nie oglądając się za siebie.

Widok, jaki zastali do wejściu do łazika, byłtak absurdalnie banalny, że aż wywołał śmiech Reede'a. Niburu i Saroon siedzieli po turecku na podłodze i z przejęciem małych chłopców grali w trójwymiarową chameę, zapominając zupełnie, że znajdują się w sercu widmowego miasta na środku jeziora ze stopionej skały, w miejscu, gdzie czasoprzestrzeń zwija się w supły, że w każdej chwili łazik może zniknąć spod ich stóp, wraz z nimi samymi.

Niburu uniósł głowę, śmiech Reede'a nie zdziwił go, choć trochę uraził. Saroon odwrócił się z poczuciem winy, jakby zmartwiony, że przyłapano go na radowaniu się czymś. Wstał niezgrabnie i chwycił za broń.

Reede przestał się śmiać, gdy naszła go nowa myśl i zrozumiał, że ten widok wcale go nie bawi. Spojrzał na Niburu.

– Ruszamy.

Kedalion złożył grę i wsadził do kieszeni. Bez słowa zajął miejsce za sterami, wyraz jego twarzy zdradzał, że za całe wyjaśnienie starczyło mu jedno spojrzenie na udręczone miny wsiadających do łazika.

Opuścili wyspę i bez żadnych wypadków czy przeszkód wrócili do obozowiska. Ananke przywitał ich z wyraźną ulgą. Hundet przyglądał się nieruchomo i niewzruszenie, jak Saroon pomaga skierować do pomieszczeń tymczasowego laboratorium latającą platformę załadowaną pojemnikiem.

Reede ukradkowo, lecz uważnie obserwował Gundhalinu. Z ulgą stwierdził, że cała jego uwaga skupia się wyłącznie na eksperymencie, który mieli przeprowadzić. Wydawało się niemal, że Jezioro pozwala mu teraz oddychać, pozwala myśleć. Reede'owi to nie przeszkadzało. Sam nie odczuwał już tak mocno denerwującego doznania, jakiego doświadczył podczas wczorajszego bezpośredniego zetknięcia się z Jeziorem. Zastanowił się, czy rozciągnęło na niego tę samą łaskawość, czy też po prostu, zgodnie z przewidywaniami Gundhalinu, obaj zaczęli się przyzwyczajać.

– W porządku – powiedział Gundhalinu, gdy pojemnik został już bezpiecznie umieszczony. – Niburu, zabierz kogoś ze sobą do łazika. Będziecie krążyć w górze, czekając, aż się z wami połączymy... albo nie. Zrozumiałeś?

Niburu przytaknął, z jego twarzy zniknął wszelki wyraz, gdy pojął znaczenie tych słów.

– Takie to niebezpieczne? – zapytał z niedowierzaniem, które Reede odebrał jako absurdalnie dziecinne. – Chciałbym... popatrzeć. – Zerknął na Kullervo, z nawyku sprawdzając reakcję szefa. – Myślałem, że szczepionka działała doskonale przy poprzednich próbach.

Reede powstrzymał się od chęci skrzywienia twarzy i kiwnął głową.

– Działała, ale wtedy mieliśmy tylko drobną cząstkę obecnej ilości i znacznie lepiej panowaliśmy nad sytuacją. Nie powinno być żadnych problemów. Gundhalinu woli się jednak upewnić. – Odwrócił się, natrafił na stanowcze spojrzenie BZ. – A wiesz – powiedział nagle – wystarczy do tego tylko jeden z nas. Może z nimi polecisz? Nie powinieneś narażać swej głowy. – Poczul, że Niburu przygląda mu się z pewnym zdumieniem. Jego także opanowało zdziwienie, że jakaś cząstka jego duszy uznała, iż powodzenie pracy jest teraz ważniejsze, aniżeli misja, z którą tu przybył, czy nawet życie...

Gundhalinu uniósł brew.

– Mam pełne zaufanie do tego procesu.

Reede tym razem się skrzywił.

– To niemądre. Nie bądź głupcem. Jeśli obaj zginiemy, nie zostanie nikt, kto mógłby wszystko to odtworzyć.

Gundhalinu się uśmiechnął.

– Mamy pełną dokumentację. – Oczy rozjaśniało mu dziwne światło. – Reede, lata czekałem na

tę chwilę... może nawet całe życie.

Reede wzruszył ramionami i uśmiechnął się niechętnie. Dopilnował, by dokumentacja jego części pracy była niepełna; poza Gundhalinu, jedynym, z którym blisko współdziałał, nie było nikogo, kto mógłby odtworzyć wszystkie ich osiągnięcia.

– Zgoda. Chyba to rozumiem... Niburu, oczyścić teren. – Skinął ręką, wyłapując spojrzenie zdradzające podziw, a może nawet zazdrość, jakim Kedalion obrzucił ich obu, nim wyszedł z laboratorium w towarzystwie Ananke i Saroona.

Gdy się oddalili, Reede przystąpił do przygotowań. Gundhalinu dostosowywał się do jego ruchów z chłodną pewnością, jakby zawsze pracowali razem. Stopniowo zamknęli kopułę wewnątrz pola energii ochronnej, włączyli monitory, ustawili urządzenia, które umieszczą szczepionkę w pojemniku, i dwa razy sprawdzili dodatkowy sprzęt. Reede wyjął z izolowanego naczynia fiolkę z zaszczepioną plazmą i umocował w pozycji umożliwiającej przedostanie się przez zewnętrzną osłonę pojemnika.

Gdy kończyli ostatnie sprawdziany urządzeń, przez kanał komunikacyjny łazika otrzymali potwierdzenie, że wszystko w porządku. Reede wydał polecenia procesorowi i naciskając kciukiem jarzące się miejsce na tablicy, uruchomił cały proces. Gundhalinu stanął obok i Kullervo zauważył, iż przygryza włożony do ust kciuk.

Sam Reede trzymał się za ucho, oczekując instynktownie na sprzężenie zwrotne, które nie następowało – nigdy nie nastąpi. Nagle uświadomił sobie niemożliwe do zniesienia odczucie utraty słuchu, jakie dręczyło go, odkąd pamiętał; to nie była głuchota, lecz... lecz... – Rozżłoszczony skupił uwagę na znajdujących się przed nim odczytach, patrzył na ekran ukazujący prymitywny, trójwymiarowy wizerunek tego, co się działo wewnątrz pojemnika.

Obserwowali, jak szczepionka trafiła we właściwe miejsce, jak urządzenie precyzyjnie, krok po kroku, wypełnia ich polecenia, zwalnia ograniczenia, opuszcza tarcze... otwiera kłatkę stacji wiążącą niebezpieczną plazmę napędu gwiazdowego. Dłonie Reede'a rozwarły się spazmatycznie, gdy szczepionka została dostarczona.

Nieruchoma masa światła, stanowiąca symulowany obraz zawartości pojemnika, ożywiła się, wskazując, że plazma napędu gwiazdowego uwolniła się. Reede patrzył, jak wrze, przemienia się, podlega dyfrakcji, aż na ekranie symulacji ujrzał chaos, całkowicie niepojęty dla jego oczu. Gundhalinu zaklął i złapał się za głowę.

Reede zmusił powieki, by sienie zamykały, i zobaczył, iż wrzący chaos przybiera nowy kształt, który zaczął się powoli przemieniać, aż wreszcie wzory zaczęły się ustawiać w sensowne postacie, jarzące się przypadkowymi wizerunkami płomieni, szronu, dziwacznych linii brzegowych... tempo przemian opadło, przekształcenia zwolniły, zawartość pojemnika poddała się racjonalności i porządkowi, spoczęła nieruchomo w mocnym powiązaniu ze strumieniem rzeczywistości, który ją stworzył. Czeka. Czeka na polecenia.

Reede wciągnął powietrze, wypuścił je wraz z ochryplym okrzykiem triumfu. Odwrócił się, złapał Gundhalinu za ramiona, objął.

– To działa... – szepnął oszołomiony Gundhalinu. – To działa! Prawda? – Zacisnął dłonie na rękach Reede'a, ciągle obejmującego jego ramiona.

– Tak. – Reede znowu spojrzął na ekrany. – Jest pod kontrolą. Dokonailiśmy tego! Mamy to – mamy wszystko! – Jeszcze raz spojrzął na Gundhalinu; zobaczył, że dotyka innego mężczyzny, że dłonie tamtego pokrywają jego. Wyrwał się, cofnął.

Gundhalinu nie zwrócił na to uwagi, kiwnął głową.

– Tak, czuję to... czuję, że działa. – Emocja dławiała mu głos. Potarł twarz, jakby ocierał łzy.

Reede zastanawiał się, co teraz odczuwa – ulgę, ból czy radość – jakie mogą być doznania człowieka, który, jak Gundhalinu, przeszedł przez piekło dla dobra Jeziora, dla własnego zdrowia.

Reede czuł szczęście, był zadowolony z siebie w czysty, rzeczowy sposób, jakiego dość rzadko doznawał. Gdy jednak spojrzął w oczy Gundhalinu, nagle spłynęła zeń fala triumfu, która przepęłniła go na widok opanowanej plazmy; nie miał pojęcia, dlaczego opadły wszystkie uczucia, jakby doświadczenie skończyło się niepowodzeniem.

Pokręcił głową, powiedział sobie, że to tylko pierwszy krok ku rzeczywistemu zwycięstwu; że prawdziwe zadowolenie odczuje dopiero wtedy, gdy uzyska to, po co tu przybył, i wróci z tym do Mundilfoere. Mundilfoere, której miłość była jedynym kontaktem, jaki chciał mieć z ludźmi. Mundilfoere, której dotknięcie sprawi, że zapomni każdego, wszystko... nawet tę chwilę. Patrzył na ekrany nadal pokazujące to, co chciał, by mu pokazywały.

W końcu znowu, niemal z wahaniem, spojrzął na Gundhalinu. Uzyskał to, po co tu przybył. Powinien się przygotować na natychmiastowe przystąpienie do przeprowadzenia kolejnego etapu planu, wykorzystać okazję, że BZ i inni przestali zupełnie mieć się na baczności...

Ale jest jeszcze statek, pochodzący ze Starego Imperium wrak, który Gundhalinu pokazał mu dzisiaj. Jeśli ma w sobie nie uszkodzony zespół napędowy... Nie może pozwolić, by przeszło mu to koło nosa. Musi jeszcze trochę zachowywać wszystko bez zmian, niepewną równowagę, zaczekać, aż będzie pewien. Badania statku może przeprowadzić jedynie z Gundhalinu, który powie mu, co należy wiedzieć.

Nie może teraz nikogo zabić. Nie musi teraz nikogo zabić. Dziś nikt nie powinien umrzeć...

Odwrócił wzrok od twarzy Gundhalinu; odezwał się do nadajnika, polecił Niburu i reszcie wracać do obozu.

– Kullervo – mruknął Gundhalinu głosem ciągle napiętym – jakie mamy szansę na zaszczepienie całego Jeziora? Możemy to teraz zrobić. Przeprogramowany wirus powinien się stale rozprzestrzeniać...

– Nie. – Reede obejrzał się, słysząc w głosie Gundhalinu ton nadziei i głodu, który mógł, ale nie musiał być jego własnym. – To znaczy, róbmy wszystko po kolei, dobra? – dodał niepewnie. – Upewnijmy się najpierw, że to jest całkowicie stabilne. – Był tego niemal pewien – jak i tego, że Gundhalinu ma rację. Tego tylko było trzeba – by dać Złotemu Środkowi i Kharemoughi nieograniczone zapasy napędu gwiazdowego. Zamierzał zostawić im dokładnie tyle samo, ile mieli w chwili jego przybycia – czyli nic. Mniej niż nic, jeśli postąpi rozsądnie... Zerknął znowu na Gundhalinu, na ziemię, zacisnął dłonie.

– Niburu! – Reede skinął podbródkiem, odwołał Kedaliona od grona postaci skupionych wokół matowego blasku piecyka słonecznego.

– Spróbujesz gulaszu, szefie? – zapytał Niburu, wydymając usta, nim się zatrzymał i spojrzął na Reede'a. – Nie jest taki zły, jeśli mogę się pochwalić. Pomyślałem, że zasłużyliśmy na coś spe...

– Czemu, u diabła, jedzą z nami? – Reede przerwał mu ze złością, odciągnął głębiej w cienie otaczające kopułę laboratorium.

Niburu zerknął przez ramię na ledwo widoczne postacie.

– Gundhalinu jada z nami...

– Wiesz, o kogo mi chodzi – rzucił Reede. – O zwiadowców.

Niburu spojrzął na niego niespokojnie i buntowniczo. Wzruszył ramionami.

– Chciałem zaprosić Saroona, musiałem więc zapytać Hundeta. To rodzaj przyjęcia mającego uczcić... – Reede wyczuł, że od Niburu jedzie piwem, że wszyscy musieli się raczyć miejscowym

trunkiem.

– Czym, u cholery, jest to według ciebie? – Reede złapał go za koszulę i potrząsnął mocno, rozbryzgując gulasz. – Jakimś pieprzonym klubem? Gównianą wycieczką? To wrogowie! – Tego tylko brakowało, by Niburu i Ananke zaczęli uważać te zbędne kawały miecha za ludzi, za przyjaciół.

Niburu poczerwieniał.

– Nie są moimi wrogami...

– Nie wciskaj mi takich naiwnych bzdur. – Reede puścił go, dostrzegł zdumienie na twarzy, zapragnął zadusić Kedaliona. – Gdyby wiedzieli, dlaczego naprawdę tu jesteśmy, to co według ciebie już by się z nami stało?

– Wszyscy bylibyśmy martwi. I któż mógłby ich za to winić? – odpowiedział Niburu gorzko. – Ale mimo wszystko są ludźmi. – Jego spojrzenie ukazywało niebezpieczną pewność siebie. – Zresztą już za późno, by ich wyprosić. Chcesz jeść czy nie?

Reede patrzył na niego. Miał w ustach słowa, które rozwaliby fantastyczny świat Niburu, ale język odmawiał ich wypowiedzenia. Kedalion odwrócił się i odszedł. Reede westchnął i ruszył za nim, rozumiejąc, że dla Niburu jest już za późno. Ale to nieważne, dopóki nie będzie za późno dla niego, dopóki nie opuszczało go zdecydowanie.

Wraz z Niburu wyszedł na otwarte miejsce między kopułami. Usiadł tam na składanym stołku i jadł, wyginając usta w całkowicie pustym uśmiechu. Gulasz był smaczny, wypełniało go tyle ognistych przypraw, że wypalały wszelki posmak długiego zamrożenia. Reede skupił się najedzeniu, gryzące zapachy uderzały mu do głowy, cieszył się, że siedzący obok Gundhalinu jest zbyt zatopiony w myślach własnych lub Jeziora, by prowadzić rozmowę. Usiłował nie patrzeć, jak Ananke pozwala Saroonowi wziąć quolla na rękę, jak stworzenie wdrapuje się po przepoconej koszuli munduru, by spocząć pod brodą i tam mrużyć; nie chciał dostrzegać pierwszego uśmiechu, jaki zobaczył na szczupłej, ściągniętej twarzy zwiadowcy; czuć wzroku Niburu obserwującego jego reakcje. Jedyne Hundet wydawał się podzielać jego nastrój, dlatego przyglądał się właśnie jemu.

Oczy Hundeta przeskakiwały po nich wszystkich, Reede ujrzał w nich odbicie własnego wyobcowania. Zwiadowca wylał resztki z butelki ouvungu, pewnie nie pierwszej, jaką opróżnił dzisiaj. Nienawidził tej surrealistycznej pustyni, dziwnie wyglądających obcych, pozaziemców rządzących jego planetą i życiem – wszystkiego, czego nie rozumiał, a to obejmowało wiele spraw. Nienawidził tego, czego się bał, dlatego pił, dopóki wszystko w jego umyśle nie zeszło do poziomu zwierzęcia, którym był. Gdyby prawo nie wskazało mu wroga, znalazłby go w takiej niedojdzie jak Saroon, w żonie, jeśli by ją miał, lub we własnych dzieciach, w swojej nodze, kolbie broni, pięściach. Tacy ludzie przytrzymywali cię pod ciemną, zimną wodą... Reede zaklął i splunął, gdy niespodziewany kawałek przyprawy załzawił mu oczy. Pociągnął długi, nic nie dający łyk ze stojącej u jego stóp butelki chłodnego piwa koloru moczu.

Hundet uniósł oczy i przyłapał jego wzrok, odczytał wyraz jego twarzy, nim zdążył go zmienić na obojętny. Twarz zwiadowcy pociemniała, z wyraźnym wstrętem spojrzał na wszystkich siedzących wokół. Wstał powoli, mrużąc w swym języku jakieś obelgi, i zaczął odchodzić. Odwrócił się, gdy Saroon roześmiał się głośno, reagując na jakiś ruch quolla lub słowa Ananke.

Reede patrzył ze szczególnym odczuciem déjà vu, jak obuta noga Hundeta kopnęła Saroona w tyłek. Quoll wyleciał z objęć rozciągniętego zwiadowcy, kierując się w piecyk. Ananke złapał zwierzątko z instynktownym refleksem akrobaty. Saroon wstał niezdarnie, otrzepał dymiący rękaw, ból i zdziwienie wykrzywiały mu twarz. Hundet warknął rozkaz. Reede patrzył, z nie zamierzoną fascynacją, jak niknie ożywiające twarz Saroona zadowolenie, zostawiając puste miejsce. Oczy zwiadowcy przypominały dziury, były czarne i puste. Bez słowa opuścił krąg milczących,

wpatrzonych w niego obcych i podążył za Hundetem.

Niburu zaklął cicho. Gundhalinu zaczął wstawać, otworzył usta, by krzyknąć coś w gniewie.

Reede złapał go za rękę, ściągnął na miejsce.

– Nic nie mów.

Złość Gundhalinu zwróciła się przeciw niemu.

– Przystanie tak traktować chłopca albo...

– Nie przestanie – powiedział głucho Reede. – Jeśli go objedziesz, zaczeka, dopóki się nie odwrócisz. A wtedy potraktuje dzieciaka jeszcze gorzej, bo przez niego miał kłopoty. Zostaw to.

Gundhalinu spojrział na niego, potem powoli usiadł, wyprany z wszelkiego oporu. Zrezygowany kiwnął głową. Reede spojrział na innych, zobaczył znikającą z twarzy niechęć, pozostawiającą jałowy, daremny gniew. Patrzyli, jak Hundet wsiada do łazika, przygotowuje się tam do snu, rozkazuje Saroonowi, by trzymał wartę na zewnątrz w takim miejscu, by mógł widzieć ich, jak siedzą razem, lecz być za daleko, żeby się przyłączyć.

Po ciągnącej się w nieskończoność ciszy Gundhalinu wstał jeszcze raz.

– To był długi dzień. – Zniknął w swojej kwaterze.

– Saroon jest w wojsku – powiedział Niburu – bo pewnego dnia do jego wioski przyszedł oddział i zagarnął wszystkich młodych ludzi, jakich znaleźli. Służy już trzy lata. Jest osiemnastolatkiem.

Reede spojrział na niego.

– Skąd, u licha, możesz to wiedzieć?

– Zapytałem – odparł Niburu, wytrzymując jego wzrok.

– Niektórych rzeczy nie zdołasz zmienić, Niburu. – Reede odwrócił wzrok. – Chyba że zamierzasz kogoś zabić. – Wstał i nie oglądając się za siebie, ruszył do własnej kwatery.

NUMER CZWARTY: Ogniste Jezioro

Gundhalinu stał w sercu Sanktuarium, na skraju urwiska ponad lśniąca wodą. Widziana przezeń z tej wysokości poruszała się w sposób nieopisanie obcy. Wpatrywał się we wrak czekający w głębinach jak gwiazda, która spadła. Opadły statek gwiazdny. Upał ze zmysłowym pożądaniem lizał jego spocone ciało; w głowie niby zwariowany chór wrzeszczał głos Jeziora. Wsłuchiwał się weń jeszcze chwilę, nim odwrócił w stronę Kullervo.

Reede stał za nim, odziany jedynie w szorty; jego nagie ręce pokrywała szaleńcza obfitość jaskrawych barw i rozedrganych wzorów. Twarz zaczynała porastać broda, blada, nie osłonięta skóra pleców zaczęła, się już przypiekać w palącym żarze. Gundhalinu patrzył, jak nieuważny duch przebił się czerwoną mgiełką przez szczupłe, dobrze umięśnione ciało Kullervo i powędrował w stronę miasta – echo energii jakiegoś poprzedniego mieszkańca Sanktuarium, na zawsze uchwyconego w przypadkowych wspomnieniach Ognistego Jeziora. Uderzyło go, że jak na naukowca, Reede jest zadziwiająco silny i sprawny.

Znowu spojrzął w dół. Jego udręczone oczy widziały w mieście mnóstwo bezcielesnych postaci. Czerwieniały przy przesuwaniu się w stronę przeszłości, niebiesciły przy ruchu w przyszłość, ponieważ, zgodnie z jego wiedzą, Jezioro istniało nie tylko tu i teraz, ale zawsze. Ukazywało mu nawet denerwujące przebłyski z jego przeszłości i przyszłości. Wiedział, że nikt inny tego nie dostrzeże. Nic dziwnego, że ma się za wariata... Zazdrościł Kullervo jego względnej ignorancji, choć Reede nie był tak błogosławienie uodporniony, jak większość ludzi. Reagował na Jezioro zupełnie inaczej niż wszyscy inni i Gundhalinu nie miał pojęcia dlaczego.

Nie były to jednak odpowiednie warunki do rozmyślenia nad tym, nie teraz, gdy Jezioro jak pasożyt żyło w jego umyśle, karmiło się nim w każdej chwili dnia i nocy, gdy tylko przebywał w jego zasięgu. W głowie słyszał, jak mruczy niby morze, głośniejsze teraz, gdy stał tu, przygotowując się do działania. Uczucia Jeziora zlewały się z jego doznaniem, czyniły go ponurym i rozdrażnionym. By skupić myśli, musiał przywołać wszystkie umiejętności samoopanowania.

Całe życie uczono go, że do przyjęcia jest tylko całkowite panowanie nad sobą. Jezioro wykazało mu absurdalność tego nieosiągalnego ideału. Uczyniło lepszym człowiekiem... ale wszystko ma swoją cenę. Nienawidził przebywania tutaj; pragnął, by wszystko się już skończyło. Otarł pot z twarzy, wywołany nie tylko upałem.

Kullervo spojrzął w jarzące się błękitem niebo. Chyba nigdy tu nie padało, było inaczej niż na reszcie Numeru Czwartego, gdzie deszcz na pozór nigdy nie ustawał. Gdy Gundhalinu zerknął na niego, Reede opuścił wzrok, spojrzął ponuro na czekającą daleko w dole rzekę, na prowadzącą do niej wąską ścieżkę wyciętą w skalistym zboczu. Całe ciało miał zaciśnięte jak pięść, a niespokojne niebieskie oczy z lękiem złapanego w pułapkę zwierzęcia dotykały ścieżki, wody, ścian z czerwonej skały, znowu wody.

Od opuszczenia rankiem obozu nie wypowiedział więcej niż trzy słowa. Coś związanego z wodą musiało drażnić jego paranoję, choć się do tego nie przyznawał. Mimo to Gundhalinu był świadom, że Kullervo na pewnym poziomie zawsze odczuwa to co teraz, że ledwo wstrzymuje coś próbującego na żywo zjeść go od środka. Zastanawiał się, czy geniusz Reede'a nie jest również osobistym, gryzącym go robakiem... Gdy o tym myślał, głos Jeziora w jego głowie stał się nagle mniej donośny.

– Zabierzmy się do tego – powiedział Kullervo. Jego głos brzmiał dziwnie odległe. Gundhalinu nie miał pewności, czy efekt ten wynika z właściwości głosu Reede'a, czyjego uszu. Kiwnął głową i podniósł plecak z wyposażeniem. Zarzucił go na ramiona, tak samo jak Kullervo, i ruszył w dół

stromej, wąskiej dróżki, która, bogowie tylko wiedzą jak dawno temu, została wyrąbana w zboczu przepaści. Dokonały tego ludzkie ręce, zaprojektowały ludzkie umysły; był tego pewien. Widział pracujące przy niej poczerwieniałe duchy wspomnień. Zmuszał się do patrzenia pod nogi, jego oczy wolały oderwać się od ścieżki, wpatrywać w leżącą nisko w dole, lśniąca srebrzyście tajemnicę, którą wreszcie mieli zbadać.

Osiągnęli dno wąwozu i stanęli na czerwonej skale brzegu. Gundhalinu patrzył na przepływającą rzekę, dostrzegał teraz wyraźnie, co było takie dziwne w jej ruchu. Woda nie dostosowywała się do praw ciężkości ani ciśnienia atmosferycznego, nie zachowywała jak zwyczajna ciecz. Płynęła zmarszczkami i wstęgami, wijąc się niby wąż; jej powierzchnia nie była gładka, lecz naśladowała strukturę skalistego dna, nad którym się przesuwiała. Wspomnienia Gundhalinu zdawały się krążyć i pędzić tak samo jak rzeka.

– O bogowie – mruknął Kullervo – co to, u diabła?

– Woda – odpowiedział Gundhalinu.

– Woda się tak nie zachowuje! – ręce Reede'a drżały.

Gundhalinu przykucnął, włożył w nurt złożone ręce, uniósł przejrzystą sadzawkę, spoczywającą posłusznie w jego dłoniach. Wypił ją z rozmysłem.

– To woda. Nie wiem, dlaczego tak wygląda. Pewnie jakiś skutek działania pól energii. Nic tu nie ma sensu. Trzeba się po prostu z tym pogodzić.

Kullervo długo nic nie mówił, obaj patrzyli na wodę. Wreszcie zapytał:

– Czy jest zimna?

Gundhalinu zerknął na niego.

– Nie. Teraz jest całkiem ciepła.

Kullervo ściągnął z ramion plecak z wyposażeniem. Położył go na piasku, wyjął i podniósł hełm tlenowy.

– No to w porządku – powiedział, kierując te słowa bardziej do rzeki niż towarzysza.

– Nie musisz tego robić – powiedział nagle Gundhalinu, któremu się przypomniało, co Reede zaproponował mu przed eksperymentem z plazmą. – Mogę ściągnąć Niburu...

– Nie. – Kullervo pokręcił głową i wykrzywił twarz. – Brak mu – kwalifikacji. Muszę... muszę. – Nałożył hełm na głowę, ucinając słowa Gundhalinu.

Ten patrzył na uszczelnianie kasku, zastanawiając się usilnie, czym się kierował Kullervo, przymusem czy tylko wypaczonym poczuciem honoru. Zresztą, czy to ma znaczenie...? Sam przeżył oba te uczucia. Szybko sprawdził swój hełm, bardziej metodycznie małe, twarde urządzenie z tyłu przezroczystej bańki, mieszczące kuleczki tlenowe i układ zamkniętego obiegu. Zdjął koszulę i nasadził hełm, przyciskając go szczelnie do nagiej skóry. Miał wrażenie, że połknęły go jakieś usta, było to trochę przyjemne, trochę denerwujące. Odetchnął głęboko, powietrze dochodziło. Jak przejrzyste ryby przepłynęły przed nim cienie odczytów, nie mających żadnego znaczenia tu, gdzie nic nie było długo prawdziwe.

– Słyszysz mnie? – zapytał.

– Słyszę... A ty mnie? – odparł matowym głosem Reede.

– Dobrze. Gdy dotrzemy do wraku, wprowadzisz mnie w Przekaz i zbadamy statek.

– Zrobimy przegląd... – powiedział Kullervo.

Gundhalinu spojrział na niego, roześmiał się głównie z niespodziewanego odkrycia, że Reede umyślnie zażartował.

– Dwóch obcych bardzo daleko od domu – mruknął, wpatrując się w węzowy nurt, podczas gdy Jezioro przeżuwało jego mózg, oddychając i mrużąc wewnątrz jego głowy. Ruszył naprzód,

wchodząc w letnią wodę – dostatecznie zimną, by ochłodzić spoconą skórę, dostatecznie ciepłą, by mogły się odprężyć jego spięte mięśnie. Zdawało mu się, że czuje mrowiący dotyk na skórze, nie był pewien, czy to doznanie energii, czy tylko przewrażliwione nerwy. Obejrzał się za siebie, by upewnić, czy Kullervo za nim idzie, i zobaczył, jak sztywnymi, niepewnymi krokami wchodzi do rzeki.

Gundhalinu zwolnił, gdy woda doszła mu do piersi; czuł ciepłą, masującą ciało potęgę nurtu, ale nie odniósł wrażenia, iż zwala go z nóg. Poruszał się równie kapryśnie i przypadkowo, jak wszystko tutaj. Zaczerpnął głęboki, niepotrzebny wdech i zanurzył się pod powierzchnię. Przedzierał się w stronę jasnej, ciepłej głębi, mając nadzieję, iż Kullervo nadal za nim podąża. Zobaczył czerwoną skałę opadającą w głąb krystalicznej czystości rzeki. Nie potrafił zmierzyć głębokości, na której leży wrak. Jego przypominające kwiaty, organiczne kształty były doskonale widoczne pomiędzy ciemnozielonymi koronkami roślin obrastających krętymi wzorami zalegające dno kamienie.

Jak we śnie... Tak właśnie pomyślał, gdy zobaczył go po raz pierwszy, nadal odnosił takie wrażenie przy każdym powrocie. Zdawało mu się, że jest przeklęty, skazany na wieczne przybywanie do tego świata snów, zakończy się to dopiero wtedy, gdy Jezioro go zniszczy albo się nawzajem uwolnią.

Przerwał schodzenie w dół w połowie kroku i spojrzał w górę i tył, zobaczył nad sobą Kullervo. W aureoli przefiltrowanego światła wyglądał niby odpowiedź na modlitwę. Poczł, że jest wciągany wzwyż, i podjął przedzieranie się w stronę źródła rzeki.

Wrak leżał teraz pod nim, odbijał światło prosto w jego oczy, fragmenty statku gwiazdnego były tak doskonale zachowane, jakby trafiły tu przed tygodniami, a nie tysiącami lat. Był pewien, że nie wyglądały tak nowo za pierwszym razem, gdy je zobaczył; dopiero gdy rozwiązał zagadkę tożsamości Jeziora, mogło ono wysłać falę przez czas i jakoś odmłodzić statek. Przypomniał sobie męczącą ekstazę radości Jeziora, jaka wypełniła go w chwili, gdy wreszcie rozpoznał, czym są zniszczone kształty statku... Zrozumiał nagle, że właśnie teraz, gdy schodzi w te głębiny, jego umysł jest jaśniejszy i swobodniejszy niż kiedykolwiek od chwili przybycia, jakby Jezioro ofiarowało mu przestrzeń, w której mógł działać normalnie.

Wreszcie dotarli do wraka, zaczął już podejrzewać, że są zawieszeni nie tylko w płynie, lecz także w czasie. Wyciągnął rękę, poczuł elektryczny impuls triumfu, gdy zacisnął ją na gładkim, zimnym metalu, zakotwiczył się przeciwko wodzie wzbijającej się z otaczających go niewyobrażalnych głębin. Usłyszał, jak Kullervo chrząknął z ulgą, gdy złapał się metalu.

– To jednak prawdziwe – powiedział słabo Kullervo.

Gundhalinu kiwnął uśmiechniętą głową.

– Zadaj mi pytanie. Wejście... – Przywarł mocniej do metalu, czując początek długiego upadku w całkowitą ciemność czy znajdujący się niewiarygodnie daleko obcy umysł; pytanie Kullervo wypełniło mu myśli i wprowadziło w Przekaz...

Był w miejscu wymykającym się opisom... Unosił się, wyzwolony od ciężenia, w czarnej jak noc pustce kosmosu, otaczały go jaskrawe błyski światła; zamrugał, gdy pozorną nicość przeszyły pola energii jakiejś niewidocznej siły. Wokół niego leżały ogromne, szkieletowe kształty, ciągnęły się tak daleko, jak sięgał wzrokiem. W najwidoczniej celowym ruchu roily się między nimi obłoki lśniącego pyłu. Wojna, obca forma życia? Jego umysł usiłował połączyć się na nowo, nie ulec panice, wychwycić sens tego, co widzi; pojmował, iż nagle wyrwany z ciała może się znaleźć, podobnie jak i ono, w dużym niebezpieczeństwie.

Coś objęło jego ramiona; zdrygnąłby się ze zdziwienia, gdyby tylko miał władzę nad pożyczonym ciałem. Przed jego oczyma pojawiły się kształty – ludzkie kształty, ludzkie twarze; tony

ich głosów brzmiały uspokajająco, choć nie rozumiął języka, w którym przemawiały. Słyszał ich, choć, jak się okazało, nie nosili skafandrów kosmicznych, podobnie jak i on... Zauważył, że dłoń niezupełnie dotknęła jego ręki, gdy został wciągnięty pod majaczącą kratę, gdzie, jak mu się zdawało, znalazł bezpieczne schronienie i gdzie pozostał. Nad – lub pod sobą – zauważył krzywiznę zarysu planety.

Stocznia. Nieodgadnione rzeczy złożyły się nagle we wzór, jaki rozpoznał: stocznia na orbicie, lecz posługująca się metodami produkcyjnymi bardziej wyrafinowanymi niż używane przez Kharemoughi, tworząca statki o kształtach nigdy przezeń nie widzianych. Statki wykorzystujące szybszy od światła napęd gwiazdny. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie został odesłany w czasy Starego Imperium, wspominał, co go spotkało podczas wtajemniczenia w Przegląd. Ale nie – był więźniem pożyczonego ciała, a nie aktorem w sztuce; to zwyczajny Przekaz. Musiał się znaleźć w takiej części byłego Imperium, która nadal dysponowała napędem gwiazdnym i wiedziała, jak budować posługujące się nim statki. W opróżnionym przez niego ciele znajdował się teraz jakiś inżynier, przymusowo tłumaczył Kullervo, jak funkcjonuje zespół napędu gwiazdowego, który na pewno się tu znajduje, jak można go uratować, naprawić; pożyczył wszystko, nawet funkcje jego mózgu, język, głos.

A on tu, z drugiej strony, może tylko czekać. W daremnej frustracji rzucał się w trzymającym go w więzach, nie odpowiadającym ciele, nie był w stanie zadać choćby jednego z wypełniających mu głowę niezliczonych pytań, zobaczyć coś więcej z tego wszystkiego, co widzi. Ale tak jest w porządku. Pewnego dnia, już niedługo, to stanie się moją stoczną, Kharemoughi. Statki Hegemonii gotowe będą przemierzać nieskończone dale nocy w drodze do dowolnego, wybranego przez siebie świata... na Tiamat. Do Moon. Gromadził w pamięci wszystko, co tylko zdołał ujrzeć z wizji przyszłości...

Oszalamiające wirowanie zaczęło go znowu wciągać, a czerń kosmosu stała się prawdziwą, całkowitą ciemnością...

A z drugiej strony płynęło, unosiło ku światłu...

– Koniec analizy! – Usłyszał echo wypowiedzianych przez siebie słów, ciągle rozbrzmiewały mu w głowie. Pokręcił głową, gdy teraźniejszość rozwinęła się przed nim, gdy mógł już swobodnie patrzeć na jaskinię barokowego światłocienia, która zdołała jakoś ogarnąć go niby podarte skrzydła w czasie przebywania poza ciałem.

Przed nim zmaterializował się Kullervo, próbował uspokoić jego ruchy. Palce Reede'a musnęły uszczelnienie hełmu; Gundhalinu odepchnął je odruchowo. Kullervo cofnął się, opuścił ręce wzdłuż boków.

Jedno spojrzenie na twarz Reede'a udzieliło Gundhalinu upragnionej odpowiedzi, nim jeszcze zdołał zadać pytanie: Tak. Tak, zespół napędowy jest tam, dostępny, możliwy do uratowania... Tak, już niemal po wszystkim; tak, wreszcie mogą wyrwać stąd piekło – W minie Kullervo kryło się coś jeszcze, rodzaj zdumienia bliskiego grozy, które widział często w oczach innych ludzi, lecz nigdy przedtem u Reede'a. A także coś, co mogło być wątpliwością.

– ...wszystko. To dobrze, idź, sprowadź Niburu i zrób to... – Kullervo odwrócił się nagle, gdy Gundhalinu uświadomił sobie, że mówi, przekazuje słowa, jakie już zna.

– Wydostaniemy się stąd...

Gundhalinu znowu na niego spojrział, jego zmieszanie stało się teraz szczere, pojął, że muszą się znajdować gdzieś w głębi wraku. Nagle zapragnął zbadać statek własnymi oczyma, czuć czystą radość patrzenia, dotykania, poznawania... Ale wyczuwał rozpaczliwą potrzebę Kullervo wydostania się stąd i kiwnął głową.

– Którędy? Jak się tu znaleźliśmy? – Dziwnie załamujące się światło, odbicia i cienie pokrywające ściany z wygiętego metalu splotły w węzły jego wzrok, gdy tylko zaczął szukać wyjścia.

Twarz Kullervo ściągnęła się wyraźnie.

– Wprowadziłeś nas tutaj. Myślałem... – Urwał, zrozumiał, że wiodło ich coś innego, że Gundhalinu nie zna drogi, którą dotarli do tego miejsca. – No, szliśmy... weszliśmy tutaj... chyba...

– Wzbił się łukiem w rozjaśnionym, płynnym powietrzu. Gundhalinu ruszył za nim, patrzył, jak Kullervo znika w przypominającym drzwi otworze i niemal natychmiast pojawia znowu. – Nie. Zła droga. – Gundhalinu zobaczył, jak wewnątrz hełmu po policzku Kullervo spływa strużka potu. – Byłem pewien... ale światło się zmieniło albo coś innego. To musi być tam...

Gundhalinu złapał go za rękę, przyciągnął z powrotem.

– Zaczekaj. Daj mi chwilę... – Przebijające strzaskane ściany jaśniejące otwory i okna wielkości pięści wpuszczały światło. Oznaczało to, że najprawdopodobniej znajdują się w pobliżu zewnętrznego kadłuba statku, ale nie ma tam wyjścia. Przeszukiwał budzące klaustrofobiczny lęk miejsce, próbował na tyle zebrać myśli, by móc przywołać tkwiący w jego pamięci schematyczny plan statku Starego Imperium i nałożyć na to, co teraz widzi, ocenić, w jakim miejscu szkieletu kadłuba się zgubili. Środek frachtowca Starego Imperium mało przypominał wnętrze okrętów Hegemonii. Wszystkie statki budowane po upadku Imperium były małe i zwarte, wyglądem przypominały monetę, jedyny kształt, który umożliwiał przejście przez Czarne Wrota. Trzeba było całej ich floty, by przewieźć towary, jakie transportował jeden z tych frachtowców. Ten statek, podobnie jak większość pochodzących ze Starego Imperium, nie miał nigdy przedostać się przez Czarne Wrota – ani nawet wylądować na powierzchni planety. Składał się z kanciastych przedziałów zawierających ładownie, pomieszczenia dla załogi, napęd...

– Gdzie jest zespół napędowy?

Kullervo wskazał w dół, na znajdujące się z prawej strony pod nim nieodgadnione narośle sprzętów. Umieściwszy na planie to miejsce, Gundhalinu zaczął rozpoznawać przejrzyste powierzchnie, które ongiś wyświetlały dane, żyły językami martwych planet.. dostrzegać wejścia umożliwiające naprawy i połamane fragmenty wyposażenia. Spojrzał w lewo, zobaczył otwór tam, gdzie się go spodziewał. – Tędy. – Wskazał ręką i ruszył, płynąc w stronę wyjścia.

Kullervo podążył za nim tak blisko, następując mu na pięty, że niemal utworzyli jedną postać. Dotykał go fizycznie co kilka metrów, gdy płynęli przesuwanymi się płynnie tunelami, pokonywali przepastne ciemności i pstrokate krzywizny tego, co kiedyś zapoczątkowało istnienie Ognistego Jeziora.

– Ile jeszcze? – Niecierpliwy głos Kullervo i jego ręka zatrzymały Gundhalinu, gdy tylko precyzyjnie się obok wybrzuszonych kawałków ściany.

Gundhalinu zamrugał, gdy w oczy uderzyła go kolumna czystego, zielonego jak morze światła. – Już jesteśmy. – Wskazał czekającą przed nimi sporą dziurę w kadłubie.

Głowa i ramiona Kullervo wysunęły się przed jego biodra, jakby nie mógł się on doczekać, aż zostanie przepuszczony. Rozpaczliwie pragnął ujrzeć światło. Wybuchnął śmiechem lub czymś podobnym.

– Gundhalinu...

BZ opuścił wzrok, gdy dłoń Reede'a jak w imadle ścisnęła jego ramię. Zastygł bez ruchu na widok metalicznego błysku w drugiej, wzniesionej ręce Kullervo...

Reede szarpnął się nagle, szaleńczo, puścił Gundhalinu i złapał za własne gardło i przejrzystą ściankę hełmu. BZ zobaczył niewielką mgiełkę krwi wypływającą z rozdarcia na ramieniu Kullervo w miejscu, gdzie kawałek pokręconego wraku rozorał jego ciało i zerwał uszczelnienie hełmu. Ujrzał

wykrzywioną przerażeniem twarz Reede'a, przesłanianą bąbelkami powietrza ulatującymi z zerwanego uszczelnienia, wypychanymi przez wdzierającą się do środka wodę.

Kullervo zatoczył się, usiłował wyminąć Gundhalinu, odepchnął go na bok, gdy ten próbował zatamować potok uciekającego powietrza. Rzucający się w panice Reede zerwał hełm, odrzucił go w prąd wiodący w głąb mrocznego serca wraku. Kullervo runął za nim, dążąc do pewnej śmierci.

Gundhalinu złapał go w pasie, odciągnął w stronę światła, otworu, ratunku. Kullewo rzucał się dziko, lecz woda zwalniała jego ruchy, tak iż BZ zdołał przedostać się za niego, otoczyć ramieniem gardło i pociągnąć za sobą, niby złapaną na haczyk rybę wywlec poza otwór.

Gundhalinu wznosił się w górę w rozjaśniających się głębinach rzeki, czuł, że Kullervo miota się coraz słabiej. Wydawało mu się, że całą wieczność płynie przez zielone światło wypełniające mu głowę niby muzyka, niby halucynacje, niby sen. Bolały go płuca; zrozumiał, że wstrzymuje oddech, liczy uderzenia serca. Wciągnął pełen haust powietrza, niezupełnie dowierzając, iż jest to możliwe. Zamknięty w jego uchwycie Reede przestał walczyć, a gdzieś nad nim, wewnątrz rozjaśniającego się coraz bardziej tunelu światła było powietrze...

Przebił głową powierzchnię wody, otoczyły go ściany wąwozu, przed oczami pulsował mu kolor krwi. Popłynął do brzegu, wlokąc za sobą bezoporne ciało Kullervo. Wyciągnął je na plażę i opadł na kolana, ściągając własny hełm.

Leżący obok Kullervo odetchnął niepewnie, otworzył czyste, niebieskie oczy, popatrzył niedowierzająco. Gundhalinu usiadł, gdy Reede zdołał przekręcić się na bok, zakasłał i wymiotował wodę na ciepłą, czerwoną skałę. Opadł z pustymi, odbijającymi niebo oczyma.

– Reede... – Gundhalinu niepewnie dotknął jego ramienia.

Kullervo spojrział w stronę głosu i otworzył usta, ale nie wydobył z nich żadnego słowa. Podparł się na łokciach, spojrział na swe ciało i ciągle zanurzone w wodzie nogi.

– Próbowałem mnie utopić – wymamrotał.

– Kto? – zapytał Gundhalinu.

– Zabiję to ścierwo,! – Dłonie Kullervo zacisnęły się w pięści, usiłował usiąść prosto.

Gundhalinu znowu położył mu dłoń na ramieniu, przytrzymał.

– Uspokój się... Straciłeś hełm. Został we wraku. – Pokazał Kullervo świeżą ranę na ramieniu, ciągle pokrytą cienką warstwą krwi.

Reede przetarł oczy, spojrział w górę.

– Uratowałeś mi życie – mruknął.

– Nie było w tym nic takiego...

– Nie mów tak! – rzucił wściekle Kullervo. – Moje życie jest gównem i nie dbam o to, czy jutro nie umrę – ale nie w ten sposób. Śnię koszmary o takiej śmierci... – Oczy mu pociemniały. – Jestem twoim dłużnikiem.

– Nie było w tym nic takiego, czego byś nie zrobił dla mnie – dokończył Gundhalinu.

Kullervo długo się w niego wpatrywał, bez ruchu, wreszcie opuścił wzrok. Wstał niepewnie. Spoglądał wzdłuż brzegu w stronę wiodącej w górę ścieżki, powlókł się do niej, podpierając się jedną ręką o skałę. Nie oglądał się, nie oczekiwał pomocy.

Gundhalinu wstał także i poszedł za nim, głos Jeziora wypełniał go niby śmiech szaleńca.

NUMER CZWARTY: Koniec Świata

– Co o tym sądzisz? – zapytał niecierpliwie Gundhalinu.

Reede spojrzął na odczyty i powoli kiwnął głową.

– Wygląda nieźle... – Dokonali drobnych napraw ocalałego zespołu napędowego. Kierował nimi Gundhalinu, lecz Kullervo ponaglał i teraz umieszczał wewnątrz próbkę napędu gwiazdowego. BZ chciał zaczekać, aż wróca do cywilizacji, ale był naciskany, namawiany – Reede wiedział, iż jego towarzysz tak samo jak on nie może się doczekać odpowiedzi, iż kusząc go odpowiednio mocno, złamie wrodzone poczucie odpowiedzialności.

Kullervo spróbował presji i przekonał się, że miał rację. A teraz kładł plazmę napędu gwiazdowego do przeznaczonego dla niej wzorca. Na ekranach obrazujących cały proces obserwowali, jak plazma trafia do swej nowej siedziby, i wyglądało na to, że wszystko idzie dobrze. Ten fragment był niewiarygodnie dobrze zachowany, jak na urządzenie umieszczone we wraku od bogowie tylko wiedzą jakiego czasu zagrzebanego pod wodą. To napęd gwiazdny powodował, iż w Końcu Świata nic nie przestrzegało praw znanego ludziom kosmosu. A jego plazma chciała, by ten zespół przetrwał, podobnie jak i ona sama...

– Myślę, że jest szczęśliwa – powiedział wreszcie.

Gundhalinu podszedł bliżej, przyjrzał się obrazom na ekranach.

– Ja też... – Wydał okrzyk czystej dumy. – Bogowie, nigdy nie byłem równie szczęśliwy! Dzięki wam, bogowie!

– Ja też nie – Reede zmusił się do wypowiedzenia tych słów, niemal je wypluł, gdy duma utknęła mu w gardle. Ujął wzornik. We wnętrzu zaciśniętej pięści czuł jego kamienną twardość i wagę. Spojrzął na Gundhalinu. – Ponieważ więcej cię nie potrzebuję. – okręcił się, celując w głowę Gundhalinu.

Ten już zareagował, jakby zdobyty podczas lat służby w Policji szósty zmysł powiedział mu o czymś, czego nie mógł wiedzieć. Zawołał zwiadowców kręcących się na zewnątrz i rzucił się w tył, nim Reede zdołał zmienić kierunek swego zamachu. Wpadł na stojący w zatłoczonym pomieszczeniu stół.

Ściskająca wzornik pięść Reede'a trafiła go w policzek, posłała na stos sprzętów. Gundhalinu upadł, ściągając deszcz urządzeń elektronicznych. Leżał nieruchomo, Kullervo zobaczył krew.

Reede okręcił się, gdy Hundet wpadł do namiotu. Zwiadowca pojął wszystko od jednego spojrzenia; zaczął unosić do ramienia trzymany w rękach karabin ogłuszający.

Reede sięgnął gorączkowo po nóż za pasem. Rzucił nim bez celowania, ufając instynktowi i doskonałemu refleksowi. Ostrze ugodziło Hundeta w pierś, impet powstrzymał jego ruch w przód. Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę zwiadowca zdawał się wisieć, unosić w powietrzu, nim wreszcie zawiodły go nogi i upadł twarzą na podłogę. Reede w czasie krótszym od uderzenia serca dotarł do miejsca, gdzie Hundet leżał w rozrastającej się kałuży krwi. Przewrócił go nogą.

Martwy. Oczy Hundeta patrzyły na niego z nienawiścią, gdy się pochylił i wyrwał nóż z ciała trupa. Obojętnie wytarł ostrze o tunikę zwiadowcy i włożył do pochwy przy pasie. Podniósł karabin, sprawdził nastawienie. Zmienił je na ładunek maksymalny, teraz łatwo mógł na dużą odległość unieruchomić człowieka, zaś na małą zabić. Wyszedł z bronią na zewnątrz.

Zwiadowca Saroon stał na otwartej przestrzeni między kopułami, niepewnie ściskając karabin. Z napiętą, zmartwioną miną obserwował Niburu i Ananke, którzy przyglądali się laboratorium. Wyraz twarzy ich wszystkich zmienił się gwałtownie, gdy Reede wyszedł z kopuły, trzymając w dłoniach broń Hundeta.

– Stój! – powiedział Reede, ale mógł oszczędzić śliny. Saroon już przedtem znieruchomiał, jego mina wyraziła patetyczne poczucie zdrady, gdy zrozumiał, co musiało się stać. Nie wierząc w to, spojrział znowu na Niburu i Ananke; jego karabin zadrżał.

– Rzuć to – powiedział Reede, kiwając własną bronią. Saroon odrzucił karabin i uniósł rękę. Zerkał ukradkiem na namiot, wbrew wszystkiemu żywiąc nadzieję, że ktoś jeszcze z niego wyjdzie. Niburu – zawołał Reede – Ananke. Po wszystkim. Mamy wszystko, po co przybyliśmy, a nawet więcej. Wejdźcie tam i do roboty – zabierzcie zespół napędowy do łazika. Odlecimy, gdy tylko zajmę się szczegółami. – Podeszedł kilka kroków w stronę Saroona, osiągnął śmiercionośny zasięg i znowu uniósł broń. Saroon usiadł nagle na piasku, zawiodły go kolana. Reede wycelował w dół.

– Nie, Reede...!

Kullervo ze złością opuścił karabin, gdy Niburu stanął mu przed muszką.

– Cholera! Zejdź mi z drogi, diabelny głupku.

Niburu stał jednak nieruchomo, umieszczając własne ciało jak tarczę między drżącym chłopcem a bronią.

– Nie możesz tego zrobić. Co ci to da?

– Owszem, mogę. Zejdź z drogi. – Reede skinął karabinem, poczuł, jak twarz mu znowu twardnieje. – Wynoś się stąd, jeśli nie chcesz patrzeć. Ale spieprzaj mi z drogi. Już!

– Nie. Nie pozwolę ci go zabić. – Niburu wyprostował się z bladą twarzą i zaciśniętymi wargami. Ledwo co przewyższał wzrostem klęczącego zwiadowcę, ale ten widok ani trochę nie śmieszył Reede'a. Ananke powoli, jakby pod wpływem hipnozy, przesunął się w bok, by wzmocnić ludzką tarczę. Dłonie Kullervo zacisnęły się na broni.

Gdy ta znowu zaczęła się wznosić, Ananke spojrział w bok, jego uwagę przyciągnął jakiś niespodziewany ruch. Reede podążył za wzrokiem chłopca, zaklął, gdy dojrzał – ktoś zniknął za zakrętem wąwozu. Gnał szaleńczo w stronę Ognistego Jeziora.

Reede pobiegł do namiotu. Jedno zerknięcie powiedziało mu o wszystkim, co chciał wiedzieć. W przeciwległej ścianie kopuły ziała dziura, wpuszczając światło dnia. Gundhalinu uciekł.

Reede podążył za nim parowem, zapominając o zostawionym w tyle Saroonie. Liczył się tylko Gundhalinu, to jego musi powstrzymać. Bo kierował się w stronę Jeziora, nie wiadomo dlaczego. Wąwóz zdawał się ciągnąć bez końca, lśnić upałem, aż Reede zaczął się rozpaczliwie zastanawiać, czy Jezioro nie zmienia okolicznej rzeczywistości, nie rozciąga czasoprzestrzeni, by nigdy nie dopadł swego łupu. O mało co nie utonął, bo Jezioro chroniło Gundhalinu, bo go kochało...

Ale w końcu wypadł z wylotu parowu, ujrzał stojącego na brzegu Gundhalinu, jego podświetlona piekielnym blaskiem Jeziora sylwetka odcinała się od nagich, udręczonych skał. Zwrócony twarzą do plazmy uniósł rękę, by coś rzucić...

– Gundhalinu! – krzycząc to, Reede jednocześnie uniósł broń. Wystrzelił.

Trafiony Gundhalinu zatoczył się, wstrząs pchnął jego ramię. Dłoń wypuściła to, co trzymała, potem układ nerwowy uległ paraliżowi i zwałił ciało na plażę. Reede zobaczył, jak coś zbyt małego, by to rozpoznać, znika w migoczącym żarze.

Kullervo podbiegł do brzegu, przykucnął, przewrócił na plecy bezwładne ciało. Gundhalinu patrzył na niego, był zakrwawiony i posiniaczony, lecz całkowicie przytomny.

– Co to było? – zapytał gwałtownie Reede. – Co wrzuciłeś do Jeziora?

Gundhalinu nie odpowiedział, musiał milczeć bez względu na to, czy chciał, czy nie, bo nie miał już władzy nad swym ciałem. Oddychał urywanymi sapanieściami. Dostał potężną dawkę, ucierpiał jego autonomiczny układ nerwowy. Mimo to Reede ujrzał, jak w miejsce wściekłości i poczucia zdrady w oczach leżącego pojawia się triumf.

Reede kopnął go za brak odpowiedzi, że złości lub czegoś jeszcze mroczniejszego. Twarz Gundhalinu wykrzywił ból. Kullervo wyprostował się, spojrzął na Jezioro; niemal oślepiony wypatrywał jakiejś wskazówki. I dostrzegł ją – błysk, zmarszczkę, lśniąca zmianę zniekształcającą wszystko wokół. Niemal to czuł... sprawdzała się jego największa obawa. A jednak gdzieś w środku wypełniał go podziw.

– Zrobiłeś to, tak? – zapytał, patrząc znowu na Gundhalinu. – To był wirus! Zakaziłeś nim to całe pieprzone Jezioro! – Ukląkł, złapał Gundhalinu za przód przepoconej koszuli i zmusił do siadu. Drugą ręką przyciągnął podrapaną twarz, aż z bliska popatrzyli sobie w oczy. Gundhalinu przyjął jego wzrok niewzruszenie, potem mrugnął raz, jakby w potwierdzeniu.

Reede uderzył go, mocno; ból ofiary przejął go takim samym oszalamiającym doznaniami przerażenia i przyjemności, co cierpienie tkwiące w nim samym.

– Chciałem cię zabić, bo musiałem, bo wiedziałeś za dużo... Teraz jednak jest już na to za późno. Teraz zabiję cię z zemsty. – Puścił Gundhalinu, pozwolił mu opaść na nierówną powierzchnię skały. Dźwignął się na nogi.

Chwycił karabin ogłuszający i wycelował nim w głowę Gundhalinu. Twarz leżącego nie zmieniła wyrazu, nie mogła, lecz w jego oczach Reede dostrzegł desperację i strach... żal, zdradę, stratę. Muszka broni obniżyła się powoli, gdy Kullervo opuścił nagle pozbawione sił ręce. Zamiast jawy ujrzał obraz czerwonej skały i jarzącego się nieba, wiszącej nad nim twarzy Gundhalinu, wypełniła go wiedza, że człowiek, którego dopiero co chciał zabić, uratował go przed utonięciem.

Jego wściekłość i zdecydowanie roztopiły się w czystej, słodkiej rzece pamięci. Wspomniał wszystko, co osiągnęli razem, niesamowite zazębianie się ich umysłów, wiedział, że nigdy przedtem nie pracował z kimś, kto... kto... Odwrócił się plecami od nagiej bezbronności Gundhalinu, popatrzył na uspokojone, oślepiające Jezioro, oblicze Chaosu. Słuchał, jak krzyczy w jego głowie. W wyniku ich wspólnych osiągnięć zaczęło się już zmieniać w coś nowego, w Ład...

Cisnął karabin, patrzył, jak spada koziółkując, aż wreszcie zniknął w kłującej oczy mgle, tak samo jak przedtem zniknęła rzucona przez Gundhalinu fiolka.

Odwrócił się, oczy płonęły mu widzianym obrazem, ręce drżały.

– Ilmarinen... – szepnął. Opadł na kolana, ujął dłoń Gundhalinu, przycisnął do swej twarzy, ust. Opuścił wzrok, zobaczył, jak spoza krat sparaliżowanych palców BZ wpatrują się weń jego udręczone, nic nie rozumiejące oczy. Ilmarinen – Umysł mu się zapadł, czarna dziura w sercu rwała na strzępy wszystkie spójne myśli.

Wstał chwiejnie, spojrzął w stronę Jeziora i z nagłą wściekłością znowu na Gundhalinu.

– Czemu mi to zrobiłeś? Muszę cię zabić! – Jego dłoń, zachowując się teraz jak powodowana własną wolą, wyszarpnęła zza pasa nóż, jego ciało przyklękło obok leżącego ciała. Przycisnął ostrze do gardła Gundhalinu. Reede drżał teraz cały. Tkwił tak, niezdolny do dopełnienia zamiaru, jak i jego ofiara sparaliżowany udręką niemożliwej do zniesienia straty.

Upadł na plecy, nóż wypadł mu z dłoni i zabrzęczał na gorącej powierzchni nierównej skały. Pod rękoma czuł nacisk niezliczonych, krzyczących ust i oszalałych oczu.

– Wstawaj! – krzyknął, zwracając się teraz do siebie. – Wstań i zrób to! Zrób! Zrób! – Znowu chwycił nóż.

– Reede!

Kullervo obejrzał się, niemal ze zdumieniem ujrzał wynurzającego się z wąwozu Ananke; przypomniało mu to, że on i Gundhalinu nie są jedynymi pozostałymi przy życiu ludźmi we wszechświecie.

– Reede! Chodź! – Ananke machał ręką, niemal piszczał, wskazując na obóz.

– Co? – zawołał wściekle Reede i wstał z nożem w ręce.

– Kedalion powiedział, że musimy się stąd wynosić!

– Czemu?

– Bo on wezwał wojsko!

Reede zaklął. Zmusił się, by po raz ostatni spojrzeć na Gundhalinu... ujrzał koniczynkę lśniącą jak gwiazda na jego piersi, usłyszał ochryple odgłosy ciężkiego oddychania. Kullervo dotknął ukrytego pod koszulą wisiorka z solią.

– No to żyj, psiakrew... – powiedział drżącym głosem. – To i tak nieważne. Mamy to, czego chcieliśmy. – Cofnął ciężki but, z całej siły kopnął Gundhalinu w bok; oszołomiła go ulga, gdy usłyszał cichy, bezwiedny krzyk.

Reede zaczął biec, zatrzymał się dopiero przy czekającym Ananke. Uderzył go w ramię, wyrwał chłopca z zagapienia.

– Nie żyje? – zapytał cicho Ananke, wpatrując się nadal w nieruchome ciało Gundhalinu.

Reede nie odpowiedział, pociągnął chłopca wąwozem, skierował w stronę biwaku.

– Niburu!

Po dotarciu do obozowiska zastali Kedaliona stojącego z założonymi rękoma przy łąziku, zdawało się, że to jedna z wizyt w mieście. Z ramienia zwisał mu drugi karabin ogłuszający. Reede ani przez chwilę nie wierzył w rysujący się na twarzy Niburu wyraz spokoju i opanowania. Saroona nie było nigdzie widać; Kedalion musiał go gdzieś odesłać. Reede teraz o to nie dbał. Zwiadowca Saroon to tylko drobny kłopot, szczególnie, luźny koniec w nagle zarzuconej sieci o licznych okach...

Reede przeszedł obozem do Niburu, ciągle ścisnął w dłoni nóż, nie dbał o to, że Kedalion ma karabin ogłuszający, a on sam nie. Pilot patrzył na nadchodzącego, nie próbując zdjąć broni.

– Wezwałeś oddziały? – warknął Reede, spoglądając na uniesioną twarz Niburu.

Kedalion skurczył się na widok górującego nad nim Kullervo, jakby nagle ujrzał mściwego demona.

– Tak – odparł cicho, lecz pewnie.

– Czemu? – krzyknął Reede i ujrzał, jak pilot się wzdryga.

– Bo gdybym tego nie zrobił, złapałbyś go i zabił. – Saroona. Reede wessał haust płonącego powietrza.

– Skąd jesteś taki pewien, że nie zabiję ciebie? – szepnął, tak ustawiając nóż, by twarz Niburu odbiła się w jego ostrzu.

Kedalion cofnął się z wysiłkiem.

– Bo jestem twoim pilotem – powiedział. Oczy miał jasne, głos spokojny. – Bo mnie potrzebujesz.

Reede patrzył na niego bez ruchu, bez słowa.

– Szefie, pora się stąd wynosić. – Niburu wskazał głową na łązik. – Na pokładzie mamy już wszystko co ważne, poza nami.

– Naprawdę gotów jesteś umrzeć, by uratować tego żalosego, mazgajowatego smarkacza – mruknął Reede. – A nawet zabić dla niego nas wszystkich. Teraz ocaleje, a rząd Czwórki będzie mógł do końca jego żalosego życia bić gówniarza w dupę.

Niburu patrzył na niego śmiało.

Reede uderzył go otwartą dłonią, powalił na ziemię.

– Czy przyszło ci do głowy – krzyczał – ty maniakule sprawiedliwości, że Czwórka będzie śledzić ten pojazd i go zestrzeli?

Niburu spojrział na niego szklistymi oczami.

– Nie wytropią nas tutaj... – pokręcił głową.

– Nie wiesz tego. – Reede otarł spoconą twarz. – Niczego nie możesz tu być pewny, to oczywiste! Gundhalinu zaraził Jezioro mikrowirusem, ty idioto! Bogowie tylko wiedzą, co się tu teraz zacznie dziać.

Niburu pobladł.

– Ja...

– Jak według ciebie mamy się uratować po opuszczeniu Końca Świata, dotrzeć do Bramy Czwórki, nie wspominając już o osiągnięciu orbity i naszego statku, skoro już tak skutecznie zwróciłeś na nas uwagę? Niby czemu według ciebie nie chciałem zostawić żadnych świadków!

– Myślałem...

– Nie, nie myślałeś – warknął Reede. – Nie myślałeś, żalosny kretynie, zupełnie nie myślałeś!

– Ale i tak możemy uciec. Mamy napęd gwiazdny.

– To nie wystarczy... – Reede urwał, skrzywił się lekko. Mają działający zespół, Gundhalinu pokazał mu, jak go programować. Zdrowej plazmy sprytmaterii jest zaledwie tyle, by po wlaniu do zespołu mogła się powielić, co dopiero mówić o wprawieniu w ruch... nie wystarczy jej, by przenieść statek przez przestrzeń międzygwiazdną. Jeśli jednak uda mu się do niej dotrzeć, zdoła może w mgnieniu oka przeskoczyć z nimi na drugą stronę planety, na orbitę... Poczuł, jak brzęczące włókienka jego umysłu zaczynają osiągać harmonię, gdy tylko skupił się na wszystkich możliwościach. Jego myśli biegły z oślepiającą jasnością po wejściu na szlak, gdzie musiały się zmierzyć z problemem możliwym do rozwiązania jedynie przy zastosowaniu czystej logiki.

Szarpnął Niburu, wskazał ostro na drzwiczki łazika.

– Jedyłą twoją nadzieją, pilocie, jest to, że okażesz się sprytniejszy, niż sądzę. Bo jeśli się pomylisz, zginiesz. Wszyscy zginiemy.

TIAMAT: Krwawnik

– Bogowie, co to za ulga móc wreszcie zjeść coś zwyczajnego! – Tor Starhiker wyszła z małej letniackiej knajpki, leżącej zaledwie dwa poziomy nad portem. – Nigdy nie sądziłam, że zatęsknię do gulaszu z ryb, ale po trzech latach kuchni Shotwyna nawet ja nabrałam ochoty na wodorosty... Schodek w dół, Fate.

– Smakowało wspaniale. – Fate Ravenglass znalazła stopień laską, potem nogą. Wzięła Tor pod ramię i włączyły się w przesuwaną ulicą tłumy, tworzyli je głównie rybacy i dokerzy w burych, ciężkich ubraniach. Wyróżniała się wśród nich garstka jaskrawo odzianych Zimaków, poszukujących tu wyrobów i towarów z leżących na wybrzeżu plantacji.

Tor ze zręcznością wynikającą z długiej praktyki prowadziła Fate między kłębiącą się ciżbą. Każdy, kto zauważył koniczynkę wiszącą na słowiałej, niebieskiej kiedyś tunice Ravenglass, sam usuwał się z drogi. Fate nie chciała się rozstać z szafą dziwnych, od dawna niemodnych pozaziemskich strojów. Większość z nich uszyto z satyny, aksamitu lub innych przyjemnych w dotyku tkanin. Mówiła, że nie obchodzi ją, jak wygląda, bo i tak tego nie widzi. Liczyło się tylko odczuwanie strojów, podobnie jak i starych przyjaciół.

– Myślałam, że lubisz jedzenie u Shotwyna – powiedziała Fate z lekkim zdziwieniem. – Czy to nie dlatego wszedłeś z nim w spółkę?

Tor wzruszyła ramionami.

– Teraz sędzę, że dlatego iż uważałam go za bardzo odkrywczego w łóżku. – Roześmiała się. Shotwyn Crestrider należał do jednego z tych zimackich rodów, które wzbogaciły się na handlu z pozaziemcami, przeważnie polowały na mery na swych nadbrzeżnych plantacjach. Jak wszyscy inni, starał się znaleźć sposób na uratowanie resztek przeszłości, których nie zniszczyła przewracająca całą planetę do góry nogami Zmiana. Gdy pewnego dnia spotkali się w Kolegium Sybilli, połączył ich wspólny niepokój. Zaciekawiała go przeszłość Tor, która była kiedyś figurantką, udającą właścicielkę należącej do pozaziemca jaskini hazardu, ją pociągały na pozór nieskończone odmiany gry między mężczyzną i kobietą, której nauczył się na dworze Królowej Śniegu.

Zaintrygowało ją również inne zamiłowanie Shotwyna – naśladowanie różnych pozaziemskich kuchni, opierające się na dostępnych rodzimych produktach. Otworzyli wspólnie restaurację dla tych nostalgicznych Zimaków, których wyszukany smak mało potraw mogło zaspokoić. On wniósł do interesu pieniądze i sztukę kucharską, ona umiejętności handlowe – kierowała lokalem i wyszukiwała ogrodników potrafiących hodować egzotyczne przyprawy i korzenie, jakie zdołali odtworzyć. Dostała nawet pozwolenie Fate na wykorzystanie Przekazu do znalezienia nowych przepisów na pewne potrawy, gdy stało się to konieczne po przetrzebieniu zgromadzonych przez Shotwyna ulubionych surowców. Wynikło z tego doskonałe połączenie talentów, choć nie charakterów.

– Teraz wiem, co oznacza powiedzenie "miłość trwa dzięki kuchni, a nie pocałunkom" – westchnęła. – Ciągłe smakują mi jego potrawy, jak i wszystkim innym; lokal przynosi wielkie zyski. Nie myślałam, że zdoła wydobyć z ryb tyle różnych smaków i zapachów, muszemu to przyznać. Chyba jednak przed udawaniem Persefony za długo pracowałam w porcie; nigdy nie zdawałam sobie sprawy, ile spośród mych potraw należało do "kuchni tubylczej"... Po prostu było to dla mnie jedzenie zwyczajne i dobre, smakowało mi. Ciągłe najbardziej mi odpowiada. Shotwyn mówi, że ugrzęzłam w mentalności niższych klas. Ugrzęzłam! Jak ci się to podoba?... Przystanek tramwajowy. – Zatrzymała Fate, uniosła rękę na powoli do nich podjeżdżający tramwaj.

Fate zachichotała.

– Sama bym tego inaczej nie określiła. – Tramwaj zatrzymał się i wsiadły.

– Święta racja. – Tor usadziła Fate i sama spoczęła na drewnianej ławce, której z szacunkiem ustąpiła im para Letniaków. – Ale do diabła, restauracja pozostawiała mi wolne noce, inaczej niż Shotwynowi. Nie znaczy to, byśmy nigdy... czasami jeszcze nas brało, rozumiesz...

– Chyba mam pewne pojęcie – uśmiechnęła się Fate.

Tor odwróciła wzrok od magazynów i straganów Dolnego Miasta, które zaczęły już przechodzić w sklepy niższej części Labiryntu. Znowu spojrzała na Ravenglass.

– Fate... nie obrazisz się, jak zadam ci pytanie osobiste?

– Nie, możesz zapytać o wszystko.

– Dlaczegoś nigdy... no wiesz, z nikim? Przez wszystkie te lata, kiedy cię znam, nie zauważyłam nikogo, kto byłby dla ciebie kimś szczególnym, choćby przez chwilę.

– Ach. To. Cóż, zostałam sybillą na długo przez poznanie ciebie. A ponieważ pozaziemcy przekonali wszystkich w mieście, że sybille są wariatkami zarażającymi swym szaleństwem, nie mogłam się nikomu zwierzyć, bo wtedy by mnie wygnano. Przerazało mnie, na wpół ślepa, że stracę wzmagacz wzroku. Bałam się też, iż przypadkowo kogoś zarażę, jeśli się do niego zbliżę... nigdy nie wiedziałam na pewno, ile prawdy kryje się za tymi wszystkimi kłamstwami.

– A w jaki sposób zostałam sybillą? – Fate żyła tu, pod nosem jej i wszystkich innych, jako jedyna sybillą w Krwawniku.

Fate westchnęła, złożyła dłonie na podołku aksamitnej spódnicy.

– Nie miałam jeszcze dwudziestu dwóch lat. Nadeszło pierwsze Święto po tym, w czasie którego zostałam poczęta. Pochodzę z rodziny maskarzy, od dziecka pracowałam przy wyrobie okryć noszonych podczas Nocy Masek. Pewnego dnia ktoś odwiedził mój sklep. Nie był Letniakiem, choć się za takiego podawał, twierdząc, że dopiero co przybył do miasta... Interesował się moimi maskami, chciał wiedzieć, jak je wykonuję. Zaczął codziennie przychodzić do sklepu. Siadywał przy mnie i pomagał przebierać paciorki. Pamiętam, że zaczęłam wyczekiwać na jego odwiedziny, że dostawałam skrzydeł na dźwięk jego głosu lub gdy mnie dotykał.. Spędziliśmy wspólnie całe Święto. W czasie Nocy Masek zostałam jego wybranką. W ciemnościach nie widziałam jego tatuażu. Pozwoliłam mii, by się ze mną kochał... wtedy mnie zaraził.

Tor wzdrygnęła się bezwiednie, zadziałał wrodzony u Zimaków lęk przez zakażeniem przez sybille. Udało się jej jakoś utrzymać mocny chwyt na ramieniu Fate, miała nadzieję, że przyjaciółka nie wyczuje jej reakcji.

– Potem błagał mnie o wybaczenie... utrzymywał, że był to wypadek. Ale nie mówił ani nie postępował jak prawdziwy Letniak. Myślę teraz, że nim nie był, że nie pochodził stąd. Musiał znać prawdę o sieci sybilli, wiedzieć, że potrzebowała ona kogoś, kto na stałe przebywałby w mieście i dostarczał danych. Doskonale zdawał sobie sprawę, co mi robi... – Odwróciła twarz, jakby widziała wyraz twarzy Tor albo nie była pewna tego, co zdradza jej własna.

– Został ze mną trochę i nauczył, jak panować nad Przekazem, niewiele, dość, bym sobie poradziła. Nie zdradził całej prawdy. A potem mnie opuścił. Powiedział, że musi wrócić na ziemię Letniaków, nim ktoś odkryje, kim jest. Zostawił mnie samą z tą straszną tajemnicą i z maskami. Od tego dnia przybrałam własną maskę, udawałam, że nie jestem zarażona. Na zawsze pozostał mi jednak lęk przed... zbliżeniem fizycznym. Bałam się, że kogoś zdradzę lub ktoś zdradzi mnie.

Tor pokręciła głową.

– To kanalia... – zacisnęła pięści i wzięła głęboki oddech, wypuściła go w bezsilnym gniewie. – Ale co teraz? – Spojrzała na Fate, w głębi swej piersi ciągle czuła ból. – Znasz prawdę o sobie, a Zimacy już nie nienawidzą sybilli. Wiesz, jak chronić siebie... i kochanka. Możesz...

– Nie. – Fate pokręciła głową. – Bardzo długo żyłam sama, zbyt długo. Przyzwyczałam się do

swobody. Nie jestem samotna czy smutna, dni wypełnia mi pożyteczna praca i mam dobrych przyjaciół. – Uśmiechnęła się w stronę Tor. – Cieszę się z tego, co jest.

Tor chrząknęła.

– Może masz rację. O sobie nie mogę tego powiedzieć... – Były już w środku Labiryntu, blisko Kolegium Sybilli. – Czy chcesz wysiąść i zobaczyć... no, odwiedzić Sklep? – zapytała, czując nagły żal, że tak szybko zakończy się ich miły obiad. Fate była bardzo punktualna.

– Och... dobrze. – Fate przytaknęła, wyglądała na zadowoloną. – Dawno już tam nie byłam. – Nie musiała pytać, o jaki sklep chodzi; takim tonem mówiły tylko o jednym. Był to kolejny z pomysłów Jerushy PalaThion, starającej się ułatwić dostęp do nowych osiągnięć techniki. W skupisku dawnych magazynów na wszystkich, którzy chcieli zapoznać się z czymś nowym, czekały pokazy, wykłady i darmowe próbki.

Wysiadły z tramwaju u wylotu Alei Lazurowej, przy której mieścił się Sklep, i przepchały się przez tłum ciekawskich ludzi, gromadzących się przy grupie otwartych stoisk, wypełnionych nowym lub niedawno zgromadzonym sprzętem.

– Tor, czy po drugiej stronie ulicy handluje jeszcze sprzedawca soków? – zapytała Fate unosząc głowę. – Chyba czuję zapach owoców...

– No. Coś ci przynieść?

– Mam wielką ochotę na dużą porcję soku z róży. Umieram z pragnienia.

– Gulasz był za słony – powiedziała Tor, prowadząc Fate do filaru, przy którym ta mogła spokojnie zaczekać. – Zaraz wracam.

Tor przeszła ulicę, zauważając z zadowoleniem, że w tłumie mieszają się Zimacy i Letniacy. Ci drudzy przekonali się już, że Zmiana naprawdę oznacza teraz coś innego niż zawsze, i – zwłaszcza młodzi – zaczęli się powoli przekonywać do nowych zwyczajów. Nawet Letniacy nie lubili łuskać wodorostów, wrzucając je do zamarzającej wody i depcząc szcudłami, skoro mogło ich w tym wyręczyć proste urządzenie z napędzanych wiatrem bijaków, dając więcej czasu na wyruszanie łodziami rybackimi zaopatrzonymi w lekkie, niesłychanie mocne sieci, dzięki którym połowy zwiększyły się dwukrotnie.

Zapłaciła za sok, wróciła przez ulicę i podała szklankę Fate. Razem zaczęły krążyć między stoiskami. Tor opisywała je, jak tylko potrafiła najlepiej, kierowała dłonie starszej przyjaciółki do tych przedmiotów, które ta chciała poznać bliżej.

– Dzień dobry, Fate Ravenglass Zimaczko – powiedział ktoś z tyłu.

Odwróciły się razem, rozpoznały głos Capelli Goodventure i wyraźny chłód, z jakim wymówiła słowo "Zimaczka". Prawda o sybillach – to, że występują one nie tylko na ziemiach Bogini Letniaków – pomimo upływu wielu lat dla starszej rodu Goodventure nie stała się ani trochę łatwiejsza do zniesienia.

– Witaj, Capello Goodventure – powiedziała Fate z rezygnacją, zwracając się do Letniaczki równie formalnie, choć bez wymienienia przynależności klanowej.

– Przyszłaś wybrać sobie kilka poręcznych drobiazków do domu w mieście? – zapytała Tor podrażniona, że została całkowicie zlekceważona.

Natychmiast ściągnęła na siebie całą uwagę Capelli Goodventure, a także jej wrogość.

– Nie, Zimaczko. Przybyłam zobaczyć, jakie to nowe zboczenia naszych obyczajów zostały narzucone całemu światu w imię "Zmiany" i "Woli Pani".

Tor skrzywiła się równie mocno.

– Jeśli tak bardzo kochasz swe letniackie zwyczaje, to dlaczego nie mieszkasz na plantacji lub wraz z resztą Letniaków nie przeniesiesz się do Dolnego Miasta? Zbyt lubisz swój dom obok pałacu.

Capella Goodventure zeszywniała.

– Mieszkam, gdzie mieszkam, bo według tradycji powinnam być blisko Pani... na wypadek, gdyby mnie potrzebowała. A ona zdecydowała się na zajęcie pałacu Królowej Śniegu. – W jej głosie brzmiała gorycz i coś przypominającego żal.

– Chciałaś powiedzieć, że dzięki temu możesz się łatwiej wtrącać w jej życie – powiedziała Tor kwaśno. – Czemu się nie przyznasz, że nawet Letniacy nie lubią mieszkać gorzej, niż muszą. Gdyby było inaczej, nie żyłoby ich tu tak wielu. Wiedzą o tym nawet twoje święte sybille, inaczej nie pracowałyby wszystkie dla Królowej.

– Tor. – Fate wyciągnęła rękę, by ją uspokoić. Gwałtowny gest przewrócił stojącą na ladzie stoiska szklankę z sokiem z róży. Tor zakłęta, gdy czerwony płyn poplamiał jej spodnie.

– Pracują dla Pani, ponieważ przemawia w imieniu naszej Bogini, jako jej Święta Wybranka... i jako sybilla – powiedziała Capella Goodventure. – Obowiązani są jej służyć, bez względu na to, do czego według nich są wykorzystywani.

– Jeśli wolisz, możesz sobie w to wierzyć. – Tor odwróciła się i zaczęła wycierać strój. Wykorzystała wypadek jako pretekst do poszukania ściereczki albo innego towarzystwa.

Przeszła między stolikami w stronę głównego wejścia, wiedziała, że znajdzie tam Danaquila Lu lub Clavally. Któryś z nich zawsze tu przebywał, nadzorując całą operację – jednocześnie skłaniając Zimaków do traktowania sybilli jako symboli postępu technicznego i uspokajając swą obecnością tłumy Letniaków. Z zadziwiającą Tor cierpliwością odpowiadali wszystkim zainteresowanym na pytania dotyczące nauki i spraw osobistych. Ale to pewnie dlatego byli sybillami, a ona nie.

Wreszcie zobaczyła Danaquila Lu, wraz ze swym krewniakiem Borahem Clearwaterem stojącego tuż za wejściem.

– Niech zgniję, chłopcze, nie wierzę własnym oczom! – Clearwater jak zwykle zaryczał niby klee w rui. Tor przysunęła się, ciekawa, na co tym razem skarży się stary kłótnik. Borah położył rękę na ramieniu Danaquila Lu i potrzęsął głową. – Stoisz prosto! To cud... Danaquil Lu zaprzeczył gestem głowy, uśmiechnął się jak zawsze powściągliwie.

– Nie, wuju, to chirurgia. Wreszcie zdecydowałem się na operację.

– Bogowie – powiedział Clearwater. – I przeżyłeś? Musieli wypatroszyć cię jak rybę...

– Nie – odparł Danaquil Lu z pogodnym uporem. – To dlatego czekałem tak długo, aż... Do licha, wuju, szkoda, że nie słuchasz, gdy próbuję ci to wytłumaczyć. – Wzruszył ramionami ruchem, który trzy miesiące wcześniej byłby dlań niewykonalny. Pokazał w ten sposób, iż wie, że dalsze wyjaśnienia są daremne. – Rozejrzyj się... – wskazał ręką na zgromadzone z tyłu dobra i warsztaty. Tor zobaczyła, że jego córka, Merovy, ustawiająca skrzynki wraz z Tammisem Dawntreaderem, odłożyła kolejną i weszła między rozmawiających.

– Widzisz, wuju Borahu – powiedziała – mówiłam ci, że tak będzie.

Clearwater spojrzał na nią i na Danaquila Lu. Jego szpakowata broda drżała tak, jakby żuł twarde mięso.

– No, na wszystkich bogów, dla mnie wygląda to na cud... Cieszę się, Dana, że znowu możesz patrzeć mi w oczy. – Zerknął na Merovy. – Przyznam nawet, że tym razem ktoś dokonał zmiany, która coś dla mnie znaczy.

Danaquil Lu uśmiechnął się i kiwnął głową, otaczając ramieniem córkę, przycisnął ją, nim się odsunęła.

– Takie są wszystkie zmiany – powiedział łagodnie.

– Gdzie babunia Selen? Nie przyszła z tobą? – zapytała Merovy. – Jeśli chce zobaczyć Tammisa

i Ariele, powinna tu przybyć! – Spojrzała na Tammisa, który uśmiechał się do niej, stojąc i trzymając zapomnianą skrzynkę. Na ten widok jej twarz rozjaśniła się, wypiękniała pod jego spojrzeniem.

– No, znasz tę kobietę, robi, co chce. – Clearwater skrzywił się, nastroszył wąsy. – Powiedziała, że nie chce widzieć tylu zmian w jednym miejscu. Nie namówiłem jej do przyjścia. Niech spędzi czas z Moon, jeśli ta znajdzie odrobinę; ma go tak mało...

– Wuju, a jak napędzane wiatrem bijaki radzą sobie z twoimi zbiorami wodorostów? – zapytał Danaquil Lu, umyślnie zmieniając temat.

– Dobrze, dobrze... – Clearwater uniósł głowę, zerknął do środka. – Wiesz, Jakard Homestead powiedział mi coś o nowym rodzaju zapasowego ożaglowania, który może znowu wprawić w ruch moje pompy. Wprawdzie w to nie wierzę, ale skoro już tu jestem, mogę chyba rzucić okiem... choćby po to, by powiedzieć mu, że się mylił.

Danaquil Lu poprowadził go obok grupki śmiejących się młodych Zimaków. Tor dojrzała między nimi Ariele Dawntreader, otoczoną mgiełką mlecznobiałych włosów. Jak zwykle z łatwością skupiała na sobie całą uwagę, nie tylko dlatego że była następczynią Królowej Lata. W tej chwili pozwalała, by Elco Teel Graymount obejmował ją jak boa – dusiciel, melodramatycznym gestem odrzucała głowę do tyłu.

Nieporuszona Tor wróciła wzrokiem do brata Ariele, Tammisa, który pomagał Merovy w pracy. Córka Danaquila Lu spędzała tu wiele czasu, bo tego się spodziewali jej rodzice; Tammis, bo robiła to ona. Ariele i jej przyjaciele czynili to samo, ponieważ było to prostu najciekawsze miejsce ich ograniczonego świata – podobnie jak dla innych gapiących się dzieciaków, stanowiących niemal połowę tłumów odwiedzających Sklep. Tor uśmiechnęła się i zawołała:

– Merovy... – Dziewczyna spojrzała na nią. – Muszę się czymś wytrzeć.

Merovy zniknęła na zapleczu stoiska. Tammis kiwnął Tor głową i wrócił do pracy. Był spokojny i rozważny, w niczym nie przypominał bliźniaczej siostry. W towarzystwie Merovy, cichszej nawet od niego, czuł się o wiele szczęśliwszy niż w takim tłumie, jaki otaczał teraz Ariele.

Tammis ponownie uniósł głowę na dźwięk czyjegoś śmiechu, Ariele coś do niego krzyknęła, słowa były niezrozumiałe, lecz ostre. Skrzywił się przelotnie, gdy siostra minęła go wraz z przyjaciółmi. Elco Teel obejrzał się i przesłał mu dłonią całusa. – Przekaż to Merovy! – zawołał i przewrócił oczyma. Tammis patrzył, jak znikają w głębi ulicy. Tor zauważyła, że cały czas obserwował Elco Teela, a nie siostrę, i że na jego twarzy nie było gniewu; tego się nie spodziewała.

Odwróciła się znowu, stłumiła ciekawość, gdy pojawiła się Merovy z naręczem czystych szmatek.

– Gdzie to jest? – zapytała dziewczyna, zerkając w gąszcz stoisk ze sprzętem.

Tor wzięła od niej ścierki.

– Zajmę się tym. – Wróciła z nimi do miejsca, gdzie czekała Fate, nadal rozmawiając z Capellą Goodventure. Tor skrzywiła się, poczuła lekkie wyrzuty sumienia, że na tak długo zostawiła ją w podobnym towarzystwie. Rozlany sok utworzył na podłodze lepka kałużę. Westchnęła, żałując, że nie poprosiła o wiadro.

Otworzyła usta, by zawołać Fate, powiadomić ją, iż nadchodzi wybawienie. W tejże chwili Capellą Goodventure wzięła leżącą wśród wielu innych rzeczy elektryczną wiertarkę i z twarzą wykrzywioną wstrętem zrobiła zamaszysty gest. – ...kolejny przykład rzeczy nikomu niepotrzebnej... – sięgnęła do wyłącznika.

– Nie! – krzyknęła Tor.

Capellą Goodventure odwróciła się, nie przerywając ruchu dłoni.

Tor skoczyła naprzód, złapała Fate i szarpnęła ją w bok. Upadły niezgrabnie, gdy starsza rodu

wcisnęła wyłącznik wiertarki.

Capellą Goodventure wrzasnęła ostro i piskliwie, prąd z nie uziemionego narzędzia przepłynął jej ciałem do kałuży soku. Wiertarka wyleciała z drgających rąk, kobieta upadła na podłogę.

– Tor! – sapnęła Fate, gdy Tor ją uwolniła od ciężaru swego ciała – Co się stało, co to...?

– To Capellą. – Tor podpełzła do nieruchomego ciała Letniaczki. Szaroniebieskie oczy starszej rodu Goodventure były szeroko otwarte, wbite w górę bez mrugania, oskarżycielsko, twarz pusta, a usta szybko siniały. – Na bogów – zaklęła Tor, doszukując się tętna, śladu oddechu, nie znalazła ich. Wsadziła palce do ust Capelli, wysunęła bezwładny język, uniosła podbródek, by ułatwić dostęp powietrza do gardła. Zaczerpnęła głęboki oddech i przywarła wargami do ust porażonej, wcisnęła powietrze w jej płuca, potem usiadła, pochyliła się nad piersią Letniaczki i zaczęła ją gnieść nad sercem. Następny wdech, kolejne uciski, znowu wdech. Ratująca czuła za sobą obecność Fate, słyszała, jak krzyczy: – Tor...? Tor...? – Wiedziała, że wokół gromadzi się tłum, odsuwany przez Danaquila Lu. Kolejne wdechy, uciski, powtarzała to stale, ale ciągle bez skutku, puste oczy nadal wpatrywały się w nią bez przebaczenia. – Dalej... – szepnęła. Kolejne wdechy, kolejne uciski. Tor potrząsnęła bezwładnym ciałem Capelli Goodventure, znowu pochyliła się nad jej sercem, znowu wcisnęła powietrze w otwarte usta. – Dalej, obłudna stara suko, ciebie nie można tak łatwo zabić! Dalej, cholera, psujesz mi dzień!

Wmusiła kolejny wdech w płuca Letniaczki. Leżącym ciałem wstrząsnął dreszcz, niespodziewanie, urywanie odetchnęło, zamrugało powiekami. We zdumionych oczach coś się ukazało, spojrzało na Tor ze zdumieniem, potem z nagłym oburzeniem.

Capellą Goodventure po raz drugi, boleśnie wciągnęła powietrze.

– Co... co robisz? Precz ode mnie! – Uniosła drżące ręce.

Tor usiadła, odsunęła się od Letniaczki. Starszą rodu podpierały teraz inne ręce, Danaquila Lu, należącego do jej rodu.

– Do... dotknęłam tego... – oczy Capelli Goodventure patrzyły teraz wyraźniej, wypełniły się przerażeniem, gdy ktoś uniósł jej głowę.

– Uratowała cię – powiedział jakiś Letniak. – Zimaczka ocaliła ci życie. Przestałaś oddychać. – Mówiący zwrócił się ze zdumieniem do Tor. – Myślałem, że nie żyje. Jak to zrobiłaś...?

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu wiem, jak ratować. Nauczyłam się tego dawno temu. Pozaziemcy szkolili w tym pracowników portu. W razie podobnego wypadku... – Zobaczyła, jak Letniacy spoglądają po sobie z nagłym poruszeniem. Popatrzyła znowu na Capellę Goodventure, nie dojrzała wdzięczności w jej oczach. – Ale to nie zawsze skutkuje.

Letniaczka skrzywiła się pod jej spojrzeniem.

– Jak sądzisz... czy ktoś może nam to pokazać? – mruknął inny Letniak, unikając wzroku Capelli.

– To jedno z "ulepszeń" Zimaków o mało co mnie nie zabiło – warknęła Goodventure, wskazując na leżące narzędzie.

– Niewiedza o mało co cię nie zabiła – powiedziała Tor matowym głosem. – W wiertarce nie ma żadnego zła. Włączyłaś ją, gdy była mokra. Gdybyś choć trochę знаła się na elektryczności, nigdy byś tego nie zrobiła. I nie zawdzięczałabyś Zimaczce swego życia.

Capellą wyzwoliła się z podpierających ją dłoni, usiadła samodzielnie.

– Jestem ci za to wdzięczna – powiedziała z wyraźnym trudem. – Postąpiłabym nieuczciwie, odmawiając ci podziękowań, na które zasłużyłaś. Ale gdybyśmy używali narzędzi, jakie zawsze wykonywaliśmy sami, i trzymali się zwyczajów, będących od wieków naszym zbawieniem, nigdy by

do czegoś takiego nie doszło. I nie musiałybyś wykorzystać "pozaziemskiego szkolenia", by mnie uratować. – Odwróciła głowę, zimnym wzrokiem zmierzyła twarze swych pobratymców.

Tor spojrzała na grupę Letniaków, widziała ich poczucie winy i zakłopotanie.

– Widziałam, jak sztuczne oddychanie pomagało i tonącym.

Letniacy spojrzeli na nią. Wszyscy.

TIAMAT: Krwawnik

– Och – och – och! Och nie! Wygrałeś! – Ariele Dawntreader przycisnęła dłoń do ust, powstrzymując ekstatyczny chichot, patrzyła, jak szafir z grzechotem i brzękiem przelatuje labirynt gry i jednym z otworów wypada na kolana jej brata. – Musisz zrobić Elco serce – i – oddychanie! – Rozejrzała się po kręgu roześmianych przyjaciół, wskazała na Elco Teela Graymounta, który z rozzwierającym krzykiem rzucił się na dywan i zaczął skręcać. Po chwili znieruchomiał z otwartymi oczyma i rozrzuconymi ramionami, otaczający go młodzi Zimacy przyjęli to śmiechami i wzajemnymi poszturchiwaniami, zwracając się przy tym w stronę Tammisa.

Ariele zobaczyła, jak jej brat się rumieni, a siedząca obok i i ściskająca jego dłoń Merovy patrzy nań uważnie. Dziewczyna była jakoś spokrewniona z Elco Teelem, lecz mimo to zawsze czuła się jak wyrzucona na brzeg ryba, gdy Tammis zabierał ją na podobne przyjęcia. Ariele nie mogła się doczekać, by ujrzeć reakcję Merovy na widok wyskakującego dla niej czerwonego lub niebieskiego kamienia.

– No, rusz się, Tammisie – zawołała Ariele, nie oparła się chęci popędzenia brata. – Capella Goodventure umiera. Widziałeś, jak Tor Starhiker zrobiła jej serce – i – oddychanie. Pokaż nam, jak to wyglądało!

Dziwnie skrzywiony Tammis odsunął się od Merovy i przekraczając nogi i ciała, doszedł do Elco. Przyklęknął, zobaczył szeroko rozwarte oczy i wyczekującą minę Graymounta. Wahał się długo, w jego oczach rysowała się niechęć. Ariele była ciekawa, czego się boi, a może powstrzymuje go jedynie pamięć widoku prawdziwego wypadku. Tammis pochylił się i zbliżył twarz do ust Elco Teela.

– Nie, nie! – zawołały głosy. – Nie tak! Zrób to!

Tammis usiadł i niespokojnie obejrzał się przez ramię.

– Tak to zrobiła! – powiedział, wiedząc, że nie tego chcieli. W końcu przerzucił nogę przez Elco Teela i usiadł na jego brzuchu. Pochylając się z konieczności odsuwał biodra do tyłu, aż ich ciała połączyły się niby u pary kochanków. Otaczający ich zaczęli gwizdać i głośno klaskać, gdy Tammis złapał w dłonie głowę Graymounta i przycisnął wargi do jego ust.

Próbował skończyć z tym szybko i unieść głowę, zachęty i śmiechy przeszły natychmiast w szyderstwa i protesty. Ariele skoczyła na nogi.

– Złaż, Tammisie, pokażę ci, jak to się robi! – Okrążyła zgromadzonych, zatrzymała się, gdy ramiona Elco Teela niespodziewanie objęły Tammisa i przytrzymały go w głębokim, wilgotnym pocałunku. Zobaczyła, jak brat zadrżał, lecz, ku jej zdziwieniu, nie próbował się wyrwać. Zerknęła na Merovy, ujrzała, jak dziewczyna ze zmieszaniem i grymasem przygląda się obu chłopcom.

– Spójrz, Tirady, Elco Teel znalazł prawdziwą miłość.

Ariele obejrzała się ze zdziwieniem. Kirard Set Wayaway i jego żona, Tirady Graymount, stali w szerokim wejściu do sali, przyglądając się całej scenie. Elco Teel wypuścił Tammisa, który niemal spadł z niego w rozpaczliwej próbie wyrwania się. Ojciec Graymounta przywitał to śmiechem, kręcąc głową, zeszedł po trzech schodkach prowadzących do sali, obojętnie rozpiął błyszczący, wieczorowy kaftan.

– Dzieci, nie przerywajcie sobie. Wiecie, że się cieszę, gdy za moimi plecami bawicie się moją grą. Jestem pewny, że wszystko było całkowicie niewinne...

– Po prostu ćwiczyliśmy serce – i – oddychanie. – Elco Teel przekręcił się na bok, oparł brodę na rękę i skrzywił usta, naśladując niedbały uśmiech ojca. – Jak dzisiaj w Sklepie... to ja byłem ofiarą wypadku.

Kirard Set uniósł brwi.

– Byłeś Capellą Goodventure? Bogowie – czy raczej Cycuszki Pani – to dopiero zboczenie. Możesz to sobie wyobrazić, Tirady, że nasze dziecko okazało się świętoszkowatym fanatykiem religijnym?

Ariele nie zrozumiała wymruczanej przez Tirady Graymount odpowiedzi, ale w jej głosie brzmiało znudzenie i zaniepokojenie. Nie patrząc na nikogo, minęła męża, ruszyła w stronę narożnego pokoju, gdzie, jak wiedziała Ariele, mieściły się znaczne zapasy napoi alkoholowych. Elco Teel twierdził, że także topniejące resztki zgromadzonych przed Zmianą bardziej egzotycznych używek, choć nawet on nie znał miejsca ich ukrycia. Tirady poruszała się niezbyt pewnie, Ariele podejrzewała, iż już zdążyła sporo wypić. Może pokłóciła się z mężem i dlatego oboje wrócili niespodziewanie wcześniej.

Ariele spojrzała na Kirarda Seta, potem na Elco Teela próbującego odgadnąć, czy jego ojciec przyjmuje wszystko z gniewem, czy tylko z rozbawieniem. Nie wydawał się przejęty tym, że został przyłapany w dwuznacznej sytuacji. Ta rodzina ją fascynowała. Tak się różniła od jej własnej, że niekiedy wydawała się jej jeszcze dziwniejsza niż mery.

Uwaga Kirarda Seta skupiła się na Tirady. Podszedł do żony, która wzięła z szafki butelkę miejscowego wina, próbował odebrać jej trunek. Tirady spojrzała na niego oczyma zimnymi i bladymi jak lodowiec, Kirard Set opuścił rękę i wzruszył ramionami. Graymount odeszła od męża, skierowała się do drzwi w drugim końcu sali. Po drodze stanęła przed lustrem, zerknęła na nie takim wzrokiem, jakby zaglądała w inny wymiar. Podniosła do twarzy bladą, wąską dłoń, przycisnęła do policzka, napięła skórę, aż zniknęły zmarszczki wokół ust. Oderwała rękę, skrzywiła się i nie patrząc na nikogo, jakby została zupełnie sama, opuściła salę.

– Twoja matka czuje się dziś staro – mruknął Kirard Set. Chwycił inną butelkę i wyjął zatyczkę. Pociągnął duży łyk i przeszedł pokojem w stronę umilkłego kręgu przyjaciół. Wyciągnął butelkę. Kilkoro z obecnych, siedzących z otwartymi szeroko oczyma w różnych, niepewnych i niezdarnych pozach, pokręciło głowami, wstało, mówiąc, że muszą wracać do domu. Pozostali poszli kolejno w ich ślady. Kirard Set nie próbował ich zatrzymywać, podobnie jak i Elco Teel. Merovy podniosła się również, za nią Tammis.

Ariele wyciągnęła rękę, stała nadal w miejscu, w którym zaskoczyło ją przybycie rodziców Elco Teela. Kirard Set przyjrzał się jej badawczo i podał butelkę, potem zmierzył ją wzrokiem z góry na dół i z powrotem. U Ariele wywołało to drzenie i dziwną przyjemność – wiedziała, że choć raz nie patrzył na nią jak na dziecko. Wayaway był bardzo przystojnym mężczyzną, ciągle wyglądał młodo, choć musiał być bardzo stary i jak u jego żony, zaczęło to być widoczne. Ariele pociągnęła łyk wina, uważając, by nie był zbyt wielki, bo wiedziała, że inaczej się rozkaszle. Przełknęła trunek z pewnym wdziękiem i zwróciła butelkę.

– Dobrze zrobione. – Kirard Set uśmiechnął się z pochwałą. – Och – dodał – cudownie ci w tych kolorach. Przypominają mi się stare czasy, gdy widzę cię przed sobą... pamiętam ten strój, jak wyglądała w nim ona. Wiesz, tak bardzo jesteś do niej podobna... z każdym dniem coraz bardziej. Jeszcze mocniej niż twoja matka, masz w sobie więcej z ducha Arienrhod.

– Arienrhod? – powtórzyła niepewnie Ariele. Spojrzała na swą szatę. Przebierała w niewyczerpanej zawartości szaf Królowej Śniegu, szukała rzeczy, które by na nią pasowały. Jej matka nigdy ich nie zakładała, a nawet nigdy nie oglądała. Zdawała się wzdragać na samą myśl o tych strojach, krzywiła się, gdy Ariele w nich chodziła, choć nigdy jej tego nie zabroniła. Córka Moon pragnęła niekiedy, by padł taki zakaz, wtedy wbrew niemu założyłaby suknie Arienrhod, ściągając na siebie gniew matki, a nie dziwny, roztargniony smutek. Wszyscy jej zimaccy przyjaciele nosili

pozaziemskie stroje, pochodzące sprzed Zmiany... zakochała się w płonącym pięknie ich barw, cudownej elegancji i nieskończonej różnorodności materiałów. Pożądała takich strojów – i je znalazła. Czyżby wyglądała w nich na królową? Uśmiechnęła się i uniosła wzrok.

– Oczywiście – potwierdził miękko Kirard Set. – Nic dziwnego, była przecież twoją babką.

– Co? – zapytała Ariele. – Nie, moja babcia była Letniaczką. Umarła, nigdy jej nie widziałam...

Kirard Set uniósł brwi.

– Bogowie – mruknął. – Nic nie wiesz? Jak to możliwe? – Spojrzał na Tammisa, który zatrzymał się w wyjściu i popatrzył na Wayawaya z taką ciekawością, jak siostra. – Czy widzieliście kiedyś portret Arienrhod?

Ariele pokręciła głową; Tammis także.

– Był jeden w sypialni na drugim piętrze... malowany.

– Pamiętam go. Przyglądałam mu się, gdy byłam mała. Ale to portret mojej matki – powiedziała Ariele. – Nie podobał się jej, kazała go wynieść.

Kirard Set roześmiał się.

– Przedstawiał nie twoją matkę, lecz matkę Moon. Jej prawdziwą matkę. Była nią Arienrhod... Dlatego go nie lubiła.

– To nieprawda – zaprotestował skrzywiony Tammis. – Nasza matka jest Letniaczką. Tak samo jak Babunia.

Ariele uciszyła go gestem, usiadła na długiej wąskiej leżance, podwinęła nogi.

– Wymyśliłeś to wszystko? – zapytała, wpatrując się w nieodgadnione oczy Kirarda Seta, błagała wzrokiem, by się do tego przyznał.

– Och nie – powiedział i z uśmiechem usiadł obok niej na leżance. – To nie wymysł, Ariele. Chciałabyś usłyszeć całą, prawdziwą historię?

Przytaknęła gorliwie, spojrzała na brata. Tammis zawahał się, zerknął na drzwi. Ciągle się krzywił, jakby w obawie przed wysłuchaniem prawdy. Mimo to usiadł na dywanie ze skrzyżowanymi nogami, tuż obok El co Teela, który leżał z podpartą na dłoniach brodą. Merovy, ciągnąca ukradkiem dłoń Tammisa, zrezygnowała z walki i usiadła przy nim. Jej twarz była bardziej niespokojna niż zazwyczaj.

Kirard Set oparł się o wygięty narożnik leżanki, pociągnął z karafki następny łyk.

– Dobrze, wszystko to zaczęło się dawno temu, na długo przedtem, nim którekolwiek z was stało się błyskiem w oczach ojca... – Jego uśmiech przeszedł w grymas. – Arienrhod była Królową Śniegu, odkąd Hegemonia przybyła tu po przedostatniej Zmianie, a panowanie władczyni Lata z rodu Goodventure zakończyło się pluskiem. Była Królową przez niemal półtora stulecia i wiedziała, że pozaziemcy nas wykorzystują, manipulują nami, utrzymują z dala od należnego, równorzędnego miejsca wśród innych planet Hegemonii. Wiedziała, że po ich odejściu zostanie wrzucona do morza, że Letniacy ponownie na stulecie cofną nas wszystkich w ciemnotę. Dlatego postanowiła, że coś z tym zrobi.

Ariele przytaknęła, wyglądała na zahipnotyzowaną płynnym potokiem słów Kirarda Seta.

– Co postanowiła?

– Wykorzystała technikę pozaziemców, by uzyskać własne klony – swoje doskonałe kopie, nie mające w sobie żadnych innych genów, których domieszka mogłaby osłabić odziedziczoną po niej stanowczość... Tych kopii było kilka. Zostały potajemnie wszczepione w ciała Letniaczek przybyłych tu na przedostatnie Święto. Kobiety wróciły na swe wyspy, o niczym nie wiedząc, myślały, że noszone przez nie dzieci są darem radości, że podczas Nocy Masek zostały zapłodnione przez mężczyzn, których nigdy więcej nie ujrzą. Spośród wszystkich wszczepionych klonów przeżyła

zdrowo tylko twoja matka... zgodnie z planem Arienrhod wychowywała się wśród Letniaków, by rozumieć zwyczaje tych, którzy będą panować po Królowej Śniegu. Arienrhod pragnęła umrzeć – często mi mówiła, że nie chce żyć w tym żalonym, na wpół martwym świecie – ponieważ wiedziała, że się odrodzi w ciele twej matki.

Ariele patrzyła na niego z otwartymi ustami, niezdolna do nazwania przeżywanych w głębi uczuć, nie było wśród nich niewiary.

– Ale skąd mogła wiedzieć, że moja matka zostanie nową Królową Lata?

Wzruszył ramionami.

– Sama została Królową. Jak mogło się to nie udać twojej matce?

– Skąd o tym wiesz? – zapytała Ariele. – Czy... wszyscy wiedzą? – Poza mną.

– Oczywiście, że nie, drogie dziecko. Większość Letniaków nie ma pojęcia, jak wyglądała Arienrhod. Capella Goodventure widziała ją z bliska tuż przed śmiercią – widziała je obie obok siebie. To jeden z powodów, dla których nie lubią się z twoją matką... Większość Zimaków uważa, że Moon jest Arienrhod, że są tą samą kobietą, że Królowa Śniegu zdołała jakoś przechytrzyć śmierć i pozaziemców, że nadal żyje i panuje. Mało – bardzo mało – ludzi zna prawdę. Arienrhod i ja byliśmy starymi, starymi przyjaciółmi... Dopuszczała mnie do większości swych najbardziej osobistych spraw. – Uniósł brwi, a leżący na podłodze Elco Teel zachichotał.

– Czy... czy tata o tym wie? – zapytał Tammis dziwnym głosem.

Kirard Set zakasłał i pociągnął łyk wina.

– Och, na pewno. Mało co by z tego wyszło, gdyby nie on. Jak wiecie, on i wasza matka kochali się od dziecka. Gdy została sybillą, uznał, że go odrzuca, i uciekł do Krwawnika.

– Co to ma wspólnego z Arienrhod? – zapytał Tammis.

Kirard Set powściągnął niecierpliwość.

– Gdy Arienrhod dowiedziała się o przybyciu Sparksa do miasta, sprowadziła go do siebie, sądząc, że w ten sposób ściągnie waszą matkę, skłoni ją do porzucenia wysp i przyjazdu tutaj... Wysłała do niej wiadomość, niby od niego, mówiącą, że jest w kłopotach. Wasza matka ruszyła do niego, bo oczywiście nadal go bardzo kochała. Miała jednak to nieszczęście, że została w drodze uprowadzona przez przemytników techniki i wywieziona na inną planetę – a może szczęście, zależy jak na to spojrzeć, ponieważ w ten sposób poznała moc, jaką daje bycie sybillą, o jakiej Arienrhod nawet się nie śniło. Minęło jednak pięć lat, nim zdołała wrócić, a Królowa Śniegu uznała ją za straconą na zawsze.

– Moja matka była poza planetą? Z piratami? – mruknęła Ariele, zdumiona potajemnym życiem, jakie wiedli jej rodzice, gdy byli niewiele co od niej starsi. Do tej pory mało się zastanawiała, co robili przed jej narodzeniem, wyobrażała ich sobie takimi, jakimi byli w jej najstarszych wspomnieniach: starymi, zmęczonymi, pochłoniętymi pracą, a nie sobą nawzajem. Obraz matki jako młodej, zakochanej dziewczyny, dla ojca ważącej się na wszystko... i nie będącej nawet dzieckiem swej matki. Dzieckiem Arienrhod. Ariele zamrugła i potrząsnęła głową, czuła oszołomienie, udręczenie, podniecenie... strach.

– Co z tatą? – zapytał Tammis ponownie. – Czy on także myślał, że nasza matka nie żyje?

– Tak, chyba tak. – Kirard Set znowu się uśmiechnął, jego oczy nie zdradzały smutku i współczucia, które tkwiły w głosie. – Arienrhod go o tym upewniała. Był niemal niepokieszony...

Ariele skrzywiła się lekko, nie była pewna, co chciał przez to powiedzieć, nie rozumiała, co kryje się pomiędzy jego słowami.

Elco Teel roześmiał się.

– Ale Arienrhod go pocieszała przez pięć lat, prawda, tato?

Ariele zobaczyła, jak Tammis i Merovy patrzą na niego; pojęła, że i sama się weń wpatruje z nagłym zrozumieniem. Znowu zwróciła oczy na Kirarda Seta.

– Chcesz powiedzieć, że mój ojciec... i Królowa Śniegu... byli kochankami?

Kirard Set uśmiechnął się szerzej, odniosła wrażenie, iż chwali jej domyślność.

– O tak, Ariele... to było nieuniknione. Obie były Królowymi – obie zakochały się w tym samym mężczyźnie. Arienrhod kochała go równie mocno, co wasza matka – był jej faworytem przez pięć lat. Dawała mu wszystko, czego zapragnął... nawet wodę życia.

– Tata... pił wodę życia? – szepnęła Ariele. – Myślałam... myślałam.. że jest Letniakiem. – Przypomniała sobie, że widok merów zawsze niepokoił jej ojca, zastanowiła się nagle, czy to dlatego. – I że był zaprzysiężony... mej matce, na całe życie.

– Tak, ale uważał, że zginęła – Kirard Set wzruszył ramionami.

– A obok siebie miał Arienrhod, tak bardzo do niej podobną... i bardzo wprawną w uzyskiwaniu tego, czego zapragnęła, zupełnie jak wasza matka. Dzieci – przeniósł wzrok z jej twarzy na Tammisa – na pewno to zrozumiecie i ze względu na okoliczności mu wybaczycie. Nawet u Letniaków małżeństwo – zaprzysiężenie – rzadko kiedy trwa całe życie. Każdy ma prawo wyboru. Wielu Letniaków w ogóle nie zaprzysięga jednemu partnerowi, wolą różnorodność. Podobnie jest u Zimaków. Arienrhod ogromnie lubiła nowe wrażenia i wasz ojciec zaczął podzielać jej gusta. Jak na Letniaka rozwinął u siebie dość wyrafinowany smak. Musicie zrozumieć, że bardzo trudno było wtedy nie wchodzić w intymną zażyłość – nie tylko z Arienrhod, ale też z innymi jej faworytami, jeśli tylko człowiek stał się jednym z nich. Wszyscy byliśmy sobie bardzo bliscy – zachęcała do tego... Ale oczywiście najbardziej kochał ją, podobnie jak ona jego. Być może w innych okolicznościach byłiby nawet dla siebie "jedynymi".

Ariele odetchnęła głęboko, uprzytomniła sobie, że ma szeroko otwarte usta. Zamknęła je, próbując ukryć dziecinną, głupawą minę zdumienia, nim Kirard Set czy nawet Elco Teel zaczęli się z niej śmiać.

– Co się stało po powrocie mamy? – jej głos był ledwo słyszalny; niemal pragnęła, by nigdy nie zadała tego pierwszego pytania, nigdy o tym nie usłyszała. Niemal. – Kiedy się dowiedziała? Co sobie powiedzieli?

– O tym wie tylko ona i wasz ojciec, może jeszcze Arienrhod.

– Znowu się napił i podał karafkę dziewczynie. Wzięła ją i pociągnęła duży łyk, trochę się krztusząc. Spływające gardłem piekące, gorące wino bardzo jej smakowało. – Ale wasza matka nie mogła oczywiście zbyt surowo osądzać waszego ojca. Dopiero co się dowiedziała, że Arienrhod jest jej prawdziwą matką... i bliźniaczką. Jak mogła winić Sparksa za zakochanie się w niej, ponownie, gdy sama mu zniknęła... A ponadto, był podobno pewien Kharemoughi, inspektor Policji, który zdradził, by pomóc waszej matce w mieście. Można by się zastanawiać, co zaszło między nimi, jak związała z sobą pozajemca, że ten zwrócił się przeciwko swoim. Prawda?

Ariele kiwnęła głową, choć tego nie chciała. Przygryzła wargę i opuściła wzrok, niezdolna do spojrzenia komukolwiek w oczy.

– Ale nie spytaliście mnie, co zaszło między waszą matką a Arienrhod, gdy się wreszcie spotkały. Wtedy było najciekawiej.

Ariele znowu na niego spojrzała.

– Co zaszło? – zapytała cicho.

– W czasie nieobecności Moon Arienrhod ułożyła nowe plany; zdecydowała, że jednak pozostanie przy życiu. Zamierzała wywołać zarazę, która zabiłaby wszystkich Letniaków przybyłych do Krwawnika na ostatnie Święto – wywołać tu chaos zmuszający pozajemców do odlotu i

pozostawienia jej przy władzy. – Ariele skrzywiła się, lecz Kirard Set skwitował to uśmiechem i mówił dalej. – Nie potrzebowała już waszej matki... ale oczywiście chciała ją mieć przy sobie. Jakże mogłoby być inaczej? Poprosiła Moon, by panowały razem, by dzieliły się z sobą wszystkim... nawet Sparksem.

– I moja matka odpowiedziała nie – mruknęła Ariele.

– Niewątpliwie – przytaknął Kirard Set. – A wtedy Arienrhod kazała ją wrzucić do Otchłani. – Ariele wbrew sobie rozdziawiła usta. – Wtedy to wasza matka dokonała swego pierwszego "cudu". Zatrzymała wiatry dmące w Sali Wichrów. Byłem tam wtedy, widziałem to na własne oczy... choć do dziś dnia nie wiem, jak tego dokonała. Nie sądzę, by kiedyś wam o tym mówiła... Nie, oczywiście, że nie... W każdym razie, zdrajca Siny wszedł potem do sali i uratował ją przed tłumem... Reszta, jak to mówią, jest historią. Wasza matka zdobyła maskę Królowej Lata. Arienrhod, jak planowała, poszła do morza. Wasi rodzice połączyli się z sobą, wy się narodziliście... znacie całą resztę. – Uniósł ręce w zgrabnym geście kończącym opowieść.

– Co się stało... co się stało z Sinym? – zapytał niepewnie Tammis.

– Tylko bogowie wiedzą. – Kirard Set pokręcił głową. – Pewnie odleciał z pozostałymi pozaziemcami. Jerusha PalaThion chyba ci powie; musiał być jednym z jej oficerów... Na twoim miejscu nie zwracałbym jednak uwagi na plotki.

– Jakie plotki? – zapytał Tammis.

– No, były. Dalsze komplikacje... – Kirard Set machnął lekceważąco ręką. – I tak już prawie nikt nie powtarza tych obrzydliwych podejrzeń. Choć są ludzie wskazujący, że... no, że Sparks w czasie waszego poczęcia podczas ostatniego Świąta zażył wodę życia – a przecież powoduje to tymczasową bezpłodność.

Oboje spojrzeli na niego, milczenie ciągnęło się niemal w nieskończoność.

Kirard Set roześmiał się w końcu.

– Na bogów, to tylko plotka. Woda życia pod koniec panowania Arienrhod stawała się coraz trudniejsza do zdobycia. Królowa zaczęła nam ograniczać do niej dostęp – zamiast raz dziennie zażywaliśmy ją raz w tygodniu, odnosiło się to nawet do takich jej starych przyjaciół, jak ja i Tirady. Dlatego to zostaliśmy wtedy pobłogosławieni naszym jedynym synem. – Wskazał na Elco Teela. – Było to zupełne zaskoczenie, niespodzianka... dobrze przyjęta, nie zrozumcie mnie źle... ale mimo wszystko zdumiewająca. Należy przyjąć, że i wasz ojciec stał się nagle znowu płodny.

Ariele tępo kiwnęła głową. Kirard Set uniósł brwi i jeszcze raz podał karafkę. Tym razem odmówiła gestem i wstała z kanapy.

– Muszę już iść.

– My też – powiedział Tammis, podnosząc się z podłogi, trzymając dłoń Merovy w bolesnym uścisku. Elco Teel przekręcił się na plecy, złożył ręce na piersiach, spojrzał na przechodzących obok niego bladymi, zagadkowymi oczyma.

– Miłej nocy, dzieci – zawołał Kirard Set na pożegnanie. Ariele odniosła wrażenie, że mijając drzwi wejściowe, słyszy śmiech. Skrzywiła się, idąc ciemnym korytarzem przed Tammisem i Merovy, tak iż nie widzieli jej miny.

Cała trójka wyszła razem, zatrzymała się na ulicy przed zamkniętą za nimi bramą domu Wayawaya.

– Jak myślicie, czemu nam to opowiedział? – zapytała Ariele, jej głos brzmiał cieniem i żałością, niżby pragnęła.

– Bo go o to poprosiłaś – odparł Tammisem z ciężkim oskarżeniem.

– Przecież jako jedyny powiedział, że wyglądam jak Arienrhod! – wybuchnęła Ariele. –

Powiedział, że jest moją prawdziwą babką!

– Moją też – stwierdził zdenerwowany Tammis. – Czy ci się to podoba, czy nie.

– Mój ojciec... – Merovy przerwała, jej głos ledwo co się wznosił nad uparty szept – mówi, że Kirard Set odciąłby sobie ucho, gdyby mógł w ten sposób komuś zaszkodzić.

Ariele spojrzała na nią, odwróciła wzrok.

– Wracasz do domu? Pójdziesz ze mną? – zapytała brata patrzącego w stronę pałacu. Usiłowała nie prosić zbyt natarczywie, nie dać po sobie poznać, że nie chce wracać sama.

Ale Tammis pokręcił głową, loki barwy mahoniu opadły mu na kark.

– Chcę dopilnować, by Merovy wróciła do siebie bezpiecznie. – Obejrzał się przez ramię, jakby wiecznie zatłoczona Ulica Krwawnika, tkwiąca ciągle w sztucznym dniu, stała się nagle pusta i groźna. – Możesz pójść z nami...

Ariele skrzywiła się, pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Nie wciągaj mnie w swoje sprawy... – powiedziała ponuro, choć w głosie brata nie dosłyszała nic poza niezdarnie wyrażaną troską. Odwróciła się do nich plecami i ruszyła w górę Ulicy. Nie oglądała się za siebie, nim nie osiągnęła wykładanego białym alabastrem dziedzińca przed pałacem.

Milej nocy... Pożegnanie Kirarda Seta rozbrzmiewało w jej głowie niby szydery śmiech. Zatrzymała się u początku Ulicy – a może końcu? – spojrzała na wejście do pałacu, zawierającego taki szmat historii jej świata; tu, na długo przed jej narodzeniem, mieściła się siedziba Królowej Śniegu.

Wyobraziła sobie matkę po raz pierwszy przechodzącą tymi drzwiami, szukającą ojca... wyobraziła sobie ojca po raz pierwszy przechodzącego tymi drzwiami, prosto w ramiona Królowej Śniegu. Dom Arienrhod. Próbowwała sobie wyobrazić ojca w ramionach Arienrhod, w jej łóżku... oboje robiących rzeczy, które dopiero zaczyna rozumieć... postępujących z sobą w sposób dla niej niepojęty. Czemu jej matka zechciała tu zamieszkać po śmierci Królowej?

Nagle odechciało się jej tu mieszkać. Zapragnęła mieć inne miejsce, do którego mogłaby pójść, nie musieć więcej przekraczać tych drzwi, już nigdy. Ale gdyby teraz gdzieś poszła, wywołałoby to pytania i prośby o wyjaśnienie, a tego by nie zniosła, wzdragała się na samą myśl o tym. Spojrzała na miękkie, czerwonożłote i niebieskozielone tkaniny narzutki i spodni, które kiedyś należały do Arienrhod... do jej babki, drugiej matki. Masz jej ducha, powiedział Kirard Set. Uniosła głowę, wyprostowała plecy.

Przeszła dziedzińcem do drzwi pałacu. Stojący tam zawsze dwaj strażnicy uśmiechnęli się do niej i wpuścili do środka. Minęła ich z twarzą pustą i bez wyrazu.

Weszła do Sali Wichrów; stanęła na środku mostu przerzuconego nad głębokim, jarzącym się zielono szybem naprawczym. Próbowwała wrzucić ją do Otchłani... a ona zatrzymała wiatry. Wyrzła poza krawędź, ostrożnie, lecz bez lęku, popatrzyła w zielone, pachnące morzem głębie; uniosła wzrok na wiszące w górze przesłony. Nie sadzę, by kiedykolwiek powiedziała wam, jak? Ariele obejrzała się na drogę, którą dopiero co pokonała. Zdrajca Siny przyszedł tu i ją uratował... Kto wie, co między nimi było? Ruszyła szybko z twarzą wykrzywioną wątpliwościami.

Wędrowała przez pałac, nie zwracając uwagi na przywitania służby; wspięła się szerokimi, krętymi schodami, na piętrze przeszukiwała brzęzące echami korytarze, aż wreszcie znalazła ojca w jego gabinecie. Przez chwilę przyglądała mu się, jak pracuje rozciągnięty na składanym łóżku. Coś mrucał cicho – poznała starą piosenkę – i robił jakieś notatki.

– Tato? – powiedziała wreszcie cicho od progu.

Zdziwiony Sparks podniósł głowę i wciągnął powietrze. Długo patrzył na córkę z miną, jakiej

nigdy dotąd u niego nie widziała.

– Tato? – powtórzyła niepewnie.

– Ariele – mruknął – co... tu robisz? – Pokręcił lekko głową, jakby coś strącał, i usiadł na kanapie.

Wzruszyła ramionami, spuściła oczy, nagle nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Dobrze się czujesz? – Sparks pochylił się do przodu, z troską na twarzy odłożył notatnik.

Znowu wzruszyła ramionami i weszła do środka. Usiadła obok ojca na sofie i włożyła dłonie między kolana.

– Co się stało? – zapytał, dotykając lekko jej ramienia.

Poczuła, jak w jej oczach nagle pojawiają się łzy; powstrzymała je.

– Tato... – wreszcie na niego spojrzała. – Czy mama jest naprawdę Arienrhod... klonem Arienrhod?

Sparks zeszywniał; opuścił rękę, odpowiedział tym gestem. Potem jednak zaczerpnął głęboko powietrza i potwierdził.

– Tak.

– Czemu nigdy mi nie powiedziała? – Wyrzuciła te słowa gwałtowniej, niż zamierzała. – Czemu mi kłamała, czemu udawała, że ma inną matkę, Babunię i...

– Nie kłamała – odparł Sparks ze spokojną stanowczością. – Zawsze mówiła ci prawdę. Po prostu nie opowiadała o wszystkim, o całej prawdzie. – Westchnął, jego oczy patrzyły gdzieś w dal. Sama jej nie знаła, przez wszystkie te lata. Nie mogła ci mówić, gdy byłaś mała. Ale nie powinnaś była usłyszeć o tym od innych. – Łagodnie uniósł jej brodę. – Czego jeszcze chcesz się dowiedzieć, Ari? Powiem ci wszystko.

– Czy byłeś kochankiem Arienrhod? – Rzuciła tym pytaniem, póki jeszcze nad sobą panowała.

Drgnął i zmusił się do patrzenia na nią.

– Tak – szepnął. W milczeniu zacisnął dłonie na pokrytej srebrną skórą kanapie. Ariele patrzyła na jego bielejące knykcie, czuła własne ręce zwierające się niby dwa walczące na śmierć i życie zwierzęta.

– I piłeś z nią wodę życia.

– Tak. – Słowo było ledwo słyszalne.

– To dlatego... dlatego zawsze smuci cię widok merów?

Kiwnął głową, ale przy tym ją odwrócił, jakby nie chciał, żeby

Ariele ujrzała coś w jego oczach.

– Kto ci to wszystko powiedział... – zapytał surowo.

– Ojciec Elco.

– Kirard Set? – Znowu podniósł głowę; jego szarzielone oczy stały się nagle przejrzyste jak szmaragdy i równie twarde. – Co... co jeszcze ci powiedział?

– Że... – Ariele o mało co nie urwała na widok szczerego bólu w oczach ojca. – Że mama też kochała kogoś innego. Pozaziemca. I że może... może nie jesteś nawet naszym tatą.

Objął ją i przytulił do siebie, ścisnął mocno. Z głową na piersiach Sparksa nie widziała już wyrazu jego twarzy ani on jej. Czuła, jak trzęsie się ze złości. Ale tym razem jej nie odpowiedział.

Tammis zatrzymał się w cichej uliczce przed domem Merovy, zerknął na wylot alejki, gdzie za murami ochronnymi czaiła się tłąca, wiecznie powstrzymywana noc. Merovy podążyła za jego wzrokiem; potem niepewnie spojrzała na chłopca.

– Chcesz wejść i... i porozmawiać? – Podczas drogi do jej domu nie wypowiedział więcej niż

dwa słowa.

Zamiast odpowiedzieć, pocałował ją nagle, łagodnie, lecz stanowczo przyciągnął do siebie. Odwzajemniła pocałunek, bez wahań ofiarowała mu swe ciepło. Już przedtem dość często się całowali, ucząc się tego, lecz nigdy dotąd Tammis nie czuł się tak, jak nagle teraz. Bliskość Merovy wzbudziła jakoś zdradziecką nutę jego duszy – dotyk jej ust na jego, chętnych, lecz niepewnych, jej ciała, wspomnienie warg i ciała Elco Teela, zbyt dużo wiedzących; obrazy jego ojca i matki, nagich z obcymi. Zawsze wyobrażał sobie, że on i Merovy, którą kochał, odkąd tylko pamiętał, będą przeżywać to samo, co rodzice; teraz jednak nie był tego pewien, nie był nawet pewien...

Przerwał pocałunek, niemal brutalnie puścił Merovy, przycisnął jej plecy do ściany ocienionej wystającym balkonem. Zamrugła, spojrzała na niego ze zdumieniem, potem niemal z ulgą.

– Dobranoc, Tammisie... – szepnęła, macając za sobą klamkę. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Tammis długą chwilę stał, wpatrując się w drzwi. Potem odwrócił się i poszedł w dół ulicy, przyciskając palce do ust.

Szedł całą drogę do domu, potrzebował czasu na zebranie myśli, pragnął strącić uczucia, które niby trucizna wypełniały go mrocznym żarem. Spróbował kiedyś zapytać ojca o nowe doznania, które tak gwałtownie miotają jego duszę; o zmieszanie odczuwane na myśl, że równie łatwo wzbudza je widok ciała chłopca, co i dziewczyny. Gdy jednak usiłował otwarcie i szczerze mówić o przeżyciach seksualnych, ojciec pouczył go o zwyczajach stosowanych na wyspach Letniaków, podał, co jest dopuszczalne, a co bez wyjątku nie. Tammis wiedział już o tym z obserwacji przyjaciół z miasta. Gdy spróbował zapytać, czy nie ma czegoś więcej, ojciec się wściekł i zakończył rozmowę.

Zastanawiał się nad tym, pewien, że nie pojął czegoś, co jego rodzice zawsze uważali za oczywiste. Mówił sobie, że bez troskie, lekko traktowane miłości, jakie coraz częściej widywał wśród zimackich znajomych, odzwierciedlają jedynie pustkę ich umysłów i bezcelowość zepsutego życia.

W głębi duszy ciągle w to wierzył. A jednak Kirard Set Wayaway powiedział mu dzisiaj, że wszystko jest inaczej, niż sądził...

Dotarł wreszcie do pałacu i poszedł prosto do gabinetu ojca. Zajrzał przez drzwi i ujrzał, że jest tam sam, siedzi na skraju srebrzystoszarej kanapy z głową opartą na dłoniach, ukrytą twarzą – tkwi nieruchomo jak kamień. Tammis długo obserwował go w milczeniu; potem odwrócił się i wyszedł na korytarz.

Znalazł matkę pracującą z Jerushą PalaThion w innym pokoju. Spojrzały na niego, gdy stanął niepewnie w progu.

– Tammis... – powiedziała Moon z wyraźnym zdziwieniem na twarzy. Zobaczył, jak zerka w bok, potem na niego, jak Jerushą bacznie mu się przygląda.

Jerushą dokończyła kubek tego, co piła, i wstała.

– Nie wiedziałam, że już tak późno. Zabierzemy się do tego jutro. Może przyśni mi się jakaś wskazówka... – Uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Tammis...? – powtórzyła Moon, patrzyła z coraz większą troską. Wyciągnęła do niego rękę.

Przeszedł przez pokój i wziął je, poczuł ściskające go ciepłe palce, objęcia matki, równie spokojne i kojące, co pocałunek na czole, jaki mu składała, gdy był dzieckiem. Usiadł obok niej na skraju łóżka, uważał, by niczego nie poprzesta wiać.

– Co dziś robiłeś? – zapytała go łagodnie, ale miał wrażenie, iż w jej oczach błyszczy niepewność. Od lat nie przeszkodził jej w pracy.

Wzruszył ramionami.

– Po zamknięciu Sklepu poszliśmy do Elco Teela...

– Widziałeś, co się dziś stało z Capellą Goodventure? – zapytała Moon na wpół ciekawie, na wpół z wątpliwością, czy to właśnie go zaniepokoiło.

Tammis przytaknął.

– Elco Teel powiedział, że trudno byłoby znaleźć lepszą ofiarę. – Uśmiechnął się trochę z winą; zobaczył, jak matka uśmiecha się doń z tym samym uczuciem.

– Nigdy nie doczekam się końca tego, ale dzięki Pani, że Tor ją uratowała. Inaczej nie doczekałabym się końca tamtego. – Pokręciła głową i potarła oczy.

– Chciałem się nauczyć to robić – powiedział – to znaczy sposobu Tor. Wszyscy myślą, że to coś w rodzaju czarów. – Matka uśmiechnęła się jeszcze szerzej i kiwnęła głową.

Odsunął znowu skraj stołu, poczuł, jak słabnie w nim zdecydowanie.

– Chciałem tylko powiedzieć dobranoc... – Mówiąc to, odwrócił wzrok, nie był w stanie na nią patrzeć.

– Nic więcej? – Głos matki zatrzymał go jak wyciągnięta ręka, zmusił, by się odwrócił.

Spojrzał na nią, w duszy zobaczył ją podwójną: jako swą matkę.. jako Królową Śniegu.

– Byliśmy u Elco Teela i... – Powiedział jej wszystko, nawet o pozaziemskim inspektorze Policji; nie mógł się zmusić, by przy tym patrzeć jej w oczy... bał się tego, co mógłby tam zastać. Słuchała go z takim napięciem, jakby powstrzymywała coś pragnącego uciec; niemal nie przerywała. Zobaczył, jak blednie z gniewu, wiedział jednak, wyczuwał to z ucisku dłoni i chłodnego wzroku, że złość nie jest skierowana na niego.

– Jak sądzisz, czemu Kirard Set powiedział wam to wszystko? – zapytała wreszcie z naciskiem.

Tammis odwrócił wzrok, wzruszył ramionami.

– Nie wiem... Merovy powiedziała, że odciąłby sobie ucho, gdyby przez to mógł kogoś skrzywdzić.

– Tak – mruknęła Moon. – Też tak myślę. Zrobił to, by skrzywdzić ciebie, Tammisie, by skrzywdzić nas wszystkich. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego... – choć coś w jej głosie zdradzało, że może potrafiłaby. – Jednego jestem pewna, trzymaj się z dala od takich ludzi. Nieważne, dlaczego robią to, co robią; liczy się tylko to, byś wiedział, co uczynią.

Puściła jego dłoń; spojrzała na swe złożone na blacie ręce. Jedna z nich dotykała drugiej, jakby badawczo.

– Jestem klonem Arienrhod, Tammisie. Ale nie jestem nią... Urodziła mnie Lelark Dawntreader Letniaczka. Sparks – twój ojciec.. – mówiła z naciskiem – i ja wychowywaliśmy się na Neith, jednej z Wysp Nawietrznych. Babunia i moja matka były naszą rodziną. Może i jestem klonem Arienrhod... ale nie wychowała mnie ona, nie karmiła, nie cerowała ubranek ani nie uczyła, co jest dobre. Arienrhod mnie nie kochała... A to właśnie czyni kogoś twoją matką czy ojcem. To tworzy rodzinę. – Spojrzała na niego, mrugając zbyt często. – A co do reszty... zajęła się tym Zmiana po ostatnim Świącie. Wszyscy wrzuciliśmy do morza nasze grzechy i morze je zmyło. Tym jest wybaczenie.

Kiwnął głową, oczy miał spuszczone.

– Czy zdołasz mi przebaczyć? – zapytała miękko. – I swemu ojcu? Podniósł głowę, teraz on często mrugał. Nic nie odrzekł. Objął matkę, na krótko poczuł się bezpiecznie i pewnie, nim znowu powiedział jej:

– Dobranoc – tym razem z całym przekonaniem.

ONDINEE: Tuo Ne'el

– Szefie, chyba mamy kłopoty – Kedalion Niburu zawołał przez ramię, nie mógł odwrócić oczu przykutych do ekranu. Monitor ukazywał wyraźnie rosnący za nimi romb wzoru pogoni. – Co najmniej sześć statków, znajdujących się jeszcze poza zasięgiem wzroku, lecz szybko do nich podlatujących.

– Kto to? – Reede opadł na fotel obok pilota, przekrwionymi oczyma spojrzął na upiorny krajobraz. Tuo Ne'el przesuwał się pod nimi od kilku godzin; stawał się powoli coraz lepiej widoczny w świetle wstającego sekunda po sekundzie dnia. Kedalion nigdy nie przypuszczał, że ten widok go ucieszy; do ostatniego zerknięcia na ekran wszystko przypominało powrót do domu. Lecieli już niemal dwanaście godzin, okrążając połowę planety, podchodzili bezpośrednio do lądowania na ukrytym polu wyładunkowym, byli tym oszołomieni i wyczerpani. Tak rozkazał Reede, nie tłumacząc dlaczego, zapragnął po prostu, by to uczynić, potajemnie, kryjąc się za sfalszowanymi kodami i bez chwili odpoczynku...

A teraz kłął, gdy Kedalion pokazywał mu ekran, by na własne oczy zobaczył kłopoty, w jakie wpadli.

– Kim są? – Przesunął dłońmi po tablicy kontrolnej, sprawdzając ją i upewniając się co do sytuacji, jakby sądził, że uzyska inny wynik. Było to jednak niemożliwe.

– Nie wiem – odparł Kedalion – ale na pewno nie są wysłanym przez Humbabę komitem powitalnym. Nie odpowiadają na żaden z kodów ani nie rozmawiają między sobą. Sprawdziłem wszystkie stosowane zazwyczaj częstotliwości.

– Cholera. Cholera! – Reede walnął pięścią w tablicę, aż jakiś układ stęknął w proteście. – Wykryli nas przy podchodzeniu. Skąd Sini mogli się domyślić? – Pokręcił głową. – To nie mogą być oni.

Po prostu czatowali na nas. – Skrzywił się, potarł twarz. – Jak daleko jesteśmy od Humbaby?

– Około dziesięciu minut lotu.

– Zdołamy dolecieć tam pierwsi?

– Nie sądzę.

– Czy wysyłamy sygnał alarmowy?

Kedalion uniósł wzrok, wysiłkiem woli zmusił się do spojrzenia w twarz Reede'a. Jego własna była jak sparaliżowana.

– Nikt nie odpowiada, szefie – powiedział. – Jakby nikogo tam nie było.

– To niedorzeczne – warknął Reede, sięgając po nadajnik. Nałożył go na ucho, nie patrząc w dół, wysłał to samo wezwanie. Otrzymał tę samą odpowiedź: całkowitą ciszę. Martwe milczenie. Zacisnął dłonie na tablicy; Kedalion poczuł, jak jego zaczynają się pocić.

– Czy zakłócają nasze sygnały? – Reede dotknął ekranu.

– Nie. Mamy odczyty spoza ich więzki.

– Na Odpłacającego... – Reede szarpnął za ucho, przesuwał wzrokiem po monotonnym horyzoncie, szukając śladów pogoni lub ratunku. – Daj mi widok cytadeli, gdy tylko będzie to możliwe.

– Szefie... – Kedalion zawahał się, przypominał sobie tajemnicze spotkanie, na które dostał się przypadkiem przed ich odlotem na Numer Czwarty; to, o którym Reede kazał mu zapomnieć. – Czy nie ma innych, którzy by mogli nam pomóc?

Reede spojrzął nań ostro, potem usiadł w fotelu, zastanawiając się nad pytaniem.

– Nie tu w pobliżu. Ani takich, którym bym ufał. Nie przy naszej zdobyczy. Spróbuj znowu

wywołać cytadelę.

Kedalion spróbował. Bez rezultatu.

– Teraz pogoń.

Niburu nadał wezwanie w otwartych częstotliwościach. Nie otrzymał odpowiedzi.

– Myślisz, że chodzi im o nasz ładunek? – Zerknął na tył łazika, Ananke leżał skulony w fotelu w błogosławionej niewiedzy, chyba spał. Dalej tkwił ciężki, nie oznakowany pojemnik – krył się w nim klucz do kosmosu.

– Tak sądzę – przytaknął Reede. – Ale dlaczego? Jedyńi, którzy mogą wiedzieć, że tu jestem i co zdobyliśmy, wiedzą też, że wieziemy to dla nich. – Odgarnął zasłaniające oczy włosy; widać było, jak napinają się mięśnie jego policzków.

– Myślałem, że wysłał nas Humbaba...

– Nie. – Reede spojrział nagle na Niburu z zimną pogardą. – Humbaba nie wysłał nas. O niczym nie wie... Nie podoba mi się to, bogowie, nie podoba... Daj obraz cytadeli. – Wskazał prosto przed siebie.

Kedalion nic nie widział. Zastanawiając się, co mógł dostrzec Reede, przestawił rozdzielczość na podgląd w przód. Fragment ekranu pojawił się w nagłym powiększeniu, pokazując odległe wieże fortecy Humbaby, wznosiły się jak latarnie nad szarym morzem nieprzebytego gąszczy. Usłyszał, jak Reede z ulgą długo, głośno wciąga powietrze, wypuszcza je na widok nie tkniętej cytadeli.

– Czemu nie odpowiadają? – mruknął. – Czyżby ktoś odciął im całe zasilanie... a to oznacza brak ochrony. – Knykcie jego opartych o tablicę palców zbieleły. – Spróbuj znowu! – nakazał. Kedalion automatycznie powtórzył kod wywołania.

Po wprowadzeniu ostatniej cyfry w obrazie na ekranie pojawiła się plamka ognia. Kula białego światła rozrosła się błyskawicznie, wypełniła powiększony fragment, przeskoczyła na podgląd rzeczywisty, oślepiła ich pomimo ochronnej tarczy kopuły.

Kedalion zaklął, zamknął oczy. Reede zawołał, w jego głosie było więcej rozpacz niż bólu, przycisnął dłonie do twarzy.

Wybuch. Po odzyskaniu wzroku zobaczył, jak przygasa białe światło... widać już było, co się stało. Zamiast nie zdobytej, błyszczącej wieży górującej nad posępną równiną zobaczył poskręcane resztki, jarzące się wiśniowo zgliszcząca ruin, rozbłyśki płomieni pomniejszych eksplozji.

– Co... co...? – Ananke jęknął, wstał powoli z tylnego siedzenia. – Co się stało – Uświęcony Calavre! – Urwał, złapał się oparcia, z niedowierzaniem patrzył przed siebie. Czarna chmura dymu zaczęła przesłaniać ruiny, ciernista puszcza płonęła niby stos pogrzebowy. Kedalion widział, jak las rozbłyskuje wybuchami, gdy ogień dosięgnął łatwopalnej kory i liści drzew, wzniecając pożogę, która ogarnie tysiące hektarów równiny. Za nim w ten sam widok wpatrywał się znieruchomiały Reede, twarz miał wypraną z wszelkich uczuć, jakby duszą tkwił gdzieś zupełnie indziej. Przekręcał noszony na kciuku pierścień. Kedalion odwrócił wzrok, przestraszony pustką w jego oczach.

Dosięła ich fala uderzeniowa eksplozji, łazik zadrżał i opadł, zwalając Ananke na tyłek. Rozpaczliwymi manewrami, nakazywanymi głosem i rękoma Kedalion opanował położenie i szybkość pojazdu. Znowu spojrział w górę i przód – jeden ze ścigających ich statków znalazł się już w zasięgu wzroku, łatwo dorównywał pędzącemu z najwyższą prędkością łazikowi. Cel, do którego zdążali, przestał nagle mieć jakiegokolwiek znaczenie. Niburu zerknął na odczyty pokazujące się na ekranie. Każdy z pojazdów pogoni był latającym arsenałem.

– Reede Kullervo! – Nadajnik zagrzmiał tak głośno w hełmie Kedalion, że ten się skrzywił.

Reede szarpnął się niby dźgnięty. Niburu zobaczył, jak ożywa mu twarz.

– Jestem – powiedział Kullervo głosem ledwo panującym nad wściekłością. – Kto to zrobił, wy

zrzące gównem tchórze?

– Przejmujemy kontrolę nad sterami waszego pojazdu – odpowiedział głos, jakby go nie słyszał.

– Powiedz pilotowi, by włączył kod lotu automatycznego.

Kedalion zerknął na Reede'a. Ten nic nie powiedział.

– Jesteśmy uzbrojeni. Włączcie sterowanie automatyczne, bo inaczej was zestrzelimy.

– Zrozumiałem. Włączyć sterowanie automatyczne – powiedział Kedalion, gdy Reede nadal milczał. Może uznał, że dziś jest równie dobry dzień na śmierć, jak każdy inny... przeważnie tak myślał. Ale Kedalion Niburu chciał się przy najmniej dowiedzieć, kto pragnie jego śmierci.

Rysy Reede'a były ostre jak skraj noża, ale nie ruszył ręką, by powstrzymać Kedaliona, który pozwolił ich eskorcie przejąć władzę nad pojazdem. Niburu oderwał ręce od tablicy i patrzył z rezygnacją na dane pokazujące ich nowy kierunek i szybkość. Ananke wstał znowu, wyglądając przez ramię Kedaliona, patrzył w milczeniu na cierniste puszcze, nad którymi przelatywali. Wysadzona w powietrze cytadela i szalejący pożar zostały daleko w tyle.

Eskorta nie odzywała się do nich więcej przez radio; lecieli w bezradnym milczeniu. Ananke nie pytał, co się stało. Kedalion pomyślał, że albo sam do tego doszedł, albo nie chciał wiedzieć. Znowu usiadł w tyle, głaszcząc quolla i patrząc w okno na rufie, choć nie było już nic do oglądania.

Kedalion kilka razy zbadał urządzenia sterujące i informacyjne. Nie panował już nad niczym. Nie mógł nawet przestawić godziny na zegarze. Niecierpliwie bębnił palcami po tablicy, potem wsadził rękę do kieszeni. Zacisnął dłoń na łuskowanej kuli. Wyjął ją i zaczął przerzucać z ręki do ręki, szukał pocieszenia w znajomym dotyku i gestach.

– Czy możesz ustalić, dokąd lecimy? – zapytał Reede.

Kedalion uniósł wzrok, pokręcił głową.

– Nie mogę nic wycisnąć z odczytów. Ale nie wygląda na to, byśmy obrali kurs bezpośredni. Reede...

– Zamknij się – nakazał Reede. – Zamknij się, Niburu.

Kedalion zamilkł.

Po około dwóch godzinach lotu zaczął dostrzegać iglicę innej wieży, w słońcu późnego ranka lśniła jak sztylet. Chciał się zapytać, czyja to cytadela, lecz tego nie uczynił. Jeśli Reede wiedział, to nie podzielił się z nimi tą informacją. Po zbliżeniu się do muru fortecy pojawił się w nim otwór. Kedalion poczuł, jak niewidoczny uchwyt promienia cumującego zacisnął się na ich pojeździe, nieomylnie i nieugięcie wciągał ich w otwarte wrota.

Gdy po ściskającym żołądki lądowaniu znaleźli się w doku, czekała już tam na nich straż. Kedalion zobaczył, jak ostrożnie zaglądają do wnętrza kopuły. Drzwi otworzyły się same: zaproszenie.

– Nie dajmy im czekać... – powiedział Reede. Głos mu zgrzytał jak popękane szkło. Wstał i splótł palce, jakby złapał je kurcz; Kedalion zobaczył z ulgą, że nie zbliża się do wiezionej przez nich broni.

– Co z...? – Kedalion wskazał głową na tył łazika, gdzie schowany pod siedzeniami leżał pojemnik z plazmą napędu gwiazdowego.

Reede pokręcił głową, w geście znaczącym zostaw to. Wyszedł na zewnątrz.

Kedalion ruszył za nim niepewnie, oglądając się na Ananke. Chłopiec spojrzał na quolla, potem wokoło, jakby się zastanawiał, gdzie zwierzątko będzie bardziej bezpieczne, z nim czy w pojeździe.

– Weź je – powiedział cicho Kedalion. – Tylko bogowie wiedzą, czy to jeszcze zobaczymy... – wskazał na łazik.

Ananke przytaknął, zacisnął usta i wyszedł pierwszy.

Strażnicy podeszli do nich, przeszukali ręcznie i wykrywaczami, szorstko, lecz wprawnie. Zdążyli już pozbawić Reede'a różnych broni. Kedalion zauważył, iż wisiołek z solią – zawsze noszony przez Kullervo, taki sam, jak u kilku dziwnych obcych, których Niburu zobaczył u zebranych w sali przy bocznej uliczce – nie został zabrany. Hipnotyczne światło rzucane przez lśniący klejnot odbijało się wyraźnie na tle zupełnie do niego nie pasującego szarego kombinezonu Reede'a. Po raz pierwszy Kullervo nie starał się go ukryć, nosił z nieomal zuchwałą beztróską. Strażnicy obserwowali go tak, jakby był dziką bestią, jakby znali jego możliwości. Kedalion zdziwił się, a potem poczuł odrobinę ulgi, gdy spostrzegł, że nikt z nich nie został związany.

Ktoś wszedł do doku, podchodził do nich z pewnością siebie, zdradzającą, że ma tu władzę. Strażnicy spojrzeli na niego i usunęli się z drogi. Stanowili zwyczajną na planecie mieszaninę miejscowych i pozaziemców, nosili podobnie praktyczne stroje, co ludzie spotykani przez Kedaliona na uliczkach siedziby Humbaby. Również podchodzący do nich nie wyróżniał się ubiorem. Nie sposób było zgadnąć, kto tu był kim; jedynie zachowanie się zbliżającego wskazywało, że on tu rządzi. Miał niemal dwa metry wzrostu i potężne mięśnie. Ciemne kędzierzawe włosy, ciemne skośne oczy... Kedalion uznał, że jest Newhaveńczykiem.

Pozaziemiec stanął przed nimi, przyjrzał się Reede'owi z uśmiechem skrytym w pokrytym blizną kąciku ust.

– Dobrze, Reede Kullervo. Cieszę się, że tego dokonałeś. – Wyciągnął dłoń.

Reede w odpowiedzi wytarł ręce o nogawki, oczy mu zabłyśły.

– Nie jesteś Człowiekiem – powiedział. – I nie cieszysz się z mego przybycia. – Kedalion nie potrafił stwierdzić, czy Reede poznał Newhaveńczyka, czy nie.

– Słyszałem, że jesteś sprytny – odparł wysoki pozaziemiec z tym samym gorzkim uśmiechem. Opuścił rękę. – A nawet cholernie bystrym. To pewnie dlatego Człowiek chce pogadać z tobą o pracy.

Reede wybuchnął sardonycznym śmiechem.

– Chce pracować dla mnie?

Potrząśnięcie głową.

– Usłyszałem, że straciłeś patrona. Dla kogoś takiego jak ty niebezpiecznie jest nie mieć żadnego.

– A może miał z tym coś wspólnego? – zapytał Reede.

– Może. – Uśmiech Newhaveńczyka rozszerzył się złośliwie. Długo był poza planetą, Kullervo. To także niebezpieczne. Rzeczy się zmieniają.

Kedalion wyczuł bardziej, niż zobaczył, że Reede oddycha teraz szybciej i płycej.

– Czyj to kartel? Gdzie jestem? – zapytał i Niburu wiedział, ile go to kosztowało.

Wysoki mężczyzna przybrał jeszcze paskudniejszą minę.

– Zobaczysz – odpowiedział. – Spodoba ci się tutaj, Kullervo.

– Dobra – mruknął szorstko Reede. – Człowiek chce mnie widzieć, gdzie on jest?

– Chodź za mną. – Newhaveńczyk odwrócił się i ruszył tą samą drogą, którą tu przybył, obcasy jego butów dźwięczały na pomoście. Szli za nim, w tyle jak cienie posuwało się sześciu strażników. Po kończącej drogę oszalałami jeździe windą wyszli na otwartą przestrzeń. Zaskoczony Kedalion zamrugnął. Jedna ściana wpuszczała światło dnia... a może było to holo, nie był pewny. Jeśli to prawda, znajdują się wysoko, choć był przekonany, że jechali w dół.

– Człowiek... – powiedział strażnik, wskazując na szeroki pas błyszczącej podłogi przed zamkniętymi drzwiami. Pod oknami rozciągał się mały ogród; słyszeli odgłos kąpiącej wody. Przyległy teren wyglądał jak poczekalnia prosperującej spółdzielni handlowej, wypełniały go nie pasujące tu normalne fotele i stoliki.

– Idź pierwszy, Kullervo.

Reede odetchnął głęboko i ruszył w stronę nie wyróżniających się niczym drzwi. Kedalion poszedł za nim, czując za sobą Ananke. W połowie sali Newhaveńczyk wcisnął się bez trudu między Reede'a a jego ludzi, zmusił Niburu do zatrzymania się.

– Siadajcie... – zaproponował, patrząc na Kedaliona.

Niburu nie ruszył się, spojrzął na Reede'a. Kullervo odwrócił się, Kedalion był rad, że to, co ujrzał w jego wzroku, nie jest skierowane przeciwko niemu.

Reede popatrzył na Newhaveńczyka, potem na Kedaliona i Ananke.

– Zaczekajcie tu – powiedział z zimną wyniosłością, jakby to on tu rozkazywał, a nie obcy. – To nie powinno długo potrwać.

Kedalion kiwnął głową, starając się czerpać otuchę z zachowania Reede'a. Podeszedł do foteli, wiedząc, że mu się nie uda. Wiedział, że Kullervo był zdenerwowany, a nawet przestraszony, lecz teraz płonął taką chęcią zabójstwa, że każdy o zdrowych zmysłach usunie mu się z drogi. Reede może i był szalony, ale Kedalion po raz pierwszy się ucieszył, że dla niego pracuje. Może nawet wyciągnie ich stąd żywych. Niemal żałował czekającego za tymi drzwiami, zamierzającego złożyć Reede'owi propozycję nie do odrzucenia. Zdołał wciągnąć się na kanapę, nie tracąc godności, zdobył się na uspokajający uśmiech w odpowiedzi na zawarte w oczach Ananke nieme pytanie. Chłopiec odwrócił wzrok, spojrzął między strażników, w stronę Reede'a. Patrzyli obaj, jak drzwi stają się przezroczyste, jak Kullervo w nich znika. Potem czekali.

Reede wszedł do pustego sześcianu. Drzwi bezpieczeństwa zmaterializowały się za nim, zamknęły, nim zdążył zauważyć, że innych tu nie ma. Okręcił się, poczuł lekki wstrząs, gdy uderzył w ekran, wywołał jego iskrzenie. W ciągu jednego uderzenia serca stały się równie mocne i bezkształtne co pozostałe trzy ściany, sufit i podłoga.

Pułapka. Reede odwrócił się, przeszukał wzrokiem pokój. Doskonały, pusty sześcian. Zaciśnął zęby, powstrzymując nagłe pragnienie krzyku, rzucenia się na ściany jak przerażone zwierzę. Powstrzymała go część umysłu, która zawsze zdawała się być pod władzą kogoś innego, wskazała, że jest tu światło, co oznacza, że przypuszczalnie nie zabraknie i świeżego powietrza; że jest tu wejście, a więc i wyjście. Może to być rodzajem windy, choć nie wyczuwał żadnego ruchu. Nie pragną jego śmierci, przynajmniej nie teraz, a przypuszczalnie wcale. Chcieli go tylko trochę zmiękczyć.

Oparł się o ścianę, dotknął biżuterii zwisającej mu z ucha, na wypadek, gdyby był śledzony, a pewnie tak, zmusił się do odprężenia. Powinienem być wdzięczny. Dali mu czas do namysłu. Ciągłe nie wiedział, kto go złapał. Powiedzieli mu tylko: straciłeś patrona, a to oznaczało Humbabę. Brzmiało to tak, jakby miał tu pracować, przejść po prostu do zwycięzcy, zmienić szefa, ale nie pozycję. Nie zapytali go nawet o napęd gwiazdny. Może o nim nie wiedzą...

Tylko że wysadzili wieżę Humbaby, na jego oczach, dokładnie w chwili ich przylotu. Oznacza to, że wprawdzie zdołali jakoś odciąć wszelkie systemy zasilające, pozbawili nawet cytadelę środków łączności, uczynili ją całkowicie bezbronną. Wiedzieli też dobrze, kiedy powróci, z jakiego kierunku. Wszystko to oznaczało potęgę, moc znacznie większą, aniżeli byłaby osiągalna dla każdego pojedynczego kartelu walczącego z Humbabą. Jedyne istnienie takiej wyższej potęgi pozwalało kartelom prosperować tu równie owocnie, jak do tej pory. Zdarzały się już utarczki, napady, zasadzki. Gdy jednak wybucha cała cytadela, oznacza to coś większego... Oznacza, że ktoś próbuje pokonać Braterstwo.

Ale on był Braterstwem – dotknął danego mu przez Mundilfoere wisiora z solią. Znał jego

znaczenie, wiedział, dlaczego kazała mu go zawsze nosić. Mundilfoere... Nie dopuszczał do siebie myśli, co robi, jeśli była w fortecy podczas wybuchu, jeśli ogarnęła ją oślepiająca kula ognia, spopieliała... Bogowie, można zwariować, gdy człowiek to sobie wyobrazi! Zwariować tutaj... Nie zamierza pracować dla tego, kto mu to zrobił... zabije tego gnoja, zadusi gołymi rękami. Spocił się, było tu naprawdę gorąco, powietrze rzeczywiście gęstniało, stawało się cięższe, trudniejsze do oddychania, jakby znalazł się pod wodą... – Chodź no, skurwysynu... – mruknął, zaczynając drżeć. Zmusił się do uspokojenia, do powściągnięcia śpiewającej w nim szalonej energii. Zachowaj ją. Zachowaj, do licha...

Światła zgasty. Nie! O mało co nie krzyknął, ale zachowujący dotąd spokój zdrowy fragment jego umysłu zacisnął mu ręce na gardle, zmusił do stania zupełnie nieruchomo w środku całkowitej ciemności. Głowę miał podniesioną, ręce opuszczone wzdłuż boków. Czekał. Czekał... Uświadomił sobie własny oddech, bicie swego serca, szum krwi w uszach. Wszystkie jego zmysły zaczęły wariować, reagując z nadwyżką na brak pobudzenia. Czy naprawdę słyszy oddechy dwojga ludzi? Bogowie, co to za zapach w powietrzu – nie stęchły, nie jego potu, jakby coś gniło... Zaczął coś dostrzegać, wierzyć, że naprawdę na ścianie przed sobą widzi poświatę, jak od niemal wygasłych węgli. Wyciągnął rękę w jej kierunku – runął do przodu, gdy się przekonał, iż ściany już tam nie ma.

Macając po bokach, wyczuł, że nie ma wokół żadnych ograniczeń; że zniknął pokój, w którym go zamknięto. Nagle znalazł się w znacznie większej sali, mrocznej i bezkształtnej jak przestrzeń międzygwiazdna. Ale poświata istniała naprawdę. Była ledwo widoczna, dość, by w nią uwierzyć, choć za mało, żeby zapewnić jakiegokolwiek szczegóły.

Ruszył w kierunku blasku, nie miał żadnej innej wskazówki... zrobił trzy kroki i potknął się, gdy nogą o coś zaczepił. Upadł głową naprzód na twardą, śliską powierzchnię, przypominającą kafelki ceramiczne. Podciągnął się na ręce i kolana, ciało miał potłuczone, resztki pewności wstrząśnięte. Coś nadal trzymało jego nogę – dlatego się przewrócił. Wyciągnął rękę, macał ślepo, aż tego dotknął. Szmata. Dziwny kształt, zmięta sterta, jakby ktoś rzucił dywan... Jakby ktoś zostawił tu zwłoki. Ten smród. Bogowie, czy to... Cholera!

Cofnął gwałtownie rękę i wstał, nim jakąś częścią ciała zdoła dowiedzieć się zbyt dużo o tym wzgórk. Znieruchomiał, był nagle pewien, że słyszy cichy śmiech.

– Kto tu jest? – Głos mu drżał, zdradzał aż za dobrze, że udał się plan skrytego w mroku człowieka. – Zapal światło, do licha. Odezwij się! – Wróciły do niego echa własnych słów, odbite od kształtów, których nie mógł sobie wyobrazić.

– Wolę ciemność – powiedział ktoś głosem brzmiącym tak, jakby był siłą wywlekany z gardła, słowa padały jak okruchy ciała. – Tak wiele odsłania... W mroku każdy jest nagi.

Reede zeszytniał, przestał nawet oddychać; wpatrywał się w czerń każdym nerwem ciała.

– Ty...? – szepnął. Próbował coś wykryć w ciemnoczerwonym blasku przed sobą, rozpoznać ludzką postać w sylwetce, która ledwo odcinała się na tle światła. Nie musiał tego czynić, wiedział już, że to niewykonalne. Poczul, jak miękną mu nogi. Źródło. Tak nazywał siebie Thanin Jaakola, to do jego cytadeli trafił jako więzień. Kartel Jaakoli należał do największych, jego siatka produkująca i rozprowadzająca narkotyki rozciągała się na każdą planetę Hegemonii. Ale Jaakola był kimś więcej, aniżeli tylko grubą rybą w prochach. Należał do Braterstwa i nawet Reede nie miał pojęcia, jak daleko i głęboko sięga jego prawdziwa potęga.

Kullervo znowu zerknął w ciemność, mrugając gwałtownie. Plotki głosiły, że Jaakola potrzebuje ciemności, ponieważ jest z nim coś nie w porządku, światło razi jego oczy, cierpi na jakąś tajemniczą, zniekształcającą chorobę. Reede nigdy w nie nie wierzył, zawsze uważał je za kłamstwa, przykrywkę, dzięki której Źródło mógł być każdym i nikt o tym nie wiedział. Ale teraz, zagubiony w

mroku, mając przed sobą jedynie niewyraźny czarny kształt... teraz nagle nie był już pewny. Co to za zapach – czy pochodzi z rzeczy leżącej na podłodze, z jego wyobraźni, czy z... czy to... Przestań! Nawet o tym nie myśl.

– Podejdź bliżej, Reede. Usiądź koło mnie. Nie musisz stać. Było to wyzwanie, Jaakola czuł jego strach, kusił do zmniejszenia odległości.

Gniew i stara niechęć skłoniły Reede'a do podejścia. Tym razem poruszał się z wielką uwagą, przed każdym krokiem badając przestrzeń przed sobą. Bał się następnej pułapki, ciała lub ziejącej dziury. Znalazł niespodziewany schodek, wszedł na niego bez potknięcia i nagle natrafił na wyściełaną krawędź, chyba fotela. Wymacał drogę i usiadł na nim, wpierw starannie zbadawszy rękoma siedzenie i oparcie.

– Musisz być zmęczony długą, wyczerpującą podróżą – rozległ się rozkawałkowany głos Jaakoli. – Moje gratulacje. – Przez chwilę Reede zastanawiał się, o jakiej podróży mówi Źródło, z Czwórki czy przez ten pokój. – Widzę, że zakończyła się dla Braterstwa pełnym powodzeniem.

– Widzisz? – powtórzył Reede, cedząc słowa z równą ostrożnością, z jaką wybierał drogę przez salę.

– Mamy pojemnik z plazmą napędu gwiazdowego, ukryty w waszym pojeździe. Dokonałeś wielkiego wyczynu, kradnąc go z rąk Kharemoughi – przywiozłeś nam nawet gwiazdny zespół napędowy ! Imię Kowala stanie się wkrótce legendą wśród agentów Chaosu. Może naprawdę zasługujesz na miano nowego Vanamoinena... Wiozłeś plazmę do ukochanej Mundilfoere, prawda?

Reede poczuł, jak zawarta w tych słowach nienawiść owija się wokół jego gardła i ciśnie.

– A dlaczego by nie? – Skupił własną rozpaloną do białości wściekłość, jakoś udało się zadać to pytanie, nie zdradzając się przy tym głosem. – Wiesz, że mam wysokie stanowisko – kryłem się jedynie przed Sinymi. Wysłałem wiadomość do Mundilfoere, poprosiłem, by szybko zwołała Zebranie. Cholera, czemu jesteś tu tylko ty? I czemu nie mam chcieć udać się do domu?

– Może dlatego że już nie masz żadnego, do którego mógłbyś się udać? – Cień w mroku poruszył się dwuznacznie.

Palce Reede' a zagłębiły się w poręczach fotela, przypomniał sobie kulę ognia, przed oczyma stanęła mu spopielona cytadela. Puścił je gwałtownie, gdy coś w konsystencji fotela wywołało u niego ciarki.

– Niech cię cholera... – Przerwał. – Jeśli Mundilfoere była...

– Nie była obecna podczas zdobywania cytadeli – mruknął łagodnie zniszczony głos. – Zapewniliśmy to.

Reede zagłębił się w duszącą miękkość fotela, to puściły spięte dotąd mięśnie.

– No to dlaczego...?

– By coś wykazać, czy muszę to mówić? By pozbyć się średniaka. By uwidocznic mą ochotę na ciebie, jako człowieka z mego najbliższego otoczenia. By pozwolić tobie i każdej drobnej rybce z ciernistego gąszczu przekonać się, czym jest prawdziwa potęga... i dać zewnętrznemu światu powód, dla którego zatrudniam ciebie, tragicznie pozbawionego patrona biochemika.

– To wariactwo – mruknął Reede. Jak dotąd nie usłyszał nic sensownego, jedynie pogłębiające się szaleństwo. Zastanowił się nagle, czy Jaakola jest zdrow na umyśle, czy po prostu się z nim bawi. – Wiesz, że Humbaba zapewniał mi bezpieczeństwo, miejsce na laboratoria. Mieliśmy układ – ja dbałem o jego zapasy, a on nie zadawał mi pytań o prawdziwą pracę. Nie był nawet w Przeglądzie...

– Był ulubionym straszidłem Mundilfoere. – Jaakola zachichotał z sardonycznym rozbawieniem. – Oboje wiemy, dzięki komu odnosił takie sukcesy... kto naprawdę był Człowiekiem w cytadeli Humbaby. Ale teraz, gdy Braterstwo ma plazmę napędu gwiazdowego, nasz przedwcześnie rozwinięty

Kowal potrzebuje środków niezbędnych do rozwoju nowej techniki. Gdzie znajdzie lepsze miejsce niż tutaj? Źródło i Kowal, w doskonałej symbiozie. Nie musisz grać ze mną w żadną udawaną lojalność... Jak ty, funkcjonuję na obu płaszczyznach. Posiadam kontakty, bazę techniczną, zasoby – wszystko, czego potrzebujesz... Możesz nazywać mnie "Panem". Jak wszyscy.

– Pocałuj mnie w dupę – powiedział Reede. – Nie mów mi, co mam robić. Nie widzę tu żadnego zebrania Przeglądu, nie widzę quorum niezbędnego przy głosowaniu. Jesteśmy tylko my obaj, Jaakola, nasze głosy są równe.

– Nie ma potrzeby zwoływać Zebrania. Braterstwo rozstrzygnęło tę sprawę na długo przed tym powrotem.

– O czym mówisz? – warknął Reede. – Mundilfoere nigdy by...

– Długo cię nie było, Reede. Rzeczy się zmieniają – sojusze, bogactwa, równowaga potęg. A ty nie masz równego głosu w sprawach Braterstwa. Nigdy nie miałeś. Nie należałeś do Humbaby... ale do Mundilfoere.

Reede pokręcił głową, czuł się, jakby nagle wyrzucono go w próżnię.

– To kłamstwo.

– Naprawdę wierzysz, że kiedykolwiek funkcjonowałeś na tym samym poziomie co ja? Czy nawet Mundilfoere? Pozwoliła ci tak sądzić? Tak, zostałeś dopuszczony do wewnętrznego kręgu, a nawet wyniesiony na dziesiąty poziom, zażądała tego Mundilfoere. Ale nie masz pojęcia, ile jeszcze poziomów jest nad tobą – nie wiesz zupełnie, co się dzieje daleko, daleko powyżej twej głowy. Humbaba był narzędziem Mundilfoere, dobrze je wykorzystywała... tak samo jak ciebie.

– Odpieprz się. – Reede spróbował zerwać się z siedzenia – nie mógł. Spróbował jeszcze raz, rzucając wszystkie siły przeciwko niewidzialnym więzom, które go tu trzymały; czuł, jak jego mięśnie naprężają się z wysiłku, lecz niczego nie uzyskał. Opadł znowu. Nacisk minął, gdy tylko zaprzestał walki.

– Byłeś zawsze jej ulubionym narzędziem, Reede – ciągnął Jaakola, jakby niczego nie zauważył. – Jej kolejnym zwierzaczkiem: sprytnym, ładnym... Sama cię stworzyła, Reede – ze skradzionych kawałków. Nie ma Reede'a Kullervo. Był kiedyś. Teraz już nie. Nie jesteś człowiekiem, wymazano ci mózg; uczyniono biologicznym naczyniem na węgle wielkiego płomienia. I nawet ten żar jest nie do zniesienia, wypala resztki twego mózgu...

– Ty gnoju, niech cię... – Reede szarpnął się znowu, wpadł na ścianę wywołanego przez niego bólu. Nie mógł dosięgnąć Jaakoli, a nawet zakryć uszu. Za każdym szarpnięciem zaciskał tylko niewidzialne więzy.

– Nie wierzysz mi? – zapytał urażony głos. – Powiedz mi coś o sobie... Co lubiłeś robić jako dziecko? Jaka była twoja rodzina? Gdzie się uczyłeś? Kiedy trafiłeś do Humbaby, miałeś przecież wiedzę, jakiej najlepszy z biochemików nie zdołałby zebrać przez całe życie... a byłeś zaledwie siedemnastolatkiem. Skąd ją wzięłeś? Czy nigdy się nad tym nie zastanawiałeś?

– Wiem, kim jestem! – Reede zawołał ochryple.

– To odpowiedz na moje pytania... – Jaakola czekał, milczenie się przeciągało. W głowie Reede'a rozbrzmiewały szepty i krzyki, oderwane kawałki układanki, którą od dawna klecił i rozrzucał. – A może nie potrafisz? – Źródło zachichotał jak woda spływająca rurą.

– Mundilfoere! – zawołał Reede, wołał ją, by rzuciła most nad bezdenną otchłanią przerażenia, która się nagle przed nim otworzyła. – Chcę Mundilfoere!

– Oczywiście, że chcesz – mruknął Źródło – by cię pogłaskała i kochała się z tobą, aż zapomnisz, by ci mówiła, że to nieważne. W ten sposób zachowywałeś zdrowie i mogłeś służyć jej celom. Kochasz ją bardziej, niż własną duszę, prawda? Słusznie... zabrała ci duszę.

– Kocha mnie...

– Tak... – mruknął Jaakola. – Nie wątpię. Ale w ty m jest kobietą – słabą i ułomną, pomimo swego umysłu. Głupi błąd, zakochać się we własnej ofierze... nieunikniony... groźny. Nie chciała oddać mi ciebie, nawet za cenę własnego życia.

Reede poczuł, jak zamiera mu serce.

– Nie. Powiedziałeś, że nie było jej w cytadeli...

– Nie było. – Źródło przesunął bezkształtną postać. – Powiedziałem, że nie było jej tam... a nie, że żyje.

– Nie wierzę ci – Reede wydusił te słowa przez pozbawione krwi wargi. Po policzku spływał mu pot, lecz nie mógł go wytrzeć.

– Rzeczy się zmieniły, gdy byłeś nieobecny – już to powiedziałem. Władza zmieniła adres... na mój. Przeznaczenie ofiarowało mi Mundilfoere... a wraz z nią ciebie. Czekałem długo na was oboje. Jej śmierć nie była szybka... patrzyłem na to osobiście.

– Nie wierzę ci – Reede szepnął powtórnie, zamknął oczy. – To nieprawda. Mundilfoere przyjdzie po mnie, nie pozwoli, byś mnie tu trzymał...

– Pragniesz Mundilfoere? Bardziej niż własną duszę? Bardziej niż siebie?

– Tak. Tak... – odpowiedział Reede w daremnej nadziei tonącego człowieka. Nie obchodziło go, czego Jaakola zażąda w zamian, gotów był dać wszystko za odwrócenie niemożliwej do zniesienia prawdy. – Co tylko chcesz. Wszystko...

– No to weź ją sobie... – szepnął Źródło. – A raczej jej resztki.

Reede poczuł, jak coś spada mu na kolana, coś bardzo małego. Spojrzał w dół, zamrugał w ciemności, nie mógł nawet dotknąć niespodziewanego daru. Zaczął nieopanowanie drżeć.

Z mroku przed nim wystrzelił cienki promień jaskrawego, białego światła, uderzył w krocze spodni Reede'a, ukazał leżący tam przedmiot. Oszołomiony blaskiem, Kullervo zamrugał, zmusił się do opuszczenia zamglonego, niepewnego wzroku.

Ludzki kciuk. Zakrzepła krew była niemal równie ciemna, co wyschnięta skóra. Oderwany kawałek ciała i kości otaczał ciągle gruby srebrny pierścień z dwiema soliami. Przed odlotem dał go Mundilfoere jako zaprzysiężenie małżeństwa.

Reede wydał pochodzący z głębi duszy krzyk cierpienia i żalu, wył tak długo, aż wreszcie wyczerpał do końca głos i siły. W tejże chwili zgasł samotny promień.

Gdy czarny mrok wypełniało już tylko rozpaczliwe łkanie, rozległ się śmiech Źródła.

Gdy i on umilkł, Jaakola powiedział:

– Na to też długo czekałem, Reede. By usłyszeć cię tak krzyczącego. Ciebie, zadufanego, wyniosłego śmiecia, nazywającego się Kowalem, posiadającego w mózgu geniusz stuleci, o którym myślałeś, że jest twój własny. Postępowałeś, jakbyś był równy nam – wierzyłeś w to, choć byłeś jedynie jej stworem. Żałuję tylko, że ona nie może słyszeć twego krzyku... że nie mogłeś widzieć, jak ją rozdzierałem.

Reede jęknął. Bezrozumny, zwierzęcy odgłos żalu rozbrzmiał echem w ciemnościach.

Źródło zamruczało z zadowoleniem.

– Wiem, że nie mógłbym twemu ciału zadać równie wielkiego bólu, bo by tego nie przeżyło. A będziesz żył, Reede. Jesteś teraz mój... Z naszym połączeniem się wiązę wielkie plany. Będziesz rozmnażał napęd gwiazdny, ja dopilnuję jego rozpowszechniania, przysparzając Kharemoughi możliwie jak największe szkody i zwiększając wpływy Bractwa. A gdy nadejdzie pora, wrócisz ze mną na Tiamat, dasz nam wodę życia...

– Wpierw umrę – szepnął Reede. Gardło i oczy miał suche jak pieprz. – Zabiję się.

– Nie... nie sędzę – mruknął Źródło. – Ani się nie załamiesz i nie zwariujesz. Chcesz wiedzieć dlaczego? Ponieważ już teraz jakaś część mózgu mówi ci, że jeśli przeżyjesz, znajdziesz sposób, by mi się odplacić. – Zachichotał znowu, jakby odczytywał każdą myśl więźnia. – Będziesz miał wszystko, co potrzebujesz, najlepszy sprzęt, najlepszych uczonych, jakich można kupić, mnóstwo pieniędzy do dowolnego wydania – dopóki nie zaprzestasz produkcji. Jest tylko jedna rzecz, jaką ci dawała, a której nie dostaniesz ode mnie... chyba że naprawdę chcesz dzielić me łożę.

Reede szarpnął głową, gdy ogarnął go wulgarny śmiech Źródła. Splunął, tylko tak mógł okazać swój bunt.

Jaakola cmoknął jak przy pocałunku i znów się roześmiał.

– Wiem nawet o jednej rzeczy, której potrzebujesz bardziej niż jej. Przygotowałem ją nawet dla ciebie. Zdaje się, że nazywasz to "wodą śmierci"?

Reede popatrzył w mrok, jego płonące oczy wypełniła czerń. Coś, co nie było – nie mogło być – ulgą, wypełniło mu piersi.

– Tak, Reede... wiem już o tobie wszystko. Wszystkie twe najtajniejsze sekrety. Ty żaloszny, niszczący siebie wariacie. Wreszcie znalazłeś coś, co nawet w tobie budzi strach... Nie winię cię za lęk. Kazałem wypróbować wodę śmierci na jednym z mych ludzi. Skutki są naprawdę nie do zniesienia, nawet przy przyglądaniu się im. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak można to wytrzymać. Nieuleczalne? Och, jesteś bardzo zdolny... – Jego słowa kapały jadem. – Sam wykułeś sobie łańcuchy – a teraz wręczyłeś je mnie. Dostaniesz wodę życia, Reede; dopóki będziesz posłuszny, zawsze dostarczą ci ją na czas. W gruncie rzeczy... – Źródło przerwał, Reede wyczuł jego uśmiech, niby nóż powoli podcinał mu gardło – pewnie niedługo będzie ci potrzebna. To dlatego tak żeś się spieszył z powrotem do Humbaby, prawda? Nawet Mundilfoere nie miała nad tobą takiej władzy... W nowym laboratorium czeka na ciebie mała dawka. Dopóki będziesz pracować, pozwolę ci na dalsze.

Reede nic nie powiedział. Przełknął twardą gałkę nienawiści i odetchnął głęboko, dyszał aż do bólu płuc.

– Masz pytania dotyczące swego nowego życia?

Reede nic nie odpowiedział.

– Żadnych ostatnich próśb?

– Idź do piekła – odparł Reede załamującym się głosem.

– Czyżbyś nie wiedział? – mruknął cicho Źródło. – Już w nim jestem, mój drogi. Tak jak ty. – Nie odsłaniająca niczego, gorsza od kłamstwa ciemnoczerwona poświata zgasła nagle i całkowicie poza zasięgiem wzroku Reede'a. Znowu opanowały go kompletne ciemności, takie same jak na początku.

Kedalion westchnął i patrząc na zegarek, przesunął się na kanapie. Nie była tak wygodna, na jaką wyglądała. Zastanawiał się, czy ta przewrotność była zamierzona. A może to tylko jego wrażenie. To nie powinno długo potrwać, powiedział Reede. Mylił się.

Ananke znowu zasnął, zwinął się z quollem na brzuchu. Kedalion zazdrościł mu wyczerpania. Sam był tak zmęczony, iż zasnąłby wszędzie... poza środkiem wrogiej cytadeli, w otoczeniu strażników. To, że nikogo nie spotkała krzywda – dotąd – napawało go ulgą, ale nie spokojem. Słuchał wody, niby pieśń żalobna kapała w leżącym za oknem ogrodzie, którego być może wcale nie było. Słuchał dalekich odgłosów, jednocześnie znanych i nie znanych, dobiegających zewsząd korytarzami.

Nagle pojawiły się znowu drzwi, które pochłonęły Reede'a, ktoś z nich wyszedł. Strażnicy

obrócili się czujnie w tę stronę, Kedalion wyprostował i spojrzał.

Jego oczy nie chciały zrazu uwierzyć, że patrzą na Reede'a Kullervo. Człowiek w drzwiach nosił jego twarz, lecz szarą teraz jak popiół, z nic nie widzącymi, podkrążonymi sino oczyma. Poruszał się dziwnie, nieswojo, jak kaleka.

– Reede? – powiedział Kedalion, wpatrując się w Kullervo i budząc szarpnięciem Ananke. Chłopiec wzdrygnął się i znieruchomiał zaskoczony, gdy Reede przyjrzał się im obu. W jego oczach nie było nic, poza rodzajem nikłego zdumienia. Niburu nie miał nawet pewności, czy Kullervo ich poznaje. Jedną dłoń zaciskał kurczowo, jakby coś w niej trzymał. Aż do tej chwili Kedalion nie miał pojęcia, jak naprawdę młody jest jego szef. Dopiero teraz, odarty z szalonej pychy, ukazywał oblicze przerażonego chłopca, trafionego w najczulszy punkt. Niburu poczuł, jak mróz ściska mu żołądek, zastanawiał się, co lub kto w tak krótkim czasie doprowadził do podobnego stanu człowieka pokroju Reede'a.

Newhaveńczyk, który ich tu przyprowadził, podszedł do Reede'a, szczerząc zęby na widok jego całkowitej klęski.

– Daj rękę – powiedział. Był to rozkaz, a nie prośba. Kullervo wykonał go. Palce Newhaveńczyka zacisnęły się na jego przegubie, rozwarły dłoń niby kwiat. Drugą ręką coś na nią położył i Kedalion dostrzegł nagły błysk. Reede zadrzał gwałtownie, lecz nie rzekł ani słowa. – Witamy na pokładzie, Kullervo – powiedział Newhaveńczyk, ciągle uśmiechając się zimno, potem odwrócił się i podszedł do siedzących nadal Kedaliona i Ananke. Dotarł do nich jednocześnie ze smrodem spalonego ciała. Wyciągnął rękę.

Kedalion w milczeniu wysunął swoją, zacisnął szczęki; wiedział, co go czeka. Większość wasali Humbaby nosiła piętno – choć nie Reede, który nie zgodził się także na oznakowanie swych ludzi. Niburu wpatrywał się w Kullervo, przyglądającego się własnej dłoni. Wmawiał sobie usilnie, że nie mógł ich spotkać lepszy los, niż przejęcie przez wroga, powtarzał to, aż rozpalone do białości żelazo dotknęło jego ciała. Ból przeszył mu dłoń, powędrował nerwami ręki. Krzyknął, choć obiecywał sobie, że tego nie uczyni; spróbował się wyrwać, lecz palce Newhaveńczyka trzymały go jak w imadle, nie puszczały do końca.

Wreszcie Kedalion został uwolniony i oszołomiony bólem, klnąc pod nosem, opadł na oparcie. Zmusił się do popatrzenia na piętno. Spojrzało nań wypalone w ciele oko. Zaklął ponownie, gdy rozpoznał ten znak. Dowiedział się wreszcie, kto ich uwięził, znał dobrze sławę Źródła. Oderwał wzrok od oparzenia, skierował go znowu na Reede'a, potem na Ananke, do którego teraz podszedł Newhaveńczyk.

Chłopiec wyciągnął rękę, trzymał ją pewnie w powietrzu. Drugą zwinął w pięść, gdy Newhaveńczyk zbliżył swoją. Zamknął oczy, przygryzł wargi. Żelazo dotknęło jego ciała. Kedalion skrzywił się na widok błysku, ujrzał, jak Ananke drży, jak jasnoczerwona strużka spływa mu na usta i brodę. Gdy Newhaveńczyk puścił chłopca, Niburu zdrową ręką wyjął z kieszeni chusteczkę i podał mu w milczeniu. Ananke przycisnął ją do warg, przesłonił niepewny uśmiech dumy.

Newhaveńczyk spojrzał na nich obojętnie, potem cofnął się i wskazał głową windę.

– Chodźcie. Pokażę wam wasze kwatery. – Kedalion zawahał się, popatrzył na Reede'a, nagle zaczął się bardziej bać o niego niż o siebie czy Ananke, nie chciał się z nim rozstać. Newhaveńczyk podszedł do Kullervo, spróbował wziąć go pod ramię, jakby nie wierzył, że może iść samodzielnie. – Chodź, Reede.

Kullervo powrócił do życia, gdy dotknęła go dłoń Newhaveńczyka. Chwycił ją napiętowaną ręką i oderwał. Obcy zeszywniał, gniew opuścił go nagle, gdy zajrzał w oczy Reede'a i nie dostrzegł w nich bólu.

– Zostaw mnie – szepnął Reede i Kedalion przez chwilę zauważył na jego twarzy coś znanego i groźnego.

Newhaveńczyk cofnął się i wzdrygnął.

– Dobra – mruknął i ruszył w kierunku windy.

Znowu długo wędrowali przez labirynt przejść wewnątrz ulla twierdzy. Tym razem Newhaveńczyk zadał sobie trud i objaśniał, co widzą. Kedalion usiłował nie zwracać uwagi na pulsującą bólem dłoń i skupiać się na drodze, zapoznawać z miejscem, które teraz stanie się ich nowym domem, czy chcą tego, czy nie. Co chwilę jednak zerkał na pustą twarz Reede'a i za każdym razem znowu odczuwał mdłości.

Wreszcie dotarli do celu, tkwiącego w sercu zespołu laboratoriów. Według słów Newhaveńczyka, który wreszcie podał im swe nazwisko – TerFauw – zajmowały one piętnaście pięter, całe południowe skrzydło fortecy, i zatrudniały niemal tysiąc osób. Kedalion ocenił, że są dziesięć razy większe niż laboratoria Humbaby. TerFauw powiódł ich do części mieszkalnej, pokazał sklepy i stołówki, ale ani na chwilę się nie zatrzymał, dopóki nie dotarli do kwatery, którą zdawała się zajmować cały osobny poziom zespołu.

Newhaveńczyk przeszedł z nimi przez kwaterę, z obojętnością, która zwróciła uwagę Kedalioną, wskazywał na jej luksusowe i eleganckie wyposażenie. Niburu uznał, z lekką zawiścią, że to będzie nowe mieszkanie Reede'a. Ponownie nadaremnie spróbował porównać względną uprzejmość, z jaką ich traktowano, z tym, co spotkało Reede'a podczas trzech godzin ich rozdzielenia. Kullervo przyglądał się wnętrzom z całkowitą obojętnością.

– Te drzwi, Kullervo, prowadzą do twego osobistego laboratorium. – wskazał TerFauw. – Ktoś jutro pokaże ci cały zespół. Pan naprawdę nie może się doczekać, kiedy przystąpisz do pracy.

Reede obrócił się w tę stronę, po raz pierwszy okazał prawdziwe zainteresowanie. Drzwi były zamknięte, Kedalion dostrzegł znajomą czerwoną poświatę bijącą od zamka Kharemoughi.

– Otwórz je – powiedział Reede.

TerFauw pokręcił głową.

– Nie mogę.

Reede zwrócił się ku niemu.

– Odblokuj ten pieprzony zamek...

– Tylko Pan może to zrobić – powiedział TerFauw. – Nie ja. Ani ty. Otworzy drzwi, gdy zdecyduje, że chce, byś dostał to, co jest tam w środku... To już nie zależy od ciebie, Kullervo, zrozumiałeś?

Reede spojrział na niego wściekle, potem nagle ogień jego oczu zmienił się w popioły, jakby w słowach TerFauwa kryło się coś więcej, niż dosłyszał Kedalion. Newhaveńczyk uśmiechnął się, wygięcie ust zdradzało, że drwi. Reede odwrócił się do niego plecami i poszedł do następnego pokoju.

TerFauw spojrział na Kedalioną i Ananke. Niburu wstrzymał oddech, zastanawiał się, do jakiego piekła Newhaveńczyk chce ich wrzucić; był pewien, że nie spotkają się z takimi względami, jakimi mimo wszystko obdarzano Reede'a.

– Wy dwaj zostaniecie z nim, póki nie zdecydujemy, co z wami zrobić.

Kedalion bez słowa kiwnął głową, czuł zdziwienie i ulgę.

– Macie go obaj pilnować, póki nie dojdzie do siebie. Ciągłe jest trochę nieswój. – Drwina znowu wykrzywiła wargi TerFauwa.

Kedalion zerknął na drzwi następnego pokoju, pomyślał, że ten człowiek w niczym nie przesadza.

– Uważajcie, by czegoś sobie nie zrobił. – TerFauw spojrział w zdziwione oczy Kedaliona. – Co spotka jego, spotka i was. Obu. – Zwrócił głowę do Ananke. – Czy to jasne?

– Całkowicie – mruknął Kedalion. Nagle poczuł pulsujący ból dłoni.

TerFauw wyszedł, zostawiając ich samych. Ananke postawił quolla na podłodze, jedną ręką, i poszedł do łazienki. Zwierzę powąchało gruby zielony dywan, stwierdziło, że nie nadaje się do jedzenia, i zaczęło wędrować po pokoju. Schowało się pod stół, gdy cicho wszedł Reede.

Wzrok Kullervo skierowany był prosto na zamknięte drzwi laboratorium. Zamki były nadal czerwone. Przeszukał pokój oczyma, jakby się upewniał, że wreszcie zostali sami. Usiadł na tapczanie pokrytym lśniąca kapą z wzorami płomieni. Nic nie mówiąc, wpatrywał się w drzwi. W jednej dłoni ciągle coś ścisnął.

Ananke wrócił do pokoju, trzymając w zdrowej ręce pojemnik ze sztuczną skórą.

– Znalazłem to, Kedalionie... – powiedział i rzucił do kolegi. Niburu złapał naczynie niezgrabnie, popatrzył i pokręcił głową.

– Nałożyłeś już?

– No.

– Zmyj to, bo nie będziesz miał blizny. Przecież o to właśnie chodzi, by został znak. A może chcesz, by znowu cię to spotkało...

Ananke wykrzywił twarz i pokręcił głową. Ruszył z powrotem do łazienki.

– Dobrze się trzymałeś – powiedział Kedalion. Ananke obejrzał się i lekko uśmiechnął. Niburu poszedł za nim, dostrzegł, jak chłopiec, odwracając twarz, energicznie zrywa bandaż z dłoni. Zaczął przeglądać zawartość dobrze zaopatrzonej apteczki, zastanawiając się przy tym gorączkowo, czy nie umieszczono ich tu specjalnie, by powstrzymali Reede'a, gdyby ten spróbował jakiegoś desperackiego kroku. Odsunął od siebie tę myśl i wyjął tubę maści.

– Weź – powiedział Ananke. – To uśmierzy ból.

Chłopiec, krzywiąc się, posmarował dłoń i oddał tubę Kedalionowi. Ten wrócił z nią do pokoju, zobaczył, że Reede ciągle wpatruje się w drzwi. Niburu na oczach Kullervo rozproszony maść na własnej ręce, westchnął, gdy ból opuścił go niby zgaszony ogień. Potem podszedł do Reede'a, podał lekarstwo.

– Szefie...?

Reede spojrział na niego, potem na swą pokrytą pęcherzami dłoń. Umyślnie położył palce na oparzeniu, zacisnął je w pięść.

– Nie – szepnął.

Kedalion odsunął się, przełknął ślinę.

– Chodź – powiedział cicho do Ananke. – Coś zjemy. – Poszedł do kuchni, mógł tam swobodnie rozmawiać, nie tracąc Reede'a z oczu. Ananke siedział na stole, patrząc na drzwi, podczas gdy Niburu obejrzał i uruchomił urządzenia kuchenne.

– Kedalionie, co się stało? – zapytał wreszcie Ananke. – Bogowie, nigdy go takim nie widziałem. Jak myślisz, co mu zrobili? – Dotknął swej przygryzionej wargi i zadrżał.

Kedalion pokręcił głową.

– Nie wiem – mruknął, czując, jak strach znowu ścisną mu żołądek. – I chyba nie chcę wiedzieć. Ale TerFauw ma rację... musimy go bez przerwy pilnować.

– Potrzebuje czegoś więcej – Ananke spojrział mu w oczy.

Kedalion przytaknął, marszcząc przy tym brwi.

– Wiem – mruknął. – Wiem. Ale, do licha, nie mam pojęcia, co robić... – Skrzywił się, przyznając się do tego napełniło go poczuciem bezradności... uświadomił sobie, jak bardzo pragnął

pomóc cieniowi człowieka, siedzącemu w sąsiednim pokoju. Widok cierpiącego, skrzywdzonego Reede'a przejął go bardziej niż wszystkie jego dotychczasowe gniewy i humory. Poczul się za niego odpowiedzialny. To uczucie nappełniło go nienawiścią, lecz zrozumiał nagle, iż owa nienawiść nie obejmuje człowieka. Potarł bolące oczy, przypomniał sobie, jak bardzo jest zmęczony, ile czasu minęło, odkąd miał chwilę snu. Obejrzał się, gdy na półce nad nim pojawiły się talerze zjedzeniem.

Ananke rozstawił je na stole i wyciągnął rękę, pomagając Kedalionowi wdrapać się na krzesło, dopiero potem gwizdnął na quolla. Zwierzę wpadło do kuchni, przywitało chłopca radosnymi gwizdami, gdy ten postawił przed nim talerz pełen owoców i warzyw. Przycupnęło przy jedzeniu, wygięło grzbiet, mruczając radośnie. Kedalion poczuł, że na jego twarzy zjawia się uśmiech.

– To samiec czy samiczka? – zapytał, dziwiąc się, że nigdy dotąd się tym nie zainteresował.

Ananke wyprostował się znowu i wzruszył ramionami, wsadzając jednocześnie do ust i przelękając w całości rybny pulpecik. Żaden z nich już dobieć nic nie jadł.

– Chyba samiczka. U quolli ciężko to poznać. Nie różnią się wyglądem. – Pociągnął zimny kaff.

– Cieszę się, że u ludzi jest inaczej – mruknął Kedalion. Z nagłą, gorzką tęsknotą uświadomił sobie, ile to już czasu minęło, odkąd miał okazję cieszyć się różnicą płci. Nie wiedział, czy kiedykolwiek jeszcze to uczyni. Ananke zerknął nań przelotnie, skrzyżował ręce na kombinezonie i odwrócił, gdy Niburu uniósł brwi. – No – powiedział Kedalion, opuszczając wzrok, patrząc na jedzącego quolla – w każdym razie one chyba się rozróżniają.

Skończył jeść i dopił gorzką, mocną herbatę z Ondinee, miał nadzieję, że to postawi go trochę na nogi.

– Lepiej śpijmy na zmianę. Jeden z nas powinien być zawsze na straży. – Wskazał na Reede'a.

Ananke przytaknął. – Będę czuwał pierwszy.

– Na pewno... ? – zapytał Kedalion. – Nie zaśniesz?

– Jasne. – Ananke wzruszył ramionami, spojrzął na dłoń. – Wiesz, chyba na razie nie zechce mi się spać. – Głos mu zadrżał. Spojrzął na siedzącego samotnie Reede'a i zaciskając usta, podniósł trzecią tacę z jedzeniem.

– Racja – powiedział Kedalion. – Obudź mnie za cztery godziny. Możesz wcześniej, jeśli się zmęczysz. – Odnalazł jedną z sypialń, wdrapał na łóżko i położył. Wypita herbata nie przeszkodziła mu w zaśnięciu.

Po obudzeniu miał wrażenie, iż spał zaledwie kilka minut. Ananke szarpał mocno jego ramieniem. Spojrzął na zegarek, zobaczył, że minęło przeszło sześć godzin i usiadł ziewając. – Dzięki – mruknął, masując twarz. – Co z nim?

Ananke zerknął na drzwi, twarz miał napiętą.

– Nie wiem – odpowiedział. – Chyba coś złego, Kedalionie, naprawdę złego. Wygląda na chorego. – Bezradnie rozłożył ręce.

Niburu zsunął się z łóżka, potrząsnął głową, by dojść do siebie.

– Zobaczę, co da się zrobić. Postaraj się zasnąć. Zawołam cię, gdybyś był potrzebny. – Ananke kiwnął głową, pod jedną ręką trzymał quolla. Patrzył na łóżko z mieszanymi uczuciami. Kedalion wyszedł z sypialni.

Reede nie opuścił tapczanu; leżał na nim teraz, mocno przyciskając do piersi podciągnięte kolana. Obok na stole stała taca z nie tkniętym jedzeniem. Spojrzął pustymi oczami, gdy Kedalion wszedł do pokoju, i bez słowa znowu utkwiał wzrok w drzwiach do laboratorium. Zamki były nadal czerwone.

Kedalion popatrzył na drugą ścianę pokoju – przezroczysty stop ceramiczny sięgał od podłogi do sufitu, ukazując czysty przestwór błękitnego nieba. Ogród z małym wodospadem przesłaniał

gorzką, ciągnącą się w nieskończoność szarzyzną ciernistej puszczy. Po przeciwległej stronie pokoju znajdował się osłonięty balkon wychodzący na zielonkawy szyb wentylacyjny zespołu laboratoriów. W samym dole widniała bardziej zielona plama parku. Pozostałe ściany zajmował ekran trójwymiaru, sprzęt łączności, książki i taśmy. Kedalion nie miał pojęcia, czemu Reede, mając to wszystko przed oczyma, woli się gapić na zamknięte drzwi. Jednego tylko był pewien – nie wynika to z pragnienia natychmiastowego przystąpienia do pracy.

Reede zaklął, tak cicho, że Kedalion ledwie to dosłyszał. Odwrócił się, zobaczył lekkie drżenie ciała Kullervo, jego zaciśnięte szczęki. Błada twarz leżącego lśniła od potu, choć w pokoju wcale nie było ciepło. Kedalion podszedł do Reede'a. Ten nie zwrócił na niego uwagi.

– Reede, powiedz mi, co mam robić...

Przekrwione, udręczone oczy Kullervo skupiły się nagle na Kedalionie.

– Zostaw mnie – wydusił spomiędzy zaciśniętych zębów.

Niburu bez słowa kiwnął głową, próbował się zmusić do posłuszeństwa i odejścia. Zamiast tego wyciągnął niepewnie rękę, dotknął nią ramienia Reede'a.

Kullervo syknął z nagłego bólu, jakby został uderzony. Kedalion cofnął dłoń, odstąpił kilka kroków, gdy leżący wstał nagle, chwiejąc się na nogach. Niburu odszedł dalej, ale Reede minął go niepewnie i powlókł się w stronę korytarza. Po chwili z łazienki dobiegł szum wody, Kedalion nie był pewien, czy słyszy odgłosy wymiotowania. Pozostał na miejscu, choć wiedział, że powinien pójść za Reede'em i pilnować go – bał się tego, co się stanie, jeśli nic nie zrobi, lecz jeszcze bardziej tego, co może nastąpić, gdy coś uczyni.

Minęło dużo czasu, nim Reede wrócił do pokoju, oczy miał czerwone i napuchnięte, z nosa mu kapało. Kedalion zaczął znowu oddychać. Kullervo opadł na tapczan, poruszał się z trudem, jakby bolała go każda komórka ciała, znowu spojrzął na zamknięte drzwi. Niburu przypatrywał się półkom z książkami, lecz nie potrafił rozpoznać żadnego tytułu. Wybrał którąś na ślepo i wdrapał się z nią na fotel. Otworzył książkę i zobaczył w środku strony pokryte znakami pisma sandhi, równie dlań niepojętymi, co nagle wszystko inne wokół.

Zaskoczony uniósł głowę, gdzieś w pokoju rozległo się dzwonicie. Reede krzyknął coś ochryple; zwlókł się z tapczanu i podszedł do drzwi laboratorium. Zamki były zielone. Nacisnął płytkę dostępu, zaklął z bólu i wpadł do sąsiedniego pokoju.

Kedalion zeskoczył z fotela i ruszył za Reede'em, pojął, co ten może znaleźć i zrobić w dobrze zaopatrzonym laboratorium.

Kullervo był przy najbliższym komputerze, zadawał mu pytania w jakimś niezrozumiałym języku czy szyfrze. Jego dłonie przesuwały się po klawiszach ślepo i instynktownie. W kilku komorach stazyjnych otworzyły się zamki; pola zamrugały. Reede przeszedł niepewnie przez laboratorium, zaczął gorączkowo sprawdzać poszczególne komory, nie zwracał zupełnie uwagi na obecność Kedalion. Zaśmiał się raz, niemal histerycznie, i wyciągnął pojemnik wielkości dłoni. Otworzył go, podniósł do ust.

Kedalion zaklął pod nosem. Rzucił się naprzód, szarpnął rękę Reede'a. Ciężka, szarawa, lśniąca metalicznie ciecz spłynęła mu po dłoni. Kullervo okręcił się, szybciej niż Niburu zdołał zareagować, i dopadł podwładnego, uderzając kolanem w bok jego głowy. Kedalion przetoczył się po podłodze i walnął w metalowe szuflady stojące pod stołem laboratoryjnym. Został tam, czując smak krwi i widząc gwiazdy, to zadziały umieszczone w potylicy wszczepy astrogacyjne. Sparaliżowany strachem patrzył, jak Reede połyka resztki srebrzystoszarego płynu.

Kullervo drżącymi dłońmi odrzucił buteleczkę. Kedalion zamknął oczy, gdy Reede spojrzął nań nagle i ruszył w jego stronę. Poczul dłonie zaciskające się na jego kombinezonie, podnoszące w

czerwonej mgielce, szarpiące.

– Spójrz na mnie, do cholery! – Kedalion otworzył oczy, napotkał przepelniony nienawiścią wzrok Kullervo. – Zabijecie, skurwysynu, jeśli jeszcze raz spróbujesz mi to zrobić. Przetnę twój pieprzony kark. – Złapał Niburu za brodę, szarpnął nią ostro i boleśnie w jedną stronę. – Słyszysz? Zabijecie! – Puścił Kedalion, który upadł na metalowe szafki.

Reede odwrócił się od niego, nagle zachwiał i powlókł niepewnie pustą przestrzenią do półek. Złapał się za skraj stołu, zawisł nad nim, opadł na kolana. Trzymał się krawędzi, jakby od tego zależało jego życie. Mruczał coś w języku przypominającym sandhi.

Kedalion pozostał na miejscu, zbyt był oszołomiony i obolały, żeby się ruszać. Nic nie rozumiejąc, obserwował Reede'a. Jeśli jeszcze raz to zrobisz... Ile to razy można połykać truciznę i żyć? Chyba że to nie była trucizna, lecz coś, czego rozpaczliwie potrzebował... W nagłym, przyprawiającym o mdłości olśnieniu pojął znaczenie wszystkiego, czego był dzisiaj świadkiem, i jeszcze czegoś więcej.

W drugim końcu pokoju Reede znowu powstał i potrząsnął głową. Odetchnął głęboko, urywanie, rozejrzał się wokół, jakby nie wiedział, skąd się tu wziął. Popatrzył na swe dłonie, jedną oparzoną, drugą pustą; zamknął zdrową, otworzył i cicho zaklął. Opadł na kolana i szukając czegoś, przesuwając rękoma po podłodze. Krzyknął, gdy to znalazł. Siedząc na posadzce, podniósł i pocałował zębem. Potem pochylił głowę i niby żalobnik zaczął się w milczeniu kiwać w przód i w tył. Nie panował nad szarpającymi mu ciało silnymi spazmami.

Kedalion patrzył, zrozumiał, że Reede łka. Zupełnie zapomniany, przyglądał się opłakiwaniu jakiejś niepojętej straty. Wreszcie Reede wstał i idąc niepewnie, minął Kedalion. Zatrzymał się przed szybą spalarki śmieci, otworzył dłoń i znieruchomiał, wpatrując się w jej zawartość. Po twarzy w milczeniu spływały mu łzy.

Wiedziony współczuciem i żalem Kedalion odwrócił się, podciągnął tak wysoko, aż zdołał dostrzec przedmiot leżący na dłoni

Reede'a. To, co ujrzał, nie miało dlań żadnego sensu; ciemna, bezkształtna grudka, przypominająca urwany kawałek kija, otoczony pierścieniem błyszczącego metalu. Pierścieniem. Niburu dostrzegł, że coś w nim odbija światło, lśni bajkowo jak solia. Pierścień... palec, wyrwany z ciemnoskórej ludzkiej dłoni. Dławiony wstrętem, cofnął się i osunął. Widział już przedtem taki pierścień, dokładnie taki sam; przez niemal rok widywał go prawie codziennie. Reede nosił go na swoim kciuku. Ma go teraz... Mundilfoere.

Pogardzając sobą, lecz nie mogąc powstrzymać, odwrócił się znowu, spojrzał na Reede'a delikatnie zdejmującego pierścień z odciętego kciuka. Ręce drżały mu tak bardzo, że ledwo zdołał się z tym uporać. Jeszcze raz pocałował zakrwawioną cząstkę swej martwej żony i wrzucił ją w promień spalarki. Wpadła tam w błysku światła i zniknęła.

Reede złapał łańcuszek, z którego zwisał mu na piersi wisior z solią, szarpnął nim. Klejnot spadł na jego poparzoną dłoń. Spojrzał na niego z nienawiścią równie wielką jak ta, która tkwiła w jego oczach, gdy Kedalion rozlał mu lekarstwo.

Rozgorączkowana pamięć Niburu przywołała obrazy błyszczącego wisiora leżącego w pyle małej uliczki Razumy, lśniącego na gardłach grupy obcych, wpatrujących się w niego ze śmiercią w oczach... tkwiącego na szyi Mundilfoere. Ubrana po męsku, bez welonów, patrzyła, jak Reede chroni go przed owymi pełnymi mordu oczyma...

Dłoń Kullervo zacisnęła się na wisiorze, drżała z wściekłości czy bólu, gdy ręka zatoczyła łuk prowadzący do spalarki... zatrzymała się, nim palce wypuściły klejnot, cofnęła. Reede powoli, niezdarnie zawiesił wisior na łańcuszku, potem pierścień. Zabrzęczało srebro, gdy oba klejnoty

zetknęły się z sobą. Na koniec założył wszystko na szyję, oczy miał już suche.

Reede uniósł głowę, odszukał wzrokiem Kedaliona. Przeszedł przez pokój w stronę milczącego świadka, poruszał się teraz pewniej, choć oczy miał zupełnie puste. Niburu spróbował wstać, nie zdołał. Kullervo pochylił się nad nim, dotknął jego twarzy, wyglądał na oszołomionego. Na jego cofniętych wreszcie palcach Kedalion zobaczył własną, świeżą krew. Reede również na nią spojrzął, niemal ze zdumieniem, i wytarł dłoń o ubranie. Odwrócił się i opadł na kolana, pochylił do przodu, zbrojone szkło jego panowania nad sobą rozsypało się w pył pod naciskiem oczu Kedalion Rękoma zasłonił głowę.

– Bogowie... och nie, nie... – Między tymi słowami tkwiła rozpacz człowieka, który został całkowicie, niewiarygodnie złamany, rozpacz równie czarna, co pustka przestrzeń między gwiazdami.

Wstrząśnięty Kedalion wychylił się do przodu, zacisnął w pięści rwące się do wyciągnięcia dłonie. – Reede... – szepnął i urwał, nie wiedział, jak dotrzeć do człowieka, który był zawsze niedostępny, unikał nawet dotykania... niby rtęć, lśniąca i śmiertelna. Nie wiedział, jak powstrzymać kogoś, kto zawsze stąpał po cienkiej linii zdrowia psychicznego nad przepaścią szaleństwa, a teraz lina ta została przecięta i zaczął spadać... – Reede – powtórzył raz jeszcze jego imię, do głowy przychodziło mu tylko to jedno słowo poza zupełnie nieodpowiednimi w tej chwili przekleństwami; tylko ono dowodziło skulonemu w pozycji płodowej na podłodze, że Reede Kullervo nadal żyje, że nie znajduje się całkowicie w rękach wrogów. Niepewnie powtórzył je jeszcze raz.

Reede w końcu z wahaniem uniósł głowę, opuścił ręce. Spojrzął na Kedaliona poprzez koszmarny obraz, który miał ciągle przed oczyma. Mimo to powoli, niepewnie wyciągnął jedną rękę.

Kedalion chwycił ją, przytrzymał; złapał niespodziewany ciężar ciała Reede'a, gdy ten pochylił się naprzód i niby dziecko przywarł doń ślepo.

– Reede – powtórzył Niburu, po chwili spytał: – Co się stało?

Reede odsunął się od niego, opadł plecami na bok stołu, szukał w nim podparcia, jakby wysiłek wychylenia się do przodu wyczerpał wszystkie jego siły.

– Jaakola... – powiedział, światło świadomości zaczęło na chwilę przygasać w jego oczach. Przycisnął dłoń do ust, przytrzymał, wreszcie znowu pozwolił opaść. – Mundilfoere. Zabił ją, nie żyje... torturował na śmierć. – Odwrócił twarz w stronę spalarki śmieci. Kedalion zacisnął wargi. Reede spojrzął na niego, gardło mu się poruszało. – I powiedział... powiedział... nie wiem, kim jestem. Czym jestem. Jedynie kupą mięsa. Wykorzystywała mnie, starła mój umysł, zastąpiła go czymś, innym... Nie rozumiem! – Zacisnął pięści, skrzywił w spazmie twarz. Kedalion zaczął, aż wreszcie Reede odetchnął swobodniej i znowu otworzył oczy.

– Kto? – mruknął Kedalion.

– Mundilfoere! Powiedział, że mnie kochała... – Reede'owi załamał się głos. – Ale jestem tylko kupą mięsa.

Kedalion pokręcił głową.

– Kłamał. Powiedział tak, by cię zranić...

– Nie! – To słowo było krzykiem bólu. – Czy twoje życie ma sens?

Kedalion roześmiał się.

– Nie w tej chwili, szefie,.. – odpowiedział i natychmiast tego pożałował, gdy koszmarny obraz okrył zmrokiem oczy Reede'a.

– Czy twe wspomnienia trzymają się kupy...? – Reede wyrzucił to z siebie z drżeniem. – Niech cię licho.

Kedalion wysunął rękę, Reede chwycił ją gorączkowo, przytrzymał.

– Tak – powiedział z mocą. – Mają sens. Trzymają się kupy.

– Moje nie – szepnął Kullervo. – Jakby ktoś wrzucił granat do mego mózgu. Resztki... fragmenty... nie pasują do siebie, ani trochę. Niektóre są całkowicie niedorzeczne. Pracuję w kosmicznej próżni, nie mam żadnego skafandra... skaczę między planetami – planetami nie istniejącymi, lecę prawdziwymi statkami gwiazdnymi, a nie naszymi monetami. Ludzie, których nie znam, kochający się ze mną... – Wyciągnął rękę, dotknął kolczyka. – Kiedyś miałem go... pozwalał mi... Wystarczyło, że pomyślałem i rozmawiałem z kimś z innej planety, łączyłem się jak nawigator, miałem dostęp do sieci informacyjnej, przy której umysł sybilli wydaje się... wydaje... – Szarpnął za kolczyk, zerwał z przekleństwem. – Szukałem podobnego do mojego... myślałem, że jeśli go znajdę, zdołam ich wezwać, że przybędą... wyciągną mnie z tego zniszczonego ciała, w którym jestem uwięziony... Ale nigdy mi się nie udało, bo to jeszcze nie istnieje, nigdy nie powstanie... – Uniósł dłonie, spojrzął na nie, jakby należały do kogoś obcego. – Ilmarinen!

Kedalion przygryzł język, nic nie powiedział.

– Naprawdę! – Reede dostrzegł wyraz twarzy Niburu; złapał go za przód skafandra, potrząsnął i odrzucił. – Nie zwariowałem, nie! Jestem pieprzonym geniuszem; skąd inaczej bym wiedział to, co wiem? Nigdy nie skończyłem żadnej szkoły! Kim jestem naprawdę? Czym jestem? Próbowałem – próbowałem ją pytać... ale nie mogłem przypomnieć sobie pytań. Wariowałem, bo tak się bałem... A ona: zapomnij... zapomnij, tak mi mówiła. Kładła swe usta na moich... kładła na mnie dłonie, tak właśnie... o bogowie... – Przesunął rękoma po swym ciele, zacisnął palce na skafandrze. Wysunął głowę do przodu. – I zawsze zapomniałem... Bo byłem tylko kupą mięsa.

– Reede – powiedział miękko Kedalion. – Jesteś człowiekiem. Kochała cię.

Reede otworzył oczy, spojrzął na niego niemal przytomnie.

– Kochała cię – powtórzył Kedalion.

– Ale nie żyje... – odparł – Reede głucho.

Niburu kiwnął głową, opuścił wzrok.

Reede spojrzął na swą napiętnowaną dłoń, na przyglądające się mu oko.

– Prawdopodobnie teraz nas słucha, ten... – urwał i splunął, jakby nie znalazł słów dość paskudnych, wyrażających odczuwaną przezeń nienawiść i ból. – Patrzył, jak wyłem, jak krwawiłem. Szarpał mój łańcuch... – Niepewnymi dłońmi pogładził przepocone włosy, spojrzął na komory, w których znalazł lekarstwo. – Powiedział mi... powiedział, że się nie zabiję. Że nie oszaleję. Będę żył nadal, składał kawałki, robił wszystko, co zechce... bo uznam, że jeśli pożyję dostatecznie długo, znajdę sposób, by go dorwać... Nie wierzy, by się to stało. – Reede uniósł głowę. – Stanie się! – zawołał. – Jesteś moją kupą mięsa, gnijącym ścierwem. – Zacisnął dłoń na wiszących mu na piersiach pierścieniu i medalu. Ściszył głos do szeptu. – Jeszcze nie jesteś martwym mięsem, ale będziesz. Przysięgam. – Z oczu Reede'a wyjrzał człowiek, jakiego Kedalion znał, pożądający, groźny i całkowicie rozsądny.

– Czego od ciebie chce? – zapytał Kedalion. – Napędu gwiazdnego?

Reede skrzywił usta.

– O tak... na początek. Ma już plazmę, pewnie też twój statek i zespół napędowy. Chce, bym rozmnożył plazmę, aż będzie miał ją na sprzedaż. Głupstwa. To nie moje główne zadanie... Powiedział, że gdy nastanie odpowiednia pora, polecimy na Tiamat...

– Tiamat? – zapytał głucho Kedalion. Zaczął pojmować. – Woda życia.

Reede przytaknął.

– Tiamat – szepnął. – Woda życia... – Oczy mu przygasły, powędrował myślami gdzieś indziej,

jakby nie był w stanie pomóc sobie, wyczerpał wszystkie siły w usiłowaniach urzeczywistnienia niemożliwego.

– Możesz...? – zapytał Kedalion.

Reede mrugnął do niego. W oczach miał ulatujący strach i nagły ból, jakby znowu przypomniał sobie, gdzie jest. Wstrzymał oddech; wypuścił go w szarpanym westchnieniu. – Zobaczmy – powiedział i wzruszył ramionami. Wyciągnął rękę, łagodnie dotknął pokaleczoną twarz Kedaliona, jak sam był przez niego dotykany. – Mocno cię uderzyłem?

Kedalion zastanowił się nad tym, pokręcił głową.

– Bywało gorzej.

Reede wstał, znowu poruszał się z wdziękiem. Wyciągnął do Kedaliona pomocną dłoń.

– Niburu – mruknął, odwracając wzrok. – Teraz wiesz. Nigdy więcej nie rób mi tego. Zabiję cię.

Kedalion powoli kiwnął głową.

– Co to za środek? – zapytał.

– Nie pytaj – powiedział Reede. – To bez znaczenia. – Potarł twarz. – Chce mi się spać. Jutro czeka nas mnóstwo pracy. – Jego głos zabrzmiał bardziej gorzko. – Mnóstwo spraw do rozwiązania, nim wreszcie umrę... – Ruszyli w stronę otwartych drzwi.

Reede zatrzymał się nagle, gdy tylko minęli próg, złapał Kedaliona za rękę, obrócił wnętrzem dłoni do góry. Spojrzał na oko, znowu napotkał wzrok Niburu.

– Nigdy nie lubiłeś tej pracy – mruknął. – Czemuś mnie nie porzucił, parę lat temu, gdy jeszcze miałeś taką możliwość?

– Nie pozwoliłbyś na to – odpowiedział Kedalion, patrząc na dłoń Reede'a zaciskającą się na jego rękę.

Kullervo roześmiał się i puścił go.

– Mogłeś odejść – mruknął. – Nigdy nie oznaczyłem cię jako swej własności, nie zrobiłem jak oni. Jeślibyś dostatecznie mnie nienawidził, odszedłbyś mimo wszystko. – Spojrzał z ciekawością. – Zważywszy na wszystko, co ci zrobiłem, miałeś dość powodów, by mnie nienawidzić. Czemu więc nie odszedłeś?

Kedalion dotknął swej dłoni, skrzywił się. Własność.

– Nie wiem, szefie. – Znowu zajrzał w pełne ciemnej ciekawości oczy Reede'a. – Może dlatego że przy krzyczeniu na mnie, a nawet przy biciu, ani razu nie zakpiłeś z mego wzrostu.

KHAREMOUGH: Posiadłość Pernatte

Stojący pomiędzy zasłonami wnętrza pokoju gościnnego Gundhalinu niknął na tle ogromnego okna, niemal dwukrotnie przewyższającego go wysokością. Napawał się chwilą samotności i spokoju, przejściowym brakiem ruchu. Uświadomił sobie, że ostatnio ciągle wygląda przez okna. Zastanowił się, czego wypatruje.

Powiedział sobie, że tylko widoków. Ten z dworu Pernatte na pewno był wart oglądania. Patrzył, jak zachodzące słońce na odległej powierzchni morza niby w zaproszeniu maluje wstęgę płynnego światła... Pomyślał nagle o Ognistym Jeziorze.

Wyrzucił ten obraz z myśli. Skończył z Ognistym Jeziorzem. Koniec Świata jest już tylko nieprzyjemnym wspomnieniem, dla niego i dla ludzi z Numeru Czwartego. Akt rozpaczony, w którym wrzucił szczepionkę do Jeziora, dokonał tego, o co się modlił: zapoczątkował reakcję łańcuchową, która doprowadziła stopniowo do zapanowania nad Jeziorzem, a potem nad niesamowitymi zjawiskami Końca Świata. Hegemonia ma dość plazmy napędu gwiazdowego, by przy mądrym wykorzystaniu do końca świata zachować możliwość poruszania się z szybkością ponadświatłą... bez względu na Reede'a Kullervo i Bractwo.

Świadomość tego sukcesu pozwoliła mu przyjść do siebie po ciosie, jaki Kullervo zadał jego psychice swym czynem i samym sobą... po gniewie na własną ślepotę, jaką obdarzał obcego, nie dostrzegając, że Reede jest zabójcą o chorej psychice oraz, jak to odkrył później, członkiem Bractwa. Udało mu się nie tylko zdobyć zdolną do rozmnażania próbkę plazmy, lecz także działający zespół napędowy.

Ale choć Kullervo go zdradził, Bractwo nie zdołało zapobiec, by Złoty Środek i inni prawdziwi reprezentanci Przeglądu nie zachowali kontroli nad głównym zasobem plazmy napędu gwiazdowego... nie zabiło też jedyne człowieka, który naprawdę rozumie wszystko, czego dokonał Reede.

Gundhalinu ciągle się zastanawiał, czemu Kullervo go wtedy nie zabił... niemal równie często jak nad tym, czy bez jego pomocy zdoła kiedykolwiek znaleźć sposób na kontrolowanie plazmy. W końcu uświadomił sobie, że to właśnie błyskotliwość umysłu Reede'a sprawiła, że nie dostrzegając jego prawdziwego oblicza. Genialność Kullervo uniemożliwiała dostrzeżenie czegokolwiek poza możliwością osiągnięcia celu, do którego obaj tak usilnie dążyli, choć z różnych powodów... poza szansą przypatrywania się geniuszowi przy pracy, dzielenia z nim czystej, niezemskiej radości świadomego dokonywania odkryć i tworzenia czegoś nowego. A w końcu, pomimo zdrady Kullervo – w gruncie rzeczy dzięki niej – stał się jeszcze większym bohaterem niż uprzednio.

Świadomość ironii tego nie opuszczała go, podobnie jak ciekawość powodów, dla których Kullervo zostawił go przy życiu, choć tyle wiedział. Zebrał wszystkie dane o pochodzeniu Reede'a, jakie tylko Przegląd był w stanie mu dostarczyć – nie tworzyły one żadnej spójnej całości. Kullervo znany był w wewnętrznych kręgach Przeglądu pod imieniem Kowala. Poza nimi jego imię było jedynie dziką pogłoską, mroczną legendą korytarzy Policji – zasłużoną, ponieważ od mitycznego Vanamoinena nie było pewnie umysłu bardziej odeń błyskotliwego. Nazywają mnie nowym Vanamoinenem, powiedział mu kiedyś. Zgodnie jednak z dostępnymi danymi, nie otrzymał dosłownie żadnego wykształcenia. Zaczynał jako członek Bractwa niskiego szczebla, władze na Samathe poszukiwały go za zamordowanie własnego ojca. Jego wrodzony geniusz był przypuszczalnie tak wielki, iż zdobył w Bractwie kluczową pozycję, choć ledwo przekroczył dwudziestkę. Gundhalinu w to nie wierzył. W tym równaniu brakowało paru członków; musiało brakować. Nakazał dalsze poszukiwania, miał nadzieję, że gdzieś zada właściwe pytanie i otrzyma odpowiedź, jakiej potrzebuje.

Kullervo zniknął z Numeru Czwartego bez najmniejszego śladu, choć zaalarmowany rząd planety wysłał za nim pościg. Oficjalnie utrzymywano, iż Reede został zabity przez zdradzieckie zjawiska Końca Świata. Dopiero pewne prywatne źródła poinformowały go – zbyt późno – o prawdziwych współnikach Kullervo, o zniknięciu z orbity jego statku dokładnie w tym samym czasie, gdy spotkał się z nim po raz ostatni. Mógł tylko wierzyć, iż dziki geniusz Reede'a znalazł wyjście z pułapki, sposób na zmuszenie napędu gwiazdowego do wykonania tego nieskończonego małego skoku na orbitę. A to oznaczało, że Bractwo na pewno weszło w posiadanie plazmy napędu gwiazdowego i zespołu napędowego, że może ją powielić. Gundhalinu wiedział, że jeśli Reede Kullervo będzie nad tym czuwał, to nie zostawi im ani chwili czasu.

Znaczyło to, że odkąd BZ Gundhalinu powrócił na Kharemough, przywożąc z sobą próbkę plazmy napędu gwiazdowego, stał się ponownie więźniem własnych obowiązków. Już prawie rok przebywa w przestrzeni rodzinnej planety, a dopiero teraz postawił na niej nogę.

Cała ważniejsza działalność przemysłowa Kharemough odbywała się na orbicie księżycowej lub powierzchni któregoś z dwóch satelitów. Niebo zaczęło już ciemnieć i Gundhalinu dostrzegał światła barwiące noc nad planetą. W dzieciństwie uważał te kolory za piękne. Dopiero gdy dorósł na tyle, by to zrozumieć, dowiedział się, że są powodowane przez zanieczyszczenia przemysłowe. Powiedziano mu, że to cena płacona przez Kharemough za przywództwo Hegemonii, jakby duma z tego była poświęceniem. Mimo wszystko przestał odtąd uważać niebo za piękne. Nigdy już nie patrzył jak przedtem na jego barwy. Pewnie wtedy zrobił pierwszy krok na drodze do utraty złudzeń.

Ale mimo wszystko dobrze było, o wiele bardziej, niż mógł sobie wyobrazić, wrócić na planetę, na której się urodził... do mniejszego, lecz równie znajomego świata klasy społecznej, do której należy. Po hańbie na Tiamat i próbie samobójstwa był przekonany, iż nigdy już nie zobaczy tej planety, a tym bardziej zostanie na niej z honorami powitany. A jednak jest tu jako Czcigodny Komendant Gundhalinu-eshkrad-ken, Technik Drugiej Klasy, Bohater Hegemonii i tak dalej, i tak dalej.

Wszystko, czego podczas pobytu poza Kharemough nauczył się o sobie i tym zakątku wszechświata, doprowadziło go do zwątpienia, by kiedykolwiek jeszcze stał się członkiem społeczeństwa Techników, z jego hipokryzją, sztywnością reguł, uprzedzeniami i niesprawiedliwością ocen. A jednak, stojąc w tym pokoju, wdychając bogate tu zapachy historii, chłonąc zmysłami subtelne akordy pieśni Lantheile z równie powściąganą pasją, z jaką musiał tworzyć ją artysta, dotykając skomplikowanych splotów saridie...

Gundhalinu pogładził zasłonę, stwardniałymi dłońmi przesunął po jedwabistej tkaninie, będącej naraz chłodną niby woda i miękką jak skóra niemowlęcia. Westchnął i spojrzął na ręce. W czasie lat spędzonych na Kharemough nigdy nie dorobił się odcisków. Sztywne mięśnie i spracowane dłonie występowały tylko wśród niższych klas, u Nietechów i Pozaklasowców, nie u elity Techników, wykorzystującej swe wyższe umysły do prowadzenia Hegemonii w jeszcze wspanialszą przyszłość. Dumał, co stanie się teraz, gdy prawdziwa przyszłość wpłynie na Kharemough w ten sam sposób, co już wpłynęła na niego. Podejrzywał, iż równowaga społeczno – polityczna, zarówno miejscowa, jak i całej Hegemonii, jest równie krucha, co jego psychika przed spotkaniem z plazmą napędu gwiazdowego.

Praca nad plazmą i zespołem napędowym pozwoliła mu zrozumieć, jak mało Kharemoughi wiedzą o prawdziwej technice stosowanej w Starym Imperium. Dumni są ze swej wyższości pod tym względem, lecz w istocie szczytą się życiem przeszłością, stworzeniem systemu, który stał się zbyt wygodny, zbyt zamknięty, zbyt kołtuński. Zbiory danych sybilli ciągle pełne są planów niezliczonych usprawnień, lecz bez katalizatora w postaci napędu gwiazdowego wydawały się niemożliwe do

wprowadzenia, zwłaszcza iż system funkcjonował dostatecznie dobrze, a ludzie na szczytach władzy wierzyli, iż zrobili co tylko można, zważywszy na ograniczony dostęp do gwiazd. "Nastanie Millenium", powiadali, mając na myśli "nastanie napędu gwiazdowego". No, stało się to faktem i tylko bogowie wiedzą, jakie zmiany dla wszystkich pociągnie za sobą. Przy Starym Imperium Hegemonia wydawała się tym, czym rzeczywiście była – drobną feudalną kompanią handlową. Ale Stare Imperium miało własne kłopoty, w końcu doprowadziły do jego zagłady...

Dostrzegana przezeń niepewność przyszłości sprawiała, iż tęsknił do takich miejsc, jak ten pokój, tchnących niezmiennością, tradycją i całkowitym spokojem. Wzbudzały w nim wspomnienia, wypełniały jakieś potrzeby, nie zaspokojone i nie uświadamiane przez niemal połowę jego życia.

Lecz po powrocie każdą chwilę spędzał w kosmosie, zajmując się wszystkimi szczegółami nowej techniki napędu gwiazdowego, do powstania której tak się przyczynił – a wpływy, jakie uzyskał dzięki swej nowej pozycji i kontaktom z Przeglądem, były naprawdę wielkie.

Gdy tylko nadzorowany przez Przegląd Przekaz sybilli poinformował przywódców Kharemough o jego odkryciu, od razu, nim jeszcze przybył, przystąpiono tu do projektowania i konstruowania statków mogących wykorzystywać nową technikę, jak również do odkrywania sposobów przerabiania na nowy napęd tysięcy już istniejących. Rozpoczęto także prace nad różnego rodzaju rozwiniętymi broniami, których plany istniały już wcześniej, lecz tkwiły w szufladach, ponieważ jedynym dostępnym środkiem panowania nad światami Hegemonii była ekonomia.

W wyniku tego odkrycie po powrocie, iż budowane nowe zespoły napędowe i floty charakteryzują się mnóstwem błędów projektowych i funkcjonalnych, napełniło go jednocześnie ulgą i niepokojem. Widział przecież zespół napędu gwiazdowego, pracował z plazmą, znał rzeczy, o których nie mógł mieć pojęcia nikt na Kharemough. Lecz mimo wszystko inżynierowie i naukowcy, mając dostęp do sieci sybilli, powinni byli mieć do dyspozycji doskonałe dane projektowe. Maszyna sybilli zaczęła z czasem częściowo zawodzić – rzecz całkiem zrozumiała u tak starożytnego systemu – wstrząśnięty był jednak, natrafiając na ciągłe błędy, jakie popełniały zespoły badawcze.

Skutki poważnego załamania się systemu informatycznego, od istnienia którego zależało funkcjonowanie całej Hegemonii, wykraczały niemal poza możliwości jego wyobraźni. Widział spojrzenia ludzi, z którymi o tym dyskutował, i wmawiał sobie usilnie, że to dobrze, iż nie musi odpowiadać za sieć sybilli. Jest tu, by budować okręty gwiazdowe, a błędy w danych można poprawić. Groźące załamanie sieci sybilli oznaczało tylko, iż muszą dokonywać postępów jak tylko można najszybciej, by zdążyć przed całkowitą jej zagładą. Próbując wytłumaczyć to naukowcom i inżynierom, zaczął powoli rozumieć, że kłopoty z danymi dostarczonymi przez sieć sybilli stały się źródłem wymówek za nieskuteczność, biurokratyczną ociążałość i brak dyscypliny.

Przybywając do domu, nie spodziewał się, że spotka się z podobnymi problemami wśród swych rodaków. Prawda wstrząsnęła nim z siłą pola stazyjnego, lecz ciężko zdobyte nowe doświadczenia pozwoliły mu patrzeć z boku na biurokratyczne podejście do spraw, a pole stazyjne było dobrą analogią tego wszystkiego, co szło źle.

Tylko przed samym sobą przyznawał się do mieszanych uczuć wzbudzanych przez tę wiedzę: rozczarowania i żalu, z jakimi myślał o swym ludzie, dziedzictwie swego świata, własnej dumie... złości i ulgi, z jakimi myślał o Moon Dawntreader i Tiamat. Każdy rok zwłoki oddalającej Hegemonię od Tiamat dawał jej więcej czasu na dokonanie dzieła, do którego została przeznaczona. Czasami musiał zwalczać pokusy spowolnienia procesu, jaki sam wszczął; wierzył na poły, iż w ten sposób najlepiej przysłużyłby się symbolowi, jaki oboje nosili.

Wtedy jednak zmuszał się do przywołania z pamięci jej twarzy – przywołania jej ducha, przybyłego doń nad Ognistym Jeziorem, zamazanego w błękicie. Wspomnienie przyszłości, obietnica

chwili, którą oboje mają dopiero przeżyć... słów Potrzebuję cię. I świadomość, iż starzeje się z każdym dniem, a ona... że dla niego minęło już niemal dziewięć lat, odkąd się rozstali, zaś dla niej, na Tiamat, aż szesnaście. Nie mógł uwierzyć, że było to tak dawno; owe wszystkie lata zdawały się jakoś topnieć, niby śniegi Tiamat na wiosnę. Przez cały ten czas nie widział jej twarzy, jedynie widmo. Tylko dwa razy z nią rozmawiał, a i to podczas Przekazu; za pierwszym był na wpół oszalały obłędem Jeziora Ognistego, za drugim wykorzystał pośrednictwo Hahn, by zawiadomić ją o swym ocaleniu. Niekiedy zastanawiał się, czy nie łudzi samego siebie, marząc o miłości, jaka nie miała prawa istnieć, jaka nigdy nie zaistniała. Ale przecież wspomnienia chwil spędzonych z nią – owej niezwyklej przestrzeni poza czasem, gdzie był bardziej żywy, bardziej prawdziwy, aniżeli kiedykolwiek wcześniej czy później – były ciągle równie wyraźne, co jego twarz w lustrze: twarz, z każdym rokiem pokrywająca się nowymi zmarszczkami w kącikach oczu, które przed dziewięciu laty były tak gładkie...

A potem złość wypierała z niego tęsknotę, zmuszała do następnych ciągnących się w nieskończoność godzin pracy, nadzorowania, spierania i poprawiania. Współpracował teraz nie tylko w laboratoriach z najwybitniejszymi uczonymi, lecz także w stoczniach z inżynierami i konstruktorami. Zaczął dostrzegać, że ma z nimi równie wiele wspólnego, co ze swą klasą, a często lepiej się rozumieją. Zdobyć ich zaufania i lojalności podwoiło wyraźnie skutki jego grzecznych sugestii i samotnych przeróbek danych przekazywanych Technikom, którzy nadzorowali ich pracę.

Jednakże owopewne bratanie się z niższymi klasami wywołało gniew i niepokój niektórych kręgów, zwłaszcza politycznych. Aż za dobrze uświadamiał sobie, że nie uniknie urażania równych sobie, zwłaszcza przy przeszłości, która nigdy nie została całkowicie zapomniana, choć przez grzeczność pomijana przez rządzących na Kharemough dobrze urodzonych. Pragnął jak najszybciej powrócić na Tiamat – bo tam właśnie pragnęła dostać się elita, znów zdobyć wodę życia. A on nie tylko chciał być tam pierwszy, lecz także zdobyć tu takie wpływy polityczne, by mieć coś do powiedzenia o losie, jaki chcą zgotować tej planecie, zamieszkującej ją ludziami... jej Królowej. Takie wpływy, by pomóc jej zlikwidować wyzysk. Jeśli mu się nie uda, okaże się, iż całe życie trudził się tylko po to, by ją zdradzić...

Odwrócił się od okna, od nikłych gwiazd, które zaczęły się przebijać przez świetlne zasłony ciemniejącego nieba. I tak nie dostrzegłby między nimi podwójnego słońca Tiamat – było niesamowicie daleko, na drugim końcu jednego z przypadkowych kanałów przez czasoprzestrzeń, jakie wybiegały z Czarnych Wrót. Hegemonia tworzyła właściwie imperium bardziej czasowe niż przestrzenne – obejmowała planety możliwe do osiągnięcia przez Wrota w rozsądnym czasie podróży, lecz zupełnie nie związane ze sobą odległościami w przestrzeni fizycznej. Ale to także ulegnie zmianie.

Powinien już się przebrać, myślał leniwie, bo inaczej zakończy się przyjęcie trwające za podwójnymi, nieskalanymi drzwiami ze srebrzystego drewna, zaś BZ Gundhalinu, gość honorowy, nie zaszczyca go obecnością. Jest tu, by łagodzić urazy, oczarowywać i rozbierać, przymilać się i manipulować, jak tylko potrafi – a dzięki latom gimnastyki biurokratycznej na Czwórce potrafi to wcale dobrze. Znał podziały społeczne, wiedział, jak się przypochlebiać, a teraz, gdy postępy przy budowie nowych okrętów gwiazdnych były zadowalające, szybkość, z jaką zdobywał wpływy polityczne, ograniczała tylko zdolność jego żołądka do pochłaniania wykwinnych dań i własna hipokryzja. To było najznakomitsze spośród jego intymnych i wielkich przyjęć na planecie – najbogatsi nadal wyprawiali je w swych domach – jak również w osiedlach krążących na orbicie. Przy ich aranżowaniu korzystał zarówno z dawnych więzi rodzinnych, a większość krewnych na wyścigi starała się teraz odnowić znajomość z nim, jak i nowych kontaktów zdobytych dzięki

Przeglądowi. To dopiero początek...

To pewnie dlatego tak trudno mu przezwyciężyć opory i zrobić pierwszy ruch, przejść do osobistej łazienki, w której troskliwi gospodarze przygotowali dlań nowy mundur, wyposażony we wszystkie należne mu naszywki honorowe, medale, oznaczenia, epolety i stopnie, łącznie z herbem rodowym, którego nie widział, odkąd opuścił dom. Właściwie nie miał prawa nosić go dzisiaj, ponieważ nie był najstarszy ze swego pokolenia. Ale najbardziej zatwardziali Technicy – a na nich właśnie musiał wyrzeć dobre wrażenie – nade wszystko cenili sobie urodzenie, zaś herb przypomni im, że jego ród jest nieskazitelny.

Minęło wiele czasu, odkąd widział to godło, tyle samo, co od chwili gdy zajmowała się nim służba, elektroniczna i inna, a nie miał jeszcze przyjemności znaleźć się w posiadłości, która by pod tym względem dorównywała Pernatte. Tyle jednak lat zmuszony był sam dbać o siebie, iż mimo wszystko początkowo czuł się nieswojo; potem jednak przypomniał sobie, że to jedynie grupa robomechanizmów o wyszukany programie. Na Kharemough przedstawiciele klas najwyższych i najniższych nie mogli nawet rozmawiać ze sobą bez specjalnego pośrednika; w tej sytuacji dobrze urodzeni uporali się z problemem służby przez jej zbudowanie. To nie ludzie traktowali go niby boga – czy bez najmniejszego zainteresowania patrzyli na jego przekrwione oczy, nie ogoloną brodę, strzechę nie uczesanych włosów i pognieciony strój roboczy.

Jedną ręką rozpiął skafander i krzywiąc nos, podrapał się w bok. Ruszył bardziej energicznie w stronę kąpieli czekającej na niego w sąsiednim pomieszczeniu. Wiedział, że będzie miała taką temperaturę i skład, jakich tylko zapragnie. Zapach parujących ziół oczyści mu głowę, bicz wodne wiedzą dokładnie, gdzie i jak uderzyć w jego obolałe, zmęczone podróżą ciało, by mięśnie stały się odprężone i silne...

W drugim końcu pokoju drzwi ze srebrzystego drewna otworzyły się nagle i na krótko, wypuszczając ożywiony gwar.

Zaskoczony Gundhalinu odwrócił się w kierunku drzwi. Ktoś je zamknął z niezwykłym tu pośpiechem. Nie był już sam. Intruz stał, patrząc na niego. Przyklejone do uniesionej dłoni nieznajomej światełko rozjaśniło nagle ciemność, jaka niezauważalnie zapanowała wokół niego, ukazało twarz przybyłej.

– Och... – Przyjrzała mu się, jej początkowe zaskoczenie i niechęć minęły, gdy zaczęła dostrzegać szczegóły jego wyglądu. Patrzyła śmiało i niemal boleśnie twardo, lecz bez śladu rozpoznania. On też nie wiedział, kim jest. Rysy jej twarzy były bardziej wdzięczne niż klasyczne, lecz zdradzały także siłę, humor, inteligencję i niespodziewane piękno. Oderwał wzrok od złotobrazowych oczu, patrzyły nań, jakby był przezroczystry. Diadem z pereł otaczał jej twarz pasmami błysków, wzbudzanych lekkimi ruchami głowy. Ubrana była w długą suknię z czarnego jak noc aksamitu o wysokim kołnierzu przykrytym naszyjnikami z pereł, płynęły na tle mroku niby gwiazdy niknące na niebie.

– Nie powinien pan tu być – powiedziała z tak spokojnym przekonaniem, iż przez chwilę nie był pewien, czy nie ma racji.

– Dlaczego? – zapytał ze zmieszaniem i rozbawieniem. Rad był, że nie przyłapała go trzymającego bardzo drogą i bardzo starą rzeźbą, którą przedtem podziwiał; popatrzyłaby tak, iż poczułby się złodziejem.

– Bo i mnie nie powinno tu być. – Uśmiechnęła się nagle, oczy zaślniły skrywanym podnieceniem. – Szukałam ustronnego miejsca, w którym mogłabym poczekać, aż zbierze się tyle gości, by zniknąć między nimi. Nie zdradzi mnie pan, prawda? – Właściwie nie była to prośba; zdawało się, że oceniła go jednym spojrzeniem.

– A należałoby? – zapytał niepewnie. Pochylił głowę, zachęcając ją w ten sposób do wyjaśnień.

– Jestem całkowicie niegroźna – odparła z uśmiechem lekkiej ironii. – Naprawdę. Znalazłam się tu, bo bardzo chcę poznać tego słynnego bohatera, komendanta Gundhalinu.

Gundhalinu powstrzymał nagły wybuch śmiechu, który o mało go nie zdradził, zachował obojętną minę. Jeśli coś grała, to nie teraz; na pewno go nie poznała.

– W takim razie – powiedział z łagodnością, która niemal go zadziwiła – musi pani trochę na to poczekać. Może tymczasem zechce się pani czymś poczęstować? – Wskazał na stojącą za nim elegancką szafkę, został poinformowany, iż zawiera dobrze zaopatrzone barek.

– Dołączy pan do mnie? – Jej uśmiech zmuszał, by odpowiedział tym samym, poczuł się jak wagarowicz. Kiwnął głową. – Cóż za niewinne miejsce – powiedziała. – Moje zmysły napawają się nim.

Gundhalinu dotknął wskazanego mu wcześniej miejsca na pozornie litej powierzchni blatu. Gładzina drewna zniknęła pod jego palcami, barek posłusznie wyświetlił spis swej zawartości.

– Woli pani pić, wdychać czy wchłaniać? – Mieli tu imponujący zestaw środków wpływających na umysł, wszystkie były całkowicie legalne.

– Chyba pić. – W jej głosie brzmiał śmiech. Podeszła do barku.

– Nie jest to czynność ani zbyt aktywna, ani zbyt bierna.

– Słuszne spostrzeżenie. – Zerknął na nią. – Mają wodę życia? Zobaczył na jej twarzy podobne uczucia, jakie wypełniały jego umysł:

– Nieprawdźwiwą... lecz nawet imitacja jest rzadkością. – O tak – mruknęła. – Chętnie.

Wydał polecenie, patrząc na nieznajomą opartą niedbale o szafkę. Pachniała czymś egzotycznym i mocnym; uświadomił sobie, że sam pewnie śmierdzi potem. Lecz jej uśmiech był dlań dziwnie pociągający, nie denerwowało go, że patrzy mu prosto w oczy. Spuścił wzrok, uniósł dłoń na spotkanie jej, wyciągniętej w uprzejmym powitaniu.

– Jak się pani ma?

Niemal figlarnie dotknęła go rozjarzoną dłonią. Migotanie światełka wprawiło w taniec blaski i cienie. Gdy chciał już wycofać rękę, nieznajoma ujęła ją w obie swoje, przekręciła do góry, oświetliła, nieświadomie, niby niewidoma badająca otoczenie, przesunęła palcami po jej wnętrzu. Dotknięcie wrażliwej skóry wprawiło go w drżenie.

– Ma pan stwardnienia. Ręce są po to, by coś wykonywać. Lubię prawdziwe ręce. – Przekręciła do góry jego dłoń, przyjrzała się jej kształtowi, długości, palcom. – Ma pan piękne ręce.

Wycofał swą dłoń, gdy zjawily się napoje, zdziwiony i lekko zmieszany z ulgą powitał sposobność do wyzwolenia ręki. Podał nieznajomej kielich wyhodowany z syntetycznego szafiru, w jego zwojach spoczywał niespokojnie ciężki srebrzysty płyn. Ujęła go, gdy wzniósł swój.

– Za przygody – powiedziała z niespodziewanym uśmiechem i błyskiem w oku. Światełko na jej dłoni prześwitywało przez kielich, wypełniając go niesamowitą magią.

– Nie – sprzeciwił się łagodnie i pokręcił głową. – Przygody to tragedie, do których nie doszło.

Opuściła wzrok w namyśle.

– No to za życie... – powiedziała, patrząc znowu na niego.

Przytaknął. – Za życie. – Napił się srebrzystej cieczy zwanej wodą życia, poczuł, jak wypełnia mu głowę gorzko-słodkim smakiem wspomnień. Po raz ostatni pił ją, gdy dopiero co przestał być chłopcem, gdy mieszkał jeszcze u ojca, w posiadłości przodków... Pamiętał swój dom, piękno i spokój ziemi, głos ojca. Pociągnął następny łyk i wspomniął przyszłość – przypomniał mu się Tiamat, źródło prawdziwej wody życia, i nagle, wyraźnie, Moon, przed oczyma stanęła mu jej twarz blada jak bezgraniczne pola śniegu, jej żywe, ciepłe ciało przy jego... Znowu popił, zmusił umysł do

powrotu do terażniejszości, oczy do zauważenia zdumienia i przyjemności na twarzy eleganckiej nieznajomej, która teraz stała tuż obok.

Westchnęła.

– Dobrze to nazwali.

Uśmiechnął się znowu kiwnął głową. Milczeli wspólnie, dzielili się grzeszną radością swego towarzystwa. Wreszcie zapytał, pobudzony ciekawością:

– Naprawdę nie zaprosili pani na to przyjęcie? – Nie dostrzegając w nieznajomej niczego, co mogłoby czynić z niej niepożądanego gościa. Pomyślał, trochę dziwiąc się sobie, że gdyby spytano go o zdanie, umieściłby ją na samym początku listy gości, z którymi chciałby się spotkać. Zamrugnął, zmusił się do oderwania oczu od jej twarzy.

– Tak. – Podniosła głowę, perły zachrzęściły na jej szyi. – Zostałam specjalnie wykreślona.

Otworzył usta, by zadać oczywiste pytanie, gdy ktoś zapukał do drzwi ze srebrzystego drewna. Odwróciła się zaskoczona, na jej twarzy widać było ledwo skrywany przestach.

Gundhalinu gestem nakazał jej milczenie, odsunął na bok, a sam podszedł do drzwi, które otworzyły się, nim zdołał do nich dotrzeć. Zatrzymał się i zamrugnął, zalany jak ćma powodzią światła i hałasów. Rzucił szybkie, ukradkowe spojrzenie w ciemny kąt za lewym skrzydłem drzwi, gdzie schował się nie zaproszony gość. Nieznajoma zacisnęła dłoń, kryjąc światelko.

– Przepraszam bardzo... – stojąca w drzwiach miała na sobie ubiór gościa, lecz Gundhalinu rozpoznał dyskretnie zamaskowany mikrofon noszony przez pracowników ochraniających posiadłość. Przesunęła się lekko, próbując zajrzeć w słabo oświetlone kąty pokoju.

– O co chodzi? – zapytał, niepewność i niezręczność sytuacji sprawiły, że jego głos zabrzmiał niecierpliwie.

– Bardzo mi przykro, że panu przeszkadzam – wyjaśniła – ale zawiadomiono mnie, że do tego pokoju dostał się ktoś nie upoważniony.

– Nie podczas mojej obecności – powiedział zdziwiony łatwością, z jaką skłamał. – Próbowałem znaleźć kilka chwil odpoczynku... – wskazał na ciemną przestrzeń za sobą.

– Nikogo tu nie było? – Spojrzała na niego tak, jak on sam kiedyś patrzył na podejrzanych.

– Ktoś zajrzał na chwilę, pytając, czy czegoś nie potrzebuję. – Wzruszył ramionami, trochę zbyt ostentacyjnie. – Może to był on.

Pracownica ochrony kiwnęła z ulgą głową.

– A potrzebuje pan?

– Tylko możliwości spokojnego umycia się i przebrania – powiedział.

– Oczywiście – znowu skinęła głową, tym razem przepaszająco. – Dopilnuję, by nikt panu nie przeszkadzał. – Cofnęła się i zamknęła drzwi.

Gundhalinu westchnął z oszołomieniem, gdy ubrana na czarno kobieta wyszła z cienia i otworzyła dłoń, ponownie zalewając ich światłem.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się, chyląc głowę z wdzięcznością. Perły zachrzęściły na jej karku.

Gundhalinu otworzył usta, by zarządzić oświetlenie pokoju, lecz natychmiast zawahał się, zrozumiał, iż woli półmrok, nastrój wspólnej tajemnicy i spisku.

– Proszę mi powiedzieć – zapytał – skąd ma pani taką pewność, że może mi zaufać? – Zdawało mu się przez chwilę, iż zobaczyła koniczynkę sybilli, lecz przecież schował ją pod ubraniem, a wątpliwe, by w tak słabym świetle dostrzegła tatuaż na gardle.

– Ma pan czyste, głębokie oczy – wyjaśniła łagodnie. – Gdy spojrzał pan nimi na mnie, dostrzegłam w nich starą duszę.

Niemal się roześmiał, biorąc to za przesadną bzdurę, zrozumiał jednak, co chciała powiedzieć,

składając hołd przodkom, których w młodości nauczył się czcić i naśladować. Nigdy nie słyszał, by ktoś tak powiedział. Uśmiechnął się, zamiast wybuchnąć śmiechem.

– Wiedziałam wtedy, jest pan człowiekiem honoru.

Uznał za ironię, że pomoc komuś zupełnie nieznanemu we wkradnięciu się na czyjeś przyjęcie uznała za czyn honorowy.

– Nigdy przedtem tego nie zrobiłem – powiedział i nagle zrozumiał, że to nieprawda. Uczynił tak na Tiamat. Ale tym razem wynik jego impulsy wności nie zmieni biegu świata. Ani nawet jego życia.

Pochyliła, głowę, perły zagrzechotały.

– Proszę mi więc powiedzieć, czemu pan zaufał mnie.

– Chyba nie potrafię. – Odwrócił wzrok, nagle nie chciał o tym mówić.

– Może wyczuł pan, że to, czego pragnę, jest naprawdę honorowe.

– Może – mruknął, znowu na nią patrząc. – Właściwie nie musi się tu pani kryć. Mogę z kimś porozmawiać... – Nikt nie konsultował z nim listy gości – pewnie dlatego że sądzono, iż ma na głowie ważniejsze sprawy, co było prawdą.

Zawahała się.

– Jest pan Technikiem, prawda?

Przytaknął, odnosząc wrażenie, iż to ją zaskoczyło. Ale przecież jego strój na to nie wskazywał. Może wzięła go za wynajętego robotnika.

– Zna pan osobiście komendanta Gundhalinu?

– Tak – potwierdził, nie wiedząc, czemu nie mówi jej całej prawdy. Teraz jednak nie był niczego pewny, poza przekonaniem, iż owa gra bawi go aż za bardzo. – Od dzieciństwa.

– W takim dziękuję, ale nie. Byłoby nieuczciwe narażać pana podczas spotkania ze starym przyjacielem.

– Na pewno nie... – urwał, przypomniawszy sobie, co powiedziała, nim im przeszkodzono. – Wspomniała pani, że została specjalnie wykluczona z obecności na tym przyjęciu?

– Tak – przyznała, nie słyszał jej jeszcze tak niepewnej, wydawało się, że żałuje swego wyznania. Odwróciła wzrok. – Prawdopodobnie na jego własne polecenie.

– Czyżby? – zapytał Gundhalinu ze zdumieniem. – A więc zna panią?

– Nie. – Spojrzała na niego z nagłym gniewem w oczach. – Nie zna. Ani na pewno nie chce poznać.

Gundhalinu zamrugnął, zastanawiając się, w jaki to dziwny skandal towarzyski został bezwiednie wplątany. Pomyślał o swych braciach, rozważył nagle, czy nieznaną nie miała z nimi nieprzyjemnych doświadczeń. Nie zdziwiłby się, gdyby zwalili wszystko na niego.

– No... – powiedział na wpół świadomie – jak pani wie, nie było go tutaj przez wiele lat. Bardzo się zmienił... – Uśmiechnął się szeroko. – Muszę przyznać, że był nieznośnym łobuziakiem, ale niemal wyrósł już na człowieka. Jeśli były nawet jakieś nieporozumienia, to na pewno zechce o nich zapomnieć. O co poszło?

Pokręciła głową; grzechot spadających pereł zawtórował jej odmowie. Znowu odwróciła głowę.

– Ta sprawa nie ma nic wspólnego z panem... nie chcę o tym mówić. Ponadto wołałabym, bym nie z tym się panu kojarzyła. – Uśmiechnęła się, tym razem z pewnym smutkiem.

Westchnął i z rezygnacją kiwnął głową.

– W takim razie proszę mi wybaczyć, ale muszę się przebrać, bo inaczej mnie wyrzucą. – Wskazał ponuro na brudny skafander i oświetlone drzwi do łazienki i garderoby. – Może tu pani

zostać tak długo, aż będzie gotowa dołączyć do gości.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się szerzej i nagle wyciągnęła dłoń, wstrzymując jego odejście. – Kim pan jest?

Pokręcił głową.

– Bez nazwisk. Zepsułyby wszystko. Proszę mnie o to zapytać, gdy znowu się zobaczymy.

Otworzyła i zamknęła usta. Jej uśmiech stał się ironiczny, gdy zrozumiała jego prośbę, pojęła, że okpił ją w jej własnej grze.

Wszedł do sąsiedniego pokoju, zabierając z sobą na wpół opróżniony kielich z napojem. Nie obejrzał się za siebie. Zamknął drzwi, wykąpał i przebrał w strój wieczorowy, zmieniając się we własny lśniący cień. Powoli dopił wodę życia, rozkoszując się nią i przygotowując do zbliżającej się próby. Wreszcie wyszedł innymi drzwiami, nie sprawdzając, czy tajemniczy gość nadal czeka w pokoju.

Znalazł się wśród wielkiego przepychu dworu Pernatte, zanurzył w ruchome morze ciał. Barwy migotały niby tłuszcz na wodzie, zmysły wypełniała muzyka i szum głosów. Stał tuż za drzwiami, chciał chwilę pozostać nie zauważony, zorientować się w sytuacji, zaczekać na zastrzyk adrenaliny, która pozwoli mu stawić czoła tłumowi. Nigdy nie był zbyt towarzyski i pojął, że nigdy nie będzie, bez względu na ilość przyjęć, w których weźmie udział, czy przemówień, które wygłosi. Wejście do pełnego ludzi pokoju wydawało mu się zawsze otwieraniem głową zamkniętych drzwi.

– Komendancie!

Rozejrzał się i dostrzegł, jak z tłumu wyłonił się NR Vhanu, jego główny asystent.

– Vhanu – uśmiechnął się z ulgą, odwzajemniając salut. To przez niego wszystko tu załatwiał, musi on wiedzieć o tym wszystkim, o czym sam nie ma pojęcia.

– Jest pan... – rozpromienił się Vhanu, okazując wielką ulgę. – Zacząłem się zastanawiać, czy dobrze się pan czuje.

Gundhalinu spojrział na niego z lekkim niepokojem, lecz na młodej twarzy malowało się tylko przejęcie i troska.

– Źle ze mną będzie dopiero wtedy, gdy zbyt mocno zacznę się radować takimi sprawami – powiedział.

Vhanu popatrzył na niego, nie skrywając niemal zdumienia.

– Przepraszam, ale sądziłem, że pragnie pan tego przyjęcia. Zaszczyt, jaki spotyka dziś pańską rodzinę, oczywiście zasłużony... to pewnie główne wydarzenie towarzyskie i polityczne całego dziesięciolecia. Nigdy nie widziałem takiego tłumu, jeśli nie liczyć wizyty Zgromadzenia... Czy spotkał się pan z nim kiedyś?

– Tak, spotkałem – odparł Gundhalinu, nie wyjaśniając nic więcej. Zetknął się ze Zgromadzeniem podczas służby na Tiamat. Wszyscy pluli mu w twarz, nazywali tchórzem, niedoszłym samobójcą. Tak samo uczyniłby każdy ze zgromadzonych tutaj, gdyby tam wtedy był. W owej strasznej chwili był przekonany, że już po nim. A jednak znalazł się tutaj jako Bohater Hegemonii. Gdyby nawet obecni wiedzieli o jego dawnej hańbie, to chyba nie odważyliby się teraz o niej wspomnieć... Odetchnął głęboko i poczuł, jak boli go w piersiach.

Spojrzał na Vhanu wypatrującego czegoś w tłumie, prawdopodobnie wyławiającego słynne twarze, szukające ich oczy były jednocześnie zadowolone, lekko oszołomione i całkowicie tego nieświadome... Gundhalinu przypominały jego własne, sprzed dziesięciu lat. Podobnie jak on, i wszyscy obecni w tej sali, Vhanu pochodził z rodu o długiej, zaszczytnej historii, był młodszym bratem JM Vhanu, jego kolegi szkolnego, a obecnie szanowanego naukowca z Rislanne. I jak on sam, zdecydował się na służbę w Policji Hegemonii – powszechne zajęcie dla młodszych synów

zmuszonych do tego sztywnymi u Kharemoughi zasadami dziedziczenia, przekazującymi tytuł rodowy i całe bogactwo w ręce najstarszego dziecka.

Spotkał Vhanu po powrocie i rozpoznał. Pamiętał go (choć się do tego nie przyznał) jako drobnego, piskliwego, dość nieprzyjemnego chłopca obecnego niekiedy podczas licznych zażartych dyskusji na temat przetwarzania danych, fizyki i Sensu Życia. Teraz jednak był odpowiedzialnym, robiącym karierę oficerem, mającym już stopień kapitana, zdolnym, sympatycznym i zainteresowanym polityką, choć przy tym trochę konserwatywnym i dbającym o swe stanowisko. Gundhalinu odkrył jednak, ku swemu żalowi, iż większość Kharemoughi na jego poziomie społecznym sprawia wrażenie konserwatywnych i dbających o swe stanowisko. Przynajmniej był świadom, że to on się zmienił, a nie jego świat. Po raz pierwszy spotkał się z Vhanu na dość egalitarnym zebraniu w Sali Spotkań Przeglądu, razem z niego wyszli. Potrzebował pomocnika, na którym mógłby polegać, i Vhanu szybko okazał się osobą niezastąpioną.

– Widzę tu gospodarzy. Proszę pozwolić, że najpierw im pana przedstawię.

Kiwnął głową i dał się z wielkim wdziękiem przeprowadzić wśród mruczącego ciekawie tłumu do sąsiedniej sali.

Była ona jeszcze większa niż poprzednia, tchnęła równie surowym, niemal monolitycznym pięknem. Ściany wyłożono surowym, wypolerowanym do połysku sękatym kamieniem. Sękaty kamień był kolejnym dziedzictwem Starego Imperium; jego dziwne, drobnoziarniste złoża występowały na całej planecie. Stanowił osad martwej sprytmaterii, skamieniałej w żarze wulkanów, wybuchłych podczas jej straszliwych katastrof. Najcenniejsze żyły zawierały koronkowe paśmy wapienia pochodzącego z ludzkich kości. Złożone sploty minerału przypominały mu plaże Ognistego Jeziora. Odwrócił od nich wzrok.

– Panie komendancie... – Vhanu dotknął jego ramienia, zwracając na siebie uwagę.

Gundhalinu odwrócił się i zobaczył podchodzących Pernatte, gości odsuwających się dyskretnie na boki, by dać im przejście. AT Pernatte już w czasie jego dzieciństwa stanowił ważną figurę w polityce Kharemoughi; długą, trochę posępną twarz gospodarza widywał często na trójwymiarze, niekiedy też na przyjęciach, na które uczęszczał przed opuszczeniem planety – choć wówczas tylko z daleka. Pernatte postarzał się nieznacznie podczas szesnastu lat czasu rzeczywistego, jakie upłynęły w czasie nieobecności Gundhalinu na Kharemoughu. Przedtem, podobnie jak jego żona, zdawał się wcale nie starzeć. Małżeństwo to połączyło dwa najbogatsze i najbardziej wpływowe rody planety.

Gundhalinu miał więcej do czynienia z żoną Pernatte'a, choć nie osobiście – CMP Jarsakh posiadała największe udziały w stocznicach, które podjęły się zbudowania nowej floty statków ponad – świetlnych. Przyglądała mu się teraz, w przeciwieństwie do męża rozpoznając go. Powszechnie mówiono, choć tylko szeptem, iż to ona podsuwa Pernatte'owi słowa, jakie wygłaszał na Radzie. Widząc ją w owej chwili, Gundhalinu uznał, że może to być prawdą. Bolesne doświadczenia z własnymi braćmi nauczyły go, iż bycie pierworodnym dzieckiem z rodu Techników nie oznacza koniecznie odziedziczenia rozumu przodków, nie popełni jednak błędu niedoceniając kogoś z rodziny Pernatte.

Skupił się, by wykonać spodziewany ukłon, gdy para stanęła przed nim i Vhanu zaczął ich sobie formalnie przedstawiać. Kapitan był spokrewniony z Jarsakhami, wprawdzie niezbyt blisko, ale na tyle, by zwracać się do gospodarzy w sposób familiarny i czuć się swobodnie w ich towarzystwie.

Gundhalinu zdążył się skoncentrować, gdy Pernatte'owie pierwsi się mu pokłonili, co było dlań wielkim zaszczytem. Odpowiedział tym samym i dotknął wyciągniętych dłoni.

– Zaszczyt to dla nas, Gundhalinu-eshkrad – mruknął Pernatte.

– Dla mnie, Pernatte-sadhu – odpowiedział Gundhalinu. Od dawna nie mówił tego publicznie z

równym przekonaniem. Cieszył się w duchu, iż spośród wszystkich tytułów, które teraz nosił, Pernatte zdecydował się wymienić ten, który podkreślał jego uczoność. Jemu samemu, po tak długim używaniu niemal wyłącznie obcych języków, łatwo było się zagubić w gąszczu stosowanych w sandhi zwrotów honorowych, którymi zobowiązany był obdarzać ludzi ze swej sfery. Niemal zapomniał też, jak właściwie stosować odpowiednie zaimki drugiej osoby. Przez ty nie zwrócił się po powrocie jeszcze do nikogo. Większość z jego dawnych kolegów szkolnych rozproszyła się wśród gwiazd; paru, których być może spotka dzisiaj, pewnie nawet nie pozna.

– Komendancie, wygląda pan wspaniale w należnym mundurze – powiedziała Jarsakh, przyglądając mu się bacznie, niemal drapieżnym wzrokiem oceniając zbiór odznaczeń, medali i krzyżów. – Jeszcze bardziej cieszę się, że widzę pana osobiście... – Uniosła brwi i uśmiechnęła się.

– Dziękuję, Jarsakh-bhai. – Kiwnął głową niemal nieświadomie, patrząc przy tym śmiało i używając jej tytułu rodowego, jak to robił przedtem, zwracając się do niej jako do przemysłowca. Niespodziewanym ubocznym efektem jego pozycji było to, że gdy zakładał pełny mundur wojskowy z wszystkimi odznaczeniami – niekiedy wystarczyło, że się przedstawił – kobiety zupełnie lub niemal mu nie znane zaczynały nagle rozbierać go oczyma. Było to dla niego bardziej kłopotliwe niż pochlebne. – To zaszczyt i szczęście móc prowadzić rozmowę w tak wspaniałym otoczeniu.

Gospodarze spojrzeli po sobie z zadowoleniem, a być może nawet z dumą. Oboje nosi mundury, było to ich prawem i obowiązkiem, jako przywódców dwóch ważnych rodów. Widać było, iż nie oszczędzono wydatków, by zapewnić elegancję kroju, stosowanych barw i połysków, przetworzyć skromne linie tunik i spodni w coś wyjątkowego i pięknego.

Gundhalinu uświadomił sobie, że sam w szczerym zachwycie przenosi wzrok z jednej młodej, doskonałej twarzy i zgrabnego, elegancko odzianego ciała na drugie, prowadząc jednocześnie banalną rozmowę. Odpowiedział z roztargnieniem na kilka pytań o swą karierę i odkrycia. Trochę go zdziwiło, że nawet Pernatte'owie pytają go o to samo, co wszyscy inni.

Dorastał w rodzinie, która była zamożna, szczyliła się przodkami o nieskazitelnej reputacji i od niezliczonych pokoleń przyczyniała się do postępu technicznego Kharemough. Pernatte'owie byli jednak bogaci; tak bogaci, że mogli sobie pozwolić na wodę życia. Ich ciała stanowiły tego nieomylny dowód, nosili je z równie niedbałą doskonałością co stroje. Gospodarz musiał być co najmniej w wieku ojca Gundhalinu, który ożenił się późno i był stary w chwili, gdy urodzili mu się synowie, lecz mimo to wyglądał na trochę tylko więcej lat niż BZ. Jego żona wydawała się jeszcze młodsza; jej skóra, lśniąca i barwy mahoni, usiana bladymi piegami, była niemal zupełnie pozbawiona zmarszczek.

– ...a według mojej żony robi pan wielkie postępy przy wdrażaniu nowej techniki – powiedział Pernatte.

– Tak. – Gundhalinu zerknął na Jarsakh; tym razem obdarzyła go uśmiechem zawodowym, pustym i twardym jak stal. Często się sprzeczali, gdy miał już dość omyłek i opóźnień w produkcji. – Zdarzają się pewne trudności z wprowadzaniem szczegółowych rozwiązań, ale nie ma wątpliwości, iż w ciągu dziesięciu lat będziemy mieli flotę i możliwości wyposażenia wszystkich statków Hegemonii w zespół napędu gwiazdowego.

– Im szybciej, tym lepiej, co? – powiedział Pernatte. – Musimy utrzymać należne nam miejsce przywódców Hegemonii – i utrzymamy, dzięki temu wszystkiemu, czego dokonał pan. Jak również należy zapewnić stałe więzy z naszą "utraconą kolonią", Tiamat. Nie młodniejemy, niestety. – Roześmiał się z beztroską kogoś pewnego, iż słuchacz zrozumie i podzieli jego żarty.

– Służył pan na Tiamat w Policji Hegemonii, prawda? – zapytała Jarsakh.

Gundhalinu przytaknął, tym razem on uśmiechnął się pusto.

– Aż do ostatecznego odlotu.

– Musiało wspaniale wyglądać. Widział pan złożenie w ofierze Królowej Śniegu?

– Nie. – Opuścił wzrok. – W tym czasie leżałem chory w szpitalu.

– Straszne, zacofane miejsce – ma pan szczęście, że tam pan nie umarł. – Pokręciła głową. –

Byłoby to dla nas wszystkich ogromną stratą.

Gundhalinu nic nie odpowiedział.

– Młody Vhanu wspomniał mi, że zamierza pan poświęcić się polityce, gdy tylko technika napędu gwiazdowego zostanie całkowicie opanowana – powiedział Pernatte.

– Tak, rzeczywiście się nad tym zastanawiam. – Gundhalinu zerknął na Vhanu, okazał mu, że jest przyjemnie zdziwiony. Jego pomocnik uśmiechnął się i opuścił wzrok. – Moja rodzina nigdy nie zajmowała się polityką i obawiam się, że musiałbym się długo uczyć...

Pernatte uśmiechnął się jeszcze szerzej, wszystko szło zgodnie z oczekiwaniami Gundhalinu.

– Z wielką przyjemnością posłużę panu jako nauczyciel. Jak pan wie, mam w tej dziedzinie dość duże doświadczenie.

Dzięki wam, bogowie! Gundhalinu pokłonił się ponownie, by ukryć rosnącą w nim falę niestosownego podniecenia.

– Byłbym bardzo wdzięczny, Pernatte-sadhu.

– W takim razie musi pan pozwolić, bym wraz z CMP przedstawił pana dzisiaj niektórym naszym wpływowym znajomym. Szkoda było tracić taką sposobność i zajmować się tylko plotkami i czczeniem bohatera. Czy zastanawiał się już pan, jakiego rodzaju służbą byłby pan zainteresowany? Mogłaby to być praca w rządzie planety albo w Radzie Koordynacyjnej Hegemonii. Nawet miejsce w Zgromadzeniu nie byłoby poza zasięgiem kogoś o pana dokonaniach i pochodzeniu, gdyby się tylko jakieś zwolniło... – Dotknął ramienia Gundhalinu, wskazując mu drogę.

Gundhalinu roześmiał się cicho z niedowierzaniem i pokręcił głową.

– Moje aspiracje są dużo bardziej przyziemne. Miałem na myśli zagadnienia prawne albo zagraniczne... na przykład stanowisko Głównego Sędziego Tiamat, gdy tylko odzyskamy dostęp do planety.

Szacujące wszystko bystre oczy Jarsakh rozszerzyły się w zdumieniu wyglądającym na szczere.

– Ojcie wszystkich mych przodków! Naprawdę chce pan wrócić na ten zacofany, nieszczęsny świat? Przecież powiedział pan, że niemal tam nie zginął...

Pamiętał, że niczego takiego nie mówił, choć było w tym wiele prawdy.

– Może to dlatego chcę tam wracać, bhai... By nadzorować powstanie na planecie nowoczesnego społeczeństwa, które stałoby się pełnym, równoprawnym partnerem Hegemonii. Wydaje mi się to ważnym zadaniem, przy którym warto pracować do końca życia... – Uśmiechnął się ostrożnie, sam nie był pewien, co oznaczają te słowa.

– Modernizować tych barbarzyńców? – Pernatte pokręcił głową. – Szlachetny zamiar, ale także beznadziejny, nie da się wprowadzić postępu u ludzi uprawiających kanibalizm...

– Ludzkie ofiary, najukochańszy – wtrąciła łagodnie Jarsakh – a nie kanibalizm.

– Bez różnicy – mruknął zaniepokojony. – Uważam, że prościej byłoby znaleźć skuteczniejsze sposoby panowania nad nimi. W tym przeklętym świecie mogą żyć tylko dzikusy. Jedynym cennym towarem, jaki mogą zaoferować, jest woda życia.

– Ale za to warta całych planet – dodała sucho Jarsakh.

Gundhalinu przygryzł język. Vhanu nadal stał przy nim, patrząc na gospodarzy, jakby znalazł się przed dalekimi przodkami – co w pewnym stopniu może być prawdą, pomyślał komendant.

– Tym bardziej powinien tam trafić ktoś potrafiący dopilnować bezpieczeństwa dostaw –

powiedział, dobierając słowa ze starannością i uwagą kogoś zbierającego odłamki szkła. By dobrze widzieć drogę Światła, mawiają na Czwórcę, trzeba iść w cieniu. – Jestem bardzo zainteresowany przeprowadzeniem dokładnych badań wody życia. Są takie teorie, iż działa ona dzięki temu samemu technowirusowi, co plazma napędu gwiazdowego. A teraz właśnie uczymy się, jak z nim postępować...

– Sądzi pan, że odkryje sposób reprodukcji wody życia? – zapytała Jarsakh, zaglądając mu w oczy niemal pożądliwie. – Nieograniczone zasoby?

Opuścił wzrok.

– Na to właśnie liczę... Na pewno istnieje taka możliwość. – Nie miał pojęcia, czy to rzeczywiście możliwe. Skoro jednak ocaliłoby Tiamat, to warto spróbować... nawet skłamać...

– Proszę mi wybaczyć... – wtrącił się jakiś głos, był grzeczny, ale i stanowczy. – Nie mogłem nie słyszeć pana wypowiedzi o Tiamat, komendancie Gundhalinu.

BZ odwrócił się, spojrzął na drobnego starszego mężczyznę, ubranego poważnie i uroczyście.

– KR Aspundth – przedstawił się ów, wyciągając rękę.

Gundhalinu na krótko dotknął suchej dłoni Aspundtha; niemal podświadomie wstrząsnęło nim rozpoznanie. Przed latami znał trochę Aspundthów, lecz tak dawno, że nie rozpoznałby teraz KR. Ale było coś jeszcze: dziwnie wyraźne wspomnienie o tubylczej dziewczynie imieniem Moon inspektorowi Policji z Kharemough, nazwiskiem Gundhalinu, opowiadającej bajki o odwiedzinach jego rodzinnej planety – ... byliśmy u KR Aspundtha, piliśmy lith i jedliśmy kandyzowane owoce... – Ten obraz sprawił, że o mało co nie przegapiłby przelotnego, skrytego gestu palcem, który wyjaśnił mu nagle, dlaczego Aspundth ośmielił się wtrącić do rozmowy. Starzec był z Przeglądu, Gundhalinu spostrzegł także, iż nosi koniczynkę sybilli, jedyną jego oznakę poza niezbyt widocznym herbem rodzonym.

– Tak – powiedział. – Służyłem tam kilka lat.

– Wyobraź sobie, KR, że chce tam wracać – powiedziała Jarsakh, widocznie wtrącenie nie uraziło jej. Aspundth był Technikiem w pierwszym pokoleniu, pochodził z rodu Nietechów... jego ojciec został uhonorowany pośmiertnie, zawdzięczał to cennym usprawnieniom urzędnika wykrywającego dalekiego zasięgu, do których doszedł poprzez niezależne badania nad sposobami produkcji. Za życia nie doczekał się zaszczytów, na jakie zasługiwał, lecz korzystały z nich jego dzieci.

Techowie ze starych rodów szanowali KR Aspundtha ze względu na noszony przez niego znak sybilli, ale także dlatego że według nich zasługiwał na szacunek; inaczej niż inni nuworysze, którzy starali się kupić poważanie, nabywając posiadłości i przodków od zubożałych dobrze urodzonych, którzy nie radzili sobie w ciężkich czasach. Gundhalinu wiedział, że KR Aspundth był gorliwym zwolennikiem status quo, dzięki któremu zawdzięczał swą pozycję. Pomimo to jego zainteresowanie Tiamat nie mogło być wywołane tylko przelotną ciekawością...

– Czy słyszałeś kiedyś o kimś, kto dobrowolnie porzuciłby Kharemough i chciał do końca życia mieszkać na Tiamat? – zapytała rozbawiona Jarsakh.

– Tylko o jednej osobie – odparł łagodnie Aspundth, patrząc na Gundhalinu. – Ale to było dawno temu.

– I zrobiła to? – zapytał Gundhalinu, ponownie porwany przez wspomnienia.

Aspundth spojrzął na niego z nagłym zdziwieniem. Jego wzrok stał się badawczy, a twarz nieruchoma.

– Tak sędzę. Ale oczywiście nie była Kharemoughi. – Uśmiechnął się lekko. – Sam nigdy nie byłem na Tiamat, lecz od owego czasu ta planeta mnie ciekawi, zastanawiam się, co w niej jest tak pociągającego.

– Jakoś zapada w serce – powiedział Gundhalinu, czując, jak w kącikach jego ust pojawia się nikły uśmieszek. – Gdy byłem młody, marzyłem, by ją zobaczyć.

– Gdzie pan zatrzyma się podczas pobytu na powierzchni, Gundhalinu? W posiadłości swej rodziny?

– Zostanie u nas – powiedział Pernatte. – Zgoda, BZ? Mogę was tak nazywać?

– Proszę – przytaknął Gundhalinu z szerszym uśmiechem, z trudem skrył zdziwienie. Zastanowił się, czy Vhanu zapomniał mu o tym powiedzieć, czy też jemu samemu uleciało to z pamięci. Zerknął na kapitana, jego mina wyrażała lekkie zaskoczenie.

– W takim razie mówcie mi AT – powiedział Pernatte, a żona poszła w jego ślady – CMP... – Gdy Pernatte'owie już się kimś zainteresowali, to czynili to nieodwołalnie. Odetchnął głęboko, przypomniał sobie, że zapragnęli przygarnąć, niby osierocone dziecko, nie zwykłego BZ Gundhalinu, całkowicie obcego im człowieka, o przeszłości według nich nagannej i planach na przyszłość, które mogą uznać za zdradzieckie, lecz sztuczny twór, wizerunek, Bohatera Hegemonii – gładką maskę błyszczącą sławą tak jaskrawą, iż oślepiła nawet ich. Korzystaj z tego, po prostu korzystaj.

– ..czyli nie będzie zbyt daleko – dosłyszał słowa Aspundtha. – Wyobrażam sobie, jak napięty musi być pana program, Gundhalinu-ken – użył tytułu należnego sybillom – lecz może mimo wszystko znajdzie pan czas na spokojny posiłek w mym domu? Chciałbym bardzo porozmawiać dokładniej o naszych wspólnych zainteresowaniach.

– Dziękuję, Aspundth-ken. – Gundhalinu kiwnął głową, odczytując wyraz oczu starszego mężczyzny. – Chętnie skorzystam. – Spojrzał na Vhanu. – Znajdźcie na to czas, dobrze, Vhanu? – Uśmiechnął się przeproszająco. Chyba nigdy już nie znajdzie w życiu wolnych chwil.

Vhanu pochylił głowę ze zdziwieniem i rezygnacją.

– Tak jest, panie komendancie.

– Umówię się z pańskim zastępcą. – Aspundth pokłonił się zgrabnie, jakby wyczuwając narastający niepokój gospodarzy. – Wiem, że wszystkim tu pilno pana poznać.

Gundhalinu zdusił ciekawość i pozwolił się prowadzić przez tłum, być kolejno przedstawianym, przechodzić stopniowo z jednej sali do drugiej. Z pewnym zdziwieniem zauważył, że zaczyna to go cieszyć. Choć raz ludzie, z którymi musiał się spotkać, byli jego rodakami, mówili tym samym językiem – dosłownie, a nie w przenośni – wyglądali jak on, postępowali jak on, reagowali jak należy na jego żarty i opowieści. Więcej niż jak należy – z entuzjazmem. Starzy i nowi znajomi, wśród nich ludzie, których podziwiał całe życie, tłoczyli się wokół niego, wyrażali swój podziw. A mimo wszystko trudno było powiedzieć, że nie zasługuje na takie względy. Powinien to sobie uświadomić, dopuścić do siebie, że w oczach tych ludzi zmazał dawną hańbę.

Po pewnym czasie Vhanu odnalazł Gundhalinu, uwolnił go od obowiązku zapamiętywania nazwisk i tytułów przynależnych każdej nowej osobie, dał czas na wspomnienie dziwnego, krótkiego spotkania z KR Aspundthem. B Z dyskretnie sprawdził kalendarzyk i znalazł w nim datę spotkania, o które poprosił go staruszek. Zjadł kolejny pasztecik, wsłuchał się w głos przypominający mu wewnątrz głowy, iż nic nie jest takie, na jakie wygląda.

W drodze z sali do sali wprowadziły go w spokojny nastrój chłodne, płynne fale muzyki. Melodia zmieniała się ciągle, ponieważ w każdym pomieszczeniu grali inni muzycy, na innych instrumentach, lecz mimo to była to zawsze muzyka, jaką pamiętał z młodości, studiowane przezeń w szkole klasyczne motywy o skrytych, matematycznych cechach budowy i kontrapunktu. Muzyka była bardziej namacalną formą matematyki, jak wszystko inne w świecie Techników zawsze, choć dyskretnie, przypominała im o ich pozycji. Krążące między gośćmi potrawy i napoje tworzyły ruchomą ucztę, obejmowały wszystkie lubiane przez Gundhalinu w dzieciństwie smakołyki, były

pięknie przystrojone, cudownie wyglądały i bardziej jeszcze, niż pamiętał, zaspokajały jego bardziej rozwinięte gusta.

Dwór Pernatte'ów ozdobiony był z podobnie nieubłaganym wyrafinowaniem, co sami gospodarze. Wyposażenie musiało być według Gundhalinu zgodne z najnowszą modą, bo nie dostrzegął on nigdzie mebli w stylu, jaki znał z dzieciństwa. Widywał obszerne wyspy niskich, składanych kanap o mocnych, choć subtelnych zestawieniach barw, oraz płaskie, kanciaste stoły, skrywające przypuszczalnie możliwości, jakich się nie domyślał. Wypolerowane kamienne ściany pozbawione były wszelkich dekoracji, jeśli nie liczyć urządzeń mających swe użytkowe przeznaczenie. Pomędzy jaskrawymi zespołami sof tkwiły kamienne postumenty z dziełami sztuki – wszystkie były bardzo stare, stanowiły pochodzące z wykopalisk resztki chwały Starego Imperium. W obszernych salach sprawiało to razem wrażenie uderzające, lecz także surowe, niemal ascetyczne, nie osłabiała tego nawet obecność wielu osób. Gundhalinu niekiedy uświadamiał sobie, że szuka oczyma tajemniczej kobiety, ale nigdzie jej nie dostrzegął. Miał nadzieję, iż natknie się na nią jeszcze dzisiaj, z grzeszną radością czekając na owe spotkanie.

– Ach... – rozległ się obok głos Jarsakh, gdy błyszczący robot mruknął jej do ucha kilka niesłyszalnych dla innych słów. – Zdaje się, że nadeszła pora rozpoczęcia dzisiejszego przedstawienia. Zarezerwowaliśmy dla ciebie najlepsze miejsce. Mam nadzieję, że lubisz sztuki. – Wzięła go pod ramię.

– Bardzo – powiedział. – Muszę przyznać, że w ostatnich latach nie miałem okazji ich oglądać.

– Dziś będziesz mógł nie tylko patrzeć. Zyskasz sposobność do uczestnictwa...

Uśmiechnął się, zaintrygowany. Gospodyni wyprowadziła go przez rozwarte przed nimi błyszczące drzwi na leżący pod gołym niebem dziedziniec.

– BZ!

Nagle przestał się uśmiechać. Odwrócił się, wypatrując czegoś wśród przesuwanego się stale tłumu. Niemal zaklął, opanował w porę i niby wymiociny przełknął gorzkie słowa.

– Wybaczcie mi, CMP – powiedział Jarsakh i odszedł od niej. – Vhanu – mruknął, z trudem ścisząc głos. – Co oni tu robią?

– Kto, panie komendancie? – Vhanu rozejrzał się wokół.

– Moi bracia. – Gundhalinu poczuł, jak na widok zbliżających się braci tężeje w nim, niczym przed napaścią, każdy mięsień ciała.

Vhanu zauważył tę reakcję, nic nie rozumiejąc, spojrzał na przełożonego.

– Pańska rodzina? Nie życzył pan sobie ich obecności?

– Nie – powiedział cicho. – Nie chciałem ich tutaj. Nie chcę. Oni... – Próbowali mnie zabić. – Nie jesteśmy z sobą blisko.

– Przepraszam, panie komendancie. – Vhanu pokręcił głową, jego mina wyrażała mieszaninę zakłopotania i zaciekawienia. – To przecież jedyni pańscy bliscy krewni, prawda? Pański starszy brat jest głową rodu Gundhalinu. Nie mogliśmy ich pominąć, skoro zapragnął pan, by to przyjęcie było...

Gundhalinu uciszył go gestem na widok podchodzącej w towarzystwie męża Jarsakh.

– Wszystko w porządku, BZ?

– Tak, całkowicie – odpowiedział odrobinę zbyt gwałtownie.

– BZ... – pierwszy zjawił się jego najstarszy brat, HK. Odzyskał już całą znaczną tuszę, której pozbawił go Koniec Świata. Noszony przezeń stosowny tu strój rodowy był tak luźno skrojony i starannie udrapowany, iż niemal zupełnie skrywał miękkie, tłuste ciało. – Bogowie, to jak cud, że wróciłeś do domu, połączyłeś się z rodziną. Nie potrafię powiedzieć, jaki jestem dumny, że cieszę

się dziś razem z tobą... – Paplał z ożywieniem, ściskając o wiele za mocno automatycznie wyciągniętą przez Gundhalinu dłoń – był to gest równie obronny, co służący powitaniu. BZ zauważył, że brat zerknął na jego nadgarstek, szukając skrycie widniejących tam ongiś szram, piętna hańby. Ale blizn już nie było – pozbył się ich wraz ze złudzeniami, jakie miał co do względnej wartości życia braci i własnego.

Za HK niby cień wyrósł średni brat, SB, przyjrzał się Gundhalinu z milczeniem będącym całkowitym przeciwieństwem wylewnej życzliwości głowy rodu.

– SB... – powiedział Gundhalinu z lekkim skinięciem głowy, tym razem nie wyciągnął ręki.

– Jak się masz, braciszku? – mruknął SB bezbarwnym tonem, jego oczy lśniły zawiścią.

– Całkowicie wyzdrowiałem, dziękuję – odparł Gundhalinu, wytrzymując gorzkie, chłodne spojrzenie. Piętno, jakie zostawiła na nim zdrada braci po tym, jak wyprowadził ich żywych z Końca Świata, było znacznie trudniejsze do usunięcia niż blizny po ranach, które zadał sam sobie.

– Widzę – mruknął SB. – Miałeś szczęście. Nosisz dzisiaj herb rodowy? To trochę przedwcześnie.

Gundhalinu nie zwrócił uwagi na insynuację SB, rad był, że wreszcie ustało służalcze paplanie HK.

– Dobrze jest... wrócić – powiedział, z trudem zdobywając się nawet na równie puste słowa. Nie nabrał jeszcze takiej wprawy w kłamaniu, by spróbować uwag bardziej osobistych. Niedbale przedstawił braci gospodarzom, nieuczynienie tego byłoby nie tylko niezręczne towarzysko, ale i trudne do wytłumaczenia. Pernatte'owie zaczęli okazywać niecierpliwość, Vhanu patrzył czujnie, jakby szukał ukrytej broni.

– Naprawdę widzicie ich po raz pierwszy, odkąd opuściliście Kharemough? – zapytała Jarsakh z lekkim zdziwieniem. – Nie złożyliście wizyty w kaplicy swego rodu, nie uczciliście przodków?

Gundhalinu opuścił wzrok.

– Niestety, CMP, chyba zaniedbałem parę spraw – powiedział spokojnie. – Odkąd wróciłem, ani razu nie postawiłem nogi na powierzchni planety, dopiero dzisiaj. Było to... poważne niedopatrzenie, jak słusznie zauważyliście. – Mówiąc to, pojął, że prawda jest dużo bardziej wstydliva, uświadomił sobie splot bolesnych, przemożnych przyczyn, które sprawiły, że aż dotąd nie rozważał choćby możliwości wizyty. Jedną z nich było pozostawanie w rękach braci rodowej posiadłości, a wraz z nią szczątków przodków, między innymi ojca, który zmarł podczas jego nieobecności. – Naprawię to najszybciej, jak tylko można. – Pochylił pokornie głowę.

– CMP... – Pernatte zbeształ żonę.

Gundhalinu uniósł głowę, po raz pierwszy dostrzegł w jej uśmiechu coś w rodzaju skruchy albo szczerzego współczucia.

– To ja winnam przeproszać, a nie wy – powiedziała. – Nie miałam prawa was krytykować, w swej pełnej oddania służbie zapomnieliście o własnym życiu osobistym.

– Chodźmy, BZ, bo jeszcze przedstawienie zacznie się bez nas – powiedział Pernatte – a na mych świętych przodków, za dużo nas kosztowało, by stracić choćby minutę. Zabierzcie braci. Na pewno macie sobie wiele do powiedzenia.

Gundhalinu przytaknął, nie mógł inaczej zareagować. Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że bracia nie odstąpią go na krok. W drodze na zarezerwowane dlań miejsce mijał gości stojących cierpliwie lub przyglądających się zdumiewającemu nagromadzeniu wyściełanych starożytnych podpórek, ustawionych na rozległej posadzce z wzorzystego kamienia.

Otaczały one otwartą przestrzeń, gdzie stał niepozorny kufer, wyglądający na ręczną robotę. W górze, na zupełnie czystym jesiennym niebie lśniła symfonia barw zorzy zanieczyszczeń. Gundhalinu

pomyślał przelotnie o innych niebach – pełnych kolorowych świateł, widzianych przezeń podczas przypominającego marzenie senne wtajemniczenia w wewnętrzne tajemnice Przeglądu; żarzącym się firmamencie Tiamat. Powietrze było świeże i przyjemne, niemal wyczuć można było ogólne oczekiwanie na przedstawienie, zaś zapach kwitnących nocą kwiatów wypełniał mu głowę drażniącą tęsknotą.

Wspomnienia zmieniły się w nieprzyjemną rzeczywistość, gdy bracia usiedli na ozdobnej ławce z tyłu. Robot podał mu uniżenie misternie spleciony czepiec i wybuczał krótką instrukcję jego użycia. "To też dzieło sztuki" – pomyślał Gundhalinu.

– Artystka jest rzeźbiarką biochemiczną – zdaje się najbardziej sławioną w swej dziedzinie – powiedziała Jarsakh, jakby także zamierzała go szkolić. – Jej dzieła nie są zwykle zaprogramowane, powstają poprzez współdziałanie z widzami, wynika z tego ich znaczna popularność, tak przynajmniej słyszałam. Nazywa je sztukami nastrojowymi; mają odzwierciedlać uczucia patrzącego, dzięki czemu zawsze pasują do okoliczności i tworzą satysfakcjonujące doświadczenie.

– Zaprogramowanie czegoś takiego musiało być niezwykle trudnym zadaniem – zauważył Gundhalinu.

– Rzeczywiście, tak mi mówiono. Rzeźbiarka ma kilka dyplomów naukowych, choć jest tylko artystką – powiedziała Jarsakh. – Staramy się nie przepuścić żadnej okazji popierania sztuki; zawsze wierzyłam, iż nikt nie może być człowiekiem całkowicie oświeconym, jeśli nie interesuje się również sprawami nietechnicznymi... wolimy jednak popierać tylko tych artystów, którzy okazują wyjątkowo silny zmysł projektowy albo potrafią z wyobraźnią wykorzystywać technikę.

– Macie też dobry gust, jeśli chodzi o antyki – zauważył Gundhalinu, wspomniawszy dzieła zgromadzone wewnątrz domu.

– No tak, ale czy nie sądzicie, że tradycyjna sztuka statyczna jest ciekawa wyłącznie ze względu na jej historyczną perspektywę? – Jarsakh wzruszyła ramionami. Gundhalinu zastanowił się nagle, czy kiedykolwiek przyjrzała się bardziej niż przelotnie zgromadzonym we własnym domu przedmiotom. Jeśli nawet miały kiedyś w sobie smak dziejów, to dawno się już ulotnił.

– Czy artystka, która stworzyła dzisiejsze dzieło, jest gdzieś tutaj? Jak się nazywa? – Ciekawe, czy słyszał o niej przed wyjazdem. Dostrzegł, jak Vhanu mruczy coś do Pernatte'a.

– Nie mogła przybyć – wtrącił się gospodarz, ucinając jednocześnie rozmowę w zastanawiający Gundhalinu sposób.

– Nazywa się Netanyahr – odezwał się nagle ponury głos SB. – Poznaję jej dzieło. Jest jedną z tych, którzy przejęli naszą posiadłość, nim jej nie odzyskałeś, BZ. Nic dziwnego, że nie chcieli, by tu była.

Gundhalinu odwrócił się w miejscu, poczuł, jak policzki niby po uderzeniu płoną mu gniewem i upokorzeniem.

– SB – mruknął HK – bądź cicho, dobra? On nigdy nie...

SB prychnął, strącił z ramienia dłoń HK.

– A niby czemu? Skoro już mają tak zły gust, by wynająć dzisiaj jej dzieło, to dlaczego nie mógłbym okazać równie złego, wspominając o tym? Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi... – Na miażdżące spojrzenie Gundhalinu odpowiedział wzrokiem pełnym pustej drwiny. – Prawda, braciszku?

– Proszę nam wybaczyć, BZ... – wtrącił się Pernatte z wyraźnym smutkiem. – Musimy na chwilę spotkać się z czcigodnymi krewnymi CMP, inaczej uznają to za niewybaczalną obrazę. Jestem pewien, że macie dużo do powiedzenia swym braciom... Gdy wszyscy już zajmą miejsca, proszę was, byście pierwsi użyli czepca i rozpoczęli przedstawienie.

Gundhalinu spojrzęła na trzymaną w dłoniach misterną opaskę ze srebra, czuł na sobie wzrok braci.

– Z radością. Bardzo wam dziękuję – mruknął z bezmyślnym uśmiechem. Patrzył, jak gospodarze przesuwały się przez tłum gości, po drodze dyskretnie zabierając Vhanu; zauważył, że Pernatte powiedział coś żonie, wskazując jednocześnie na oczekujące dzieło sztuki. Zastanowił się, czemu, w imię tysięcy przodków, zdecydowali się na wytwór kogoś równie blisko związanego z upokorzeniem jego nazwiska. Był pewien, że nie postąpili tak umyślnie. Jeśli jednak nie wiedzieli przedtem o kłopotach jego rodu, to niewątpliwie znają je teraz. Gdyby SB trzymał na kłódkę swą przekłętą gębę...

– Jak długo zamierzasz tu przebywać? – odważył się zapytać siedzący z tyłu HK.

– Nie dłużej, niż będę musiał – warknął Gundhalinu, nie patrząc na nich, uderzyła go ironiczna myśl, że jedyni ludzie, do których mógł się zwracać per "ty", byli jednocześnie tymi, których uważał za najdalszych sobie.

– Czekamy na ciebie w posiadłościach – ciągnął HK niezgrabnie i nieznośnie. – To znaczy, jeśli zechcesz odwiedzić prochy ojca i złożyć ofiarę. Będiesz mógł nawet zostać, jeśli...

– Mam gdzie mieszkać. – Wydusił z siebie te słowa, w dalszym ciągu nie patrząc na braci. Zdumiewała go ciemność, jaką czuł wewnątrz siebie, fala goryczy i niechęci, ogarniająca go gwałtownie wraz ze wspomnieniami, których nie zdołał powstrzymać. Ich surowy, przywiązany do tradycji ojciec próbował przed swą śmiercią zmienić na jego korzyść kolejność dziedziczenia. Wtedy jednak był zbyt młody, by tak bardzo pogwałcić obyczaje, zwłaszcza że rodzicowi zabrakło woli, aby to wymusić... W rezultacie spełniły się obawy ojca i bracia przepuścili majątek rodowy – słaby, łatwo ulegający pokusom HK nie miał sił opierać się wiodącemu go do katastrofy SB, który już dawno powinien był popełnić samobójstwo, gdyby została w nim choć odrobina szacunku do siebie lub charakteru.

A po przeputaniu całego dziedzictwa przybyli na Numer Czwarty, by tam zadać ostateczny cios kruszącej się już masce opanowania Gundhalinu – by opowiedzieć mu, jak stracili posiadłości i sprzedali nazwisko rodowe komuś z niższej klasy, gotowemu za nie zapłacić. Do tej pory potrafił żyć i pracować tylko dlatego, iż szczelnie skrywał swą hańbę; wierzył, iż pozostawając poza Kharemough, nie plami rodziny swym poniżeniem. Bracia zniszczyli tę jego ostatnią nadzieję, przybyli na Czwórkę, by zawiadomić go, że odkupią majątki, gdy tylko wzbogacą się w Końcu Świata. Ostrzegał ich przed tym, próbował powstrzymać przed tym, co Czwórczanie nazywają Wielkim Błędem... patrzył, jak mimo to wyruszają. A gdy nie wrócili, wybrał się po nich; nie dlatego że coś dla niego znaczyli, po prostu nic już dla niego nie znaczyło, nawet własne życie.

Znalazł ich... i napęd gwiazdny. Koniec Świata zmienił na zawsze jego życie. Ale także jego braci. Wyprowadził ich cało z pochłaniającego dusze piekła... a wtedy napadli go skrycie i ukradli zabraną przezeń plazmę napędu gwiazdowego, porzucili w jakimś zaułku miasteczka Firmy, by tam umarł.

Ale nie udało się im. Przeżył, doczekał ich aresztowania, dopilnował, by plazma została przekazana Hegemonii, a nie trzymana jako okup. A potem wykorzystał nagłe wpływy, jakie zyskał dzięki swemu "bezinteresownemu patriotyzmowi", by odzyskać nazwisko i majątki rodu.

Odesłał braci do posiadłości, by siedzieli tam w swego rodzaju honorowym areszcie domowym, wyznaczył też zasiłek wypłacany przez fundusz powierniczy. Był on takiej wysokości – i połączony z takimi warunkami spłaty – iż mogli prowadzić wygodne życie, choć bez możliwości szaleństw. Krew jest jednak gęstsza niż woda. Przekonywał siebie, że męki, jakie przeżyli w Końcu Świata, zdołały ich zmienić, że choć nigdy się z nimi nie pogodzi, to nie są mordercami, lecz tylko

głupcami – a ponadto ktoś musi zarządzać majątkami...

Teraz jednak wrócił na Kharemough i sam widok braci sprawił, że zaczął patrzeć na przyszłość wyłącznie w czarnych barwach.

– BZ? – zapytał ponownie HK i Gundhalinu zrozumiał, że brat nie przerwał potoku słów, choć on przestał ich słuchać. – Czemu nam na to nie pozwalasz?

– Na co? – zmarszczył brwi. Ludzie wokół zajęli już miejsca; zapadło pełne oczekiwania milczenie. Uświadomił sobie, iż wszyscy czekają, aż rozpocznie przedstawienie. Spojrzał na ściskany kurczowo w rękach czepiec, przypominający srebrną koronę. W obawie, że go zgniecie, zmusił się do rozluźnienia dłoni.

– Wykorzystanie możliwości zainwestowania w statki ponad – świetlne. Skoro jużście, jużś wrócił, a flota jest niemal gotowa... przecież wszystko idzie dobrze? To pewny interes. Jesteś w tak dobrych stosunkach z Jarsakh-bhai, że wystarczyłoby jedno twoje słówko, prawda?

– Nie – przerwał ostro nurt wymowy HK. – Dostajesz wyższą pensję, niż jest potrzebna na pokrycie twych potrzeb. Zapowiadam ci, jeśli kiedykolwiek jeszcze spróbujesz zarabiać na napędzie gwiazdnym, obojętnie w jaki sposób, zawieszę wam wypłaty. Nie żartuję. A teraz jestem tutaj.

– Tak, BZ, ale jestem przecież głową rodziny...

SB złapał HK za rękę i pociągnął, uciszając ponownie.

– Przestań – powiedział, zwracając się do HK, lecz patrząc na BZ. – To go nie interesuje. Uważa się za coś w rodzaju boga. Poradźmy sobie sami.

BZ skrzywił się.

– Jeśli przysporzycie mi jakichkolwiek kłopotów, zostaniecie pozbawieni wszelkich tytułów i praw. Zróbcie krok dalej, a będziecie oskarżeni o usiłowanie morderstwa. Pamiętajcie o tym. – Rozejrzał się i ostrożnie założył czepiec. SB prychnął, jakby Gundhalinu sam się ukoronował. BZ zaklął pod nosem i przyciskał włączniki, aż poczuł wsączające się przez uszy mrowienie. Powiedziano mu, że tajemnicza zawartość skrzyni odpowie na jego uczucia, przetłumaczy je na rodzaj pobudzeń elektronicznych. Niech bogowie to wspomogą, pomyślał. Zamknął oczy, skupił się.

W powietrzu zjawiła się nagle czerwonożłota poświata, wywołując u widzów wstrzymywanie oddechów i okrzyki zaskoczenia. Ze skrzynki wytryskały kolejne fale zorzy, zalewały niebo niby magma z wybuchającego wulkanu, krzepły po zetknięciu z kamieniami, gęstniały, ciemniały, napierały niby niewyraźne, na wpół ludzkie kształty walczące na śmierć i życie, wypełniały oczy ludzi ogniem i krwią, Ogniste Jezioro...

Zaskoczony, przerażony Gundhalinu wytłumił większość swych emocji, powitał z ulgą chór westchnień i wyrazów podziwu niczego nie spodziewających się widzów. Wziął się w garść, przyjrzał się blednym i słabnym barwom. Furia wyrzuconego wybuchem materiału ulatniała się w krętych splotach, przywodzących na myśl mgłę, dym, wodę wpływającą do tego wrzącego morza, wznoszącą się z niego w postaci chmur, rozpinającą tęcze na niebie, wypełniającą je duchami...

Skupił się teraz na pieśni, słyszał ją dobiegającą stale skądś wewnątrz; jej wdzięczne, wzruszające takty i kontrapunkty przypominały taniec zakochanych, zbliżających się do siebie, cofających, pełnych wahania i pożądania... Ujrzał muzykę, nagle zaczęły się przed nim pojawiać jej obrazy, na wpół urojone, na wpół rzeczywiste, przypominające mary widziane przezeń w Sanktuarium, były niby twarz ukazująca się w marzeniach, jej twarz skryta w błękitnej mgiełce...

Była tam, tkąła się niezupełnie z materii, niezupełnie z mgły, zmieniając się stale i jednocześnie roztapiając. Wyciągnęła doń rękę jak ta, którą pamiętał, której pragnął, czekająca...

Wstał z miejsca, wyciągnął własną dłoń, nie dostrzegając wzroku braci, nie słysząc pomruków tłumu, ruszył w stronę wizji, łagodnie powtórzył jej dotykający gest, poczuł chłodne, ledwo uchwytnie

zawikłania mgiełki, z której powstała ona, przywołana jego myślami, jego sercem, teraz poruszająca się precyzyjnie w rytm muzyki. Uśmiechnęła się, spojrzała na niego oczyma barwy mgły i agatu, pełnymi pragnienia równie silnego jak jego, kosmyki jej długich, jasnych włosów otulały ją niby mgła...

Tańczyli razem, aż muzyka zaczęła cichnąć, w ostatnim takcie pokłonił się jej, pozwolił zniknąć w mgle, roztopić w bezkształtne opary o barwach tęczy i pokrywających niebo pasm światła. Odwrócił się w stronę widowni, usłyszał burzę oklasków, wyciągnął ręce, by zdjąć i podać koronę...

Zamarł w połowie ruchu, jego widzące już wyraźnie oczy dostrzegły stojącą przed nim następną kobietę, tajemniczą nieznajomą, której udzielił dziś schronienia.

Tkwiła przed nim, otulona w perły i czarne aksamity, przyglądała mu się z równie silnym zdumieniem – był również uniesiony dzban, zataczający szeroki łuk, wyrzucający na Gundhalinu swą zawartość.

BZ wyciągnął dłoń w obronnym geście – ujrzał, jak zdziwienie i rozpoznanie na jej twarzy przechodzi w przerażenie. Szarpnęła ręką, próbując, zbyt późno, wstrzymać jej ruch. Zdążył zrobić unik i ujrzał, jak zawartość dzbana leci prosto na głowy jego braci. Zaskoczony HK wrzasnął, zaś SB spadł z końca ławki. Obu pokryła ciecz z naczynia, przypominająca nieczystości. Potwierdzał to dobiegły do nosa Gundhalinu zapach.

Otaczało go teraz całkowite milczenie, przerywane jedynie dyszeniem i przekleństwami braci oraz jego własnym dzikim, szczerym śmiechem.

Przejęci zgrozą widzowie jeszcze przez chwilę gapili się w milczeniu. Potem zjawili się funkcjonariusze ochrony domu, ludzie i roboty, otoczyli stojącą nieruchomo, nie opierającą się kobietę w czerni; patrzyła na Gundhalinu wzrokiem, który nagle całkowicie zrozumiał. Przerwał śmiech i otworzył usta.

– BZ, na bogów, czy nic wam się nie stało... – Pernatte zjawił się obok, położył mu dłoń na ramieniu, na braci nie rzucił nawet okiem. Z drugiej strony stanął Vhanu, gorączkowo o coś pytał. Gospodarz skinął oczekującym ochroniarzom: – Zabierzcie ją, na miłość bogów! Aresztujcie!

– Zaczekajcie! – Gundhalinu wyciągnął rękę, wstrzymał ich w połowie ruchu, gdy już kładli ręce na kobietę. – Zostawcie ją – powiedział, podszedł do kobiety i uzbrojonych strażników, kroczył ze spokojem i stanowczością, których wcale nie czuł. Ochroniarze spojrzeli na Pernatte'a, który musiał dać im jakiś sygnał, wtedy się cofnęli. – Zaszło tu nieporozumienie. Była to... po prostu część przedstawienia. Nic się nie stało.

Obiema rękoma wyciągnął czepiec i nałożył na głowę kobiety.

– Należy do was. – Nie sprzeciwiła się. Wziął ją za rękę i poszła za nim niby lunatyk. Weszli na otwartą przestrzeń, gdzie stała skrzynia. Pod ich nogami materia twórczo drżała, lekko, bezcelowo, lub szeleściła niby popiół. Gundhalinu odwrócił się w stronę tłumu, na tyle długo popatrzył na braci, by dostrzec SB, rzucającego mordercze spojrzenia, gdy uzbrojeni strażnicy pomagali im wstać i odejść pomiędzy odsuwającymi się ze wstrętem ludźmi.

– Sadhanu, bhai – powiedział głośno, by przyciągnąć uwagę widzów. – Oto artystka, która stworzyła dzisiejsze przedstawienie. Możecie jej okazać, jak wam się podobało. – Oklaski zabrzmiały głośniejsz, niektóre brzmiały niepewnie, inne wzmacniały okrzyki podziwu. – Przez jakieś niedopatrzenie nie została zaproszona na dzisiejsze przyjęcie. – Odwrócił się do niej, dostrzegł, że jej twarz wyrażała całkowite zagubienie. – Jeśli pozwolicie mi to teraz naprawić.. – Spojrzał na Pernatte'a i dostrzegając niezręczne ostrzeżenie w oczach Vhanu, powiedział: – Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście przywitali tę kobietę jako mego honorowego gościa.

– Oczywiście – mruknął Pernatte, patrząc na Gundhalinu i kobietę, pamiętał dobrze, czego się dowiedział o ich powiązaniach. Jego mina wskazywała, iż sądzi, że ktoś tu wypił za dużo, ale nie wie na pewno kto. – Z radością. I przepraszam za niedopatrzenie. – Spojrzał znowu na kobietę. – Przypuszczam, że powinniśmy całą sprawę złożyć na karb artystycznego temperamentu? Wszyscy popełniamy pomyłki... proszę was jednak, moja droga, byście na przyszłość bardziej uważali, jak wyrażacie swe... – Skrzywił się, spróbował uśmiechnąć.

– Oczywiście, sathra. – Skłoniła się przed nim z wdziękiem, jakiego pozazdrościłby każdy Technik, przybrała ponownie nieskazitelną maskę opanowania, na usta przywołała czysty uśmiech. Wyprostowała się, ostrożnie zdjęła czepiec i podała go gospodarzowi. – Sprawiłoby mi niewysłowioną przyjemność, sathra, gdybyście byli następnym. – Przyjął urządzenie trochę udobruchany jej zachowaniem i gotowością wznowienia przedstawienia. Nałożył czepiec. Spojrzała na Gundhalinu i uniosła brwi.

Kiwnął głową i dotknął jej łokcia, prosząc bez słów, by z nim poszła.

– Panie komendancie? – odezwał się Vhanu, na jego twarzy rysowała się niepewność, ciało wykręcały sprzeczne zamiary.

– Wszystko w porządku, Vhanu. Zawołam was, gdy będziecie potrzebni. – Powiódł ją skrajem tłumy, który zaczął już ochać i achąć, gdy gospodarz spróbował własnoręcznie poprowadzić dzieło artystki. Nie oglądała się za siebie, Gundhalinu podejrzewał, że naprawdę nie chce na to patrzeć. Zastanowił się, co sądzi o własnym przedstawieniu. Pewnie niezbyt je ceni.

Prowadził ją wzdłuż schludnie przyciętych żywopłotów labiryntu chroniącego rodzinną kaplicę Pernatte'a, w końcu doszli do wyściełanej ławki, jakie zawsze ustawiano w takich miejscach, słabo oświetlonej blaskiem padającym z okien posiadłości. Usiedli i spojrzeli na siebie. Słodkie głosy śpiewały a cappella. Niemożliwe do rozpoznania słowa pieśni płynęły nad trawnikiem, wypełniały milczenie, którego żadne z nich nie było w stanie przerwać.

W końcu powiedziała:

– Pozwoliliście, bym spytała was o nazwisko przy ponownym spotkaniu. Nie sądzę jednak, by było to konieczne.

– Raczej nie. – Spojrzał na swe ręce. – Ale mogę wreszcie zapytać o wasze. Brzmi Netanyahr, takie chyba podał mój brat? – Uniósł wzrok. – Powiedział, że byliście właścicielką naszych posiadłości?

– Pandhara Hethea Netanyahr – przedstawiła się i ujęła jego niepewnie wyciągniętą dłoń. – Choć przez krótki, cudowny okres byłam PHN Gundhalinu. – Bez wahania spojrzała mu w oczy, dostrzegł w nich ogniki gniewu, wielki ból i poniżenie, które pchnęły ją do popełnionego dzisiaj aktu absurdałnej zemsty.

Zapiekł go gorąco własny smutek; przypomniał sobie, jak cierpiał po własnej stracie, jak popychała go do uczynienia wszystkiego, dzięki czemu odzyskałby to, do czego miał prawo.

– Wiem teraz, dlaczego sądziliście, że osobiście sprzeciwiłem się waszemu przyjsciu. Nie zrobiłem tego. Nie miałem pojęcia... – Ale ktoś musiał mieć, poczuł się przez to współwinnym.

– Wiem. – Kiwnęła głową. – Gdybym nie spotkała was wcześniej, to chyba bym wam nie uwierzyła. Ale...

– Nie wiem nawet, kto był na tyle zuchwały, by poprosić was o urządzenie dzisiejszego przedstawienia... choć jego poziom był bardzo wysoki – dodał pośpiesznie. – Nie zamierzam...

– Dziękuję wam – powiedziała i wreszcie się uśmiechnęła. – Włączyliście się w nie cudownie. Zapomniałam o wszystkim, patrząc na wasz taniec z piękną wizją...

– Naprawdę? – Uśmiechnął się z wahaniem. – Zaczynam wierzyć, że niektóre spotkania nie są

przypadkowe, Netanyahr-kadda. Może także i to. – Opuścił wzrok. – Przynajmniej dało mi możliwość przeproszenia was. Widzicie, gdy się dowiedziałem, że moi bracia utracili nazwisko rodowe, sam... moje życie... niezbyt się wtedy układało. Usłyszawszy o tym... pomyślałem... pomyślałem, że pękła lina, na której wiszę. – Zacisnął pięści. – Rozpaczliwie pragnąłem odzyskać wrodzone mi prawa. A gdy nadarzyła się okazja, wykorzystałem ją. Nigdy nawet nie pomyślałem o tych, których życie przez to zakłóciłem. – Z wysiłkiem znowu na nią spojrział. Miałeś ich za okrutnych spekulantów kupujących zaszczyty. Mina Netanyahr świadczyła, że dokładnie takiej postawy spodziewała się po klasycznym, aroganckim Techniku. – Jeśli macie takie zdanie o nas wszystkich – mruknął – to dlaczego tak bardzo chcieliście zostać jedną z nich?

Chrzęst pereł zawtórował odwróceniu przez nią głowy.

– To nie "zostania jedną z was" pragnęłam, Gundhalinu – sathra. Jesteście takimi samymi ludźmi, co wszyscy inni, i sami byście to przyznali, gdybyście się kiedykolwiek nad tym zastanowili. – Popatrzyła na niego, jakby spodziewając się sprzeciwu; rzuciła zaskoczone spojrzenie i znowu odwróciła wzrok. – Chodziło mi o... o poczucie tradycji, osiągnięć rodziny. Uznacie to za zarozumiałość, ale w szkole uczyłam się o Ciemnych Wiekach, marzyłam, by móc żyć wtedy, pomagać w powrocie do światła. Niekiedy wyobrażałam sobie nawet, że robiłam to w jakimś poprzednim wcieleniu; takie to było silne. Zafascynowała mnie historia waszej rodziny – inteligencja i odwaga waszych przodków, odmowa rezygnacji z człowieczeństwa nawet za cenę prześladowań i cierpień. Gdy usłyszałam, że nazwisko Gundhalinu jest na sprzedaż...

Przestał czuć zdziwienie, uśmiechnął się bezwiednie.

– Przepraszam... – mruknęła. – Wiem teraz, jakie to musiało być dla was bolesne. Chciałam tylko uczcić wasze osiągnięcia i zasłużyć na waszą szczerą uprzejmość wobec mnie.

– Może oboje dopuściliśmy się tego samego przeoczenia, Netanyahr-kadda – powiedział łagodnie.

Przytaknęła.

– Tak, Gundhalinu-sathra.

– W takim razie zrobię, co mogę, by wszystko naprawić. Zawsze są dostępne jakieś nazwiska i posiadłości, trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich szukać.

– Nie – sprzeciwiła się niemal ostro. Zacisnęła złożone na kolanach dłonie.

– Dlaczego?

– Żeby móc odebrać mi wasze posiadłości, których byłam legalną właścicielką, wynajęci przez was prawnicy uzyskali nakaz wydalenia mnie. Nigdy już nie uzyskam pozycji Technika.

– Na jakiej podstawie tak uczyniono? – zapytał.

– Nieodpowiedniości genetycznej.

– Ależ to absurd... – urwał. Nieodpowiedniość genetyczna oznaczała stwierdzenie niedorozwoju umysłowego. – Macie kilka stopni naukowych z dziedziny wyższej techniki, łatwe do wykazania zdolności twórcze... – A także poczucie humoru, urodę i mile usposobienie... Zamilkł przed wypowiedzeniem tych słów.

– Mimo to, sathra, nie mogłam liczyć na dostanie się do waszej szanownej klasy. Musiałam się do niej wkupić. Czy to, że zostałam uznana niedorozwiniętą, rzeczywiście uważacie za absurd?

Odwrócił wzrok.

– Dziedzictwem, które naprawdę pragnęłam, było to, które należy do was, komendancie – chciałam uzyskać przez nie poczucie ciągłości, dla siebie i dla mych dzieci, sięgające w przyszłość... Ale honor rodu Gundhalinu spoczywa w zasługujących na to rękach, a nie ma żadnego innego wśród Techników, który znaczyłby dla mnie równie wiele. Dlatego może mimo wszystko

jestem zadowolona. – Wzruszyła ramionami, odwróciła wzrok.

Pomyślał o swych braciach i nic nie odpowiedział. Słuchał głosów rozpoczynających nową pieśń, nagłych oklasków dobiegających z zatłoczonego dziedzińca.

– A więc uczyniliście to częściowo dla swej rodziny... swych dzieci? Ile ich macie?

– Na razie żadnego. Ale będę miała.

– Czyli jesteście zamężną...

– Nie. Uważacie, że musi być taka kolejność?

Spojrzał na nią.

– Wielu ludzi oczywiście tak nie myśli – powiedział.

Przyglądała mu się, jakby rozważając, czy był to sarkazm, czy tylko odbił piłeczkę.

– A co z wami?

– Obawiam się, że zaślubiłem swą pracę. – Pomyślał nagle o Reedzie Kullervo, idącym wraz z nim przez park na Numerze Czwartym. Zaślubiłeś swą pracę? – zapytał go wtedy.

– Tak jak ja. – Uśmiechnęła się, nie przestając na niego patrzeć. – Ale nie monogamicznie...

– Netanyahr-kadda – mruknął – czy kiedykolwiek rozważaliście...

– Tak?

– Rozważaliście... rozważaliście pokazanie samej, czego jest w stanie dokonać wasza wyobraźnia? – dokończył, skinienie w stronę dziedzińca wykorzystał jako okazję do odwrócenia oczu; czuł się jak człowiek, który o włos uniknął wejścia na lotne piaski.

Jej twarz straciła cały wyraz. Wykręciła dłonie przyciskane mocno do ud.

– Jeśli tego pragniecie, Gundhalinu – sathra.

– Bardzo bym pragnął – powiedział słabo. Czuł dziwne oszołomienie, jakby wypił zbyt wiele, a tego nie uczynił.

Tym razem to ona prowadziła, wróciła na widownię i wzięła podany jej czepec, nałożyła go bez wahania. To, co potem czyniła z czułą, lśniąca chmurą materii wydostającej się z rzeźbionej skrzyni, sprawiło, iż był niewymownie rad ze swego okazanego dwie minuty wcześniej tchórzostwa.

A dużo później tegoż wieczoru, gdy przyjęcie dobiegło końca i położył się do łóżka, poczuł bolesny żal. Resztkę nocy spędził bezsennie w obcym mu pokoju. Zasnął dopiero po nastaniu świtu. Obudził się późnym rankiem z mokrą plamą na nocnej koszuli, wiedział, że tym razem nie prześladował go stary sen, ten sam co zawsze...

Przypomniał sobie, że ma się tego dnia spotkać z KR Aspundthem; że za parę godzin będą rozmawiać o Tiamat. Poczuł nagłą, ogromną potrzebę rozmawiania z kimś o tej planecie.

KHAREMOUGH: Posiadłość Aspundth

Przed drzwiami frontowymi KR Aspundtha Gundhalinu zjawił się samotnie i dokładnie o czasie. Kwitnące pnącza spływały z dachu dworu, z wystudiowanym smakiem wtopionym w pagórkowaty krajobraz. Aspundth powitał go osobiście. Srebrna koniczynka odcinała się wyraźnie od jego ciemnej, wyszywanej srebrną nicią szaty. Krótki tajny gest dłoni podczas uprzejmego powitania powiedział Gundhalinu, iż jest tu przyjęty jako obcy z dala od domu.

– Dobrze, żeście przyjechali – mruknął Aspundth i wskazał na wnętrze domu.

Gundhalinu z trudem powściągnął pośpiech swych kroków i dostosował się do chodu starszego gospodarza, zmusił do podziwiania artystycznego ustawienia świateł, gry cieni na ścianach, łagodnych wzorach dywanu, widzianych podczas ciągnącej się w nieskończoność wędrówki przez dom.

– Mieszkacie samotnie? – zapytał.

– Tak, jeśli nie liczyć pracowników. Oczywiście, odwiedzają mnie dzieci i wnuki. – Aspundth nie powiedział, czy jego żona umarła, czy po prostu odeszła. Gundhalinu pomyślał o swojej matce, archeologu z zawodu, która porzuciła rodzinę, gdy miał pięć lat. Po powrocie na planetę pomyślał, że teraz, gdy minęło już tyle lat i może być z niego dumna, powinien się z nią spotkać. Vhanu dowiedział się jednak, iż zmarła trzy lata przed jego przylotem. Archeologia klasyczna jako zajęcie na skali zagrożeń mieściła się między mikrochirurgią a lotnictwem bombowym. Ekipa badawcza matki odkopywała pewne wykorzystujące sprytmaterię urządzenia Starego Imperium i za późno odkryła, że znajdują się one w nie – bezpiecznie złym stanie. Doszło do katastrofy, która starła z powierzchni ziemi cały obóz i wszystko wokół. Nikt nie ocalał... Szedł w milczeniu, nagle nie był w stanie gawędzić.

Wreszcie dotarli do salonu o szerokich, ogromnych oknach z kolorowymi szybami, wychodzących na urządzone z wyjątkowym smakiem ogród. Aspundth usiadł na niskim miękkim fotelu obok inkrustowanego ametystami stołu, zastawionego już pokrytymi szronem szklankami i karafką. Na widok mebla i widoku za oknem Gundhalinu doznał nagle poczucia niepokojącego deja vu. Aspundth spojrzał na niego ciekawie, lecz nic nie powiedział.

– Miałem wrażenie, że już widziałem ten pokój. – Gundhalinu pokręcił głową, spróbował wzruszyć ramionami; ukradkiem wyciągnął rękę, badając realność skraju inkrustowanego stołu.

– To dziwne, prawda? – zauważył Aspundth z uśmiechem. – Wybrałem ten pokój, ponieważ zawsze przypomina mi o Tiamat. Gdy poprzednim razem siedziałem i rozmawiałam o tej planecie, było to właśnie tutaj.

– ...ogrody. Piliśmy lith i jedliśmy kandyzowane owoce... – W pamięci Gundhalinu rozbrzmiały te słowa. Uświadomił sobie, że Aspundth nadal patrzy na niego z wyczekiwaniem i nadzieją. Zdołał zadać pytanie: – Ludzie, z którymi rozmawialiście, KR... czy była wśród nich sybilla nazwiskiem Moon Dawntreader?

Aspundth dłuższą chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Gundhalinu pojął, iż nie jest pewny, czy powierzyć mu tajemnicę, którą łatwo można było uznać nie tylko za hańbiącą, ale i zdradziecką.

– Tak – powiedział wreszcie.

Gundhalinu usiadł za stołem, nagle zawiodły go kolana.

– Bogowie... – mruknął. Podniósł głowę, spojrzał w czujne oczy starego człowieka. – Przeprowadzili ją do was przemytnicy techniki. Moon opisała mi ten pokój – każdy jego szczegół. Powiedziała, co piliście, nawet to, że przed waszym wejściem zobaczyli na trójwymiarze, jak stary Singalu został wyniesiony na Technika. – Oczy Aspundtha rozblęły, lecz się nie odezwał. –

Zachodziłem w głowę, czemu, w imię tysiąca przodków, czcigodny KR Aspundth miałby zaprosić na herbatę przemytników techniki... – roześmiał się – a tym bardziej popełnić zdradę i pomóc poszukiwanej sybilli w powrocie na Tiamat, gdzie mogłaby przekazać swym rodakom prawdę o tym, jak ich traktujemy. – Pochylił się naprzód. – Wiedzieliście – powiedział miękko – że musi wrócić. Prawda?

Aspundth dotknął oznaki koniczynki; jego twarz zachmurzyła się od winy i wspomnień.

– Powiedziałem jej, iż muszę ulec wyższej władzy. Twierdziła, że otrzymała posłanie od sieci sybilli. Nosila koniczynkę – to czyniło ją obcą z dala od domu, mającą prawo odwoływania się do wyższej instancji, choć ona sama o tym nie wiedziała. – Znowu uniósł wzrok. – Wiecie, kim została. – To nie było pytanie.

– Jest Królową Tiamat.

Aspundth zeszywniał; powoli pokręcił głową.

– A więc to prawda. Gundhalinu przytaknął.

– A co wy macie wspólnego z tym wszystkim i z nią samą, BZ Gundhalinu? Pamiętam was jako chłopca. Nigdy bym się po was nie spodziewał, że... – przerwał, jakby zrozumiał, jak to brzmi.

Gundhalinu uśmiechnął się smętnie.

– Ani ja... przed spotkaniem z Moon. Byłem wtedy inspektorem Policji, wzięła mnie do niewoli ścigana przez nas banda koczowniczych rabusiów. Traktowali mnie... źle. Czułem... próbowałem popełnić samobójstwo, zgodnie z honorem mojej rodziny... ale mi się nie udało. – Wytrzymał spojrzenie Aspundtha, zdradzając mu własny bolesny sekret. – Porwali także Moon, gdy zdążyła do Krwawnika po powrocie stąd. Przed spotkaniem z nią porzuciłem już wszelkie nadzieje ratunku... czekającej mnie jakiegokolwiek przyszłości. Dzięki niej ujrzałem me życie jako tajemny dar, a nie zbrukaną szmatę nadającą się tylko do wyrzucenia. Uciekliśmy razem. A potem, po dotarciu do miasta, pomogłem jej znaleźć jej... pomogłem jej zostać Królową. Mogłem – powinienem był – ją arestować. Wiedziałem, gdzie była, kim jest, co to oznacza... pewnie lepiej niż wy. Ale nie mogłem postąpić inaczej...

– Bo oboje nosiliście to? – Aspundth zapytał łagodnie, wskazując na swą koniczynkę.

Gundhalinu pokręcił głową.

– Wtedy nie byłem jeszcze sybilla. Postąpiłem tak, bo zostałem jej kochankiem. – Opuścił wzrok, unikając widoku miny, którą przybrała twarz Aspundtha po zrozumieniu tego wyznania.

– Rozumiem – powiedział gospodarz, choć tak nie było. Gundhalinu wpatrywał się w oczekiwaniu we własne ręce, zastanawiał się, czy dobrze zrobił, przychodząc tutaj. Po chwili Aspundth westchnął. – Teraz nosicie ten znak i jesteście tym samym człowiekiem, co wówczas. Gdybyście jej nie pomogli, nie zostałaby Królową.. Gdybym ja jej nie pomógł, a ona wam, nie żylibyście już lub na zawsze zostali na Tiamat. Stało się inaczej, dzięki czemu zdobyliście ważną pozycję wśród swoich i zwróciliście nam gwiazdy. Któż więc może rozstrzygnąć, czy pomagając jej, dopuściliśmy się obaj zdrady, czy aktu głęboko patriotycznego? Gundhalinu znowu podniósł wzrok uśmiechnął się.

– Dziękuję, Aspundth-ken.

– Dziękuję wam, Gundhalinu-kenie. Za to, że po tylu latach dowiedziałem się wreszcie, iż choć raz w Wielkiej Grze wygrane przewyższyły przegrane. – Pokręcił głową, opuścił ją. – Konflikt między lojalnością wobec własnego narodu a wobec Przeglądu często był dla mnie trudny do zniesienia. Ostatnio patrzę na to bardziej filozoficznie, wynika to z większej – wnikliwości albo po prostu wieku. Zmieniłem poglądy na cel Gry. Mimo to dobrze jest wiedzieć... Powiedzcie mi, czy to prawda, że chcecie wrócić na Tiamat?

Gundhalinu przytaknął.

– Tak. Jestem zdecydowany udać się tam po przywróceniu łączności, najlepiej jako nowy Główny Sędzia.

Aspundth powstrzymał skrzywienie ust.

– Dlaczego?

– Bo jestem odpowiedzialny za los, jaki spotkał ten świat i jego mieszkańców... nie spotka ich żadna niesprawiedliwość, dopóki będę w stanie temu zapobiec.

– To bardzo trudne zadanie dla jednego człowieka – zauważył Aspundth łagodnie. – Skąd macie pewność, że mu podółacie?

– Mam uszy. Frakcjom nalegającym na szybki powrót na Tiamat chodzi tylko o jedno – wodę życia. Nawet tacy politycy jak Gelvasthan czy Pernatte uważają Tiamat za planetę zacofaną i barbarzyńską, o niewielkich bogactwach, nie wartą większego zachodu. Nikt więcej się nią nie przejmuje – ludzie mają dużo większe kłopoty na głowie. Ich krótkowzroczność zniweczy wszelki postęp dokonany pod przewodnictwem Królowej Lata, ponieważ Hegemonia nie pozwoli Tiamatańczykom sprzeciwić się ich wyzyskowi, jak zresztą robiła to zawsze.

Aspundth przytaknął.

– Zaczynam rozumieć wasze stanowisko. Czy przedstawiliście tę sprawę na spotkaniu Przeglądu?

Gundhalinu pokręcił głową.

– Ciągle się waham. Wiem, co muszę zrobić, ale, jak sami powiedzieliście, wybór między lojalnością wobec własnego narodu a wobec tego, co uważamy za wyższe dobro, może się okazać... zdradziecki i bolesny. I to nie tylko dla was czy dla mnie. Nie wiem nawet, w jaką stronę kręcą się koła wewnątrz kół, których istnienia domyślałam się w tutejszym Złotym Środku.

– A więc frakcje, o których mówiliście, nie ograniczają się do gmachów rządu Hegemonii.

– Nie.

– Wobec tego rośnie me uznanie dla waszego rozumu. – Aspundth uśmiechnął się nieznacznie. – Rzeczywiście, istnieją koła wewnątrz kół, wynikają z wielości sprzecznych z sobą opinii na temat najlepszego prowadzenia Gry. W tej sprawie chyba zdołam wam pomóc...

Gundhalinu potarł oczy, opadł na poduszki.

– Bogowie, tak bardzo jestem zmęczony rozplątywaniem tego wszystkiego. – Spojrzał na własne dłonie. – Tak długo dusiłem to w sobie, nie było nikogo, komu mogłem zaufać. Niekiedy odnosiłem nawet wrażenie, iż oszukuję samego siebie, zastanawiałem się, czy nie kłamię, szalejąc z pożądania władzy, wmawiając przy tym sobie, iż wiem, co jest najlepsze dla wszystkich innych; tak właśnie sądzą wszyscy inni manipulatorzy...

– Nie trąpcie się tym, sybillo, dla mnie mówicie jak ktoś całkowicie zdrów na umyśle – powiedział Aspundth. Gundhalinu spojrział na niego z wdzięcznością. – Powiedzcie mi jednak – skąd mieliście pewność, iż możecie mi zaufać i zdradzić swe bolesne tajemnice? Nie sądzę, bym cieszył się ogólną opinią człowieka najbardziej spośród wszystkich wyrozumiałego czy potrafiącego zrozumieć innych.

– Moon. – Gundhalinu wzruszył ramionami i przelotnie uśmiechnął. – To wystarczyło.

Aspundth przytaknął, nadal wyglądał na zasepionego.

– Przy okazji – powiedział po dłuższej przerwie – czy wiecie, co się stało z przemytnikami techniki, którzy sprowadzili ją tutaj i odwieźli? – Zawahał się. – Była wśród nich moja bratowa.

Gundhalinu na widok miny Aspundtha powstrzymał zdumiony śmiech. Przypomniał sobie, że KR odziedziczył tę posiadłość po pozbawionym honoru starszym bracie, wyzutym z pozycji po jakimś

skandalu.

– Policja wykryła i zestrzeliła ich statek. Moon powiedziała, że kobieta nazwiskiem Elsevier zginęła podczas katastrofy.

Aspundth skrzywił się i odwrócił twarz.

– Przykro mi – mruknął Gundhalinu, nie zastanawiając się już, dlaczego KR Aspundth zaprosił przemytników techniki na podwieczorek, choć nadal nie wiedział, jak sam mógł przez tyle lat wierzyć, iż wszyscy ludzie prowadzą takie dokładnie życie, jakiego doskonały obraz ukazują na zewnątrz.

– Koniec długiej historii – westchnął Aspundth. Gundhalinu dostrzegł, jak pogłębiły się zmarszczki na ponownie zwróconej ku niemu twarzy. – A skoro już mówimy o sprawach nie zakończonych – co z wami i z Moon? Czemu czujecie się tak bardzo odpowiedzialni za jej los i świat? Nadal ją kochacie?

– Tak. – Gundhalinu zacisnął w pięści spoczywające na blacie stołu ręce. – To znaczy, tak sądzę... Na bogów, to już niemal dziewięć lat – a dla niej szesnaście. Ponadto wyszła za innego mężczyznę. – Głos mu się załamał. – Widziałem ją raz, w Przekazie; rozmawiałem z nią. Powiedziała, że mnie potrzebuje... – poczuł, że się rumieni.

– Potrzebuje, wynika to z waszych słów – powiedział łagodnie Aspundth. – Ale tak naprawdę, to chcecie wiedzieć, czy nadal was pragnie. Nie zaprzeczycie?

Gundhalinu pokręcił głową, nagła tęsknota ścisnęła mu gardło.

– A jeśli okaże się, iż tak nie jest?

Gundhalinu odetchnął głęboko.

– Jak powiedzieliście... przynajmniej mnie potrzebuje. – Skrzywił usta.

– Czy wie o waszym odkryciu? O tym, że wróćcie – jak i Hegemonia, tym razem na dobrze?

– Nie. – Znowu spuścił wzrok. – Wpierw... chciałem się upewnić, że tak będzie, nim... nim... – urwał. – Nie miałem też... pośrednika, któremu mógłbym zaufać... – innej sybilli, by utworzyć razem trójkąt konieczny do nawiązania połączenia bezpośredniego.

– Różne – mruknął Aspundth, jakby jego gość nie zmienił się nagle w zaślinionego głupka.

– Chyba go znalazłem. – Gundhalinu napiął głos, spojrzał w mierzące go oczy Aspundtha. – Czyż tak?

Gospodarz uśmiechnął się, w jego wzroku pojawiło się coś w rodzaju sympatii.

– A więc może nie należy zwlekać z zawiadomieniem jej. Gundhalinu oniemiał ze zdziwienia.

– Chcecie – teraz?

Aspundth przytaknął.

– Jesteście gotowi? Pytaj, a odpowiem.

Gundhalinu zdławił niewiarę i kiwnął głową, zrozumiał, że już od lat czeka na ten moment, powtarzając sobie ciągle, co jej powie, jak to uczyni, by zrozumiała. Zaczął wymawiać słowa, jakie zapoczątkują wzajemny Przekaz, otworzą linię łączności, która w końcu da Moon i jemu swobodę pytania i odpowiadania...

TIAMAT: Krwawnik

Moon rozpoczęła upadek, została wciągnięta przez nieodpartą, wprawiającą o zawrót głowy spiralę Przekazu; wzięto ją znienacka, bo nie otrzymała żadnego pytania. Została wezwana – przez kogoś, skądś. Przestała widzieć pokój i otaczające ją twarze, rzeczywistość zaczęła w niej wirować; spadała w beczasową chwilę, oczekiwała na uchwycenie przez rzeczywistość kogoś innego, spojrzenia oczami sybilli na jakiś inny świat...

Ale tym razem pozostała w mroku. Wisiała w nim, bezkształtna niby embrion. Czekala, spokojnie, bo spotkało to ją już wiele razy, w miejscu zwanym przez sybille Nicością, będącym, jak dowiedziała się od pozaziemców, pozbawionym życia sercem komputera sybilli... Nigdy jednak nie wezwano jej w taki sposób; zawsze odpowiadała na czyjeś bezpośrednie pytanie.

Jej zmieszanie zaczęło przechodzić w niepokój, z każdą niemożliwą do wymierzenia sekundą rósł strach. Umysł sybilli już przedtem dotykał jej, szeptał swą wolę w jej umysł – pobudzał do osiągnięcia jego celów – ale nigdy tak jak teraz. Wiodący ją głos rozlewał się w podświadomości, zostawiając wrażenie słuszności, obrazy i bodźce do czynienia tego, co wypływało z jej własnych myśli, aż w swych najgorszych chwilach zastanawiała się, czy pochodzą od niej. Nigdy nie wezwał jej tutaj...

(Moon...) Pustkę przeszło jej śpiewane imię, nagle została objęta złotym wiatrem, uniesiona poza serce braku. Zamigotała w nieskończonym spektrum odczuć wybuchłych we wszystkich jej nie istniejących końcówkach nerwów, zanurzyła się w rozedrganej symfonii światła.

(Moon...?) Wypełnił ją obraz własnego imienia, patrzyła, jak znowu przekształca się w mrok, przejrzysta muzyka powtarzała je falami echa, nikła, nikła, nikła...

(Tutaj...) Spróbowała odpowiedzieć, słabnięcie odczuć skłoniło ją do nagłego pośpiechu; patrzyła, jak jej własna myśl wypełniła rozblaskiem światła niewypowiedzianą pustkę.

(Moon...) Jeszcze raz dotknęła ją odczuwalna pieśń jej imienia, tym razem pieściła w niemożliwy sposób, gładziła łagodnie niby ręka kochanka. Wypełniła ją niemożliwa, nieprawdopodobna tęsknota, a wraz z nią obawa. (Kto... Co? Czego chcesz?)

(Moon, tu BZ. BZ Gundhalinu...) Wyczuła dziwne, nieznaczące wahanie, jakby głos sądził, iż mogła zapomnieć to imię, nie pamiętać nawet, iż znała kiedyś noszącego je człowieka.

(BZ...) Jej zdumienie zalało jasnymi falami ciemność i milczenie, przykryło promieniującą muzykę jego słów. (BZ. Jak? Gdzie jesteś... jesteśmy... ?) Nie rozumiała, czemu nie może go widzieć, nie pojmowała, w jaki sposób swobodnie mówi.

(W Przekazie. Szczególnym rodzaju Przekazu.)

(Jesteś w Nicości? Czuję cię...) Poczula, że jest unoszona, dźwigana, wypychana przez światło, doznania, zrozumienie... Pojęła w tej chwili, że lata nie osłabiły w niej potrzeby poznania jego losu ani pamięci o ofierze, jaką złożył dla niej w imię miłości. O wszystkim, co dzielili razem, tak krótko, tak dawno temu...

(Nie wiem na pewno, gdzie jesteśmy... Też to czuję, ale zupełnie nie potrafię opisać. Moon, muszę...) Ciemność – jasność, dźwięk jego nagłego milczenia uderzył w jej świadomość.

(BZ?) Zawołała jego imię. (Och, BZ, marzyłam kiedyś, byś tak do mnie przemówił. Czy śniłam? Czy to sen?)

(Nie) odpowiedział łagodnie, słowo to dotknęło ją niby westchnienie.

(Czemu więc nie zrobiłeś tego wcześniej... przedtem... skoro potrafisz panować nad Przekazem? Chciałam...) Urwała, gdy promienie nagłej tęsknoty rozgrzały ją niby wstające słońce morze.

(Chciałaś...?) szepnął. Cień jego milczenia ponownie wydłużył się na wodach jej myśli. (Nie mogłem) odpowiedział wreszcie. (Nie mogłem, bo nie byłem pewien... że tego chcesz; że warto mi męczyć siebie lub nas oboje, skoro nigdy nie nadejdzie przyszłość, w której moglibyśmy się ze sobą spotkać.)

Wchłaniała promienie jego słów, jej podwójny wzrok przenikał do ich głębszego znaczenia. (Czyżbyś chciał powiedzieć... że możemy?)

(Tak.)

(Jak...?) Poczowała, jak ogień obejmuje coś w niej, spalają gryzącym bólem, w którym było równie wiele strachu, co zdumienia, równie wiele pragnienia, co lęku. (To wykluczone. Nie może się ziścić...)

(Teraz już może. Wkrótce stanie się rzeczywiste. Moon, po rozmowie z tobą w Przekazie, nad Ognistym Jeziorem – odkryłem, że Jezioro tworzy plazma napędu gwiazdowego. Przyniosłem ją Hegemonii. Jestem teraz na Kharemough. Budują tu statki gwiazdne.)

Tkwiający w niej palący ból przeszedł nagle w strach tak zimny i bezlitosny jak polarny lód. (Hegemonia wraca na Tiamat?)

(Tak.) Jedno słowo, wyłaniające się z blasku niby miecz.

(Wkrótce...?) Ledwo zdołała o to zapytać.

(Gdy tylko będą mogli. Nadzoruję prace konstrukcyjne. Oceniam, że ponowne nawiązanie łączności nastąpi za jakieś trzy, cztery lata.)

(A ty – pomagasz to urzeczywistnić? Dlaczego... ?) zapytała, jej niewiara zmieniła postać. (Czemu mi o tym mówisz? Żeby mnie przestraszyć? Bo zmieniłeś zdanie co do prawa Tiamat do własnej przyszłości?)

(Nie! Bo... Do licha, nie wiem, jak to...) Jego głos zawirował w mroku. (Moon, gdybym mógł ujrzeć twą twarz! Pamiętasz, co powiedziałem, gdy nad Ognistym Jeziorem wezwałem cię w Przekazie? Co... czułem, sądząc, że nigdy już cienie zobaczę?)

(Tak.)

(To się nie zmieniło... to tego nie zmieniło. Po odkryciu prawdy o Ognistym Jeziorze zrozumiałem, że nie mogę zachować jej w sekrecie. Wiedziałem, że plazma napędu gwiazdowego musi być zwrócona Hegemonii, zapewnić jej przyszłość. Wiedziałem też... pojąłem, że dzięki niej zdołam się znowu z tobą spotkać. Ale i zdawałem sobie sprawę, co to oznacza dla Tiamat. A ponieważ będę za to odpowiedzialny, winny ci jestem dług, który zdołam spłacić w jeden tylko sposób. Wrócę z Hegemonią, postaram się mieć wówczas władzę. Po to, by stanąć między twoim narodem a moim, dopilnować, byśmy was nie zniszczyli. Nie wiedziałem... nie mogłem wiedzieć... czy ciągle chcesz się ze mną spotkać, minęło tyle czasu...)

(Ja...) zaczęła, lecz nie wiedziała, co ma odpowiedzieć; czuła się porwana słowami jak wirem, wyrwana z miejsca, pozbawiona schronienia.

(W porządku – nie musisz odpowiadać.) Jakby zapewniając siebie, powtórzył: (W porządku... Nie przybywam, by się tobie narzucać. Wierzę w słuszność tego, co czynisz dla swego świata, nie zamierzam tego niszczyć. Ale będziemy musieli z sobą współpracować, inaczej nie pomożemy Tiamat. To dlatego ostrzegam cię teraz – nie żeby cię straszyć, lecz dać czas na przygotowanie. Również z tego powodu nie skontaktowałem się z tobą wcześniej... dopiero teraz jestem całkowicie pewny, że wszystko się uda, przedtem wątpiłem, czy wszystko potoczy się tak, jak pragnąłem.)

(A teraz nie masz już żadnych wątpliwości...?)

(Wiem, że Hegemonia pragnie odzyskać Tiamat; chce wody życia. Nie jestem jeszcze pewny, jak wysoko zdołam się do tego czasu wspiąć. Mam jednak spore szansę. Liczę, że powrócę tu jako

Główny Sędzia.)

Milczała, przepelniona jaskrawym hałasem, przyszłością, jaką jego słowa wymalowały wewnątrz otaczającego ich widmowego więzienia światła.

(Moon...?) Gdy nie odpowiadała, znowu zawołał jej imię, padło miękko jak deszcz. (Ciągłe jesteś Królową? Byłaś nią cały ten Czas? Czy dokonałaś tego, co zamierzałaś – pokazałaś swemu ludowi prawdę i zaczęłaś jego przekształcanie?)

(Tak...) mruknęła, zrozumienie wzbierało w niej, napierało falami ślepej powodzi. Wszystko, czego dokonała dla stworzenia na Tiamat nowej, niezależnej bazy technicznej, wszystko to okazało się daremne. Wierzyła, iż planeta ma przed sobą stulecie, w ciągu którego osiągnie taki poziom rozwoju, że będzie zdolna do obronienia przed Hegemonią siebie i merów. Tyle już osiągnęli... ale o wiele za mało. Nawet gdyby wiedziała o tym od początku, i tak zabrakłoby jej czasu. Postawiła sobie niewykonalne zadanie... daremne od samego początku. Hegemonia nadejdzie i zacznie w ślepej żądzy pogrom merów. (Ale dlaczego...?) zapytała umysł sybilli, niewidzialne Inne, które musiało ich zewsząd otaczać. (Czemu to rozpoczęłam, skoro nigdy nie miałam dość czasu na dokończenie...?)

(Nadal przecież jesteś Królową. A ja będę Głównym Sędzią) odpowiedział jej BZ, jego słowa przypominały światło spadających gwiazd. (Ufaj temu, co już zrobiłaś, ufaj mi. Wierzę teraz w to, w co zawsze wierzyłaś, że stoi za tym jakaś przyczyna, że nasze życie ma jakiś cel. Nie oznacza to, że zwyciężymy, ale że mamy szansę... Moon, gdy opuszczałem Tiamat, zdawało mi się, że jestem cną uchwyconą przez płomień. Od tego czasu tylko dlatego zaszedłem tak daleko, podążając ścieżkami dziwniejszymi, niż mogłem wyśnić, że coś nas łączyło...)

(Tak) pomyślała czując, jak czyste niebo nagle rozjaśnia jej duszę. (Tak, ze mną jest tak samo. Niczego bym nie dokonała, przez wszystkie te lata, gdybym nie robiła tego dla ciebie... I bez ciebie wszystko skończy się niczym.)

(Ciągłe... jesteś ze Sparksem?)

(Tak) powtórzyła i zapadło mroczne milczenie. (BZ, nie wiesz jednego) ciągnęła, wymuszając światło (o Tiamat, o merach. Czegoś znacznie ważniejszego niż ty czy ja, znaczącego o wiele więcej, niż możesz sobie wyobrażać. Mery są rozumne.)

(Co?) mruknął. (Nie... jak to możliwe?)

(Hegemonia wiedziała o tym – musiała wiedzieć na jakimś poziomie, ponieważ tę prawdę znają sybille. Hegemonia od wieków wyrzyna inteligentny gatunek.)

(Ależ to bez sensu...) zaprotestował. (Mery są owocem eksperymentu dokonanego przez Stare Imperium; to tylko zwierzęta. Niemożliwe, żeby Hegemonia świadomie...)

(Zapytaj, a się przekonasz.)

(Ale dlaczego? Po co obdarzać mery inteligencją, a potem porzucać je na takim zagubionym świecie jak Tiamat? Jakież cel mógłby się za tym kryć?)

(Najważniejszy z możliwych do wyobrażenia sobie celów, BZ, który zostanie zaprzepaszczone, zniszczony, jeśli pozwoli się Hegemonii znowu zabijać mery. Bo... bo one...) Uświadomiła sobie, że lśniąca muzyka światła zaczyna przygasać, że fale płynnych dźwięków załamują się w szum, zmieniają w napływ gwałtownych, migoczących, geometrycznych wzorów zagubionego obrazu. (BZ...)

(Tracę cię... Kończy się...)

(BZ... mery, zapytaj... BZ...) Odpowiedziało jej tylko milczenie, poczuła, jak znowu spada, wraca przez obwody nocy...

Wracając do rzeczywistości, wiedziała, że będzie zaciskać krawędź zimnego marmurowego

stołu, że niby owada oślepi ją sztuczne światło gabinetu. Stopniowo odzyskiwała wzrok, wreszcie dostrzegła zatroskaną twarz męża, przyglądającego się jej poprzez zasłane papierami biurko.

– Moon? – mruknął Sparks. – Dobrze się czujesz?

Przytaknęła, pochylając się do przodu, oparła głowę na dłoniach.

– Tak.

– Przekaz? – zapytał z rzeczowością tonu nie popartą całkowicie przez jego minę.

Kiwnęła głową, uniosła ją znowu, gdy zaczęła odzyskiwać siły. Pobyt w bezimiennym gdzie indziej wyczerpał ją bardziej niż zwykły Przekaz. Pomyślała, że połączenie mogło zostać przerwane, bo ich ciała – lub psychiki – znalazły się już na krawędzi wytrzymałości.

– Jak długo – to trwało?

Sparks zrobił niepewną minę.

– Jakies pięć minut.

Poczuła przelotne zwątpienie.

– Tak krótko? Czy coś mówiłam?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nie. Przypominało to trans. Ani razu się nie poruszyłaś. – Przez jego twarz przemknęło coś podpowiadającego, że czekanie nie było dlań łatwe.

Moon przez chwilę siedziała w milczeniu, w tym czasie ściągając do świadomości wszystko, czego doświadczyła i doznała.

– Sparks, wezwał mnie BZ Gundhalinu – szepnęła.

– Kto? – zapytał ze zdumieniem. Po chwili jego twarz zmieniła wyraz. – On – oznajmił dziwnie bezbarwnym głosem. – Czemu... ?

– Powiedział mi, że Hegemonia odnalazła źródło plazmy napędu gwiazdowego – odpowiedziała słowami padającymi między nimi jak kamienie. Wstała, naraz poczuła zbyt wielki niepokój, by dalej siedzieć.

– Co? – Sparks wybuchnął śmiechem, nie uwierzył w nowinę. – To niemożliwe. W promieniu tysiąca lat świetlnych nie ma źródeł plazmy napędu gwiazdowego...

– Powiedział, że wypełnia Ogniste Jezioro.

– Ogniste Jezioro? Słyszałem o nim. Ale to... – Potrząsnął głową, znowu spojrzał na żonę. – To prawda?

Moon kiwnęła przytaknęła, splotła ręce na brzuchu.

– Hegemonia buduje statki gwiazdowe.

Wzdrygnął się jak dźgnięty.

– Mogą więc tu wrócić.

– Tak.

– Kiedy?

Opuściła ręce.

– Uważa, że najpóźniej za trzy, cztery lata.

– Trzy, cztery lata...? – Jego twarz wypełnił taki sam uparty brak wiary, jaki przed paroma chwilami rozrywał sam środek jej duszy. Ciągłe się w nią wpatrywał, lecz jego oczy długi czas zdawały się niczego nie dostrzegać. – Myślałem, że jesteśmy bezpieczni. – Odwrócił wzrok.

Myślałem, że jesteśmy bezpieczni. Moon spojrzała na swe dłonie, zobaczyła, jak zbieleły ściskają skraj zarzuconego rzeczami stołu.

– Dowiedziałaś się tego wszystkiego w Przekazie? – Spojrzał na nią wreszcie, miał chmurną minę. – Od samego Gundhalinu?

– Tak. – Moon usiadła na swym miejscu, odgarnęła znad oczu pasmo włosów. – Było inaczej niż zawsze dotąd. Wydawało mi się, że zostałam wciągnięta do Nicości – do umysłu samego komputera. A jednak on też tam był, nie fizycznie, lecz jako... duch. Mogliśmy swobodnie rozmawiać...

Ciągle zachmurzony pokręcił głową.

– Jesteś pewna, że to był on?

A nie umyśl sybilli. ~ Sieć nigdy tak do mnie nie przemawiała... Nie odezwała się ani razu, odkąd zostałam Królową. – Usłyszała, że zabrzmiało to niemal żałościwie. Uniosła wzrok, spojrzała na jego mroczną, zdumioną twarz. – Jestem pewna, że to on. – Obserwując męża, opowiedziała mu resztę przekazu, teraz ona czuła się obserwowana. – ...Powiedział, że zamierza z nimi wrócić. Jako nowy Główny Sędzia.

Sparks popatrzył na nią, całe ciało zeszywniało mu nagle.

– Czemu? – zapytał wreszcie.

Moon opuściła oczy.

– Chce nam pomóc. Czuje się odpowiedzialny za to, co uczynił Tiamat, umożliwiając Hegemonii powrót tutaj.

– Czemu? – Sparks zapytał ponownie, ostro.

Uniosła głowę.

– Powiedział... powiedział, że nadal mnie kocha.

Sparks wciągnął z sykiem powietrze, nie zadał pytania, które Moon dostrzegła w jego oczach.

Nie odpowiedziała na nie. Spojrzała w bok, dostrzegła odbijającą się w ściennym lustrze własną twarz. Zobaczyła w nim inną kobietę, zachowaną w pamięci – posiadającą twarz młodej dziewczyny. Nie była nawet pewna, czy to oblicze jej, czy Arienrhod... Odwróciła wzrok.

– Potrzebujemy jego pomocy – mruknęła. – Tiamat potrzebuje. Wiesz, co to oznacza. Hegemonia zechce stale panować nad Tiamat. Nie będziemy mogli temu zapobiec.

– Wiem – odparł napiętym głosem. – Woda życia... zapragną jej. I wezmą, jeśli będą mogli. – Zacisnął szczęki. – Nie sądzę, by nawet Gundhalinu zdołał temu przeszkodzić.

– Powiedziałam mu prawdę o merach. Że są rozumne. – Splotła palcami złożone na blacie dłonie, zacisnęła. – Nie wiem, czy mi uwierzył... Ale ta informacja jest dostępna dla każdego, kto tkwi w sieci sybilli. Jeśli zdoła przekazać ją Hegemonii...

– Nie zdoła – rzucił Sparks gniewnie. – Na Oczy Pani, Moon – oni nie chcą wiedzieć! – Głos mu stwardniał. – Pragnących wody życia obchodzi tylko to, co zdołają dzięki niej uzyskać, nic więcej. Nie muszą się przejmować – mają władzę. Cierpienia innych nic dla nich nie znaczą, jedynie własne. A mery to nawet nie ludzie. Mówisz o panach Hegemonii, nikogo nie wysłuchają.

Moon wstała, patrzyła na własne odbicie na ścianie.

– Tym razem wysłuchają. – Dotknęła koniczynki kołyszącej się na jej lnianej koszuli. – Bo jest coś jeszcze. Nie chodzi tylko o niemoralność popełniania ludobójstwa na innym gatunku rozumnym, lecz o podstawowy interes własny. – Odwróciła się do męża, nachyliła nad stołem. – Bo mery są najważniejsze. Muszą przetrwać, bo inaczej... bo... – Coś się stało z jej oczami, jakby były za nimi ogromne, ciemne skrzydła, splątujące w chaos jej myśli, wstrzymujące słowa w gardle.

– Są... są... – Odepchnęła się od stołu, opadła na fotel.

– Moon...? – Sparks wyciągnął do niej rękę.

– Nie... nie mogę... – Zadrżała, jakby coś wewnątrz niej wpadło na twardy mur. – Nie mogę... ci powiedzieć. Nie mogę... nikomu. – Pokręciła głową. Zaczęła jaśniej myśleć, czarne skrzydła zwiły się powoli, gdy poddała się umysłowi sybilli, jego przymusowi. Opanował ją, ujął w karby.

Że Krwawnik jest osią mapy. Że tu właśnie znajduje się komputer – tajemne serce, skryty umysł sieci sybilli. Nikt nigdy nie zostanie dopuszczony do poznania jego sekretnej siedziby, zdradziłby wtedy swe słabe miejsce, wraz z tajemnicą straciłby sens swego istnienia. Nie mógł ufać ludziom, dla służby którym został stworzony. Dlatego Moon nie była w stanie zdradzić, że znajduje się tutaj ani przyczyny istnienia merów, choć ratując je, komputer ratował siebie.

Wybrał ją do tego zadania... ale nagle zrozumiała, że nawet jej nie ufa całkowicie. Nie wolno jej nikomu zdradzić posiadanej tajemnicy, mimo iż jest to konieczne do powodzenia misji, ocalenia merów i samej sieci. Musi znaleźć sposób uratowania komputera bez zawiadomienia przeciwnika o jedynej rzeczy, która mogłaby skłonić go do kompromisu. Bo nigdy nie będzie mogła powiedzieć dlaczego.

Odwróciła się od zmieszanego Sparksa, bezgłośnie, z wielką troską wypowiadającego jej imię, i nic nie mówiąc, wyszła z pokoju.

TIAMAT: Dworzyszczce Goodventure

Mały trimaran kierował się w stronę nabrzeża z taktownie wyłączonymi silnikami. Moon Dawntreader wyszła na brukowaną kamieniami powierzchnię. Ubrana była jak letniacki żeglarz, w strój z grubej wełny i skór klee, włosy spłotła w warkocze. Zawiązała przednią cumę wokół metalowego pachołka kryjącego się w chłodnym cieniu urwiska i odwróciła, zmarznięte dłonie wspierając na biodrach, by rozejrzeć się wokół.

Nie zauważyła nikogo ani na pomoście, ani na starych schodach z burego piaskowca, wspinających się zakosami po zboczu i prowadzących do osady na górze. Niektóre stopnie pokrywały białawe plamy niedawnego naprawiania. Przywiązany do liny kołowrotu kosz, służący do wciągania połowu i innych towarów, stał pusty na kamieniach. Wyżej, o dzień drogi na północ od Krwawnika, leżała ziemia rodu Goodventure. W Pełni Zimy była całkowicie niedostępna, skryta pod powłoką śniegu, odradzała się z nastaniem wiosny; Moon dostrzegła wystającą poza krawędź urwiska świeżą zielen traw, odcinającą się w słonecznym blasku od niezwyklego, nieskalanego błękitu nieba. Śpiące pod śniegiem nasiona nie zamarły, nie czekały na próżno... Widok zieleni górującej nad jasnym, pustym brzegiem stanowił testament wiary i zmiany.

Moon odetchnęła głęboko i ponownie rozejrzała. W przystani tłoczyło się trzydzieści czy czterdzieści innych łodzi, podskakiwały na falach, tkwiły przywiązane do nabrzeża lub leżały na rozciągającej się pod urwiskiem wąskiej kamienistej plaży. Jako jedna z ostatnich przybyła na trzydniowe święto. Znalezienie miejsca do cumowania nie zawdzięczała opiece Pani, czekało zarezerwowane dla niej, Królowej Lata.

Tradycja kazała jej wraz z innymi kierować corocznymi obrzędami. Ponieważ była Królową, winny się one odbyć na dziedzicznych ziemiach Dawntreaderów, ale tworzyli oni niewielki ród, rozsiany na dalekich wyspach Lata. Tu, na północy, nie mieli nawet żadnego dworzyszczca, ale jak zawsze zamieszkali wśród innych klanów Letniaków. Ponadto z upływem lat coraz bardziej zaniedbywała swe tradycyjne obowiązki; nie miała na nie czasu, zbyt będąc zajęta sprzeciwianiem się własnemu dziedzictwu.

Dlatego też to Capella Goodventure zaczęła przewodzić świętu odbywającemu się corocznie w środku lata, kiedy to orbita Tiamat najbardziej zbliżała się do Bliźniąt – ten prastary obrzęd musiał zapoczątkować Święto Zmiany, podczas którego Zima i Lato zamieniały się miejscami. Wielkie Święto Wielkiego Roku dopiero po przybyciu Hegemonii na Tiamat uległo sprzęgnięciu z cyklem wyzyskiwania planety przez pozaziemców i miejscowej niewiedzy. Przypomniawszy sobie o tym, Moon poczuła, jak rośnie jej zdecydowanie i wiara, że postępuje słusznie.

Za sobą usłyszała, jak Ariele i Tammis wychodzą na pokład z małej kabiny trimaranu. Córka jak zawsze miała smutną, przygnębioną minę. Osłoniła oczy, spojrzała w morze, unikając widoku matki. Tammis wyglądał na ponurego i zdenerwowanego. Poza nimi na pokładzie nie było nikogo. Moon sama przywiozła tu dzieci, pragnęła znowu poczuć w rękach liny i rumpel, potrzebowała potwierdzenia, iż daleko jej do zupełnego zerwania więzów z przeszłością.

Za jasnymi postaciami dzieci dostrzegła inną łódź, nadpływającą kursem, prowadzącym do jej jednostki, gdzie mogła znaleźć, cenne tu, miejsce do zacumowania. Poprosiła, by Miroe i Jerusha podążali za nią wzdłuż wybrzeża; nie mieli być strażnikami, lecz pomocnikami w tym, co musiała uczynić.

Ariele przykucnęła nagle na rufie łodzi, przyglądała się uważnie, aż znajoma, pokryta cętkowaną sierścią głowa przebiła powierzchnię wody. Dziewczyna gwizdnęła ostro i merątko podpłynęło ku niej, dotknęło wyciągniętej dłoni gładkim mokrym pyskiem.

– Silky! – mruknęła. – Jesteś. Wiedziałam, że będziesz... piękna Silky. – Młody mer obdarzył ją gwałtowną uwagą, gdy wydała ciąg buczeń i świstów. Tammis stanął obok siostry, przyglądał się w milczeniu i słuchał odpowiedzi morskiej istoty.

Patrząca na córkę i mera Moon poczuła zdumienie. Młode towarzyszyło Ngenetowi i Jerushy przez całą, odbytą wzdłuż wybrzeża, drogę od ich plantacji. Był to swego rodzaju triumf, i to niemały, że zdołali zrozumiale przekazać swą prośbę. Na dodatek Silky tak im ufała – kochała – że zdecydowała się opuścić rodzinną zatoczkę Miroe, zostawić kolonię merów, która ją przygarnęła, i wybrać się w tak daleką podróż.

W tej jednak chwili Moon nie była pewna, co bardziej ją zdumiewa, obecność mera tutaj czy cicha radość Ariele, z jaką ta dotykała pyszczka swego wodnego przyjaciela. W mieście, w pałacu, dziewczyna okazywała jedynie nieposłuszeństwo i upór; Moon nie pamiętała, kiedy to po raz ostatni, spoglądając na twarz córki, dostrzegła na niej coś innego niż gniew lub ból. Wtedy na tym tak podobnym do jej własnego obliczu widziała Arienrhod. Arienrhod. W tej jednak ulotnej chwili zrzućcia pancerza jej dziecko było tym pięknym duszkiem, jakiego pamiętała. Tkwił w niej nadal, lecz ukryty, niby pączek pod śniegiem, czekający na wiosnę i porę dla siebie.

Moon odwróciła się, gdy Jerusha i Miroe podeszli do niej nabrzeżem. Zbliżyła się do nich z uśmiechem.

– Zrobiliśmy to – powiedziała Jerusha, jej duma i ulga odbijała się także na twarzy męża.

Moon kiwnęła głową i schwyciła ich ręce.

– Przebyliśmy dwie trzecie drogi. Ostatnia część będzie najtrudniejsza. – Spojrzała na schody wiodące na szczyt urwiska. – Mam nadzieję, że nie na próżno wypuściliśmy się tak daleko.

Jerusha uśmiechnęła się lekko.

– Cóż, siła zależy od liczebności. – Wskazała na górę. Moon spojrzała na nich z wahaniem i pokręciła głową.

– Muszę pójść sama. Muszę pokazać rodowi Goodventure, że przybywam w pokorze i bez buty... nie ma innego sposobu. I tak trudno mi będzie skłonić ich do słuchania, a co dopiero... – Urwała, opuściła głowę; znowu spojrzała na ich twarze; twarze pozaziemskie. Dla Capelli Goodventure były to oblicza jeszcze bardziej wrogie niż jej własne. Sama dawno już przestała dostrzegać w ich wyglądzie cokolwiek niezwykłego, teraz jednak z nagłą wyrazistością dostrzegła, jak by się wyróżniali wśród zgromadzonych na wyżynie, przywiązanych do tradycji Letniaków. – Poczekajcie, aż sprowadzę ją tu do was... i Silky. – Zerknęła na wodę.

– Sama nie będziesz tam bezpieczna – sprzeciwiła się Jerusha z troską wynikającą z lat spędzonych na strzeżeniu pleców Królowej.

– Tammis i Ariele pójdą ze mną. – Moon wskazała na swe dzieci. – Będziemy bezpieczni. Niezbyt chętnie widziani, lecz bezpieczni. Capella Goodventure nienawidzi wszystkiego, co popieram, tu jednak chodzi o cześć i honor jej rodu. Dopilnuje, by nic mi się nie stało.

Jerusha zerknęła na Miroe, który nie wyraził sprzeciwu, i niechętnie kiwnęła głową.

Moon zaczęła zdejmować warstwy peleryn i swetrów, które podczas rejsu zapewniały jej ciepło.

– Sprowadzę tu Capellę, jak tylko zdołam najszybciej. – Zawołała stojących przy relingu Ariele i Tammisa. Zrezygnowani podeszli do niej, ubrani tak jak matka w tradycyjne świąteczne stroje Letniaków – luźne lniane koszule i spodnie ufarbowane w odcienie zieleni, ozdobione muszelkami i haftami. Tammis sprawiał wrażenie nieobecnego, lecz gotowego; Ariele po porzuceniu Silky znowu się zasępiła. Żadne z nich nie chciało przyjść, ale w końcu musieli. Oczy Moon wypełnił widniejący za nimi obraz twarzy nieobecnego Sparksa.

Gdy dowiedziała się o Hegemonii i odkryciu napędu gwiazdowego, minęło wiele dni, nim przekazała te nowiny komuś innemu. Do tego czasu poruszała się jakby poza rzeczywistością, nieustannie rozważając skutki znanej jej, lecz niemożliwej do wyjawienia tajemnicy, zastanawiając, co musi z nią zrobić... czekając na znak od umysłu sybilli, lecz ten nigdy nie nadszedł.

Wreszcie zawiadomiła Radę o tym, czego się dowiedziała, i co to oznacza dla Tiamat. Powiedziała im też, że wszelkie siły i możliwości Kolegium postanowiła skupić na szukaniu sposobów ochrony merów.

Wiadomości zostały przywitane ze zgrozą i niewiarą, a potem wywołały reakcje, które przewidywała i oczekiwała z lękiem. W oczach zbyt wielu Zimaków, a nawet wykorzystujących technikę Letniaków, dostrzegła blask pragnienia powrotu przeszłości – życia w złotej klatce, kiedy to Hegemonia troszczyła się o spełnianie wszystkich ich pragnień, a jedyną wymierną za to ceną była woda życia.

Niektórzy z nowych przemysłowców, a także kilka sybilli, sprzeciwiali się porzuceniu wysiłków zmierzających do podniesienia stopnia rozwoju technicznego. Twierdzili, że należy w tym kierunku zrobić wszystko, co tylko możliwe... wszystkie siły skierować na produkcję broni.

Z miejsca odrzuciła tę propozycję, na podstawie danych od Jerushy wiedziała, iż w ten sposób stworzyliby jedynie oręż do zniszczenia siebie. Nie mogła jednak odstąpić Radzie powodów, dla których przetrwanie merów było warunkiem ocalenia Tiamat, a nawet Hegemonii; dla których ich bronienie było ważniejsze od wszystkiego innego... tak samo jak nie mogła wyjaśnić mężowi, dlaczego BZ Gundhalinu pragnie wrócić na jej planetę i ochronić ją przed własnymi rodakami.

Nie mogła już polegać na ludziach, na których zawsze się opierała. Dlatego postanowiła zwrócić się o pomoc i sojusz do tradycyjnie myślących Letniaków; potrzebowała ich wiedzy o morzu i merach... Musiała jednak w tym celu przezwyciężyć większą nawet niechęć i opór niż w przypadku mieszkańców miasta, będących zawsze jej główną siłą. Oznaczało to również, że musi w jakiś sposób zakończyć długotrwałą wrogość między sobą a rodem Goodventure.

Spierała się ze Sparksem o każdą stronę swej decyzji, choć wiedziała, że ma swoje powody, by równie silnie jak ona pragnąć bronić merów. Odmówił dokonania jakichkolwiek zmian w ich planach postępu, mimo iż w ciągu szesnastu lat równie wiele czasu spędził na badaniu merów, co na ich wspólnym wznoszeniu zrębów nowej Tiamat. Powody jego gniewu i nieugiętości były, pomimo wszystkich gorzkich słów, jakie między nimi padły, tak samo jasne dla niej, jak i dla niego. Żadne jednak nie odważyło się odstąpić prawdy, która mogła ich uwolnić... lub sprawić, że nigdy już nie spojrzeliby sobie w oczy.

Gdy poprosiła go, by wybrał się z nią na spotkanie z Capella Goodventure, nie zgodził się na opuszczenie miasta.

Westchnęła, wróciła do terażniejszości ze swymi wspomnieniami i obawami, opanowała je. Spojrzała na dzieci, już prawie dorównujące jej wzrostem, czekające w pobliżu. Wszystkie lata panowania spędziła ze Sparksem... zebrało się ich niemal tyle, co wspólnego z nim pobytu na wyspach, przed rozstaniem, które zmieniło ich, świat, ich własne w nim miejsce. Trudno jej było uwierzyć, że taka liczba lat mogła minąć tak szybko – i tak się ciągnąć. Niewiele łatwiej przychodziło jej wierzyć w nagle powstały w myślach obraz ludzi, którymi się teraz oboje stali; tak bardzo innych, że niewinne istoty, jakimi byli w Lecie, ledwo by ich poznały... tak bardzo obcych dla siebie nawzajem.

Zamknęła dostęp do tych myśli ze zdecydowaniem nie pozwalającym nawet na zastanowienie się, czy rosnąca między nimi przepaść jest jeszcze możliwa do zasypania. Czy nad tym, co dla nich –

całej trójki – wyniknie z powrotu BZ Gundhalinu na ten świat...

Ruszyła w stronę schodów prowadzących w przyszłość, której ani chciała, ani planowała. W milczeniu przypomniła sobie, że tak samo nie chciała ani planowała dla siebie przyszłości, która nadeszła teraz.

Wspinała się, za nią Tammis i Ariele. Zadyszała się przed osiągnięciem szczytu urwiska. Nie wiedziała, co spowodowało zmęczenie, lata czy tylko wymuszona bezczynność. Na szczycie czekał na nią widok, który sprawił, że zapomniała o nagłym poczuciu własnej śmiertelności – morza Lata, zieleni wody, zieleni traw... szczyrych, opalonych słońcem twarzy, młodych i starych, śmiejących się, uprawiających zapasy, jedzących i grających. Widok z innego czasu.

Szła między starymi kamiennymi domami o świeżo ułożonych strzechach z suszonych wodorostów, szukając w tłumie znajomych sylwetek, zagłębiała się w przeszłość. Ludzie spoglądali na nią z zaciekawieniem, uśmiechali się, spostrzegając lśniącą na koszuli koniczynkę, nazywali ją "sybillą". Niektórzy z nich wydawali się Moon dręczące znajomi, ale nie wiedziała, czy widziała już ich oblicza, może nawet spotykała w mieście... czy też po prostu przypominali wyspiarzy, których znała w poprzednim życiu. Większość mijanych patrzyła na nią bez rozpoznania, lecz dwie lub trzy osoby pochyliły głowy, mrużąc ze zdziwieniem "Pani", i oddaliły się spieszenie, by roznieść nowinę.

Zrozumiała, że wiadomość o jej przybyciu szybko się rozejdzie; że Capella Goodventure może pierwsza ją odnaleźć. Zwolniła kroku, zmusiła się do cierpliwości, większej dostępności, jak przystało sybilli. Ariele i Tammis trzymali się blisko, gdy wyszła na otwartą łąkę za wioską. Moon uświadomiła sobie z przelotnym żalem, iż tu, wśród swego ludu, czują się dużo bardziej obco, aniżeli w mieście między Zimakami, z którymi spędzali większość swego czasu. A także to, że i ona sama od dawna tak postępuje.

Nigdy zupełnie w niej nie milknący, choć cichutki głos przypominał jak zawsze, że ma w sobie krew Zimaków; że jest klonem Arienrhod. Ale przecież Zimacy i Letniacy są jednym narodem, należą do tego samego świata, posiadają go wspólnie. Noszone przez nią nazwisko, Dawntreader, podobnie jak i Goodventure, pochodzi od nazwy statku, przekazywanej od stuleci przez potomków przybyłych nim wygnańców. Wiązało ją coś z Capella Goodventure, chociażby miłość do tej planety. Gdyby tylko obie o tym nie zapomniały...

Tammis podał jej ciepły pieróg rybny, zaś Ariele została odciągnięta przez ładnego jasnowłosego chłopca. Dziewczyna zniknęła w grupie młodych Letniaków, pod kierunkiem starszej kobiety ćwiczących trojaka. Na dźwięk muzyki stopy Moon przypomniły sobie kroki tańca, ciało zaczęło się kołysać w jej takt. Może i było zimackie, lecz w krwi krążyło Lato... Uśmiechnęła się do Tammisa, przyglądającego się tańczącym.

– Chcesz spróbować? – zapytała. Pokręcił głową, spuścił wzrok.

– Nie. Wolę słuchać. Potrzebujesz kogoś przy sobie... – Znowu podniósł oczy, zobaczyła w nich troskę i wrodzoną powściągliwość. Wiedziała, że ma rację i że będzie szczęśliwszy, zostając tutaj.

– Kiedyś tak tańczyłam – powiedziała.

– Chcesz się do nich przyłączyć? – zapytał z ciekawością i zdziwieniem, jakby, rzeczywiście nigdy nie uświadamiał sobie, że mogła kiedykolwiek prowadzić inne życie niż to, które dzieliła z nimi w mieście.

– Nie – powiedziała miękko. – To taniec dla młodych. Dla zakochanych. – Patrzyła, jak Ariele wchodzi do kręgu, wiruje z wdziękiem wśród innych tancerzy, doznała uczucia dziwnego deja vu,

– Pani – drgnęła zaskoczona, słysząc za sobą znajomy głos. Capella Goodventure stała z miną czujną i podejrzliwą. Kiwnęła głową w niechętnym powitaniu. – Nie spodziewałam się waszego

przybycia.

– Na nabrzeżu zawsze zostawiacie miejsce na mą łódź – powiedziała Moon.

– Zawsze zostawiamy miejsce dla Pani w nadziei, że kiedyś przybędzie. To tradycja. Ale nie spodziewałam się was. – Lekko podkreśliła słowo was.

– Inaczej niż ja... i dziękuję wam, Capello Goodventure, za pamiętanie o mnie, choć byłam nieobecna.

Starsza rodu spojrzała na nią trochę dziwnie, jakby zastanawiając, czy Moon mówi szczerze, czy kpi.

– I przywieźliście z sobą dzieci, by poznały swe dziedzictwo – po raz pierwszy – odpowiedziała takim samym tonem. – Ale nie swego zaprzysięgłego. – Uniosła brwi.

– Ma za dużo pracy... w mieście. – Zabrzmiało to wymijająco i rzeczywiście takie było. Moon nie wiedziała, czy Capella Goodventure wierzyła, iż Sparks nie przybył, bo jest za bardzo zepsuty, za bardzo zimacki, czy też lepiej знаła jego przeszłość, niż można się było spodziewać. W obu przypadkach słowa niezbyt pasowały.

– Przyplłynęłam, bo chciałam się znowu poczuć Letniaczką. Zbyt dużo czasu spędzam w mieście, jak to słusznie zauważyłaś. – Moon poczuła, jak jej głos tonie w odległym gwarze. Zrozumiała nagle, że te słowa były szczerze. W pogoni za techniką zbyt łatwo zapominała o wszystkim innym, wmawiała sobie, że taka jest wola umysłu sybilli, że to jedyny ratunek dla jej świata. Wiadomość o niespodziewanym powrocie Hegemonii pokazała jej nagle i dobitnie, że się myliła, od samego początku. Myślała jak Arienrhod; powtarzała jej błędy. Umysł sybilli wybrał ją ze względu na rzeczy, w których różniła się od Królowej Śniegu. Jest sybillą, a nie Arienrhod; jest Letniaczką i musi zapamiętać, że była kimś innym...

Capella Goodventure nadal patrzyła na nią sceptycznie, nic nie mówiła.

– Przybyłam też... – Moon wypowiedziała te słowa z pośpiechem, aby nie zdążyły zamrzeć na języku – by zawrzeć z tobą pokój, jeśli to jeszcze możliwe.

Capella Goodventure zeszytniała, jakby nie była pewna, czy to nie jakaś pułapka.

– Co to ma znaczyć?

– Wiem, że przez wszystkie te lata nigdy nie spotkałyśmy się w cztery oczy – powiedziała ostrożnie – nie rozmawiałyśmy nie tylko o sprawach tradycji, ale i tych najważniejszych, od których powinna zależeć przyszłość naszego świata. Ale pomimo naszych różnic zdań nie wątpię, że jesteś dobrą kobietą i że próbujesz wypełniać wolę Pani, zgodnie z tym, jak ją rozumiesz. I chociaż trudno ci w to uwierzyć, odnosi się to i do mnie. Obie staramy się zachować taką Tiamat, jaką kochamy, chronić oba jej ludy, człowieczy i merowy.

Capella Goodventure skrzywiła się lekko i uniosła ramiona w niezrozumiałym dla Moon, niecierpliwym geście.

– Sądzę, że to prawda. Przyznaję. Ale nie widzę, by cokolwiek więcej nas łączyło, Moon Dawntreader. Wasze postępowanie nigdy nie stanie się letniackie, tak jak wasza twarz zawsze zostanie obliczem Królowej Śniegu.

Moon poczuła, jak jej twarz rumieni się z nagłego ciepła. Przełknęła rosnącą w gardle gniewną odpowiedź. Wiedziała, że Tammis patrzy na nią, a Capella Goodventure przygląda mu się ostro i podejrzliwie. Położyła dłoń na ramieniu syna, gestem i spojrzeniem poprosiła o zostawienie ich samych. Odszedł niechętnie, oglądał się ze zmarszczonymi brwiami.

– Uczciwie, zgodnie z wolą Pani, zdobyłam maskę Królowej Lata. Czyżbyś podważała słuszność Jej zamysłów? – Poczuła, jak oczekiwanie odpowiedzi Capelli Goodventure zwija w węzeł każdy mięsień jej ciała, bała się, że zostanie zdradzona przez kryjącą się za tymi słowami

nagłą pustkę.

Ale starsza kobieta pochyliła tylko głowę i zacisnęła usta.

– Postępowanie Pani bywa nieodgadnione – mruknęła. – Nawet ludzie z mego klanu skłonni są przystać na zmiany, które wymusiliście w Jej imieniu. Nie rozumiem tego i nigdy nie zrozumieć. – Zaczęła się odwracać.

– Poczekaj – powiedziała Moon. Usłyszała w swym głosie nie zamierzoną stanowczość polecenia, zobaczyła ze zdziwieniem, że Capella Goodventure instynktownie je wypełniła. – Chodzi o coś znacznie ważniejszego, niż możesz sądzić – ważniejszego niż moja duma czy twoja. Chcę ci coś pokazać. I coś powiedzieć.

Capella Goodventure zawahała się, spojrzała na Moon, stanęła wyczekująco.

– Zejdiesz ze mną schodami?

Capella Goodventure powoli kiwnęła głową i ruszyła za Moon.

– O co chodzi?

– O jedną z rzeczy, w które obie wierzymy z całego serca – o obronę merów.

Starsza rodu podniosła wzrok, oderwała go od własnego cienia, kładącego się przed nią na trawie.

– Co może im grozić, skoro pozaziemcy zostawili nas w spokoju? W czasie Lata wzrośnie ich liczba; zawsze tak się dzieje. Teraz, gdy kolonie letnie wędrują na północ i łączą się z zimackimi, nadeszła dla merów pora godów i narodzin.

– Tak? – zapytała Moon. – Jesteś pewna? – Wiedziała o tym powszechnym przekonaniu, ale brakowało danych, które by je potwierdzały.

Capella Goodventure spojrzała pogardliwie.

– To część wiedzy o merach. Trzeba wam było poświęcać więcej czasu na uczenie się zwyczajów swego ludu.

– Zamierzam teraz to robić – mruknęła Moon, ponieważ nieoczekiwany bodziec wyrwał żądło z sardonicznej reprimendy starszej kobiety. Nie wiedziała, na ile ścisła jest wiedza Letniaków, ale potrzebowali każdej nowej informacji, która zwiększy zasób dotychczas zebranych danych.

– Czemu twierdzicie, że grozi im niebezpieczeństwo? – Capella Goodventure powtórzyła niecierpliwie swe pytanie. – Pozaziemców nie będzie tu przez niemal stulecie. A nawet wy nie odważycie się powiedzieć, iż sami zaczniemy mordować Dzieci Pani i pić ich krew, żeby zachować młodość.

Moon zarumieniła się ponownie i przygryzła język.

– Pozaziemcy wrócą za naszego życia – powiedziała bezbarwnym głosem. – Może nawet już za trzy lata.

Capella Goodventure spojrzała na nią, jakby nagle zwariowała.

Moon potarła ramiona okryte luźnymi, obwieszonymi muszelkami rękawami koszuli.

– Dowiedziałam się w Przekazie sybilli, że pozaziemcy odkryli źródło używanej przez Stare Imperium plazmy napędu gwiazdowego. Już zaczęli budować statki gwiazdne, które zdołają osiągnąć Tiamat bez pośrednictwa Czarnych Wrót. Nie zamierzają czekać. Przybędą, gdy tylko statki będą gotowe.

Oczy Capelli Goodventure wyrażały niewiarę, która przeszła w zmieszanie, gdy w pełni pojęła skutki wiadomości.

– Oczy Pani... – mruknęła, kilka stopni pokonała w głębokim zamyśleniu. Potem uniosła wzrok. – Tak – powiedziała. – Oto plan Pani. – Moon zawahała się, pomimo nadziei wątpiąc, czy starsza rodu rozumiała do końca to, co od tak dawna próbowała jej wykazać. Capella Goodventure

uśmiechnęła się gorzko. – Usiłowaliście zmienić nas wszystkich w pozaziemców, pozbawić pamięci o starych zwyczajach. A teraz to świętokradztwo zwróciło przeciwko wam przekleństwo Pani – może przeciwko nam wszystkim. Pozaziemcy przybędą tu ze swą techniką, której tak bardzo pożąдалиście. Przywrócą władzę Zimakom i wrzucą cię do Morza, pozbawiona matki, nienaturalna istoto...

Moon złapała Capellę Goodventure za rękaw, przyciągnęła ją na krawędź urwiska, nie zniosła padających z ust drugiej kobiety własnych, nie wypowiedzianych obaw.

– Czyżbyś była równie ślepa, co głucha, Capello Goodventure? Bogini! Czemu nie dostrzegasz, że wszystko, co robiłam dla zmiany Tiamat, miało na celu niedopuszczenie, by pozaziemcy zabrali nam wszystko po swym powrocie? Nie dlatego, bym kochała ich więcej niż nas! Dysponują rzeczami i sposobami ich wykonywania, które mogą się nam przydać – tak samo jak są rzeczy, które możemy im z pożytkiem dać, na przykład... cześć... dla merów. Wiedzą o tym nawet twoi ziomkowie, bo inaczej nie użyliby tego sztucznego jedwabiu do przykrycia żywności zgromadzonej na święto w osłoniętych lodówkach! – Wskazała gwałtownie za siebie. – Ale nie o to chodzi. Liczy się tylko to, że wszystko, co zrobiłam, miało na celu wyłącznie ochronę merów.

– Nie przekonasz mnie o tym – prychnęła Capella Goodventure.

– Pani powiedziała mi, co jest konieczne do ich uratowania. Że są dla niej ważniejsze niż wszystko inne. Że jestem Jej narzędziem i muszę zrobić wszystko, by chronić mery, bo są one... są... dla Niej święte. – Potknęła się na tych słowach, zabrzmiały niezgrabnie w jej własnych nie wierzących uszach. Miała nadzieję, że Capella Goodventure nie usłyszy jej wątpliwości, lecz tylko rozpacz i naleganie. Podniosła głowę, wiedząc, że zawsze tkwił w jej duszy prawdziwy powód obrony merów, nie potrzebujący głębszych wyjaśnień: – Mery kiedyś uratowały mi życie. Zrobię to samo dla nich, jeśli tylko zdołam.

Capella Goodventure milczała, jej oczy były twarde, lecz jasne, twarz nieruchoma; wreszcie zaczęła słuchać.

– Przez wszystkie te lata trudziłam się nad uzyskaniem dla nas niezależności, by dzięki niej mery nigdy już nie były zabijane. Teraz jednak wszystko się znowu zmieniło – dla nas wszystkich, czy się to nam podoba, czy nie. Pozaziemcy wrócą zbyt szybko, nie jesteśmy na to przygotowani, zaczną rzeź merów, nim te zdołają odbudować swe kolonie. W ślepej żądzy będą je mordować, aż wybiją do nogi. Byłoby to niewyobrażalną tragedią, nie tylko dla nas, ale i wszystkich ludzi. Razem zostaniemy... przekłęci przez Panią. Chyba że zdołam znaleźć jakiś inny sposób przeszkodzenia temu.

– A jak według was można to zrobić? – zapytała w końcu Capella Goodventure, w jej głosie nadal brzmiała wątpliwość, lecz wreszcie zabrakło wrogości.

Moon ruszyła w dół wąskich, stromych schodków, patrzyła uważnie pod nogi. Odwróciła się po chwili i skinęła na Capellę Goodventure, by ta poszła za nią.

– Pani objawiła mi prawdę o merach; są... istotami inteligentnymi, takimi jak my.

– Wierzycie w to? – zapytała Capella Goodventure. Moon zrozumiała, że nie tyle wątpi w słowa, co zdumiewa się, słysząc je z ust kogoś, kto według niej porzucił tradycję uważającą mery za święte.

– Wierzę w to równie głęboko, co we własne istnienie – odpowiedziała Moon. – Mają własny język. Wśród moich prac – dokonywanych z sybillami z Kolegium – jest badanie ich mowy, szukanie sposobów porozumienia się z nimi. Jeśli to nam się uda, może wreszcie zdołamy ostrzec je przed niebezpieczeństwem.

Moon dotarła już do dołu schodów. Kiwnęła głową Jerushy i Miroe, stojących razem na pomoście. Usłyszała, jak w tyle milkną nagle kroki Capelli Goodventure.

– Czego chcą? – zapytała starsza rodu. – Czemu ich tu przyprowadziliście? Nie są mile

widziani...

Przerwał jej nagły ruch w wodzie, obok dwóch czekających postaci pojawiła się głowa mera i długa, węzowata szyja. Silky spojrzała ciekawie na Jerushę i Miroe, potem na nowo przybyłe kobiety, z powrotem na parę na brzegu. Jerusha przyklęła, mruknęła coś niedosłyszalnego, pogładziła głowę merątka. Starsza rodu Goodventure przyglądała się temu jak zahipnotyzowana.

– Poprosiłam ich o przybycie, bo ona jest ich – powiedziała miękko Moon.

– Nikt nie ma mera – warknęła Capella Goodventure. – A już na pewno żaden pozaziemiec nie ma prawa...

– Wychowali ją – powiedziała Moon. – Siedem lat temu znaleźli osieroconą na brzegu. Są jej rodziną. Opuściła zatoczkę na plantacji Ngeneta, gdzie mieszka od urodzenia, i przybyła tu za nimi... bo ją o to poprosili. Dlatego tu przyplłynęli. By ci pokazać, że powiedziałam prawdę.

Capella Goodventure wyminęła ją powoli, podeszła do Jerushy i Miroe. Poruszała się jakby wbrew oporowi mięśni i własnej woli.

– Czy wychowaliście merątka? – zapytała.

Miroe przytaknął.

– Wychowaliśmy. – Jerusha nadal klęczała, trzymając się pala pomostu, przyjmowała pieszczotliwe poszturchiwania głowy Silky.

– Jak to możliwe? – zapytała Capella Goodventure, nie mogła uwierzyć w to, co widziała na własne oczy. – Nie jesteście Tiamatańczykami.

– Moja rodzina mieszka na Tiamat od trzech pokoleń – powiedział górujący nad starszą rodu Miroe, odpowiadający równie porywczo. Moon przypomniała sobie pierwsze z nim spotkanie i przez chwilę pożałowała Capelli Goodventure. – Moja żona postanowiła zostać na Tiamat, gdy wszyscy porzucali planetę, bo wolała ją od wszystkich innych. Czy mamy do niej mniejsze prawa niż wy? Sami przybyliście tu jako uciekinierzy z innego miejsca, przywiózł was statek zwany Goodventure. Tylko mery są prawdziwymi gospodarzami tego świata. – Obejrzał się przez ramię na Jerushę i Silky. – Całe życie badam mery. Aż do końca Zimy broniłem ich na wszelkie sposoby... Ale to było za mało i nie chcę więcej zobaczyć tego, co się stało na moim własnym brzegu... – spojrzał na starszą kobietę.

Capella Goodventure chwilę przyglądała się im wszystkim, potem wróciła do Moon. Królowa poczuła na sobie jej wzrok, odniosła wrażenie, iż starsza rodu po raz pierwszy od szesnastu lat naprawdę ją widzi.

– To chyba sen – mruknęła Capella Goodventure, patrząc na morze. – Może Pani mówi po swojemu do nas wszystkich. – Znowu popatrzyła na Moon, na Jerushę i Miroe. – Twierdzicie, że potraficie już rozmawiać z tym merątkiem; że przybyło tu na wasze polecenie?

– Prośbę – poprawił ją Miroe. Jerusha uciszyła go szturchnięciem.

– Stało się to i przez zaufanie, i prawdziwe zrozumienie – powiedziała. – Wydaje się, że łączy nas bardzo mało wspólnych pojęć... nie wiemy nawet, jak zadawać im pytania. Niemal wszystko, co robią, zdaje się wiązać z ich pieśniami – a te są dla nas niezrozumiałe.

– Poprzez pieśni czczą Panią – powiedziała sucho Capella Goodventure. – Tylko tyle. Nie mają być dla nas zrozumiałe.

– Mimo to znaleźliśmy w pieśniach merów wzorce podobne do występujących w tradycyjnej muzyce Letniaków – powiedziała Moon, zmuszając się do cierpliwości. – Chcielibyśmy dziś, podczas Świąt, porozmawiać z ludźmi, zapisać pamiętane przez nich pieśni, zwłaszcza dotyczące merów – a także wszystkie znane im dane, opowieści, przesady. Jeśli nam pomożecie, wtedy wszyscy Letniacy zaczną rozumieć, że to, co robimy, ma żywotne znaczenie dla naszego świata.

Capella Goodventure zawahała się powtórnie, wyglądała na zakłopotaną.

Moon odwróciła się od niej, niespodziewany ruch na schodach przyciągnął jej wzrok. Ze zdziwieniem zauważyła, iż schodzi nimi Ariele, a nie Tammis. Za nią szła trójka Letniaków, dwóch chłopców i dziewczyna; niby letnia bryza śmignęli obok czwórki dorosłych, wołali Silky ostrymi gwizdami. Merątko wróciło posłusznie do pomostu, Ariele przedstawiła je towarzyszom z beztroską młodości.

Capella Goodventure przyglądała się im, Moon widziała, co zauważały oczy starszej kobiety: Ariele, tak bardzo podobną do swej matki, dorastającą w mieście, a mimo to pasującą do tego miejsca, do merów. Starsza rodu pokręciła głową gestem mogącym oznaczać tylko rezygnację.

– Bardzo dobrze – powiedziała powoli. – Nigdy nie myślałam, że dożyję tego dnia, ale tak się stało. – Spojrzała na Moon. – Od dzisiaj mamy jeden cel, Moon Dawntreader. Razem będziemy spełniać wolę Pani, już zawsze. Mogę tylko ufać, że zdołamy robić to dobrze.

KHAREMOUGH: Osiedle Orbitalne nr I

– Jak poszło, komendancie? – Vhanu wstał z miejsca na widok Gundhalinu, odłożył słuchawki, które zakładał, by wypełnić czas. Zebranie jak zwykle się przedłużało, a Vhanu przybył jak zawsze błyskawicznie.

– Padły dokładnie te słowa – uśmiechnął się Gundhalinu – które Faseran i Thajad pragnęli usłyszeć. Myślę, że wszystko posuwa się tak, jak przewidywał Pernatte. – Zaczęli iść, wymijając robotników, ludzi i roboty, pracowicie zakładających nową serię malowideł ściennych zdobiących korytarze Centrum Koordynacyjnego Hegemonii. – W dalszy m ciągu czekają nas jeszcze dwa lata przygotowań, nim zdołają wysłać wyprawę na Tiamat – oczywiście pod warunkiem, że budowa statków będzie szła zgodnie z planem. – Obejrzał się przez ramię w przejściu tak wąskim, że musieli iść gęsiego.

– Ale Faseran już dziś mi powiedział, że jeśli tego pragnę, to zostanę Głównym Sędzią.

Vhanu spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Ojcie wszystkich mych przodków! To dobra wiadomość... Mam nadzieję, iż pan komendant rozpatrzy moją prośbę o miejsce w swym tymczasowym sztabie. Jak panu wiadomo, pragnę...

– Po wszystkim, co zrobiliście, NR, by mi to ułatwić – powiedział Gundhalinu – możecie wybrać sobie stanowisko w nowym rządzie. – Uśmiechnął się. – Nawet komendanta Policji, jeśli go pragniecie. – Rozszerzył uśmiech na widok radości, która nagle rozbłysła na twarzy Vhanu.

– Tak jest. Bardzo pragnę... – Vhanu uśmiechnął się także, w niemych krzyku uderzył pięścią we własny bok.

– Rozważmy teraz... – Gundhalinu wpadł na ciało, które wyrosło nagle na jego drodze. Młody nieznajomy podtrzymał go, z pośpiechem spojrział mu w oczy własnymi, szarymi. BZ poczuł znajomy gest dłoni i wciskającą mu w rękę karteczkę.

Objął ją palcami i otworzył usta, by coś powiedzieć – w porę zauważył numer rejestracyjny wydrukowany na czole młodzika, oznaczający, że jest on Bezklasowym. Gundhalinu przełknął słowa, które już miał wypowiedzieć, twarz robotnika dziennego zaczęła okazywać rozmyślnie nikczemny strach. Pracownik rzucił się w poniżeniu na podłogę. Gundhalinu opuścił wzrok na ciemne, niesforne loki na głowie młodzika i zachował milczenie. Prawo zabraniało Technikom i Bezklasowym rozmawiać z sobą, mogli to czynić jedynie poprzez kogoś z klasy pośredniej. Dla obu stron niemożliwe były nawet przeprosiny. I obojętnie, kto zawinił, rację zawsze miał Technik.

– Uwważaj, tępaku... – Brygadzista z klasy Nietechów złapał za kołnierz wstającego robotnika, odciągnął go z drogi Gundhalinu. – Błaga pana o wybaczenie, komendancie – sathra... – powiedział brygadzista, trzęsąc chłopakiem. Bezklasowiec jęknął, gdy jego twarz uderzyła w zawieszony na ścianie kamienne rzeźby przedstawiające ich wspólnych przodków.

– To moja wina – powiedział Gundhalinu, czując zaciskany w dłoni papier. Robotnik spojrział na niego, jeden policzek miał czerwony, na ścianie zostawił krwawą smugę. Jego oczy nie wyrażały niczego.

– Nie, sathra. To on zawinił. – Zaprzeczył brygadzista. – Ty! – Robotnik skulił się pod jego głosem. – Jesteś wylany. – Chłopiec potulnie kiwnął głową i odszedł, nie oglądając się za siebie. – Szanowny panie – powiedział zadowolony z siebie brygadzista, skłonił się i wycofał.

– Dziękuję – mruknął Gundhalinu, tego się po nim spodziewano.

– Bogowie – powiedział Vhanu, patrząc na plecy oddalającego się robotnika – czemu pozwalają takim ludziom pracować przy równie kosztownym projekcie?

– Ponieważ sami niemal nic nie kosztują – odparł cicho Gundhalinu, patrzył prosto przed siebie,

idąc do przystanku tramwajowego. – Vhanu, czyście kiedyś wyobrażali sobie, jakie musi być życie nisko urodzonego?

Vhanu spojrział na niego.

– Na pewno nie.

Gundhalinu dotknął kilku płytek na jarzącej się tabliczce przywołania tramwaju.

– A gdybyście się takim urodzili? Czy bylibyście z tego zadowoleni?

– Wolałbym chyba umrzeć – stwierdził Vhanu ze śmiechem.

– Sam tak zawsze mówiłem. – Gundhalinu uśmiechnął się smutno, wspomniawszy czasy, gdy jego poglądy były równie niezłomne i równie uproszczone. Odwrócił się i rozpostarł pognieciony papierek wciśnięty mu przez robotnika. Zaklął.

– Co to, panie komendancie?

Gundhalinu odwrócił się, podał karteczkę. Vhanu przeczytał ją, zdumiał się widokiem wypisanych na dole tajemnych znaków.

– Przegląd...? – Oddał wiadomość, nic nie rozumiejąc. – Co to oznacza?

– Kłopoty.

Vhanu obejrzał się na korytarz, robotnika dziennego już na nim nie było.

– Czy mam zawiadomić ochronę?

– Nie. – Gundhalinu zacisnął pięść, ponownie zgniatając kartkę. – Chodzi o rodzinę. Wezwijcie prom. Muszę się dostać do Piasty Dwa.

– Do portu gwiazdowego? Ale co ze spotkaniem z Jarsakhbhai i sztabem, z inspekcją...

– Odwołajcie wszystko. – Przybył tramwaj, Gundhalinu przytrzymał drzwi. – Powiedzcie... powiedzcie, że to nagła sprawa rodzinna. Nie Skłamiecie. – Wsiadł do środka. – Będę w kontakcie.

Vhanu popatrzył na niego i nagle rzucił się do przodu, wpadł do tramwaju tuż przed zatrzaśnięciem się drzwi.

– Panie komendancie. – Spojrział w dół, w górę, na chwilę dotknął ramienia szefa. – Nie rozumiem, co się stało, ale nie powinien pan jechać sam.

Gundhalinu kiwnął głową, sam nie wiedział, co czuje, wdzięczność czy zdenerwowanie, że mu to wytknięto.

– Znowu chodzi o pańskich braci?

– Tak. – Gundhalinu usiadł, gdy tylko tramwaj ruszył w drogę.

– Co zrobili? – Tym razem.

– Jeszcze nie wiem, ale coś złego. Nie obchodzą mnie szczegóły, ale na wszystkich naszych przodków, to będzie ostatni raz. Więcej nie skryję żadnych ich "pomyłek". Każę ich aresztować, pozbawić pozycji... – Spojrział martwo w oczy Vhanu. – Nie pragnąłem tego, prawda?

– Nigdy dotąd nie pragnęliście – powiedział Vhanu spokojnie.

– NR, nie powstrzyma mnie nawet pamięć o naszych przodkach. To polityka... "cokolwiek by się zdawało"...

– Wkrótce będzie po wszystkim – mruknął Vhanu. – Znajdzie się pan tam, gdzie pragnie być, i to jako Główny Sędzia. Wtedy przestanie to być ważne, będą ich mogli powiesić.

– Zostawię im długą linię. – Zamknął oczy.

Czekający już prom przeniósł ich między sztucznymi światami, przemierzył kosmos wewnątrz orbity księżycy Kharemough, nakrapiany fałszywymi gwiazdami innych osiedli i zakładów przemysłowych. Gundhalinu milczał przez całą drogę, wyobrażał sobie scenariusze hańby, wścieklej zemsty, setek najróżniejszych, mrozących krew w żyłach spotkań, aż powoli wyrósł przed nimi ogromny, lśniący bielą obwarzanek portu gwiazdowego. Tworzące koło osiedle łączyło się

przezroczystymi szprychami z centralną wyspą będącą właściwym portem. Piasta Dwa była największym z wszystkich sztucznych satelitów. Gundhalinu miał dużo czasu na rozmyślanie i przyglądanie się wiszącym w kosmosie łańcuchom statków monetowych, oczekujących w bezpiecznej przystani wewnątrz koła – ich spłaszczonym kształtom zaprojektowanym dla przekraczania Czarnych Wrót. W jego oczach, przyzwyczajonych do oglądania organicznych postaci nowej floty ponadświatłowej, dawne pojazdy wyglądały na obce i niemal prymitywne, choć wiedział, że statki monetowe po zmianie napędu pozostaną nadal podstawą handlu międzyplanetarnego. Mają przed sobą przyszłość. Przyszłość... Westchnął, patrząc na zbliżanie się do stacji.

Gdy mały, ręcznie obsługiwany dok zamknął się za nimi dyskretnie, Gundhalinu zobaczył czekające na nich trzy postacie. Poznał Donnę, należącą do najlepszych metalurgów stoczni, i dwóch innych pracowników – naszywki na kombinezonach wskazywały na głównego mechanika płatowcowego i operatora skafandra kosmicznego.

Vhanu skrzywił się z niepokojem i zdenerwowaniem, gdy czekający podeszli bliżej.

– Kim jesteście...? – Urwał, gdy Gundhalinu nakazał mu milczenie.

– Jestem wam wdzięczny za wiadomość. Donnę, możecie mi powiedzieć, co się stało? – Uścisnął jej wzniesioną dłoń, tym gestem uznając ją za równą sobie.

Kiwnęła głową.

– Niestety, panie komendancie. Długo tu jednak czekałam i jeśli pan pozwoli, od razu ruszymy w drogę. Zna pan Zarkadę i Tilhena?

Gundhalinu przytaknął, przyglądając się mężczyznom. Poznał, że obaj są pozaziemcami, i w duchu pochwalił Donnę za dyskrecję i wybór dwójki wielkich chłopów, którzy wyglądali na przyzwyczajonych do rozwiązywania siłą większości swych problemów. Z tego, co pamiętał, są godni zaufania i wytrwali w pracy.

– Bogowie. Aż tak źle? – zapytał kobietę. Skrzywiła się i znowu kiwnęła głową.

– Idziemy do przedziału niskiej grawitacji.

Gundhalinu obejrzał się na obu mężczyzn, miał wrażenie, że połyka kamienie.

– Dziękuję za przyście. – Pochylili głowy. Tilhen uśmiechnął się nikle i wzruszył ramionami. – Szkoda, panie komendancie, że musi pan nas potrzebować.

– Racja – odpowiedział.

Donnę poprowadziła ich do nie oznakowanego wynajętego pojazdu. Wsiedli do środka i włączyła silniki. Na ekranie pojawił się plan w kształcie kratownicy; gdzieś w jego środku Gundhalinu dojrzał stykające się dwa migoczące czerwone światelka, zrozumiał, iż muszą oznaczać jego braci. Patrzył, jak przedstawiająca ich pojazd zielonkawa plamka zaczęła się poruszać, wniknęła do kratownicy.

– Panie komendancie, z tyłu są ubrania robocze. Powinien pan je włożyć – powiedziała Donnę. – Połowa ludzi, których tam spotkamy, bałaby się rozmawiać z kimś ubranym jak pan, a druga chciałaby poderżnąć panu gardło. Bez urazy – dodała, gdy Vhanu popatrzył na nią.

– Nie było żadnej. – Gundhalinu skinął na Vhanu, by udał się z nim na tył ciężarówki, wcisnął mu spłowiwały kombinezon.

– Panie komendancie – mruknął Vhanu, trzymając ubranie, jakby było żywe, chwycił je mocniej, gdy pojazd nagle ostro uniósł się w górę. – To szaleństwo, nie możemy tak postępować; wezwijmy Policję...

– Jesteśmy z Policji, kapitanie Vhanu. – Gundhalinu ściągnął i odrzucił kurtkę munduru, potem rozpiął i zdjął tunikę.

Vhanu opuścił wzrok i nieśmiało zaczął się rozbierać.

Gundhalinu odwrócił się plecami, pamiętał czasy, gdy był równie wstydlivy. W niezręcznym milczeniu i półmroku nałożył kombinezon. Ciężarówka w tym czasie mocno zniżyła lot. Vhanu odwrócił się wreszcie, skrzepowanie walczyło na jego twarzy z niewygoda.

– NR... – powiedział łagodnie Gundhalinu – nie jesteś na służbie. Nie musisz się w to mieszać. Możesz nas w każdej chwili opuścić, przyjmę to z wdzięcznością... Moi bracia są głupcami, lecz nigdy nie byli samobójcami; ta sprawa popsuje mi dzień, ale nic nie grozi memu życiu. – Nałożył na głowę poobijany hełm dokera.

Vhanu spojrział na oczekującą ich przy ścianie działowej trójkę nieznanomych. Jego mina nie uległa zmianie. – Cholera...

– Wszyscy są w Przeglądzie. Tak samo jak ten, który przekazał mi notatkę. Robią mi wielką przysługę.

Vhanu spojrział na niego niedowierzająco. Kiwnął głową, godząc się na wszystko, i westchnął.

– W ten sposób jest to bardziej do przyjęcia.

– Bardziej do przyjęcia niż co?

Vhanu skrzywił usta.

– Niż to, że pozwalacie Nietechom i pracownikom bez żadnego powodu zwracać się do siebie jak do równego. – Zakończył zapinanie kombinezonu i nałożył hełm.

Gundhalinu wyszedł pierwszy, stanął za fotelem Donnę.

– Powiedźcie mi o tym. Na siedem piekieł, co takiego zrobili, że wciągnięto ich w podobne miejsce?

Donnę spojrziała na niego z błyskiem zrozumienia i znowu skierowała wzrok na leżące w dole bezkształtne, sztuczne tarasy terenów magazynowych, przesunęła dłońmi po swych rozczochranych, siwiejących włosach.

– Nie jest dobrze, panie komendancie. Wydaje się, że pańscy bracia próbowali sprzedawać zastrzeżone kody programowe, pozwalające na dostęp do tajnych specyfikacji produkcyjnych floty kosmicznej...

– Cholera! – Gundhalinu zacisnął dłonie na oparciu fotela. – Skąd mogli je dostać? Nie mają upoważnień...

– Wygląda na to, że pański brat SB wynajął kogoś do dokładnego zbadania waszych kodów rodzinnych i w ten sposób dotarł do pańskich. Dzięki pańskiemu upoważnieniu dość długo udawało mu się oszukiwać program tu, na górze.

Gundhalinu zaklął, poczuł się jak ktoś kopnięty w brzuch. Zamknął oczy, by nie widzieć wpatrzonych w niego spojrzeń.

– Kto? Z kim się związał?

– Z pewnymi frakcjami, stosującymi te same reguły co pan, lecz w zupełnie innej Grze.

Gundhalinu zmusił się do głębokiego wdechu, przytrzymał powietrze; zdołał się jakoś skupić.

– Nic im to nie pomoże. Kody nie zadziałają – wszystkie są automatycznie zmieniane po każdym dniu pracy.

– Wiem o tym, panie komendancie – przytaknęła Donnę. – Ale pana bracia chyba nie.

Rozluźnił kurczowy chwyt na oparciu fotela. Nic się nie stało. Nie dokonali żadnych prawdziwych szkód. Ale mogli dokonać. Tym razem posunęli się za daleko. Tym razem nie może sobie pozwolić na przymknięcie oczu, wytłumaczenie tego, wybaczenie... zatuszowanie. Dopuścili się zdrady nie tylko jego, ale i czegoś znacznie większego. Idzie o coś ważniejszego niżli zhańbienie, osobiste czy publiczne...

Donnę zatrzymała ciężarówkę; Gundhalinu dostrzegł migoczącą przed nimi barierkę z

symbolami obszarów o niskim ciężeniu.

– Panie komendancie, musimy podejść tam pieszo – powiedziała. – To niedaleko.

Zerknął na podwójne światełka na ekranie oznaczające pozycje jego braci. Dotknął ich ręką.

– Nie przesuwają się – powiedział.

– Pewnie czekają. Może mieli szczęście i zostali porzuceni, może ich wspólnicy przekonali się, że kody są bezwartościowe, i woleli się nie pokazywać.

– Na pewno nie ma tam nikogo więcej?

– Nikogo nie zauważono, panie komendancie. – Wzruszyła ramionami i wstała, podała Gundhalinu pistolet. – Niebezpieczna okolica. – Automatycznie sprawdził stan naładowania broni, umieścił ją wygodnie w kombinezonie, gdy Donnę wręczyła mu w milczeniu dalsze sztuki. Vhanu schował swoją do kieszeni, wyglądał na zdenerwowanego.

Zostawili ciężarówkę i trzymając się blisko siebie, podeszli do zapory. Po jej minięciu znaleźli się w ogromnej, łagodnie wznoszącej się przestrzeni z niskim ciężeniem. Gundhalinu poczuł, jak jego nogi zaczynają się ślizgać i unosić, poruszały się inaczej, odkąd musiały nagle dźwigać ciężar wynoszący zaledwie drobny ułamek dotychczasowego. Grawitacja zmieniała się stale, zależnie od potrzeb zakładów i magazynów. Po rozpoczęciu prac w stocznich przywykł do przebywania w niskim ciężeniu i w nieważkości. Pozwolił ciału działać instynktownie, skupiając się na obserwacji czerwonych światełek, lśniących niezmiennie na planie wyświetlanym po wewnętrznej stronie osłony hełmu.

Słyszał z tyłu klnącego Vhanu, pewnie brakowało mu doświadczenia ze zmienną grawitacją. Donnę i dwaj pozostali mężczyźni patrzyli obojętnie, jak się wlecze. Sami poruszali się długimi, wysokimi krokami, zmuszali kapitana do nadążania za sobą. "Vhanu dostanie tu szkołę – pomyślał Gundhalinu – wiele z niej wyniesie, jeśli tylko zechce zapamiętać."

Obszary o niskim ciężeniu tkwiły niby guzy we wnętrzościach mieszkalnych części portu gwiazdowego. Wykorzystywano je przede wszystkim do przechowywania i przetwarzania materiałów, z którymi nie można się było stykać w innych warunkach. Znajdowały się tu także kwatery dla ludzi, oblepiały ściany, wciskały się w szpary między majaczącymi w tym szarym, zalanym półmrokiem, rozbrzmiewającym echem świecie magazynami, dźwigami i maszynami. Mieszkali w nich najniżsi z najniższych klas. Gundhalinu dostrzegł po drodze oczy dziecka przyglądającego się im spoza ręcznie zrobionych drzwi, z bólem w sercu odwrócił wzrok. Kharemough wytwarzał dla Hegemonii większość opartego na wyższej technice sprzętu, produkcja miała przeważnie miejsce w kosmosie; oznaczało to, że pracowała tam znaczna część ludności i tysiące imigrantów. Tłoczyli się w zbyt ciasnych pomieszczeniach, niekiedy w warunkach niewyobrażalnych dla innych ludzi.

Na powierzchni planety mieszkali tylko najbogatsi i najpotężniejsi – albo mogli zamieszkać.

Gdy stanęli przed automatycznym przejściem i czekali, aż Donnę wystuka szyfr, Gundhalinu roztarł ramiona, przypomniał sobie o groźnym chłdzie takich miejsc. Pakuły przepływały obok ich głów, od otaczających ich zewsząd twardych powierzchni odbijało się echem głębokie buczenie silników. Usłyszał inne dźwięki: dalekie krzyki, zgrzyty ciężkich maszyn, jęki przecinarek, jakieś vibracje tak niskie, że bardziej sieje czuło bólem zębów, niż odbierało uszami. Praca nie ustawała nigdy; tak samo jak hałas, ciągle inny, lecz wieczny, rozbrzmiewający spletanymi wzorami, jakich nie słyszał nigdzie indziej. Odnosił wrażenie, że nie tylko grawitacja jest tu wykrecona i przekształcona, ale i dźwięki.

Znowu ruszyli jak niezgrabni pływacy, mijali robotników unoszących się niby cienie, pojedynczo i w grupach, na wszystkich twarzach dostrzegali to samo znużenie i pustkę w oczach. Trafili na mającymetr grubości szyny transportowe, prowadziły w dół do drzwi śluzy powietrznej,

która pomieściłaby połowę statku. Ciężenie zwiększyło się nagle, drapali się z trudem po boleśnie niewygodnych schodach, po drugiej stronie unieśli się niespodziewanie i wpadli na siebie, to grawitacja spadła ponownie. Gundhalinu przytrzymał Vhanu, zobaczył, jak w jego oczach zagubienie przechodzi w przerażenie.

– Będzie łatwiej – mruknął. Kapitan kiwnął głową i odetchnął głęboko, ruszył bez pomocy.

Obok nich znalazła się brygada Bezklasowców; Gundhalinu usłyszał drwiące śmiechy i mrużane pod nosem obrazy.

– Hej, świeżutcy – ktoś zawołał. – Może przyda się wam trochę pomocy... – jakiś łokieć uderzył Vhanu, rzucił nim na ścianę.

Kapitan odzyskał równowagę, twarz wykrzywiła mu nagła wściekłość, ręka sięgnęła do kieszeni skrywającej broń. Gundhalinu złapał go za ramię, odciągnął, podczas gdy Zarkada chwycił napastnika i wrzucił go między kolegów.

– Może chcesz, bym ci pokazał, w jakich miejscach się zginasz, gnoju... a w jakich nie. – Tilhen podszedł do niego, stanęli obok siebie.

– Hej, to tylko dla śmichu, nic więcej – powiedział robotnik, podnosząc ręce i cofając się tyłem. – Witamy na Kharemough, załosne dupki. Może się tu wam spodoba. Obcy... – splunął. Reszta grupy zdążyła już odejść.

Gundhalinu patrzył za nimi z ręką niby przypadkowo tkwiącą w kieszeni, czując pokrzepiającą twardość ogłuszacza. Głosy robotników zdawały się teraz dobiegać z niewyobrażalnej odległości; ich śmiechy płynęły w tunelu, odbijały się echem, aż wreszcie umilkły.

Donnę ruszyła dalej. Pozostali poszli za nią, tym razem w milczeniu. Vhanu patrzył na twarze mijanych ludzi, jakby szukał czegoś i nie znajdował. Gundhalinu zrozumiał, że spodziewa się on, iż obcy dostrzegą jakąś nieuchwytną różnicę między sobą a nim, iż skłoni to ich do cofnięcia się. Żaden z robotników nie spojrział na nich więcej niż raz.

– Donnę, jak jeszcze daleko? – zapytał Gundhalinu, jego niepokój zwiększała każda mijana, nieznajoma twarz.

– To już w tych magazynach przed nami, panie komendancie – wskazała kobieta.

Gundhalinu odepchnął się od ściany stojącego za nią budynku, zaryzykował dłuższe, szybsze ruchy. Odepchnął się jeszcze raz, nie oglądając się za siebie, by sprawdzić, jak radzą sobie pozostali; skupiał się wyłącznie na dwóch maleńkich światełkach, które ciągle nie zmieniały położenia, i na kierowaniu ku nim własnego ciała.

Nie mógł uwierzyć, że do tego doszło, że wielka głupota braci zmusiła go do zmierzenia się z nimi w takim właśnie miejscu. Poczul nawrót gniewu, ślepa, krwiożercza gorączka wyparła z jego umysłu wszystko poza chęcią znalezienia ich i obdarzenia tym, na co zasługują. Tym razem nic go nie powstrzyma, nic nie udobrucha. Ileż to razy ostrzegał tych niewdzięczników, durniów, wyzutych z honoru głupców...

Doszedł do magazynu. Nigdzie w pobliżu nie było widać żadnych robotników, nic nie wskazywało, by w ciągu ostatnich miesięcy ktoś regularnie korzystał z tego miejsca. Podniósł wzrok na górującą nad nim ścianę budynku, na jej brudnej, metalicznej powierzchni czerwienią i żółcią lśniły oznaczenia, większość nic mu nie mówiła. Przed sobą miał wysoką na pięć piętér, solidnie zamkniętą bramę ładunkową, u jej podstawy niby mysia dziura widniały wąskie drzwi umożliwiające dostęp ludziom. Wyjął ogłuszacz i zmusił się do ponownego sprawdzenia jego naładowania.

Bardziej wyczuł, niż dostrzegł, dołączającą do niego Donnę i trzech mężczyzn. Kobieta próbowała zatrzymać ruszającego Gundhalinu; poprosiła oczyma, by pozwolił komuś iść przed nim. Pokręcił głową. Tablica przy drzwiach wskazała mu, że są one otwarte. Pchnął pomalowane na

czarno metalowe skrzydła; ustąpiły ze zgrzytem, otwały się na ciemność. Wszedł do środka, ostrożnie, lecz bez wahania. Wiedział, że jego serce bije zbyt mocno, a mózg jęczy od adrenaliny, a także to, iż wywołujące owe reakcje uczucia nie mają nic wspólnego ze strachem. Powolne, miękkie kroki Gundhalinu budziły głucho echa, wraz z odgłosami towarzyszy rozchodziły się niby zmarszczki na powierzchni ciemnej wody.

– HK! – zawołał, nikogo nie widząc ani nie słysząc. – SB! – Pozostali ruszyli za nim poprzez przepastne wnętrza, zajęte w połowie przez zagadkowo opisane paki, w połowie przez skrzynie wielkości domów. Zielone plamki, oznaczające ich położenie na planie, zbliżały się nieubłaganie do dwóch nieruchomych, czerwonych światełek. Gundhalinu jeszcze raz zawołał imiona braci, ciągle nie otrzymywał odpowiedzi. Zastanawiał się, co w imię tysiąca przodków wyrabiają. Czemu nie odpowiadają... czemu nie uciekają? Tkwią tu po prostu, czekają w milczeniu, mimo przyłapania na gorącym uczynku nadal go upokarzają, zmuszają, by przyszedł do nich.

Ruszył zbyt gwałtownie, próbując się dostać do następnego sektora ładunkowego, i zderzył się boleśnie z metalową framugą. Odzyskał równowagę, zamrugał oczyma, by widzieć wyraźnie. Gdy wszedł do sąsiedniego pomieszczenia, na widok nakładających się na planie światełek spotniała mu zaciśnięta na kolbie broni dłoń.

Przed sobą ujrzał czerwoną podłogę: mokrą lśniąca plamę, jakby ktoś rozlał kubek z farbą. Gundhalinu wykręcił ciało w nagłej próbie powstrzymania ruchu, lecz mimo to obiema nogami wylądował w kałuży. W jezioro czerwieni spadła gdzieś z góry czerwona kropla, po chwili następna. Broń wysunęła się z nieczułych palców, uderzyła w podłogę, ochlapała czerwienią nogawki Gundhalinu. Podniósł głowę, posuwał się teraz powoli, czas przepływał wokół niego, przymus zaciskał nieubłaganie palce na jego gardle, skłaniał do spojrzenia w górę.

Jego bracia byli tam. Kołysali się pod powałą, zbyt wysoko, by ich dosięgnąć. Wisieli niby mięso w rzeźni, nabici na haki przechodzące dokładnie przez środki ich martwych jak kamienie piersi. Gundhalinu patrzył, jak spadły dwie dalsze krople, jak niby milczące łyzy utonęły w kałuży krwi.

Odwrócił się, zatoczył i wpadł na znajdujące się z tyłu ciała. Ujrzał twarze towarzyszy – Donnę, Zarkada i Tilhen patrzyli z oszołomieniem i zdumieniem, Vhanu z przerażeniem. Kapitan obrócił się i wypadł przez drzwi.

– Zdejmijcie ich – mruknął Gundhalinu, zmuszając się do patrzenia na Donnę. – Znajdźcie kogoś... zdejmijcie ich.

Donnę przytaknęła, skinęła na Tilhena i Zarkadę. Wyszli obaj. Przelotnie zerknęła w górę i wróciła wzrokiem na twarz Gundhalinu. Komendant minął ją bez słowa. Wyszła za nim, kierując się krwistoczerwonymi śladami, zostawianymi przez jego buty.

Znaleźli się na zewnątrz. Gundhalinu zatrzymał się, rozejrzał, zdumiony, że jego oczy patrzą na to samo światło, na to samo otoczenie, co przedtem. Vhanu stał pod ścianą budynku, wycierał usta, oczy miał podkrążone. Komendant odwrócił od niego wzrok, jego własne źrenice były suche jak pieprz. Nie mógł nawet mrugać.

– Czemu? – mruknął do Donnę.

Przycisnęła dłoń do ust i pokręciła głową, dopiero potem spojrzała mu w oczy.

– Nie wiem, komendancie... – Dodała rzeczowo: – Mogę tylko przypuszczać, że zrobili to celowo.

Skrzywił się.

– Bo kody mych braci okazały się bezużyteczne?

– Albo dlatego że byli pana braćmi. Może wszystko było z góry ukartowane. By pokazać, że

choć Bractwo nie ma odwagi występować przeciwko panu, to oni nadal są w stanie... pana skrzywdzić. Przykro mi, komendancie... – Jej głos opadł do szeptu.

Gundhalinu oddychał nierówno, patrzył na własne dłonie zaciskające się w pięści. Odgłosy pracy i postępu huczały, rozbrzmiewały, zgrzytały i jęczały, blisko i daleko, odbijały się echemi wszędzie wokół niego, przenikały go, wciskały do głowy, gdzie nie mogła powstać żadna sensowna myśl.

– BZ... – powiedział ochryple podeszły do niego Vhanu. Gundhalinu poczuł na ramieniu niepewną dłoń kapitana, choć wydawało mu się, że nie odbiera żadnych wrażeń. – Wezwę pomoc. Zawiadomię...

– Nie – przerwała mu Donnę. – Zajmiemy się tym, Vhanu. Bez mieszania Policji. Bez skandalu. Nikt nie chce, by komendanta spotkało coś takiego. Zatrzymamy się o wszystko. Zrozumieliście?

Vhanu długo się jej przyglądał z zaciśniętymi szczękami. Wreszcie kiwnął głową.

– Zrozumiałem – mruknął.

Gundhalinu odwrócił się do Donnę, szukał słów zdolnych wyrazić jej podziękowanie, nie znalazł. Położył dłoń na jej ramieniu, spojrział w czyste, ciemne oczy.

– Jestem wam dłużny...

Donnę uśmiechnęła się przelotnie.

– Idziemy, komendancie. Nie ma na co czekać.

Odwrócił się od nich, od drzwi magazynu ziejących niby otwarta rana, ruszył w stronę ulic.

KHAREMOUGH: Posiadłość Gundhalinu

Gundhalinu patrzył, jak odchodzą ostatni żałobnicy, ubrani w ponure szarości przesuwiają się między żywymi barwami ogrodu. Stał tam, gdzie bez ruchu i uczuć tkwił w czasie całych uroczystości pogrzebowych, tworzył doskonały obraz łaskawej, cywilizowanej nieludzkości. Czekał... nie był pewien, na co. Czekał, aż będzie po wszystkim. Czekał, aż coś poczujesz. Czekał.

Wiedział, co musi zrobić teraz: nie uczynił tego przez cały tydzień spędzony w domu, umyślnie zabijając czas szczegółami i przygotowaniem, które mógł powierzyć innym, rozmowami z ludźmi, pozostawionymi na stanowiskach w krążącej na orbicie stoczni; że to jedno musi być wykonane...

Spojrzał na wznoszący się za nim dwór. Wśród zgromadzonych krzeseł zaczęły już krzątać się roboty, uprzętały wszystko. Obrośnięta winoroślą ściana, wzniesiona z miejscowego kamienia, wyglądała na równie niewzruszoną, co reputacja jego rodu, tak przynajmniej zawsze uważał. Okna załśniły odbitym światłem słońca, zmusiły go do zmrużenia powiek. Blask palił go w oczy, aż barwy ogrodu rozplynęły się niby kolory rozlanego oleju.

Odwrócił się znowu, ruszył po gładkich kamieniach dziedzińca, czując, że coś ścisną mu gardło... stanął.

W dalekim końcu otwartej przestrzeni na tle kolorów ogrodu dostrzegł sylwetkę ostatniego gościa: kobieta, odziana w bezkształtną szarą szatę, o włosach zaczesanych do tyłu, splecionych i spiętych w zręczne płynne fale, przywołujące na myśl skrzydła. Zmienił kierunek, by się z nią spotkać. Nie poruszyła się, czekała na niego – choć wyczuwał, że wstrzymuje ją nie pycha, lecz niepewność.

Jeszcze raz zwolnił kroku na widok jej twarzy.

– Netanyahr-kadda – mruknął ze zdumieniem, gdy poznał dawną właścicielkę jego posiadłości.

Skłoniła głowę, podniosła ją znowu, gdy pokonał resztki dzielącej ich przestrzeni.

– Gundhalinu-sathra – powiedziała, przez chwilę nie mógł myśleć, dlaczego w jej głosie jest taki żal, w spojrzeniu takie współczucie. – Wymogłam na zaproszonym gościu, by zabrał mnie ze sobą... mam nadzieję, że mi wybaczycie ponowne nadużycie swej dobrej woli. Nie chciałam wam przeszkodzić, lecz – zobaczyć się z wami. Złożyć wam swe kondolencje... – mówiła pośpiesznie, czuła, jak zmienia się ton jej głosu. – Było mi strasznie przykro, gdy usłyszałam o wypadku waszych braci.

Niech ci nie będzie, niemal jej powiedział.

– Chciałam, byście wiedzieli, że nie zapomniałam o was – o waszej niesłychanej uprzejmości wobec mnie. Uważałam, że nie wystarczy wysłanie ogólnych wyrazów współczucia, utonęłyby wśród tysięcy innych. Nie mogłam jednak liczyć, że spotkam was przypadkowo. Dlatego przybyłam, by wam o tym powiedzieć. – Kiwnął potwierdzająco, nic nie powiedział. – A teraz zostawię was samych. – Znowu schyliła głowę i po chwili wahania odeszła.

Patrzył, jak znika między kwiatami; niemal zgubił ją z oczu, gdy wreszcie zdołał wyrwać swe ciało z odrętwienia i zawołał jej imię.

Ruszył ścieżką między rzędami obsypanych złocistym kwieciem krzaków, szedł szybko; zobaczył, jak czeka przy ośmiokątnej, wykładanej niebieskimi i złotymi płytkami fontannie.

– Dziękuję, żeście przyszli – powiedział, nim jeszcze do niej dotarł. Zatrzymał się, spojrzał jej w oczy i nagle znowu stracił głos.

Popatrzyła na niego wyczekująco, odwrócił wzrok.

– Netanyahr-kadda... – wykrztusił wreszcie. – Miałem właśnie iść pomodlić się do kaplicy rodowej. – Spróbować. – Byłbym rad, gdybyście zechcieli mi towarzyszyć.

Jej twarz wyraziła zdziwienie, ale kiwnęła głową. Ruszyli razem przez ogrody, prowadzili błąhą, niewinną rozmowę o roślinach i pogodzie. Potajemnie zerkał na jej twarz, dostrzegał w niej tęsknotę, której nie zdołała do końca ukryć. Nie potrafił na dłużej oderwać od niej oczu. Dwór wznosił się na szczycie wąskiego wapiennego wzgórza, jednego z wielu porozrzucanych na starej, niszczonej erozją równinie. Niektóre z nich dostrzegał stąd, niby przysadziste kominy wyrastały ponad soczystą zieleń niziny, na większości zbudowano domy podobne do jego własnego. Mego własnego – obejrzał się nagle do tyłu, zerknął na zajmujący zbocze dwór, znowu przed siebie; poczuł, jak kręci mu się w głowie.

Przed nim widniała rodzinna kaplica, lśniła bielą na skale wznoszącej się nad pionowym stokiem. Nie skrywały jej splątane chaszczce, wyniosłość zapewniała odosobnienie niedostępne dla większości posiadłości. Pandhara Netanyahr zatrzymała się przed ławką przy ścieżce. Spojrzała na niego, przesunęła palcami po misternym oparciu; nie wiedziała, czy ma zaczekać na Gundhalinu, czy chce on jej obecności.

– Nie widziałem posiadłości, odkąd wróciłem na Kharemough... nie postawiłem nogi na tej ścieżce, odkąd przed laty wróciłem do domu, by wstąpić do Policji – powiedział. Odwrócił się do niej, zobaczył, jak siedzi na ławce i patrzy na niego. – Gdy... gdy przychodziliście się tu modlić, co wtedy mówiliście? Ja już nie znajduję odpowiednich słów.

Pokręciła głową, patrząc na kaplicę.

– Ja też nie wiem, co powiedzieć, Gundhalinu – sathra. Kiwnął głową i dalej ruszył sam. Wszedł przez zawsze otwarte drzwi, znalazł się w chłodnym, rozbrzmiewającym echami wnętrzu. Stał, zdumiony wspaniałością światła. Zapomniał, jak światło może... tyle rzeczy zapomniał. Nie było tu okien, blask dnia wpadał przezroczytymi, ceramicznymi ścianami, zamazywał niezliczone, ledwo widoczne imiona wyryte na lśniących, jarzących się płaszczyznach. Znajdowały się tu imiona wszystkich członków jego rodu, nie pominięto żadnego pokolenia, każde było zapamiętane i zapisane, a początki przekazów sięgały ponad półtora tysiąca lat wstecz. Z pewnym zdumieniem zauważył coś, czego nigdy przedtem nie widział – że jego rodzina szczyła się pochodzeniem od Ilmarinena. Dotknął tego imienia, poczuł przeszywający palce dziwny prąd, zadumał, czy to prawda.

Ruszył wzdłuż ścian, przesuwając dłońmi po napisach, zgodnie z upływem lat zbliżał się do teraźniejszości... stanął wreszcie przed imionami rodziców, braci, swoim. Jego własne było jedynym namalowanym na czerwono, farba pokrywała litery... wszystkie pozostałe oznaczały nieżyjących. Długo się w nie wpatrywał.

Wreszcie się odwrócił, skierował do ławeczki na środku pomieszczenia – prostej, gładkiej i lśniąco-białej, teraz pokrytej kurzem zaniedbania. Obok znajdowała się cylindryczna, zamknięta urna o równie nieskalanej bieli i naczynie z kadzidłem. Podeszedł do ławki, usiadł ze szczególnym oporem. Wziął trociczkę i przytrzymał niby kwiat, nim ostro trzepnął w nią kciukiem, zapalił. Zdmuchnął wybuchły nagle ogień, patrzył, jak powietrze wypełnia zapach i gorzko – słodki dym. Stary rodowy aromat przywołał mu na myśl przeszłość, wspomnienia z dzieciństwa, kiedy to siedział w milczeniu na tej samej ławce, a jego ojciec, Pierwszy Przodek, głowa rodu Gundhalinu, pogrążył się w modlitwie.

Ale jego ojciec zawsze modlił się w milczeniu, nigdy się nie dowiedział, jakimi słowami... to wspomnienie nie pomogło mu teraz, gdy próbował wysnuć jakąś spójną myśl. Znowu popatrzył na ściany, tocząc między palcami pałeczkę kadzidła. Dym palił mu oczy sztuczną rozpaczą. W takie miejsce przychodziło się po to, by odczuć dumę, tradycję, medytować o osiągnięciach swego rodu; czcić doskonały ład, w którym wszyscy znali swe miejsce, a twoje jest zawsze najwyżej... nazywać to sprawiedliwością.

Ale już w to nie wierzył, dawno przestał tak myśleć. Co ma teraz zrobić? Prosić o wybaczenie? Dla kogo? Dla siebie, za zatracenie wiary, a może za dostrzeżenie prawdy? Za ojcowską niezdolność do działania, za tchórzostwo, sprzedajność i chciwość braci, za krańcowy upadek i hańbę ich śmierci? Upuścił kadzidło, pozwolił mu dymić u stóp. Powinien zapłakać. Był ostatnim z rodu i żył w kłamstwie. A płakać nie mógł, nie czuł rozpacz, nie czuł już nic. Przypomniawszy sobie chwilę, w której dowiedział się o śmierci ojca – był wtedy daleko stąd, na Tiamat. Przypomniawszy sobie matkę, z twarzą zamazaną przez czas, jak całowała go na dobranoc i porzucała w różowym blasku świtu. Wyobraził sobie wiekowego ojca, opartego o rzeźbiony okap kominka w głównej sali, oczyma lśniącymi jak granaty upominającego najmłodszego syna za przywłaszczenie miejsca jego braci, za plucie na ideały, których uczono go szanować... Zmusił się do ujrzenia braci wiszących jak tusze w rzeźni.

Uświadomił sobie, że ma mokrą twarz, pokrytą tym razem prawdziwymi łzami. Płakał z żalu nad sobą. Zawstydzony, wytarł policzki. Bogowie... jestem taki zmęczony. Powoli wstał, odsunął wieko stojącej przy ławce urny. Wypełniały ją popioły – popioły przodków, każda śmierć dodawała szczyptę, resztę rozsypywano na wietrze. Zanurzył palec w popiele, namalował na czole wymaganą smugę żałoby.

Opuścił kaplicę, oczyścił płuca głębokim wdechem i ruszył z powrotem wąską ścieżką. Pandhara Netanyahr nadal siedziała cicho na ławce, patrzyła na drugą stronę doliny. Nie podniosła oczu na podchodzącego, zrobiła to dopiero wtedy, gdy powiedział miękko – Netanyahr-kadda.

Zaskoczona, spojrzała na niego, lekko kręcąc głową, jakby widok pochłonął ją całkowicie.

– Tak – powiedział w odpowiedzi na jej spojrzenie – pięknie tu, prawda? – Usiadł na ławce obok niej.

Spojrzała nań trochę dziwnie; zrozumiał z zakłopotaniem, że oczekuje umyślnego zlekceważenia. Nie znalazła go jednak i znowu rozpogodziła oblicze.

– Dziękuję wam, żeście pozwolili mi przez chwilę cieszyć się towarzystwem tego miejsca. Mam wrażenie, że w pewnym sensie jest moim starym kochankiem. Rozstanie było bolesne, ale na zawsze będzie nas łączyło coś szczególnego.

Usłyszał melancholię w jej głosie, opuścił wzrok.

– Tak, chyba wiem, co macie na myśli. – Spojrzał w stronę dworu, wznoszącego się nad ogrodami niby szczyt wzgórza. – Czuję to samo, odkąd wróciłem do domu.

– Ale teraz jesteście głową rodu?

Głową rodu. Usiadł, pomyślał smętnie, co ma zrobić, teraz, gdy jest... gdy wszystko, co zobaczył, wszelkie dumne szczegóły, z bolesną wyrazistością przywołujące wspomnienia jego dawnego życia, wszystko to jedynie wcierało sól w rany jego gorczy. Choćby nawet pamiętał jedynie o szczęśliwych chwilach, to i tak nie mógłby zostać tu dłużej niż na kilka dni. Potem wróci na górę – do stoczni, do sal rządowych i kwater Policji. Gdy już pochłonie go praca, do tego miejsca będzie przybywał tylko na krótko, bardzo rzadko, jeśli w ogóle. A potem znajdzie się na Tiamat i tylko bogowie wiedzą, czy kiedykolwiek zdoła tu wrócić... Przycisnął dłoń do oczu, położył rękę na oparciu.

– Gundhalinu – sathra... – Netanyahr wstała z ławki, jakby uważała, że jej słowa mogą urazić. Dotknęła na chwilę jego ramienia. – Nie powinnam była zostać. Przepraszam...

– Nie odchodźcie. – Złapał ją za rękę, gdy zamierzała odejść.

Odwróciła się, usiadła ponownie, spojrzała nań w milczeniu.

– Cieszę się, że mam towarzystwo nie związane z żadnym pilnym obowiązkiem – zmusił się do uśmiechu. – Nie chcę wracać do domu. Pełno tam gości i przysłanych kondolencji, wszystkie z dołączonymi usilnymi prośbami o mój powrót...

Uniosła brwi.

– Naprawdę jesteście aż taki niezastąpiony, że nie zostawia wam czasu na żalobę?

Roześmiał się ostro.

– Na pewno nie aż taki, jak zmusiłem ich do uważania... Vhanu mówi, że nie umiem dzielić się władzą. Pewnie mogę winić tylko siebie.

Odgarnęła wyzwolony przez wiatr kosmyk włosów.

– To dlatego dopiero po raz pierwszy zjawiliście się w domu – że macie tyle pracy?

Odwrócił wzrok.

– Częściowo... Może wiecie, że nie byłem w najlepszych stosunkach z moimi braćmi.

Kiwnęła głową, dostrzegł, że zmienił się jej nastrój.

– Zналиście mych braci?

Splotła złożone na kolanach ręce; wyczuł jej nagłe zakłopotanie.

– Spotkałam ich, gdy kupiłam posiadłość. I oczywiście po waszym powrocie z Numeru Czwartego na Kharemough. Gdy zostałam zmuszona do oddania wszystkiego, oni... ja... – Pokręciła głową. – Znałam ich bardzo słabo. – Objęła się ramionami, popatrzyła w dal.

– Co wam zrobili? – zapytał, zmuszając głosem, by znowu na niego spojrzęła.

Zmierzyła go złotawobrazowymi oczyma.

– Wasz brat, SB, powiedział mi, że mogę zostać w posiadłości, mieszkać tu i pracować – jeśli zgodzę się spać z nimi oboma i robić wszystko, co mi każą. Próbowałam to robić... dopóki nie przekonałam się, jakie mają upodobania. – Zacisnęła dłonie na ramionach.

Gundhalinu odwrócił wzrok, zaklął pod nosem.

– To nie wasza wina, Gundhalinu – sathra – powiedziała łagodnie. – Chociaż... przyznaję, że w swoim czasie tak uważałam.

Znowu na nią spojrzęła.

– Czy pamiętacie, jak zareagowałem, gdy wasz garnek z pomy – jami wylądował na moich braciach, a nie na mnie?

– Śmiałyście się – powiedziała, w jej oczach pojawiło się zrozumienie.

– Bracia próbowali mnie zabić na Numerze Czwartym. Spojrzęła na niego, zamrugęła.

– Czy wiecie coś o Końcu Świata? Kiwnęła głową.

– Tam znaleźliście plazmę napędu gwiazdowego. Tak, sieci wiadomości ciągle się tym zajmowały po waszym powrocie. To niewiarygodne miejsce... przerażające.

– Moi bracia zaginęli tam, usiłując zdobyć bogactwo. – Spojrzęła na matową, zielononiebieską kopułę nieba, zastanowił się nagle, co skłoniło jego braci do podjęcia równie szalonego zamiaru. Rozmyślał, czy naprawdę mieli szansę, o wszystkim, co stało się później. – Wyruszyłem, by ich znaleźć. Przyprowaździłem z powrotem. Ale to, co spotkało tam ich – nas wszystkich – sprawiło, że się zmienili. Zepsuli. Wszystkie ich cechy, których nie lubiłem i którymi pogardzałem, stały się jeszcze gorsze. Moi bracia chcieli zatrzymać plazmę napędu gwiazdowego jako łup. Nie zgodziłem się. Napadli mnie z nienacka i zostawili, bym umarł. Zdołałem jednak ich powstrzymać. To pewnie zachowało mnie przy życiu: pragnienie powstrzymania ich...

Wreszcie, nagle, poszukał widoku jej twarzy.

– Po dojściu do siebie zacząłem uważać, że to ciężkie przeżycia sprawiły, iż postąpili równie podle, że wszystko ulegnie poprawie, gdy wrócę ich do dawnego trybu życia. Sam tyle przeszedłem... myślałem, że wiem już wszystko o życiu. Pomyliłem się. – Pokręcił głową. – Przyczyną śmierci moich braci nie była awaria łaźnika. Zostali zamordowani, gdy próbowali sprzedać przestępcom tajne dane – dane zdobyte poprzez użycie skradzionych mi kodów. – Nagle zaczął tracić

dech. – Bogowie, musiałem to komuś powiedzieć... komuś, kto zrozumie. Niech mi wybaczą święci przodkowie.

– Powiadają – mruknęła Netanyahr – że różnica między przyjaciółmi a rodziną polega na tym, że przyjaciół wybieramy sobie sami... – Poczul, jak kieruje doń nieśmiały uśmiech.

Spojrzał na nią znowu – spostrzegł ze zdumieniem, że jej oczy błyszczą, aż za bardzo. Zachowywała całkowity spokój, jakby choćby mrugnięcie okiem mogło wyzwolić uczucia, jakich nie chciała wyrażać. Wreszcie odetchnęła głęboko i wygładziła fałdy sukni. Świat wrócił na miejsce i Gundhalinu zauważył ponownie, jaki to piękny wiosenny dzień. Poczul grzejące go w plecy słońce, patrzył, jak pod wspaniałymi falami jej włosów kołyszą się na wietrze lekkie jak piórko srebrne płatki jej jedyne, prostego kolczyka. Powietrze wypełniał szum liści, śpiew ptaków. Popatrzyła na krajobraz.

– Netanyahr-kadda... – Zacisnął usta, powstrzymując się od pragnienia zawołania jej po imieniu. Spojrzał na górujący nad ogrodem dom, ziarno myśli, zasiane w nim przez pierwsze spotkanie, wypuściło wreszcie korzenie postanowienia. Szukając odpowiednich słów, właściwej ich kolejności, powiedział wreszcie.

– Mam dla was propozycję dotyczącą posiadłości – i mnie.

Spojrzała na niego, jej wzrok wyrażał konflikt między dwoma całkowicie sprzecznymi z sobą uczuciami. Wstała z ławki.

– Uważacie, że to dlatego tu przyszedłem? By sprawdzić, czy jesteście taki sam, jak wasi bracia?

– Jeśli nie, to dlaczego? – zapytał, gardząc sobą za to pytanie.

Przygryzła wargę, spojrzała na niego. – Myślałam... – Urwała. – Przyszedłem tu, bo wiedziałam, że nie jesteście tacy jak oni. Myślałam, że powodowała mnie przyczyna, którą wam podałam. Ale kto wie...? – Odwróciła wzrok, napełniła oczy pięknem otoczenia.

– Któż naprawdę wie, czemu robimy tak, a nie inaczej?

– Pandharo – chcę, byś za mnie wyszła.

Otworzyła usta w zdumieniu. Roześmiała się krótko.

– Będzie to małżeństwo z wyrachowania – mówił dalej, nim zdążyła się odezwać. – Tylko o to proszę... tylko tego potrzebuję.

– Nie rozumiem – powiedziała cicho. Usiadła znowu. – Jesteście teraz głową rodu. Dlaczego?

– Bo to niemożliwe. Nie chcę odpowiedzialności, nie chcę – wspomnień. – Pokręcił głową. – Bogowie... mimo wszystko nadal kocham to miejsce. Nie mam jednak dla niego czasu. Nie mogę tu mieszkać. Moje życie tkwi tam. – Wskazał na niebo. – Gdy będą już gotowe pierwsze statki, polecę na Tiamat. I nie sądzę, bym kiedykolwiek wrócił. – Znowu na nią spojrzał. – Potrzebuję kogoś, kto zajmowałby się tym za mnie: troszczył o me dziedzictwo, posiadłości... o moje nazwisko.

– A co z wyrokiem? Nie wolno mi poślubić Technika. – W jej słowach zabrzmiał ślad zapamiętałej złości.

– Oskarżenia były niesłuszne, dowody niewystarczające... Zajmę się tym. – Odwrócił wzrok.

– Ledwo mnie znacie – powiedziała głosem odzyskującym spokój. – Na pewno znajdziecie jakąś przyjaciółkę, kogoś ze swej klasy...

Wzruszył ramionami.

– Nie taką, którą by to miejsce obchodziło równie mocno, co mnie... czy ciebie. Znasz je lepiej, niż sądzisz. Po pierwszym spotkaniu dowadywałem się o ciebie, byłem – ciekawy. Jesteś inteligentna, dobrze wykształcona, twórcza, a twoje maniery są nieskazitelne.. przeważnie – uśmiechnął się. – Wydajesz się całkowicie godna noszenia nazwiska mego rodu. Już dawno temu przestałem wierzyć, że klasa i pozycja mają jakiegokolwiek znaczenie. By się o tym przekonać,

wystarczy spojrzeć na moją rodzinę.

– Macie na myśli... ? – Spojrzała na niego. – Macie na myśli, że nie ma żadnych... żadnych...

Kiwnął głową.

– Nie wiążą się z tym żadne warunki.

Przycisnęła dłoń do ust, pokręciła głową, potem opuściła rękę na kolano i zostawiła.

– Nie wierzę własnym uszom. – Głos miała niepewny.

– Bo rzadko spotykamy się ze sprawiedliwością – powiedział łagodnie.

Zerknęła na wiszącą na jego szacie koniczynkę, nim znowu spojrzała mu w oczy.

– Gundhalinu-ken... – mruknęła.

Uśmiechnął się.

– Powiedzieliście, że to będzie wyłącznie małżeństwo z wyrachowania?

Kiwnął głową.

– Prosiłbym jedynie, bym do wyjazdu na Tiamat mógł niekiedy przenocować tu w pokoju gościnnym, jeśli w ogóle znajdę czas na odwiedzinę domu. O nic więcej. Będziesz mogła prowadzić takie życie, jakie zapragniesz.

Spojrzała na niego badawczo.

– Nie uważałabym za wyrachowanie dzielenie z wami małżeńskiego łóża – powiedziała i położyła mu dłoń na ramieniu. – Jeślibyś tego chciał.

Odwrócił się, poczuł, że twarz pali mu rumieniec.

– Nie. Wszystko w porządku. Zrobilibyście mi, zrobiłabyś mi zaszczyt, ale nie mogę.

– Czy to dlatego? – Pogładziła palcami koniczynkę. – Myślę, że przy ostrożności nie grozi zakażenie...

Pokręcił głową.

– To nie dlatego.

Puściła oznakę sybilli.

– Rozumiem – szepnęła, odwracając głowę, choć wiedział, że nic nie pojmuje.

Dostrzegając jej smutek, ale nie mógł się przełamać i wyznać prawdy komuś, kogo ledwo zna.

– Bardzo bym jednak chciał, żebyśmy zostali przyjaciółmi – powiedział. – Czy to możliwe?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Nagle zaczynam myśleć, że wszystko jest możliwe.

Gdy wstali z ławki, wzięła go za rękę, przytrzymała mocno, jakby podczas długiego powrotu do domu musiała mieć dowód jego istnienia.

TIAMAT: Krwawnik

Tor Starhiker zeszła ze stopni swego mieszkania w tyle Restauracji Stazja, zajmującej cały parter domu. Ubrana w zmysłowy, czuciowy kombinezon – jeden z niezliczonych strojów z dawnych czasów, które Shotwyn wygrzebywał bez trudu z bogowie tylko wiedzą jakich szaf – niemal przekonała siebie, że dobre dni jeszcze nie przeminęły. Nie ma dwóch zdań, nigdy nie żyło się jej lepiej niż wtedy, gdy prowadziła Piekło Persefony...

Zerknęła na swe odbicie w lustrze zawieszonym dyskretnie na dole schodów, zmierzyła się ze swym obecnym wyglądem. Jej niegdyś mocne ciało zmieniło się z czasem, zaokrągliło przez lata i dobrą kuchnię Shotwyna. Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że lubi te zmiany. Może dlatego, że Shotwyn, gdy miał humor, nazywał ją rozpustnicą, a może po prostu obfitsze, bardziej miękkie kształty tak wypełniały jej ubrania, że czuła się w nich elegancko, a nie śmiesznie.

Zmusiła się do ponownego przyznania, że choć może nie tego spodziewała się po przyszłości, to przynajmniej jest jakąś i może się jej przyglądać. A teraz zaczęli nawet gadać, że nadchodzi Tysiąclecie, że pozaziemcy zdobyli swój legendarny napęd gwiazdny i za kilka lat wrócą na Tiamat. Nawet w najdzikszych snach nie marzyła o doczekaniu tego dnia. Okazało się, że jej życie nie jest wcale takie nudne i śmierdzące rybami, jak się tego obawiała.

W gruncie rzeczy pachniało wyjątkowo ładnie, poczuła to, odchodząc od lustra. Wciągnęła głęboko powietrze. Oprócz własnych perfum – dawno temu w chwili namiętnego kaprysu zrobionych przez Shotwyna z mieszaniny ziół i kwiatów – oraz sporządzonego dziś sosu i zupy w ciepłym, gęstym powietrzu wyczuwała jakiś inny niebiański aromat. Rozejrzała się po słabo oświetlonej sali wypełnionej pierwszymi tego wieczoru gośćmi. Lampa blaskowa nie była może szczytem techniki, ale jej światło było bardziej łaskawe dla wszystkich tych podstarzałych twarzy, a nawet pozaziemcy lubili szczyptę wiejskiego smaku, mieli dzięki niej wrażenie, że na tej dziwnej, zacofanej planecie doświadczają czegoś egzotycznego.

Podniosła kartę z wieczornym jadłospisem i patrząc na nią, ruszyła w stronę kuchni. Zawsze ją drażniły kwieciste nazwy, przeładowane ledwo możliwymi do wymówienia wyrazami z obcych języków, choć wiedziała, że tak trzeba; jak powtarzał Shotwyn, stanowią część nastroju. Musi go poprosić, by do każdej nazwy dodawał rzeczowy opis, większość klientów nie potrafiła już biegle mówić tymi językami, jeśli w ogóle je kiedykolwiek znała.

– Na bogów...

Po zamknięciu za sobą drzwi do kuchni usłyszała lekko nosowy, podniesiony w zdenerwowaniu głos Shotwyna. Nie zauważył jej przybycia i w drugim końcu pomieszczenia machał rękoma, krzycząc na jednego z pomocników, który czymś się mu naraził. Jego nieszczęsną ofiarą był Brannod, koczowniczy Zimak, wraz z bratem najęty przez nią do sprzątanania i zmywania naczyń.

Miasto ostatnio roilo się od koczowników; zagubieni, oszołomieni ginęli z głodu, jeśli ktoś się nad nimi nie zlitował i podobnie jak ona nie dał prostej pracy. Najgorsze było to, że nie mieli pojęcia, jak mało potrafią, czyniło to ich gorszymi od Letniaków. Podczas stu pięćdziesięciu lat panowania Królowej Śniegu i Hegemonii wielu z nich, poprzez handel i rabunek, uzależniło się od pozaziemców, w przeciwieństwie jednak do Zimaków z miasta czy wybrzeża ich wiedza techniczna była bardzo powierzchowna. Byli równie ograniczeni i przesądni co Letniacy, lecz w przeciwieństwie do tamtych tracili własne tradycje, aż wreszcie nie potrafili już żyć poza swymi ziemiami. Stopnienie śniegów zmusiło ich do zejścia na wybrzeże, a w końcu do trafienia do miasta.

Ci dwaj byli w porządku, ani zbyt bystrzy, ani zbyt tępi, a głód sprawiał, że pracowali gorliwie, choć niezbyt dobrze. Do robót wymagających większych umiejętności lub obycia wynajmowała

Zimaków wychowanych w mieście.

– O co chodzi, Shotwynie? – Stała za nim, zobaczyła, jak odwraca się, zaskoczony, dostrzegła ulgę w bladych, niebieskich oczach Brannoda.

– O wszystko! – warknął Shotwyn, kładąc obsypaną mąką rękę na piersi Brannoda i odpychając chłopca. – Idź i przynieś nowe! Potem wszystko posprzątasz! Idioci... – Zachmurzony koczownik poszedł czegoś tam szukać. Shotwyn pogładził włosy omączoną dłonią, bieląc siwiejącą już kasztanową czuprynę. – Jeśli będzie tak dalej, to się poćwiartuję...

– Tylko Kharemoughi ćwiartują siebie – powiedziała spokojnie. – Nie możesz pozwolić, by tęsknota za przeszłością zaprowadziła cię za daleko.

Prychnął.

– Moja droga, chodzi o płacenie rachunków.

– Choćbyś się nawet zabił przez stłuczenie zastawy, to i tak nie zapłacimy większych rachunków. A co właściwie zjemy dzisiaj?

– Krem z okrucichów zastawy.

– Zamówimy repetę – zobaczyła, że uśmiecha się niechętnie. Jego długa, ponura twarz młodziła w takich wypadkach o dziesięć lat, lecz mimo to rzadko się rozchmurzał. Często powtarzał, że tego nie czyni, bo jest artystą. – Wytlumacz mi też menu, dobra? Co to jest? – Wskazała na jakiś wyraz z hieroglifem.

– To sandhi – wyjaśnił Shotwyn z denerwującą wyższością. – Główny język na Kharemough.

– Wiem – powiedziała z anielską cierpliwością. – Ale co to znaczy?

– "Ryba", to jasne – mruknął krzywiąc się i odwracając. – To znaczy "ryba", po prostu. Wszystko znaczy "ryba". Wymowa dowolna. – Machnął z rozpaczą ręką, gdy przestraszony Brannod podszedł do niego z kubłem i szczotką.

Tor westchnęła i wyszła przez drzwi prowadzące do jadalni. Gdy miał takie humory, nie warto było z nim rozmawiać; coraz częściej mu się to zdarza, pomyślała z gniewem. Przywoławszy na twarz szeroki powitalny uśmiech, weszła do sali wypełniającej się wcześniej przybyłymi gośćmi; większość, przychodzącą tu regularnie, znała osobiście. Będąc zarządzającą Persefony, musiała nabrać odpowiednich manier, traktowała je jak dziwną rolę, do odgrywania której zmuszał ją prawdziwy właściciel lokalu – udawała zmarłą kobietę z hologramu, znajdującego się zawsze w mroku, jakim się otaczał niby nocny demon. Noszenie maski Persefony było jedyną zniechęconą przez nią stroną poprzedniej pracy. Po nadejściu Zmiany porzuciła wszystko, co mogłoby jej przypominać o chorobliwej imitacji życia kogoś innego.

Nigdy jednak nie zatraciła zdobytych wtedy umiejętności, w tym także sztuki wdzięcznego uśmiechania się bez odpowiedniego do tego nastroju, prawienia pustych komplementów głupawym gościom. Przechodziła między stolikami, witając się i sprawdzając, czy obsługa sprawia się dobrze.

Stała nagle na widok Sparksa Dawntreadera siedzącego przy stoliku w dalekim kącie sali, obok diamentowych szyb wychodzącego na ulicę okna. W tym tygodniu zobaczyła go po raz trzeci. Przedtem był tu tylko raz, pewnie przymusowo, na przyjęciu wydanym z okazji otwarcia lokalu.

Za każdym razem siadał w tym samym kącie, odgradzał się jak tylko mógł odjadających tu tłumów, wybierał towarzystwo książki lub odtwarzacza. Mimo wszystko, udając, że tego nie robi, przyglądał się innym gościom, Zimakom, z którymi się kiedyś nie rozstawał, podobnie, równie ukradkowo, czyniła to Tor.

Zastanawiała się, czemu tu siedzi, skoro nie z zamiłowania czy lojalności, czemu nie przebywa w domu ze swą rodziną... czy coś się popsło między nim a Królową. Nie zdziwiłaby się – bardziej osobliwe, zważywszy na wszystko, co zaszło między nimi, było to, że tyle lat przebywali z sobą.

Przybywając do miasta w poszukiwaniu Sparksa, Moon wierzyła, iż kocha go nad życie. Wszystkich, których spotkała, łącznie z Tor Starhiker, wciągała do walki o uratowanie go i do zmierzenia się z Arienrhod. Było w niej coś sprzecznego z rozsądkiem – może natężenie jej uczuć, może po prostu niesamowite podobieństwo do Królowej Śniegu – co skłoniło Tor do zapomnienia o własnym zdaniu i pomagania naiwnej, świeżo przybyłej z prymitywnej dali dziewczynie, pełnej nieziszczalnych, romantycznych marzeń.

To, że Moon urzeczywistniła owe sny, nie oznacza jeszcze, że w końcu nie zrozumie, iż spełnienie pragnień serca wiąże się niekiedy bardziej z przekleństwem niż błogosławieństwem. Tor zastanawiała się, czy Sparks Dawntreader doszedł do tego samego wniosku, czy teraz siedzi zasepiony, przyglądając się jedzącym gościom, bo czuje się winny, czy tęskni za dawnymi czasami... gdy już zaczynamy żyć po mrocznej stronie, nabieramy ochoty na to, co nigdy nie przeminie. Westchnęła i odwróciła się, by przywitać wchodzących do restauracji nowych gości.

Na ich czele szedł Kirard Set Wayaway ze swą żoną, Tirady Graymount. Jadali tu niemal każdego wieczoru – byli starymi przyjaciółmi Shotwyna, lubiącymi wyszukane, budzące nostalgię potrawy.

Ruszyła, by ich przywitać i zaprowadzić do stolika, gdy spostrzegła, iż zauważyli przyglądającego się im Sparksa Dawntreadera, popatrzyli na niego z rozbawieniem i ciekawością. Mruknęli coś niezrozumiałego z daleka, trącili się łokciami. Od grupy oddzieliła się Tirady i jeszcze jedna kobieta – na polecenie Kirarda Seta, jak dojrzała to Tor – obie podeszły do stolika Dawntreadera.

Zerknął na nie znad lektury, Tor była pewna, iż z zaskoczeniem, lecz nie zdziwieniem. Powitała resztę kolorowo ubranego towarzystwa Kirarda Seta, prowadząc ich do stolika, ciągle ukradkowo zerkając w drugi kąt sali. Zobaczyła dzięki temu, jak kobiety usiadły z obu stron Sparksa, przyjacielsko objęły go, ucałowały w zupełnie nie zdawkowym pozdrowieniu i wskazały na swój stolik. Dawntreader kręcił głową, najpierw obojętnie, potem z niechęcią. Wreszcie wstał nagle, zostawiając obie kobiety, i wyszedł z restauracji.

Kirard Set głośno zacmokał. Spojrzał na zwracającą się znowu do niego Tor.

– Biednemu Sparksowi pewnie nie spodobało się dzisiejsze menu – mruknął z uśmiechem, który nie wiadomo co oznaczał. – Proszę przekazać wyrazy uznania dla szefa kuchni.

– Powiem mu, że tu jesteście – odparła Tor, wystrzegając się wszelkich uczuć w głosie. Nigdy nie przepadała za Kirardem Setem, głównie dlatego, iż wyczuwała, że jej nie lubi. Wiedziała, że patrząc na nią, nigdy, nawet na chwilę, nie zapomina, że choć nie znajduje się już na dworze Królowej, to pozostaje bogatym, dobrze wykształconym ziemianinem, natomiast ona była i zawsze będzie niedouczonego dokerem. Nic tego nie zmieni, ani posiadanie restauracji, ani noszenie kosztownych strojów. Odwróciła się, starając nie słyszeć rozbrzmiewającego za jej plecami drwiącego śmiechu ani nie zastanawiać, czy nie kpią z niej.

Zawołany Shotwyn wyszedł z kuchni, z czerwonymi rękoma i smutną twarzą wyglądał jak więzień, któremu odroczone wykonanie wyroku. Może i lubił przebywać z elitami, ale na pewno nie był snobem. Uśmiechnęła się do niego niemal z dumą.

Podchodziła do stolików nowych gości, potem z Sewą Stormprince, swym dawnym szefem z portu, poplotkowała o oczekiwanym powrocie pozaziemców. Byłej przełożonej wiodło się równie dobrze co jej. Podobnie radziło sobie wielu Zimaków, a nawet Letniaków, którzy nie mając na dobry początek ziemi czy pieniędzy, nadrabiali to charakterem i sprytem. Jak wszyscy oni, bardzo interesowała się nagłą zmianą widoków na przyszłość.

Sewa Stormprince przychodziła tu nie tyle na jedzenie, co do starej znajomej, i Tor doceniała tę

różnicę. Zmusiła się jednak do zakończenia rozmowy i powrotu do stolika Wayawaya i jego przyjaciół. Shotwyn ciągle tam tkwił i jeśli szybko nie wróci do kuchni, zabraknie im potraw nie tylko na własną kolację, ale i dla kilkunastu innych gości, którzy palili się, by wydać na nie śmieszne sumy w używanych na wzór pozaziemców biletach kredytowych.

– Wiecie, nic nie mam przeciwko rodzicom Worina ani jemu samemu, ale wolałabym, żeby się pośpieszyli ze śmiercią, abyśmy mogli uzyskać dla naszej plantacji prawa brzegowe, nim jeszcze pozaziemcy zaczną znowu polować na mery...

Tor udało się jakoś nie skrzywić, gdy piskliwy, napięty głos Kimy Tartree obwieszczał całej sali to, czego nikt z odrobiną oleju w głowie nie wyszeptałby nawet komuś do ucha. Dostrzegła, iż pozostali przy stoliku wzdychają ze współczuciem i ledwo skrywaną pogardą.

– No, to się nazywa walić prosto z mostu – powiedział Shotwyn, gdy Tor stanęła za nim i lekko położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jestem pewny, że wszystkich nas denerwuje, gdy ktoś stanie nam na drodze – powiedział Kirard Set sucho, lecz ze szczególnym zapałem. – Choćby mój krewny, Borah Clearwater, który od lat odmawia mi sprzedaży plantacji, choć daję mu cenę cztery razy wyższą niż na początku i robię wszystko, oprócz czyszczenia jego szamba, by go do tego namówić.

– Czemu więc pan nie zrezygnuje? – zapytała Tor. Spojrzał na nią i znowu odwrócił wzrok.

– Zaczynam uważać, że nie ulegnie – powiedział z głębokim sarkazmem, który jej nie umknął. – Mieszka tam z babką Królowej, nie mogę więc liczyć na jej pomoc. Nie zmartwiłbym się, gdyby ukochana przez Letniaków Matka Morza zdecydowała się zabrać ich oboje na swe mokre łono... – Skrzywił się szyderczo. – Składam jej nawet co wieczór małe ofiary. Jeśli się nie pośpieszy i niczego dla mnie nie uczyni, będę musiał się zwrócić do przychylniejszych bogów, jak czyniła to Arienrhod.

Odpowiedział mu śmiech, od którego Tor przeszły ciarki. Kirard Set znowu na nią spojrział, uniósł brwi.

– Nie uważa pani? – Szarpnęła mocniej za ramię Shotwyna, aż ten wreszcie usłuchał i odszedł z nią w stronę czekającego za podwójnymi drzwiami schronienia.

TIAMAT: Plantacja Ngeneta

Ariele Dawntreader wyskoczyła na powierzchnię zatoki, z ulgą odetchnęła głęboko. Mokre włosy lepiły się do jej twarzy niby wodorosty. Odgarnęła je i oczyściła mruganiem oczy, aż nad dalekim urwiskiem dostrzec wznoszące się na wzgórzu domostwo. Utrzymywała się na wodzie, nie próbując płynąć do brzegu. Płuca ją bolały, ciało miała zdrętwiałe od zimna, lecz było to niczym w porównaniu z nieziemską radością przebywania w morzu.

Obok wynurzyła się Silky, ciągle dotrzymywała jej towarzystwa, choć potrafiła przebywać w głębinie nawet dwadzieścia minut. Ariele, choć zawsze, gdy tylko mogła, w każdej wolnej chwili ćwiczyła wstrzymywanie oddechu, nigdy nie zdołała wytrwać pod wodą dłużej niż dwie minuty.

Ze sprzętem do nurkowania mogła się zanurzać na ponad godzinę. Używała go, gdy była obserwowana lub gdy chciała zapisać pieśni merów z miejscowej kolonii. Wkładając ocieplany kostium i zbiorniki z powietrzem, zawsze jednak czuła się obco; niemożliwa do pominięcia pozwalająca przeżyć błona oddzielała ją od prawdziwego oblicza wodnego świata.

Zawsze pragnęła pływać tak jak teraz, będąc podobnie jak mery zdaną tylko na siebie – marzyła o tym już od dziecka. Trudności i niewygody były niczym w porównaniu z wolnością odczuwaną w morzu.

Zaczerpnęła ostatni głęboki oddech i zanurzyła się pod powierzchnię, nie widząc Silky, wiedziała, że podążyła za nią. Długimi, dokładnymi ruchami ramion opuszczała się w płynne głębie, szarpnięcia nóg przyspieszały schodzenie. Stopiona atmosfera oceanu rozstępowała się przed dziewczyną, Silky okrążała ją w ekstatycznych pętlach. Bez sprzętu nie mogła mówić ani słyszeć pieśni czy słów merątko, czuła je jednak na skórze w postaci dziwnych drapań. Puszczona swobodnie wyobraźnia Ariele przekształcała je w dziką, ognistą muzykę gwizdów, jęków i głębokich jak dzwon pohukiwań, syrenią pieśń legend i marzeń stanowiących sedno życia merów. Przy Silky czuła się jak z najbliższym przyjacielem, akceptującym ją bez najmniejszych wahań czy wymagań. Nie przeszkadzało jej, iż mieli z sobą równie mało wspólnego, co ich światy; w chwilach spotkań rozumieli się całkowicie i nie potrzebowali niczego więcej.

Wody zatoki były dziś przejrzyste i promienie słońca wnikały w niebieskozielone głębiny, oświetlały dno pokryte szalonymi wzorami z gąbek i jaskrawymi skorupiakami. Ariele żałowała, iż w zatoce nie ma innych merów, trudno było sobie wyobrazić lepszy dzień do patrzenia, jak się poruszają, podparte niewidzialnymi dłońmi Morza. Ich niewymuszona gracia i ściskające serce piękno były niby błyski w oczach ukochanego; przebywając wśród nich, czuła się zanurzona w wiecznej tajemnicy istnienia ich i morza.

Będąc z merami w oceanie, zdając sobie sprawę z własnych ograniczeń, z głębokim współczuciem wyobrażała sobie chwile, które spędzały na lądzie, gdzie ich ciała okazywały się niezgrabne, niezdarne i niezdolne do swobodnego poruszania. Silky mogła tam wraz z nią odbierać piękno deszczu i morza, przyjemności dawane przez ciepły piasek i miękką trawę, odczuwać następujące po sobie pory roku, wiecznie zmienne, odmierzające płynące stale dni życia, lecz prawdziwym domem merów na zawsze pozostanie morze. Podobnie jak przynależni lądowi ludzie, mery mogły tylko na krótko balansować na wąskiej krawędzi między dwoma oddzielnymi światami.

Ariele zastanawiała się często, czy Silky pragnie zostać stałą częścią świata jej przybranej rodziny. Przypuszczalnie nigdy się o tym nie dowie, tak jak nie miała pewności co do innych doznań odbieranych przez merątko; prawdopodobnie nigdy nie zdoła je o nie zapytać. Odkąd jednak znalazło się w jej życiu, marzyła o zostaniu częścią tego wodnego świata, zamianie swej skóry na gęste cętkowane futro, tak by nigdy już nie musieć opuszczać morza... co powinna uczynić teraz, o wiele za

wcześniej. Jej płuca bólem domagały się oddechu i znowu ruszyła w górę. Wyczerpanie i bezlitosne zimno zmuszały ją do powrotu do świadomości. Wkrótce trze – ba będzie się poddać, wrócić do świata, do którego naprawdę należy, do świata, w którym czuła się dużo bardziej obco, aniżeli w tym...

Jerusha PalaThion stała obok męża na szarym, starym nabrzeżu zatoki. Niespożyte drobne fale sięgały do kostek nóg odzianych w wysokie buty ze skór klee i rozbijały się o brzeg. Z tyłu, wyżej na wzgórzu, robotnicy budowali nowy pomost, opierali go na pontonach, by mógł się wznosić wraz ze wzbierającym poziomem wody. Jerusha ciągle nie mogła się nadziwić, iż podczas jej pobytu na Tiamat morze, zasilane przez topiące się lodowce i spływające śniegi, podeszło w górę o dziesięć centymetrów.

Zdumiewało ją, że przebywała tu przez wszystkie te lata... że minęło już ich ponad trzydzieści. Spędziła na Tiamat najlepszą część życia; tak długą, iż zaczęła je odmierzać obcymi rytmami tej planety, że jej ciało zapomniało już o odmiennym cyklu Newhaven. Teraz mogła już uważać ten dzień za dostatecznie ciepły, by móc wyjść na wiatr bez otulania się w swetry.

Zimne zielone morze przestało już przesładować ją swą bezlitosną wszechobecnością, która skłaniała Tiamatańczyków do uznania jej za boginię. Jerusha dostosowała się do rytmów miejscowych pływów i podwójnych słońc, bez zdumienia patrzyła na nocne niebo niemal równie jasne, co wydłużające się dni. Jej pamięć przestała już przywoływać widoki Newhaven, jego nie kończących się miodowych dni, oślepiającego nieba, chłodnych, orzeźwiających nocy, podczas których dziedzińce przepelniał aromat kwitnących wówczas kwiatów. Jakaś niecierpliwa cząstka jej umysłu pytała ciągle, dzień po dniu, kiedy wreszcie zrezygnuje z niemądrych prób życia na obcej planecie i wróci do domu. Miała już za sobą okres bezsenności powodowany inną długością dnia na Tiamat, lata pełne wątpliwości i żalów, potrafiła nawet spać w nocy. Przycisnęła się mocniej do napawającego otuchą ciała męża, poczuła, jak ją obejmuje, przygarnia czule i mocno.

Wróciła myślami do terażniejszości, gdy Miroe wskazał coś nagle i zobaczyła, jak woda pod jej stopami zaczyna kipieć od pęcherzyków powietrza. Wychyliła się za barierkę, zajrzała w zielone głębie, z której niespodziewanie wynurzyły się dwie głowy – w tym tylko jedna ludzka: Ariele Dawntreader i Silky. Dziewczyna odrzuciła do tyłu włosy, zaczerpnęła głęboko powietrza i roześmiała się radośnie na ich widok.

– Ariele! – zawołał Miroe. – Na wszystkich bogów – nie wzięłaś żadnego sprzętu! – Wskazał na stos jej rzeczy zwalonych w miejscu, gdzie pomost nagle skręcał w prawo. – Niech cię licho, dziewczyno, zamarzniesz na śmierć albo się utopisz.

– Na pewno nie, wujku. Czuję się wspaniale! Zresztą Silky nigdy by na to nie pozwoliła, prawda, kochana, milutka? – Przeszła w wibrujący gwizd, odezwała się w mowie merów równie teraz dla niej bliskiej, co język ludzi. Objęła ramionami szyję dorastającego merątka. Silky zbliżyła nos do jej twarzy i nagle kichnęła. Ariele zaśmiała się ponownie, puściła ją i jednym płynnym ruchem wciągnęła się na pomost. Miała na sobie jedynie przemoczoną długą szatę spodnią.

Jerusha zakryła ręką twarz, by nie patrzeć na oblicze męża, nie okazać mu swego uśmiechu.

– Ćwiczę wytrzymałość, wujku Miroe – powiedziała Ariele z uporem i naganą. – W zatoce i tak nie ma innych merów, nie miałam co nagrywać. – Z sinymi wargami podeszła do narożnika pomostu, usiłując skryć drżenie, ściągnęła z barierki gruby sweter i ciężkie spodnie, by je następnie nałożyć na mokrą bieliznę.

Miroe pokręcił głową z widocznym niezadowoleniem, ale nic nie powiedział. Wzdłuż wybrzeża na północ od Krwawnika płynął ciepły prąd, dzięki czemu tereny te nadawały się do zamieszkania nawet podczas Zimy. Wraz z nadchodzeniem Lata podnosiła się średnia temperatura wody, choć

ciągle trudno ją było uznać za znośną. Ngenet spojrział na pustą zatokę, już przedtem nie mieli wątpliwości, że merów w niej nie ma. Mimo wielu lat badań ich znikanie i przybywanie pozostawało tajemnicą dla próbujących je zrozumieć ludzi.

– Cześć, Silky. – Jerusha zagwizdała znaną jej już melodię pieśni, przykucnęła i wyciągnęła rękę do podpływającego merątka. Silky precyzyjnie głowę między przegniłymi poręczami pomostu, musnęła pyszczkiem twarz Jerushy i zaskrzeczała miękko, gdy ta ją objęła. Gęsta, miękka sierść przypominała w dotyku gruby aksamit, mokry lub suchy, zawsze czuć ją było czystym, świeżym zapachem morza.

Miroe przyklęknął obok żony. Jerusha niechętnie zrobiła mu miejsce, gdy Silky obdarzyła go mokrym, czułym dotknięciem, jej szczeciniaste wąsy drapały go, aż się roześmiał. Merątko przyglądało się im obojgu, ciągle jęcząc z zadowolenia, Jerusha rozpoznała w tym mruczeniu fragmenty piosenek, jakie śpiewano Silky, gdy była na tyle mała, by mocją trzymać na rękach.

Dawno już zbyt wyrosła, by tak ją nosić, choć mery dojrzewały niemal równie wolno, co ludzie. Ciągle jednak lgnęła do nich jak do swoich rodziców, ciągle robiła długie, znojne wędrówki w górę stoku, by każdego wieczoru wchodzić do domu; ciągle sypiała na stosie poduszek ustawionych u stóp prowadzących do sypialni schodów, po których nie mogła się już wspinać. Wypełniała w ich życiu równie głęboką pustkę, co oni w jej. Stali się jej rodziną... dzięki temu, jak wkroczyła w ich życie, nauczyła, jak mają się nim dzielić z nią i z sobą nawzajem. Jerusha wiedziała, że pewnego dnia Silky nie przyjdzie do ich domu, opuści ich i na zawsze wróci do morza – musi to uczynić, powtarzała sobie po raz tysięczny. Jak każde ludzkie dziecko...

Silky mogła ich opuścić już niedługo. Przed kilku laty przybyła do portu kolonia merów, żyły w dziwnej symbiozie z zastaną tu przedstawicielką swego gatunku. Nie mogła jeszcze odejść, dlatego zostały i one, osiadły na wysepce leżącej dalej na północ wzdłuż wybrzeża plantacji, gdzie kiedyś zamieszkiwała kolonia zimowa. Przyjęły Silky do swej szerokiej rodziny, nauczyły ją śpiewać własny wątek w szerokiej wstędze pieśni merów. Spędzała z nimi coraz więcej czasu, ciągle jednak, ku wielkiej uldze Jerushy, nad więzami krwi przeważało przywiązanie do przybranej rodziny. Kolonia w końcu to zrozumiała i mile witała ludzi, którzy nakładali sprzęt nurkowy i z urządzeniami nagrywającymi przybywali do ich tajemnego świata.

Kiedyś jednak Silky to nie wystarczy, tak musi być. Koniec Zimy przetrwało niewiele kolonii merów, dobrze, że jedna z nich zdecydowała się odwiedzić ten brzeg. Zbyt już długo jego wody wypełniały jedynie wspomnienia; przybyłe z wysp Lata mery zmieniły wszystko na lepsze.

A teraz wracają pozaziemcy, by zmienić wszystko na gorsze. Myśl ta zjawiała się nagle u Jerushy, jak zdarzało się to niemal codziennie, wypełniła ją chłodem i strachem. Dotknęła swej twarzy, znaków, jakie pozostawiły na niej lata, potarła czoło, jakby zmarszczki dawały się zmieścić niby pajęczyna. Wraca Hegemonia, którą porzuciła, wraca z nią BZ Gundhalinu, tak przynajmniej powiedziała Moon... nie miała pojęcia, co to oznacza dla nich wszystkich.

Ariele wróciła do nich, przykucnęła przy merątku, zaczęła gwizdać i świstać. Jerusha odsunęła na następny dzień myśli o przyszłości i przeszłości, z radością i zdumieniem przyglądała się dziewczynie – była urodzonym aktorem, lepiej niż ktokolwiek potrafiła naśladować dźwięki pieśni merów. Więcej nawet, instynktownie odbierała sposoby, w jakie postrzegały świat. Wyczuwała ich obawy, radości i zainteresowania, czyniła to niesamowicie dobrze.

Jerusha zauważyła to już wtedy, gdy Ariele była dzieckiem, gdy zobaczyła, jak traktuje osieroconą Silky, łagodność i troskliwość dziewczynki, niemożność oddzielenia jej od merątka, dopóki się nie upewnili, iż przeżyje. Spędzała tu, w morzu, wśród merów, każdą wolną chwilę.

– Mery uratowały kiedyś przed utonięciem twą matkę – powiedział Miroe, patrząc na Ariele i

znovu na wodę. – Choć nie mówię tego, aby cię zapewnić, że będziesz miała takie samo szczęście.

Ariele spojrzała na niego.

– Czy było to jeszcze na wyspach? Wypadła z łodzi? – Zaśmiała się dziwnie.

– Nie... niezupełnie. Statek przemytników techniki, którzy zabrali ją z planety, został zestrzelony przez Hegemonię, gdy próbował dotrzeć do mojej plantacji. Rozbił się o morze. Mery znalazły twą matkę i nie pozwalały utonąć, dopóki jej nie znalazłem.

– Naprawdę? – Szczupła, ogorzała od słońca Ariele usiadła na pomoście, podciągnęła kolana pod brodę. Jerusha nagle przypomniała sobie jej matkę, niewiele co wtedy starszą niż ona teraz, rozumiała, jak bardzo widok córki Moon przywołuje u Miroe widok innej dziewczyny. – Wujku Miroe, czy byłeś przemytnikiem techniki? – Oczy jej rozblęły. – Myślałam, że poznałeś matkę poprzez ciocię Jerushę. Czy było to ciekawe życie?

– Twoja matka nigdy ci nie opowiadała? – zapytał lekko zdziwiony.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... ciągle tylko powtarza, że musi coś zrobić, bo jest sybillą, że nie jest Arienrhod... Nie lubię o tym słuchać. – Odwróciła wzrok, jej twarz zachmurzyło coś ciemniejszego niż niecierpliwość. – A tata nie znosi mówienia o dawnych czasach. – Pokręciła głową. Silky przycisnęła brodę do bosej stopy Ariele i z pożegnalnym świstem zniknęła w wodzie.

– No, rzeczywiście związałem się z przemytnikami techniki, tak spotkałem Jerushę. O mało co mnie nie aresztowała... ale dzięki swemu urokowi ją od tego odwiodłem. – Miroe zerknął na żonę, odpowiedziała na jego wzrok śmiechem radosnego niedowierzania. – Co innego mogło być tego przyczyną? Mogłaś ze mną zrobić, co chciałaś. – Spojrzał na Ariele. – Podwiozłem twoją matkę, gdy postanowiła wyruszyć na poszukiwanie twego ojca, który popłynął do Krwawnika. Leciałem wtedy na zakup zakazanych towarów, potem doszło do małego zamieszania i twoja matka zamiast do Krwawnika trafiła na Kharemough...

Pokręcił głową, gdy opanowały go inne wspomnienia.

– Wróciła tu, bo chciała tego sieć sybilli, przynajmniej tak mi się zdaje, ale mimo wszystko o mało co Hegemonia śmiałyby się ostatnia. Ocaliły ją mery. Nie zdołała jednak uratować ich przed Arienrhod... częściowo dlatego stało się to teraz tak dla niej ważne. Pragnie mieć pewność, że gdy wróci Hegemonia, mery nie będą znów mordowane.

– Jak robiła Arienrhod, to chciałeś powiedzieć? – zapytała Ariele głosem smutnym i jednocześnie zafascynowanym.

– Z Arienrhod nie było tak prosto – mruknęła Jerusha.

– Arienrhod nie żyje! – zawołała Ariele, zrywając się z nagłą złością. – Umarła wiele lat temu, zanim się urodziłam! Dlaczego wszyscy ciągle o niej mówią? – Spojrzała na wodę.

– Bo ciągle żyje, dla nas, w nas... nawet w tobie – powiedział głucho Miroe. – Musisz to zrozumieć. Uczyniła nas takimi, jakimi jesteśmy. Robiła wszystko, co mogła, by nas złamać, zniszczyć – Jerushę i mnie, bo byliśmy odpowiedzialni za zabranie jej twojej matki... twojej matki i twego ojca, bo oboje wystąpili przeciwko niej. O mało co nie zniweczyła kariery Jerushy, a mnie ugodziła, zabijając mery żyjące na tej plantacji... Rozkazała Zimakom, by wrzucili twą matkę do Otchłani, próbowała wziąć ze sobą twego ojca, gdy ją topili...

– Tatę? – Ariele spojrzała na niego nagle. – Myślałam, że utopili ją ze Starbuckiem, pozaziemcem, który zabijał mery.

– Rzeczywiście – wtrąciła się nagle Jerusha, kładąc rękę na ramieniu Miroe. – Utopili.

Ariele spojrzała na nią, na spiętą, zaciętą twarz Miroe, skrzywiła się lekko.

– Tata powiedział, że na dworze Królowej Śniegu grał na piszczałce.

– Tak – powiedziała Jerusha – zgadza się.

– I z nią spał.

Jerusha opuściła wzrok.

– Nie wiem.

– Tak powiedział – wyszeptała Ariele. – Czy to dlatego mama nienawidzi Arienrhod?

– Nie. Nie tylko dlatego. – Jerusha roztarła ramiona. – Obie kochały twego ojca. Nic nie mogły na to poradzić.

– Bo były tą samą osobą – powiedziała Ariele głosem nagle bezdźwięcznym i napiętym.

– To nie takie proste – powtórzyła Jerusha. – Pragnęły tego samego – twojego ojca, uwolnienia tego świata od Hegemonii – ale zmierzały do tego celu inaczej.

Ariele pokręciła głową i wykrzywiła w niechęci twarz, Jerusha wiedziała, że ją stracili. Dziewczyna odeszła, jej białe stopy pluskały w pokrywającej pomost wodzie. Po dotarciu do brzegu zaczęła biec, szybko zniknęła na zwięzającej się wstędze plaży.

Ariele zwolniła, gdy tylko nabrała pewności, iż nie dosięgnie jej już żadne przywoływanie. Zatrzymała się i spojrzała na zatokę, wypatrując głowy Silky. Oстрыm gwizdem zwróciła na siebie uwagę mera. Silky wyszła z wody, niezgrabnie podreptała brzegiem na szerokich, płaskich płetwach, jej szyja wykręcała się z ciekawością. Ariele pochyliła się i pogłaskała merątko, poczuła, jak zimne miejsce w jej sercu wypełnia się ciepłem i miłością, jak w umyśle rodzą się myśli niosące blask i obietnicę, przyszłość nie ograniczoną niczyją przeszłością.

– Słyszysz, moja milutka? – zapytała. – Mój tępogłowy brat próbuje naśladować piszczałką twą muzykę. Zaśpiewajmy mu prawdziwe melodie... – ruszyła znowu, lecz dużo wolniej, żeby mer mógł dotrzymać jej kroku. Patrzyła na błyszczący piasek pod nogami, stawała niekiedy, by wśród wyrzuconych przez fale kamieni, wodorostów i muszelek wylawiać agaty.

Przed nimi wznosiło się strome wzgórze ze zniszczonego erozją piaskowca, przypominało warownię. Od dziecka nazywali je Zamkiem, wyobrażali sobie, że jest twierdzą z legend opowiadanych im przez Jerushę. Tammis nadal lubił siadywać tam w wygrzanych słońcem szczelinach (czasem nawet ona) i tak jak teraz grać na piszczałce. Pewnie była z nim Merovy, chłonęła każdą nutę, każde jego słowo, jak przystało na taką zaślepioną idiotkę, jaką była.

W dzieciństwie lubiły się z sobą bawić, ale Ariele dawno już straciła cierpliwość dla młodszej dziewczyny, tak samo jak dla swego ostrożnego, ulegającego nastrojom brata i jego obsesyjnego zainteresowania muzyką. Na pewno gra, żeby wywrzeć wrażenie na tacie, lecz nigdy mu się to nie uda, chyba że przestanie być nudną beksą.

Zatrzymała się u podnóża Zamku, wsłuchiwała w dobiegającą teraz czysto i wyraźnie muzykę brata: mieszaninę tradycyjnych melodii Letniaków i swobodnych przetworzeń fragmentów pieśni merów, których go nauczyła, wszystko razem tworzyło zadziwiająco spójną i – choć nie lubiła tego przyznawać – piękną całość. Silky uniosła łebek i rozpoczęła własny, niski śpiew; przerwała i zakłótyła głową, odezwała się znowu, jakby chciała włączyć się do muzyki, lecz nie była pewna jej wzoru.

Ariele zaczęła zachęcać ją śpiewaniem i gwizdaniem, aż wysoko w górze pojawiła się głowa. Ariele uniosła wzrok, dostrzegła długie, kędzierzawe włosy Merovy, brązowymi, grubymi splotami otaczające jej bladą twarz i szare oczy. Głowa zniknęła, muzyka umilkła.

Teraz wychylił się Tammis, promienie słońca rzucały czerwone i złote blaski na jego ciemnobrązowe włosy, słuchał muzyki Ariele i Silky z twarzą wyrażającą niepokój i skupienie. Gdy zrozumiał, że przybyłe naśladują jedynie jego własną pieśń, zdenerwował się bardzo.

– Odejdź – powiedział. – Przeszkadzasz mi.

– Tak? – Ariele zadarła głowę. – Czyżby? Myślałam, że po prostu grałeś na piszczałce. – Roześmiała się, spojrzała z udawaną romantyczną tęsknotą, wykrzywiła się wyraziście. – Chodź, Silky, zostawimy zakochane ptaszki w ich gnieździe... – Ruszyła wolno wzdłuż brzegu, podnosząc agaty i krwawniki, ociągająca się Silky szła w tyle.

– Oczy Pani! – Tammis wrócił do ciepłego zagłębienia skały, gdzie leżał obok Merovy z głową na jej podołku, grał dla niej. Czuł, jak twarz pali go od złości i zakłopotania, gdy patrzy na oddalające się plecy siostry; potem spojrzał w szare, spokojne oczy dziewczyny. – Przepraszam – powiedział, znowu odwracając głowę. – Chciałem tylko, by zostawiła mnie samego. Zawsze musi wszystko zepsuć. – Popatrzył na piszczałkę, przypomniał sobie, jak wiele lat temu próbowała mu ją odebrać, wydało mu się to równie bliskie, co wyśmiewanie przed chwilą. Przypomniał, jak tata chciał dać ją córce; jak, gdy sprzeciwiła się matka, wręczył Ariele własną piszczałkę. O ile wiedział, od tego czasu niemal jej nie dotykała, on natomiast stale ćwiczył. Mimo to ojciec słuchał go tylko wtedy, gdy odkrywał i odgrywał nowy fragment pieśni merów...

W zdenerwowaniu odrzucił instrument, usłyszał, jak stuknęła o skałę.

– Och, nie... – Merovy przechyliła się i szybko podniosła piszczałkę, oczyściła ją z piasku, obejrzała dokładnie. Potem wręczyła Tammisowi. – Weź, nic się nie stało...

Skrzywił się, pokręcił głową.

– Nie obchodzi mnie to – nikogo nie obchodzi.

Spojrzała na niego.

– Przepraszam. – Westchnął, usiadł ponownie, nakłaniany do tego łagodnie napominającym wzrokiem. Wziął piszczałkę od Merovy, jednocześnie chwycił jej rękę, przyciągnął. Ułożyła się wzdłuż jego ciała, objęła je ramionami, pocałowała Tammisa w policzek. Poglądził jej włosy, przekrzywił twarz, by pocałować ją w usta, lecz czynił to z lekkim roztargnieniem; czuł, jak nagle wzbiera w nim oszałamiająca fala gorąca, jak coś niewygodnie ciśnie w zapięcie spodni. Odsunął się, złapał oddech, ciągle obawiał się trochę niespodziewanych i nieprzewidywalnych odpowiedzi ciała na różne pobudzające je rzeczy. Wreszcie jednak pobudziło go ciało dziewczyny i tym razem stało się tak nie dlatego, że jest po prostu dziewczyną, która go dotyka, lecz ponieważ chodzi o Merovy...

Jego uczucia wobec niej były głębsze niż świeżo obudzone pożądanie, daleko wykraczały poza wspólne wspomnienia starej przyjaźni. Gdy tak jak teraz patrzył w oczy Merovy, widział w nich tylko siebie, a nie syna Królowej Śniegu; nie dostrzegał prestiżu, władzy, przesądu ani niczego innego, jedynie głębokie, niezachwiane zaufanie i nie wypowiedzianą tęsknotę. Nieśmiała i łagodna, na wpół Zimaczka, na wpół Letniaczka, gubiła się między dowcipnymi, błyskotliwymi znajomymi z miasta. Tu jednak, w spokoju i milczeniu, dostrzegał wyraźnie jej prawdziwe piękno.

Ufając jej tak samo, jak ona jemu, położył ją w ciepłym wgłębieniu skały. Ucałował ją z nagłym pragnieniem, pogładził rękoma, łagodnie, lecz stanowczo ujął rysujące się pod miękką tkaniną koszuli piersi. Jak zawsze przystała na to, jednocześnie pocałowała go bardziej namiętnie, wargi miała miękkie i rozwarte. Nie zrobiła nic, by przeszkodzić chłopcu w rozpięciu własnej, a potem jej koszuli, wślizgnięciu się pod nią dłoni, przesuwaniu nimi po gładkiej skórze. Sama gładziła jego twarz, pierś, mięśnie pleców, nigdy nie schodząc dłońmi poniżej pasa. Tammis czuł, jak pragnie, by to zrobiła, dotknęła go tam... Własne ręce zsunął z jej piersi, opuścił, rozluźnił spodnie dziewczyny, powtórzył dłońmi miękkie linie jej ud i bioder, wniknął między nie, poczuł, jak w oporze zaciska kolana i zaraz rozsuwa.

Robili to już przedtem, badali się niepewnie, trwożnie; zawsze jednak powstrzymywała go przed dalszymi krokami i jak dotąd, w obawie przed skrzywdzeniem jej lub straceniem, chętnie się z tym godził. Wiedział, że w mieście są dziewczyny bardziej niż gotowe, pragnące, by poczuł to, co nagle czuje teraz, gdy ręce Merovy gwałtownie spróbowały odsunąć jego. Nie ulegał innym dziewczętom, chciał, by stało się to z nią, tylko z nią; by kierowała nim miłość, a nie tylko popęd, jaki czuł, patrząc na wszystkie te szczupłe, chętne, młode ciała, zarówno dziewczęce, jak i chłopięce...

Odsunął jej dłonie, rozpiął własne spodnie.

– Merovy, proszę cię, pozwól mi, pozwól...

– Tammisie... – Naparła na niego, odwróciła twarz przed pocałunkami.

– Tak bardzo cię kocham, Merovy. Nie chcę, by stało się to z kimś innym... Chcę tylko ciebie, na zawsze; pragnę zaprzysiąc ci życie...

Znowu odwróciła twarz z oczyma rozszerzonymi zdumieniem. Tammis odnalazł jej usta, pocałował je długo i głęboko, nie pozwolił na słowa. Poczuł, jak odsuwa dłonie i obejmuje go mocno. Siebie i ją uwolnił z ograniczenia i ochrony ubrań, nic już nie dzieliło jego chętnego ciała od jej, oczekującego na nie. Wślizgnął się między nogi dziewczyny, poczuł, jak pod nim drży; przeklinał siebie za niezdarność i zmieszanie przeszkadzające w rozpaczliwej chęci. Zakwiliła, gdy odnalazł miejsce, którego szukał, i zaczął przeć; zawołała jak mewa, gdy nagle rozdarła się wstrzymująca dostęp błona i wszedł w nią.

Zesztywniał, gdy ścisnęła go mocniej; objął ją, na widok lśniących na policzkach łez obsypał namiętymi i czułymi pocałunkami. Potem, zdumiony uczuciem bycia wewnątrz niej, zaczął się poruszać, wpieryw powoli i ostrożnie, później, gdy zareagowała na to, gdy zrozumiał, że wydawane przez nią odgłosy są stłumionymi krzykami radości, coraz to głębiej. Rządziło nim teraz ciało, niosło niby morze po falach radości, aż wzbiło się w górę i wytrysnęło przyływym rozkoszy. Merovy wciągnęła głośno powietrze i westchnęła, potem w podziękowaniu pocałowała go dziko.

– Kocham cię – szepnął znowu, zrozumiał wreszcie, że życie spędzone z kimś kochanym może wydawać się wiecznością, a mimo to trwać za krótko.

KHAREMOUGH: Posiadłość Aspundth

BZ Gundhalinu uśmiechał się, stojąc na skraju idealnie przystrzyżonego wielkiego trawnika, gdy jego żona rozpoczęła wstęp do swej najnowszej pracy. Murawa spływała w półmrok niby morze barwy wina, opadała ku dalekiemu brzegowi drzew, gdzie zaproszeni przez KR Aspundtha goście rozproszyli się w pełnym wyczekiwania milczeniu.

– Przedstawienie zaraz się zacznie? – Gundhalinu odwrócił się do Aspundtha, z rękoma w kieszeniach spojrzał na gospodarza.

– Tak. – Wyjął rękę, by spojrzeć na zegarek. – Dokładnie za dwie i jedną trzecią minuty, o wschodzie słońca. Chciałbym wam podziękować, Aspundth-ken, za łaskawe zaproszenie mej żony, by mogła tu po raz pierwszy przedstawić swe nowe dzieło. Sami bogowie nie znaleźliby dla niego lepszego miejsca. Nasze skały nie nadają się do tego, świętujemy zawarcie małżeństwa.

– Tak, Gundhalinubhai powiedziała mi o tym. To wyjątkowa, czarująca kobieta.

Gundhalinu uśmiechnął się, opuścił wzrok. Znowu spojrzał przed siebie, lawendowo-błękitne niebo nad trawnikiem rozjaśniło się różem i brzoskwinią, to z zenitu zaczęły znikać ostatnie, ulotne resztki nocnej zorzy. Zdusił nagle ziewnięcie.

– Wybaczcie – zachichotał Aspundth. – To pora czy towarzystwo?

Gundhalinu pokręcił gwałtownie głową, poczuł, jak się rumieni.

– Ani jedno, ani drugie, zapewniam was – mruknął. – No... może pora; Dhara nalegała, by zacząć dokładnie o wschodzie słońca. Od trzech dni jestem na pobudzach; moje ciało znosi to gorzej niż w czasach studenckich. – Dotknął skórzanego paska przyklejonego na karku. – Mamy opóźnienia w harmonogramie produkcyjnym stoczni. Dopiero w ostatniej chwili nadarzyła mi się niespodziewana sposobność – możecie nazwać to cudem – przybycia na to przedstawienie. Naprawdę myślałem już, że mi się nie uda. Byłbym bardzo zawiedziony.

Aspundth uśmiechnął się w ulotnym, nieodgadnionym rozbawieniu.

– A więc wasza obecność tu to cud opatrności – powiedział.

– Dhara była uradowana i zaszczyczona waszą propozycją ufundowania przedstawienia, tak samo ja – stwierdził Gundhalinu z przekonaniem. – Cieszę się, Aspundth-ken, że was znowu widzę.

Gospodarz uśmiechnął się skromnie.

– To ja jestem zaszczycony. Od lat podziwiam jej prace – i wasze. Miałem też przecucie, Gundhalinu-ken, że nadeszła pora – najwyższa pora – byśmy znowu porozmawiali, ku naszemu wzajemnemu pożytkowi. Wiem, że prawie nie macie czasu dla siebie, ale pewni obcy z dala od domu dzielają nasze troski... – Obejrzał się przez ramię w stronę dworu. – Chcą porozmawiać i z wami.

Gundhalinu spojrzał tam także, zaskoczony niespodziewanym zaproszeniem. Popatrzył na stojącą niedaleko, gotową do rozpoczęcia przedstawienia Pandharę.

– Nie zauważy, że odeszliście – szepnął Aspundth przepraszająco, lecz także nagłaco. – Wrócimy przed końcem.

– Ale... – Jedno spojrzenie na twarz Aspundtha powiedziało mu, że nie jest to błahe zaproszenie, które mógłby odrzucić. Kiwnął głową i wszedł do domu.

Szli przez puste teraz pokoje, aż wreszcie dotarli do tego, którego okna wychodziły na cichy zamknięty dziedziniec wewnętrzny. Czekają tam pięcioro ludzi, trzy kobiety i dwaj mężczyźni, otaczali stół. We wgłębieniu jego blatu grali w tan. Powierzchnia stołu wyłożona była wzorami z kamieni półszlachetnych, tworzącymi planszę do gry; całość wyglądała na bardzo stary sprzęt.

Gundhalinu rozejrzał się, popatrzył ciekawie na wszystkie twarze. Jeden mężczyzna i jedna kobieta byli pozaziemcami, pozostali Kharemoughi. Aspundth przedstawił zebranych: jedną z jego

rodaczek była TDC Dhaki, słynna uczona, drugą inspektor Policji; na naszywce jej munduru widniał napis Kitaro. Nosiła koniczynkę. Gundhalinu przyjrzał się jej dłużej, bo w służbie sybille zdarzały się rzadko, podobnie zresztą jak kobiety. Oderwał od niej wzrok pojawiający nagle, że wszyscy w pokoju są nie tylko członkami Przeglądu, ale i sybillami.

Aspundth wskazał mu miejsce przy stole. Opadł na poduchy, zaś gospodarz usiadł obok ze spowodowaną wiekiem trudnością. Po kolei dołączyli inni.

– Dziś darujemy sobie tradycję – powiedział Aspundth, pochylając się, by zebrać rozrzucone na powierzchni stołu pionki z kolorowych kryształów. – Mamy mało czasu, a do omówienia ważne sprawy. – Zwrócił się do Gundhalinu. – Powiedzieliście mi ostatnim razem, że nie wiecie, komu ufać, że nawet wewnątrz Złotego Środka wyczuwacie frakcje i rywalizację.

Gundhalinu uśmiechnął się nieśmiało i kiwnął głową.

– Okazało się, że człowiek, który pomógł mi opanować plazmę napędu gwiazdnego, pracował dla Bractwa. – Znowu przyjrzał się wszystkim twarzom. – Było to moje pierwsze, najbardziej brutalne przebudzenie. Odkąd powróciłem, nabieram jednak coraz silniejszego przekonania, że mówiący w Salach Zebrań o "największym dobru Hegemonii" mają na myśli "największe dobro Kharemough". A szczerze przyznaję, że dla mnie nie są to konieczne synonimy.

– Nauczyłem się tego samego wiele lat temu od naszej wspólnej znajomej z Tiamat – mruknął Aspundth. – Była to trudna lekcja, ale dzięki niej spojrzałem jaśniej na wiele spraw. Zawsze bardzo kochałem Kharemough i wierzyłem w nasz sposób życia, może niesłusznie, zważywszy na doświadczenia mej rodziny. Zacząłem jednak widzieć w tym raczej ograniczenie niż zaletę... jedno z wielu objawień, jakich doznałem w czasie osiągnięcia oświecenia w tym zakonie. – Wzruszył ramionami. – Rzeczywistość rzeczy jest o wiele bardziej złożona, a przy tym prostsza, niż zdaje się nam wszystkim. Tej lekcji, Gundhalinu-ken, nauczyliście się o wiele szybciej niż ja.

Gundhalinu opuścił wzrok.

– Miałem niesamowicie upartych nauczycieli, Aspundth-ken – powiedział cicho. – Czasami sądzę, że słowami używanymi przez Przegląd nie powinny być "Zadaj właściwe pytanie", lecz "Nikommu nie ufaj do końca".

– Obie rady są rozsądne – stwierdził IL Robanwil, drugi z Kharemoughi.

Gundhalinu spojrział na niego.

– W takim razie jakie pytanie chcecie zadać na temat mojej wiarygodności?

– Wierzycie, iż lepiej niż ludzie rządzący Hegemonią – a może nawet i Przegląd – wiecie, co jest dobre dla Tiamat. – Robanwil uśmiechnął się słabo. – Najbardziej chciałbym się dowiedzieć, jak bardzo ufacie sobie...

Gundhalinu niemal się roześmiał, choć wiedział, że pytanie jest jak najbardziej poważne.

– Gdybym nie ufał sobie całkowicie, pewnie nie zabrałbym się do niczego – odpowiedział powoli. – Ale też bez ciągłego wątpienia we własne motywy dawno bym już zwariował... Sądzę, że dorobiłem się prawa do ufania sobie.

– Komendancie Gundhalinu, dorobiliście się prawa do tego, by ufać wam bardziej niż większości ludzi – powiedział DenVadams, jeden z pozaziemców. – Dlatego tu jesteśmy... Wasze dokonania są ogromne. Powiedzcie mi, czy według was niezwykle rzeczy, jakie spotykały was w życiu, zawdzięczacie swoim wysiłkom i inteligencji czy też czystemu przypadkowi... a może stanowicie część planu tak wielkiego i złożonego, iż nawet wy nie rozumiecie własnej w nim roli?

Gundhalinu skrzywił usta.

– Wierzę w to wszystko, do pewnego stopnia. Gdybym jednak przyjął całkowicie którąś z tych możliwości, mielibyście pełne prawo mnie zabić.

– Gundhalinu-sadhu, naprawdę, kiedy to tylko możliwe, przedkładamy współpracę nad przymus – powiedział Robanwil. – Prawdziwi wariaci nie stanowią dla nas większego zagrożenia. Na pewno jednak musimy przyglądać się uważnie wszystkim, którzy mają dość wpływów i inteligencji, by dokonać znacznej zmiany w nurcie dziejów ludzi z naszego zakątka galaktyki. Udawanie boga poprzez decydowanie, czy ktoś taki powinien żyć, czy nie, byłoby nie tylko czynem niemoralnym, ale i ogromnym marnotrawstwem. Zamiast zabijać, wolimy ich zjednywać.

– I przekonywać ich, że wasza wersja prawdy uniwersalnej jest nie tylko jedyną prawdziwą, lecz także stawia was po właściwej stronie Wielkiej Gry? – Gundhalinu dokończył za niego. Ironiczny uśmiech znowu pojawił się na jego twarzy.

Odpowiedziały mu kiwnięcia głową i uśmiechy wyrażające zarówno drwinę, jak i poświadczenie.

Gundhalinu spojrział znowu na Aspundtha, nagle poczuł się jak w gabinecie luster.

– Naprawdę wszyscy jesteście sybillami, czy też założyliście koniczynki, bym wam zaufał?

Spojrzeni po sobie i kolejno wypowiedzieli słowa:

– Pytaj, a odpowiem.

Zapytał. Każde z nich weszło w Przekaz i udzieliło odpowiedzi, jakich się spodziewał. Znowu spojrział na Aspundtha, tym razem wyczekująco.

– Znany wam dobrze Przegląd, zwący siebie Złotym Środkiem, jest zdominowany interesami Kharemough. Popierają go liczne grupy na innych światach Hegemonii, ponieważ albo chcą w ten sposób zyskać jej poparcie, albo mają powody do utrzymywania status quo – powiedział Aspundth. – Wiecie, iż Przegląd istnieje wszędzie tam, gdzie i sybille, w Hegemonii i poza nią. Jego dzieje są długie i w niektórych miejscach zdobył sobie wielkie wpływy. Jest w nim niemal tyle samo odłamów, co Sal Zebrań na ośmiu planetach. Zabiegają o miejscowe osobowości, zmieniają się... władza deprawuje, tak było zawsze. Los waszych braci jest dobitnym przykładem zagrożeń związanych z powstaniem takiego raka jak Bractwo. A w organizacji równie starej i rozrosłej jak nasza podobne mutacje zdarzają się coraz częściej.

– Mówicie o wszystkich tych – odłamach – Przeglądu, jakbyście nie należeli do żadnego z nich – zauważył Gundhalinu.

– Wszyscy jesteśmy komórkami jego systemu nerwowego – powiedział Aspundth, dotykając przelotnie koniczynki – nie znajduję lepszego określenia. Należymy do różnych grup zakonu, ale jednocześnie znajdujemy się na jeszcze wyższym poziomie organizacji. Nie wszystkie sybille osiągają ów poziom, lecz każdy, który się tam znajdzie, jest sybillą.

– Bogowie – mruknął Gundhalinu. – Koła wewnątrz kół. A gdzie jest mózg... czy mogę się tego dowiedzieć?

Aspundth pokręcił głową.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie... Nie sędzę, by znał ją ktokolwiek z nas. – Spojrział kolejno na wszystkie twarze. – Czy niebo ma kres?

Gundhalinu przypomniał sobie Przypowieść o Niebie, której musiał się nauczyć wraz z wieloma innymi, na pozór przypadkowymi rzeczami, których znaczenie zaczynał powoli rozumieć.

– "Żyłem poniżej chmur" – zacytował cicho – "nigdy nie podejrzewając, iż cokolwiek znajduje się nad nimi. I zacząłem rosnać, aż znalazłem się między obłokami i uznałem, że rozumiem niebo. I urosłem ponad nim, by pojąć, iż niebiosą są nieskończone".

– Gdybyście potrzebowali ludzi, na których moglibyście polegać, nie znajdziecie lepszego ich znaku niż ten, Gundhalinu-ken – powiedział Aspundth.

– Dziękuję – odparł Gundhalinu, czując, że mgła skrywająca przed nim obraz przyszłości

zaczyna się powoli przejaśniać. – Dziękuję wam wszystkim. – Jeszcze raz skłonił głowę. Wstał od stołu, wyciągnął rękę, pomagając w tym samym Aspundthowi.

– Powodzenia w waszych wysiłkach z dala od domu, Gundhalinu-sadhu – powiedział nagle Robanwil. Komendant zawahał się, spojrzął na niego. – Tiamat zbyt już długo była planetą, której nikt nie doceniał, nawet Przegład. Tym bardziej trudna stanie się na niej wasza przyszłość. Oby towarzyszyło wam błogosławieństwo przodków.

Gundhalinu również schylił głowę, tym razem bez uśmiechu, i wraz z Aspundthem wyszedł z pokoju.

Znaleźli się na dziedzińcu w chwili, gdy zaczęły już cichnąć oklaski i krzyki podziwu. Gundhalinu zrozumiał ze smutkiem, że stracił cały pokaz nowego dzieła swej żony.

Z wiwatującego tłumu wyszła ku nim promieniująca radością Pandhara. Nie zmieniła wyrazu twarzy na ich widok; Gundhalinu pojął ku swej uldze, iż Aspundth miał rację. Była tak zajęta, że nawet nie zauważyła jego nieobecności.

Wyciągnęła do niego ręce.

– No i jak, BZ...? – zapytała niecierpliwie. – Podobał ci się dar weselny?

Ujął jej ręce, przytrzymał, uśmiechnął do żony z nagłą głęboką wdzięcznością.

– Jest niezapomniany – mruknął.

TIAMAT: Krwawnik

Sparks Dawntreader wstał z ławki na widok żony, która zjawiła się nagle w drzwiach tylnego pokoju. Z cierpliwością skazańca czekał w zatłoczonej, hałaśliwej tawernie dolnego miasta, dokąd Moon udała się na ostatnie z licznych zebrań z Letniakami, którzy wiedzieli coś o merach.

Stała na progu, odziana w szorstkie, ręcznie tkane i dziergane ubrania swych ziomków, o barwach morza i ziemi, jakby dopiero co zeszła ze statku. Chwilę patrzyła na męża, zdawała się zupełnie nie pamiętać o jego istnieniu, choć wiedziała przecież, że z nią przyszedł, że będzie czekał, obojętnie jak długo, byle tylko podzieliła się z nim choć odrobiną swego czasu.

– Moon, musimy porozmawiać.

– Tak, oczywiście – mruknęła z ostrożnością. Nieraz już słyszał ten ton, gdy odpowiadała nieznanym. Siedząca obok niego Jerusha PalaThion spojrzała na Moon i odwróciła niespokojny wzrok.

Niech to licha, ale tym właśnie stali się dla siebie, odkąd miała wizję, w której usłyszała głos – głos swego dawnego kochanka – mówiącego do niej w Przekazie, zawiadamiającego, iż dobiega końca znany im świat. Wracają pozaziemcy, a z nimi BZ Gundhalinu, jeśli prawdą jest to, w co wierzy, jeśli rzeczywiście tak się stanie. Niekiedy zastanawiał się, czy to się jej nie przyśniło... czy o tym nie marzy. Przysięgła mu, że choćby tak się stało, to między nimi nic się nie zmieni; że pozostanie jej mężem, a ona jego żoną. Że BZ Gundhalinu jest człowiekiem, który umożliwił ich ponowne spotkanie; że przybywa tu tylko po to, by im pomóc, a nie z zamiarem kradzieży ich świata czy jej serca...

A potem odwróciła się od wszystkiego, nad osiągnięciem czego się trudzili przez tyle lat; pochłonęło ją nagle zauroczenie merami. Dawno już doszedł do wniosku, że bez sieci komputerowej podobnej do tej, jaką pozaziemcy mieli podczas swego pobytu w Krwawniku, niemożliwe jest połączenie wszystkich rozproszonych danych, jakie zdołali zebrać czy odtworzyć, że na pewno brakuje im koniecznych po temu fragmentów pieśni merów. Bez złożonego programu analizującego wymagać to będzie czasu znacznie dłuższego, niż im pozostał, oczywiście przyjmując, że Moon ma rację, wierząc w powrót pozaziemców.

Sieć sybilli powinna dostarczyć im danych – a nawet je za nich opracować. Ale wydaje się... niezdolna... do udzielenia im pomocy. Niemal pomyślał "niechętna", zważywszy na niesamowity, całkowity brak jakichkolwiek odpowiedzi. Jerusha powiedziała mu, że stale kaprysiła, odkąd tylko sięga pamięcią. Dochodziły ją głosy, że sieć psuje się z czasem, choć nikt nie był tego pewny. Lecz nawet ona kręciła później ze zdenerwowaniem głową nad liczbą pomyłek, jakie popełniała. Jeśli zaś idzie o podawane przez nią dokładne wskazówki, to był świadkiem zbyt wielu potknięć, by nie podchodzić do jej działania z niepokojem i nieufnością. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu sybilla z Kolegium doznał zapaści podczas próby wejścia w Przekaz; ciągle jeszcze nie doszedł całkowicie do siebie. Ngenet powiedział, że to był przypadek, lecz okoliczności wskazywały na coś innego.

Starał się nie poświęcać sprawie merów żadnej uwagi, uważał to za stratę czasu, choć Moon uczyniła ją swą główną ambicją. Robił, co mógł, by podnosić poziom ich rozwoju technicznego, czynił to wraz z myślącymi podobnie członkami Kolegium i Rady, bo uważał, że bez względu na to, czy Hegemonia wróci w ciągu kilku lat, czy nigdy za jego życia, nie ma żadnego powodu, by rezygnować z tego, co razem zaczęli. Im dalej się posuną, tym trudniej będzie Hegemonii zniweczyć i pogrzebać ich dzieło, jeśli tak właśnie zechce postąpić. A jeśli nie – jeśli bogowie, albo Bogini, zechcą się choć raz uśmiechnąć do tego nie oświeconego świata – to tym lepiej.

Ostatnio jednak utknął na mieliźnie wolny, lecz ciągły postęp, jaki osiągnęli w produkcji i

rzemiośle. Dawno już podłączyli się do niezależnego źródła energii Krwawnika. Wieczne, na pozór nie wyczerpane jej zasoby miasto czerpało z systemu ogromnych turbin znajdujących się w jaskiniach wyciętych w skale, przetwarzających w światło i ciepło wielką, nie wyczerpaną energię pływów morza. To dawało życie Krwawnikowi i jego mieszkańcom. Według obliczeń powinno być dość mocy, by zaspokoić tworzone przez nich w okolicy nowe potrzeby.

A jednak spotykali się z przestojami zasilania, ograniczeniami, przerwami i opóźnieniami, powodującymi poważne zakłócenia w tempie produkcji. Znajdował jeden tylko sposób sprawdzenia, jakie to kłopoty nękały ów starożytny, nie zbadany system.

– O co chodzi? – zapytała Moon z lekką niecierpliwością. – Cóż to musimy omówić tak pilnie, że nie może to poczekać, aż... – Urwała, jakby uświadomiła sobie, że wszystkie jej słowa i tak nie mają znaczenia. Sparks zastanowił się, jaką nie istniejącą chwilę dnia ma na myśli; kiedy to mogą być naprawdę razem. Nie zdarzyło się tak od bardzo dawna i nie wiedzieli, czy zdarzy znowu. – O co chodzi?

– O Otchłań – powiedział. Spojrzała na niego, nic nie pojmując. – Chcę do niej zejść, zbadać ją. Jeśli jest jakieś lekarstwo na problemy z zasilaniem, jakie zdarzają się ostatnio, to można je znaleźć tylko tam.

Moon podniosła rękę do twarzy, zamrugła, jakby powiedział o czymś pociągającym ją lub przerażającym. Opuściła dłoń, jej oczy wróciły do jawy. Dotknęła wisiorka sybilli kołyszącego się na brązowym materiale koszuli.

– Nie – mruknęła. – Nie sądzę, by był to dobry pomysł.

– Czemu? – rzucił z równym gniewem. Nie mógł się powstrzymać, ponieważ jego złość mało miała wspólnego ze słowami żony, a tak wiele z czymś znacznie głębszym. – Otchłań to szyb prowadzący do układów podtrzymujących istnienie Krwawnika – tylko w ten sposób można je zepsuć lub zmienić. Po to właśnie jest Otchłań – umożliwia dostęp ekipom dokonującym napraw i regulacji. – Gdy był w pałacu z Arienrhod, uczeni z innych planet często tam schodzili, usiłowali zbadać zasady działania systemu, lecz bez widocznych sukcesów. Układ nigdy dotąd nie wymagał wyregulowania – aż do teraz, w każdym razie nic o tym nie słyszał. Ale w czasach pozaziemców osłony sztormowe Sali Wichrów były otwarte, powodując w szybie straszliwe prądy wstępujące. Wszyscy schodzący do Otchłani musieli się zamykać w kapsułach windy, inaczej zostaliby porwani i zabici. Może dlatego właśnie urządzono wszystko tak dziwacznie – stanowiło to rodzaj wiecznego zabezpieczenia, chroniącego przed grzebaniem w urządzeniach.

Moon zamknęła Salę Wichrów. Otchłań pozostała Otchłanią, oświetloną na zielono studnią opadającą aż do morza. Bez zdradzieckich wiatrów powinno się udać zbadanie widocznych z góry pomostów, półek, występów z ekranami i urządzeniami.

– Nic przecież nie wiesz o technice Starego Imperium – powiedziała Moon.

Wzruszył ramionami w gwałtownym, ledwo opanowanym geście.

– A czy się dowiem, skoro jej nie zbadam? Istnieją pewne podstawowe zasady rządzące działaniem wszystkich urządzeń, bez względu na ich poziom. Nie możemy zacząć studiować systemu, jeśli mu się bliżej nie przyjrzymy.

Pokręciła głową, zobaczył, że w jej oczach pojawia się coś nienazwanego.

– To zbyt niebezpieczne. Nie chcę, byś próbował. Nie chcę, byś tam schodził. Nie chcę, by cię... by coś ci się stało.

– Bez wiatru nie ma niebezpieczeństwa. Nic mi się nie stanie. To przecież szyb umożliwiający dostęp...

– Nie wiesz, co tam grozi.

Skrzywił się w jeszcze większym zdenerwowaniu.

– Czy wiesz coś, o czym mi nie powiedziałaś? – Przypomniał sobie, jak zatrzymała wiatry.

Spojrzała na niego z udręką i niepokojem, lecz tylko pokręciła głową.

– Nawet Ngenet uważa, że mam rację. Chce pójść ze mną.

Moon spojrzała ze zdziwieniem na Jerushę. Ta potwierdziła kiwnięciem głowy.

– Zgadzasz się z nim? – zapytała Moon.

Jerusha wzruszyła ramionami.

– Uważam, że Miroe jest za stary na coś takiego, ale wolę dać mu skrócić kark, niż o tym powiedzieć. – Słaby, zmęczony uśmiezek rezygnacji zjawiał się na jej twarzy. – A czy wierzę, że to, co chcą zrobić, jest konieczne i potrzebne... tak, wierzę. – Opuściła wzrok, podniosła go znowu. – Moon, ochrona merów stała się dla mnie ważniejsza niż wszystko inne, lecz są rzeczy, które nie przestały być przez to równie ważne co dotychczas. Musimy zrobić coś więcej dla ludzi, którzy cię dotąd popierali. Ich kłopoty są zbyt poważne, by je lekceważyć.

– Tak. Tak sądzę... – Moon uniosła dłonie w geście niemal bezradności, beznadziejności. Spojrzała na Sparksa, twarz miała wykrzywioną jak w bólu, lecz w oczach pojawiło się wreszcie coś na kształt zrozumienia.

– Danaquil Lu Wayaway powiedział, że też pójdzie; będziemy mogli zadawać pytania...

– Nie! – Moon chwyciła go za rękę, nagle zbladła z gniewu lub przerażenia. – Z jego plecami?

Skrzywił się jeszcze bardziej.

– No to jakaś inna sybilla...

– Nie. – Stała się prosto przed nim, przycisnęła łokcie do ciała. – Żadna sybilla nie może zejść do Otchłani.

Spojrzał na nią.

– Na Panią, dlaczego?

– To niebezpieczne. Jest tam... mam wrażenie... jest tam coś... – Odwróciła głowę, zacisnęła usta. – Bez sybilli. Żadnych. Zabraniam.

– W porządku. W takim razie ograniczymy się do zapisów i przyrzędów – wyczuł chłód we własnym głosie. Splótł ramiona, naśladując jej nieświadomy gest obronny. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Patrzyła na niego długo, ciągle wyprostowana, i Sparks dostrzegł – odniósł takie wrażenie – iż przeszedł ją dreszcz.

– Rób, co musisz – powiedziała cicho.

Przestał się gniewać, ujrawszy, co wypełnia jej oczy. Cofnęła się, gdy wyciągnął rękę; unikała go, gdy próbował ją dotykać, brać niespodziewanie w ramiona.

– Ale nic ci to nie da – powiedziała odwracając się. – Niczego się nie dowiesz. To niemożliwe. – Przeszła przez pokój w stronę światła, drzwi; uciekała, zostawiała go, by mógł spojrzeć w nic nie rozumiejące oczy Jerushy.

– Tato?

Sparks uniósł głowę, zaskoczony głosem wołającego go syna. Wyprostował się, wyjrzał ponad ramieniem Ngeneta i zobaczył idącego ku nim Salą Wichrów Tammisa.

– No, co tam?

Tammis zatrzymał się przed dwoma mężczyznami, popatrzył na przeglądaną przez nich niewielką kupkę sprzętów, zerknął na stojących niedaleko, by obserwować ich zejście, kilku pomocników, wśród nich był Danaquil Lu Wayaway.

– Naprawdę chcesz zbadać Otchłani? – zapytał Tammis.

– A na co to wygląda? – Sparks wskazał głową na urządzenia. Jego słowa zabrzmiały twardziej, niż zamierzał, i wyczuł wzrok przyglądającego mu się Ngeneta. Powiedział sobie, że nerwy ma napięte do ostatnich granic.

– Nie powiedziałeś mi... – głos Tammisa nabrał oskarżycielskich tonów, lecz Sparks zauważył, iż przełknął gniew. Zdawał się bać złości lub ściągniętej nią jeszcze bardziej niegrzecznej odpowiedzi. – Nikt mi nie powiedział. Usłyszałem przypadkiem, jak ciocia Jerusha mówiła o tym. Powiedziałeś Ariele? – Z niewielkim powodzeniem próbował skryć w swym głosie zawiść.

– Nie – odparł Sparks zgodnie z prawdą, wiedział, dlaczego jego syn zadał to pytanie.

– Czemu nie powiedziałeś nikomu?

Sparks westchnął.

– Powiedzieliśmy. – Wskazał na małą grupkę zgromadzoną obok skraju Otchłani, gdzie znajdowało się wejście do wind.

– Nie trzymaliśmy tego w tajemnicy – dodał Ngenet, zapinając pasek i podnosząc pakunek ze sprzętem. – Ale przy takim eksperymencie lepiej nie mieć zbyt wielu świadków. – Wzruszył ramionami. – Mogłoby dojść do krwawego rozczarowania.

– Zamierzacie naprawić system zasilający miasto?

– Chcemy mu się tylko przyjrzeć – wyjaśnił cierpliwie Ngenet. – To nasza pierwsza próba. Tylko bogowie wiedzą, czy się w nim rozeznamy. Jeśli tak, wtedy się zastanowimy, jaki będzie następny krok.

Tammis obejrzał się na krawędź Otchłani i przerzucony nad nią most. Przechodził nim całe życie, lecz Sparks wiedział, iż zawsze z lękiem. Nawet teraz dostrzegał w oczach syna cień strachu. Odwrócił wzrok od niego, podniósł swój plecak.

Tammis spojrzał na ojca.

– Chcę pójść z tobą.

Sparks popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Dlaczego?

– Wiem, że zawsze się bałem zaglądać poza krawędź – mruknął Tammis. – Ale zawsze chciałem wiedzieć, co jest w dole. – Jedyнным lękiem w jego oczach był strach przed odmową.

Czując dziwne zaskoczenie Sparks wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu syna.

– Może następnym razem – powiedział. – To może być niebezpieczne; za mało o tym wszystkim wiemy.

– Nie boisz się o siebie – zaprotestował Tammis.

– Wprost przeciwnie. – Roześmiał się. – Nie chcę musieć się bać i o ciebie. Każda twoja rana bolałaby mnie dwa razy mocniej niż moja.

Tammis zamrugał na te słowa, potem się uśmiechnął. Sparks rzadko widywał u niego ten wyraz twarzy.

– Tato, mam siedemnaście lat – powiedział łagodnie. – Czy nie możemy uważać na siebie nawzajem?

Sparks zaczął kręcić głową, lecz Ngenet poprosił.

– Pozwól mu. Od początku myśleliśmy o trzeciej osobie. Z nami dwoma powinien być bezpieczny.

Sparks spojrzał na krawędź Otchłani, przypomniał sobie, jak wyglądała kiedyś... pamiętał jęki wiatrów, słysząc je było z daleka. Wtedy to miejsce pożądało śmierci. Nagle ujrzał samego siebie, gdy jako siedemnastolatek stał na moście przed Herne'em, Starbuckiem Królowej Śniegu, walczyli o

Ariernhod na śmierć i życie...

– Zgoda – powiedział wreszcie, uświadomił sobie znowu, gdzie jest teraz i z kim... – Dobrze, może iść. – Popatrzył na syna; powiedział sobie, że gdy zobaczy, co naprawdę kryje się w dole, przestanie wchodzić na most jak skazaniec. Może po dobrowolnym zstąpieniu w rozjaśniony zielonym światłem mrok żaden z nich już tego nie poczuje. Spotkał się z na poły niecierpliwym, na poły niepewnym spojrzeniem Tammisa. – Będziesz się trzymał między nami – powiedział – a gdy nie poczujesz się na siłach wyjść, zostaniesz w pojeździe.

Tammis zdecydowanie kiwnął głową.

– Zostanę.

Sparks długo patrzył w oczy syna – przejrzyste okna ukazujące duszenie znającą goryczy i rozczarowania; równie czyste musiały być jego, gdy Ariernhod zajrzała w nie po raz pierwszy. Odwrócił się bez słowa i poprowadził Ngeneta i Tammisa do czekającego pojazdu, do oczekujących obok ludzi. Nie było tam jedynej osoby, którą pragnął zobaczyć: Moon.

Zastanowił się, czemu unikała tego miejsca. Czy wstrzymywała ją pamięć rzeczy, które się tu zdarzyły? A może coś innego, coś ważniejszego, jakaś tajemnica kryjąca się za sposobem, poprzez który wiszące wysoko w górze okna zamknęły się cudownie na jej polecenie?

Ale nie wierzył w cuda, nie bardziej niż w Matkę Morza. Łatwiej mu było przyjąć, że coś złego stało się z umysłem żony, jak mruknął Kirard Set na ostatnim zebraniu Rady; że sieć sybilli coś jej zrobiła w nocy, kiedy to ujrzał ją opanowaną przez Przekaz. Pomyślał o sybilli, która miała atak. Spojrzał w górę na zasłony wiatrowe, wisiały nieruchome i zakurzone, zamiast jak kiedyś kołysać się z hałasem. Przypominały mu zwłoki.

Pośpiesznie opuścił wzrok, gdy w jego umyśle zjawił się chorobliwy obraz. Popatrzył na schody wiodące do pałacu, nadal były puste. Usiłował nie dopuścić do siebie innych obrazów, niby zmarszczki na rozchodzących się głębiej w jego umyśle wspomnieniach o innych zgonach, śmierci niewinności, miłości i zaufania między dwojgiem ludzi. Wszystkie rozprzestrzeniały się od tego nawiedzonego miejsca, od dawno minionych czasów. Moon, gdzie jesteś? Jut nie mogę cię dosięgnąć.

Spojrzał znowu na czekające nań pełne nadziei twarze. Rozsunęły się, ukazując otwarte wejście do pojazdu.

Jerusha PalaThion spojrzała na Tammisa, potem pytająco na swego męża, który wzruszył ramionami i kiwnął głową.

– Czy Moon o tym wie? – Odwróciła się, bacznie i urzędowo przypatrzyła się Tammisowi. Pokręcił głową, wtedy się skrzywiła.

– Uważaj na siebie – mruknęła, nie patrząc na nikogo z wyruszających.

– Przez cały pobyt na dole będziemy utrzymywać łączność – powiedział Ngenet i przelotnie, uspokajająco dotknął jej ramienia.

– Jesteście pewni, że nie zawiedzie tam, gdzie pełno zakłóceń?

– Skrzywiła się, zmarszczki troski wokół jej oczu stały się jeszcze głębsze.

– Działała, gdy wczoraj na próbę spuściliśmy sprzęt w kapsule – powiedział. – Nie powinna więc zawieść dzisiaj. – Nikt się nie odezwał, lecz Sparks wiedział, jak wszystkim zależy na zachowaniu kruchej łączności między kapsułą a czekającymi na górze ludźmi, na utrzymaniu tej cienkiej więzi psychologicznej, choć w razie kłopotów nikt nie byłby w stanie przyjść im z pomocą. Ngenet spojrzał na Danaquila Lu. – Szkoda, że nie da się tego powiedzieć o łączności wizyjnej. Jest za mało wyrafinowana.

Wayaway przytaknął.

– Opracujemy dane i obserwacje, które uda się wam zdobyć. Od tego wyjdziemy. – Uśmiechnął się; Sparks poczuł, jak na widok głodu wiedzy w jego oczach wraca mu własne wyczekiwanie.

Ngenet wziął Jerushę w ramiona i ucałował ją z nagłą, niespodziewaną namiętnością, dopiero potem podszedł do wjazdu, pierwszy znalazł się w środku. Uśmiechnięta krzywo PalaThion gładziła kołnierz swej koszuli.

Sparks wskazał Tammisowi, by wszedł przed nim, patrzył, jak chłopiec w ślad za Ngenetem znika w dole. Zerknął znowu na puste schody; opuścił wzrok, unikając spojrzenia Jerushy. Podszedł do wjazdu i zaczął opuszczać się po drabinie. W dole widział wpatrzony w niego z oczekiwaniem twarze Ngeneta i syna.

W ostatniej chwili zawahał się, po raz ostatni spojrzął w górę. I dostrzegł ją kącikiem oka. Zjawiała się w drugim końcu sali, rozglądała. Sparks uniósł rękę, miał wrażenie, iż w odpowiedzi podniosła swoją. Ruszając w dół drabiny, usłyszał, jak w górze zatrząskuje się wjazd. Popatrzył tam. Wejście było tak doskonale dopasowane do sufitu, że go nie widział.

Wewnątrz pojazdu były jedynie miejsca stojące. Otaczały ich powierzchnie gładkie i zwodniczo proste, niemal surowe. Proporcje wydawały się Sparksowi właściwe, przypominały mu, iż to wnętrze zostało zaprojektowane dla ludzi, choć drażniła myśli delikatna obcość kształtów. Przysunął się do umieszczonej pod szerokim oknem tablicy kontrolnej, wyrztał na błyszczące w mroku ściany Otchłani.

Opuścił wzrok na rzędy symboli – rysunkowe oznaczenia dostępnych funkcji urządzenia. Zaprojektowano je tak, że były jasne dla wszystkich kierujących pojazdem, bez względu na używany przez nich język. Wypytywał przybywające niekiedy z innych planet grupy naukowców, wynajętych przez Arienrhod do zbadania systemu ożywiającego miasto; dowiedział się od nich, jak obsługiwać pojazd. Dotknął jednego z symboli na tablicy, potem następnego; zapaliła się nowa seria i dokonał następnych wyborów. Czuł, jak Tammis i Ngenet bacznie zaglądają mu przez ramię. Miroe niczego nie komentował ani nie proponował. Choć zgadzali się obaj na konieczność przeprowadzenia tego eksperymentu, to ich współpracę można było co najwyżej nazwać zawieszeniem broni. Nie było w niej miejsca na pogaduszki.

Pojazd ruszył w dół. O opuszczaniu się powiedział im zawrót głowy, spowodowany także podnieceniem i strachem.

– Jesteśmy w drodze – mruknął Sparks do mikrofonu w hełmie. – Jak nas odbieracie?

– Słyszemy was doskonale – odpowiedział mu rozległy się nagle i wyraźnie głos Jerushy. – Uspokójcie się. Pierwszy krok jest zawsze najdłuższy.

– Racja – zobaczył, jak jego niewyraźne odbicie na przyciemnionym szkle uśmiecha się słabo. Poprzez nie przyglądał się z fascynacją, jak opadają ku prastarej, wykonanej przez ludzi krainie, osi Krwawnika, by sięgnąć tam po niewyobrażalne sekrety techniki Starego Imperium. Pojazd okręzał po spirali ścianę Otchłani, powoli opuszczał, tak samo, jak gdzieś na zewnątrz muszlowaty kształt miasta przecinała kręta Ulica, odbijając w rzeczywistym świecie wewnętrzną tajemnicę. Tammis i Ngenet stali obok Sparksa, ich ręce zaciskały się na błyszczącej poręczy otaczającej tablicę sterowniczą, oczy odbijały cuda zjazdu.

Po chwili, której długości nie potrafił określić, choć ze skrupulatną precyzją odmierzył ją starożytny przyrząd, pojazd zazgrzytał lekko i stanął w pierwszym punkcie kontrolnym swej zaprogramowanej trasy.

Tym razem niemal bezszelestnie otworzyła się tylna ściana windy, umożliwiając dostęp do zewnętrznego otoczenia. Odwrócili się i spojrzeli ze zdumieniem na nagle powstały otwór. Sparksa naszała niespokojna myśl, że cały pojazd jest giętki, że może się otwierać, gdzie tylko chce. Uderzyło

go, iż cała kapsuła była czymś obcym dla pierwotnych budowniczych tego miejsca; umieścili ją dla swych mniej szczęśliwych następców, przewidując takie chwile jak ta...

– Pierwszy postój. – Ngenet zawiadomił Jeruszę i pozostałych na górze, gdy tylko ruszyli w stronę otwartych drzwi. Sparks zerknął na Tammisa, który nadal stał przy oknie, wyglądał przez nie jak zahipnotyzowany. Zostawił go tam i wyszedł w ślad za Ngenetem.

Znaleźli się na wąskim łukowatym pomoście, odchodzącym od windy w obie strony, zaopatrzonym w niską poręcz wydającą się czystym światłem. Sparks dotknął jej – usiłował – gdy tylko wyszedł poza uspokajającą solidność kapsuły. Jego palce niczego nie znalazły... lecz mimo to nie był w stanie przesunąć dalej dłoni. Wstrzymując oddech, naparł na poręcz całym ciałem, przekonał się, że powstrzymała je bez trudu.

– Bogowie, to niewiarygodne – mruknął Ngenet, podnosząc wzrok na niewzruszoną, błyszczącą powierzchnię studni. Odwrócił się, beztrako wyjrzał poza świetlistą poręcz, jakby przyprawiająca o zawrót głowy głębia nie miała na niego żadnego wpływu. – Chodź, Dawntreader – powiedział ze zniecierpliwieniem i podnieceniem. – To nie gryzie. – Cichym głosem zaczął przekazywać słuchaczom z drugiego końca urządzenia komunikacyjnego opisy widzianych przez siebie rzeczy.

Sparks zajął się ustawianiem sporządzonego na chybcika i zawieszzonego na jego ramieniu urządzenia zapisującego, dał sobie kilka dodatkowych chwil na opanowanie zawrotów głowy. Obaj nosili monitory, które rejestrowały nie tylko obraz widzialny, lecz także pochodzący z innych zakresów widma elektromagnetycznego, chcieli podczas swej wędrówki zdobyć jak najwięcej danych. Ile ich będzie i co zdołają z nich wydobyć, to się dopiero okaże.

W ślad za Ngenetem uniósł głowę, dojrzał zalaną zimną poświatą krawędź Otchłani, jej idealny krąg zakłócał ciemny występ nie znanych urządzeń. Jedna z takich narośli po ich walce na moście stanęła na drodze kochanka Arienrhod, Herne'a, i uszkodziła mu kręgosłup.

A mimo to w chwili Zmiany Herne upomniał się o miejsce u jej boku, dobrowolnie założył po raz ostatni czarną kacią maskę Starbucka i wraz z Arienrhod poszedł na śmierć, dał tym dowód najwyższej miłości i zemsty. Królowa Śniegu miała taki wpływ na ludzi... podobnie Moon. To właśnie ona wpadła na pomysł, by wykorzystując Herne'a, ocalić Sparksa przed Arienrhod... namówiła do tego poprzedniego Starbucka.

Sparks spojrział w dół, poczuł, jak oszołomienie opanowuje go znowu, gdy w jego pamięci przeszłość zderzyła się z terażniejszością. Popatrzył przed siebie na niepojęte przyrządy, zmusił do skupienia.. zauważył, iż światła nie są tutaj zielone, jak to wydawało się z góry, lecz w różnych barwach i odcieniach. Przywiodły mu na myśl mapy gwiazdne; ich łączne promieniowanie zlewało się z daleka w zieleni.

Wyjrzał ostrożnie poza poręcz. Oszalaniające zwoje światła opadały ku plamie czerni na dnie szybu: ciemnemu oku Morza, przyglądającemu się ich wtargnięciu, obrzeżonemu nienaturalnym światłem. Zapach oceanu był tu znacznie silniejszy niż na górze. Sparks miał wrażenie, iż go słyszy, lecz być może tylko to sobie wyobrażał albo mylił z szumem napierającej do głowy krwi.

Obejrzał się na pojazd. Tammis ciągle tkwił w środku. Sparks, odczuwając jednocześnie rozczarowanie i ulgę, że musi się martwić tylko o siebie, ruszył pomostem w ślad za Ngenetem, który zatrzymał się niedaleko, by zbadać kawałek ściany.

– Bogowie, gdzie zacząć? – mruknął Miroe, mięśnie jego twarzy wykrzywiało zdenerwowanie i zdumienie. Gładki, wąski pas ściany pokrywały symbole kryjące się między krętymi czułkami przyrządów. Żaden z aparatów nawet mgliście nie kojarzył mu się z czymś znanym, podobnie nie wiedział, czy symbole oznaczają coś w języku Starego Imperium. Sparks wyciągnął rękę ku lśniącej, zapraszającej powierzchni, ciekaw był, co się stanie, jeśli dotknie jej tak samo, jak tablicy

rozdzielczej kapsuły; czy jedna sekwencja przejdzie w następną...

– Nie dotykaj tego! – rzucił Ngenet. – Ustaliliśmy, że nie będziemy próbować niczego uruchamiać. Mógłbyś odesłać pojazd, zostawiając nas tutaj...

Skrzywiony Sparks opuścił dłoń. Spojrzał na Ngeneta.

– To nie ma nic wspólnego z windą.

– Nie możesz tego wiedzieć – Ngenet machnął ręką.

– Tam, gdzie stanęliśmy, jest urządzenie przywołujące pojazd.

Ngenet spojrzał na niego.

– Skąd o tym wiesz?

– Dowiedziałem się od tych, którzy zjeżdżali tu na polecenie Arienrhod. Przyjrzałem się oznaczeniom; symbole odpowiadają tym, które są w windzie.

Twarz Ngeneta rozchmurzyła się lekko. Odwrócił się, jakby nie potrafił się zmusić do przeprosin.

Sparks nic nie powiedział do pleców Miroe. Nie mieli pojęcia, czym kierują te urządzenia, jeśli cokolwiek. Przyznał w duchu, że obaj zgodzili się, iż tym razem będą jedynie gromadzić informacje, iż sybilla zdoła im przetłumaczyć takie same symbole, jeśli tylko pochodzą one z jakiegoś języka Starego Imperium. Potarł kark, z trudem powściągnął niecierpliwość, gdy obaj ruszyli dalej.

Posuwanie się po niebezpiecznej ścieżce, mając po jednej stronie prostopadłą ścianę, po drugiej przepaść, zakończoną daleko w dole morzem, coś mu przypominało. Inne miejsce, inny czas... sprzed wielu lat, kiedy to wraz z Moon wybrał się przez morze do miejsca wyboru sybilli.

Zastanowił się, co by było, gdyby Moon zawróciła, nigdy nie została sybilla; gdyby w ogóle nie popłynęli do miejsca wyboru. Gdyby Moon, w czasach ich dzieciństwa, nie spotkała Clavally Bluestone, nie została zauroczona tajemnicami i potęgą sybilli. Gdyby była takim dzieckiem, za jakie zawsze miała je Babunia i wszyscy inni mieszkańcy wyspy: córką swej matki. Gdyby Arienrhod nigdy nie dała się sklonować, nigdy nie została Królową, nie urodziła się...

Pokonali już niemal połowę obwodu Otchłani. Sparks spojrzał przez pustkę w kierunku windy. Ledwo dostrzegał w niej twarz Tammisa, słabo oświetloną poświatą tablicy z przyrządami. Stał tam, patrząc na nich. Mój syn... Sparks znowu spojrzał pod nogi, uważał na każdy krok. Zastanawiał się, czy wypadnięcie choć jednego ogniwa z tego długiego łańcucha zmieniłoby wszystko – czy prowadziłby z Moon spokojne, zwyczajne życie, jakie zawsze sobie wyobrażali, chronione tradycją i wzajemną miłością. A może bieg jego i jej życia jest równie nieunikniony jak długa, okrężna ścieżka, po której szedł teraz jak po orbicie, wymuszająca ruch naprzód, bez miejsca na zboczenie choćby o krok, skręcenie... nie pozwalająca nigdy na zawrócenie.

Zakończyli długie okrążenie wzdłuż wewnętrznego obwodu studni, wrócili do punktu wyjścia, gdzie czekał na nich pojazd. Sparks z westchnieniem ulgi pierwszy wszedł do środka. Tammis czekał tam na nich, ciągle trzymał się krawędzi tablicy z przyrządami, jakby znalazł się w nieważkości i bał odlecieć. W oczach chłopca błyszczało coś bardziej niesamowitego niż tylko zdumienie; coś dziwnie znajomego...

– Dobrze się czujesz? – zapytał Sparks z troską i niepewnością.

Tammis lekko kiwnął głową.

– Jest tu jeszcze piękniej, niż sobie wyobrażałem. Światło... – Odwrócił się nieznacznie, wskazał na okno za sobą.

Sparks przytaknął, spojrzał na subtelne zmiany lśniących w mroku klejnotów. Nie był zdolny do zaprzeczenia, do nazwania echa czegoś innego brzmiącego w głosie syna.

Ngenet wszedł do pojazdu i Sparks usłyszał w swym kasku odpowiedzi, jakie Jerusha udzielała

na sprawozdanie męża. Zbadał urządzenia na ścianie poza kabiną, upewnił się co do słów towarzysza wyprawy. Gdy potwierdzająco kiwnął głową, Sparks na krótko wykrzywił napięte usta, przelotny uśmiech nie objął oczu.

Przesunął dłońmi po przyciskach tablicy z przyrządami i winda znowu się zamknęła, otaczając ich z wszystkich stron. Ruszyli w dół, wszystko, co widzieli i doświadczali po drodze, przekazując słuchaczom, którzy z każdym uderzeniem serca oddalali się coraz bardziej. Dopływały do nich pytania zadawane przez Jeruszę i Danaquila Lu, niekiedy przez kogoś innego, lecz nigdy głosem, którego oczekiwał. Zastanawiał się, czy Moon dołączyła do zgromadzonych na skraju Otchłani ludzi, a może nadal stoi na uboczu, trzyma z dala od niego i całej wyprawy.

Dokonali następnego zaprogramowanego postoju, następnego obejścia szybu. Nagrywali każdy zauważony szczegół, widzialny i niewidzialny, bo nie wiedzieli, co mogło być ważne dla przypominających bogów ludzi Starego Imperium, co stanowiło klucz pozwalający dotrzeć do ich mocy. Tammis pozostał w windzie, Sparks przyjął to z ulgą, choć ciągle nie był pewien, co unieruchamia jego syna, strach czy zauroczenie.

Trzeci postój wypadł niemal w połowie głębokości studni. Na tablicy w kabinie nie było jednostek miar, które by powiedziały Sparksowi, na jakiej dokładnie głębokości się znajdują. W ślad za Ngenetem wyszedł na pomost, dokładnie taki sam, jak poprzednie. Powtarzane czynności zaczęły się stawać rodzajem obrzędu. Gdy podniósł głowę, ledwo dostrzegł krawędź Otchłani, przesłaniała ją poświata i występy, za to dokładnie widać było dno szybu. Zrozumiał, że studnia rozszerza się stopniowo w miarę schodzenia w dół.

Światło wydało mu się jaskrawsze, może ze względu na większe jego skupienie. Przywiodło mu to na myśl Czarne Wrota, otaczające je płomienie, które czekały tylko, by nieostrożnych przybyszy wciągnąć do miejsca, gdzie przestrzeń i czas zamieniały się w siebie nawzajem, a potem czyniły to jeszcze raz. Moon widziała to, gdy przebywała Czarne Wrota w drodze na inną planetę; zobaczyła ponownie, gdy uzbrojona w wiedzę wracała na Tiamat. Zastanawiał się, czy spadając w głąb nieznanego, czuła się równie zauroczona, równie przerażona...

Dłoń Ngeneta opadła nagle na jego ramię, ścisnęła je boleśnie, odciągnęła go od poręczy.

– Uważaj. Nie patrz za długo w dół.

Sparks wszedł do wąskiej niszy między wystającymi urządzeniami, przywarł do twardej rzeczywistości ściany i dziwnych przyrządów.

– Czy to w ogóle na ciebie nie działa? – zapytał trochę ostrzej, niż zamierzał.

Ngenet wzruszył ramionami.

– Rzeczy mnie nie denerwują. Jedynie ludzie.

Sparks poczuł, jak zwiera dłonie. Przygryzł język i zmusił się do zniesienia przytyku, jeśli był nim rzeczywiście. Niedbale wyminął Ngeneta, strach ścisnął mu gardło, gdy zawadził biodrem o poręcz i na chwilę zawisł nad przepaścią. Ruszył dalej, nakłaniając siebie do kroczenia z pewnością, której wcale nie czuł.

Dopiero w połowie drogi obejrzał się, by sprawdzić, czy Ngenet idzie za nim. Zwolnił, ujrawszy, iż znajduje się dokładnie pomiędzy nim a pojazdem, bada jakieś wystające urządzenie, jeszcze się z takim nie spotkał. Za nim widać było inną postać. Sylwetka Tammisa zbliżała się do nich wolno i niepewnie. Sparks skrzywił się, żałując, że chłopak nie ma rozumu matki i nie został w bezpiecznym miejscu, zamiast wychodzić na pomost.

– Ngenet! – zawołał i wskazał ręką, gdy ten spojrzał na niego. Miroe obejrzał się, spostrzegł Tammisa.

Sparks stał jeszcze chwilę obserwując, zbyt niepewny, by ruszać dalej. Potem, nie wiedząc

dlaczego, wrócił pokonaną właśnie drogą.

Zobaczył, że Tammis stanął i jak oni spojrzął w górę jaśniejącej ściany. Następnie oparł się o poręcz i popatrzył w dół; wychylił się tak mocno, że Sparksowi zamarło serce.

– Tammis! – krzyknął. Ngenet zaczął biec. Podobnie Sparks, wracając wzdłuż obwodu.

Ngenet pierwszy znalazł się przy Tammisie, odciągnął chłopca, przytrzymał. Sparks słyszał ich głosy, odległość i echa uniemożliwiały wyłapanie słów. Przyspieszył, nie myśląc więcej o wąkości ścieżki czy lęku, z jaką ją pokonywał. Znalazłszy się bliżej, usłyszał Ngeneta pytającego Tammisa o coś, ujrzał oczy chłopca, dotychczas oszołomione, stały się teraz niemal mętne, jakby chłopiec wpadł w trans.

Zatrzymał się przed nimi, pomost był za wąski na jakiegokolwiek manewry.

– Tammisie – troska w jego głosie przeszła w zdenerwowanie. – Wracaj do windy. Nie chcę cię tu widzieć.

Tammis spojrzął na niego.

– Musiałem wyjść. Muszę tu być...

– Nic nie musisz, poza zostaniem w bezpiecznym miejscu – powiedział Ngenet z zaskakującą łagodnością, choć nadal mocno trzymał ramiona chłopca. – Wszystko w porządku; trochę cię tylko wstrząsnęło. Dla każdego byłoby tego za dużo...

– Ale tu tak pięknie – mruknął Tammis, było w nim coś niesamowitego, jak u lunatyka. Mówiąc nie patrzył na nich, spróbował znowu osiągnąć poręcz. – Światło – robi się coraz jaśniej. I jest tam jakaś muzyka, słyszycie? Musiałem wyjść.

– O czym mówisz? – krzyknął Sparks. – Tammisie! Cholera, spójrz na mnie...

Ale Tammis zwrócił się znowu w stronę pustki, zaglądał w nią, jakby szukał morza, jego napiętą postać otaczały spirale światła.

– Co się u was dzieje? – Nagle w słuchawce zamontowanej w kasku Sparksa rozległ się głos Jerushy PalaThion. – Czy wszystko w porządku?

– Nie martw się – chrząknął Ngenet, znowu odciągając chłopca. – Wszystko z nim dobrze; może to skutek światła, rodzaj uniesienia...

– Sparks...

Zaskoczył go nagle głos Moon.

– Sparks, to mi sienie podoba. Zabierz go na górę, nie jest tam bezpieczny. Zabierz natychmiast!

– Nic mu nie będzie. To tylko zawrót głowy. – Sparks poczuł, że się znowu krzywi. – Jeszcze nie skończyliśmy.

– Nie mogę odejść – zawtórował mu odwracający się od nich wzrok Tammis. – Muszę się znaleźć tam na dole...

– Chodź, Tammisie – powiedział Ngenet z większym naciskiem, spróbował oderwać go od poręczy, odwrócić. – Chodź, chłopcze, wracamy.

– Nie, nie chcę wracać do windy. Muszę być blisko tego; muszę tam pójść...

– Tammisie! – Ostry, pełen przerażenia głos Moon wstrząsnął Sparksem, aż ten wyrwał słuchawkę z ucha. Pochylił się, rozdrażnienie sprawiło, że zbyt mocno chwycił syna za ramię, chcąc popchnąć go w kierunku pojazdu.

Tammis wykręcił się, próbując wyrwać się obu przytrzymującym go mężczyznom. Stracił równowagę i runął na Ngeneta. Zamachał dziko rękoma, padając do przodu, usiłujący powstrzymać chłopca przed wypadnięciem za poręcz Miroe poślizgnął się na pomoście. Zdumiony krzyk Tammisa utonął w nagłym, głośniejszym wrzasku Ngeneta i ostrzegawczym wołaniu skaczącego Sparksa. Dawntreader zderzył się z synem, powalił go na podłogę, gdy Miroe zaczął o poręcz i wypadł poza

nią.

– Neeee! – Sparksa ogłuszył własny krzyk, gdy po gorączkowym, lecz spóźnionym wypadzie w przód złapał tylko powietrze. – Ngenet! – Zawisł na poręczy, opadły całkowicie z sił patrzył w dół na drobną, czarną plamkę, przez oślepiające światło spadającą ku mrocznej głębinie. Głosy huczały mu głowie, poprzez kask, padały z ust żalostnej postaci wstającej obok z pomostu. Ale z wszystkich zmysłów pozostał mu tylko wzrok; patrzył, jak plamka czerni maleje coraz bardziej, aż wreszcie niknie w całkowitym mroku.

TIAMAT: Krwawnik

Tammis...

Tammis krążył w nieskończonym, przesytytm światłem tunelu mroku, unosił niby pływak, wiedząc jedynie, iż ucieka przed jakąś zgrozą kryjącą się w bezdennej głębinie. Wyła poza nim jak zgubiona dusza, przypominała niewyraźny krzyk jego własnego szaleństwa, wołała po imieniu. Poczuł, jak go ogarnia; wiedział, że gdyby się obejrzał, ujrzał ją i nazwał, wówczas na zawsze wciągnęłaby go w obłąd...

– Tammisie...

Obudził się, krzyk własnego przerażenia niemal zagłuszył głos wołający jego imię. Szarpnął się, próbując się wyprostować, poczuł ręce przyciskające do poduch jego drżące ciało. Otworzył oczy, spojrzał z niedowierzaniem na sufit swego pokoju. Opuścił wzrok z linii gzymsów na długi niebieski przestwór ściany, spostrzegł znajome potrójne malowidło ukazujące morze. Jego ręce odkryły ciężką kołdrę i wełniane koce łóżka.

Nachyliła się nad nim twarz matki, nadal łagodnie przyciskała jego pierś.

– Co...? – zapytał nierównym szeptem. – Co tu robie?

Mówiąc te słowa, poczuł, jak zaczyna opadać, wracać do mroku bez dna...

– Dość... – powiedziała Moon tonem, jakiego Tammis nigdy jeszcze u niej nie słyszał. Przymus przygniatający jego myśli zaczął się rozplýwać niby mgła. Dłoń matki odgarnęła łagodnie włosy znad jego oczu. – Gdy tylko poczujesz, że zaczynasz się w coś takiego osuwać, musisz powiedzieć dość – mruknęła. – To wszystko.. dość. I to przestanie.

Kiwnął głową, długo na nią patrzył, nic nie rozumiejąc. Zauważył biały bandaż owijający jej przegub, podobny opatrunek na swoim. Skrzywił się, usiłując sobie przypomnieć, czemu widok bandaży napęlnia go takim lękiem, przerażeniem i rozpaczą. Zamknął oczy, zajrzał w głąb siebie, spróbował zrozumieć cokolwiek z pojawiających się tam obrazów.

Otchłań. Początkowo wydała mu się ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał: opuszczanie się w głąb Otchłani wraz z ojcem i Miroe Ngenetem... hipnotyzujący kalejdoskop światła i ciemności, wznoszący się wokół niego niby wir. Światło składało się z wszystkich barw, lecz dla niego stawało się coraz bardziej zielone, miało w sobie muzykę, jakiej nigdy nie słyszał ani nie mógł słyszeć poza własną duszą czy pieśnią merów.

Nie pamiętał nic więcej, nic poza straszliwą koniecznością połączenia się z wzywającym pięknem...

A potem jakoś znalazł się znowu w Sali Wichrów; jakieś dłonie przytrzymały go, odciągały, gdy próbował zsunąć się za krawędź...

Gdy zaczął jaśniej myśleć, dobiegły go krzyki i pytania, zobaczył udręczoną twarz Jerushy PalaThion, usłyszał jej głos, powtarzający bez końca:

– To niemożliwe! To nie... – A Miroe Ngeneta nigdzie nie było.

Przyjrzał się wszystkim otaczającym go twarzom; dostrzegł jedynie migoczący, czarny na tle nocy koszmar spadającej postaci, to nie może być prawdą, nie może być jego winą, nie może... Widok oblicza ojca, z oczami twardymi jak szmaragdy, zmienił jego zmieszanie w rozpacz, nagły strach w szaleństwo.

– Co się stało? – zapytał niemal gorączkowo. – Co...?

Obecni spojrzeli na niego, na ich twarzach nie znalazł pocieszenia.

– Miroe nie żyje – powiedział jego ojciec matowym głosem. – Spadł. Spadł przez twoje...

Wtedy Królowa, matka Tammisa, znalazła się za nim, objęła w obronie ramionami,

powiedziała:

– Nic nie pamięta! Nie zrozumie.

Odszedł z nią w górę schodów, początkowo poruszał się niezdarnie jak niemowlę, potykał przy każdym kroku. Matka zaprowadziła go do małego, spokojnego gabinetu, w którym zawsze czuł się dobrze, i posadziła na kanapie.

Usiadła obok i przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Dostrzegł współczucie w jej oczach i coś jakby zrozumienie – choć nie mógł uwierzyć, żeby pojmowała coś z rzeczy tak dlań niewytłumaczalnych.

– Zabiłem wujka Miroe...? – zapytał głosem łamiącym się z powątpiewania. – Zabiłem go?

– Nie! – Moon nachyliła się, chwyciła jego pięści. – Nie... – powtórzyła łagodnie. – Byłeś wzywany. Tam, w Otchłani. To miejsce wyboru. Masz zostać sybillą, wybrano cię, tu i teraz-jak ja zostałam wybrana, będąc niewiele co starsza od ciebie.

– Ale... – Odwrócił twarz, spojrzął na ściany pokryte książkami i urządzeniami do bardziej wyrafinowanych sposobów przechowywania danych; na dziwną zbieraninę kaprysów jego prawdziwej babki, Arienrhod, Królowej Śniegu. Jego wzrok przykuło szmaragdowe jajo, zawarty w jego środku mglisty kształt, którego nie potrafił rozpoznać... – I nie spadł? – Przypomniał to sobie jak przeżyty sen: spadająca figurka, ciągnący się długo krzyk... – Przeze mnie. – Spojrzął na nią, poczuł, jak drży. – To ja go...

– Próbował ci pomóc – szepnęła matka, Tammis ujrzał, jak jej oczy wypełniają nagle, nie powstrzymywane łzy. – I spadł. To był wypadek... nie jesteś winny.

– Tata... tata był tam – powiedział głucho. – Widział wszystko. Uważa, że to moja wina. Dostrzegłem to w oczach, którymi na mnie patrzył.

– Nic nie rozumiał – powiedziała Moon głosem drżącym z emocji. – Ale zrozumie. Widział to kiedyś u mnie... – Przerwała. – W takich chwilach ogarnia cięto i nic nie możesz zrobić, by temu zapobiec, zupełnie nic. – Na chwilę odwróciła wzrok, potem przyciągnęła syna do siebie i przytrzymała, kołysała go w ramionach jak wtedy, gdy był małym dzieckiem.

Puściła go, gdy ktoś wszedł do pokoju. Tammis podniósł wzrok, zobaczył przyglądającego się im Danaquila Lu, w oczach miał to samo nie wypowiedane zrozumienie, jakie dostrzegał we wzroku matki.

– A więc został wezwany, prawda? – Danaquil Lu zapytał Moon. – Znam oznaki.

Kiwnęła głową, wyprostowała się u boku Tammisa.

– Tak.

– Otchłań jest miejscem wyboru? – zapytał Danaquil Lu z niedowierzaniem. – Jak to możliwe?

Moon pokręciła głową.

– Nie wiem. – Przez jej twarz przemknął wyraz jakby bólu.

Danaquil Lu zawahał się.

– Zatrzymałaś tam wiatry... Jak sądzisz, czy wiąże się to z tym?

– Nie wiem – powtórzyła równie bezbarwnym tonem co poprzednio; wydawało się, że nie może powiedzieć nic więcej, że tkwi w takim samym transie co on. Tammis dotknął niepewnie jej ramienia. Drgnęła zaskoczona, spojrziała na jego dłoń.

Danaquil Lu przeszedł przez pokój, stanął, przyglądając się im obojgu. Tammis patrzył na koniczynkę zawieszoną na jego koszuli, taką samą nosiła matka. Poczuł, jak jego dłonie zaczynają się pocić.

– To dla ciebie wielki zaszczyt, Tammisie, że zostałeś wybrany – powiedział Danaquil Lu łagodnie. – I wielka odpowiedzialność. Samo wybranie dowodzi, że na to zasługujesz i jesteś zdolny

do...

– Nie chcę! – Wzdrygnął się, słysząc ostrość słów. – Kogoś przez to zabiłem! Nie żyje... – Urwał, gdy w drzwiach ktoś jeszcze zatrzymał się niepewnie. Merovy. Weszła do środka, minęła ojca, rzucając mu tylko przelotne spojrzenie, usiadła obok Tammisa. Chłopiec walczył z chęcią odsunięcia się, czuł się zbrukany, niegodny dotknięcia. Merovy otoczyła go ramionami i zrozumiał, że w jej oczach się nie zmienił. Niepewnie, z wysiłkiem, objął ją także i przyciągnął do siebie. Położyła głowę na jego ramieniu.

– Nic nie jest za darmo, Tammisie – powiedział Danaquil Lu, wskazując blizny nadal widoczne na bokach jego twarzy, na gardle – znaki łapacza wiem, wyryte jego żelaznymi zębami. Tammis przypomniał sobie, że to ziomkowie Danaquila Lu, kierowani przesądami i strachem, wyrzucili go z Krwawnika. – Zawsze jest jakaś cena – życie... śmierć.

Tammis popatrzył na matkę. Powoli kiwnęła głową.

– Gdyby twój ojciec został wybrany wraz ze mną... lub gdybym tak jak on została odrzucona... nigdy byśmy się nie rozdzielili, zostali w Lecie, nie przybylibyśmy do Krwawnika ani... – Opuściła wzrok, jej ciało poruszyło się nieznacznie, zadrżało. – Potem nic już dla nas nie było takie same, co przedtem. Ale nie żałuję tego – odpowiedziała na jego spojrzenie. – Gdy się już wie, nic i tak nie może nigdy pozostać bez zmian. – Pokręciła głową. – Och, Tammisie, nie odrzucaj daru, jaki ci został dziś udzielony. Miroe by tego nie chciał... ani Jerusha. Przyjmij go, bo inaczej jego cena stanie się dla wszystkich jeszcze trudniejsza do zniesienia.

Tammis opuścił wzrok, uciekł przed nagłym naleganiem w oczach matki. Odwrócił się do Merovy.

– Co mam robić? – mruknął. – Czy powinienem...?

Przytaknęła, dotykając jego twarzy.

– Musisz – powiedziała, było to nie tyle polecenie, co zauważenie rzeczywistości, jakby dostrzegła w jego oczach to, czego zobaczenia on sam odmawiał: skoro już wie, to nie ma wyboru.

– Clavally i ja wtajemniczyliśmy twą matkę – powiedział Danaquil Lu. – Będziemy zaszczyceni, robiąc to samo dla ciebie.

Zawahał się, niezdolny do mówienia, zawieszony między strachem a pragnieniem. Nic już nie będzie takie same.

Moon wzięła jego rękę, przytrzymała ją w swojej.

– Pozwól mi być tą, która da ci... Dar Pani. – Użyła starego określenia Letniaków, nie powiedziała "wirus" czy "sieć sybilli", jakby terminy te były zbyt twarde, zbyt dosłowne, nie zawierały mistycznej zgrozy wyrażającej moc zmieniającą życie tych, którzy dostępowali przemiany w sybillę.

W końcu kiwnął głową i wyciągnął rękę, ukazując nadgarstek; żałował, że jego dłoń za bardzo drży.

– Zróbmy to zaraz.

Danaquil Lu zawahał się, spojrzął na Moon.

– Zwykle odbywa się to inaczej...

– Wszystko się zmieniło, bo zostałem wybrany – powiedział Tammis. – Skoro mam zostać sybillą, to chcę dokonać tego teraz. Im szybciej zacznę pomagać ludziom, tym prędzej pogodzę się z tym, co stało się dzisiaj.

– W takim razie zgoda – powiedział łagodnie Danaquil Lu, gdy Moon skinęła głową. Merovy jeszcze silniej przytuliła się do chłopca, gdy ten ponownie wystawił przegub.

Danaquil Lu sięgnął do sakiewki przy pasie i wyjął jeden z zakrzywionych w półksiężyc

obrzędowych noży, których na Tiamat używano tylko w jednym celu. Wyrosły między sybillami Tammis wiedział dobrze, do czego służą. Danaquil Lu zaczął śpiewać modlitwę; była to jedna z bardzo niewielu letniackich pieśni, jakich chłopiec jeszcze nie słyszał. Zimacy nie mieli żadnych obrzędów odprawianych przy zostawianiu sybillą, a nikt nie wiedział, jak odbywało się to u pozaziemców.

Moon włączyła się do pieśni w jej połowie. Odkąd Tammis przestał być dzieckiem, rzadko słyszał, by jego matka śpiewała. Zapomniał już, jak pięknie potrafiła to robić. Głos miała wysoki i czysty; jej oczy znowu nagle wypełniły łzy.

Po zakończeniu śpiewu Danaquil Lu szybko i zgrabnie ciął ostrzem noża po nadgarstku Moon. Tammis zobaczył, jak jego matka zaciska wargi, krew tryskającą z rany. Danaquil Lu ujął z kolei jego dłoń i zanim chłopiec zdołał się zorientować, ujrzał własną krew. Danaquil Lu wziął ręce jego i matki, by pod wtór innej modlitwy przycisnąć je do siebie.

Tammis miał wrażenie, iż czeka całą wieczność, nie czując nic poza tępym, przygniatającym bólem ręki. Potem nagle po kręgosłupie przeszedł mu dreszcz; płonący żar przemknął kanałami nerwów. Zaszumiało mu w głowie, usłyszał głos Morza...

Mrok zamknął się nad nim jak wody oceanu, niczego więcej nie pamiętał.

Dopiero teraz obudził się znowu z niejasnych, przerażających koszmarów, ocknął we własnym pokoju. Spojrzał na nadgarstek, podobnie jak matczyiny owinięty bandażami. Danaquil Lu był tam także, i Clavally. Oraz Merovy, zaciskająca mocno złożone na kolanach dłonie. Troska na jej twarzy przeszła w ulgę, gdy dojrzała, iż chłopiec ją rozpoznaje.

Gdzie tata? Niemal o to zapytał, powstrzymała go obawa przed skutkami, jakie owo pytanie mogłoby wywołać w jego zmienionym umyśle... przed odpowiedzią, jaka być może padłaby, pamiętał przecież wzrok, jakim ojciec na niego patrzył. Matka podała mu czarę słodkiej herbaty; wypił ją chętnie, poczuł, jak ciepło i wzmacniające zioła zaczynają pobudzać jego osłabłe ciało.

– Już po wszystkim... – szepnęła Moon, gładząc jego włosy w niemal zapomnianym geście, który cofnął chłopca w dzieciństwo.

Potem jednak wstała, zerknęła na drzwi i spojrzała na niego.

– Muszę iść.

Usiadł niezdarnie, wyciągnął do niej ręce. Ujęła je, lecz pokręciła głową.

– Muszę, Tammisie... Clavally i Danaquil Lu nauczą cię teraz, jak panować nad Przekazem, wszystkiego, co musi wiedzieć sybillą – najlepiej zacząć od razu, jeśli tylko czujesz się na siłach. – Puściła go z wymuszonym uśmiechem. – Wrócę najszybciej, jak tylko będę mogła. – Odwróciła twarz przed pytaniem w jego oczach i wyszła z pokoju.

TIAMAT: Krwawnik

– Kuzynie, przyjęcie było wspaniałe. Powinieneś urządzić je częściej.

Danaquil Lu odwrócił się, nie przestając się uśmiechać, choć mówił Kirard Set, którego głos zwykle wystarczał, by zepsuć mu humor.

– Niestety, mam tylko jedno dziecko, któremu mogę wyprawić wesele. Ale jedno to więcej niż nic. – Uśmiechnął się szerzej, gdy poza Kirardem Setem dostrzegł twarz córki; promieniująca szczęściem Merovy tańczyła przy tradycyjnej muzyce weselnej. Powiedziała mu, że ona i Tammis w zeszłym roku zaprzysięgli się sobie nawzajem. Danaquil Lu tak długo żył w Lecie, że znał dobrze ich zwyczaje, nie miał więc nic przeciwko temu, by wyprowadziła się z ich domu w pałacu i przeniosła do komnat Tammisa w pałacu. Wraz z Clavally nadal widywał ją niemal codziennie.

Skończyła już jednak siedemnaście lat, dość, by na wzór naśladowanych pozaziemskie zwyczaje Zimaków złożyć bardziej urzędowe ślubowanie małżeńskie. Poczł u siebie silne i niespodziewane przywiązanie do tradycji, kazało mu uczcić wielką zmianę w życiu córki na sposób, w jaki jego rodzina robiła od wielu pokoleń. Z kryształowego pucharu pociągnął łyk pozaziemskiego wina, smakowało wspaniale. Zarówno puchary, jak i wino pochodziło z resztek zapasów uczynionych przez Zimaków w pałacu. Królowa ofiarowała je, jak i wiele innych rzeczy, by wesele jej syna stało się niezapomnianą uroczystością. I rzeczywiście, wywarło wrażenie nawet na Kirardzie Secie.

– Wybacz – powiedział do niego na widok Clavally dającej mu znak z drugiego końca sali. – Baw się dobrze.

Odszedł, zadowolony, iż wyrwał się Kirardowi Setowi; opuścił ramiona, gdy jego kuzyn zniknął w tłumie. Plecy zaczęły go znówu męczyć, tak jak przewidział Ngenet. Odepchnął tę myśl, skupił się na chwili obecnej i pomodlił w duchu do Pani – do niej zawsze kierował te kilka modlitw, jakie odprawiał od chwili wygnania do Lata – prosząc ją, by zawsze byli tak szczęśliwi jak dzisiaj.

Clavally wraz z Moon i Sparksem stała przed ogromną skrzynią ozdobioną jak łódź, napełnioną prezentami dla nowożeńców. Niecierpliwie skinęła ręką, gdy tylko podszedł bliżej.

– Chodź, staruszk, pozujemy do portretu!

– Co, w samym środku tego wszystkiego? – Rozejrzał się, zdziwiony, iż nie widzi nikogo z farbami czy węglem; dostrzegł jedynie Tor Starhiker i Shotwyna Crestridera, rozmawiających gwałtownie nad jakimś coś mu niewyraźnie przypominającym urządzeniem. – Matko Nas Wszystkich, czy to aparat fotograficzny?

Moon kiwnęła głową, jej twarz wyrażało coś pośredniego między rozbawieniem a niecierpliwością. Wcisnęła mu coś do dłoni.

– Zdołali jakoś zrobić, by działał na baterie. Szybciej, Shotwynie! – Zawołała. – Jestem spóźniona. Muszę już iść...

– Iść? – zapytał Sparks. – Dokąd to, w środku wesela Tammisa? Spojrzała na niego, z jej twarzy zniknęła cała radość.

– Powiedziała ci. Mam spotkanie z Capellą Goodventure.

– Oczy Pani! – powiedział zdenerwowany. – Czemu nie przyszła na wesele; wtedy mogłabyś przynajmniej udawać, że o nim myślisz.

– Nie zjawiałaby się na uroczystości Zimaków – odpowiedziała Moon.

Danaquil Lu zerknął na Królową stojącą obok jego żony, dostrzegł w jej oczach zmartwienie, którego nie zdradzał głos. Odwrócił od niej wzrok, spojrzał na rzecz, którą mu wcisnęła – zadziwiająco żywy, trójwymiarowy wizerunek całujących się Merovy i Tammisa, uchwyconych w chwili czaru, który na zawsze zachowa ową chwilę radości. Niepewnie dotknął zdjęcia, palec

przeszedł przez nie jak przez zjawę, wyczuł nim jedynie płaską powierzchnię ukrytą przed wzrokiem.

– Uśmiech! – zawołała Tor głosem lekko niewyraźnym.

Spojrzał na kamerę, uśmiechał się już wcześniej.

Sparks oderwał wzrok od bezlitosnego oka aparatu, gdy tylko Tor skończyła więzić w nim ich dusze. (Jakaś jego częśćka zawsze tak uważała, zasiane w dzieciństwo ziarno przesądu przekształciło się z czasem w niespokojną perlę ironii.) Moon przelotnie, jakby przepraszająco, dotknęła jego ramienia; gdy jednak chciał na nią spojrzeć, dostrzegł jedynie jej znikające w tłumie, kierujące się do wyjścia plecy.

Skrzywił się, popatrzył na Danaquila Lu i Clavally, pochylonych razem nad hologramem swej córki i jego syna, wręczonym im przez Tor. Nagle odechciało mu się zobaczenia zdjęcia i odszedł. Grupa muzyków z drugiego końca sali zaczęła grać następną tradycyjną pieśń, sięgnął do sakiewki po swą piszczałkę. Zabrał ją Ariele, ponieważ nie okazywała zbytniego nią zainteresowania. Teraz muzyka wywołała w nim chęć przyłączenia się do orkiestry. Był to jeden z niewielu naprawdę obchodzących go wynikających z pozycji przywilejów – gdy prosił o grę, nikt niemal mu nie odmawiał. Świadomość, iż nie zblądni się przy tym, była jedną z kilku rzeczy w życiu, które nadal wywoływały w nim uzasadnioną dumę.

– Tato. – Obejrzał się zaskoczony, słysząc za sobą głos Ariele. Spojrzał na nią, jasne wstęgi materiałów owijały ją jak tęcze, długie włosy związała w sposób naśladowujący kunsztowne fryzury pozaziemców. Jej widok zawsze przypominał mu Moon, ścisnął serce, dziś jednak nagle, wstrząsająco przywiódł mu na myśl kogoś innego. Arienrhod. Zamrugnął oczyma, zmusił się do zobaczenia jedynie córki, tak samo jak on w młodości zakochanej w pozaziemskim dziedzictwie. – Tak? – zapytał.

– Dokąd poszła matka?

– Na spotkanie z Capellą Goodventure.

Ariele skrzywiła się, westchnęła.

– A gdzie Babunia? Tammis powiedział, że przyjdzie z Boranem na przyjęcie. Miała mi przynieść kilka muszli do wpięcia we włosy. Jeszcze jej nie ma?

Rozejrzał się, przepatrzył tłum, zaskoczony przekonał się, że nie widać ich nigdzie, choć byli spodziewani.

– Nie wiem – powiedział.

– Powinni byli wcześniej wyruszyć – powiedziała i niecierpliwie potrząsnęła głową. – Wszystko stracą.

– Może zatrzymał ich sztorm. – Elco Teel Graymount stanął za Ariele, poufale objął ją ramieniem, sztucznie uśmiechnął do jej ojca.

Sparks poczuł, że się krzywi; nic nie powiedział, gdy Ariele uśmiechnęła się tylko i mocniej przylgnęła do chłopca. Przynajmniej nie okazywała bliższego zainteresowania ani nim, ani nikim innym, choć Elco Teel kręcił się przy niej zawsze jak owad przy kwiecie. Sparks nieraz się zastanawiał, czy młody Wayaway zajmowałby się nią, gdyby nie była przyszłą Królową Lata. Perspektywa posiadania zięcia w postaci jedyne go syna Kirarda Seta nie pociągała go zbytnio.

– O czym mówisz? – zapytał. – Prognoza pogody podaje, że wzdłuż wybrzeża jest spokojnie.

Elco Teel wzruszył ramionami.

– Mógł być sztorm. Ciągłe dochodzi do nagłych szkwałów i zatopień małych łodzi. Zwłaszcza wtedy, gdy prowadzą je starzy ludzie...

Sparks spojrział na niego, zamierzał skarcić za ściąganie w ten sposób nieszczęścia na rejs. Nie

zrobił tego na widok podchodzącej do Ariele Merovy, we włosy miała wpięte kwiaty, szarymi oczyma przyglądała się ciekawie ich twarzom. Jego twarz rozjaśnił taki sam uśmiech, z jakim Danaquil Lu patrzył na zdjęcie córki. Ariele i Elco Teel odwrócili się, zauważywszy minę Sparksa, spojrzeli na dziewczynę z trudną do odczytania miną.

– Widzieliście Tammisa? – zapytała Merovy. Sparks zaczął kręcić głową.

– Nie...

– Widziałem go – powiedział Elco Teel, Sparks odniósł wrażenie, iż usłyszał w jego głosie nutę złości. – Poszedł na górę. Brein chciał mu złożyć życzenia. – Spojrzał na Ariele z podniesionymi brwiami, uśmiechnął się, gdy twarz Merovy wykrzywiło nieodgadnięte dla Sparksa uczucie.

Ariele spojrzała na chłopca, tym razem bez uśmiechu. Odsunęła się od niego.

– Nieważne – powiedziała. – Chcę tańczyć. – Odeszła, zostawiając Elco Teela. Ruszył za nią przez tłum w stronę miejsca, gdzie inni zaczęli już tańce – dawne i pozaziemskie, pod wtór muzyki, która z czasem stała się dziwną mieszaniną różnych dziedziectw; to samo było z ich światem.

Sparks spojrział na Merovy, dostrzegł, jak w jej oczach przyglądających się odchodzącym od niej bez słowa kryje się coś tajemniczego i smutnego. Wyczuwając, że kryje się za tym coś więcej, niż niebaczna brutalność młodości, łagodnie dotknął jej ramienia.

– Znajdę go i przyślę do ciebie. Kiwnęła głową, uśmiechnęła się.

Przeszedł w stronę schodów w tyle sali. Kirard Set przeciął mu drogę, oparł o barierkę u dołu stopni. Uśmiechnięty Wayaway niepokojąco przypominał swego syna.

– Toalety są chwilowo wolne... – Wskazał łazienkę. Sparks poczuł, że znowu się krzywi.

– Szukam Tammisa. Jest tam? Kirard Set wzruszył ramionami.

– Tak. – Odsunął się, umożliwiając dostęp do schodów, lecz jego mina zmieniła się lekko. Sparks uświadomił sobie, czując nagły chłód w żołądku, że powinien teraz odwrócić się i odejść. Powstrzymał go przed tym nieznacznie drwiący uśmiech Wayawaya.

Wchodząc schodami na piętro domu, słyszał cicho mówiące głosy, stawały się coraz wyraźniejsze, aż rozpoznał Tammisa. Po osiągnięciu szczytu stopni dostrzegł w półmroku dwie obejmujące się postacie. Rozdzieliły się, zaskoczone jego nagłym podejściem, i dojrzał je wyraźnie – Tammis, z rozpiętą jasną, weselną koszulą i Brein, zimacki chłopiec z otaczającej go zawsze grupy, drapiący się po gołej piersi.

W oczach Tammisa pojawiło się poczucie winy i nagła rozpacz, gdy w dniu swego wesela stanął twarzą w twarz ze swym ojcem. Brein odsunął się, uciekając przed nimi wzrokiem, i zbiegł po schodach.

– Tammisie – powiedział Sparks, chłopiec drgnął jak od uderzenia. – Co to było...? – Wskazał na puste miejsce zostawione przez Breina.

– Nic. On tylko... ja... – Tammis zarumienił się, ściągnął poły koszuli i zwiesił głowę. Koniczynka chłopca zniknęła wśród fałd ubrania.

– Na Panią i wszystkich bogów! – Sparks chwycił go za ramiona, uderzył o ścianę. – Ty żaloszny – na swoim weselu? Gdy piękna, kochająca żona czeka na ciebie na dole? Czemu...?

– Nie mogłem się powstrzymać – mruknął Tammis. Ledwo co było go słyszeć. Miętosił tasiemki koszuli, próbował je zawiązać.

– Cholera! – Sparks odsunął jego dłonie. – Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię!

– Och, Dawntreader, nie bądź taki surowy dla chłopca – rozległ się za nim głos Kirarda Seta.

Sparks odwrócił się, twarz spurpurowiała mu z gniewu i upokorzenia na widok dołączającego do nich Wayawaya.

– Wy, Letniacy, jesteście we wszystkim tacy zaściankowi. Postępujecie tak, jakby każde pytanie miało tylko jedną właściwą odpowiedź. – Kirard Set pokręcił głową. – To tylko nieszkodliwy flircik. Chłopiec powinien spróbować wszystkiego.

– Zostaw nas, Wayaway. – Sparks odwrócił się do niego plecami, denerwowała go świadomość, że Kirard Set nie odchodzi, ciągle czyha na każde słowo i ruch. Złapał Tammisa za brodę, zmusił syna, by spojrzał mu w oczy, nie dbał już, co Zimak zobaczy, usłyszy lub pomyśli – był pewien, że dawno o wszystkim wiedział. – Na Wolę Matki, jesteś Letniakiem, sybillą! Nie jakimś ciotowatym, zimackim zбочeńcem, chcącym nabrać zapachu pozaziemca przez tarzanie się w gnoju!

– Jak ty? – zapytał Tammis z nagłą wściekłością, zapłonęły jego ciemne oczy. – A co ty robiłeś na dworze Arienrhod, choć zaprzysięgłeś się mojej matce?

Sparks zeszywniał, zabrakło mu słów, gdy poczuł, jak lodowate szpony przeszłości wnikają do jego piersi i zatrzymują serce.

– Kto... – powiedział wreszcie – kto ci o mnie powiedział?

Oczy Tammisa na chwilę uciekły z twarzy ojca, przelotnie spoczęły na ciągle przyglądającym się i słuchającym Kirardzie Secie.

– Powiedział mi, że lubiłeś to na oba sposoby. Powiedział, że śmiałeś się z Letniaków, mówiłeś, że są ograniczeni i głupi, że robiłeś dla Arienrhod rzeczy, które...

Ręka Sparksa wyskoczyła naprzód, uderzyła syna w twarz, przerwała słowa.

– Jeśli chcesz, możesz w to wierzyć – szepnął z goryczą – ale nigdy się tym nie usprawiedliwiał. Zwłaszcza przede mną. – Odwrócił się, umknął wzrokiem przed boleścią Tammisa. Kirard Set wzruszył ramionami, gdy Sparks natrafił na jego zaciekawione spojrzenie.

– Jaki ojciec, taki syn...? – powiedział cicho i zacisnął wargi. Pokręcił głową. Sparks minął go, odsunął z drogi nieostrożnym uderzeniem łokcia.

Schodząc po schodach, ledwo zauważył stojącą w ich środku Merovy i wyraz oczu, którymi śledziła jego przejście.

TIAMAT: Plantacja Clearwater

– Nie mogę w to uwierzyć. – Moon pokręciła głową, stojąc po kolana w wodzie obok przechylonego kadłuba porzuconej łodzi. – Nie mogę. – Jej umysł odmawiał przyjęcia oczywistej prawdy: jej babcia zginęła, równie nagle i nieodwołalnie, co fala uderzająca o brzeg. Przesunęła dłonią po totemie na dziobie łodzi, dotknęła trzeciego oka, na modłę Letniaków wyrzeźbionego na czole ponad dwoma innymi. Oko Pogody, tak je nazywali. Selen, imię babci, wypisane było na rufie; statki zawsze nosiły żeńskie nazwy, to radowało Matkę Morza... Tym razem jednak nie została udobruchana, imię na rufie wyrzuconej łodzi świadczyło dobitnie, co zagarnęło nagle mocne uderzenie Jej ręki.

Moon odwróciła się do Sparksa, stojącego między nią a małą grupką pracowników plantacji. Do siateczka zaprowadziły ich mery z kolonii zamieszkującej brzeg posiadłości. Nie było widać żadnych ciał.

Mery nawet teraz unosiły się blisko nich na wodzie lub leżały na plaży. Sparks pokręcił głową, gdy dojrzał wzrok żony, popatrzył w morze. Zmrużył oczy, oślepiane przez promienie słońca odbijające się milionami błysków od zmiennej powierzchni wody.

– Elco Teel powiedział coś na weselu o sztormie przy wybrzeżu.

Moon przypomniała sobie nagle ucztę weselną; szczęśliwe twarze, radość we własnym sercu. – Spojrzała na robotników.

– Czy po ich wypłynięciu był sztorm?

Popatrzyli po sobie, mruzcili coś i wzruszali ramionami.

– Nie, Pani, nie było – powiedziała jakaś kobieta. – Piękna pogoda utrzymuje się tu od niemal tygodnia.

Moon popatrzyła znowu na Sparksa.

– Elco Teel tak powiedział? Czemu o tym wspomniał?

Ponownie pokręcił głową, otworzył niepewnie usta.

– By sprawić kłopoty – powiedział z goryczą, odwracając wzrok. – By zepsuć innym zabawę. Jak jego ojciec, po to tylko żyje.

– Wydaje się, że coś wiedział.

– Przecież nie było sztormu – powiedział Sparks.

– Nie – mruknęła i umilkła; poczuła, jak podejrzenie niby nagły odłamek szkła przecina wywołane rozpaczą oszołomienie. – Nie było sztormu. – Spojrzała na mery, wystawiające z wody długie szyje, utkwili w niej obsydianowe oczy, gdy weszła głębiej, przesuwając dłońmi po relingu łodzi. Nie było żadnych śladów zniszczeń, w ogóle żadnych śladów. Wydawało się, że jej babcia i Borah po prostu zniknęli. Znowu popatrzyła na mery.

– Widziałyście, prawda? – zapytała. – Gdybyście mogły powiedzieć, co się stało...

Sparks zawahał się, potem wyciągnął z sakiewki piszczałkę i przytknął do ust. Robotnicy spojrzeli na niego z zakłopotaniem, podobnie Moon. Gdy jednak usłyszała grane przez niego dziwne tony, zrozumiała natychmiast, że naśladuje mowę merów, które słuchały, kiwając głowami. Robotnicy mruzcili ze zdziwieniem. Mery spojrzały po sobie, gdy Sparks skończył grać, zaczęły świergotać.

Po chwili coś z pluśnięciem wylądowało u stóp Sparksa. Stało się to tak szybko, że Moon nie dostrzegła, skąd wyleciało, ale na pewno od strony merów.

Sparks podniósł przedmiot, przyglądał mu się w skupieniu, gdy Moon brnęła do brzegu. Zobaczyła kłębek sieci z mono włókna, używanej przez Zimaków do łowienia ryb. Rozwinął ją,

wyciągnął w stronę robotników.

– Czy to pochodzi z Selen? – zapytała Moon, świadoma, że na pewno nie.

Zimacy podawali sobie kawałek sieci, dotykali jej, szarpali.

– Nie, Pani – powiedział jakiś mężczyzna. – Borah Clearwater nie pozwoliłby na coś takiego. – Pokręcił głową z ze smutkiem. – Staruszek, niech strzegą go bogowie, był przywiązany do dawnych zwyczajów. Zawsze powtarza – powtarzał, że wolałby się powiesić na monowłóknie, niż użyć go do łapania ryb.

Moon poczuła, jak jej usta wykrzywia grymas potwierdzenia.

– Tak – mruknęła – to do niego podobne... – Przestała się uśmiechać. – To oznacza, że była inna jeszcze łódź, najprawdopodobniej obsadzona przez Zimaków.

Sparks wzruszył ramionami, wrócił do boku żony i ją objął.

– Może. Albo mery znalazły to, unoszące się na falach. Zapytałem ich, gdzie są ludzie z tej łodzi... ale tylko Morze wie, czy tak to zrozumiąły.

– Może to także oznaczać, że ktoś użył sieci, by ich utopić – powiedziała napiętym głosem. – Wiesz, że Kirard Set Wayaway jeszcze przed przyjazdem Babuni pragnął przejąć posiadłości Clearwatera. Od żywego nigdy by ich nie dostał...

– Moon – powiedział łagodnie. – Nie masz dowodów. Wiem, co myślisz o Kirardzie Secie. To samo co ja. Ale morderstwo?

Spojrzała na łódź.

– Nawet nie mogłam się pożegnać. Nigdy nie powiedziałam Babuni, jak bardzo ją... – Głos się jej załamał. Straciła dłoń męża, poczuła, jak jej beznadziejna rozpacz twardnieje w gniew skierowany ku jednemu celowi, nałożone przez pamięć na twarz babci oblicze Kirarda Seta Wayaway. – Nie, nie mogę udowodnić, że jest czemukolwiek winny, poza chęcią, by się tak stało. Ale potwierdzam złożoną Borahowi Clearwaterowi obietnicę, że do końca życia będę broniła jego ziemi. – Odwróciła się, ruszyła plażą do ich łodzi, czekającej, by zabrać ich na północ, do miasta.

KHAREMOUGH: Posiadłość Gundhalinu

– Pandhara! – zawołał Gundhalinu, kierując się do głównej sieni, usłyszał, jak jego głos rozchodzi się echem po całym domu. Założył kurtkę munduru na robota, który wyszedł na jego spotkanie do drzwi, nasadził hełm na pozbawioną twarzy głowę, uśmiechnął się, słysząc oznajmioną przez nią grobowym głosem informację, że nie jest wieszakiem. – No to znajdź jakiś! – powiedział ze śmiechem. Wszedł do pokoju, krzycząc ponownie imię żony.

– Gundhalinu-bhai jest w wycinanym ogrodzie... – zahuczał za nim robot.

Skręcił w prawo do jadalni, minął gabinet i pokój słoneczny, by wyjść na południową ścianę dziedzińca. Wchodząca po schodach, wracająca z ogrodu z naręczem kwiatów Pandhara zatrzymała się, jej twarz wypełniło zdumienie i szczęście.

– BZ! Już jesteś? Spodziewałam się ciebie dopiero jutro. Zatrzymał się także na widok jej miny, zaskoczony i ucieszony czystą radością żony. Nie zdradził się z ulgą, że nie okazała niechęci, że nie zastał jej z kochankiem.

– Nie spodziewałem się zdążyć na prom, ale udało się, choć w ostatniej chwili. – Ruszył ku niej z uśmiechem. – Myśl o dwóch, a niejednej spokojnej nocy nieprzerwanego snu była dla mnie dostatecznym bodźcem.

Podniosła dłoń na spotkanie jego wyciągniętej ręki, dotykając jej, wypuściła kwiaty. Pochyliła się, zebrała wszystkie i znowu ułożyła w bukiet.

– Zerwałam je na twoje powitanie – powiedziała, wdychając ich zapach. – Wiem, jak je lubisz.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej; przytrzymał drzwi, by mogła wnieść kwiaty do środka. Wręczyła je tam robotowi, odesłała go z poleceniem.

– Wiesz, co masz robić... – Stała przed Gundhalinu w workowatym kombinezonie, pokrytymi barwnymi plamami dłońmi odgarnęła do tyłu ciemne kosmyki włosów, które uciekły spod przepaski. – Och, do licha z tym wszystkim, BZ, nic nie jest gotowe! Tak zaplanowałam, byś po przybyciu zastał wszystko tak, jak lubisz... Dziś cały dzień ustawiałam biorzeźbę. Nie zdążyłam się nawet umyć.

Złapał jedną z jej gestykulujących rąk, odwrócił do góry, przyjrzał się szorstkiej dłoni z plamami farby.

– Lubię prawdziwe ręce... – powiedział i spojrzał na żonę, sprawdzając, czy nadal pamięta ich pierwsze spotkanie.

Jej wyrażające całkowite zdumienie oczy rozkwitły nagłym zrozumieniem, uśmiechnęła się, kiwając głową.

– To nieważne. Jest jeszcze jutro. Dziś marzę tylko o normalnej rozmowie i może o partyjce chamy. – Wypuścił jej rękę, rozejrzał się po pokoju, jakby uważał, że za długo przyglądał się żonie. – Co tu zmieniłaś? Pokój jest teraz jaśniejszy.

– Ściany są żółte, a nie szare, tu i tu... kupiłam nowe kanapy i odnowiłam sofę. Zawiesiłam kilka moich prac...

– Podoba mi się.

Przyjrzała się jego twarzy, gdy znowu na nią popatrzył.

– Naprawdę? Byłam bardzo ostrożna: nie tknęłam rzeczy, które są ponadczasowe. – Wskazała na ozdobnie wyrzeźbiony gzyms kominka, będący fragmentem pierwszego domu. Wiedział, że ma co najmniej tysiąc lat. – Nigdy bym tego nie zrobiła...

– Wiem – powiedział. – Pokażesz mi wszystkie inne zmiany. Ufam całkowicie twojemu gustowi.

– Ale to twój dom...

– Twój. – Położył rękę na jej ramieniu. – Mieszkasz w nim; jestem tu tylko gościem. Bogowie

świadcami, że ojciec zrobił z domu rodzaj muzeum, nie pamiętam, by kiedykolwiek pozwolił na zmianę choćby najmniejszej rzeczy. A HK i SB wszystko to zdeptali.. – Wykrzywił usta. – Uważaj to za swoje, Dharo. Jest twoje.

Pokręciła głową, oparła ręce na biodrach; jej uśmiech walczył z czymś w rodzaju rozdrażnienia.

– Bogowie! Zawsze musisz być taki niezdanie dobry i uprzejmy?

Roześmiał się.

– Tak sądzisz? Zapytaj moich programistów i brygadzystów, gdy mi się narażą lub nie nadążają z robotą... Zapytaj Vhanu, gdy jego ludzie muszą po dwa razy umawiać mnie z Najwyższym Dowództwem i połową Komitetu Koordynacyjnego.

– Cóż, wiem tylko, że sprawiłeś, iż chcę...

Jego odbiornik zaczął piszczeć. Spojrzał w dół i zaklął, klepiąc dłonią w źródło hałasu. Kilkoma krokami przemierzył pokój, znajdującemu się na przyściennym stoliku pod niedawno zawieszonym przez żonę obrazem komputerowi nakazał przyjąć rozmowę.

Ukazała się na nim zaniepokojona twarz Vhanu.

– Cholera, Vhanu – warknął Gundhalinu. – To może poczekać – powiedziałem, że nie ma mnie dla nikogo. Bez wyjątków!

Wizerunek jego zastępcy oznajmił bezbarwnym głosem.

– Mamy datę wyruszenia, panie komendancie. Została zatwierdzona.

– Tiamat...? – sapnął Gundhalinu.

– Tak, panie komendancie. Pomyślałem, że zechce pan to usłyszeć. – Vhanu odważył się na ostrożny uśmiech.

Gundhalinu kiwnął głową.

– Tak... dziękuję, NR.

– Moje uszanowanie dla Gundhalinu-bhai. Miłej wizyty, BZ. – Vhanu wyłączył się, blat stolika zmatowiał. Gundhalinu stał jeszcze przez chwilę, patrzył na obraz ze spowitymi odległą niebieską mgiełką kaskadami złota i stłumionej zieleni. Odwrócił się wreszcie, spojrzał na żonę.

– Odlatujesz – powiedziała. – Na Tiamat. Wkrótce.

– Tak – potwierdził.

Opuściła wzrok, objęła się ramionami, osłoniła.

– No dobrze. – Uniosła głowę, uśmiechnęła się do niego. – Moje gratulacje, BZ... Wiem, czym to musi dla ciebie być po tylu latach czekania; po wszystkim, co zrobiłeś, żeby się to spełniło...

– Sprawiam, że chcesz – co? – zapytał.

– Co? – powtórzyła.

– Powiedziałaś, że gdy jestem tak niezdanie uprzejmy, nabierasz chęci na...?

– Zdarcie z ciebie ubrania – powiedziała głosem bez wyrazu. Nabieram chęci na zdarcie z ciebie ubrania i kochanie się z tobą tu, na podłodze. – Obróciła się na pięcie i wyszła.

Stał nieruchomo, bardzo długo patrzył w ślad za nią.

Gundhalinu siedział na nagrzanym mocnym murku balkonu zachodniego skrzydła, pociągał napój, który stracił dlań wszelki smak. Spojrzał na niego, na dzban stojący na niskim, nieregularnym stoliku, wykonanym ze złomu wypolerowanego kamienia węzlastego, przypomniał sobie, iż kazał robotowi przynieść wodę. Westchnął i znowu popatrzył w szaroniebieską dolinę; poczuł wiatr szarpiący mu włosy, wsłuchał w skrzek białoskrzydłych sikhów krążących wysoko na niebie. Zachodnia część domu zbliżała się najbardziej do krawędzi występu skalnego, na której został wzniesiony. Nic nie zakłócało widoku stąd, przy dobrej pogodzie można było dostrzec ocean. Dziś

była znakomita, podobnie jak i wczoraj, tak wspomniała, że Gundhalinu mógł policzyć leżące przy brzegu wysepki.

Po otrzymaniu wiadomości od Vhanu zadzwonił do KR Aspundtha i zaprosił na obiad. Wkrótce powinien przybyć skądś zza morza. Zobaczenie się z nim teraz, wspólne rozważenie nowiny będzie podwójnie miłe. Bo pewnie będzie to ich ostatnie spotkanie... ostatnia sposobność połączenia się z Moon, nim przybędzie pod jej drzwi z wiszącym nad niebem Tiamat mieczem potęgi Hegemonii.

Obrócił się, słysząc, że ktoś wychodzi z domu. Zatkanęło mu dech na widok Pandhary, idącej przez balkon w stroju wieczorowym. Nagle nie był w stanie oderwać od niej oczu; miał wrażenie, iż nigdy przedtem jej nie widział. Włosy miała pracowicie upięte rzeźbionymi grzebieniami i błyszczącymi szpilami; luźna, powłóczysta suknia barwy czerwieni opływała ją przy każdym kroku, zakrywała skromnie od szyi do stóp, choć wszędzie lgnęła do ciała, bezustannie odsłaniając coraz to inny jego fragment... Wreszcie odwrócił głowę, nim jeszcze do niego podeszła; zwalczał zdenerwowanie i nagłe pobudzenie, zastanawiał, czy robi to specjalnie. Przypomniawszy sobie jednak wieczór ich pierwszego spotkania, zrozumiał, że jest po prostu piękną kobietą o wrażliwości artysty.

To był tylko żart, powiedziała mu ubiegłego wieczoru, gdy wreszcie wróciła do pokoju, wykapana, schludnie odziana w tunikę i szerokie spodnie oraz całkowicie opanowana. Chciała go tylko rozśmieszyć; wybrała niewłaściwy moment, strasznie jej przykro...

Zapewnił ją, że wszystko rozumie, lecz musiał się trudzić niemal godzinę, nim z uniżeniem i uprzejmą, obcej osoby przekształciła się w dowcipną, roześmianą kobietę, której ostry humor i zmienne nastroje były tym, czego wyczekiwał od tygodni. Pokazała mu dzieła, nad którymi teraz pracuje, zagrali dwie partyjki chamy zamiast jednej.

A potem, gdy siedzieli razem na balkonie zachodniego skrzydła, popijając lith i przyglądając się zmiennym barwom nocy, opowiedział jej o Tiamat. Nie prosiła go o to, lecz dostrzegł w jej oczach chęć zrozumienia, wiedział, że nie może odlecieć bez słowa wyjaśnienia.

Dlatego opowiedział jej o zamkniętym w sobie młodym Techu, który przybył na Tiamat pełen pychy i romantycznych wyobrażeń, pewny swego miejsca we wszechświecie i własnych sądów. Opowiedział, co Tiamat i jej mieszkańcy zrobili z nim, jak nauczyli, iż ból, brutalność i daremność jest jego prawdziwym losem. Śmierć przed hańbą. Gdy wraz z kolegami w szkole składał krwawą przysięgę, nigdy nie wierzył, że trafi kiedyś do takiego miejsca; że pochwycony przez koczowniczych rabusiów, uwięziony jak zwierzę w klatce, weźmie brudne wieko konserwy i modląc się o śmierć, przetnie własny nadgarstek...

Ale nie umarł. A potem od prześladowców dostał Moon – kolejną oszołomioną ofiarę prześladowaną przez los, nieszczęsną letniacką dziewczynę wplątaną w niepojętą dla niej Grę... Przynajmniej tak wtedy uważał. Powróciła nielegalnie na Tiamat, utrzymując, że przysłała ją tu sieć sybilli, że prowadzi rodzaj świętych poszukiwań. Myślał, że jest trochę szalona. Dopiero potem zaczął rozumieć, kim jest naprawdę... gdy uzyskała dla nich wolność, jego niechętny szacunek, opierające się serce... gdy okłamał i zdradził swoich, by pomóc jej dostać się do Krwawnika; gdy został jej kochankiem, doprowadził do człowieka, którego rozpaczliwie pragnęła ocalić, a który teraz jest jej mężem... pojął to dopiero wtedy, gdy została Królową Lata, i opuścił planetę bez niej, bez zdradzenia. Opuścił na zawsze, tak wtedy myślał.

Dopiero wtedy, próbując odbudować swe życie i karierę, dopiero wtedy zrozumiał w pełni to, co przedtem jedynie wyczuwał: że miała we wszystkim rację. Wtedy uwierzył, iż jest jedynie nic nie znaczącym pionkiem w Wielkiej Grze, nie znającym nawet jej reguł.

– I to zaprowadziło mnie na Koniec Świata. – Pokręcił głową, lekko dotknął koniczynki. – I nagle przestałem być tylko pionkiem. Zmieniłem historię.

Gdy skończył mówić, jego żona długo siedziała cicho z ramionami owiniętymi wokół kolan, wzrokiem utkwionym w niebie. Potem spojrzała na niego i powoli pokręciła głową.

– Jesteś godzien swych przodków – mruknęła, w geście podziwu wzięła jego dłoń" i uniosła do swego czoła.

Z nagłą niecierpliwością wyrwał rękę i powiedział:

– Nie powiedziałem ci wszystkiego.

Uniosła brwi.

– Czyżbyś sądził, że twoi przodkowie mówili światu wszystko – przekazywali każdą, najmniejszą nawet, straszną cząstkę prawdy?

Spojrzał na nią.

– "Historia", Gundhalinu-ken, to tylko to, co się według nas zdarzyło – powiedziała łagodnie.

Patrzył na nią, przypominając sobie o byciu na początku Ilmarinenem: swym przodkiem Ilmarinenem, który dla wyższego celu popełnił zdradę i wprowadził w ruch Wielką Grę... Westchnął.

– Dlaczego zawsze najtrudniej dostrzegamy rzeczy oczywiste?

Pandhara dotknęła go znowu, niepewnie; przesunęła dłonią po jego ramieniu i opuściła.

– Bo gdyby tak nie było, życie mogłoby zacząć nabierać sensu. – Spojrzała mu w oczy, umknęła z wzrokiem, jakby sprawiło jej to ból. Mimo to chłodnym, suchym głosem zapytała: – I nie mielibyśmy tego, prawda?

Po tych słowach jakoś nie mogły się pojawić inne; dlatego złożył jej życzenia dobrej nocy i wrócił do swego pokoju. I choć poszedł spać znacznie później, niż planował, to spał tak źle jak skazaniec na dzień przed egzekucją.

Następnego ranka pojechali do Centrum Serakande, gdzie Muzeum Sztuki i Nauki przygotowywało wystawę jej prac. Założył skromne ubranie cywilne i mało kto zwrócił na niego uwagę; całą skupiała Pandhara. Cieszył się, że może tkwić nie nagabywany w cieniu kogoś innego, patrzeć, jak świat się kręci wokół żony, obserwować jej wdzięk i inteligencję, sposób, w jaki rozjaśniała się z radości, przyciągała do siebie wszystkich wokół.

Potem zabrał ją do swojej ulubionej restauracji; właścicielka przyniosła im z własnej piwniczki butelkę sprowadzanego lilandera. Później w przytulnym mroku herbaciarni przy bocznej uliczce wraz z paroma starymi przyjaciółmi Pandhary dyskutowali o sztuce i polityce. Wszyscy byli twórczymi Nietechami, palili wonne pałeczki i nie przejmowali się jej nowym położeniem dobrze urodzonej, a nawet nim. Nazywali go "sybillą" i wiedział, że w ich ustach był to tytuł dostatecznie zaszczytny.

A teraz zachodziło słońce, znacząc kres ostatniego dnia, jaki spędzi w swym rodzinnym domu. Słuchając dopływającej przez otwarte drzwi cichej muzyki, patrzył na żonę, której więcej nie zobaczy, jakby naprawdę nigdy nie widział jej przedtem.

– Wyglądasz dziś pięknie – powiedział z trudem, gdy w powitaniu uniosła rękę. Dotknął ją swoją, poczuł ciepło wywołane zetknięciem się dłoni, nie odrywał oczu od jej twarzy, patrzył, jak jego słowa rodzą na niej uśmiech. – Jestem ci bardzo wdzięczny za dzisiejszy dzień. – Wreszcie spojrzał w bok, na morze. – Po odlocie zapamiętam go do końca życia.

– Ja też – również popatrzyła na morze. – BZ... wczoraj w nocy wiele rozmyślałam o wszystkim, co mi powiedziałeś. I o rzeczach, o których nie powiedziałeś...

Spojrzał na nią.

– O niektórych z nich – dodała ostrożnie. – Były tam, skryte między słowami. Ale...

– Ale chciałabyś poznać resztę.

Kiwnęła głową.

– Nie... – Zacisnął wargi. – Pytaj. Powiem ci wszystko, co będę mógł. – Zrozumiał, że to, co

zrobi z resztą swego życia, może wpłynąć na nią, choć oddzieli ich połowa galaktyki.

Położyła ręce na kamiennym szczycie murku; zobaczył, jak zaciskają się jej palce.

– Prosząc, bym za ciebie wyszła, powiedziałeś, że nie chcesz małżeństwa... prawdziwego, jedynie formalne. Czy ze względu na ową kobietę z Tiamat, która została tam Królową?... Ciągłe tak bardzo ją kochasz, choć minęło tyle czasu? To dlatego wracasz tam?

– Tak – szepnął, opuszczając wzrok.

Oparła się o mur, patrzyła nadal na niego, choć twarz miała niepewną.

– Powiedziałeś, że ma męża?

– Tak.

– Że spędziliście z sobą tylko jedną noc.

– Tylko raz z nią spałem. Ale było coś więcej...

– Wiem. Ja... – Odwróciła głowę, uniosła podbródek. – Ale potem jej nie widziałeś. Musiało już minąć...

– Dwanaście lat. Dla niej przeszło osiemnaście. – Znowu podniósł wzrok. – Skąd wiem, że nadal mnie chce? Nie, mogę mieć pewności. Ale Ogniste Jezioro ukazało mi przebłycki przyszłości... pokazało ją. I... – Zaczerpnął głęboko powietrza. – Rozmawiałem z nią po opuszczeniu Tiamat.

Popatrzyła na niego z niewiarą.

– Jak? Nie można nawet wysłać wiadomości...

– Jest sybillą, ja też. To możliwe... na tym muszę poprzestać. Nawet o tym nie powinienem być wspominać. – Opuścił oczy. – Po odlocie porozumiewałem się z nią kilkakrotnie. Wie, co się stanie. Boi się tego. I ma po temu wszelkie podstawy. Hegemonia chce na Tiamat tylko jednej rzeczy – wody życia. Dla Letniaków zabijanie merów jest świętokradztwem, a dotychczasowe polowania sprawiły, że są bliskie wytępienia. Sieć sybilli posiada nawet dowody, że mogą być rozumne...

– Co? – Zapytała niedowierzająco. – Ale to oznacza...

– Gatunkobójstwo. – Przytaknął. – Jeśli to prawda, popełniamy je od stuleci.

– Czy powiedziałeś o tym komuś?

Roześmiał się gorzko.

– Próbowałem. W Centralnym Komitecie Koordynacyjnym nikt nie chciał o tym słyszeć. Pernatte dał mi bardzo wyraźnie do zrozumienia, że dalsze nalegania czy protesty publiczne mogą zrujnować mą karierę... – Pokręcił głową. – Jeśli Królowa nie pozwoli na nowe polowania, a to pewne, Hega uzna to za powód do wdeptania ich w błoto, jak robi to od tysiąca lat. Dlatego właśnie muszę zostać Głównym Sędzią. Mam teraz połowę szans na zdobycie władzy nad całym systemem prawnym, wytyczenie granicy między rządem a wyzyskiem.

– Jesteś taki pewny, że bez ciebie by do tego doszło?

Kiwnął głową, zacisnął usta.

– Wszystko na to wskazuje. Na górze nikt nie mówi o małżeństwie, tylko o gwałcie. Politycy pragną łatwych zysków, Sini wymówki do wypróbowania nowych broni, a wszyscy większej potęgi. Jedynie opóźnienie czasowe powstrzymywało ich przed przystąpieniem do budowy nowego imperium. Eksploatacja Tiamat jest doskonałym pierwszym po temu krokiem.

– Ale napęd gwiazdny sprawi, że Hegemonia i tak stanie się najznacniejszym organizmem politycznym i ekonomicznym. – Pandhara uczyniła gest kielichem z winem, spojrzała w niebo. – Nawet taki marginalny świat jak Tiamat stanie się cenny; po prostu za mało jest planet nadających się do zamieszkania. Bez map gwiazdnych Starego Imperium, które ukazałyby nam, gdzie są inne planety zajęte przez ludzi, miną dziesiątki lat, nim znajdziemy choć jedną, o której byśmy już nie wiedzieli.

Kiwnął głową, wstał niespokojnie.

– Wiem. Przy każdej okazji wykazuję to tym na górze. Miną jednak lata, nim przywódcy Hegemonii dostrzegą wyraźnie wielki obraz. Ale wtedy będzie za późno dla merów, a może także dla ludzi z Tiamat.

– Czy Moon wie, że wracasz?

– Tak.

– Jak to przyjmuje?

– Chyba... budzi w niej strach.

– A ty?

Dłuższą chwilę patrzył na nią, nic nie mówiąc; odwrócił się, skierował wzrok na opadającą w cień ziemię, dalekie, lśniące morze.

– Boję się, Dharo – mruknął wreszcie – że nie chcę tego zostawić. Boję, że choć tyle zrobiłem, by osiągnąć ową chwilę, to teraz nie chcę wracać na Tiamat.

Poczuł, jak cicho stanęła za nim, wsunęła swe ręce pod jego i objęła go, przycisnęła; poczuł na plecach ciepło jej ciała, włosy łagodnie muskające mu szyję, gdy położyła głowę na jego ramieniu. Nic więcej nie powiedziała, nic nie zrobiła, trzymała go tylko.

Powoli, niepewnie unióśł ręce i przykrył jej.

– Do końca życia mogę stać tak, patrząc – szepnął – i być całkowicie szczęśliwym... – Pomyślał, że mógłby się ubiegać o miejsce w Parlamencie Światowym i zostać wybranym; pracować nad zmianą przeznaczenia tej planety, jego rodzinnej, zamiast ludzi, którzy przypuszczalnie go za to tylko znienawidzą i odrzucą. – Tu właśnie, teraz, mam wszystko, o czym zawsze marzyłem – a nawet więcej. Jestem szanowany, lubiany... – Poruszył siew obręczy jej ramion, obrócił, aż stanął twarzą do Pandhary. – Może nawet... kochany?

Przycisnęła go mocniej, gdy sama z kolei została objęta.

– Sathra, bhai, przybył wasz gość...

Gundhalinu szarpnął głową, gdy zarządzający posiadłością wszedł na balkon z płytkim ukłonem, zobaczył swego pana w objęciach żony i szybko się wycofał. Gundhalinu odetchnął głęboko, uświadamiając sobie, że ma wszelkie prawa, by ją obejmować, lecz mimo to jakoś już jej nie dotykał.

Współczucie dostrzeżone przelotnie w jej oczach, gdy wzięła go pod ramię, by mogli pójść przywitać KR Aspundtha, wywołało u niego większy ból niż leżący głębiej żal.

Aspundth trochę dziwnie spojrział na nich oboje, gdy przywitali go niby para żalobników, mimo to podczas oczekiwania na kolację gawędził mile na błahe tematy. Gundhalinu poczuł, jak powoli rozładowuje się napięta atmosfera, jak sam się uspokaja. Wszyscy pili sporo lithu i gdzieś w połowie posiłku Pandhara zaczęła opowiadać kiepskie żarty, które niespodziewanie rozbawiły Aspundtha. Gundhalinu w milczącym zdumieniu patrzył na śmiech gościa, sam zbyt był pochłonięty myślami, by cieszyć się czymkolwiek poza widokiem czystej radości starego człowieka.

– Cudowne, PHN... – sapnął Aspundth, ciągle nie mógł złapać tchu. – I wyrazy uznania dla waszego kucharza, moja droga. – Uniósł przed nią kielich i splukał lithem resztki korzennego, nie znanego mu gulaszu. – Od lat nie jadłem nic smaczniejszego.

– Dziękuję... – powiedziała i przycisnęła dłoń do ust, zachichotała, jakby przypomniał się jej następny żart. – Smakowało ci, BZ?

Przytaknął, czując się trochę wytracony z równowagi. Ledwo zauważył, że jadł cokolwiek, lecz jego talerz był niemal pusty.

– Znakomite – mruknął. – Co to jest?

– Grisha – odpowiedziała rozpromieniona. – Według przepisu mej matki.

– Grisha ? – Przełknął gwałtownie jedzoną potrawę i zakaszał. – Chcesz powiedzieć, że jedliśmy szcurze mięso?

– BZ! Jak śmiesz tak myśleć. – Spojrzała na niego z oburzeniem. – Nie jedliśmy szcurzego mięsa. Nie bądź takim cholernym snobem. – Nie zdołała jednak opanować chichotu. – Nigdy nie jadłeś grishy...

– Mój ojciec kazał ją ciągle przyrządzać – powiedział Aspundth. – Lubiłem ją.

Gundhalinu spojrzał na niego.

– Ale grisha jest... jest... – Odrobinę za późno przypomniał sobie, że ojciec KR Aspundtha był Nietechnikem.

– Taka "pospolita"... ? – Pandhara przyszła mu z pomocą, okrążając szeroki stół i klepiąc po dłoni. – To prawda. "Pospolita" oznacza po prostu, że wszyscy ją jedzą.

Spojrzał na talerz, pokręcił głową.

– Niania... powiedziała mi, gdy byłem dzieckiem, że Pozaklasowcy jedzą grishę zrobioną ze szcurzego mięsa i gotowanych warzyw.

– Można ją robić z czego się tylko chce – powiedziała łagodnie.

Uniósł i opuścił głowę, przypomniał sobie Tiamat, Koniec Świata, jeszcze dziwniejsze rzeczy, które tam jadał i niedługo będzie jadł ponownie... Na ich bacznym oczach zjadł pełną łyżkę, potem następne i uśmiechnął powoli.

– Rośniemy albo umieramy, prawda? Wiesz, to jest naprawdę bardzo dobre.

Po kolacji usiedli na głębokich poduchach w pokoju rozmyślań. Robot zostawił im unoszącą się tacę ze słodyczami. Pandhara zapaliła korzenną pałeczkę, wciągnęła i wypuściła dym, który uniósł się nad nią pachnącymi aromatycznie kłębami. Nigdy przedtem nie widział jej palącej. Jest tyle rzeczy, których o niej nie wie; których teraz nigdy nie pozna...

– Wiecie, że to bardzo niezdrowe – Aspundth napomniął ją łagodnie.

Spojrzała na BZ; dostrzegł w jej wzroku coś więcej niż tylko pytanie i mniej niż żal.

– Dziś czuję się szalona.

Aspundth popatrzył na gospodarzy i nic nie powiedział. Po chwili zwrócił się do Gundhalinu.

– A więc to już. Droga do Tiamat znowu stoi otworem. I wracasz tam jako Główny Sędzia.

Wszystko jest tak, jak zaplanowałeś lata temu.

Gundhalinu niemal przytaknął, lecz jego szyja odmówiła kłamliwego gestu.

– Nie – powiedział łagodnie. – Niezupełnie tak, jak zaplanowałem.

Aspundth nic nie mówił, czekając na wyjaśnienia.

Taca ze słodyczami przytłynęła do boku Gundhalinu; podniósł małe, ozdobne ciastko, położył je na otwartej dłoni, obejrzał, potem odłożył i odepchnął naczynie.

– Pewnie pomyślicie, że zwariowałem, ale... nie wiem, czy dobrze postępuję. – Zasłonił oczy, przez chwilę nie mógł na nich patrzeć. – Nagle wypełniły mnie wątpliwości – co naprawdę robię, co zdołam tam osiągnąć... czy to w ogóle ma sens. Od lat było to dla mnie obsesją, a teraz nagle zaczynam się zastanawiać dlaczego. Czy tylko dlatego że od tak dawna nie miałem żadnego innego celu? Odkąd wróciłem na Kharemough... – Potrząsnął głową, spojrzał na nich znowu. – Pomóżcie mi, bogowie... – szepnął – nie chcę lecieć.

Aspundth zmarszczył brwi, lecz w jego oczach była sympatia, a nie potępienie. Spojrzał na Pandharę.

– Jak wiele powiedzieliście PHN?

– Dostatecznie dużo – przyznał, patrząc na nią.

– A co wy, PHN, o tym myślicie?

Pandhara poruszyła się niespokojnie na poduchach.

– Chcę, by był szczęśliwy... – Niemal z gniewem szarpnęła głową. – Chcę, by został... – Znowu spojrzała na BZ, jej wzrok napełnił go bólem. – Byłeś taki samotny... Przez tyle lat pracowałeś nad tym marzeniem i aż do teraz nie miałam najmniejszego pojęcia dlaczego... wiedziałam tylko, że nie daje ci to spokoju. Myślałam też, że zaznasz go dopiero wtedy, gdy osiągniesz cel.

Gundhalinu zamknął oczy, znowu przycisnął dłonie do twarzy.

– Do licha z tym wszystkim! Po wyjściu cało z Końca Świata wiedziałem, że zdołam stawić czoła wszystkiemu, co stanie między mną a tym, co muszę zrobić... – Jego ręce opadły, legły bezwładnie na kolanach. – Wszystkiemu, oprócz tego. – Wszystkiemu, oprócz szczęścia.

– W taki razie musimy zawiadomić Moon, że flota przybędzie za kilka miesięcy... ale bez was – powiedział Aspundth.

Gundhalinu uniósł głowę, poczuł, że się rumieni.

– Moon powiedziała mi – mruknął – po powrocie na Tiamat... że nawet ona mogłaby być szczęśliwa, zostając na Kharemough.

Ale czuła coś, co kazało jej wracać. Umysł sybilli przemówił do niej jakoś, przekazał, co musi robić. Nigdy czegoś takiego nie czułem. Gdybym miał choć połowę jej pewności, że postępuję słusznie...

– Może dlatego nie słyszeliście "głosów", bo ich nie potrzebowaliście. Wasze własne pragnienia, wiara, że postępujecie słusznie, zaprowadziły was tak daleko – powiedział Aspundth. – Może ona nigdy nie miała takiej pewności jak wy – czy takiej, jaką według was ma. Czy stykając się z Najwyższą Komendą Policji lub Centralnym Komitetem Koordynacyjnym, dostrzeżliście lub usłyszeliście cokolwiek, co kazałoby wam wątpić w słuszność swego zdania na ich temat?

Oczy Gundhalinu pociemniały.

– Nie.

– I nadal czujecie się odpowiedzialnym za to, co się stanie z Tiamat?

– Tak. – Opuścił wzrok. – Tak, do cholery. Wiecie o tym.

– I z Moon Dawntreader?

BZ spojrzał bezradnie na Pandharę, wiedział, że odczyta w jego oczach to, co ból i zmieszanie nie pozwolą mu przyznać.

– Czy rozważyliście – niemal niepewnie zapytał Aspundth – co może się stać z Królową Lata, gdy Hegemonia wróci na Tiamat?

Gundhalinu poczuł zimną pięść ściskającą mu serce.

– Bogowie... Nie, nie mogą nakazać złożenia jej w ofierze! Jest za wcześnie... Lato dopiero się tam zaczęło. Byłoby to całkowitym pogwałceniem obrzędu Zmiany.

– Już sam powrót Hegemonii jest całkowitym pogwałceniem zwyczajów Tiamat. Nie twierdę, że tak się stanie. Nie wiem tego. Ale jeśli jednak...?

Gundhalinu opadł w złudne oparcie zimnych, powleczonych atłasem poduch. Moon Dawntreader nie jest władczynią, którą Hegemonia chętnie powita po przybyciu na Tiamat. Jeśli sprzeciwi się im... większość starej struktury rządów Zimaków nie została jeszcze zniszczona, na pewno chętnie poświęcą Lato morzu. Znowu spojrzał na Pandharę, jej wzrok przyprawiał go o ból gardła; zrozumiał, iż cały czas wiedział, że nie może zostać, nigdy by się nie wyzwolił od wspomnień i prawdy.

– BZ – powiedziała, tym razem jej głos był silniejszy, pewniejszy. – Gdy opowiedziałeś mi o

wszystkim, czego nie wiedziałem o twojej przeszłości, o wszystkim, co musiałeś znosić i przezwyciężać... jak na Tiamat stałeś się tym, którym jesteś teraz... czułam się, jak gdyby poprzez ciebie ogarnął mnie duch tego miejsca i twoi przodkowie; że wszystko, co według ciebie musisz zrobić, jest słuszne i to osiągniesz. Widziałam to w twoich oczach, nawet w chwili gdy mnie obejmowałeś. Widzę to teraz... jesteś tylko duchem. Tak naprawdę nie ma cię tutaj, nigdy nie będzie, wszelkie odpowiedzi na pytanie, kim jesteś, czekają na ciebie na Tiamat. Wracaj do Moon... i niech bogowie będą z tobą. – Wyciągnęła rękę, dotknęła jego palców.

Przysłonił jej dłoń swoją, wydawała mu się prawdziwsza, żywsza niż jego własna. Niemal niechętnie spojrział na Aspundtha. Moon. Musi zrobić to teraz, ten ostatni Przekaz, posłać ostatnią wiadomość, dać jej znać...

Aspundth kiwnął głową w zrozumieniu i powoli, sztywno wstał.

BZ uczynił to także.

– Dharo, zaprowadzę KR do jego pokoju...

Puściła go, została na miejscu; przywykła do tajemnego obrzędu męża i gościa, przyjmowała wyjaśnienie, iż mają do omówienia poufne sprawy polityczne.

– Dziękuję wam, KR, żeście przyszli.

Aspundth ponownie kiwnął głową.

– Cieszę się, że mogłem tu być. – Oboje spojrzeli na Gundhalinu.

Zawahał się.

– Zaczekasz tu na mnie, Dharo? Muszę... coś z tobą omówić.

Przytaknęła. Gdy patrzyła, jak obaj wychodzą z pokoju, zdziwienie na chwilę zamieniło w jej oczach głęboki żal.

– BZ... – powiedział Aspundth, sadowiąc się w wygodnym fotelu, gdy Gundhalinu zamykał za nimi drzwi.

Gospodarz zerknął na niego, niepewny tonu głosu starego człowieka, tak samo jak nie był pewny własnej miny. Przeszedł pokój, usiadł na sąsiednim fotelu.

– Tak – powiedział cicho. – Jestem gotowy.

– Wejść w Przekaz? – zapytał Aspundth. – Czy wrócić na Tiamat?

– Na jedno i drugie – odpowiedział, opuszczając wzrok.

– Pozwólcie, że powiem wam coś, co może złagodzi ból tego wyjazdu.

Gundhalinu spojrział na niego z milczącą ciekawością.

– Istnieją dowody – mruknął Aspundth, wytrzymując jego spojrzenie – że sytuacja, w której się znaleźliście, mogła być specjalnie zaaranżowana, abyście poczuli dokładnie takie wątpliwości, jakie odczuwacie teraz.

Gundhalinu popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Co mówicie? Czyżby Pandhara...

– Nie... wasza żona jest całkowicie niewinna. Okazało się jednak, że pewne frakcje postarały się, byście oboje się spotkali i by się to powtarzało; miało to doprowadzić do waszej obecnej sytuacji – wielkiej wygody, wielkiego szczęścia... może nawet miłości – ciągnął Aspundth łagodnie. – Zwątpienia w siebie, we własne możliwości. Owi ludzie nie chcieliby zobaczyć, jak wracacie na Tiamat.

– Macie na myśli Bractwo? – zapytał Gundhalinu, z nagłą, przejmującą wyrazistością przypomniał sobie śmierć braci.

– Tak – potwierdził Aspundth. – Ale nie tylko... Znajdujecie się teraz w środku zbyt wielkiej

potęgi, by wszystko było równie proste. Wasza pozycja chroni was przed bezpośrednim atakiem, ale także naraża na bardziej subtelne rodzaje zdrady.

– "Zadawaj właściwe pytania"... – zamruczał Gundhalinu – "i nikomu nie ufaj."

– Właśnie. – Uśmiech Aspundtha był pełen smutku. – Nawet sobie.

Po powrocie do pogrążonego w półmroku pokoju rozmyślań zastał Pandharę siedzącą tam, gdzie ją zostawił... całkowicie nieruchomą, z zamkniętymi oczyma medytującą w technice adhani, której ją nauczył. Bardzo szybko przyswoiła sobie tę umiejętność. Ucieszył się, gdy powiedziała mu, że pomaga jej skupić się podczas pracy.

Otworzyła oczy, gdy tylko usłyszała, jak wraca do pokoju; spojrzała na niego wyczekująco, złożyła dłonie na podołku.

Wyczerpany niezwykłym napięciem Przekazu, usiadł przed nią na podłodze, skrzyżował nogi. Długą chwilę patrzył w bok, nie miał pojęcia, jak zacząć. Wreszcie zmusił się, by znowu na nią spojrzeć.

– Dharo... powiedziałaś mi kiedyś, że jednym z powodów, dla których pragnęłaś dziedzictwa mego rodu, był wzgląd na dzieci. Że chciałaś mieć dzieci...?

Jej oczy rozszerzyły się lekko, pochyliła głowę.

– Tak.

– Nie... Bogowie... – szepnął, zacisnął dłonie w pięści. Spojrzał na rombówate, błękitne wzory kopuły sufitu. – Nie wiem, jak to wytłumaczyć, żeby nie... Biorąc pod uwagę, kiedy lecę i gdzie, co będę musiał zrobić, gdy już się tam znajdę... wiesz, że nie wrócę. I... tylko bogowie wiedzą, jak daleko to sięgnie, mogę mieć kłopoty... na tyle poważne, że odbiją się nawet tutaj, na tobie i posiadłości. Nie chcę, by znowu spotkało cię to, co przedtem. – Patrzyła na niego ciemnymi oczyma, nic nie mówiła. – Przez ostatnie dwa dni wiele o tym rozmyślałam... – mówił pośpiesznie, bał się, że straci opanowanie. – Zastanawiałem się, jak zabezpieczyć twoją pozycję, obronić posiadłość przed możliwymi próbami skonfiskowania.. Dharo, czy rozważałaś urodzenie mego dziecka? – Ostatnie słowa były ledwo słyszalne.

– Ja... – Uniosła dłoń do piersi.

Opuścił wzrok, powiedział pośpiesznie:

– Przed wyjazdem załatwiłbym konieczne świadectwo spermy. Dopilnowałbym wszystkiego. Zabiegu dokonano by w sposób dogodny dla ciebie, bardzo łatwo... Po urodzeniu się dziedzica, dziecka należącego genetycznie do nas obojga, nie byłoby wątpliwości, do kogo należy posiadłość rodu Gundhalinu... Wiedziałbym też... wiedziałbym, że uczciłem przodków w jedyny sposób, jaki ma znaczenie dla mego serca.

Milczała dłuższą chwilę.

– Jak widzę, przemyślałaś to bardzo dokładnie, jak zwykle z wielką rozwagą. – Czekala, aż wreszcie znowu na nią spojrzy. – Urodzenie twego dziecka, BZ, sprawiłoby mi wielką radość... nie wyobrażam sobie piękniejszej rzeczy.

Zaczął się uśmiechać z ulgą i odprężeniem.

– Tylko jeden warunek. Czy w zamian dasz mi coś?

Drgnął zaskoczony.

– Wszystko, co chcesz, co mogę ci dać.

Uparcie, głęboko patrzyła mu w oczy.

– Daj mi dzisiaj, BZ. Daj mi dziecko własnym ciałem.

Patrzył na nią ze zdumieniem, poczuł, jak się znowu rumieni, jak serce bije mu szybciej.

– Nie... czy jesteś w... to znaczy...

– Załatwię to. – Wyszepiała te same słowa, które on tyle razy mówił do niej. – Nie zrobię tego w żaden inny sposób. Dziecko jest człowiekiem; do jego stworzenia nie wystarczy połączenie w butelce spermy i jajeczka. Dasz życie temu dziecku – ale pewnie nigdy go nie zobaczysz, nie przed śmiercią was dwojga. Nie możesz tego zrobić, jak zamierzałeś; byłoby to nieuczciwe. Niech poczęcie naszego dziecka nastąpi w akcie miłości... bym mówiąc tak naszemu synowi czy córce, nie musiała kłamać. Bądź mi mężem... – Nachyliła się nad nim, jej napięte ciało rysowało się wyraźnie pod lejącym się materiałem sukni, dotknęła go. Dostał wzwołu, tak szybko, iż ból nim wstrząsnął. – Tylko na dzisiejszą noc.

Nagle poczuł, jak zrozumienie wypowiedzianej przez nią prawdy tonie w zalewie pragnienia, jak z jego cierpiących łędźwi poprzez wypełniającą go bolesną pustkę wzbiera fala gorąca.

– Tak... – szepnął. Natrafił na jej czekające usta, miękkie, wilgotne i ciepłe, jak konający z pragnienia spijał pocałunki żony. Przesunął dłońmi po jej ciele, wyczuł jego żar, kobiecość, napierające piersi, gdy objął jej plecy i zaczął rozpinać suknię.

Opuścił szatę wzdłuż ciała Pandhary, odsłonił jej ramiona, cudowną krzywiznę pleców, piersi. Jej zręczne palce rozpięły jego kurtkę, rozsunęły tunikę, rozwiązały spodnie – wślizgnęły się w nie, robiły rzeczy, od których jego nerwy eksplodowały jak wybuchające gwiazdy. Sapnął z ekstazy i niepokoju, że traci resztki panowania nad sobą. Niezdolny do powstrzymania siebie, pchnął żonę w tył i dół, znalazł drogę do jej wnętrza, wyładował się, usłyszał, jak słaby krzyk jej protestu tłumi jego, pełen ulgi.

Leżał na niej z bijącym sercem, oszołomiony i poniżony, aż wreszcie zebrał dość sił, by się odepchnąć, aż ich ciała się rozdzieliły, już się nawet nie dotykały.

– Bogowie... – wymamrotał – och, bogowie... przepraszam. Tak długo...

Wyciągnęła ręce, przyciągnęła go do siebie, pogładziła włosy, niby w pocałunku dotknęła ust.

– Ciii, wiem – powinnam się była domy sieć...

– Czy sprawiłem ci ból? – szepnął, wspominając braci. Udręczony zamknął oczy. – Och, Dharo, musisz myśleć, że ja...

– Wszystko dobrze. To było... Ciii... – Wzięła go w ramiona, pogładziła plecy, przycisnęła do siebie. – Mamy całą noc.

Wdychał jej zapach, zatapiał się w odczuciu dotyku jej skóry. Potem uniósł głowę, znalazł jej usta, pocałował głęboko, długo, jakby dziś wieczór znaczyło zawsze. Użył warg, dłoni, całego swego zmęczonego, zadowolonego ciała, mocno przyciskającego żonę, by czerpała z tego całą rozkosz, całą miłość, jaką chciał jej dać, całe spełnienie, które tak niespodziewanie otrzymał od niej... Aż wreszcie westchnienia, krzyki i sposoby, w jaki kurczowo się go trzymała, powiedziały mu, że w końcu znalazła własną radość.

Trzymał ją jeszcze trochę, aż zaczęła oddychać wolniej, w jednym rytmie z nim. A potem jej doświadczona, zręczna ręce przystąpiły znowu do pracy, pieściły go, prowadziły z czułością i umiejętnością, jakich nigdy przedtem nie doświadczył, uczyniły to jeszcze gorliwiej, gdy zaczął odpowiadać... Tym razem obeszło się jednak bez pośpiechu, radość z połączenia trwała długo, narastała aż do szczytu oszołomienia, opadła potem w ciepłe doliny snów, aż wreszcie zasnęli.

Słońce wstało, światło nowego dnia padło na dwie śpiące postaci męża i żony, tak z sobą splecione, że sprawiały wrażenie jednej; pogrążone w oddzielnych snach i tymczasowym, oddzielnym spokoju.

TIAMAT: Krwawnik

Moon Dawntreader siedziała wśród kręgu zgromadzonych sybilli, przedsiębiorców i ziemian, przyglądała się im, utrzymując nieruchomą jak maska twarz Królowej. Od przeszło osiemnastu lat dosłownie codziennie musiała stawiać czoła im czy podobnym ludziom, wsłuchiwać jak teraz w szum głosów, czekać, aż zajmą miejsca. Kiedyś przeważał entuzjazm i nowe pomysły. Spory były wówczas drobne i drażniące, zawsze jednak przeważała nad nimi nadzieja i świadomość czynionych postępów.

Odkąd porzuciła pogoń za postępem, by cały swój czas i możliwości poświęcić merom, kłótnie stały się głośniejsze, a skargi bardziej gorzkie. Ponieważ nie mogła zdradzić całej prawdy, większość członków Rady zaczęła uważać, że lekko zwariowała... niekiedy, patrząc na nich, sama nawet się zastanawiała, czy aby nie mają racji.

BZ... Zamknęła oczy, w duchu powtarzała to imię jak nieświadomą modlitwę. Pamiętała jego głos, mówiący do niej tak jak wczoraj; wzywający do lśniącego morza światła – dźwięku – pustki, będącego już niemal cztery lata tajemnym miejscem ich spotkań – wezwał ją po raz ostatni przed przybyciem na Tiamat osobiście, wraz z Hegemonią. Owe niepewne, przelotne rozmowy, jego zachęty i zapewnienia, jej wspomnienia, wszystko to przynosiło otuchę i siły niezbędne do przebijania się przez coraz trudniejsze spory biurokratyczne, nieskończone próby jej zdecydowania i wiary. A teraz wreszcie wraca...

A czego chce od ich spotkania... na co liczy... ma nadzieję... ? Zatopiła się w myślach, przestała słyszeć szum głosów, próbując przywołać widok jego twarzy, wyobrazić sobie, jak się zmieniła; zastanawiała się, czy go pozna w chwili spotkania. Znała go tak krótko i tak dawno temu. Minęło tyle lat, że ledwo pamiętała jego oblicze, choć – a może dlatego – różniło się tak bardzo od otaczających ją przez całe życie. Jego głos, uśmiech, łagodność dotyku... należały do prawdziwego mężczyzny czy cienia z marzeń? W latach, gdy jego powrót był niemożliwy, a nawet tylko odległy o lata, pamięć o nim stanowiła azyl przed trudami i rozczarowaniami życia, jej tajemne fantazje o pamiętanej namiętności umożliwiały schronienie i ucieczkę. Teraz jednak stanie się on częścią jej rzeczywistości i nagle stwierdziła, że nie ma gdzie się schować...

Pokręciła głową, otrząsnęła z obrazów zamazujących jej spojrzenie na rzeczy, z którymi musi się stykać, żyć i borykać dzisiaj, bez względu na to, czy wystarcza jej siły. Sparks okręcił się w miejscu, by popatrzeć na nią z pytaniem i niecierpliwością w oczach. Zajrzała w nie, gdy opadły przesłaniające je ostatnie resztki twarzy kogoś innego. Doznała przy tym końcowego przesunięcia percepcji, jakby oblicze męża było dla niej obce, jakby z trudem musiała sobie przypominać, do kogo należy.

Opuściła wzrok, pojęła z nagłym żalem, że to nie tylko wyobraźnia zmieniła Sparksa w kogoś innego czy kazała jej szukać pociechy u cienia. Tragedia w Otchłani była ostatnim podmuchem, który wreszcie rozwarł pęknięcia w czymś kiedyś całym, doskonałym i tak dla niej cennym jak życie. Nie rozumiała, jak oboje mogli na to pozwolić... choć od lat była tego świadkiem. Nie wiedziała nawet, w której chwili przekroczyli próg nieuchronności – a może było to nieuniknione od początku, odkąd tylko usłyszała wołający ją głos sybilli.

Spojrzała na Tammisa siedzącego obok Danaquila Lu, będącego od niedawna jego teściem; na koniczynki zwisające na ich koszulach niby błyszczące, skierowane na nią oczy. Tragiczne wezwanie syna nie tylko pogłębiło pęknięcia jej małżeństwa, ale także oddzieliło czymś równie bolesnym chłopca od ojca. Nawet wesele Tammisa i Merovy nic nie pomogło; wydawało się, że Sparks stał się po nim jeszcze bardziej niedostępny i oddalony niż zawsze. Odwrócił przed nią oczy, gdy

zapytała go dlaczego; podobnie ich syn.

Zerknęła na siedzącą z jej lewej strony Jeruszę PalaThion; po drugiej stronie miała puste miejsce, zostawiała je zawsze, zaznaczając nieobecność człowieka, którego tak często i tak dojmująco brakowało im obu. Dostrzegała na jej twarzy cenę straty, choć ciągle zatrzymywała w sobie samotność i wątpliwości. Jerusha nigdy nie lubiła okazywać uczuć, pogłębiło to życie spędzone wśród obcych – najpierw własnych ziomków, potem Tiamatańczyków. Moon widziała w jej oczach głębię rozpacz; żałowała, że nic nie może zrobić dla kobiety, która od tak wielu lat była jej najpewniejszym, choć niespodziewanym przyjacielem... że nic nie może zrobić dla siebie. Jerusha uniosła oczy i bardziej wykrzywiła twarz, niż się uśmiechnęła, gdy Królowa skupiła się wreszcie i mogła wypowiedzieć nieuniknione słowa otwierające posiedzenie Rady.

– Lato i Zimo... – zaczęła niespodziewanie silnym głosem. Zbielałe dłonie położyła na blacie stołu w pozorze opanowania, zaczęła na milczenie i uwagę obecnych. – Otrzymałam w Przekazie następną wiadomość. Pozaziemcy zakończyli przygotowania do powrotu na Tiamat. W każdej chwili mogą z Kharemough wysłać statki – i nowy rząd Hegemonii. – Zaczekała ponownie, aż opadnie wybuchła fala podniecenia, zdumienia i konsternacji; aż wreszcie pojawiły się spójne pytania, na które mogła odpowiedzieć.

– Kiedy to się stanie? – W imieniu wszystkich zapytała Sewa Stormprince. Moon dostrzegała na jej twarzy mieszane uczucia, podobnie jak u wszystkich innych.

– To sprawa tygodni – odpowiedziała, czując, jak oszałamiają własna niewiara i lęk, mocniejsze dzięki wypowiedzeniu tych słów na głos. – Mogę jedynie stwierdzić, iż wierzę, że nowy rząd będzie traktował nas sprawiedliwiej, a wszystko, co czyniliśmy dla rozwoju naszych możliwości, nie okaże się wysiłkiem daremnym. Jest jednak sprawa merów...

Przerwała, gdy twarze rozjaśniające się ulgą i nagłym zainteresowaniem wyraziły teraz niepokój lub odwróciły się, pogrążając w rozważaniach na temat Powrotu. Sprzeciwy wobec wprowadzonych przez Moon zmian, skierowaniu prac Kolegium Sybilli na badania merów, kosztowały ją utratę poparcia, którego nie mogło całkowicie wynagrodzić pozyskanie Capelli Goodventure i Letniaków o tradycyjnych poglądach. Ściągnęła na siebie gniew i zdenerwowanie Zimaków, a nawet tych Letniaków, których z takim trudem przekonała do swej pierwotnej wizji nowej Tiamat. Przez tyle lat jej wysiłki okazywały się aż zbyt skuteczne, kładła w nie wszystkie siły, kierując się tym samym przymusem, który teraz każe jej dążyć w przeciwnym kierunku; w rezultacie przestawienie okazało się po dwakroć trudniejsze.

Jeśli przyszłość postawi ich przed możliwością zapłacenia życiem wszystkich merów na Tiamat za wygody obywatelstwa nowego imperium Hegemonii, większość z siedzących w tej sali ludzi przystanie na taką ofiarę – niektórzy z poczuciem winy, lecz przeważnie bez wahań.

– Problem merów nie został rozwiązany – podniosła głos. – A jest ważny, dla przyszłości tak waszej, jak i całej Hegemonii! – Niemal krzyczała, by zagłuszyć narastający szum głosów. – Jeśli Hegemonia ich zniszczy, jeśli na to pozwolimy, to stracimy wszystko, co według nas zdobyliśmy...

– Dlaczego? – Zapytał obojętnie Flan Redstone. – Bo to rasa rozumna? W takim razie niech sami się o siebie troszczą.

– Jeśli są takie rozumne – mruknął ktoś inny – to dlaczego pozwalały się tak długo zabijać przez pozaziemców? Czy świadczy to o sprycie?

– Są Dziećmi Pani! – Zawołała Capella Goodventure. – Jeśli je porzucicie, Ona porzuci was...

– I tak zawsze mniej o nas dbała niż o pozaziemców – odparł jej Flan Redstone.

– Nie powinniśmy stać beczynnie i pozwalać na rzeź merów, obojętnie w co wierzymy – powiedziała ostro Clavally Bluestone. Potem spojrzała na Moon. – Co jednak możemy zrobić, żeby

temu zapobiec? Powiedziałaś, Pani, że nie mamy szans na walkę i zwycięstwo z Hegemonią.

– To prawda. Dlatego musimy znaleźć inne rozwiązanie. – Moon wstała, pochyliła się nad stołem.

– Mówicie stale, że jest to ważniejsze od nas wszystkich, że od tego zależy przyszłość – powiedziała Sewa Stormprince. – Co to znaczy? Tragedia spotka jedynie mery, a one zdają się tym nie przejmować. Jak zabicie wszystkich merów zdoła wpłynąć na przyszłość Tiamat lub Hegemonii? Najwyżej kilku najbogatszych pozaziemców nie zdoła żyć dłużej niż my wszyscy. Dla mnie to żadna tragedia.

– Nie o to chodzi. – Moon pokręciła głową, poczuła, jak po plecach jej szaty zsuwa się gruby warkocz. – Mery stanowią część czegoś znacznie ważniejszego. – Wiem, że... wiem, że... – Jej twarz wykrzywiła się w rozpacz, gardło ścisnął paraliż przy słowach, których nigdy nie zdoła wypowiedzieć. – Wiem... co wiem – dokończyła drżącym, niepewnym głosem. Opuściła wzrok i usiadła, czuła zbyt wiele oczu przyglądających się jej z chorobliwą ciekawością, wątpliwościami – nawet Jerushy, nawet męża.

Zacisnęła dłonie na krawędzi stołu. Przypatrzyła się im, czując się osamotnioną w sposób, jakiego sobie nie wyobrażała, że jest w ogóle możliwy wśród ludzi, którym ufała, których знаła, a nawet kochała, a którzy nie mogli jej pomóc...

– Może powinniśmy wszyscy się nad tym zastanowić – powiedziała nagle Jerusha. – Hegemonia istnieje dzięki handlowi. Dadzą wam wszystko, co zechcecie – ale nie za darmo. Zażądamy za to wody życia. Jeśli jednak pozwolimy im zabić wszystkie mery, to z nimi skończy się woda życia. A co wtedy ten świat będzie miał do zaoferowania? Pomyślcie o tym.

Ton mruczących głosów zmienił się, był teraz bardziej rozważny, lecz nadal gderliwy.

Moon podniosła głowę, spojrzała na Jerushę z wdzięcznością, choć wiedziała, że niepokój i szum nadal narastają. Pokonana, pozwoliła na ogólniejsze pytania na temat Powrotu i niemal w nieskończoność odpowiadała na nie. Miała nadzieję, że zdoła tak długo skupiać myśli na sprawach bieżących, aż odpowie na wszystkie kwestie. Powędrowała wzrokiem do Kirarda Seta Wayawaya, zeszywniała, gdy obrazy jej babci i Boraha Clearwatera zmieniła jego twarz w nieludzką maskę. Nieludzką...

Nagle podniósł głowę, czując na sobie jej wzrok. Widok twarzy Moon przyjął z lekkim zdziwieniem; potem jednak w jego oczach pojawiło się coś w rodzaju zrozumienia i uśmiechnął się. Przeszył ją mróz, gdy pojęła, że rozpoznał u niej twarz kogoś innego... Królowej znanej mu z Zimy.

– Pani – powiedział z tym denerwującym, lekko drwiącym cedzeniem słów, którym wszyscy byli dostojnicy Zimy – nawet ci, których lubiła, zdawali się zawsze posługiwać, zwłaszcza przy wypowiedaniu jej letniackiego tytułu. Pochylił się z błyszczącym w oczach nagłym napięciem. Zaczyna się, pomyślała, zeszywniała, czekając na następne słowa. – Myślę, że powiedzieliśmy wszystko, co się da, na temat powrotu pozaziemców. Jeśli można, chciałbym poruszyć sprawy miejscowe... Zależałoby mi zwłaszcza na wysunięciu prawa pierwokupu do plantacji Clearwater... minął już wymagany czas od tragicznego wypadku, który przerwał życie mego krewniaka i waszego... – Okazując rozpacz i stratę, zawiesił głos i opuścił wzrok. Siedział w milczeniu z rozwartymi ustami. – Żadne żądania nie mogą mieć pierwszeństwa przed moim...

– Tu się mylicie, Kirardzie Secie Wayawayu – powiedziała miękko, patrząc, jak jego twarz zastyga w połowie przejścia do zadowolenia ze spełnienia marzeń.

– Jak to? – zapytał wśród zapadłego nagle w sali całkowitego milczenia.

– Postanowiłam sama wystąpić do tej ziemi jako najbliższa z żyjących krewnych.

Popatrzył na nią.

– Jak to? – powtórzył, a potem dodał. – Bogowie... – Oczy mu ściemniały. – Jesteście Letniaczką. Nie spokrewnioną z nim czy ze mną!

– Był zaprzysiężony mojej babce. – Która zginęła wraz z nim. Czy przez ciebie? Zacisnęła usta, powściągając te słowa – zatrzymując oskarżenia, których nie mogła udowodnić, wyrazy straty i podejrzeń nadal płonących w niej jak węgle.

– "Zaprzysiężony"? – zapytał ze złością i pogardą. – To nic nie znaczy. Nie było to legalne małżeństwo; nie zostało zarejestrowane...

– Słowne zaprzysiężenie jest wśród Letniaków wystarczającą więzią – odpowiedziała Moon spokojnie. – A teraz trwa Lato. Mam prawo, jeśli zechcę, domagać się ich wspólnej własności.

– Po co wam skrawek zacofanego gospodarczo wybrzeża o trzy dni drogi od miasta? – Rzucił jej mordercze spojrzenie.

– Zdecyduję o tym we właściwym czasie.

– Czemu więc, na miłość bogów, nie sprzedać go mnie? Byłaś pani zadowolona ze sposobu, w jaki rozwinąłem inne moje posiadłości. Wiesz, że od lat pragnąłem tego kawałka ziemi, ale... mój zmarły krewniak... nie chciał go sprzedać.

– Nie sprzedam, bo kiedyś przysięgłam Clearwaterowi, że nie dopuszczę, byście kiedykolwiek zdobyli ten teren.

Jego zdumienie osiągnęło szczyt. Pokręcił głową.

– Świetnie – mruknął, z trudem panując nad głosem. – Przypuszczam więc, że dotrzymujecie obietnicy, żeby zadowolić swą starą babkę. Ale już nie żyje, do licha. Oboje nie...

– Słyszałam też, że podobno nieraz wyrażaliście głośno pragnienie doczekania zniknięcia waszego krewniaka, dzięki czemu przejęlibyście jego ziemię. – Zetknęła się z lśniącymi w jego wzroku nożami, lecz widziała jedynie wywróconą do góry dnem łódź, wyrzuconą przy czystym niebie i spokojnym morzu na opuszczonej wysepce, bez najmniejszych śladów dwojga ludzi płynących do Krwawnika. Było to bardzo dziwne, zważywszy, że ich wspólne doświadczenia żeglarskie liczyły ponad wiek, a nikt nie zgłosił sztormu.

– Oskarżacie mnie o spowodowanie ich śmierci? – zapytał z oburzeniem. – Byli starzy. Może stanęło mu serce. Może wypadła za burtę...

– Nie mam dowodów, że ich śmierć nie była spowodowana wypadkiem – odpowiedziała, słysząc w swym głosie brak wiary. Gdy tylko wiadomości dotarły do miasta, niespokojna, lecz niezdolna do milczenia Tor Starhiker przyszła do pałacu, zdradziła, co podsłuchiwała w swej restauracji... powiedziała też, że niedługo przed weselem Tammisa zauważyła Kirarda Seta na rynku, gdzie nigdy przedtem go nie widziała, dającego pieniądze pewnym Zimakom o złej sławie. Moon poprosiła Jeruszę o poprowadzenie śledztwa, lecz nie natrafiono na ciała ani żadne poszlaki poza pogłoskami. – Znam jednak pewne powiedzenie Zimaków: "Dzisiejsze słowo jest jutrzejszym czynem".

Prychnął lekceważąco.

– Nie oskarżam was o żadne przestępstwo, lecz wasza zła wola w stosunku do własnego krewnego i mojej babki wystarczy, bym nigdy nie pozwoliła wam do przejęcia tych ziem.

– Plotki i kłamstwa... – Wstał, patrząc na Moon ze złością. – Dość już miałem wysłuchiwanie pomyłonych, fanatycznych bredni o merach! Ale teraz... to już za wiele. – Machnął ręką, jakby mógł w ten czarodziejski sposób pozbyć się Moon. – Hegemonii po przybyciu tutaj nie spodoba się to. A jeśli nie zaczniecie patrzeć na ten świat tak jak Arienrhod, nie spodziewajcie się patrzeć na niego długo. – Odwrócił się i opuścił komnatę.

TIAMAT: Okręt gwiazdny Ilmarinen, orbita planety

– Komendancie Gundhalinu...

– Kapitanie. – Gundhalinu oddał przepelnione lekkim zdumieniem salutę CA Tabaranne'a, kapitana Ilmarinena, i kilku oficerów stojących wraz z nim na mostku. Przyglądali mu się, gdy przeszedł pokój, wpatrzył w ekrany i monitory. – Tiamat... – szepnął bardziej do siebie niż do obecnych.

– Tak jest – odpowiedział Tabaranne, stając za nim. Przyjrzał się odczytom przyrządów z uzasadnioną dumą i wyczuwalną dla Gundhalinu ulgą. – Jesteśmy. Moje gratulacje, panie komendancie.

Gundhalinu uśmiechnął się przelotnie, patrząc na lśniącą błękitem kulę wody.

– Dziękuję – mruknął w modlitwie wdzięczności dla niewidzialnych bogów, skrytej pod grzecznym uznaniem. Przypomniawszy sobie, gdzie jest i jak tu trafił, odwrócił się do Tabaranne'a i uniósł rękę. – Warn też należą się gratulacje, panie kapitanie. I wszystkim na pokładzie.

Tabaranne uśmiechnął się szerzej, dotykając otwartej dłoni Gundhalinu. Zerknął na Tiamat.

– Niewiarygodne – powiedział cicho. – Znowu odwrócił wzrok. – Jak pan to zniósł, komendancie?

Gundhalinu wzruszył ramionami.

– Jakoś. Ciągle mam bóle i mdłości. – Tabaranne kiwnął głową z miną zdradzającą, że wie dokładnie, co czuje Gundhalinu. BZ zauważył, że jego własna twarz była równie wymizerniała. Odległość do Tiamat była tak wielka, że jej pokonanie wymagało sześciu skoków przez hiperprzestrzeń, przedzielonych postojami w zwyczajnym kosmosie. Nie wynikało to z ograniczeń napędu gwiazdowego czy samego Ilmarinena, zbudowanego tak dokładnie według planów Starego Imperium, jak to tylko było możliwe. Statek bez najmniejszych kłopotów wytrzymywał trudy lotów ponad – świetlnych. Problemy i ograniczenia wiązały się z ludzkimi ciałami pasażerów i załogi.

Skok przez hiperprzestrzeń nie był natychmiastowy, zaś pierwsze, krótkie loty dokonywane doświadczalnie przez Ilmarinena i identycznego z nim Vanamoinena wykazały, że efekty wywierane na ciało i umysł człowieka przez pobyt w Pomiedzy są wyjątkowo nieprzyjemne. Ludzie tylko przez ograniczony czas mogli wytrzymywać przejście przez hiperprzestrzeń. Inaczej groziły im poważne uszkodzenia fizyczne i umysłowe. Dalsze badania potwierdziły, iż Stare Imperium dłuższe odległości pokonywało wieloma skokami. Gundhalinu wraz z grupą naukowców zdołał tak zaprogramować zespół napędu gwiazdowego, iż automatycznie dokonywał on postojów w głębokim kosmosie, dając ludziom czas niezbędny do dojścia do siebie.

Samo przejście dokonywane było w wywoływanym sztucznie uśpieniu – obowiązywało ono także załogę, która i tak nie miała nic do roboty podczas skoków między wymiarami, kiedy to wszystko odbywało się poza kontrolą ludzi. Mimo to po ocknięciu ciała ożywiały się gwałtownie, cierpiąc i chorując, podczas gdy umysły nic nie pamiętały, dręczyły je jedynie niewyraźne koszmary. Zatrzymywali się w nie znanej przestrzeni, pozostając tam na tyle długo, by nabrać sił przed następnym przejściem, a potem znowu skakali w nieznane, nie mając nigdy pewności, że kiedykolwiek osiągną swój cel.

– Obawiam się, że ta podróż była dla wielu lekcją pokory – powiedział Gundhalinu ze smutkiem. – I wątpię, by ktokolwiek mi za to podziękował. – Spojrzał na drzwi, przez które wszedł; na razie nikt nie poszedł w jego ślady. Wiedział, że popędzał siebie, chcąc być pierwszym, otrząsnąć się szybciej ze skutków działania leków. Pomagała mu w tym adrenalina konieczności dowiedzenia się, zobaczenia tego widoku... chciał, musiał ujrzeć go bez tłoczącego się mu za plecami tłumu

gapiów.

Tabaranne uśmiechnął się.

– Jeśli na ten widok nie zapomną o trudach, to powinni byli zostać w domu. Co za kłopoty z tymi biurokratami – przemierzają połowę galaktyki, lecz pragną przy tym, by droga była bezbolesna i by na miejscu zastali dokładnie to samo, co zostawili za sobą. Jaki w tym sens? Dokonaliśmy rzeczy, jakiej dotąd nie uczynił nikt w Hegemonii... i wśród załogi nie ma nikogo, który by nie zgodził się za to dwa razy przemierzyć piekło. Dlatego tu jesteśmy – zamiast leżeć z kacem w kojach. Cywile nigdy tego nie pojmą.

Gundhalinu uśmiechnął się, uznając prawdę tych słów, cieszyło go, iż został zaliczony do wewnętrznego kręgu kapitana. Przed tą podróżą nie znał go zbyt dobrze, lecz podczas próbnych rejsów nowego statku wywarł on nań wrażenie swą odwagą i zdecydowaniem. Tabaranne był człowiekiem Floty, doświadczonym oficerem tej części Sił Zbrojnych Hegemonii, z którą Gundhalinu nie miał dotąd bliższego kontaktu. Komendant zaczął go lubić i szanować, podobnie jak większość dobranej przez niego załogi – choć z pewnymi oporami. Tabaranne był zatwardziałym militarystą i Gundhalinu wiedział, że mogą się pewnego dnia znaleźć po przeciwnych stronach niemożliwej do przekroczenia bariery ideologicznej.

Na razie jednak dążność do celu kapitana, jego poświęcenie dla tego zadania bardziej mu odpowiadało niż nie kończące się skargi i przesadne reakcje fizyczne własnej grupy. Zastanowił się przelotnie, czy napawaliby go równą niechęcią, gdyby nie miał za sobą Końca Świata. Wolał o tym nie myśleć.

– Przed przyszłymi rejsami będziemy musieli poszukać jakiegoś rodzaju zawieszenia w polu stacji, podobnego do używanego w statkach monetowych... – Poczuł, jak część jego umysłu przestawia się z nawyku na szukanie rozwiązań. Zrozumiał, że Stare Imperium musiało mieć lepsze rozwiązanie, zastanowił się, czemu nie poznali go z Przekazów, tak jak podstawowych danych na temat projektu statku. Nie było w nich niczego o ułatwieniu podróży dla ludzi, będących jedynym powodem istnienia statków. Opanowała go nagła pewność, iż jest to jeszcze jednym przykładem niepokojących zakłóceń w działaniu sieci sybilli.

– Czy chciałby pan spojrzeć na szerszy obraz? – Tabaranne wskazał na ekran.

– Bardzo chętnie. – Gundhalinu odepchnął od siebie nieprzyjemne myśli, rad był, że to już nie jego zmartwienie.

Tabaranne rozkazał urządzeniom nawigacyjnym, by powiększyły ognisko. Tarcza Tiamat skurczyła się i zniknęła z ekranu: Gundhalinu patrzył, jak wypełnia się on diamentami Bliźniąt, podwójnego systemu słonecznego. Po raz pierwszy widział je tak dokładnie. Tworzyły niedobraną parę, jedno słońce było drobne i jaskrawo niebieskie, drugie ogromne i czerwone, przyćmione jarzmem rozżarzonych gazów – zewnętrznymi warstwami atmosfery czerwonego giganta, wysysanymi przez zdradzieckie przyciąganie grawitacyjne maleńkiego niebieskiego karła.

Gundhalinu patrzył na podwójne słońca, podziwiając zarówno je same, jak i potęgę czujników nawigacyjnych statku zbudowanego według projektu Starego Imperium. Obraz zmienił się ponownie. Tym razem zniknęła i para Bliźniąt, a dalekosiężne oko okrętu zwróciło się do jeszcze bardziej oddalonych dwóch punktów światła. Komendant zobaczył, jak się zbliżają, ściągane niewidzialną, magiczną nitką; jak symulacja mija oślepiającą, wrzącą powierzchnię żółtego słońca, nazywanego przez Tiamatańczyków Gwiazdą Lata. Jej pojawienie się na dziennym niebie oznaczało oddanie władzy przez Zimę.

Gwiazdę Lata, podobnie jak i Bliźnięta, trzymała na uwięzi rzecz, która teraz wypełniała ekran: Czarne Wrota, czarna dziura wirująca w środku tego skupiska gwiazdowego. To tylko dzięki niej

Hegemonia miała w ciągu tysiąclecia dostęp do Tiamat.

Centrum ekranu zajął całkowity mrok, otoczony płonąca aureolą promieniowania niezliczonych cząsteczek materii wsysanych w nienasyconą gardziel studni grawitacyjnej czarnej dziury. Patrzący na nią Gundhalinu poczuł ciarki przerażenia, choć wiedział, że jest od niej daleko, znacznie poza zasięgiem przyciągania, że ten monstrualny wir na niebie to jedynie symulacja komputera. Przypomnił sobie czasy, gdy spokojnie i chętnie pozwalał, by statek monetowy zabierał go w to pandemonium, nigdy nie tracił pewności, iż wynurzą się po drugiej stronie tunelu wywierconego przez przestrzeń kosmiczną. Do ówczesnych podróży podchodził ze znacznie większą wiarą niż do obecnej. Ale przedtem nikt mu nie pokazał tego widoku... Niewiedza jest błogosławieństwem. Przypomnił sobie, jak po raz ostatni mijał Czarne Wrota, zostawiając za sobą niemożliwą miłość; wierzył, że czyni to na zawsze i że nigdy nie będzie miał szansy zmiany zdania... czy czegokolwiek. Pokręcił głową i westchnął.

Obraz Wrót zaczął drżeć, tak nagle przekształcił się znowu w wizerunek Tiamat, jakby wywołał go swymi myślami. Planeta była teraz większa, jej szczegóły wyraźniejsze.

– Panie kapitanie, weszliśmy na stałą orbitę – zameldował zastępca nawigatora.

Tabaranne mruknął potwierdzenie, obrócił się z Gundhalinu, gdy na mostek weszło kilka osób więcej.

Komendant z kamienną twarzą przyglądał się różnym stopniom zmaltrretowania Vhanu i innych przedstawicieli prowincjonalnego rządu Hegemonii. Patrzył na ich zmienione oblicza, dostrzegając na nich tę samą, co na jego własnym, grę zdumienia i ulgi, gdy zobaczyli przed sobą wypełniający ekran Tiamat. Ogłoszono już na statku, że Ilmarinen dotarł do celu. Dlatego to dobrnęli tutaj niby chodzące trupy. Różnica między dowiedzeniem się przez głośniki a zobaczeniem na własne oczy była jednak niewyobrażalna.

Pozwolił im złożyć sobie gratulacje, jakaś jego cząstka chłonęła ich pochwały, niezdolna oprzeć się podziwowi ludzi, których szacunek trudno było zdobyć, nawet teraz znaczyło to dla niego dużo... Zawsze jednak inna jego cząstka trzymała się na dystans, cichy głos stale szeptał mu w duszy, że nie jest już całkowicie jednym z nich.

Próbował wykorzystać swe wpływy, by otoczyć się ludźmi, którym mógłby zaufać, na tyle przynajmniej giętkimi, by przystać na jego rozumienie polityki, potrafiącymi słuchać, gdy usiłował wytłumaczyć, iż należy także rozważać szerszy obraz... rozumiejącymi prawdziwe wymiary Wielkiej Gry, choćby nawet nie należeli do Przeglądu.

Ale każda łaska ma cenę; wszystkie frakcje mają swe wpływy i wtyczki. Próbujący dobrać swe otoczenie Gundhalinu musiał bez przerwy zgadzać się na kompromisy, aż poczuł się dobrze urodzonym nowożeńcem wybierającym gości weselnych. Nagle z palącym żalem pomyślał o Pandharze – jak upierała się przy małżeństwie zawartym przed automatycznym notariuszem, choćby miało to wywołać skandal, nalegała na to, odkąd wspomniawszy jej, czemu będą musieli stawić czoła, gdy tylko publicznie ogłoszą swe zamiary.

W tej jednak sprawie nie miał wyboru... Rozejrzał się wokół, zobaczył Vhanu, nowego Komendanta Policji, jedynego członka swego sztabu, którego znał na tyle, by ufać mu całkowicie; HM Borskada, kolegę z Przeglądu, trochę zbyt mocno jak na jego gust wierzącego w ład oparty na dominacji Kharemough. Za Borskadem stał YA Tilhonne, stryjeczny wnuczek Pernatte'a, o nie znanych mu umiejętnościach i lojalności; w tyle zauważył VX Sandrine'a, szybko pnącego się człowieka ze Służby Zagranicznej, który spędził długie lata na wielu różnych światach, lecz wydawało się, że mało co się na nich nauczył. Wszyscy oni mieli podobne miny, wyrażające lęk i niewygodę.

Na mostek weszła następna grupka urzędników. Większość nadal pozostawała na dole, dochodząc do siebie po przejściu. Wszyscy oni dobrowolnie udali się w podróż, lecz Gundhalinu dopiero zaczynał się domyślać stojących za tym indywidualnych przyczyn. Będzie miał szczęście, jeśli jedna czwarta z nich objawi szerokość horyzontów i giętkość myślenia, na jakie liczył.

Kobiety stanowiły wyraźną mniejszość. Na Kharemough bardziej zwracano uwagę na pozycję społeczną niż na płeć, w przeciwieństwie do większości kultur Ośmiu Światów bardziej ceniono mózg niż mięśnie. Gundhalinu dopiero jednak po powrocie na rodzinną planetę przypomniał sobie – jeśli zdawał sobie z tego sprawę wcześniej – że Służba Zagraniczna przyciągała ludzi najbardziej sztywnych i niepodatnych na zmiany. Pragnął większego udziału kobiet, ponieważ Tiamat był najbardziej egalitarnym i matriarchalnym społeczeństwem ze wszystkich, które widział; łatwiej będzie o zrozumienie i współpracę, jeśli wśród jego podwładnych obie płcie okażą się jednakowo liczne. Przekonał się jednak, że panujące w Służbie Zagranicznej uprzedzenia i ograniczenia spowodowały, że znalazł kilka tylko kobiet nadających się na pozostające do jego dyspozycji stanowiska.

Ilmarinen wiozł nie tylko cały rząd prowincjonalny, lecz także szwadron Policji, podstawę nowej władzy – wszyscy jego funkcjonariusze byli Kharemoughi i ochotnikami, w większości Nietechami. Wybrano taki skład, bo gwarantowało to wygodę i skuteczność, ale oznaczało także następne ogniwo w łańcuchu sprawowanej przez Kharemough kontroli. Gundhalinu wiedział, że lepiej będzie znał mentalność pracującej dla niego policji, niż rozumiał zachowanie Newhaveńczyków, stanowiących większość funkcjonariuszy, wraz z którymi służył kiedyś na Tiamat. Nie potrafił ocenić, czy lepiej ni i ich poprzednicy rozumieć będą ludność Tiamat. Kazał im jeszcze przed zaokrętowaniem na statek pracować z taśmami wpajającymi wzorce kulturowe, uczyć się języka. Pamiętał jednak, ile dało to jemu w czasach pyszałkowatej, zadowolonej z siebie młodości...

Pojął z ironią, że właśnie zakończył gładkie, automatyczne odpowiedzi na gratulacje nowych przybyszy na mostek. Ledwo zwracał uwagi na ich komentarze. Spojrzał na Tiamat, patrzył na spowity w chmury błękitny półksiężyc przechodzący wolno z dnia w noc. Oderwał od niego wzrok, otrząsnął się z tego widoku, wołał nie odczytywać w nim żadnego symbolu.

– Gundhalinu-sadhu, jutro o tej porze wszystko to będzie pańskie – powiedział Sandrine.

BZ spojrzał na niego, nic nie mówiąc.

– Proszę mi wybaczyć, panie komendancie – powiedział podchodzący Tabaranne. – Pomyślałem, że zechce pan usłyszeć, iż zakończyliśmy pełne okrążenie Tiamat. Zaczynamy ustawiać broń dalekiej obrony.

Gundhalinu zwrócił się w stronę widniejącej na ekranach planety, przez chwilę nie był zdolny do odpowiedzi.

– Dziękuję, kapitanie.

Tabaranne przeszedł na swoje stanowisko i wprowadził do czekającego systemu krótką, nieodwołalną serię kodów. Gundhalinu próbował skupić się na prowadzonych wokół rozmowach i domysłach, przeczekać następne okrążenie wokół Tiamat; wiedział, że w ściśle odmierzonych odstępach ustawiają na miejscach części systemu obrony orbitalnej – oręża, który może być obrócony przeciwko potencjalnym najeźdźcom, nielegalnym przybyszom... albo przeciwko wszelkiej buntowniczej działalności na powierzchni planety.

– Panie kapitanie, mamy potwierdzenie – zameldował jeden z członków załogi. – Systemy są całkowicie rozwinięte i kolejno je włączamy. – W narożnikach ekranu pojawiały się i znikwały nazwy nowych układów obronnych; w wyznaczonych miejscach ukazały się lasery mikrofalowe i bronie plazmowe.

– Dobrze – powiedział Tabaranne. Spojrzał na Gundhalinu i czekających za nim w milczeniu urzędników. – Tiamat jest bezpieczny, sadhanu. Możecie spać dziś spokojnie w nowych łóżkach. – Salę wypełniły pochwalne pomruki. – Łączę się z portem gwiazdnym... już.

Widok za Tabaranne'em zmienił się, gdy czujniki statku nagle i niepokojąco przybliżyły do ich oczu powierzchnię Tiamat.

– Przelatujemy teraz nad Krwawnikiem. – I miasto pojawiło się, odsuwając na bok widok planety na podzielonym na dwie części ekranie. Stanowiło zaledwie zarys światła na tle płonącego nieba nocnej strony Tiamat... ale wyglądało tak, jak zapamiętał je Gundhalinu – ogromna muszla, niby absurdalny śmieć wyrzucony na brzeg wszechobecnego morza. – Wysłać sygnał włączenia.

Gundhalinu wpatrywał się w mroczny ład, szukając znaków portu gwiazdnego, który leżał tam w uśpieniu, śniąc o spokoju na następne osiemdziesiąt z okładem lat. Na jego oczach ciemności rozkwitły nagle nowymi światłami: brutalnie obudzone lądowisko odpowiedziało na ich polecenia.

– Czy tubylcy wiedzą, że przybywamy? – zapytał ktoś za nim. Jasna plamka rosła ciągle, przypominając ogień sygnałowy, światło latarni morskiej oznaczającej miejsce przystani, ich nowego domu.. dobrze widoczna z Krwawnika oznajmiała miastu, że już są.

– Dowiedzą się teraz – mruknął. Choć nie będzie to dla nich niespodzianka, zwłaszcza dla Królowej. Zastanowił się przelotnie, co Moon powiedziała swemu ludowi – jeśli powiedziała cokolwiek, ostrzegła ich, przygotowała. Choć nie sądził, by uczyniło to jakąkolwiek różnicę...

Pojawiły się następne dane, zasłaniając obraz odczytami i symulacjami.

– Panie komendancie, systemy portu gwiazdnego są nienaruszone – zameldował Tabaranne. – Lądowisko jest zasilane zgodnie z planem. Po następnym okrążeniu zaczniemy posyłać na dół promy. – W przeciwieństwie do monetowych statków dawnego projektu, niewielkich i przybywających na Tiamat w grupach, Ilmarinen miał zbyt wielkie rozmiary i delikatny kadłub, by ryzykować lądowanie na powierzchni planety. Pozostanie na orbicie, póki wszyscy bezpiecznie nie znajdą się na dole, potem rozpocznie powrót na Kharemough, by przybyć ponownie z pierwszą grupą cywili, mających zapoczątkować proces kolejnego przekształcania Krwawnika w port międzygwiazdny.

– Panie komendancie, czy nadal pragnie pan wylądować wśród tradycyjnych pokazów holograficznych? – zapytał Tabaranne.

Gundhalinu przytaknął, patrząc na widoczną na ekranie Tiamat. Pamiętał, jak wraz z Moon Dawntreader stał na wzgórzu górującym nad miastem, przyglądał się Premierowi i Radzie opadającym niby bogowie z rozgwieżdzonego nieba, otoczonym kaskadami płonących holograficznych zjawisk. Owe czarodziejskie ognie powiedziały mu wówczas, że zdążył przed Końcowym Odejściem wrócić z dziczy do cywilizacji; że nie jest za późno, że może opuścić Tiamat i nigdy się na niej nie zjawić... wierzył wtedy, że chce tego bardziej niż życia, aż stało się za późno, by zmienić zdanie.

Holograficzne widowisko było pustym pokazem, równie pozbawionym prawdziwej magii, co Zgromadzenie Hegemonii prawdziwej władzy. Zapomniał jednak o tej ironii, patrząc, jak lęk i zdumienie zmienia twarz stojącej obok kochanej, obcej kobiety; jak Moon Dawntreader patrzy na spadające gwiazdy. On widział w nich jedynie obietnicę – wolności, bezpieczeństwa, powrotu do życia, które zdało mu się już stracone na zawsze. Życia, odzyskanego cudownie dzięki niej.

A jeśli patrzy teraz – czego był pewien – zobaczy ten sam pokaz i może przypomni sobie tamtą noc, wszystko, co zapowiadała im obojgu...

– Tak – potwierdził wreszcie, uprzytomniwszy sobie, że powinien odpowiedzieć. – Tak, chcę pełnego pokazu. Nie będzie drugiej takiej nocy.

Moon Dawntreader stała samotnie w swym gabinecie na szczycie miasta, nie mogła zasnąć, odkąd się dowiedziała, że port gwiazdny wrócił do życia. Wpatrywała się w błyszczącą wśród nocy latarnię, nie była w stanie oderwać od niej oczu; wiedziała, że już niedługo będzie musiała spojrzeć przyszłości i przeszłości w twarz...

Odwróciła się wreszcie, gdy do komnaty wszedł jej mąż. Minęło wiele czasu, odkąd on – czy ktokolwiek inny – zjawiał się tu u niej. To miejsce zawsze było tylko jej, inaczej niż leżące niżej sale zebrań i komnaty audiencyjne. W przeciwieństwie do Arienrhod nigdy nie ogłosiła go niedostępnym, lecz w miarę upływu lat była tu coraz bardziej samotna, zostawiana w spokoju, nie nagabywana; nie wiedziała dlaczego, ale była pewna, że nie może nikogo za to winić.

Spotkała spojrzenie Sparksa, poczuła ulgę, że przerwał jej milczenie.. rodzący się u niej uśmiech zamarł, gdy popatrzyła na jego twarz.

– Jeszcze nie śpisz? – mruknął, pytając o rzecz oczywistą, jakby nagle nie wiedział, co powiedzieć żonie.

– Nie mogę. – Odparła równie banalnie, bo nie znalazła żadnych innych słów.

Zawahał się na chwilę, nim przeszedł zniszczonym dywanikiem, kiedyś białym jak świeżo spadły śnieg, stanął obok niej i popatrzył na port gwiazdny, pół kilometra dalej lśniący niby zagrzebane słońce. Nie objął jej, nawet nie dotknął. Nagle zapragnęła tego, ale nie zdradziła się z taką prośbą.

– A więc naprawdę przybyli – powiedział.

Kiwnęła głową, obejmując się ramionami, mocno przyciskając łokcie do boków, powstrzymywała drżenie. Czowała, jak w głębi niej coś się obrywa i opada wirując, napawa nie nazwanym strachem. Och, Pani, mruknęła w duchu, broniąc się, a nie modląc.

– I on z nimi – powiedział Sparks.

– Chyba tak – szepnęła beznadziejnie wymijająco.

– Czego chce? – zapytał, nadal łagodnie. Obrócił się ku niej, by pod znaną im prawdą dojrzeć inne, nie wypowiedziane. Była zdumiona, że nie zdarzyło się to przedtem, choć wiedziała, dlaczego tak było.

– Powiedziałam ci – odparła martwym głosem. – Czuje się odpowiedzialny za powrót Hegemonii. Chce nam pomóc.

– Czego jeszcze chce? – Oczy Sparksa pociemniały. Poczuła, że ją odpycha, wiedziała, że kryje się za tym ból, że cierpi ten sam ból, jaki zadaje jej.

– Został sybillą – odpowiedziała z nadzieją, że po tym wszystkim zrozumie, co to oznacza, pojmie gotowość stawiania potrzeb innych przed swoimi. Dojrzała jednak, jak zaciska wargi, rozumiała, że po całym tym czasie znaczy to dla niego ciągle jedno: ona została sybillą, jego odrzucono. Wybrała służbę Pani ponad jego miłość. A teraz nawet ów obcy, który już raz próbował mu ją zabrać, stał się sybillą. – Został sybillą – powtórzyła bez nadziei, lecz z uporem. – Oznacza to, że rozumie, że... są rzeczy ważniejsze niż... indywidualne uczucia.

– Ważniejsze niż lojalność wobec własnego narodu? – Zapytał Sparks otwarcie, szukał u niej prawdy, szukał jej...

– Tak – odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

Odwrócił przed nią wzrok, spojrzął na jarzący się, czekający port gwiazdny.

– Muszę ci zadać jeszcze jedno pytanie... – Nadal patrzył w bok, widziała jego profil, widziała gardło usiłujące je wypowiedzieć. Znowu spoczął na niej oczyma zielonymi jak szmaragdy, lśnącymi, zbyt pełnymi. Pytanie pozostało nie zadane.

Wyciągnęła do niego ręce, objęła go, przycisnęła, wtuliła twarz w jego ramię, poczuła, że z

oporami ją obejmuje. Na nie wypowiedziane pytanie nie padła odpowiedź, gdy tak trwali obok siebie; mocno trzymali się nawzajem jak kochankowie na rozstajach dróg, niezdolni do słów pożegnania.

Wreszcie obróciła się powoli w kręgu jego ramion, znowu spojrzała w noc. Nagle uniosła rękę i wskazała.

– Patrz.

Sparks skierował tam wzrok, zobaczył to co ona, wiedział równie dobrze co Moon, co to znaczy. Na niebie spadały gwiazdy... gwiazdy holograficzne, ich doskonale wyliczone trajektorie przecinały siei rozdzielały, tworzyły zdumiewające wzory, aż wreszcie znalazły się na ziemi. Tylko raz przedtem widziała coś podobnego, a wtedy nie miała pojęcia, co to oznacza, co zapowiada, co niesie jej światu. Wówczas światła wskazywały na kres pobytu pozaziemców na Tiamat. Teraz są symbolem bezkresu ich przyszłej obecności. A jaka będzie jej przyszłość? Przywarła do ramion męża, czuła się jak kobieta pochwycona przez niewidoczny sztorm, lękająca się odrzucenia na bok.

TIAMAT: Krwawnik

BZ Gundhalinu wyglądał przez lustrzane, zbrojone okna poduszki posuwającego się powoli Ulicą Krwawnika – nie śpieszyli się ze względu na efekt i ostrożność. Chronione wnętrze pojazdu dzielił z Vhanu prowadzącym beładną rozmowę i zadającym błahe pytania, na które odpowiadał z roztargnieniem, oraz z Echarthe, nowym ministrem handlu. Bezpieczeństwo zapewniał także kierujący poduszki dobrze uzbrojony Siny w pełnym mundurze. Z tyłu posuwały się dwa następne, wiozące innych urzędników i strażników, na nalegania Vhanu wyposażone w podobne zabezpieczenia i broń.

Gundhalinu przyglądał się grupkom Tiamatańczyków, stojącym wzdłuż Ulicy i przyglądających się ich jeździe. Niektórzy z tubylców patrzyli wrogo, lecz większość po prostu przypatrywała się ciekawie, pewnie bardziej interesując się dziwnymi pojazdami niż niemal niewidocznymi pasażerami. Parę osób machało rękoma i robiło gesty triumfu – podejrzewał, że są Zimakami.

Nim jeszcze pierwszy prom wylądował w porcie gwiazdowym, czujniki Ilmarinena rozpoczęły zbieranie danych o Tiamat. Wszystkich na pokładzie – z wyjątkiem jego – przyprawiły one nagle o lekką paranoję. Rutynowe przeczesywanie elektromagnetyczne wykazało ślady szeroko stosowanych, choć prymitywnych urządzeń elektronicznych, których nie powinno w ogóle być; fabryk i nowych budowli: ujawniło prawdziwy postęp zamiast spodziewanego przez wszystkich prymitywu i zacofania kulturowego.

Tłumił z ostrożności własne reakcje – udawał podzielaną przez wszystkich wokół troskę, starając się za bardzo nie odsłonić. Dwa razy rozważał każde wypowiedziane przez siebie słowo, bojąc się, iż wymknie mu się jakaś uwaga, która zdradziłaby, że wie zbyt wiele o przeszłości i teraźniejszości... o Królowej Lata.

Wczoraj kazał Vhanu udać się jako emisariusz do pałacu – od miejscowego stróża prawa dowiedzieli się, że tam właśnie mieszka Moon Dawntreader – ale komendantowi nie udało się zobaczyć Królowej. Spotkał się tylko z jej przedstawicielami, kierowanymi przez niewidomą kobietę nazwiskiem Fate Ravenglass, sybillę... i Zimaczkę. Vhanu nie zwrócił na to uwagi, ciągle zbyt słabo znał społeczną sytuację Tiamat, by zrozumieć znaczenie tego faktu. Ustalili jedynie porę spotkania.

Przestał wyteżać wzrok, nie patrzył już na gapiących się tubylców ani dziwnie znajome kształty ulowatych budynków, w większości starych jak czas... raczej na własne odbicie. Zobaczył swą napiętą, wyczekującą twarz, równie nierzeczywistą jak duch któregoś z przodków. Umysł nałożył na nią pozbawione zmarszczek, nie wyróżniające się niczym oblicze liczącego dwadzieścia pięć lat inspektora Gundhalinu, którego pamięć wciąż prześladowało miasto, nie widziane od prawie dwudziestu lat.

– Wydaje się, że samo miasto doznało zdumiewająco mało zmian – zauważył siedzący za nim Vhanu – przynajmniej w porównaniu z posiadanymi przez nas danymi.

– Nikt nigdy, łącznie z Hegemonią, nie poczynił w Krwawniku innych zmian niż sztuczne – mruknął Gundhalinu. – Miasto jest... na swój sposób niemal mistyczne. Działająca pamiątka Starego Imperium. Dlatego po wstąpieniu do Policji wybrałem je na pierwsze miejsce służby. Chciałem zobaczyć miasto na własne oczy, nim stanie się to niemożliwe.

– Czy rzeczywistość was rozczarowała?

Gundhalinu skrzywił usta.

– Ta powierzchowna rozczarowała – pewnie tak. Ale jest w tym miejscu inny jeszcze, głębszy poziom rzeczywistości, ten nie rozczarował mnie ani trochę. Nigdy go nie zapomnę. – Uśmiechnął się wpół świadomie. – Pewnie wydaje się to wam mistycznym bajdurzeniem?

Vhanu roześmiał się.

– No, tak, istotnie... Ale nie było mnie tutaj. W przeciwieństwie do was.

– Tak... byłem tu. – Gundhalinu znowu wyjrzał przez okno, odetchnął głęboko, by pozbyć się bolesnego ścisku w piersi.

– Proszę mi powiedzieć – wtrącił się Echarthe – czy spotkał pan kiedykolwiek poprzednią Królową?

Gundhalinu skrzywił się.

– Miałem to nieszczęście, i to nieraz. Wszystko, co o niej napisano, jest prawdą. Wysysała z ludzi dusze.

– Czy spotkał pan nową Królową?

– Hmm... tak. Przelotnie. Wtedy jeszcze nie była Królową. – Poczł, że Vhanu przygląda mu się ze zdziwieniem. – Przybyła do miasta, szukając swego zaprzysiężonego – swego męża. Pomogłem jej go znaleźć. – Spojrzał na Echarthe, potem na okno.

– Jakie sprawiła na panu wrażenie? Gundhalinu popatrzył znowu, powiedział ostrożnie:

– Zdecydowanej. Sprytnej. Zdolnej.

– Na widzianych przeze mnie zdjęciach holo jest niezwykle podobna do Królowej Śniegu – zauważył Echarthe. – W raportach z odjazdu są na ten temat domysły. Widziane przez nas rzeczy, dążenie do rozwoju techniki, wszystko to wywołuje u mnie poważne podejrzenia...

– Wielu Tiamatańczyków jest uderzająco podobna do siebie – wtrącił się nagle Gundhalinu. – Ludność miejscowa jest nieliczna i rozproszona; oznacza to wąską pulę genetyczną. – Wskazał na okno. – Wystarczy spojrzeć na Ulicę. Przekonacie się, o czym mówię.

– Jak sądzicie, czy Królowa będzie was mile pamiętała? – zapytał Vhanu. – Pomogłoby to nam ustanowić tu nowy rząd.

Gundhalinu wzruszył ramionami; lekko podniósł do góry kąciki ust. Byli już niemal w Górnym Mieście, blisko Końca Ulicy.

– Przekonamy się – odpowiedział.

Wreszcie osiągnęli Koniec Ulicy, szeroki alabastrowy dziedziniec przed wejściem do pałacu. Gundhalinu poczuł dziwne déjà vu, gdy ujrzał tam robotników zamiatających i szorujących pierwotną powierzchnię – zupełnie tak samo, jak niemal dwadzieścia lat temu czasu miejscowego, ostatnim razem, gdy tu był. Zastanawiał się, czy byli to ci sami ludzie, przez tyle lat wykonujący tę samą pracę, wiodący stałe i niezmiennie życie. Po obu stronach wrót pałacu dostrzegł miejscowych wartowników. W przeciwieństwie do strażników Arienrhod, nie nosili mundurów naśladowujących uniformy pozaziemców, lecz zwykłe, codzienne stroje. Od cywili wyróżniały ich jedynie opaski na ramionach i kapelusze z kitami.

Poduszkowce, tak jego, jak i dwa pozostałe, opadły niezauważalnie na alabastrowy bruk. Wysokie, rzeźbione odrzwia pałacu zaczęły się przed nimi rozwierać jak wyciągnięte w stronę dziedzińca ramiona.

Gundhalinu otrząsnął się z tego obrazu, gdy otworzyły się i uniosły drzwiczki jego poduszkowca, wpuszczając do środka powietrze miasta, przepełnione egzotycznymi zapachami, jednocześnie dziwnymi i dziwnie znajomymi. Wyszedł na zewnątrz w otoczeniu gwardii odzianej w szaroniebieskie mundury, które znał tak dobrze, choć ich już nie nosił. W dawnych czasach każdy z nich mógł być jego kolegą... sam mógł być jednym z nich.

Poczł, jak z nagłym, niemal oszałamiającym pośpiechem opadają z niego lata. Z dala, jakby z innego świata, dobiegały go ciche, rozbrzmiewające echami głosy rozmawiających Tiamatańczyków.

Robotnicy zebrali się na dalekim końcu dziedzińca, wskazywali palcami i coś mruczełi. Przypomnieli sobie ich język przy pomocy tych samych taśm, które musieli opanować wszyscy przybysze. Tu jednak, wśród odbijających echa murów miasta, słowa brzmiały inaczej, choć nie potrafił określić różnicy. Zdawały się prawdziwsze w trójwymiarowej scenerii prawdziwego pałacu i prawdziwych ludzi.

Odwrócił się, zmusił swe ciało do ruchu, spojrzał na pałac. Wejście do niego stało otworem, ale nie było już puste. Gdy zaczęła się rozstępować otaczająca go grupka, dostrzegł wyraźnie, kto na niego czeka. Zamarł nagle, niezdolny do wszelkiego ruchu, wszyscy wokół przestali dla niego istnieć. Był tylko on... i ona, uwięzieni w chwili zatrzymanego czasu. Ciągle wpatrywał się w nią, przekonany, że musi śnić, bo tyle razy marzył o owym momencie.

Nie budził się jednak, a ona nie zniknęła... po wszystkich tych latach wyglądała tak samo, jak ją zapamiętał... dokładnie tak samo, nie postarzała się ani o dzień. Nagle opuścił wzrok, niemal spodziewając się, że ten sam czar, czarna magia tego nawiedzonego miasta przemieni i jego – ujrzy się w starym mundurze, ledwo co wyrosłego z chłopięctwa.

Zobaczył jednak czarny, surowy strój Głównego Sędziego. Wykonana z cienkich jak haczyki na ryby drutów koniczynka sybilli r spoczywała na jego piersi w milczącym potwierdzeniu. Podniósł oczy, zastanawiając się, czy zawodzi go wzrok, czy wariuje.

Poczuł dłoń Vhanu na swym ramieniu, nieśmiało ponagliła go do jakiejś reakcji. Obrócił się lekko, ujrzał ciekawe spojrzenie komendanta.

– Czekają na nas; jeśli jest pan gotowy, panie Sędzio...

– Tak, oczywiście. – Gundhalinu niepewnie wygładził ubranie, spojrzał na czekające postacie, potem na otaczających go strażników. – Wy trzej – wskazał najbliższej stojących – pójdziecie z nami.

– Ależ panie Sędzio – zaprotestował Echarthe. – Nie sądzi pan...

– Będziemy tam bezpieczni – przerwał mu niecierpliwie. – Inni niech pilnują poduszkowców – pojazdy są bardziej zagrożone ciekawością miejscowych niż my w pałacu. – Ruszył naprzód, szedł równymi, opanowanymi krokami, wydającymi się należeć do kogoś innego. Wyraźnie widział stojącą przed nim kobietę, każdy jej szczegół stawał się coraz bardziej rzeczywisty – a mimo to się nie starzała.

– Nie zmieniła się... – mruknął do Vhanu ze zdumieniem. Liczył minione lata, swego czasu, jej, wiedział, że powinna być co najmniej w jego wieku.

– W takim razie korzysta z wody życia – powiedział Sandrine z nagłą, nieprzyjemną pewnością. – Tylko dzięki niej mogła pozostać taka młoda.

– To niemożliwe – mruknął. A jednak widział ją nie zmienioną, nie tkniętą przez czas. Patrzyła na niego, obserwowała zbliżanie – ale w oczach o dziwnej barwie nie dostrzegał śladu rozpoznania. Włosy nadal miała długie i rozpuszczone, opadały jej niemal do pasa; szata zdawała się być zrobiona z jaskrawej, pozaziemskiej tkaniny, skrojonej tak, by naśladować bezkształtne, praktyczne stroje Tiamatańczyków. Przyglądała się jego twarzy, mundurowi, koniczynce, towarzyszącej, wszystkiemu z podobną fascynacją i brakiem uczuć.

Zatrzymał się przed nią, zastanawiając się, w której chwili wszystko to się skończy, czy zniknie, gdy wyciągnie do niej rękę i dotknie. Przełknąwszy ślinę, by oczyścić gardło, dokonał formalnego ukłonu.

– Pani – powiedział, pilnując się uważnie, by zwrócić się do Królowej Lata należnym jej tytułem. Usłyszenie samego siebie mówiącego po tiamatańsku bardziej go oszołomiło niż słyszenie innych używających tego języka. – Jestem nowym hegemońskim Głównym Sędzią.

– Nie jestem Panią – odpowiedziała i nagle zachichotała z zakłopotania.

Zamrugnął, patrząc na nią tak kompletnie zbaraniałym wzrokiem, że znówu się roześmiała.

– Jestem Ariele Dawntreader. – Odwzajemniła się mu czymś odrobinę przypominającym ukłon.

– Królowa jest moją matką. Wysłała mnie, bym was powitała.

– Och – powiedział zmieszany. Patrzył na nią ze zdumieniem, dostrzegł poniewczasie, że nie nosi koniczynki sybilli – a nawet nie ma tatuażu na gardle. Świadom był, że gapi się na dziewczynę, lecz nie mógł się powstrzymać. – Nie wiedziałem... Bardzo ją pani przypomina. Myślałem...

– Myślał, że Królowa używa wody życia – powiedział Sandrine otwarcie.

Gundhalinu zmarszczył brwi i kazał mu zamilknąć, gdy tylko ujrzał w oczach dziewczyny nagły gniew i wstręt.

– Nie zabijamy już merów – odpowiedziała, patrząc na Gundhalinu, w jej głosie brzmiało wyzwanie. Tym razem to jej ktoś położył ostrzegawczo rękę na ramieniu. Dostrzegł – po raz pierwszy świadomie – że wraz z dziewczyną czekają i inni, obserwują go, przedtem zbyt go oszołomiło poczucie, że taki szmat życia minął w mgnieniu oka, przekonanie się, że kobieta, którą spodziewał się ujrzeć, ma córkę liczącą tyle lat, ile miała ona w chwili ich rozstania – może trochę więcej. Córkę. Męża...

W spóźnionym powitaniu kiwnął głową pozostałym czekającym – trzem starszym kobietom tiamatańskim, z których dwie nosiły znaki sybilli, a jedna była niewidoma; to pewnie o niej mówił Vhanu. Trzecia kobieta patrzyła nań tak, jakby poznawała, choć w jej twarzy nie znajdował niczego znajomego. Uderzyła go nagle różnica między grupą stojącą przed nim a przyprowadzoną przez niego – w jednej były same kobiety, w drugiej sami mężczyźni. Zastanowił się, czy Moon zrobiła to specjalnie, jak zareagują na tę sytuację pozostali.

– Proszę za nami – powiedziała dziewczyna i z nieświadomą arogancją odwróciła się do niego plecami. Pozostałe kobiety rozstąpiły się przed nią, bardziej pobłażliwie niż posłusznie, i również weszły do środka.

Ruszył za nimi w otoczeniu swoich ludzi, niby noc podążająca za dniem. Zastanawiał się, co kierowało Moon, dlaczego wysłała mu na powitanie córkę; czy chciała przypomnieć o... czasie, przemijalności, tym wszystkim, co zdarzyło się im obojgu od chwili rozstania. A może po prostu pragnęła uhonorować swe dziecko, uległa jego ciekawości. Swe dziecko...

Idąc główną sienią, rozglądał się na boki, dostrzegał sceny letniej obfitości, które zastąpiły zimowe malowidła ukazujące sztormy i śnieżyce. Pamiętał, jak kiedyś kroczył tędy; szczegóły wracały doń z zaskakującą dokładnością. Zrozumiał nagle, że jest jeszcze jedna twarz, którą spodziewał się zobaczyć wśród witających u wejścia: Jerushy PalaThion, która uratowała jego karierę, gdy pomagając Moon, złamał prawo Hegemonii, a potem zrezygnowała ze swojej, zostając na Tiamat.

Podczas pobytu na Tiamat częściej, niżby pragnął, przemierzał z nią te korytarze. Zaskoczyła go nagłą decyzją pozostania tutaj, choć wtedy myślał, że dobrze rozumie jej rozczarowanie. A teraz, biorąc pod uwagę, jak potraktowała ją Hegemonia, której służyła z odwagą i lojalnością, być może nie powinien się dziwić, że nie jest jej spieszno do powtórnego ujrzenia twarzy pozaziemców... a nawet jego.

Pojął, że jakaś częśćka jego umysłu szuka podczas drogi odgłosów Otchłani – głodnego jęczenia wypełniającego Salę Wichrów, przesycającego duszę tajemnym przerażeniem. Przekraczanie przerzuconego nad przepaścią mostu było próbą, która nigdy nie przychodziła mu łatwo... pewnie odnosiło się to do wszystkich obdarzonych choćby odrobiną wyobraźni.

Tym razem jednak słyszał jedynie stukot obcasów i miękkie szuranie skórzanych podeszew przesuwanych pociemniej, wypolerowanej posadzce, nie zmieniło się to nawet wtedy, gdy korytarz

zakończył się nagle, ukazując Salę.

Panowała w niej cisza. Gundhalinu o mało co nie stanął, spojrzął w górę i zobaczył zwisające nieruchomo zasłony wiatrowe. Zmusił się do dalszej drogi, w ślad za Tiamatańczykami przekroczenia mostu. Słyszał zdumione pomruki Vhanu i Echarthe, idących za nim doskonałym, pozbawionym poręczy przesłem nad jarzącym się zielenią mrokiem. Chciał powiedzieć im o wietrze, o ile straszniej było tu kiedyś... że w porównaniu z tym obecny stan jest zupełnie niegroźny. Nie uczynił tego.

Przypomniawszy sobie ostatni raz, gdy stał w tej sali, patrząc ze zdumieniem, jak Moon Dawntreader zatrzymuje wiatry. Zastanowił się, czy to ona powstrzymała je na zawsze. Jak to uczyniła i co to oznacza, nie mógł sobie nawet wyobrazić. Tyle pytań... Zmusił się do skupienia wzroku na drodze; widok mlecznobiałych włosów Ariele skłaniał jego umysł do wyobrażania sobie na jej miejsce kogoś innego. Tak często marzył o dniu spotkania... od chwili opuszczenia Tiamat robił to niemal codziennie. Nigdy jednak nie przewidywał czegoś takiego. Zrozumiał, że nie można przewidzieć rzeczywistości, obrazów absurdalnej zwyczajności tego wszystkiego.

Wreszcie osiągnął drugą stronę Otchłani, choć zdawało mu się, że będzie szedł nad nią całą wieczność. Weszli na zaczynające się dalej szerokie schody, wspominał je ze szczególną radością, bo zawsze znaczyły kres straszliwego przejścia. Na ich szczycie leżała sala tronowa Arienrhod, zasłana zawsze dywanem nieskalanym jak świeżo spadły śnieg, ozdobiona jaskrawo ubranymi dworzanami. To tam Królowa Śniegu oczekiwała swych gości – swe ofiary, pokryte potem nie wyschlłym jeszcze po przeżyciach z Otchłani. Odziana na biało, zasiadająca na kryształowym tronie, udająca nieśmiertelną; żywe wcielenie Zimy, bezlitosne i zimne jak lód...

Teraz jednak nie Zima go oczekiwała. Sala tronowa, kiedyś oślepiająco biała i srebrna, zmieniła się w komnatę pełną barw ziemi, pokrytą świeżymi kolorami wiosny, wszelkimi odcieniami zieleni, rudościami i brązami, z zaskakującymi przebłyskami błękitu.

W środku ogromnej, nagle ucichłej sali nadal tkwiło podwyższenie z krystalicznym, pozawijającym niby muszla tronem. Otaczała go grupka czujnych, wyczekujących twarzy, które teraz zwróciły się w ich stronę. Pomiędzy nimi na tronie zasiadała kobieta o włosach barwy śniegu i oczach niby mgła i mszysty agat. Jej szaty miały jednak, tak jak komnata, barwy Lata. Jedwabie, gobeliny i samodział różniły się absurdalnie fakturą i wyglądem, lecz mimo to tworzyły doskonałą harmonię. Na włosach nosiła prostą złotą obręcz z osadzonym w niej czerwonym kamieniem: krwawnikiem.

Tym razem wryta w jego pamięć twarz była równie postarzała co jego... nadal nie wątpliwie jej, lecz niezaprzeczalnie śmiertelna, zmieniona przez czas. Mimo to, patrząc na nią, poczuł, jak duszę poraża mu takie piękno, że zostanie sparaliżowany, jeśli nie odwróci wzroku. Coś ścisnęło mu serce. Moon, powiedziało jego serce, jego umysł, jego ciało... każda cząstka oprócz gardła, nie pozwalającego wymówić tego słowa na głos.

Przed wejściem do sali odetchnął głęboko. Zmusił oczy do przyjrzenia się małej grupce otaczającej ją, patrzenia na wszystko, prócz jej twarzy; przestraszył się nagle, że po tylu latach, tylu odgrywaniach w myślach owej sceny, teraz w krytycznej chwili straci nad sobą panowanie i wszystko zniszczy. Wśród zgromadzonych znalazł Sparksa Dawntreadera – przypomniał sobie jego rude włosy, choć widział go tylko raz, gdy był oszołomioną ofiarą, świeżą przybyłą z Lata do miasta, sparaliżowaną i oporną wobec prób udzielenia mu pomocy.

Nigdy więcej nie widział Sparksa Dawntreadera – choć był on dla niego postacią bardziej rzeczywistą, aniżeli mnóstwo ludzi, których ciągle spotykał w następnych latach: małżonek Moon, jej kochanek, ojciec dziewczyny, która doszła teraz do rodziców i odwróciła się, by popatrzeć na

podchodzących obcych. Sparks wyjrzał ponad nią, spotkał wzrok Gundhalinu oczyma zielonymi jak zazdrość, wzrokiem pełnym podejrzliwości.

Gundhalinu ponownie odwrócił spojrzenie w stronę innych oczekujących – nagle utkwił je w twarzy wyróżniającej się obcością wśród bladych głów o niebieskich oczach. Jerusha Pala – Thion. Uderzyło go, jak strasznie ją postarzały lata wygnania. Zastanowił się z nagłym współczuciem, czy bardzo musi żałować swego wyboru – jeśli rzeczywiście to żal za tym rysuje się wyraźnie na jej twarzy. Uśmiechnęła się jednak do niego, gdy zobaczyła, że ją poznał, rozjaśniła twarz uśmiechem przelotnym, lecz pełnym zadowolenia. Powitała go lekkim skinieniem głowy.

Sam też uśmiechnął się nieznacznie, nim znowu odwrócił wzrok. Zachowując ów uśmiech w duszy, poczuł, jak nagle stabilizuje się sala i wszystko, co w niej jest.

– Kim jest tamta kobieta? – szepnęła Vhanu w sandhi. – To nie Tiamatanka.

– Moją była zwierzchniczką – odparł cicho. – Waszą poprzedniczką; niegdysiejszym komendantem Policji.

– Czemu tu jest? – zapytał ze zdumieniem Tilhonne; wydawało się, że nie dopuszczał do siebie możliwości, iż zdecydowała się zostać.

– Bo przestało ją pociągać oglądanie do końca życia mundurów Policji czy władz Hegemonii – mruknął Gundhalinu, wspominając dzień ich pożegnania i naszywki komendanta, które Jerusha PalaThion oderwała od swego kołnierza i wcisnęła mu w dłoń.

Doszedł do skraju podwyższenia, stanął u stóp tronu, po raz drugi pochylił się w formalnym ukłonie, witając siedzącą na nim kobietę. Uniosła głowę, wreszcie spojrzała mu w oczy.

– Pani – powiedział cichym, równym tonem.

– Pana oczy... – Jej słowa były ledwo słyszalne, przykuwała go wzrokiem. – Zapomniałam pana oczy... jak się... – Urwała, lecz jej twarz, do tej pory równie mało wyrażająca co jego, zarumieniła się nagle, zdradzając siłę skrywanych uczuć. – Inspektorze Gundhalinu – powiedziała wreszcie wyraźnym, spokojnym głosem. – Witamy na Tiamat. Nie spodziewałam się nigdy, że dożyję pańskiego.. pańskiego widoku. – Uśmiechnęła się, wbrew intencjom wzbudziło to u niego czułość.

Gundhalinu poczuł, jak mija napięcie ludzi stojących za nim, jak jego własna twarz, jeszcze przed chwilą stężała jak u trupa, zaczyna się powoli uśmiechać.

– Pani, teraz Główny Sędzia Gundhalinu. Zaszczycony jestem, że pamięta mnie pani, choć minęło tyle czasu. – Patrzył tylko na nią, bał się odwrócić wzrok i spojrzeć na innych, będących świadkami wszystkiego, co zaszło między nimi.

Moon wstała, podeszła do brzegu podwyższenia, popatrzyła prosto na niego.

– Nawet po tylu latach trudno było zapomnieć uprzejmość, jaką mi pan wtedy okazywał. – Wyciągnęła do niego rękę, ku zdziwieniu Gundhalinu zgodnie ze zwyczajem Kharemoughi dotknęła jego otwartej dłoni własną, zamiast na modłę Tiamatańczyków ścisnąć mu przegub. – Cieszę się, że znowu pana widzę.

Opuścił rękę, czuł, jakby została zwarzona jej dotykem, ciekaw był, czy odebrała to tak samo.

– Mam nadzieję, że... nasze stosunki – zająknął się niedostrzegalnie na tym słowie – będą w następnych latach równie przyjazne.

– A więc naprawdę do tego doszło, że wróciliście na Tiamat... Hegemonia wróciła. Zostaje. – Zerknęła poza niego, powitalnie i badawczo przyjrzała się Vhanu i pozostałym. Gundhalinu spojrzał na Sparksa Dawntreadera, znowu odwrócił wzrok. – Wreszcie nadeszło Tysiąclecie, jak to się u was mówi.

Uśmiechnął się i kiwnął głową z lekkim rozbawieniem.

– Tak. Mamy znowu napęd gwiazdny. Oznacza to wielką zmianę dla obu naszych ludów.

– Na lepsze lub gorsze – mruknęła. Pociemniały jej oczy, jakby nie uspokoiło jej to, co dostrzegła na twarzach towarzyszących mu mężczyzn. Odwróciła się, wróciła do tronu, lecz nie zasiadła na nim. Stała wśród swoich ludzi. – Napęd gwiazdny oznacza, że od tej pory stosunki między Hegemonią a Tiamat będą stałe – powiedziała. – Mam nadzieję, iż okaże się, że zechce nas traktować tak samo, jak wszystkie inne należące do niej planety. Zaslugujemy na to i pragniemy identycznego obywatelstwa, co reszta Hegemonii – równych praw wyjeżdżania i przyjeżdżania, równego dostępu do techniki, równego traktowania przez wasze prawa. Pragniemy stosunków opartych na autonomii i wzajemnej współpracy. Mam nadzieję, że o takiej zmianie myślicie. Czekaliśmy na to tysiąc lat. Myślę, że to dostatecznie długo.

Patrzył na nią, zaciskał usta, by jego uśmiech nie zdradził nagłego zadowolenia i podziwu.

– Wasze pragnienia, Pani, są życzliwie przyjęte – kiwnął głową. – Uważam, iż przekonacie się, że nasza wizja przyszłości Tiamat okaże się tym razem bliższa waszej. – Zawahał się, wyczuł za sobą niepokój. – Zauważyliśmy, że przez lata, które nastąpiły po Odlocie, sami dokonaliście na Tiamat znacznych zmian – mówił dalej już ostrożniej. – Niektórych z moich ludzi zdziwił tak wielki postęp techniczny. Nasze doświadczenia z poprzednimi Królowymi Lata były zupełnie inne. Powiedziałem im, że być może bogowie... łącznie z waszą Matką Morza... sprawili dar obu naszym ludom. – Z niechęcią wypowiedział te słowa, wiedział, że nie może pomijać rzeczy oczywistych.

Moon przytaknęła z powagą, choć nie miał pewności, czy jej pewność siebie jest większa niż jego.

– Tak – potwierdziła. – Wy otrzymaliście napęd gwiazdny, a my korzystanie z sieci sybilli.

Gundhalinu poczuł, jak te słowa przeszyły niby miecz słuchających w tyle. Dobięły go pomruki zdumienia, pytania w sandhi. Usłyszał niski, gderliwy głos oskarżający "tę zdraziecką sukę" – Jerushę PalaThion – o zaprzaństwo, przekazanie żalonym, prymitywnym tubylcom Tiamat zakazanych tajemnic oświecenia.

Odwrócił się, wszedł na pierwszy ze stopni prowadzących na podwyższenie, stanawszy nad swymi podwładnymi, ostro nakazał im milczenie.

– Posłuchajcie – powiedział cicho w sandhi. – Nieważne, w jaki sposób ludzie tej planety poznali prawdę o sieci sybilli – to bez znaczenia, już się stało. Rozumiecie? Oskarżenia nie mają sensu – tajemnica się wydała. Nic nie jest w stanie tego zmienić. – Powstrzymywał ich wzrokiem. – Szczerze mówiąc, i tak by to niczego nie zmieniło. Jak powiedziała Królowa, wszystko się zmieniło w naszych stosunkach z tym światem. Nie potrzebujemy już niewiedzy jako broni pilnującej ich podczas naszej nieobecności – bo nigdy już Hegemonia nie będzie tu nieobecna. Ukrywanie prawdy o sekrecie sybilli byłoby czymś niemoralnym – co więcej, teraz już niemożliwym.

Nastąpiły dalsze pomruki niezadowolenia, kosę spojrzenia, gwałtowne, gniewne ruchy; lecz nie popuszczał, upierał się przy swoim, patrzył na nich, aż ucichły wszystkie sprzeciwy. Obrócił się wtedy w stronę czekających Tiamatańczyków, zastanawiając się, co, jeśli w ogóle, z tego zrozumieli. Pamiętał, że Moon zna trochę sandhi, podobnie Jerusha PalaThion. Mina Królowej zdradzała, że domyśla się, jaką reakcję wywołały jej słowa.

Zrozumiał także, z nagłym uznaniem, czym się kierowała, mówiąc tak śmiało – pojął ryzyko, jakie podjęła, by dać jasno do zrozumienia, że zna prawdę i rolę Hegemonii w jej ukrywaniu, że odpowiada za przyszłość swego ludu i że się nie boi. Rozpoznał też inny przekaz ukryty za jej słowami: ufała mu... nie obawiała się go wypróbować ani na nim polegać. Uśmiechnął się w duchu, nagle uświadomił sobie, że nadal stoi na podwyższeniu – na jej terenie, a nie ze swymi ludźmi. Patrząc na Moon, zszedł niżej.

– W takim razie, Pani, oba nasze ludy muszą nauczyć się przyjmować nieuniknione zmiany, jakie

nas spotkały – i jak najlepiej je wykorzystać.

– Tak – powiedziała i usiadła ruchem pełnym opanowania i wdzięku. – Na to wygląda. – Objęła dłońmi krągłości poręczy tronu.

– Mamy zbyt wiele pytań dotyczących wszystkich stron powtórnego otwarcia Tiamat, by zadawać je teraz – mówił dalej. – Może zdołamy ustalić harmonogram wstępnych spotkań z udziałem doradców. Wpierw jednak chciałbym, za Pani pozwoleniem, przedstawić moich współpracowników.

Kiwnęła głową, odchylając się przy tym do tyłu, jakby instynktownie wzdragała się przed zbrukaniem.

– NR Vhanu, komendant Policji sektora Tiamat... – Dokonywał dalszych prezentacji; bacznie słuchał przy tym i patrzył, starając się ocenić reakcje obu stron, gdy każdy z jego pomocników kłaniał się lekko i wypowiadał parę niezgrabnych słów po tiamatańsku.

Moon odpowiadała z uwagą i troską, często odrywała wzrok od obco wyglądających twarzy, by spojrzeć na Gundhalinu. Na koniec znowu powstała z tronu i przedstawiła małą grupkę doradców znajdujących się wraz z nią na podwyższeniu. Jerushę PalaThion nazwała Dowódcą Strażników, a niewidomą kobietę, Fate Ravenglass, przywódczynią jakiegoś Kolegium Sybilli. Wymieniła też nazwiska kilku wysokich urzędników administracji, zarówno Zimaków, jak i Letniaków – między nimi Tor Starhiker, kobieta patrząca na Gundhalinu, jakby go znała. Wśród obecnych były i inne sybille, łącznie z mężczyzną pochodzącym z rodu Zimaków.

– ..oraz moja rodzina... – powiedziała wreszcie. – Już spotkaliście mą córkę. – Uśmiechnęła się krótko do Ariele, przestępującej z nogi na nogę, odpowiedziała niepokojem i zmieszaniem na wzrok Gundhalinu. – A to mój zaprzysiężony... – poczuł, jak niemal nieświadomie użyła słowa tiamatańskiego, a nie pozaziemskiego, oznaczającego "męża" – Sparks Dawntreader Letniak.

Gundhalinu poczuł wzrok Dawntreadera, zrozumiał przy tym, że do tej pory go unikał. Twarz Sparksa była teraz obojętna, opanowana. Wbrew swym podejrzeniom nie znalazł na niej prawdziwego rozpoznania.

– Chyba się już spotkaliśmy – Gundhalinu nie zdołał powstrzymać tych słów.

– Gdzie? – zapytał zaskoczony Dawntreader.

– W ciemnej uliczce.

– Nie pamiętam pana – powiedział Sparks obojętnie.

– Nadal gra pan na piszczałce?

Mina Dawntreadera zmieniła się nagle, jego oczy zabłysły zrozumieniem. Zerknął na Jerushę PalaThion, znowu na niego, gdy kiwnęła głową. Skrzywił się.

– Tak – powiedział wreszcie.

– Mój syn także gra – Moon wskazała na kogoś wychodzącego spoza kryształowego tronu.

Chłopiec pokazał się niemal nieśmiało. Trudno było określić po samym wyglądzie, czy jest starszy, czy młodszy od dziewczyny. Gundhalinu musiał się opanować na widok drugiego, niemal dorosłego dziecka kochanki, którą opuścił tak dawno temu; kolejnego przypomnienia, że przez wszystkie te lata była żoną kogoś innego, a nie jego.

Gdy ciemnowłosey chłopiec stanął obok matki i podniósł głowę, Gundhalinu poczuł zdumienie, przeszywające go jak światło pryzmat.

– To mój syn... – Powiedziała Moon. – Tammis. – Gundhalinu odniósł nagłe wrażenie, że jej głos uległ dziwnej zmianie, zniekształciło go to samo uczucie; poznał, że widziała to samo, co on ujrzał w oczach chłopca – oczach zbyt podobnych do jego, patrzących z twarzy, do której nie pasowały, twarzy syna innego człowieka.

– Witam – mruknął; dostrzegł ciekawość i niepewność nasycające oblicze chłopca, jakby pojął

to samo. Gundhalinu zerknął na Sparksa Dawntreadera, zobaczył, jak jego twarz wypełnia nagle zaskoczenie, jak ono mrocznieje. Znowu popatrzył na Moon, na zmianę, jakiej podległo jej oblicze, wyrażające naraz cierpienie i zdumienie, gdy przyglądała się im obu; całej trójce... Zapomniałam pana oczy.

Znowu zaczął przesuwać wzrok z twarzy na twarz, nagle pojmując prawdziwe zmiany, jakie wymusił na życiu ich wszystkich, łącznie z własnym... i że są one znacznie bardziej nieodwołalne, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
TIAMAT: Wyspy Nawietrzne.	4
ONDINEE: Razuma.	9
TIAMAT: Krwawnik.	16
TIAMAT: Krwawnik.	22
ONDINEE: Port Razumy.	29
NUMER CZWARTY: Brama Czwórki	43
TIAMAT: Południowe Wybrzeże.	46
TIAMAT: Krwawnik.	50
TIAMAT: Krwawnik.	56
ONDINEE: Tuo Ne'el	74
TIAMAT: Krwawnik.	84
NUMER CZWARTY: Brama Czwórki	93
ONDINEE: Razuma.	110
TIAMAT: Plantacja Ngeneta.	122
TIAMAT: Krwawnik.	133
NUMER CZWARTY: Koniec Świata.	139
NUMER CZWARTY: Koniec Świata.	145
NUMER CZWARTY: Koniec Świata.	155
NUMER CZWARTY: Koniec Świata.	163
NUMER CZWARTY: Koniec Świata.	173
NUMER CZWARTY: Ogniste Jezioro.	182
NUMER CZWARTY: Koniec Świata.	188
TIAMAT: Krwawnik.	193
TIAMAT: Krwawnik.	200
ONDINEE: Tuo Ne'el	210
KHAREMOUGH: Posiadłość Pernatte.	229
KHAREMOUGH: Posiadłość Aspundth.	253
TIAMAT: Krwawnik.	257
TIAMAT: Dworzyszczce Goodventure.	263
KHAREMOUGH: Osiedle Orbitalne nr 1	272
KHAREMOUGH: Posiadłość Gundhalinu.	280
TIAMAT: Krwawnik.	286
TIAMAT: Plantacja Ngeneta.	290
KHAREMOUGH: Posiadłość Aspundth.	297
TIAMAT: Krwawnik.	301
TIAMAT: Krwawnik.	312
TIAMAT: Krwawnik.	316
TIAMAT: Plantacja Clearwater	320
KHAREMOUGH: Posiadłość Gundhalinu.	322
TIAMAT: Krwawnik.	333
TIAMAT: Okręt gwiazdny Ilmarinen, orbita planety.	337

